

Władimir Orłow

DEMON Z ALTÓWKĄ

Przełożyła Ała Sarachanowa

O Daniłowie powiadano, że jest dla Murawłowów czymś w rodzaju przyjaciela domu. Tak było w istocie i tak pozostaje do dziś. W dzisiejszej Moskwie każda kulturalna rodzina musi mieć przyjaciela domu. O tym zaś, że Daniłow jest demonem, nikt nie wie oprócz mnie, a i ja dowiedziałem się stosunkowo niedawno, choć prawdę mówiąc nieraz wydawały mi się dziwne niektóre jego pociągnięcia. Zresztą wspominam o tym tak sobie, na marginesie.

Teraz Daniłow rzadko bywa u Murawłowów, dawniej natomiast, jeśli nie miał popołudniowych spektakli, przychodził na obiad co niedziela. Zjawiał się zawsze z instrumentem – miał ku temu powody. Zaraz spróbuję przymknąć oczy i odtworzyć w pamięci jeden z takich dni.

...W mieszkaniu Murawłowów praca wre od rana. Z kuchni płyną smakowite zapachy, w garnku nabiera walorów smakowych zdobyta na targu, drobno pokrojona baranina, młoda fasolka szparagowa trafia ze szklanych słoików wprost na patelnię z rozgrzaną oliwą, na pokrytym francuską ceratą stole kuchennym pojawia się ekspres do kawy. Ach, jakie aromaty wypełniają mieszkanie i jakich należy się jeszcze spodziewać!...

W taką niedzielę u Murawłowów nie wchodzi w rachubę inni goście, zwłaszcza tacy jak Kudasow z żoną. Tymczasem właśnie Kudasow zjawia się najczęściej – ma się rozumieć, nie proszony. Ma szczególny jakiś węch na przyjęcia, obiady i herbatki u znajomych. Wystarczy, że powiedzie nosem – i już od razu wie, kto, gdzie i jakie zakupił delikatesy, w jakie zaopatrzył się napoje i o której godzinie zamierza podać to wszystko na stół. Gospodyni nie zdąży jeszcze wyjąć z szafy odświętnego obrusa, a już Kudasow, wiedziony niezawodnym węchem, wsiada do tramwaju. Bywa czasami i tak, że nawet nosem nie musi ruszać, po prostu w jego mózgu albo w żołądku odzywa się wieszcy głos i cicho, niby smętny cień Giselle, przyzywa gdzieś i wabi. Kudasow doskonale wyczuwa, jaki będzie tego wieczoru zestaw dań, i jeśli gospodarze zamierzają postawić na stole byle co, bez papryki, bez szynki od Jelisiejewa i ptasiego mleczka na deser, nie ruszy się z miejsca. Ale urządzone ku czci Daniłowa śniadania, obiady czy kolacje nie budzą u niego żadnych wątpliwości, musi tylko pamiętać o najważniejszym – żeby się nie spóźnić i nie dopuścić, by wystygły smakowite dania. W takich przypadkach Kudasow nie polega już ani na własnym węchu, ani na przyzywach wieszczego głosu – nigdy nic nie wiadomo: i zew, i węch mogą zawieść. Studiuje więc od rana teatralne afisze i usiłuje wydedukować, czy Daniłow zasiądzie dziś w jamie orkiestrowej, czy też nie. Cały repertuar Daniłowa jest mu dobrze znany. Na wszelki wypadek telefonuje jeszcze do teatru pytając, czy dzisiejszy spektakl nie jest przypadkiem odwołany, ponieważ wie, że byłaby to okazja dla Murawłowów do zaproszenia Daniłowa.

Kudasow i sam nie z ubogich: jest lektorem i występuje z odczytami, ale ma nieuleczalną słabostkę – lubi zjeść za darmo. W towarzystwie jest całkowicie nieszkodliwy – zmęczony ciągłym przemawianiem do ludzi w ramach obowiązków służbowych, siedzi sobie zajęty jedzeniem i milczy, chyba że od czasu do czasu dorzuci gwoli ścisłości jakąś uwagę, by rozbrykane myśli biesiadników nie zbaczały z torów i nie zaprowadziły, uchowaj Boże, za daleko. Milczy też jego żona, ale bardzo nieprzyjemnie mlaska.

Ani Daniłow, ani tym bardziej rodzina Murawłowów nie mają najmniejszej ochoty na spędzanie czasu w towarzystwie Kudasowa, niemniej wszyscy go tolerują. Cokolwiek by się mówiło, należy do grona starych znajomych, a zresztą wobec jego bezczelności wszelkie wybiegi i chwyt dyplomatyczne są bezsilne; nie pomogłyby nawet zapory przeciwczołgowe. Kudasow przyjdzie mimo wszystko, przeprosi gospodarzy i zasiądzie przy stole jak poskromiony lew na cyrkowym zydelku w programie słynnego pogromcy Zapasznego. Do

zwyczajów Kudasowa należy wręczanie gospodarzom butelki wytrawnego wina (możliwie najtańszego) – tym samym nie wypada już przepędzać go z domu. Pozostaje jedyna pociecha: zje ze trzy porcje mięsnego dania i od razu zasypia przy stole. Nosem tylko wciąga ukradkiem powietrze, a wraz z nim zapachy, żeby czegoś, broń Boże, nie przegapić. I żona jego, osoba taktowna, też udaje, że drzemie z otwartymi oczami.

Tymczasem Daniłow z Murawlowem delektują się smacznym jedzeniem.

– Bardzo udane dziś łobio¹, pyszne! – zachwyca się Daniłow.

– Spróbuj jeszcze tej żółtej sałatki – radzi mu pan domu – jest z orzechami, tartym serem i majonezem.

– Sos prowansalski! – cieszy się Daniłow i spróbowałszy żółtego delikatesu, zaczyna prawić komplementy gospodyni – szczerze i wylewnie, jak zawsze.

Gospodyni siedzi obok, zarumieniona z przejęcia, gotowa w każdej chwili mknąć do kuchni po nowe przysmaki dla gościa.

I oto pojawia się na stole uzbecki pilaw w olbrzymiej misie – gorący, aż żywy, każde ziarenko ryżu z osobna, mięsa i tłuszczu tyle, ile trzeba, tu i ówdzie widnieją czarne punkciki sprowadzonych z Taszkientu ziaren berberysu i całe ząbki czosnku, pachnące i soczyste, wyglądają z żółtawej masy. A zapach!

Zapach płynie taki, że w górskich kiszłakach pod Samarkandą najlepsi znawcy pilawu podnieśli już pewnie głowy i zwrócili spojrzenia w stronę Moskwy.

Kudasow, jak to Kudasow, natychmiast odzyskuje przytomność i dostaje pełny talerz pilawu, a potem prosi o repetę. Teraz może zasnąć na dobre lub, nie czekając na kawę, jechać do innych znajomych.

– Widzisz – mówi do Daniłowa Murawlow – a ty przez dwa lata nie jadłeś mięsa... Dałeś szkołę sobie i nam!

– To prawda – przyznaje Daniłow, po czym dodaje ze smutkiem: – A jednak i teraz mi żal... Żal, na przykład, tego baranka... Pomyśl, jak się czuje jego osamotniona matka...

– Głupstwa! Metafizyka! – budzi się Kudasow. – Widać, że zaniedbuje pan szkolenia.

– Nieprawda! – natychmiast staje w obronie Daniłowa żona Murawłowa, Tamara. – Nieprawda, Włodek nigdy szkoleń nie opuszcza.

– A mamusię tego naszego baranka dawno już przerobiono na kiełbaski – dodaje Kudasow. – I nie ma sensu roztkliwiać się nad byle owcą.

– Ach, proszę tak nie mówić... – powiada łagodnie Daniłow.

Ale oto nadchodzi kolej na herbatę i kawę – i wszystkie smutki pierzchają naraz. Uroczysty rytuał parzenia kawy i herbaty celebryje w tym domu sam Daniłow. Herbatę przyrządza zarówno na sposób rosyjski, jak i azjatycki, parzona zaś przez niego kawa pochodzić musi wyłącznie z rozżarzonej ziemi arabskiej: kawą brazylijską Daniłow gardzi twierdząc, że jest mdła i ma kwaskowogorzki posmak. Parząc herbatę podkreśla, że każdy gatunek powinien osiągnąć właściwy sobie odcień barwy, kawa natomiast wymaga specjalnego namaszczenia, i Daniłow, niczym doktor Faust z granatowoczarnej opery Gounoda (grano ją ostatnio w środę i Fausta śpiewał Blinnikow, który w przerwie po drugim akcie przegrał z nim butelkę koniaku w zakładach o najlepszą drużynę hokejową) – a więc niczym doktor Faust, czaruje Daniłow w kuchni nad piecykiem gazowym, aż wreszcie, skupiony i milczący, wnosi do pokoju dzbanuszki i filiżanki na malowanej tacy.

– Smakuje? – pyta nieśmiało po chwili.

– Wyśmienita! – odpowiada Murawlow. – Jak zawsze!

Potem wszyscy siedzą w półmroku; Daniłow wyciąga do przodu chude, długie nogi w zdeptanych domowych pantoflach Murawłowa i pogrążony w błogiej zadumie, słucha piosenek Okudżawy z płyty, którą nabył za dwadzieścia siedem franków na bulwarze Saint-

1 łobio - fasola po gruzińsku (*przyp. tłumaczki*)

Michel w Paryżu, albo nie słucha żadnych płyt, tylko nuci kuplety Buby Kastorskiego z filmu *Nieuchwytni mściciele*; kuplety są głupie, ale prześladowają go uparcie i nie może się od nich odzepić. Wreszcie zasypia w fotelu, nie odpowiedziawszy na uwagę Murawłowa o budowie w Czółnach Nabrzeżnych – po całym dniu czuje się śmiertelnie zmęczony: musi przecież grać w orkiestrze teatralnej, a ponadto brać udział w koncertach, żeby spłacić wysokie raty za instrument i za dwa mieszkania spółdzielcze. Gospodyni podchodzi do niego, poprawia mu zjeżdżającą z ostrego ramienia szelkę, przykrywa go wielbłądzim kocem, patrzy troskliwym matczynym spojrzeniem, wzdycha i wychodzi z pokoju, nie zapominając o zgaszeniu światła...

Powtarzam raz jeszcze: tak było dawniej. Teraz Daniłow rzadko bywa na obiadach u Murawłowów – najwyżej raz w miesiącu.

Nie bywa też więcej u duchów, w domu z wieżyczką przy ulicy Argunowskiej, gdzie w lokalu komitetu blokowego ostankinowskie duchy urządzały swoje zebrania. Daniłow nigdy do ich grona nie należał, ale sprawy nawiązania kontaktów z duchami zostały powierzone mu odgórnie, toteż wpadał niekiedy po spektaklach na Argunowską.

Niektóre duchy były dość sympatyczne. Belizariusz, śmieszny staruszek z pałacyku w stylu secesyjnym, przekonany, że osiągnął najwyższy stopień uduchowienia, darzył Daniłowa taką czułością, jaką samotny emeryt z Żyzdry może darzyć olśniewającego siostrzeńca ze stolicy. W chwilach melancholii duch Belizariusz prosił Daniłowa, żeby zanucił mu pieśń Nilakanty z *Lakmé*. Daniłow, znany z dobrego serca, nie odmawiał. Z duchem Fiedotem zamieszkującym ruiny siedemnastowiecznego pałacu często dyskutowali o architekturze. Słyszac, jak Daniłow broni Gropiusa i Saarineną, Fiedot wybuchał złością: „Dajże pokój, dobrodzieju, toż to ubóstwo, miernota, wszystkie ich stropy niewarte są dobrego słowa w porównaniu z jednym naszym sklepieniem kolebkowym!” – ale pod koniec dyskusji tak się zazwyczaj składało, że obaj oponenti dochodzili do wspólnych wniosków. Duch Artiom, najtrzeźwiej z nich wszystkich myślący i uznany przez gremium za niepodważalny autorytet, traktował Daniłowa z rezerwą, ale także darzył szacunkiem.

Zdarzyło się pewnego razu, że podchmielony duch Grzegorz z domu nr 25 wszczął z Daniłowem awanturę. „Ja mu pokażę! – darł się Grzegorz. – Łażą tu tacy różni, brody pozapuszczali!...” Natychmiast jednak zmuszony był przypomnieć sobie, że jest tylko zwyczajnym duchem, Daniłow zaś reprezentuje wyższe instancje.

Jak się okazało później, wstrętne indywiduum było z tego Grzegorza. Daniłow pojechał na występy gościnne do Taszkientu – i właśnie wtedy stało się nieszczęście: jeden z duchów, imieniem Iwan, przemieniony za sprawą Grzegorza w przejrzystozieloną lotną substancję, podzwaniając cichutko, jak kryształowe wisioriki żyrandola, uleciał w ostankinowskie niebiosa i zniknął w przestworzach, z których powrót jest niemożliwy. Zmartwiła Daniłowa wiadomość o tym wypadku – lubił Iwana i któż by mógł pomyśleć, że biedny duch zacznie na swoje nieszczęście wzdychać do Katarzyny Kowalewskiej, z którą Daniłow spotykał się nieraz na prywatkach u Murawłowów...

Miłość do ziemskiej kobiety zgubiła ducha Iwana: został skazany na dematerializację. Wszystko jednak można by zatuszować, gdyby nie Grzegorz, który w historii z Iwanem odegrał obrzydliwą rolę. Po tym, co zaszło, powinien siedzieć cicho w swojej kryjówce, w słuchawce telefonicznej między węgielkiem a membraną, albo zamienić się w suchy listek i przezimować w zielniku ucznia trzeciej klasy szkoły podstawowej, tymczasem był na tyle bezczelny, że zjawiał się nadal na zebraniach duchów i udawał bohatera. Zdawał się mówić: zrobiłem, co zrobiłem, i jeszcze mi za to podziękujecie, a teraz waszym psim obowiązkiem jest szanować mnie i pić ze mną whisky. Byli oczywiście tacy, co pili z nim whisky – milczeli i pili. „Ty, parszywe bydło – myśleli – gdyby nasza wola, byłbyś teraz...” – i wychylali swoje kieliszki, bo przecież ten łajdak miał poniekąd rację i ktoś mu na pewno za jego przysługę podziękuje, a może już podziękował. Towarzystwo z Argunowskiej przycichło czując się tak, jakby wszystkich trapiła nerwowa gorączka albo jakby smętny wisielec zaczął nawiedzać ich przybytek.

I oto powrócił z Taszkientu Daniłow. Dawno nie był u swoich podopiecznych, postanowił więc, że wpadnie na Argunowską zaraz po powrocie. Przywiózł melony z Buchary i skórki karakumskich jaszczurek – waranów, wysuszone i nasączone jadem pustynnych zmij. Duchy częstowały się jakby od niechcenia lub z grzeczności, przeżuując ospale soczyste, wilgotne

kawałki melonów i osobliwe przysmaki rodem z pustyni. Nikt nie miał apetytu, jeden tylko Grzegorz zjadał łączywie, głośno łykał i ślinał się przy tym obficie. Nazajutrz Daniłow przyszedł na Argunowską prosto z teatru, po balecie *Korsarz*, w idealnie wyprasowanym fraku, w koszuli z motylkiem. W rękach trzymał czarną walizeczkę. Zawsze był przystojnym młodzieńcem, a teraz wyglądał zupełnie jak młody Bilibin z portretu pędzla Kustodijewa. Z łagodnym uśmiechem witał każdego po kolei, a kiedy podał mu rękę Grzegorz, cofnął nagle dłoń. Wszyscy zdębieli.

– Gardzi pan? – zapytał wyzywająco Grzegorz.

– Przestrzegam zasad higieny – odparł Daniłow.

– A co, rozsiewam zarazę?

– Tak – powiedział Daniłow. – Jest pan chory. Na grypę wirusową. W dodatku w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku przechorował się pan na cholere, a przecież wiadomo, że bakcyle cholery żyją przez długie dziesięciolecia nawet w bryłach lodu. Zresztą cholera to pół biedy, gorsza tegoroczna grypa, powoduje ciężkie komplikacje.

Z tymi słowy otworzył walizeczkę, wyjął stamtąd śnieżnobiałą opaskę z gazy i bez pośpiechu, wśród grobowej ciszy, zawiązał na karku jedwabne tasiemki. Opaska, niczym sztywny czarczaf, przykryła mu nos, usta i brodę, ale nawet w tej masce nie stracił wdzięku. Duchy podbiegły do niego i każdy dostał od Daniłowa białą opaskę.

– A ja? – zapytał żałośnie Grzegorz.

– Pan nie potrzebuje – rzekł Daniłow.

Grzegorz opadł na krzesło i zalał się łzami.

– Łzy nie pomogą – powiedział Daniłow – trzeba przejść kurację.

– Ciężko mi – żalił się Grzegorz. – Zginął mi kolega, rozplynął się w powietrzu... – mówiąc to wskazał palcem w górę. – Tak mi ciężko, a wy sobie ze mnie kpicie...

– O kim pan mówi, jaki znowu kolega?

– Wania... Iwan... Razem spędziliśmy młode lata na Trzeciej Mieszczańskiej, graliśmy w chowanego za cerkwią metropolity Filipa... Ostatnio źle się prowadził, no i wygarnąłem mu całą prawdę, ale pozostałem jego przyjacielem... Kpijcie sobie ze mnie, będziecie się potem wstydzić...

– Niechże pan da spokój – przerwał mu Daniłow. – Wcale nie był pan jego przyjacielem i właśnie dlatego zabrakło wśród nas Iwana, że nikogo nie darzy pan przyjaźnią.

Grzegorz zerwał się z miejsca, oczy miał już suche i wściekłe; rzucił się na Daniłowa, chwycił go swymi łapskami za klapy fraka i tak szarpnął, że choć frak był od dobrego krawca, zatrzęszczał i pękł w kilku miejscach.

– A-a, wiem teraz, co z ciebie za jeden! – wrzeszczał Grzegorz. – To przez niego, przez tego mazgaja, urządziłeś cały ten spektakl! Nic mi nie zrobisz! Jestem uczciwym duchem! Ciebie też za te twoje sztuczki zapędzę w kozi róg!

– Ręce przy sobie – ostrzegł Daniłow i Grzegorz natychmiast odskoczył pod ścianę, przewracając przy tym stolik brydżowy.

– Znajdę na ciebie sposób! – darł się spod ściany. – Skoro zadajesz się z nami, z pospólstwem, znaczy się, żaden z ciebie demon! Wiadoma sprawa: karę odbywasz, a za co, to już się dowiem, spokojna głowa!

Daniłow, choć niezdolny do małostkowej zemsty, stracił cierpliwość i powstrzymać się już nie mógł. W tejże chwili duch Grzegorz zapadł na australijską grypę wirusową, zaczął kichać, temperatura podskoczyła mu do ostatniej kreski, krew i pozostałe substancje płynne jego organizmu osiągnęły stadium wrzenia, skondensowane gazy osiadły w postaci niebieskich kryształów, z nosa popłynęła mętna ciecz.

Ledwo znalazł w sobie siły, by opuścić towarzystwo i ratować życie w swej kryjówce, ale odwrócił się jeszcze w progu i szepnął:

– Drogo mi za to zapłacisz...

Daniłow bez pośpiechu rozwiązał tasiemki na karku, złożył opaskę starannie i uroczyście, tak jak oficerowie japońscy w obecności cesarza składali flagę narodową po zakończeniu igrzysk zimowych w Sapporo, i schował swoją maskę do walizki. Wszystkie duchy również zdjęły opaski, tylko Belizariusz zapytał nieśmiało, czy mógłby pochodzić w maseczce jeszcze tydzień.

Nastrój uległ poprawie, w każdym razie stał się pogodniejszy, tak jakby spadły pęta ze zdętwiałych rąk. Duchy podchodziły do Daniłowa z osobna, szeptały: „Dziękujemy... Panu to dobrze, panu wolno...” Młode urwisy z nowych bloków odegrały na gitarach elektrycznych kompozycje McCartneya i Lennona. Wkrótce wyjaśniło się z rozmowy, że gdyby nawet nie doszło dziś do tego, do czego doszło, tak czy owak za parę dni wyrzucono by Grzegorza z zebrania. Urwisy zapewniały, że miały szczerzy zamiar nie dalej jak jutro wyprawić tego wstecznika w rejs po rurach kanalizacyjnych domu nr 25. Duch Wasyl, narwaniec i optymista, oznajmił wprost: „Zagapiłem się trochę, ale niewiele brakowało, żebym dał mu kopniaka w tyłek! Wysłałbym go na miesiąc do sąsiedniej szkoły czyścić dzieciom obuwie!” Duch Artiom i duch Konstancy z Taganki, osoba na tym zebraniu przypadkowa, ale traktowana swojsko, patrzyli na Daniłowa przyjaźnie, jakby wdzięczni mu za to, że zdjął z nich odpowiedzialność z takim spokojem i gracją, jak strąca się pluskwę dłonią w ażurowej rękawiczce. Tymczasem Daniłow posmutniał: nie mógł sobie darować, że stracił opanowanie. Teraz nie będzie już w stanie powstrzymać toku wypadków i najmniejszy jego gest może spowodować nieszczęście na głowy niewinnych istot. Takie rzeczy już się zdarzały: na przykład, niedawno rodzina Murawłowów wybrała się na weekend do domu wypoczynkowego na Planerskiej, ale Murawłow, niezadowolony z warunków, kłął na podłogę kuchnię, kłął na żonę, która namówiła go do wyjazdu używając argumentu, że o skierowaniu jest bardzo trudno, a w nocy, czując pod lewym bokiem ostrą sprężynę, wybełkotał przez sen: „Żebyś się spaliła, rudero przeklęta!” Daniłow był daleko, ale, jak przystało na wolnego syna eteru, reagował czule na każdy sygnał dźwiękowy bądź też emocjonalny. Klątwa rzucona przez Murawłowa natychmiast do niego dotarła; usłyszał błagania przyjaciela, który cierpi niezastłuzenie i czeka, aż ktoś go wyzwoli. Daniłow nie zdążył nawet o niczym pomyśleć – wystarczył sam odruch jego współczucia, by oficyna domu wypoczynkowego na Planerskiej stanęła w ogniu. Murawłow, drżąc z przerażenia, usiłował za wszelką cenę uratować schowaną na jutro butelkę wódki; jego syn Misza trząsł się tuląc do piersi pożyczone narty, żona Tamara dzielnie pakowała do walizek ubranie i prowiant. Oficyna spłonęła w mgnieniu oka. Całą noc pogorzelnicy spędzili na śniegu; tym razem Murawłow kłął nie tylko na żonę, ale i na pijanych elektryków, którzy urzędowali tego dnia na strychu oficyny. Daniłow cierpiał, ale nic nie mógł na to poradzić.

Teraz też trudno mu było za cokolwiek ręczyć. Obawy nie były bezpodstawne: wirus grypy australijskiej, który zmógł ducha Grzegorza, okazał się tak potężny, że nazajutrz zachorowali wszyscy mieszkańcy domu nr 25. Nawet gipsowa Greta – dziewczyna z leszczem pod pachą z parku w Ostankinie, obiekt tajemnych namiętności Grzegorza – zaczęła kichać odstraszać spacerowiczów, i kichała tak, że w pobliskiej szaszłykami wyginały się i podskakiwały metalowe ruszty w piecach elektrycznych. Duchy przychodziły na zebrania w maseczkach, posmarowawszy uprzednio nosy maścią piroksylinową z dodatkiem prochu. Duch Belizariusz natomiast, pod wpływem hipochondrii i prasy codziennej, postanowił przybrać postać stepowego żółwia, zapaść na dwa miesiące w śpiączkę i w ten sposób przeczekać epidemię.

Daniłow znowu cierpiał. Nie miał pojęcia, co teraz robić; do Murawłowów wstydził się iść po tamtym pożarze na Planerskiej, oni zaś o niczym nie wiedzieli. Zapraszali go, ale odmawiał pod byle pretekstem. Powtarzał sobie w duchu: „Dość! To już po raz ostatni! Muszę wreszcie wziąć się w garść. Wystarczyłoby zwymyślać tego drania, należało mu się zresztą, ale z wirusem naprawdę przesadziłem...” Dręczony wyrzutami sumienia, wbrew

regułom podrzucił choremu Grzegorzowi drogie tabletki, doskonały środek przeciwwirusowy. Nie mógł odzyskać spokoju nawet wówczas, kiedy było już po epidemii.

Wtedy to na Argunowskiej pojawił się nowy duch, skierowany po zniknięciu Iwana do domu nr 21, na wakujące od trzech miesięcy miejsce.

Przedstawił się jako pan Walenty. Nosił cwikiery na platynowym łańcuszku; w rozmowie, zaskoczony niespodziewaną uwagą – na przykład o tym, że ryba protopterus, gdyby wylazła z akwarium, mogłaby pożreć średnich rozmiarów kota – odrzucał głowę do tyłu i cmokał językiem: „Tc, tc, tc!” Ten dźwięk, mający wyrażać zdumienie, zawierał w sobie jeszcze coś nieokreślonego – coś, co nakazywało rozmówcy wzmoczoną czujność, a niekiedy wręcz napawało lękiem. Duchy z sąsiednich nowych bloków, młode trzpioty kształcone na programach telewizyjnych, początkowo – z powodu cwikierów – ochrzciły pana Walentego oportunistą, później jednak, z niewiadomych przyczyn, wołały wstrzymywać się od wszelkich uwag na jego temat. Autochtoni, patrząc krytycznie na niemodny tużurek przybysza, pouczyli go, że na zebraniach godzi się zjawiać w surducie klubowym, ale pouczenia zdawały się do niego nie docierać, w związku z czym rozmowy na temat jego ubioru jakoś ustały.

Był to osobnik nadzwyczaj ruchliwy: drobnym kroczeniem przebiegał od grupy do grupy, grając w karty czy warcaby wiercił się na stołku i agresywnym cmokaniem wprawiał partnera w zakłopotanie. W ogóle niebezpiecznie było zasiadać z nim do jakiegokolwiek gry, ponieważ zawsze wygrywał.

Historia jego życia pozostawała zagadką nawet dla najstarszych mieszkańców Ostankina; ustalono jedynie na podstawie akt personalnych, że służył ongi gdzieś w okolicy dzisiejszego placu Kołchozowego – a przecież akurat w tym miejscu stał swojego czasu sławetny dom Brüssa. Generał Jakub Brüсс, feldmarszałek Piotra Wielkiego, miał, jak wiadomo, powszechną opinię czarnoksiężnika, parał się alchemią, w lipcowe upały jeżdżono u niego na łyżwach, toteż fluidy wydobywające się z tygli i retort Brüssa mogły wsiąknąć na długie wieki w mury okolicznych budowli. Nic więc dziwnego, że każdy spodziewał się po panu Walentym rzeczy niecodziennych, ba – nawet najgorszych. Może ten platynowy łańcuszek przy cwikierach to też owoc praktyk alchemicznych? Mędracy z Argunowskiej drapali się w karki. Wykoncypowano, że pan Walenty zakłócił ich spokój nie bez powodu.

Daniłow miał wystarczająco dużo swoich kłopotów i długo nie odwiedzał domu na Argunowskiej, ale oto przyszedł pewnego razu i natychmiast poczuł, że między nim a panem Walentym wytwarza się coś w rodzaju wewnętrznej komunikacji. „Ten osobnik coś tam główkuje na mój temat” – odnotował w duchu Daniłow. Nie zbliżał się jednak do pana Walentego zakładając, że tamten sam nie wytrzyma i zdradzi się w jakiś sposób. Tymczasem pan Walenty, jak widać, dobrze panował nad sobą, a może nawet nie sam kierował swym postępowaniem. Wiercił się i krzątał nie opodal, lecz do Daniłowa zbliżyć się jak gdyby nie miał odwagi, niczym skromny urzędnik, co to nie śmie podejść do generalskiej córki. Mimo to w jego spojrzeniu Daniłow łowił momentami pewność siebie i poczucie własnej przewagi. „A to gagatek!” myślał. Nie żałował teraz, że wyrzucił Grzegorza za drzwi. Zaczynał się złościć i wraz ze złością narastało w nim znajome podniecenie, jakie pojawia się w oczekiwaniu przygody.

Wreszcie pan Walenty podszedł i zaproponował mu partię szachów.

– Może pan ze mną zagra, bo wszyscy ode mnie stronią, sam nie wiem czemu – powiedział jakby z zażenowaniem.

Daniłow usiadł naprzeciwko niego przy stole i wkrótce zrozumiał, że ma do czynienia z silnym partnerem. Zastanawiał się nawet, czy grać z nim jak ze zwykłym duchem, czy też prowadzić rozgrywkę na wyższym szczeblu.

Postanowił, że mimo wszystko będzie prowadził grę na zwyczajnym poziomie, ale już po kilku ruchach przekonał się, iż pan Walenty prezentuje znacznie wyższą klasę. Szła

cwikierów emanowały dziwnym zielonkawym blaskiem, wskutek czego w głowie Daniłowa zaczęły krystalizować się myśli. „Ach, to tak sobie poczynasz! – myślał. – Tak to możesz grać z Fischerem... A ja na twoje sztuczki świetlne odpowiem włączeniem kontrzespołu...” Uruchomił kontrzespół i wysunął naprzód stojącego na białym polu laufra.

Rozległ się suchy elektryczny trzask, pan Walenty podskoczył, zaczął nerwowo uderzać dłonią w brzeg stołu i stało się jasne, że za chwilę, po trzydziestym szóstym ruchu, jastrząb ostankinowskich turniejów szachowych dostanie mata.

– Tu obowiązuje zwyczajny poziom gry – powiedział Daniłow. – Łamie pan przepisy, może to być źle widziane.

– Co pan wie! – wybuchnął jego przeciwnik. – Tylko tyle pan potrafi, co grać w szachy i rzępolić na altówce, i też tylko dlatego, że udało się panu kupić za trzy tysiące dobry instrument Albaniego. Gdyby nie Albani, dawno już wywalono by pana z teatru. Chciałby pan grać na violi d’amore, ale nic z tego nie wychodzi!

Daniłow uśmiechnął się: a jednak potrafił wyprowadzić pana Walentego z równowagi! Ale natychmiast ściągnął brwi – cóż to za bezczelność ze strony ducha wtrącać się do spraw ludzkich, które są dla niego tabu!

– Co pan może wiedzieć o violi d’amore! – rzekł Daniłow. – Niech pan nie mówi o tym, na czym się nie zna i o czym nie ma prawa mówić.

– A właśnie że mam prawo! – wrzasnął pan Walenty.

Zerknął na wszelki wypadek za siebie, ale wszystkie duchy dawno już pochowały się po kątach smętnej sali, dając tym samym do zrozumienia, że wolą nie wiedzieć, o czym rozmawiają ze sobą Daniłow i pan Walenty.

– Nerwy – powiedział Daniłow. – Wobec tego mata dostanie pan wcześniej, za karę.

Był również zły. „To znaczy, tylko dlatego nazywam się muzykiem, że mam dobry instrument? – myślał. – I na violi d’amore, powiadasz, nie potrafię zagrać? Ach ty, draniu!” Twarz miał jednak spokojną.

– Współczuje pan Grzegorzowi? – zapytał zabierając z szachownicy białego pionka.

– O, nie! – roześmiał się pan Walenty. – Nawet biorąc pod uwagę pańską lekkomyślność zakładam, że tak proste rzeczy powinien pan rozumieć... Cóż może nas obchodzić jakiś tam Grzegorz? Duch z niego uczciwy, ale przecież to plotka, mizerna pchła! Zachorował i niech sobie choruje. Mam do pana inny interes, jeśli można to nazwać interesem.

– Ale dlaczego jest pan taki zdenerwowany?

– Dużo o panu słyszałem. To pan wyprowadza mnie z równowagi, nie daje mi spokoju. Ranga właściwie żadna, do tego nieślubny, a pozwala sobie pan na takie rzeczy... D oprowadza mnie to do rozpacz, zaczynam zastanawiać się, czy w ogóle istnieje na świecie jakiś porządek.

– I do jakich wniosków pan doszedł? Jest ten porządek czy nie ma?

– Jest, kochasiu! Na szczęście jest! Oto dowód.

Z tymi słowy pan Walenty podniósł zaciśniętą pięść na wysokość twarzy rozmówcy, rozluźnił palce i na jego dłoni Daniłow zobaczył lśniący blankiet, podobny do wizytówki i pokryty drobnym drukiem. Było to wezwanie, które wypadało odebrać.

– Dziwne metody – powiedział. – Piracki czarny znak, brakuje tylko trupiej czaszki z piszczelami.

– Oby śmiał się pan nie po raz ostatni!

– Przepraszam, pan tu przybył jako wykonawca wyroku?

– Nie – zaprzeczył pospiesznie pan Walenty, jak gdyby trochę złękniiony. – Jestem kurierem.

– A więc proszę się nie zapominać.

– Co za niespotykana bezczelność! – zawołał pan Walenty jazgotliwym głosem. – Może ważną personą nie jestem, ale pełnię w tej chwili obowiązki służbowe! Zresztą kto jak kto, ale pan powinien siedzieć cicho! Wyznaczono panu Godzinę Zero!

Na lśniącym twardym prostokącie blankietu wystąpił szkarłatny stygmat Godziny Zero i Daniłow, choć nadržbiał miną, poczuł się nieswojo. Patrząc na wezwanie próbował uspokoić samego siebie: przecież nie musi to być ani dziś, ani jutro, ani nawet za miesiąc – ale po dawnej beztrójce nie pozostało śladu.

– Teraz pański ruch – powiedział pan Walenty.

– Ach tak, prawda – opamiętał się Daniłow.

Spojrzał na szachownicę i zauważył, że pan Walenty ma z powrotem wieżę, którą stracił siedem ruchów temu. Daniłow popatrzył na kartkę, na której notował swoje ruchy, i znalazł tam wpisany własnym pismem ruch nie mający żadnego pokrycia w rzeczywistości. Zgodnie z tym zapisem, wieża miała pozostać na szachownicy. Zapomniał nawet o wezwaniu – takiego szachrajstwa ścierpieć nie mógł! Gotów był zetrzeć w proch tego szulera, rozzuchwalonego po sprawnym wykonaniu zadania, przypomniał sobie jednak pożar na Planerskiej i epidemię grypy wirusowej, pomyślał, że być może pan Walenty umyślnie prowokuje go do awantury, i poskromił emocje. Gdyby nie ta chwila rozwagi, wzdłuż Argunowskiej zalegałyby teraz czarne pustkowia ze sterczącymi gdzieś zwęglonymi pniami drzew. Przyszła mu do głowy figlarna myśl: „Oddam mu jeszcze laufra – tak po prostu, z głupia frant, a potem zobaczymy...” Pan Walenty zachłannie złapał podstawionego laufra, podobnie jak automat w trolejbusie łapie i połyka wrzuconą monetę. Opamiętał się jednak po chwili, spojrzał na Daniłowa zdeorientowany i zamrugał rzęsami, które musiał widocznie farbować mieszanką fosforyzującą.

– Po co znęca się pan znowu nade mną? Widzę, że nie boi się mnie pan ani trochę...

„Co mu jest? – zdziwił się Daniłow. – Nie mam żadnego pomysłu na zakończenie gry, oddaję mu laufra, a on...”

– Błagam, niech pan przegra, co to panu szkodzi? – prosił Walenty. – Proszę mnie nie niszczyć, dobrodzieju! Jak ja potem wrócę? Zaraz przed panem uklęknę, chce pan? Błagam o litość dla sieroty!

Daniłow zlitował się nad przeciwnikiem.

– Dobrze. Przyjmuję propozycję remisu – oświadczył.

– Dobrodzieju! Łaskawco! – rzucił się do niego pan Walenty. Zamierzał ucałować go w rękę, ale Daniłow skrzywił się z obrzydzeniem.

Pan Walenty, wyprostowany, odskoczył nagle na środek sali, zarechotał przerażającym koncertowym basem, palec swój, który też zdawał się być z platyny, skierował prosto w szczupłą pierś Daniłowa i zagrzmiał tak straszliwie, że w sąsiednim barze przy ulicy Korolowa popękały pozostawione na noc w kredensie kufle do piwa:

– Czekaj, wybije twoja godzina!

A potem zamienił się w dym i płomień, przeszył z trzaskiem ścianę i zniknął pozostawiając dom nr 21 bez nadzoru. Duchy długo jeszcze przecierały oczy – widocznie przejściu osoby pana Walentego z jednego stanu fizycznego w drugi towarzyszyło intensywne wydzielanie się gazów łzawiących.

„Też mi gusta! – myślał Daniłow z niesmakiem patrząc na spalone tapety. – Ciekawe, dlaczego tak się przeraził, kiedy oddałem mu laufra? Wszystko to jest dziwne... Nawiasem mówiąc, ten bas na pewno już gdzieś słyszałem...” Znowu poczuł na dłoni ciężar twardego blankietu wezwania i znowu zobaczył występujące na nim purpurowe znaki. „Paskudna historia – westchnął. – Trudno o gorszy obrót spraw...”

Osiągnął pułap, odpiął pasy i zapalił papierosa.

W dole, posłuszne obrotom globu, przepływało Ostankino, i szara wieża, przypominająca stalowy rożen z trzema plasterkami szaszłyka, szcuplejąc z napięcia celowała w Daniłowa swym ostrzem.

Założywszy nogę na nogę, kołysał się w strumieniach powietrza jak w hamaku. Ręce złożył pod głową i o niczym nie chciał teraz myśleć – oczy miał zamknięte, palił i czekał, aż z północnego zachodu, z olowanych niebios Laponii, napłynie ciężka śniegowa chmura.

W Moskwie było ciepło, chłopcy z lepкими kulami śniegu w rękach zaczepiali wyższe od siebie o głowę poważne panienki, swoje rówieśniczki, koła tramwajów wyrzucały z rynienek stalowych szyn burą wodę, krzyki protestu rozlegały się tu i ówdzie za bezczelnym taksówkarzem, który obryzgiwał mokrym błotem długie kolejki wyczekujące na krawaty i zielony groszek. Mimo to, zgodnie z prognozą stacji meteorologicznej w Temirtau, właśnie dziś nad Moskwą miało nastąpić zderzenie ciepłego frontu z zimnym. Niewykluczona była nawet możliwość zimowej burzy. Daniłow dlatego upodobał sobie Ostankino, że było to od dawien dawna najbardziej narażone na burze miejsce w całej Moskwie, a teraz w dodatku wzbogaciło się w wieżę telewizyjną, którą błyskawice darzyły szczególnymi względami. Wiedział zatem, że dzisiejsza walka żywiołów rozegra się właśnie nad Ostankinem. Zniecierpliwiony, o mało nie ponaglił lapońskiej chmury, ale powstrzymał się w porę i dał chmurze spokój.

Płynęła teraz samoczynnie w jego kierunku.

W tym momencie dotarł do niego sygnał – słaby, niemrawy głos, w którym nie brzmiały ani prośby, ni też przywoływania sił nadprzyrodzonych – i zaniepokojony Daniłow spojrzał w dół. Ustalił, że sygnał pochodzi od mężczyzny w wieku trzydziestu kilku lat. Człowiek ten miał na sobie czapkę z nutrii i stał przy wejściu do parku, przed kioskiem z napisem „Pączki”. Z góry był słabo widoczny, toteż Daniłow włączył wizjer, obejrzał mężczyznę i zajrzał mu w duszę. Okazało się, iż człowiek ten przyjechał tu trolejbusem prosto ze szpitala i w oczekiwaniu na tramwaj posilił się przed chwilą gorącym pączkiem. Do szpitala został wezwany nagle, wczesnym rankiem; powiedziano mu, że jego ojciec jest u kresu życia, uratować go może tylko operacja, w dodatku niezwłoczna. Chory majaczył i odmawiał zgody na operację, a więc syn miał podpisać tę zgodę i zrobił to z takim uczuciem, jakby sam wydawał na ojca wyrok śmierci. Potem siedział przez trzy godziny w dole i czekał. Operacja przebiegła pomyślnie, lecz życie ojca wciąż było w niebezpieczeństwie. Syn już przedtem czuł się skonany, cóż dopiero w chwili, gdy spadło napięcie! Szarpały nim nerwowe dreszcze, odczuwał mdłości. Pomyślał naraz: „Przydałby się kieliszek wódki!” – i ten to sygnał odebrał Daniłow.

Znowu spojrzał na chmurę i pokiwał głową: chmura poruszała się ledwo-ledwo. Westchnął i wylądował na śliskim asfalcie. Nie odważył się podejść od razu do mężczyzny w futrzanej czapce – zawieranie znajomości zawsze przychodziło mu z trudem, w dodatku nieznanemu wyglądał na człowieka kulturalnego (w rzeczywistości był z zawodu nauczycielem geografii) i nie wiadomo, jak potraktowałby niespodziewane najście.

– Zimno... – powiedział Daniłow z nieśmiałym uśmiechem.

– Owszem – skinął głową mężczyzna.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie sądzi pan – zagaił ponownie Daniłow – że tamte nowe bloki przy Argunowskiej wcale nie pasują ani do wieży, ani tym bardziej do pałacu Szeremietiewa?

Mężczyzna spojrział ze zdumieniem na Daniłowa, potem na nowe bloki i powiedział:

– Te nie są jeszcze najgorsze...

– Nie jestem pewien – odparł Daniłow i po chwili zaczął mówić szybko, jękając się z onieśmienia: – Przepraszam pana najmocniej, mam wielką prośbę, może mnie pan oczywiście wysłać do wszystkich diabłów, ale proszę najpierw wysłuchać... Jakoś ciężko mi dzisiaj na sercu... Muszę się napić, ale sam nie mogę. Czy zechce pan dotrzymać mi towarzystwa?

– To znaczy?... – nie zrozumiał mężczyzna.

– Mam przy sobie wszystko, co trzeba – ciągnął Daniłow wyjmując z kieszeni napoczętą butelkę wódki oraz szklanę. – Jeśli nie ma pan ochoty, wystarczy, że postoi pan obok mnie...

– Cóż – odezwał się mężczyzna niepewnie – jeśli wystarczy panu sama tylko moja obecność...

– Dziękuję serdecznie! – ucieszył się Daniłow. – Tylko odejźmy stąd trochę na bok, za tamten płot, bo wie pan, a nuż się przypląta jakiś milicjant albo damska drużyna ochotnicza... Zaraz wlepią karę i jeszcze wyślą zawiadomienie do zakładu pracy...

Weszli za ciemne ogrodzenie dawnej hali targowej i stanęli przy śmietniku. Daniłow wolałby trzymać teraz w rękach butelkę burgunda, dobrego koniaku lub połyskującego figlarną zielenią chartreuse'u z piwnic klasztornych w Grenoble; na wódkę, zwłaszcza piłą przy śmietniku, nie miał najmniejszej ochoty, ale cóż mógł innego zrobić! Wypił pół szklanki, napełnił ją znowu, butelkę wyrzucił, szklanę zaś podał mężczyźnie:

– Proszę, niech mi pan nie odmawia... Nie mogę już więcej, a wylewać szkoda.

– Ależ dziękuję, co też pan... – słabo zaprotestował mężczyzna, mimo to szklanę wziął i wypił wódkę jednym haustem.

Daniłow podał mu jabłko i widząc, jakim spojrzeniem żegna pustą szklanę, powiedział:

– Miał pan ochotę tylko na jeden kieliszek...

– Co takiego? – ocknął się mężczyzna patrząc na Daniłowa z przerażeniem.

– Ach nic, tak mi się tylko powiedziało – sprostował pospiesznie Daniłow.

Poczuł nagle, że czas najwyższy pożegnać nowego znajomego, który mógłby teraz nabrać ochoty do zwierzeń – i nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że nazajutrz nieuchronnie wyrzuciłby sobie wszystkie dzisiejsze grzechy: kto to widział, żeby pić wódkę z pierwszym lepszym przechodniem i zwierzać mu się ze swoich kłopotów – nic tylko pokazać jeszcze dowód osobisty i dać swój numer telefonu! Chcąc takim wyrzutem zapobiec, Daniłow przeprosił, powiedział zdecydowanym tonem, że czas nagli, i szybko poszedł w stronę parku. Skręcił za pusty pawilon, wystartował stamtąd w ostankinowskie niebo i znowu, rozluźniwszy mięśnie, spoczął w strumieniach powietrza oczekując nadejścia chmury.

Odzyskał spokój i zaczął nawet pogwizdywać melodię z cyklu *Das wohltemperierte Klavier* Bacha. Chmura zawisła już nad Klinem, nad domkiem Czajkowskiego, i za godzinę powinna była dotrzeć do rogatki Moskwy. Daniłow nie mógł dłużej czekać, nie znosił przymusowej bezczynności, ponadto zbyt kuszący był przedsmak rozkoszy. Zerwał się z miejsca i podążył naprzeciw chmurze. Nad stacją kolejową Kriukowo wtargnął w ciemną wilgotną masę i rozgarniając rękami londyńską mgłę niższych pięter chmury, jął wspinać się na sam jej szczyt, gdzie połyskiwały kryształki lodu. Tam, na górze, wyprężył się i zaczął przemieniać w owe kryształy przyjmując ich dodatni ładunek. Było mu dobrze, nie ponaglał teraz chmury, ta zaś nacierała uparcie na ciepły front powietrza, gotując zdecydowaną walkę w niebiosach.

W jakieś dwadzieścia minut później chmura, a wraz z nią Daniłow byli już nad Ostankinem. Nareszcie, nareszcie!... Wewnątrz chmury powstał ruch – wszystko wokół zawrzało, zakipiowało, zuchwała moc poczuła w sobie gotowość do otwartego buntu. Gdzieś tam w dole zimne powietrze zderzyło się już z ciepłym – i oto akcja dotarła do lodowego

płaszczą chmury, a zatem i do Daniłowa, który wraz z innymi kryształami lodu runął w dół, by tam, w dole, przemienić się w obłok pary. Runął zapamiętale, szaleńczo, tracąc w tym zawrotnym upadku kationy i zmieniając ładunek z dodatniego na ujemny. „Jakież to piękne! – myślał czując przejmującą świeżość nowego ładunku energii. – Ach, jakie piękne!” Wiedział jednak, że to dopiero początek.

W pewnym momencie nie wytrzymał, machnął ręką i pozwolił sobie na jeszcze większą zuchwałość. Postępując wbrew regułom, przybrał oprócz ładunku ujemnego także dodatni i teraz czuł w sobie działanie obydwu tych ładunków, posłusznych jego woli i nie zwalczających się wzajemnie. Porwany niesamowitym pędem, mknął w błogim zapomnieniu, ryzykując bezpowrotną utratę swych właściwości psychicznych.

Tymczasem wolne elektrony spływały już z chmury na ziemię z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na sekundę, torując w powietrzu kanał dla błyskawicy. Daniłow poczuł, że powinien skończyć ryzykowną zabawę, i pozbył się ładunku dodatniego. Gdy kanał dla błyskawicy został już przebity, chmura zdrząła. Stromą i gładką drogą, otwartą teraz dla ruchu, ładunki ujemne pomknęły w dół z szybkością sięgającą dziesiątków tysięcy kilometrów na sekundę – i Daniłow rzucił się wraz z nimi na samym ostrzu błyskawicy. Wył i grzmiał z zachwyty, a potem, rozsypując snopy błękitnych iskier, uderzył prosto w stalowy szpic piorunochronu na dachu pałacu Szeremietiewa. Nie zneutralizował się jednak, nie zniknął w ziemi, lecz odbił się od szpica i z artyleryjskim hukiem wzbił się w niebo tak gwałtownie, że mógłby przebić wszystkie warstwy atmosfery, gdyby nie powiedział sobie: „Dość!”.

Wypadałoby teraz lecieć dalej, wiedział jednak dobrze, iż chmurę stać jeszcze na parę wyładowań, nie mógł więc odmówić sobie przyjemności tych kilku dodatkowych kąpiel w piorunach. Znowu i znowu padał na ziemię wraz z błyskawicą, baraszkując i syjąc iskrami; był taki moment, gdy w zapamiętłym upojeniu, gwoli niebezpiecznych i słodkich doznań, zneutralizował się na chwilę, ale na szczęście zdążył ocalić swoją istotę. Dwukrotnie trafił w stalowy szpic, a za trzecim razem stracił głowę, chybił i rozszczepił stary dąb w parku, tuż przy górcie, z której w zimie zjeżdżano na sankach. Wtedy opamiętał się, żal mu było drzewa. Uleciał wysoko, pozostawiając w dole Moskwę i moskiewską zimową aurę, powracając do miasta zgodnie ze słuszną prognozą stacji meteorologicznej w Temirtau.

Szybkość miał już niezłą, nawet zbyt dużą jak na ten krótki lot, w głowie czuł lekki szmerek, jak po alkoholu. Trzeba było złapać oddech. Właściwie nie potrzebował dla rozgrzewki żadnej burzy, bez tego mógł lecieć, dokąd chciał, ale sprawiała mu niewysłowioną przyjemność ta kąpiel w błyskawicach – nie w piorunach kulistych, lecz właśnie w błyskawicach liniowych, przy akompaniamencie potężnych grzmotów. Czasami odczuwał nawet wstyd, wyrzucał sobie efekciarstwo, ale z ukochanych słabostek nie chciał i nie mógł zrezygnować. Zmienił postępowanie tylko o tyle, że dawniej, za młodu, sam ścigał burze i rozkoszując się ich szaleństwem czuł się niczym Napoleon Bonaparte, dowódca walczących żywiołów, teraz natomiast, idąc za głosem sumienia, nie chciał być sprawcą klęsk odpowiedzialnym za liczne ofiary. Dzisiejszy Daniłow czekał więc na burze naturalne, darowane jemu i wszystkim ludziom przez wszechmocną przyrodę, i nie czuł się już Napoleonem – wystarczyło mu, że zamieniał się w kryształik lodu czy obłok pary, pozostając przy tym sobą.

Odsapnąwszy wyznaczył gestem kierunek i w tym kierunku poleciał. Miał w Andach dawno upatrzony spokojny zakątek.

W trakcie lotu poczuł nagle ostre swędzenie w całym ciele; coś się działo z jego słuchem, miał ochotę kichnąć. Zatrzymał się, wydłubał z uszu jakieś szare paskudztwo, włączył odkurzacze oraz inne urządzenia oczyszczające i wytrząsnął z siebie piasek, tłuczone szkło oraz tytoń fajkowy. Ktoś naumyślnie, przez złośliwość, nadział chmurę szkłem i tytoniem... Może to sprawki pana Walentego? Należałoby w takim razie przypuszczać, że pan Walenty

ma dostęp do atmosfery. „A, pal licha! – pomyślał Daniłow czując jednakże pewien niesmak. – Swoją drogą, do czego to doszło, żeby tacy jak ten typek... Kim on właściwie jest?”

Poleciał dalej. Mógł latać z szybkością myśli: na przykład wystarczyło mu pomyśleć, że dobrze by było odwiedzić Górny Ufalej – i proszę bardzo, w tejże chwili potrafił znaleźć się na placu targowym w Górnym Ufaleju. Nudził go jednak taki sposób poruszania się w przestrzeni, dlatego też z szybkością myśli latał tylko wówczas, kiedy był na rauszu albo nie w sosie. Najczęściej land nieco wolniej, nie nadążając trochę za myślą, a raczej przerywając myśl główną szeregiem przypadkowych skojarzeń, niekiedy nawet pozbawionych głębszego sensu, co sprawiało mu największą przyjemność. Mógł w mgnieniu oka dostrzec i pojąć wszystko, co napotykał w drodze – każde zdarzenie, każdą zmianę ludzkiego losu, każdą mrówkę i najdrobniejszy pyłek, ale było to, jego zdaniem, coś takiego, jak obskoczyć w pół godziny wszystkie sale Ermitażu i nie wynieść stamtąd niczego poza kłębkami chaotycznie zmieszanych wizji i barw. Gdyby tak tylko latał, nie brałby niczego do serca, nie zdradzałby w nim żaden nerw, najwyżej głowa by rozboleła. Toteż nie usiłował nawet wnikać we wszystkie szczegóły, dowiadując się tylko tego, na co miał ochotę. Wyruszy na przykład do Japonii, na wyspę Honsiu do swej przyjaciółki Himeko, i nagle usłyszy osobliwy brzęk dzwoneczków – wówczas leci mimo woli na ich zew i już za chwilę mknie nad stadem owiec w Tyrolu dotykając lekkimi palcami tych dzwoneczków, zawieszonych na owczych szyjach. Albo przypomni sobie, że dawno już zamierzał sprawdzić, czy Simenon rzeczywiście przestał pisać, jak powiadały o tym środki masowego przekazu – i natychmiast, nie zapominając o upragnionym spotkaniu ze słodką Himeko, zajrzy do willi Simenona w Lozannie, która na szczęście jest niedaleko. Potem zwabią go zapachy pieczonej baraniny w Rawalpindi, zaniepokoją starcia demonstrantów na placu katedralnym w San Domingo lub płacz dziecka na przedmieściu Manili – i dziecku temu podrzuci ukradkiem cukierka, otrze mu łzy, po czym nie zatrzymując się leci dalej, do swojej Himeko...

Dziś nie spieszył się, ściśle przestrzegając wytyczonego kursu, ale też nie obniżał pułapu. Wszystkie zespoły pracowały normalnie, bez usterek.

Głęboko w dole rozpościerała się Europa. Z prawej strony, przed sobą, zobaczył Paryż i światła w oknach znanych mu paryskich mieszkań; potem przeleciał nad położonym pięćdziesiąt mil od Paryża, ekskluzywnym Seaux. Nieco później rozróżnił w oddali mroczną szkatułę Eskurialu – tyle już razy zamierzał przejść po komnatach i podziemiach pałacu, by wymieść stamtąd bukszpanową miotełką czarne myśli Filipa II, ale zawsze coś mu przeszkadzało. Znowu przyrzekł sobie zrobić to następnym razem, po czym zreflektował się i pomyślał, że następnego razu może nie być. A w dole falował już pod nim Atlantyk.

W locie ręce miał wyciągnięte wzdłuż tułowia, nogi wyprostowane, ale mięśnie niezbyt napięte. Żadnych skrzydeł, rzecz jasna, nie potrzebował – któż by w naszych czasach przywdziewał skrzydła! Dawno już są niemodne; nawet ciężkie aluminiowe skrzydła odrzutowców, przedmiot tylu sprzeczek i intryg sprzed piętnastu zaledwie lat, przestały robić w eterze wrażenie, Daniłow zaś nie należał do tych, którzy w chłodny dzień ukazują się w towarzystwie w bamboszach. Był elegantem.

Dopóki modne było latanie pod żaglami i ze sterem, stosował się do wymagań mody i żagle miał takie, że niech się schowają każde inne. Potem przyszła epoka skrzydeł i Daniłow zrobił dla siebie własnoręcznie taki sprzęt, że wszystkim oko zbiegało. Skrzydła z damasceńskiej stali powłócił impregnowanym płótnem, ozdobił pawimi piórami, od spodu zaś obszył zdobnym w rzeczne perły czarnym aksamitem. Takich skrzydeł zrobił osiem – sześć roboczych, jak u serafinów, i dwa zapasowe. Te wspaniałe skrzydła poniewierają się teraz gdzieś w komórce: nie wyrzucił ich, bo zawsze miał sentyment do starych rzeczy. Potem stały się modne silniki dieslowskie, gumowe klaksony w kształcie gruszek wydające skandaliczne dźwięki, okulary motocyklowe, wypukłe przednie szyby, rury wydechowe zakończone stalową figurką syreny oraz mnóstwo innych drobiazgów – kto by tam to wszystko spamiętał.

A jeszcze później ktoś pierwszy przywdział skrzydła aluminiowe – i zaczął się istny szaf. Co się wtedy działo! Wielu znajomych Daniłowa sprawiło sobie skrzydła boeingów, przedpotopowych farmanów (po cztery naraz), a nawet nie istniejących jeszcze wówczas samolotów ponaddźwiękowych typu Concorde. „Tfu!” – mówił na to Daniłow; owszem, modą nie gardził, czasami pozwalał sobie na ryzykowne stroje, ale takiego bikiniarstwa nie pochwalał. Moda przecież tylko rodzi się w Paryżu czy, dajmy na to, w Moskwie, ale na stałe melduje się ze znacznym opóźnieniem na prowincji i nim do tej głębokiej prowincji dotrze, przekoziółkuje z dziesięć razy, aż wreszcie sama siebie przestanie poznawać. Z jej nadejściem młode prowincjonalne dandysy zaczynają paradować w spodniach o szerokich na metr nogawkach, zdobnych w dzwoneczki i elektryczne światełka. Zatem Daniłow, nie dając się porwać ogólnej psychozie, sprawił sobie skrzydła samolotu IŁ-18 i był z nich całkowicie zadowolony. Nawet teraz, kiedy jego znajomych ogarnęła pasja wyposażenia kosmicznego, nie zależało mu na tym, żeby zdobyć za wszelką cenę skafander czy kabinę hermetyczną; może wiek robił swoje, a może znudziły mu się kaprysy mody – w gruncie rzeczy zarówno on, jak i cała reszta bynajmniej nie potrzebowali ani skrzydeł, ani silników, ani skafandrów; wszystko to fatałaszkę, kolorowe szkielecko dla Papuasów. Mimo to – z przyzwyczajenia, a może dla zabawy – zaopatrzył się częściowo w nowoczesny sprzęt. Nie chciał być gorszy od innych.

Tymczasem Andy, które dawno już powinny były ukazać się na horyzoncie, zaczęły wyłaniać się w oddali. Ujrzał swoje ulubione miejsce i przygotował się do lądowania. Miejsce było spokojne, ukryte w górach, blisko morza – dobre miejsce, aczkolwiek omijane z niewiadomych przyczyn przez tubylców. Wprost pod Daniłowem rozpościerał się pas startowy długości około pięciu kilometrów; wokół pasa, na kamiennym płaskowyżu, wśród zielonych krzewów widniały tu i ówdzie wizerunki przedziwnych ptaków i zwierząt. Daniłow wylądował i poszedł do swojej jaskini. Pas startowy miał doskonałą nawierzchnię, nie gorszą od betonowej, kamienie na razie nie były wykruszone. Ten pas Daniłow zbudował bardzo dawno, w okresie szafu aluminiowych skrzydeł. Doskonale dawał sobie radę bez lotniska, ale nie mógł oprzeć się pokusie – naznosił kamieni, ułożył pas startowy, wypolerował go nadzwyczaj starannie i na lotnisku tym (aż wstyd wspominać) wylądował parę razy jak prawdziwy odrzutowiec, z rykiem, z łoskotem, wysuwając spod pach podwozie. Mało mu było tego – ozdobił cały płaskowyż dziwacznymi rysunkami w otoczeniu ornamentów ze ścieżek (gustował podówczas w indiańskich motywach ludowych). Wkrótce przybyli na płaskowyż naukowcy i z wielką pompą oznajmili, że jest to dzieło Inków. Zaprzeczyli im natychmiast inni specjaliści orzekając, że wcale nie Inkowie stworzyli te cuda, tylko kosmici. Daniłow uważnie śledził przebieg dyskusji: wszystko to było niezmiernie zabawne. W końcu zwolenników hipotezy kosmicznej rozgromił bezlitośnie dociekliwy profesor Sielski-Anielski, za co wyklęły go wszystkie dzieci, a jako jeden z pierwszych – uczeń moskiewskiej szkoły podstawowej Misza Murawłow. Misza, podobnie jak inni młodzi myśliciele, poprzysiągł uczonemu mężowi krwawą vendettę; nie miał już czasu na odrabianie zadań domowych, albowiem ciągle ostrzył nóż. Profesor zaczął dostawać nerwowych dreszczy, do pracy chodził w czarnej masce, ale zdaniem Daniłowa, dzieci miały rację.

Daniłow stanął przed swoją jaskinią. Wejście przykrywał granitowy głaz ważący ze czterdzieści ton. Odepchnął głaz ramieniem i wszedł do środka. W jaskini było ciemno, wilgotno, zalatywało pomiotem nietoperzy. Daniłow rozpędził gacki przy pomocy kija, startł z kamiennej pryczy kurz, po czym rzucił na swoje łóżko lamparcią skórę i wyciągnął się możliwie wygodnie.

Należało podjąć decyzję. Dręczyła go sama myśl o konieczności jej podjęcia. „Odłożyć to wszystko na potem, zapomnieć...” – myślał. Ale cóż, skoro nie wolno. Spojrzał na lśniący blankiet wezwania; natychmiast wystąpiły na nim szkarłatne znaki i czerwone odbłaski przebiegły po ścianach jaskini przypominając o Godzinie Zero. Daniłow schował wezwanie

do kieszeni kamizelki i z westchnieniem zamknął oczy. Żał mu było samego siebie. Że też przyczepili się akurat do niego; są jeszcze gorsze indywidua, a żyją sobie spokojnie, nikt nie doбира się im do skóry...

Gdyby wiedzieć, co jest powodem wyznaczenia mu Godziny Zero i kto ją wyznaczył! „E tam, szkoda zachodów – pomyślał z rezygnacją skazańca. – Rozważaj, nie rozważaj, raz kozie śmierć...”

Był smutny, przygnębiony; kąpiele w piorunach i lot, który pomógł mu na jakiś czas odzyskać spokój, dawno już poszły w zapomnienie. Roztkliwił się nad swoim pechowym życiem, a jednak, oplakując samego siebie, powracał mimo woli do tematu zasadniczego. Usiłował wydedukować, jakie zostanie mu przedłożone oskarżenie. Rzecz ciekawa sama w sobie, nie mówiąc już o tym, że znając istotę postawionych zarzutów można by coś tam przedsięwziąć, coś wymyślić i sędziów oraz wykonawców wyroku, choć szczyjących się swą potęgą, wystrychnąć na dudków.

„Ciekawe, o jakie punkty umowy im chodzi” – myślał. Trzeba tu wyjaśnić, że między nim a Kancelarią Porządku zawarta została swego czasu specjalna umowa. Naczelnik kancelarii złożył u dołu własnoręczny podpis żółtym żaroodpornym inkaustem, Daniłow zaś, jak wymagało tego prawo, podpisał się własną krwią z pionowej błękitnej żyły. Umowa zawierała sto trzy punkty, a wszystkie były tak sformułowane, że nie dało się ich interpretować dwójako. Wymieniono tam przede wszystkim obowiązki Daniłowa, który od momentu zawarcia umowy miał być traktowany jako demon pozaetatowy, a równocześnie zagwarantowano mu pewne prawa. Kiedy zapadła decyzja o konieczności podpisywania umów, Daniłow oraz niektórzy jego znajomi przyjęli to jako gest liberalny i wspaniałomyślny. Daniłow z radości baraszkował w oceanie eteru: co tam dużo mówić, za wszystkie swoje wybryki i swawole mógł spodziewać się surowszej kary, tymczasem skończyło się na złożeniu podpisu.

Wypada nadmienić, że Daniłow był demonem tylko po mieczu, po kądzieli zaś wywodził się z rodzaju ludzkiego, a ściślej mówiąc pochodził z Rosjan akcentujących w mowie samogłoskę „o” i osiadłych w miasteczku Daniłowie, w górnym biegu Wołgi. Ojca swego nie pamiętał, był niemowlęciem, kiedy jego ojciec za skłonność do grzesznych ziemskich miłostek oraz za pewne osobliwe cechy natury zesłany został na planetę Jowisz, gdzie miał odbywać dożywotnią karę rozpętując burze gazowe. Matka Daniłowa też zniknęła bez śladu. Daniłow z ojcem nie korespondował i nigdy go nie widział, nie wolno im było nawet zasięgać o sobie informacji drogą pośrednią. Punkt „b” paragrafu siedemnastego podpisanej umowy głosił, iż Daniłow w przypadku ewentualnych podróży w okolice Jowisza winien mieć oczy zamknięte i uszy zatkane watą.

Mógłby był pozostać do końca życia w swym ubogim miasteczku, uprawiać w ogródku jarosławską cebulę, a obecnie spoczywać już skromnie w mieszczańskiej części cmentarza pod osłoną brzoź i topoli, jako że według ziemskiej skali czasowej przyszedł na świat pod koniec XVIII wieku. Ale wpływowi przyjaciele ojca, litując się nad niewinnym stworzeniem, zadbali o jego los i tak jak był, w mokrych pieluszkach, przeniesiony został z ziemi jarosławskiej wprost do niebieskiego żłobka. Później umieszczono go w liceum przy Kancelarii Wiedzy. Tak się też stało, że kroczył odtąd utworowanym szlakiem edukacji młodego demona, zrywając po drodze kwiatki przyjemności.

Życie prowadził niedbałe, ekstrawaganckie, tymczasem sytuacja jego pozostawała wątpliwa: figurował we wszystkich dokumentach jako dziecię z nieprawego łoża. Konserwatyści, nie dbający o zasady dobrego tonu, na widok Daniłowa zaczęli pociągać nosem i szeptać z rozdrażnieniem: „Fe! Człowiekiem śmierdzi!” Pewna staruszka o lasce, rozczochrana i umorusana, oznajmiła to kiedyś na głos. Później, spotkawszy Daniłowa w Sferze Siódmej, zwanej też Sferą Przyjemności, przybrała postać młodej ślicznotki i długo uwijała się wokół Daniłowa próbując go uwieść, ale on specjalnie najadł się cebuli i chuchał

ślicznej staruszce prosto w twarz. Potem pewien ancymonek wywodzący się z duchów pomniejszej rangi długo szantażował Daniłowa, aż wreszcie został zdemaskowany: okazał się szpiegiem buddyjskim i pod ścisłym nadzorem został przekazany na Fundusz Wymienny. Ale mniejsza o staruszkę i ancymonka; najgorsze było to, że nawet poważne osoby dopatrywały się w Daniłowie człowieka. Nikt nie darzył go zaufaniem, toteż trudno było liczyć na przyzwoitą karierę.

Jakby dolewając oliwy do ognia, sam dawał powody do nieufności. Po ukończeniu liceum powinien był „wszystko rozumieć, wszystko widzieć”, ergo – „wszystko, co ludzkie, znienawidzić”. Były to jednak wymagania teoretyczne; bynajmniej nie każdy absolwent liceum przy Kancelarii Wiedzy otrzymywał dyplom z wyróżnieniem, sporo było półinteligentów i nierobów, którym wystawiano świadectwa dla świętego spokoju – szkoda wyrzuconych pieniędzy, do tego wieczne trudności kadrowe... A więc i Daniłow nie był gorszy od reszty, po prostu miał opinię lekkomyślnego, niezbyt lotnego ucznia, dla którego szczyty nauk demonicznych na zawsze pozostaną niedostępne.

W rzeczywistości jednak był uczniem zdolnym i nauczył się od razu wszystko dostrzegać w przestrzeni, w czasie, w głębinach dusz; wszystko – i przeszłość, i przyszłość, i wieczność – widział na wylot, zauważał każdy szczegół i reagował błyskawicznie, w mgnieniu oka. A kiedy posiadał już tę umiejętność, ogarnął go smutek, zaczęły dokuczać migreny. Sądził, że słuszniej byłoby nie korzystać z tych nauk, tylko móc poznawać wszystko od początku, samemu, tak jak miało to miejsce u ludzi. Poznawać dociekliwie, z pasją, zdumiewając się na każdym kroku... Jakież nudne staje się życie, kiedy wszystko jest wiadome z góry!

Zaczął więc udawać prymitywa o stopniu wrażliwości poniżej dopuszczalnej przeciętnej, wiedzę natomiast posiadał teraz taką, jaką sam potrafił zdobyć: niektóre wiadomości na poziomie najwyższym, inne – nie wychodzące poza zakres programu szkoły średniej w miasteczku Daniłowie. Nie chcąc przy tym denerwować otoczenia, zajął się pilnie muzyką oraz akrobatyką powietrzną. Kilkakrotnie wysyłano go jako reprezentanta liceum na zawody i olimpiady kosmicznych talentów. Odnosił sukcesy, zdobywał tytuły i nagrody, o mało nie został wyczynowcem. W liceum mówiono o nim teraz: „Nasza duma”, a zatem o wyniki w nauce mógł być spokojny.

Gorzej miała się sprawa z nienawiścią. Rozumiał, co znaczy nienawidzić, i to rozumiał doskonale, lecz gdy szło o stronę praktyczną, próby znienawidzenia ludzkości wywoływały u niego ostrą kolkę w okolicy żołądka i woreczka żółciowego. Nie starał się wprawdzie o zwolnienie lekarskie, usiłował przemoc się za wszelką cenę i będąc na praktykach studenckich z powodzeniem odbywał staż w brygadach zatrudnionych przy trzęsieniach ziemi, klęskach żywiołowych bądź też napadach na wielkie banki. Nauczył się tego i owego, ale kolki były coraz częstsze i w gardle dławiło. Zresztą kierownictwo praktyk też nie było z niego zadowolone: choć z rabunkami radził sobie nieźle, w czasie akcji wulkanicznych wyrzucał z kraterów zbyt mało kamieni i popiołu. Jeden z pedagogów powiedział nawet, że jeśli tak dalej pójdzie, skieruje Daniłowa na praktykę do Sarańska, gdzie w towarzystwie innych nierozgamiętych uczniów będzie musiał psuć drugie dania i sałatki w zakładach zbiorowego żywienia. Było to wręcz upokarzające: pedagog niedwuznacznie dawał mu do zrozumienia, że jego miejsce jest nie wśród demonów, lecz wśród czarciego plemienia, co to zdobi łby różkami na gwincie i ma rozrośnięte kudłate tyłki – a może nawet jeszcze gorzej: gdzieś wśród pospolitej hołoty, zwanej przez ludzi nieczystą siłą.

Daniłow, przejęty ostrzeżeniem, dołożył starań, ale mimo to nie szło mu lepiej. W dodatku zamiast nienawiści odczuwał dla ludzi coraz większą litość, a nawet darzył ich współczuciem. Objawy były niebezpieczne: mogła mu grozić dyskwalifikacja bądź też przeszerogowanie na serafina, a cóż może być gorszego i bardziej haniebnego dla demona! Ciarki przechodziły mu po plecach na samą myśl o takiej zniewadze: nigdy nie lubił chodzić boso... I nagle uśmiechnął się do niego los – został skierowany do Oddziału Walki o Dusze Kobiet.

Zawsze pociągały go piękne kobiety, teraz jednak, maskując swe sympatie przeznaczoną specjalnie dla czujnych oczu kierownictwa pogardą i nienawiścią (inaczej musiałby pożegnać się ze stypendium), w niesłychanie krótkim czasie sprowadził do magazynu bazy szkoleniowej osiemnaście namiętnych, ciepłutkich kobiecych dusz. Za nim, z nadzieją i błaganiami w oczach, wyciągały ręce dziesiątki ziemskich piękności.

Zazdrościli mu wszyscy, nawet sam kwiat demonicznej złotej młodzieży, pilnej w nauce, ale nie gardzącej odpisywaniem od Daniłowa horoskopów. „Powiedz, jak ty to robisz?” – pytali koledzy. „Nic prostszego – odpowiadał niedbale – wystarczy zsyłać dziewczętom złote sny”. – „Na jedwab rzęs, chcesz powiedzieć?” – „Można to i tak określić”.

Po ukończeniu liceum wręczono mu nakaz pracy: miał być zatrudniony w Biurze do Spraw Marzeń Kobietych przy Głównym Zarządzie Walki o Dusze. Wkrótce jednak przeniesiony został do Kancelarii Rozkoszy, gdzie obarczono go odpowiedzialnością za urządzenie gier towarzyskich i fajerwerków na balach w Sferze Siódmej. Posada niezbyt znacząca, ale Daniłow był z niej zadowolony. Pracował, grał na cytrze i żył sobie w najlepsze. Wpływowe damy przesyłały mu czułe spojrzenia i były takie momenty, kiedy wydawał się samemu sobie wybrańcem losu. I nagle życie spletało mu figła nadając sprawom całkiem inny obrót.

Porządki pozostały niby te same, ale z wnętrza ustalonego ładu wyłoniło się coś nowego. Nowe miotły zaczęły hulać po wszystkich zakamarkach, wszystkich kancelariach i biurach Dziewięciu Sfer. W trakcie sprawdzania dokumentacji oraz teczek personalnych wywleczono na światło dzienne zieloną teczkę Daniłowa. „Ba!” – rozległo się w gronie szanownej komisji; odżyły dawne podejrzenia, popłynęły w atmosferę i skondensowane osiadły na cielej skórce, by w postaci grubego tomiska spocząć przed komisją na zielonym suknie. Daniłowa poddano badaniom lekarskim, przypomniano mu, że jego ojciec zasłynął jako niebezpieczny wolnomyśliciel, po czym wydano werdykt: biorąc pod uwagę, że Daniłow jest demonem niepełnowartościowym, skazać go na dożywotni pobyt wśród ludzi.

Ustalono, że według ziemskiej skali czasu powinien mieć teraz siedem lat – i oto, w roku 1943, znalazł się w jednym z moskiewskich domów dziecka. Któryś z wychowawców zorientował się wkrótce, że Daniłow ma niezły słuch, a więc zdolny malec, szczupłutki i nieśmiały, został uczniem podstawowej szkoły' muzycznej. Potem była Wyższa Szkoła Muzyczna, potem orkiestra radiowa i wreszcie teatr. Daniłow jako demon żadnego wykroczenia nie popełnił, całą winę ponosił jego ojciec, toteż pozwolono mu na zachowanie niektórych przywilejów. W Dziewięciu Sferach wolno mu było jednak pojawiać się tylko z rzadka, na krótko i wyłącznie po uzyskaniu specjalnego zezwolenia. Daniłowa w Dziewięciu Sferach jeszcze poznawano, proszono szeptem o nowe ziemskie anegdoty, ale dla wielu był już tylko przybyszem z obcych stron, z „tamtego świata”. Ziemię bowiem we wszystkich rozmowach, we wszystkich dokumentach nazywano u nich Tamtym Światem (czasami, rozmawiając między sobą, mówiono także: „Cholerny Świat”). Stąd kancelaria, której podlegał teraz Daniłow, nosiła nazwę Kancelarii do Spraw Tamtego Świata.

Początkowo nie wymagano od niego za wiele, ale kiedy rozpoczął studia muzyczne, a potem grał w orkiestrze radiowej, coraz częściej zaczęły nadchodzić z tejże kancelarii różne głupie wskazówki. Ospali urzędnicy z wyższych instancji byli z niego ciągle niezadowoleni: zwracali mu uwagę, że przynosi za mało korzyści, czyli, innymi słowy, za mało szkodzi ludziom. Z ciężkim sercem zmuszony był uciekać się do drobnych świństw – powodować zakłócenia radiowe, przyczyniać się do rozwodów lub sprowadzać śnieżne lawiny, przy czym szkodził wyłącznie takim ludziom, którzy, w jego pojęciu, najbardziej na to zasłużyli. Nagany sypały się na niego bez przerwy. Wówczas w sprawozdaniu rocznym wytłumaczył własne niedociągnięcia tym, że nie otrzymuje z kancelarii przydziału mleka w ramach rekompensaty za szkodliwą pracę. Z kancelarii nadeszło pytanie: co ma na myśli, mówiąc o szkodliwości pracy – predyspozycje, w jakie został wyposażony, zgubny wpływ na ludzi czy wreszcie

szkodliwość ekologiczną. Daniłow odpowiedział po pewnym namyśle, że ma na uwadze wszystkie trzy rodzaje szkodliwości i że w związku z tym powinna mu przysługiwać potrójna racja mleka. Odpowiedziano mu, że jego żądania są bezpodstawne, niemniej sprawa zostanie rozpatrzona. Korespondencja na temat mleka trwała cztery lata i przez całe te cztery lata Daniłow nic nie robił. Wreszcie odmówiono mu definitywnie, jako że powołana specjalnie w tym celu komisja ekspertów stwierdziła metodą laboratoryjną, że predyspozycje Daniłowa cechuje znikomy wskaźnik tak zwanego potencjału szkodliwości. Jednakże, z uwagi na bezsprzecznie szkodliwe działanie zanieczyszczonego środowiska, otrzymał stały przydział soku jabłkowego wraz z mięszem. Potem znowu spodziewano się po nim akcji i znowu sypały się nagany. Wówczas, zdenerwowany, skierował do kancelarii pismo, w którym oznajmiał, że kwalifikacje, jakie posiada, mają ściśle ustalony zakres i pozwalają mu mieć do czynienia z prawdziwą wiedzą oraz wartościami duchowymi, a nie urządzać awantury i burze, którymi z powodzeniem mogą zająć się nie douczone demony niższych rang, fajtlapy i dyletanci. Naczelnik kancelarii, dopatrując się w tym ostatnim sformułowaniu pewnych aluzji do własnej osoby, wpadł w istny szal, zdemolował biurowe meble i zagroził, że wpakuje Daniłowa w rozżarzone czeluście Ziemi.

Daniłow, wylękniony nie na żarty, zrozumiał, że wypomina mu się znowu grzechy młodości – wszystkie jego sztubackie wybryki i popisy. Przez jakiś czas próbował udawać chojraka, dumnie wypinał pierś, ale wkrótce przycichł i siedział jak trusia w oczekiwaniu zasłużonej kary. Nie chciał zwracać się o pomoc do przyjaciół ani do przychylnie usposobionych dam z towarzystwa. I oto stała się rzecz zdumiewająca: zaproponowano mu podpisanie umowy, czyli współpracę na całkiem innych warunkach.

Początkowo nie chciał wierzyć, myślał, że ktoś sobie z niego kpi, tymczasem wezwano go do Kancelarii Porządku i wręczono trzy przygotowane zawczasu egzemplarze umowy.

Wybitni teoretycy, którym wypadło rozstrzygać o losie Daniłowa, doszli do wniosku, że wszystkie jego odchylenia od norm moralnych i służbowych spowodowane są wyłącznie chwiejnością sytuacji osobistej. Ostatnimi czasy, orzekli, demon Daniłow żył i pracował niejako w stanie ustawicznej niepewności: nie miał pojęcia, kim właściwie jest – człowiekiem, demonem czy w ogóle diabli wiedzą czym. To ostatnie stwierdzenie, ma się rozumieć, nie zostało utrwalone na papierze: tylko ludzie skłonni są przypuszczać, że diabli dużo wiedzą, wśród demonów natomiast zarówno poziom intelektualny diabłów, jak i system ich edukacji (a zresztą wszystkie inne ich systemy też) nie cieszą się bynajmniej dobrą opinią. Ostateczny wniosek, zaproponowany przez grono szanownych teoretyków, brzmiał następująco: należy zawrzeć z Daniłowem umowę, zaliczyć mu poprzedni okres pracy do całości stażu demonicznego i traktować go odtąd jako demona na umowie.

Cóż, teoretycy mogli sobie teoretyzować, nie każdy ich pomysł był brany serio przez wyższe instancje. Daniłow jednak znowu miał szczęście, a dlaczego – zrozumiał nieco później. Instancje nadrzędne orzekły: owszem, ma on na swoim koncie sporo wykroczeń, ale ogólnie biorąc nigdy nie uchodził za recydywistę, miał po prostu opinię łobuza – a czyż świat bez łobuzów jest do pomyślenia? Co więcej – u dam Daniłow zasłynął jako łobuz wyjątkowo uroczy i miły. To prawda, że dopuszczał się drobnych wykroczeń, ale nigdy nie podpisał żadnej odezwy szkalującej świat Dziewięciu Sfer, nigdy nie splamił się krytykanctwem i nie śpiewał głupich arii w przeciwieństwie do swego ojca wichrzyciela. Któż nie wie o tym, że z łobuzów, nawet tych najgorszych, wyrastają z czasem najbardziej przykładowe demony?

Nikt mu jednak o tym nie powiedział. Besztano go i upokarzano, żądano od niego przyrzeczeń, że skończy z lekkomyślnym życiem, on zaś gorliwie składał przyrzeczenia, zdawał się być pojętny i rozsądny. Podpisano z nim wreszcie umowę i pozostawiono go w gestii Kancelarii do Spraw Tamtego Świata. Paragraf trzeci umowy zawierał kategoryczne żądanie: Daniłow zawsze powinien zdawać sobie sprawę, w jakim przebywa wcieleniu – ludzkim czy też demonicznym. Wydano mu w magazynie, za specjalnym pokwitowaniem,

srebrną bransoletę układu „Niebo – Ziemia”. Zegarka Daniłow nie potrzebował, nosił więc teraz zamiast zegarka samą bransoletę, nie zdejmując jej nigdy, nawet w łaźni, i gdyby jakiś przypadkowy rabuś w ciemnym zaułku zagroził mu rewolwerem żądając zdjęcia bransolety, groźba też pomogłaby niewiele.

Na jednej z płytek bransolety wygrawerowana była piękna litera „N”, na drugiej – „Z”. Wystarczył ruch ręki lub wysiłek woli, by przesunąć nieco do przodu płytkę z literą „N” i tym samym wcielić się w demona; ruch płytki z literą „Z” przywracał posiadaczowi bransolety ludzkie oblicze. Być demonem i człowiekiem równocześnie Daniłow nie miał prawa. Umowa zawierała sporo surowych nakazów i ograniczeń. Daniłow początkowo udawał, że nie jest w stanie spać wszystkich paragrafów, ale zawsze znajdowano sposób, by przypomnieć mu o tym i owym.

Długo zastanawiano się, czym by go teraz zająć, uznano bowiem, że do pełnienia zadań odpowiedzialnych jest niezdolny. Głowiono się w kancelarii nad jego sprawą tak długo, że nie wytrzymał i chcąc uprzedzić decyzje zwierzchników, sam znalazł sobie zajęcie, nie takie znowu brzydkie, a mianowicie zaczął przysyłać po kryjomu do Kancelarii Rozrywek Umysłowych ziemskie dowcipy, bardzo wysoko notowane na giełdzie towarzyskiej w Dziewięciu Sferach. Dowcipy przekazywano po jakimś czasie do Kancelarii Rozkoszy. Ale oto Daniłow spóźnił się pewnego razu z przesłaniem przygotowanej uprzednio skrzynki z dowcipami – i natychmiast otrzymał surową naganę. Zażądano od niego notatki służbowej z wyjaśnieniem przyczyn zaniedbania obowiązków. Powiadomił przełożonych, że powodem opóźnienia przesyłki był fakt, iż ziemskie dowcipy przed użyciem należy długo moczyć w specjalnym płynie, wówczas nabierają pikanterii. Odkrycie to, jak dodawał, zrobił dopiero ostatnimi czasy. Odtąd obmyślał dowcipy wyłącznie leżąc w wannie i wkrótce otrzymał z kancelarii uprzejmy list, w którym wyrażano mu podziękowanie i powiadamiano, że nadesłane przez niego dowcipy odnoszą olbrzymi sukces i są niesłychanie modne. Odzyskał pewność siebie i opisał z detalami nędzne warunki, w jakich musi pracować; zwrócił się przy tym z prośbą o wyprodukowanie dla niego specjalnej aparatury (projekt urządzenia dołączył do listu). Poprosił również o kilka słoików musztardy dla wzmocnienia konsystencji płynu konserwującego: musztarda była mu potrzebna, ponieważ zaprosił właśnie Murawłowów na pierogi z mięsem. Oczywiście nikt mu nie przysłał żadnej musztardy, sami jej nie mieli, poradzili tylko, żeby kupić na rachunek w aptece plastry z gorczycą i zrobił z nich użytek. Aparaturę natomiast otrzymał wspaniałą – istne чудо, lśniące i przezroczyste, inkrustowane kamyczkami i muszelkami, z działającym na baterie podgrzewaczem wody. Daniłow cieszył się jak dziecko.

Tak więc wszystko układało się nieźle, niby miał Daniłow zajęcie, mógłby sobie żyć spokojnie i grać na swej altówce; okazało się jednak, że zadowolili tylko Kancelarię Rozkoszy, natomiast z punktu widzenia Kancelarii do Spraw Tamtego Świata nadal nic nie robił, za dużo sobie pozwalał i zbyt często łamał przepisy. Co prawda, to prawda. Wzywano go gdzie należy, wskazywano na odpowiednie paragrafy umowy, przekonywano, że nie powinien kłać dobrego imienia kancelarii, grożono karą. Patrzył na dygnitarzy niewinnym wzrokiem, przyznawał się do opieszałości i przyrzekał poprawę, tymczasem wszystko pozostawało bez zmian.

Wreszcie postanowiono dać mu nauczkę i wedle miejsca stałego pobytu skierowano do pracy z duchami w Ostankinie. Inny na jego miejscu nie pozbierałby się po takiej zniewadze: kto to widział, żeby demon zadawał się z duchami! Ale Daniłow, jak to Daniłow, choć początkowo trochę zmartwiony, zjawił się pewnej nocy, jak gdyby nigdy nic, na zebraniu duchów w domu przy Argunowskiej i duchy wydały mu się całkiem sympatyczne. Odtąd bywał u nich często i palcem w bucie nie kiwnął, żeby zmienić w jakiś sposób swoją haniebną sytuację. Zresztą po jakimś czasie zaniedbał trochę nowe towarzystwo, a wszystkiemu winna była muzyka.

Porwany wirem życia, nie przejmował się więcej pogrozkami: co będzie, to będzie. No i doczekał się w końcu! Zjawił się kurier – pan Walenty czy jak on się tani naprawdę zwie – i wręczył mu twardy blankiet z purpurowym stygmatem Godziny Zero...

Tak więc teraz, leżąc w wilgotnej jaskini na lamparciej skórze, Daniłow nie mógł znaleźć żadnego wyjścia z przykrego impasu. „Wygląda na to, że dano mi szansę, mam jeszcze czas, może dałoby się coś zrobić – myślał. – Inaczej postawiliby mnie od razu przed sądem... Chcą, żebym dokonał wyboru. A więc to jeszcze nie koniec... Coś tam na pewno wymyślę, tylko nie teraz, potem... Później...”

Rozważania te przyniosły mu pewne uspokojenie; przyrzekł sobie, że w najbliższym czasie ustali plan działania, i zdrzemnął się na swym kamiennym łożu.

Wkrótce obudziło go znajome ochryple pomrukiwanie. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą kota Bustera. Kot był stary, ślepany i wyłysiały; nawet bardzo dobry kuśnierz nie podjąłby się zrobienia z takiego futra „króliczej” czapki. Zresztą co tam kuśnierz – nie każdy hycel skusiłby się na takie coś, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wymiary starego kota: Buster był wielki jak cielę. Kiedyś uchodził za zwierzę wyjątkowo piękne, wręcz wspaniałe, ale długie życie zmęczyło go do tego stopnia, że kompletnie przestał troszczyć się o wygląd. Nic dziwnego: przyszedł na świat w Egipcie jeszcze za czasów Izydy i Ozyrysa – i już wkrótce, bez żadnych listów polecających, wyłącznie dzięki własnym talentom i pracowitości, został mianowany świętym opiekunem Muzyki i Tańca. Świat był jeszcze pogrążony w egipskich ciemnościach, ale wysiłki Bustera nie poszły na marne i w tych ciemnościach coś już zaczynało świtać, coś poruszało się i dźwięczało... Obecnie Buster nie miał żadnych konkretnych zajęć i korzystał z prawa do zasłużonego spoczynku. Był poczciwy, poza tym nie stracił zamiłowania do muzyki, toteż Daniłow darzył staruszka sympatią i pozwalał mu pojawiać się w swojej jaskini, do której nie każdy miał wstęp.

– Dzień dobry – powiedział Buster. – Nie przeszkadzam?

– Dzień dobry – skinął głową Daniłow. – Cieszę się, że jesteś. Przepraszam... Zdrzemnąłem się trochę...

– To nic – odezwał się kot. – Ja sobie posiedzę, nie musimy rozmawiać.

Daniłow w istocie nie miał ochoty na rozmowy. Przymknął oczy, ale wiedział, że kot za chwilę zacznie wypytywać, co tam nowego w moskiewskim życiu muzycznym. Cóż, to całkiem zrozumiałe, ale nie stać go teraz na odpowiedzi. „Właściwie dlaczego ja ciągle odkładam poszukiwania wyjścia? – pomyślał nagle. – Muszę postanowić od razu, natychmiast...”

Wtedy to, niczym tańczący na perlistej powierzchni muszli tęczyowy odbłask, niczym tchnienie Eola poruszające leciutko wilgotną aurę jaskini, zjawiła się z naręczem anemonów delikatna Himeko, nieśmiertelna kapłanka i wyrocznia, najsubtelniejszy twór przyrody, dawna przyjaciółka Daniłowa. Musnęła skrajem pistacjowego kimona wyszczerbione kamienne ściany jaskini, pochyliła głowę w niskim ukłonie i złożyła kwiaty u wezgłowia łoża. Zażenowany Daniłow uniósł się nieco i spuścił nogi. Kot Buster postawił ogon i w tejże chwili rozpląnął się w mroku jaskini. Himeko zamarła w milczeniu z pokornie pochyloną głową, Daniłow ją podziwiał, ale po chwili uświadomił sobie, że zjawiła się nie w porę. Łączyła ich kiedyś płomienna miłość, od której topniały lody w Himalajach, wzbierały wielkie rzeki, z oceanu wyłaniały się nowe wyspy i wrzała lava w rozszalałych kraterach kurylskich wulkanów. Widok Himeko wzruszał Daniłowa do dziś, ale po dawnej namiętności, niestety, nie pozostało śladu. Przedtem, spiesząc na spotkanie, Daniłow ctdy drżał, teraz natomiast był dziwnie spokojny. Pragnął kiedyś zostać przy niej na stałe, zamieszkać w zasnutych mgłą górach na wyspie Honsiu, lecz Himeko, usłyszawszy o tym, przyłożyła tylko palec do ust i pokiwała przecząco głową, toteż Daniłow uszanował prastare japońskie obyczaje zwane *tsumadoi* i pozostał dochodzącym przyjacielem. Miał prawo lecieć do niej na skrzydłach miłości wyłącznie na jej przywołanie. Można sobie wyobrazić, co przeżywał

rozpłomieniony, niecierpliwy młody marzyciel, gdy widział oczyma wyobraźni miękkie krągłe ramiona Himeko, idealny kształt jej piersi, zniewalający taniec lekkich smukłych rąk, gdy tak myślał o niej siedząc jak głupek i czekając, aż go zawoła... Jak dawno to było! Ach, gdyby przywrócić upojną słodycz tamtych zawrotnych lotów za zew ukochanej!...

Himeko patrząc na Daniłowa nadal stała w milczeniu, pokorna jak niewolnica. Daniłow poczuł litość, prawą nogą odruchowo sięgnął kamienne; podłogi, ale w tymże momencie powiedział sobie: „Nie! Żadnych kobiet! Stoję w obliczu ważnych decyzji i nie pora teraz na baby”. Zamarł więc w idiotycznej pozycji, prawą nogą dotykając podłogi.

Tymczasem w spojrzeniu Himeko błysnął niepokój, a może nawet strach. Coś tam odgadła, dowiedziała się czegoś o jego losie, machnęła więc rękawem kimona jak skrzydłem i wydała jęk. Potem, wyciągnawszy ramiona, cofnęła się o kilka kroków w głąb jaskini i znieruchomiała. Po chwili, jakby odzyskując przytomność, klasnęła cichutko w dłonie i w rękach jej Daniłow ujrzał jelenią kość. U stóp Himeko zapłonął błękitny ogień, opodal wyrosła wielka kamienna czasza pełna lodowatej wody. Himeko ostrożnie uniosła kość nad błękitnym płomieniem i uklękła przed ogniskiem. Tajemnicze melodyjne dźwięki zabrzmiały wewnątrz jaskini. Daniłow, spuściwszy już obydwie nogi, czekał z zapiętym tchem bojąc się westchnąć czy poruszyć, by nie przeszkodzić wróżbom Himeko. Ta zaś wzięła rozżarzoną kość w delikatne palce, przez moment trzymała w powietrzu, po czym wrzuciła do lodowatej wody. Rozległo się straszliwe syczenie, zabrzmiały nowe tajemnicze dźwięki, tym razem już nie melodyjne; jaskinię wypełniła para i Daniłow poczuł, że z oczu płyną mu łzy. Himeko wrzuciła do czaszy kawałek *kagamimoti* wraz ze zmieniającą skórę żmiją. Syczenie ucichło, osiadła para pozostawiając krople wilgoci na ścianach jaskini. Himeko, wpatrzona w jelenią kość, usiłowała z powstających na jej powierzchni spękań odczytać los Daniłowa. Nagle zachwiała się, cisnęła kość na podłogę, spojrzała na Daniłowa pełnym przerażenia wzrokiem, zawołała: „Tsisai” – i zniknęła.

– Zaczekaj, nie rób tego! Nie! – krzyknął za nią zrywając się z miejsca.

Było jednak za późno.

Miał nie od dziś ironiczny stosunek do wielu przesądów, którym hołdowała Himeko, do jej naiwnych praktyk, nie mieszczących się w kategoriach dwudziestego stulecia, ale nic jej o tym nie mówił: wiedział, że subtelna Himeko jest zarazem bardzo stanowcza, a poza tym umiał szanować czyjeś, choćby i błędne, przekonania. Teraz jednak sprawa była poważna – w każdej chwili mógł zginąć jego Tsisai, czyli Nosiciel Smutków. Himeko, wierna pradawnym zwyczajom, jednego ze swych krewnych, będącego na jej usługach, uczyniła Nosicielem Smutków Daniłowa. Nieszczęsny Tsisai, na którego miały przechodzić odtąd wszystkie smutki jej przyjaciela, nie chodził już ani do łaźni, ani do fryzjera, odebrano mu nawet maszynkę do golenia marki „Philips”, kategorycznie zabroniono pozbywania się insektów, nie miał prawa spożywać żadnego mięsa (w tym również konserw), a tym bardziej spojrzeć na jakąkolwiek kobietę. Ale najgorsze miało dopiero nastąpić: gdyby spadło na Daniłowa jakieś większe nieszczęście, dajmy na to, groźna choroba, Himeko mogła w każdej chwili oskarżyć o to Nosiciela Smutków i własnoręcznie odebrać mu życie, by odwieść nieszczęście od ukochanego. Biedny Tsisai! Pewnie widzi ją teraz przed sobą, unoszącą nad jego głowę krzywy samurajski miecz... Daniłow mimo najszczerzych chęci nie mógł przeciwstawić się jej barbarzyńskim zwyczajom, wiedział o tym aż za dobrze i dlatego siedział pogrążony w rozpacz. „Cóż, to tylko potwierdza fakt, że kiepsko stoją moje sprawy – pomyślał. – Może w ogóle nie ma już wyjścia...”

Ale oto znowu dobiegło go mruczenie – i pojawił się kot Buster, opiekun Muzyki i Tańca.

– Ja sobie tylko posiedzę, nie będę przeszkadzał – powiedział kot.

– Siedz – zgodził się Daniłow.

I w tymże momencie powietrze w jaskini drgnęło, wszystko wokół rozbrzysło, zawirowało, grzeczny kot, nie czekając, aż burzliwy ruch powietrza zamieni się w namacalną i widoczną

dla oka materię, znowu rozpląnął się lekkim fioletowym dymem – i przed oczami Daniłowa stanęła w blasku urody i drogocennych kamieni kobieta demon Anastazja, wspaniała i nieustraszona, istna dziewica huzar czystej smoleńskiej krwi, o losie podobnym do jego losu, tyle że znacznie szczęśliwsza. Stała tak roześmiana, myśląc o rozkoszach dzisiejszych lub przyszłych, aż wreszcie rzekła dźwięcznym, głębokim sopranem:

– Ach, to tutaj jesteś, najmilszy! Myślisz, że jak masz swoją bransoletę, to możesz chować się przede mną?

Nie czekając na odpowiedź, zarzuciła mu na szyję piękne, silne ramiona i przyłgnęła do niego zapamiętale. Daniłow chciał uwolnić się z jej objęć, ale patrząc w te szczęśliwe, pełne oddania złotopomarańczowe oczy, czując przy sobie gorące, słodkie ciało, zrozumiał, że nie może Anastazji przepędzić, bo wszystko poleciałoby do stu tysięcy diabłów. Tak pomyślał i w tejże chwili zapomniał o całym świecie...

A wkrótce w rejonie Morza Karaibskiego, mimo powziętych przez Daniłowa środków ostrożności, rozszalał się, ku zaskoczeniu uczonych synoptyków, straszliwy huragan. Przemknął błyskawicznie nad Florydą i ruszył na zachód, zrywając w dzikim pędzie blaszane dachy i tocząc przez plantacje bawełny w Luizjanie zgrabne furgonetki. Służba meteorologiczna natychmiast ochrzciła nowy huragan nadając mu subtelne, pastelowe imię – Pamela. Wśród przypadkowych, dawnych znajomych Daniłowa była wprawdzie pewna osoba nosząca imię Pamela, lecz z dzisiejszym huraganem nie miała ona nic wspólnego.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Właściwie trudno powiedzieć: dzwonek, bo zainstalowane w mieszkaniu Murawłowów urządzenie było z melodią, za siedem rubli, i brzmiało jak żurawi klangor. Murawłow, burcząc coś pod nosem i podciągając wymięte polskie dżinsy, poszedł otwierać.

W progu stała jego żona Tamara, trzymając w obu rękach siatki, ciężkie jak krażki na sztandze słynnego atlety Aleksiejewa.

– Jesteś nareszcie – mruknął ze złością Murawłow. – Życie nie możesz bez tych sklepów, łazisz godzinami.

– Co robić – westchnęła Tamara.

Murawłow obejrzał zakupy: piwo „Żygułowskie”, z dzisiejszą datą, kefir kupiła też, o niczym nie zapomniała. Rzucił jednak na wszelki wypadek:

– Piwa mogłabyś kupić więcej.

Poszedł za żoną do kuchni, w drodze wyciągnął z siatki słodką bułeczkę i powiedział:

– Daniłow dzwonił.

– Co z tego – odparła Tamara – dzwoni codziennie, ale ciągle nie ma czasu, żeby wpaść.

– Wpadnie dzisiaj.

– Och! – ucieszyła się Tamara. – Miałam jakieś przeczucie: dawno już nie było fasolki szparagowej, a dziś wchodzę do sklepu, patrzę – jest. Pomyślałam sobie od razu: żeby tak Daniłow przyszedł do nas na łobio...

– Przyjdzie, przyjdzie – zapewnił ją mąż przeżuwając bułeczkę. – Zajmij się teraz kuchnią, ja mam dużo pracy.

Tamara trochę odsapnęła, po czym zajrzała do pokoju syna, młodego zwolennika metody głębokiej kontemplacji, spodziewając się widoku cierpienia ucznia szkoły podstawowej skazanego na odrabianie zadań. Ale Misza spał, położywszy głowę i ręce na arkuszu bristolu. Obudziła go i wówczas zauważyła, że na bristolu naklejony jest wycięty z gazety artykuł dociekliwego profesora, co to rozgromił legendy o przybyszach z kosmosu, a wokół artykułu widnieje niesamowity ornament: noże, pięści i lufy armatnie grożące zarówno profesorowi, jak i wyznawanym przez niego poglądom.

– Słuchaj, Wiktor, a jak tam u Daniłowa z forszą? – zwróciła się Tamara do męża, przypomniawszy sobie o sprawach zasadniczych.

Murawłow, który leżał na kanapie z czasopismem „Igrzyska Sportowe” w rękach, odezwał się dopiero po chwili.

– Z forszą?... Tak jak zwykle. Nawet gorzej niż zwykle, moim zdaniem.

– Mówił ci?

– Nigdy sam nie powie, znasz go przecież.

– To co zrobimy?

– Nie wiem – powiedział Murawłow. – Dostanę trochę lewych pieniędzy, no i miałas postanowić wreszcie, co z futrem...

– Tak – westchnęła Tamara – trzeba wreszcie postanowić.

Futro z kun syberyjskich – ostatni drogocenny nabytek Murawłowów – doprawdy warte było podziwu; na gładkim brązowym tle widniały ciemniejsze pasma, niczym ciemne ślady fatalnych zmian losu na ludzkim życiu. Kupili to futro za sześćset ciężko zapracowanych rubli od Inny Olginej, koleżanki biurowej Tamary. Futro – namacalny dowód efektywnej działalności rodziny w ciągu ostatniego półrocza – było przedmiotem zrozumiącej dumy i Wiktor Murawłow w upalne dni chętnie wietrzył rodzinny skarb na balkonie, a przy okazji

wietrzył się sam. Mimo wszystko futro zaczęło wkrótce trzeszczeć, jakby było z blachy, i zdradzać niezaprzeczalne objawy próchnicy. Kuśnierze orzekli, że sprawa jest kiepska i że trzeba było myśleć wcześniej, bo futro trafiło się zgniłe. Najlepiej – dodawali – od razu zanieść je do komisju, żeby odzyskać przynajmniej część wydanych pieniędzy. Znajomy malarz Jeriomczenko wpadł na pomysł: można rozpruć futro, narobić z niego pędzli malarskich i sprzedawać po rublu za sztukę; chętnych znalazłoby się dużo, w sklepach dla plastyków widzi się ostatnio samą szczecinę. Taka akcja dla dobra sztuki przyniosłaby więc dodatkowy zarobek – minimum tysiąc rubli, nie mówiąc już oczywiście o zwróceniu się tamtych sześciuset. Murawłowom jednak szkoda było futra, patrzyli na nie prawie ze łzami w oczach zdając sobie sprawę, że drugiego takiego nigdy już nie kupią. Ale teraz, kiedy Daniłow znalazł się w ciężkiej sytuacji finansowej, z futrem trzeba było nareszcie coś zrobić.

Daniłow płacił czynsz do dwóch spółdzielni mieszkaniowych oraz spłacał raty za instrument. Nabyta przez niego altówka kosztowała aż trzy tysiące; zapożyczył się u przyjaciół i u znajomych swoich przyjaciół. Kupił instrument cztery lata temu; była to altówka z prawdziwego zdarzenia, licząca sobie ponad dwieście lat – dzieło złotych rąk włoskiego lutnika Albaniego. Poza tym dla siebie kupił własnościową garsonierę, by swojej byłej żonie, Klaudii, oddać dwupokojowe mieszkanie spółdzielcze z ładną kuchnią i wykładaną czarnymi kafelkami łazienką. Wziął sobie za punkt honoru, żeby płacić za obydwa mieszkania: inaczej postąpić nie mógł, ponieważ nie chciał dopuścić, żeby kobieta, słaba istota, sama borykała się z życiem. Był przecież muzykiem, a muzyka to serce. Kiedy Klaudia opuściła jego dom, dogonił ją, wziął pod rękę, przyprowadził z powrotem, a następnie spakował się i wyszedł sam. Z żoną było mu źle, wiedział, że ich małżeństwo to pomyłka, nie kochał jej, zresztą ona go też nie kochała, i po rozwodzie oboje odczuli ulgę. Aż do momentu zakończenia formalności rozwodowych Klaudia prowadziła z Daniłowem otwartą wojnę, ale kiedy dowiedziała się, że odstąpił jej mieszkanie i zadeklarował się uiszczać opłaty, natychmiast przyrzekła, że na zawsze pozostanie z nim w dozgonnej przyjaźni. Przyjaźń tę podtrzymywała tak aktywnie, że po każdym jego powrocie z występów zagranicznych zjawiała się niezmiennie, żeby pomóc zmęczonemu podróżnikowi w rozpakowaniu walizek. „Boże, jaki ciuch! – mówiła. – I na co ci to, powiedz?” Daniłow setki razy zamierzał przepędzić z domu tę całkiem obcą mu kobietę, ale nie robił tego przez łagodność i oddawał jej rzeczy, które sobie upodobała.

Jego nowe mieszkanie w Ostankinie było małe jak pudełko, ale wystarczyło tam miejsca dla drogocennej altówki. Daniłow zostawił u siebie także poprzedni instrument, który kosztował zaledwie trzysta rubli – takich altówek pełno było w sklepach. Najpierw chciał go sprzedać, ale potem pomyślał: „Kto wie, może przyda się kiedyś”. Altówka Albaniego miała dźwięk zaiste czarodziejski: głęboki, miękki, smutny, jak głos bliskiego człowieka. Polował na nią od sześciu lat, błagał o jej sprzedanie wdowę po altowiolistcie Gansowskim, prowadził zacieklą walkę z konkurentami, nie spał po nocach i wreszcie wywalczył cudowny instrument za trzy tysiące. Jakże się cieszył, jaki był zakochany w tej altówce! Niósł ją do domu czule i ostrożnie, niczym noworodka, za którego przyjście na świat nie ręczył już żaden lekarz, żaden wróżbita. A kiedy przyniósł do domu i otworzył stary futerał, zamarł w roztkliwieniu, gotów uklęknąć przed wymarzonym instrumentem; nie uklęknął jednak, tylko stał nad nim długo w milczeniu i patrzył, tak jak patrzył niedawno w Paryżu na *Wenus Bourdelle'a*. Przez dwie godziny nie mógł zdobyć się na odwagę, by dotknąć swego cuda, onieśmielony, pewny niemal, że gdy przesunie smyczkiem po strunach, żaden dźwięk nie zabrzmi – będzie cisza, i cisza ta zabije byłego muzyka Daniłowa. W końcu, po długich wahaniach, postanowił spróbować mimo wszystko; dotknął strun smyczkiem nerwowo, o mało nie szarpnął, ale dźwięk wydobył. Wówczas, usiłując przemóc w sobie lęk i miłość, zapanował nad smyczkiem; ruchy miał teraz spokojniejsze, sprawne – i oto powstała melodia. Zagrał krótki utwór Dariusza Milhauda, wyszło nieźle. Wówczas odłożył smyczek: tego wieczoru nie

chciał już więcej grać. Poza tym obawiał się, żeby nie spłoszyć pierwszych dźwięków – i bez tego był szczęśliwy. „Dość – powiedział sobie – wystarczy!” Czuł się teraz prawowitym właścicielem Albaniego, mało powiedzieć właścicielem – czuł się panem tego instrumentu. Nigdy tych chwil nie zapomni: gotów był tańczyć ze szczęścia.

Następnie, już jako pan i władca, bez dawnego onieśmienia, aczkolwiek z tą samą czułością, obejrzał wszystkie urzekające detale cudownej altówki: dotknął czarnych kołków, pieśczośliwie przesunął palcami po strunach, zbadął, czy nie zalega we wgłębieniach główki jakiś drobny pyłek, przekonał się o tym, że obydwie słupki, a także podstrunnica i klonowy podstawek, trzymają się mocno, a potem suchą dłonią pogłaskał płytę zbudowaną z górskiego świerku i pokrytą w Bolzano jasnobrązowym lakierem oraz stwierdził poprzez dotyk nienaganną gładkość żyłki na obwodzie wierzchniej płyty rezonansowej, słodkie wypukłości boczków i mocne wcięcia talii. Główka, szyjka, talia, dusza jego altówki – wszystko było nieskazitelnie piękne! Zamknął oczy i dotykał instrumentu palcami, tak jak ślepiec dotyka twarzy ukochanej osoby. Wszystko poznawał, wszystko pamiętał! Zagrał znowu utwór Milhauda, a potem wyjął z szafy duży kaszmirowy szal. Kupił go kiedyś w Tokio – na wszelki wypadek, żeby udobruchać byłą żonę; ta jednak rozpakowując jego walizki nie zwróciła na szal uwagi. Daniłow owinał tym szalem altówkę i włożył ją do futerału. Odtąd zawsze przed schowaniem instrumentu owijał go kaszmirowym szalem.

Ale radość radością, sztuka sztuką, a drogi instrument miał przede wszystkim dużą wartość materialną. Daniłow od razu ubezpieczył altówkę. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że rozstanie się z nią kiedykolwiek, ale trzeba było mieć jakąś gwarancję. Na polisę ubezpieczeniową patrzył z pogardą, niemal z obrzydzeniem, jednak raty płacił regularnie. A przecież tkwił po uszy w długach – wiadomo, jaką pensję może mieć członek orkiestry, choćby nawet w dobrym teatrze. Długi spłacał metodą sztafetową: pożyczał od kogoś i natychmiast zanosił pożyczone pieniądze oczekującym wierzycielom. Czasami przy spłacaniu pożyczek powstawały komplikacje i Daniłow z trudem uzyskiwał u znajomych zgodę na prolongatę długu. Teraz na przykład musiał pilnie zwrócić Dobkinom siedemset rubli, których nigdzie nie mógł zdobyć. I choć nadal wstydził się takich swych wyczynów, jak pamiętny pożar na Planerskiej, postanowił wpaść mimo wszystko do Murawłowów, odpocząć w ich przyjaznym domu, a przy okazji poradzić się, co robić dalej. Na szczęście nie miał wieczorem spektaklu.

Ale tego dnia próżno czekano na niego w domu Murawłowów. Próżno też gotowano lobio.

Rano Daniłow wpadł do kasy oszczędnościowej i po długim staniu w kolejce uregulował opłaty. W kasie panował zaduch, niepiśmienne staruszki co chwila prosiły Daniłowa o wypełnianie w ich imieniu różnych tam blankietów i kwitów – widocznie wzbudzał zaufanie. Ubrudzony atramentem, podnosił oczy i widział przed sobą plakat, na którym dama z obfitym biustem trzymała w rękach książeczki mieszkaniowe; nad damą widniało hasło grzmiące niczym blacha w orkiestrze: „Czym twoja chata bogata? Nie trunkami – regularną opłatą!” Potem poszedł oddawać puste butelki i stoiki; przed punktem skupu opakowań szklanych stała olbrzymia kolejka z workami i wózkami. Daniłow miał szczęście: osoba w okienku, majestatyczna niczym cesarzowa odbierająca defiladę na Polu Marsowym, wskazując go palcem rzekła: „Chodź no, młody człowieku, pomożesz załadować skrzynki na samochód, inaczej zamkniemy punkt. Płaszczyk tylko zrzucić, szkoda niszczyć”. Daniłow spełnił polecenie, dzięki czemu załatwił sprawę w jakieś czterdzieści minut, obsłużony po załadowaniu skrzynek od strony zaplecza. Nie zdążył już jednak wpaść do pralni chemicznej po spodnie orzekając w duchu, że pralnię może sobie dzisiaj darować, spodnie zresztą też – i tak ich nie włoży od razu, trzeba jeszcze przyszyć guziki.

O jedenastej zjawił się w studio nagrań przy ulicy Kaczałowa, gdzie z obcą orkiestrą miał nagrywać symfonię Hindemitha dla trzeciego programu radiowego. Muzyka była ciekawa i

placono tu przyzwocie. Po zakończeniu nagrania, gdy owijał już swoją altówkę kaszmirowym szalem, podszedł do niego oboista Striekałow i zaczął opowiadać coś o hokeiście Malcewie. Daniłow był kibicem Dynama i każda wiadomość o Malcewie bardzo go interesowała, ale tym razem znalazł w sobie na tyle silnej woli, żeby powiedzieć: „Przepraszam cię, muszę iść, bo spóźnię się do teatru”. Zdażył zjeść w przelocie tylko lody owocowe, ale nie spóźnił się na próbę. Próbowano balet Słoweńskiego *Kromka pikującego bombowca*, Daniłow pozwolił sobie dwukrotnie na dużą swobodę i zagrał wręcz „pod włos”, ale w sumie zarówno dyrygent, jak i on sam pozostali zadowoleni. W przerwie chciał odszukać Striekałowa i wówczas dopiero uświadomił sobie, że przecież ze Striekałowem grał w całkiem innym miejscu i w innej orkiestrze. „Psiakość! – pomyślał zmartwiony. – Szkoda, że nie posłuchałem, co on tam opowiadał o Malcewie, miałem jeszcze trochę czasu...” Pobiegnął do bufetu i w drodze spotkał panią Marię, sprzedawczynię z kiosku, w którym nieraz kupował książki. Daniłow był jej pupilkiem – szepnęła mu, że ma dla niego monografię Siedowej *Goya* i album reprodukcji obrazów z galerii londyńskiej, który Daniłow swojego czasu przegapił. „Ach, pani Mario, moja dobra wróżko!” – roztkliwił się Daniłow. W tym momencie podeszła do niego wojownicza niewiasta w męskim kostiumie – Halina Nikolewa, śpiewająca Siebela w *Fauście*, osoba odpowiedzialna za nadprogramowe występy.

– Włodek – powiedziała – masz tu plan bezpłatnych koncertów na cele społeczne. Wprawdzie to nie nasz odcinek, ale wszyscy mówią, że znajdzie się tu praca dla ciebie.

– Dobrze – odpowiedział Daniłow – chętnie zobaczę.

Był już całkiem blisko bufetu, gdy wziął go pod rękę administrator Sanin.

– Chodź no, chodź tutaj – powiedział. – Ludzie do ciebie wydzwanają, a ja muszę za tobą gonić po całym teatrze.

Dzwonił Sergiusz Mielechin, dawny znajomy Daniłowa.

– Włodeczku – zaczął nerwowo – rzadko mi się zdarza o coś prosić, ale dzisiaj nie proszę, tylko błagam...

Mielechin, kierownik klubu w jednym z zasobnych instytutów naukowo-badawczych, ciągle o coś błagał.

– Dobra, mów, co tam znowu – powiedział Daniłow.

– Spotkanie w klubie, no i część artystyczna, zagrasz tylko parę kawałków, płacimy dobrze, sam wiesz... Tyle że to już dziś wieczorem...

– Dziś nie mogę, czekają na mnie znajomi.

– Przecież nie masz spektaklu! Zagrasz szybciotko i zdążysz do swoich znajomych. Nie muszę ci tłumaczyć, czym się różni nauka od sztuki: sam wiesz, że płacimy dobrze. Nie możesz odmówić, zaprosiliśmy gości – profesorów, historyków sztuki, razem dziesięć osób. Zagrasz to, co napisali normalni ludzie, i to, co spłodziły komputery. Dla porównania. Przecież dla ciebie to też ciekawe, bo cała ta muzyka jest specjalnie na altówkę...

– Na altówkę? – zdziwił się Daniłow.

– No pewnie! – zawołał ożywiony Mielechin czując, że rozmówca połknął haczyk. – Wyobrażasz sobie: komputer napisał muzykę specjalnie dla altówki! Dziesięciu naukowców, dziesięciu profesorów przyjedzie dla jednej tylko twojej altówki! A jak nie znajdę solisty, będzie skandal, stracę posadę. Ratuj mnie, kochasiu, pieniądze dostaniesz z rączki do rączki w białej kopercie...

– Muszę się zastanowić – powiedział Daniłow niepewnie.

– Wcale nie musisz, przyjeżdżaj o siódmej zero zero, zerkniesz na nuty, potem zagrasz i zdążysz do swoich znajomych.

– Czy ja wiem... No dobrze, zgoda.

– Nareszcie! Jestem uratowany! Mało brakowało, a rzuciłbym się pod tramwaj... Ten parszywiec Miszka Korieniew, nawiasem mówiąc, twój kolega, obiecał mi tydzień temu, że zagra, a potem odmówił w ostatniej chwili... Czekam o siódmej!

Mielechin energicznie odłożył słuchawkę i Daniłow ani opamiętać się nie zdążył, ani w cokolwiek zwątpić. Stał przy telefonie i myślał: „Co ma z tym wspólnego Korieniew? Jest skrzypkiem z orkiestry estradowej i nigdy nie brał do rąk altówki...” Ale wszystkie te rozważania były już musztardą po obiedzie.

O siódmej, przeklinając samego siebie za brak charakteru, znalazł się przed oszklonym budynkiem klubu z karbowaną aluminiową wiatą nad wejściem. W sali i foyer było tłoczno: po zakończeniu spotkania obiecano zebranych projekcją *Serenady w Dolinie Słońca*, którą udało się wypożyczyć z archiwum Centrali Filmowej. W pokojach za sceną kopcili papierosy uczestnicy spotkania, przekonani o słuszności swych poglądów; jeden z nich, w czarnej masce, nerwowo drżał i ciągle rozglądał się na boki. Daniłow zauważył wśród naukowców Kudasowa, który tłumaczył kierownikowi klubu, że czas ma wyliczony co do minuty, i żądał rozpoczęcia imprezy. Na widok Daniłowa Kudasow znieruchomiał jak żona Lota, ale ocknął się po chwili i podpłynął do niego z przyjaznym uśmiechem:

– Ach, pan też tutaj? Murawłow z żoną pewnie już czekają, kolacja stygnie... Cóż, świetnie się składa, pojedziemy razem. – Wciągnął nosem powietrze łowiąc zapachy oddalonej, lecz miłej sercu kuchni.

Mielechin spojrzał na Daniłowa krzywo, tak jakby to nie on sam trzy godziny temu gotów był uklęknąć przy telefonie, tylko Daniłow wprosił się do jego klubu. Podszedł jednak, wziął gościa pod rękę i zaprowadził do pustego pokoju, gdzie wręczył mu nuty, a następnie, wpatrzony w ścianę i zajęty rozmyślaniami o swoich kłopotach służbowych, rzekł obojętnym tonem:

– Masz godzinę czasu, jest tego niedużo, szesnaście kawałków, osiem normalnych i osiem maszynowych. Możesz to przejrzeć albo podrzemiesz sobie w spokoju ducha, przecież nawet Strawińskiego grasz *a vista*... Popatrz, co za drań z tego Miszki!

W tym momencie otworzyły się drzwi, weszły dwie dziewczyny – i natychmiast kryształowa strzała losu ugodziła Daniłowa prosto pod lewą łopatkę.

– Włodek, poznajcie się! – zawołał radośnie Mielechin. – To pani Katarzyna Kowalewska, aktywistka naszego klubu... Ja już muszę uciekać...

Katię Kowalewską Daniłow znał dobrze, była znajomą Murawłowów, a w dodatku, sama o tym nie wiedząc, niczym słup ognisty stanęła na drodze nieszczęśliwego ducha Iwana i spopielila jego serce. Na widok Daniłowa uśmiechnęła się przyjaźnie, ale on dostrzegł w jej oczach nieoczekiwany smutek.

– To moja koleżanka, Natasza – powiedziała Katia. – Pracujemy razem.

– Włodzimierz – wyciągnął rękę Daniłow i dotyk dziewczęcej dłoni oparzył go jak ośmioklasistę, który przyszedł na pierwszą w życiu randkę pod zegarem.

Oczy miała głębokie i jasne, patrzyła na Daniłowa w zdumieniu, z podziwem, jak Sadko na Złotopiórą Rybę. Daniłow chciał powiedzieć coś dowcipnego – jakieś nic nie znaczące słowa, jakie mówił zazwyczaj kobietom, ale zamiast tego, zażenowany i zbity z tropu, powiedział szorstko:

– Bardzo przepraszam, dostałem przed chwilą nowe nuty, muszę przynajmniej rzucić okiem...

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Katia – nie będziemy przeszkadzać.

Natasza nic nie powiedziała, spojrzała tylko na Daniłowa i serce mu znowu zabiło. „Co się ze mną dzieje? – myślał. – Skąd to wzruszenie, ta nieśmiałość? Czyżby?... Czy ta subtelna kobieta o ślicznych oczach zjawiła się po to, żeby odmienić moje życie? Kto wie... Zdarzają się przecież innym cudowne chwile, może i ja mam doświadczyć tego na sobie... Nie powiedziała ani słowa, nic o niej nie wiem, ale weszła – i jest mi tak lekko, tak przejmujący czuję smutek, jakbym był już gdzieś bardzo, bardzo wysoko... Ach, nie, dość tego, nie wolno mi nawet myśleć o niej...” Zabronił sobie myśli o Nataszy, ale mimo woli widział przed sobą jej oczy, jej spojrzenie, wspominał też coś nieuchwytnego w całym jej obliczu – to, czego nie

dostrzegł od razu... Jednak nuty nie mogły czekać; zmobilizował się, wziął do ręki pozostawione przez Mielechina arkusze i zdrętwiał. Trzymając pod pachą altówkę pobiegł do garderoby; Mielechin był właśnie tam i mimo największych chęci nie dał rady zniknąć.

– Co to jest? – zapytał Daniłow.

– Gdzie? O czym ty mówisz? – zdziwił się Mielechin.

– O tych nutach!

– Nuty jak nuty, Włodeczku!

– Sam widzę, że nuty jak nuty! – wrzasnął Daniłow. – Ale nie dla altówki! Wszystko to jest skomponowane na skrzypce! Durnia ze mnie chcesz zrobić?

– Ciszej, kochasiu, ciszej – powiedział Mielechin błagalnym szeptem. – Przepraszam najmocniej, moja wina, a jeszcze większa – tego drania, Miszki Korieniewa. Od tygodnia mnie zwodził, a dziś rano przysłał jakiś wariacki list, że grać nie może i w ogóle diabli wiedzą co...

– Ja też nie mogę – uciał Daniłow. – Jestem altowiolistą, a nie skrzypkiem.

– Możesz, Włodeczku, ty wszystko możesz! Skąd ja teraz wezmę muzyka takiej klasy jak ty? Dodam ci dwadzieścia rubli, zagrasz po prostu o kwintę wyżej... Przecież tym, co siedzą na sali, wszystko jedno na czym grasz – na altówce, skrzypcach czy na pompie strażackiej...

– Nie mogę tego słuchać – powiedział Daniłow. – Jestem muzykiem i to, co mówisz, jest dla mnie upokarzające, obrzydliwe! Wychodzę stąd natychmiast.

– Czekajże, czekaj, może coś nie tak powiedziałem, wiesz, że jestem człowiek prosty, ale odejść teraz nie możesz! Żebyś ty, świetny altowiolista, nie zagrał tego, co napisane jest na jakiejś tam skrzypce? To niemożliwe!

W tym momencie Daniłow znowu zobaczył Nataszę. Zajrzała do garderoby wraz z Katarzyną, napotkała w locie spojrzenie Daniłowa i odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Wówczas Daniłow zrozumiał, że przybiegł tu wściekły nie tylko po to, żeby zetrzeć w proch Mielechina, ale także po to, by jeszcze raz zobaczyć Nataszę albo przekonać się przynajmniej, że Natasza jest w pobliżu. A ponadto zrozumiał, że za chwilę zagra na swej altówce każdy utwór, choćby nawet skomponowany na puzon czy perkusję.

– Zagram – powiedział. – Ale pamiętaj, że toleruję te kłamstwa po raz ostatni.

– Włodeczku, kochany, wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem kulturalnym... – roztkliwił się Mielechin.

Daniłow powrócił do nut i pomyślał: „Co u licha, czy rzeczywiście tak trudno zagrać kompozycję na jakiejś tam skrzypce?” Zrzucił sobie tchórzostwo: całe to zamieszanie jest w ogóle bez sensu, instrument ma świetny, nadarza się okazja, żeby sprawdzić własne marzenia o muzyce – w marzeniach tych zawsze wynosił altówkę na takie wyżyny, jakich żadne skrzypce, choćby nawet zbudował je sam Stradivari, nigdy nie osiągną. Można też potraktować dzisiejszy występ jako niezłą zabawę... Krótko mówiąc, w czterdzieści minut później wyszedł z pokoju ożywiony, podekscytowany, czując coś w rodzaju przedsmaku mocnych przeżyć.

Impreza już się rozpoczęła. Wybitne osobistości – krasomówcy i luminarze nauki – zajęły miejsca przy stole na scenie, Daniłow zaś usiadł na krzeselku za kulisami w oczekiwaniu swojej chwili. Sześciu gitarzystów z orkiestry estradowej grało sobie najspokojniej w durnia; lśniły sygnety na ich palcach, koronkowe mankiety zmiatały kurz z klubowych rekwizytów. To hałaśliwe towarzystwo początkowo traktowało Daniłowa dość arogancko, a może patrzyło na niego z politowaniem, tak jak patrzą kierowcy szykownych limuzyn na zmokniętego woźnicę na koźle fury rozwijającej butelki. Potem jednak chłopcy zauważyli owinięty kaszmirowym szalem instrument, uspokoili się i przycichli.

Pierwszy przemówił Kudasow. Stanął tak, by widzieć równocześnie salę i Daniłowa: wolał przypilnować sprawy, żeby Daniłow nie uciekł przypadkiem bez niego. Potem wyszły na scenę pracownice wytwórni czekolady i zademonstrowały widzom nowe pomadki

wyprodukowane z okazji jubileuszu dramaturga Ostrowskiego. Pomadki te, noszące piękną nazwę „Wilki i owce”, rozdano do degustacji siedzącym przy stole uczestnikom spotkania. Wśród grobowej ciszy, przy akompaniamencie werbla, jak w cyrku podczas napawającego grozą popisu akrobatycznego, uczestnicy spotkania skonsumowali pomadki, po czym jęli zachwalać producenta, papierki zaś – czerwono-popielate – przekazali na widownię, żeby z nowym wyrobem mogło zapoznać się całe audytorium. Z czekoladką w ustach wstał od stołu i zbliżył się ku rampie mistrz sportu klasy międzynarodowej, słynny strzelec Borys Czaszczarin, który powrócił właśnie z Urugwaju. Mistrz trzymał w rękach KBKS – krótki bojowy karabin sportowy. Powiedział, że z wygłaszaniem przemówień zawsze miał trudności, nie słowa bowiem są jego specjalnością, lecz celne strzały. Zdobył się przy tym na dowcip: szkoda, zauważył, że widzowie nie przynieśli ze sobą talerzyków albo spodków – mogliby podrzucać je do góry, a wówczas pokazałby klasę. W tejże chwili nad głowami publiczności uleciał piękny talerz z miśnieńskiej porcelany, zawirował nad pierwszymi rzędami, poszybował w kierunku sceny i zawisł w powietrzu jakieś dziesięć metrów przed mistrzem. Czaszczarin utkwiał w talerzu osłupiały wzrok, podniósł karabin i wystrzelił. Kula uderzyła w talerz, który mimo to nie rozleciał się w drobny mak, tylko zakołysał się w powietrzu, jakby tańcząc menueta, po czym podpłynął jeszcze bliżej. Czaszczarin wystrzelił znowu – i znowu kula sprawiła, że połyskujący beztrzesko talerz jedynie lekko zawirował.

„Dość już tych szczeniackich zabaw!” – powiedział sobie z wyrzutem Daniłow. Wprawił talerz w ruch wirowy i odesłał go z powrotem do komisju na Starym Arbacie, po czym przesunął na swojej bransolecie płytkę z literą „Z”. Cały ten seans z latającym talerzem urządził po prostu dla żartu i teraz nie mógł sobie wybaczyć, że zachował się jak młokos. „Już wiem, dlaczego robię głupstwa! – ołśniło go nagle. – Przecież na widowni jest Natasza, popisuję się przed nią i stąd to wszystko...”

Skonfundowany strzelec tłumaczył się przed widownią, że w Urugwaju klimat jest całkiem inny i że nie przyzwyczał się jeszcze do tutejszego ciśnienia, dlatego zawiodła go dawna zręczność. Usiadł, a po nim wstał szczupły ruchliwy człowiek w granatowych zarękawkach, z wyglądu księgowy, w rzeczywistości zaś inżynier Leszczow, konstruktor maszyny elektronicznej komponującej muzykę. Leszczow powiedział, że jego komputer, opracowując wariacje tego czy innego tematu lub rozpisując tematy muzyczne dla orkiestry zgodnie z obowiązującymi zasadami, zdolny jest obecnie do komponowania złożonych kilkunastominutowych utworów, nie mówiąc już o pieśniach lirycznych i zaangażowanych. Na razie, dodał, odczuwa się brak superczułych półprzewodników, a gdy pojawi się możliwość ich produkowania, maszyna będzie w stanie komponować symfonie, balety oraz – w przypadku istnienia libretta – również opery. Powiedzmy, gdyby zaszła potrzeba, można będzie dać maszynie podręcznik algebry dla klasy szóstej i otrzymać operę szkoleniową z zadaniem matematycznym.

– A teraz – zakończył konstruktor – poprosimy solistę teatru, towarzysza Daniłowa, o wykonanie na skrzypcach szesnastu utworów muzycznych. Niech szanowna publiczność oraz zebrani tutaj przedstawiciele kół naukowych spróbują ustalić, które z tych utworów skomponował człowiek i które są dziełem maszyny. A potem zastanowimy się wspólnie, jaka przyszłość czeka muzykę...

Daniłow wyszedł na scenę z zamiarem skorygowania zapowiedzi: chciał sprostować, że nie jest solistą, tylko członkiem orkiestry, i że wcale nie skrzypce trzyma w rękach, lecz altówkę. Coś powstrzymało go jednak od pierwszej części sprostowania, ukłonił się więc publiczności i bardzo uprzejmie powiedział:

– Najmocniej przepraszam, ale instrument, na którym będę grał, to nie skrzypce. To altówka.

– Altówka? – zdziwił się Leszczow. – Szkoda, że nie wiedzieliśmy wcześniej, może dałoby się postarać o inne źródło dźwięku...

– Drobiazg – uspokoił go Daniłow.

Siedząc na wysokim, obitym rudą ceratą krześle i rozkładając na pulpicie nuty, myślał cały czas: co, jeśli Natasza wyszła z sali i nigdy jej więcej nie zobaczy? Czuł jednak, że nie wyszła, że jest na widowni, że patrzy teraz na niego z mroku i patrzy nie przez zwykłą ciekawość, lecz oczekuje od niego muzyki i denerwuje się za niego. Nie mógł już myśleć o niczym innym poza jedną tylko rzeczą: musi zagrać wiernie, nie pomylić się i nie skiksować. Powróciła do niego czujność; poprzednie przeświadczenie, że utwory te da się zagrać lekko, nie angażując się wewnętrznie, wydawało mu się teraz pustą przechwałką. Pomylił się w trzecim utworze, opuścił smyczek i przeprosiwszy słuchaczy, zaczął od nowa. I nagle wszystko poszło dobrze, muzyka brzmiała i dalsze jej życie zależało bynajmniej nie od rozłożonych na pulpicie nut, lecz od jego instrumentu i jego rąk, od tego, co nosił w sercu, od nowych uczuć, które w nim wzbierały. „Mój Ty Boże – myślał – gdyby zawsze mogło być tak pięknie!”

A gdy zamarł ostami dźwięk, Daniłow, jakby żegnając go z żalem, długo jeszcze trzymał smyczek na strunach, aż wreszcie opuścił i smyczek, i swoją altówkę. Oklaski, z jakich mogłaby być dumna Plisiecka po serii słynnych piruetów w tańcu Quitri z *Don Kichota*, wyrwały go z błógiego zapamiętania. Patrzył na publiczność błagalnym spojrzeniem, jakby prosząc tych ludzi: „Dajcie spokój, po co to wszystko? Posiedźcie chwilę spokojnie... Nie płoszcie moich dźwięków, są jeszcze tutaj, jeszcze nie zdążyły odlecieć...” Odwrócił się i zobaczył, że członkowie prezydium również biją mu brawa i że zza kulis, podnosząc kciuki, wyglądają młodzi gitarzyści. Mielechin natychmiast znalazł się obok i Daniłow usłyszał jego gorący szept:

– Geniusz! Uratowałeś mi życie! Nie przypuszczałem nawet, że zagrasz tak fenomenalnie, chciałem już zwać po tamtym trzecim kawałku... Przeklinałem Miskę Korieniewa, zdrajcę i szubrawca, a ty wtedy pokazałeś klasę! Grałeś jak bóg, o mało serce mi nie pękło, a przecież jakąż to była muzyka w tych nutach – zwykła lipa...

– Racja – skinął głową Daniłow – lipa.

– Masz tu, trzymaj – powiedział Mielechin podając mu kopertę. – Przekonasz się, że nie z dziadami miałeś do czynienia.

– Co to jest?

– Forsa!

– Jaka forsa? – nie zrozumiał Daniłow. – Co ma z tym wspólnego forsa?

– Bierz, mówię ci, nie rób kawałów – uciął Mielechin.

Tymczasem konstruktor Leszczow przeprowadzał z publicznością wywiad: które utwory, jej zdaniem, skomponowała maszyna, które – człowiek. Odważniejsi wołali z miejsc, że tylko pierwsze trzy są dziełem komputera. Potem wstał młody laborant, który powiedział, że przeciwnie – wszystkie utwory skomponował komputer i komputer je wykonał, solista natomiast tylko wodził smyczkiem po strunach tak, jak się to robi w telewizji przy nagraniach z playbackiem. Oburzona publiczność nawymyślała młodemu człowiekowi od osłów, technokratów, bluźnierców i nawet zażądała, by za karę usunięto go z pokazu *Serenady w Dolinie Słońca*. Zasiadające przy stole uczone głowy również skłonne były sądzić, że komputer skomponował wyłącznie trzy pierwsze utwory. Zapytano Daniłowa, co o tym myśli. Powiedział, że nic nie myśli. Wówczas Leszczow z triumfem, niczym księżniczka Turandot ogłaszająca odpowiedzi na swoje zgubne dla konkurentów zagadki, oznajmił, że dziełem komputera są następujące utwory: drugi, czwarty, piąty, ósmy oraz od dziesiątego po trzynasty łącznie. Zawstydzona widownia przycichła, ale już po chwili rozgorzała dyskusja.

Jako pierwszy znowu zabrał głos Kudasow, choć zaproszono go wcale nie po to, żeby brał udział w dyskusji. Drżącym głosem przemówił człowiek w czarnej masce – przypuszczalnie dociekliwy profesor Sielski-Anielski, potem rozprawiali o muzyce inni mędracy. Daniłow w ogóle ich nie słuchał; dobiegały go wprawdzie jakieś urywki zdań, ale na wszystko pozostał

obojętny. Siedział zmęczony, z uczuciem przygnębiającej pustki; tamta niedawna moc, ostra i srebrna, opuściła go całkiem, chętnie napiłby się kawy z koniakiem albo przynajmniej wypił ze dwa kufle piwa. W ustach i w gardle czuł suchość, tak jakby to nie instrument, lecz on sam, jego krtań i płuca wydawały przed dziesięcioma minutami wszystkie te dźwięki. „Ach, jak było dobrze, jak pięknie! – myślał znowu ze zdumieniem. – Skąd się to wzięło?...”

Nagle poczuł lęk: przemknęło mu przez myśl, że może niechcący przesunął płytkę bransolety i grając korzystał z możliwości znacznie większych niż każdy normalny człowiek. Sprawdził bransoletę – wszystko było w porządku, obydwie płytki pozostały na swoim miejscu. „Cóż, należy mi się pochwała – powiedział w duchu – jednak coś tam potrafię. Skoro zagrałem taką lipę, w dodatku skomponowaną nie na altówkę, tylko na skrzypce, to znaczy, że naprawdę coś potrafię. To nie technika, nie same zdolności, musiało być coś więcej... Może natchnienie?” Przyznał, że chyba istotnie tak było, a przyczynę już znał: to sprawiła ona jedna – Natasza.

– Poprosimy teraz towarzysza solistę – dobiegł go głos konstruktora Leszczowa – żeby podzielił się z nami swym zdaniem o muzyce komputerowej.

„O jakiej muzyce komputerowej? – chciał powiedzieć Daniłow. – Ten wasz komputer to matoł, muzyka płynęła z mojego serca!” Zamiast tego jednak przemówił niezdecydowanie:

– No cóż... Tak, ogólnie rzecz biorąc... Wypada podziękować komputerowi za jego trud...

– Proszę – ucieszył się Leszczow. – Nawet muzycy zaczynają trzeźwo myśleć, pan nie jest pierwszy...

„Och, żeby już skończyli wreszcie z tą gadaniną! – błagał w duchu Daniłow. – Poszedłbym szukać Nataszy...”

Kudasow, jakby czytając w jego myślach, przysiadł się do niego i szepnął: l – No więc?... Jedziemy od razu do Murawłowów? Kolacja stygnie...

– Zapraszali pana? – zapytał Daniłow oschle.

– Mmm... – zmieszał się Kudasow patrząc z wyrzutem na Daniłowa jak na kogoś, kto popełnił faux pas.

– Niech pan sobie jedzie – powiedział Daniłow. – I proszę przekazać w moim imieniu, że bardzo przepraszam, ale przyjechać dziś nie mogę. Chcę zobaczyć *Serenadę w Dolinie Słońca*, to film muzyczny.

– Dobrze panu mówić – sapiąc odparł Kudasow. – Jak przyjadę sam, podadzą byle co, na odczepnego...

Wstał obrażony; poruszał się niezgrabnie, w kieszeniach szeleściły mu papierki po czekoladkach „Wilki i owce”. Daniłow, nie czekając na zakończenie dyskusji, która wyraźnie zmierzała ku całkowitej dyskwalifikacji wszelkiej muzyki będącej dziełem człowieka, dyskretnie wycofał się wraz ze swym krzesłem za kulisę – i tyle go widzieli.

Foyer było puste, tylko z boku, przy bufecie, stała kolejka. Owinał altówkę szalem, schował ją do futerału, po czym odwrócił się i zobaczył przed sobą Nataszę.

– Ach, to pani – powiedział skonsternowany. – A gdzie jest Katia?

– Na widowni – odpowiedziała Natasza. – Bałam się, że pan zaraz odejdzie i nie zobaczymy się już nigdy. Dlatego wolałam tu poczekać. Dziękuję za muzykę...

– Podobało się pani?

– Bardzo! Dawno już muzyka tak do mnie nie przemawiała.

– Sam nie wiem, dlaczego mi dzisiaj tak dobrze szło – odezwał się Daniłow z nieśmiałym uśmiechem.

– Zajęłyśmy dla pana miejsce, może ma pan ochotę obejrzeć film – powiedziała Natasza i po chwili milczenia zapytała: – Co z Miszą Korieniewem? Dlaczego nie przyszedł? Słyszałam, że to on miał dzisiaj grać...

– Zna pani Miszę? – zdziwił się Daniłow.

Ale właśnie w tym momencie skończył się występ zespołu gitarzystów, który wzruszył publiczność piosenką o jakiejś żółtej miłości. Otworzyły się drzwi i Natasza biorąc Daniłowa za rękę poprowadziła go na widownię. Za chwilę miał zacząć się film. Światła zgasły, Daniłow siedział teraz między Katią a Nataszą trzymając ukochany instrument na kolanach niczym uspione niemowlę. Film był sympatyczny – takie sobie miłe wspomnienia dzieciństwa – niemniej Daniłow patrzył na ekran w pewnym roztargnieniu i nawet radosne, brawurowe melodie Glenna Millera, brzmiące na przekór losowi, który gotował ich twórcy bliską i nieuchronną śmierć w wojennym niebie, były bezsilne wobec świadomości, że obok siedzi Natasza i że to właśnie jest najważniejsze. „Co się ze mną dzieje? – myślał Daniłow. – Wszystko przedtem było inne – lekkie, beztrudne, z odrobiną hazardu, jak porywająca gra, i jeśli nawet czułem się czasami onieśmieszony w obecności kobiet, to przecież tylko w pierwszej chwili. Skąd ten dreszcz, dlaczego przez cały wieczór wszystko we mnie dźwięczy? Dlaczego tak mi z tym dobrze?... A może to pułapka, podstęp?” Ale tę niegodną myśl natychmiast odrzucił. Nie czuł się już tak zmęczony i wyjąłowany, jak po występie – przeciwnie, czuł teraz, że znowu powraca tamta ostra srebrna moc, powraca właśnie od serca, z lewej strony, czyli z tej samej, gdzie siedzi teraz Natasza.

Film dobiegi końca. Katia pożegnała ich i poszła do tramwaju. Z ostatnią iskrą nadziei w oczach wyjrzał zza rogu Kudasow, ale wszystko zrozumiał i zniknął, Daniłow zaś pozostał w ciszy czarno-białej ulicy sam na sam z Nataszą.

– Mieszkam na Pokrowce, w zaułku Chochłowskim – powiedziała Natasza.

– Przecież to moja ulubiona dzielnica! – szczerze ucieszył się Daniłow. – Kocham te zaułki w Starych Sadach, a chodzić nimi nocą to sama rozkosz.

– Odprowadzi mnie pan?

– Jeśli pani pozwoli. Cała przyjemność po mojej stronie.

Szli brzegiem Jauzy, potem przecięli bulwar przy Targu Chitrowskim i przez nagi wyasfaltowany plac targowy dotarli do zaułka Podkopajewskiego, by od cerkwi Mikoły w Podkopaju skrócić na Chochły. Po prawej stronie spoczywał w mroku i ciszy pałac Szujskich, nieco wyżej ukazał się długi, błękitny w dzień, a teraz ciemny budynek dawnego sztabu eserowców, zburzony w sierpniu osiemnastego roku i przerobiony później na przedszkole. W krzywym kolanie zaułka Chochłowskiego przywitała ich nocnym hukiem drukarnia muzyczna Jurgensona, której widok zawsze sprawiał, że powracała do Daniłowa przejmująca myśl o Czajkowskim przynoszącym tu arkusze dopiero co napisanych, jeszcze ciepłych utworów. Natasza milczała, Daniłow też nic nie mówił; wolał nie rozchodzić się o tym, jak miła mu jest ta platanina garbatych zaułków, miał bowiem dziwną pewność, że Natasza czuje teraz to samo, co on. Zatrzymali się przed cerkwią Trójcy Świętej w Chochlach, połyskującą w nocy złotym kwiatem odnowionego krzyża. Po lewej stronie biegła znajoma ścieżka prowadząca na skrót do zaułka Kołpacznego, prosto do pałacyku hetmana Mazepy.

– Mieszkam w tamtym wysokim domu – powiedziała Natasza.

– Co za zbieg okoliczności! – zawołał Daniłow. – Często tu spaceruję, zwłaszcza kiedy jestem zmęczony...

– Nie wie pan przypadkiem – zapytała niespodziewanie Natasza – dlaczego Misza nie chciał dzisiaj grać?

– Nie wiem. Pani przyszła ze względu na niego?

– Nie. Wybierałam się na koncert tak czy owak, ale dziś otrzymałam od niego jakiś dziwny list. Coś tam o Paganinim i tak dalej...

– To pani przyjaciel? – zapytał Daniłow z nutką zazdrości w głosie.

– Tak... To znaczy były przyjaciel – odpowiedziała zmieszana. – Znamy się od dawna, byliśmy razem w Permie. Uciekłam wtedy z domu, z Moskwy, z człowiekiem, którego kochałam; byłam smarkulą i marzył mi się teatr, kariera aktorki...

– I co, została pani aktorką?

– Nic. Zostałam laborantką. Pracuję w tym samym instytucie, co Katia. To dawne dzieje, bardzo dawne, i koniec był taki smutny...

Odwróciła się gwałtownie i poszła w stronę ponurego budynku. Daniłow pospiesznie szedł za nią myśląc: „Właściwie czym mnie tak ujęła? Ach, wszystkim! Te włosy, oczy, ręce, ramiona, kolana, głos... Nie znam jej wcale, nie mam pojęcia, czy jest głupia, czy mądra, uczciwa czy nieuczciwa, hojna czy drobiazgowa... Nie wiem... Ale jest mi wszystko jedno... Nie wolno mi teraz analizować swoich uczuć, mógłbym je spłoszyć. Wiem tylko tyle, że Natasza jest na pewno wartościowym i dobrym człowiekiem, że po prostu mi odpowiada – a zresztą jakież to wszystko ma znaczenie?”

– Jesteśmy na miejscu, to moja brama – powiedziała Natasza.

– Będę teraz szukał okazji, żeby znowu panią spotkać...

– Ja też – odpowiedziała poważnie.

Daniłow prawą ręką (lewą przytrzymał altówkę) dotknął dłoni Nataszy. Poczł jej ciepło i nieśmiało, a zarazem zdecydowanie przytulił Nataszę do siebie. Pocałował ją, odpowiedziała na pocałunek, a odpowiedź wcale nie była zdawkowa.

Potem stali na schodach przed drzwiami jej mieszkania i długo nie mogli się rozstać. Czas spływał do glinianego dzbana i gęstniał w nim jak spadziowy miód. Wreszcie Natasza cofnęła rękę; jej piękne jasne oczy spojrzały na Daniłowa wnikliwie i poważnie, a potem wysliznęła się z jego objęć, małym kluczem otworzyła zamek i natychmiast zatrzasnęła za sobą drzwi.

„Można całkiem stracić głowę” – pomyślał wzruszony Daniłow. Usiadł na stopniu stuletnich schodów i wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że nie widzi swojej altówki.

Zbiegł na dół, rozglądając się na każdym piętrze niczym pies służbowy. Instrumentu nigdzie nie było.

Wyskoczył na ulicę. Przeszukiwał, nieomal macał rękami wszystkie miejsca, gdzie szli i stali z Nataszą i gdzie – dobrze to pamiętał – trzymał jeszcze altówkę pod pachą. Ale wszelkie poszukiwania okazały się daremne.

Altówka zniknęła.

Rano zadzwonił do niego flecista Boczarow z orkiestry estradowej i powiedział, że wczoraj w godzinach południowych odebrał sobie życie ich kolega ze szkoły muzycznej, Misza Korieniew. Panichida jutro o dwunastej w budynku przy ulicy Kaczałowa, pogrzeb – o drugiej po południu w Babuszkynie.

– Co ty mówisz?... Jak się to stało? – wyszeptał Daniłow do słuchawki.

Boczarow odpowiedział, że sam dobrze nie wie, jak się to stało, jego sprawa – zawiadomić teraz telefonicznie wszystkich znajomych; wiadomo mu tylko tyle, że Korieniew wyskoczył z okna własnego mieszkania, czyli z czwartego piętra bloku spółdzielczego przy stacji metra „Szczerbakowska”. Zostawił parę słów skreślonych na strzępku gazety: „Nikt nie jest winien mojej śmierci”. Smyczek poniewierał się na podłodze, skrzypce leżały na stole, na pulpicie zaś stały nuty: Paganini, *Capriccio op. 21*. Ludzie, którzy weszli do mieszkania, odnieśli wrażenie, że Misza grał, a potem cisnął skrzypce i rzucił się prosto do okna...

– Zdaje się, Korieniew miał żonę? – zapytał Daniłow.

– Tak – potwierdził Boczarow – żonę i dwie córki. Jeśli możesz, przyjdź jutro.

– Dobrze – powiedział Daniłow – zwolnię się z pracy.

Długo nie mógł podnieść się z miejsca, potem westchnął i wstał. Włożył koszulę; trzeba było iść na milicję i do zakładu ubezpieczeń.

„W tym liście do Nataszy Korieniew też wspominał coś o Paganinim – przypomniał sobie i od razu pomyślał: – Czy Natasza w ogóle istnieje?” Chciał już wcześniej zadzwonić do Katarzyny i zapytać o Nataszę, ale coś go powstrzymywało. Zresztą wczorajsza Katarzyna też mogła być podstawiona.

W komendzie milicji złożył oświadczenie o zaginięciu altówki i prośbę o jej odnalezienie. Zawiadomił o swym nieszczęściu także zakład ubezpieczeń. Pojechał do biura rzeczy znalezionych, obejrzał różne przedmioty pozostawione w metrze, ale żaden z nich nie przypominał jego instrumentu.

W teatrze natychmiast poproszono go do telefonu. Usłyszał głos Murawłowa:

– Włodek, zanieśliśmy futro do komisju. Niedługo możesz liczyć na jakieś pięćset rubli, zwrócisz Dobkinom dług za altówkę.

– Dziękuję serdecznie! I proszę cię, przekaz moje gorące podziękowania żonie – powiedział wzruszony Daniłow. – Wybaczcie, że tak was wczoraj zawiodłem.

– Dobra, co tam – wspaniałomyślnie odpowiedział Murawłow.

Pojawienie się Daniłowa w jamie orkiestrowej z tanią, skazaną na zapomnienie altówką w rękach wywołało ogólne zdumienie. Cała orkiestra lubiła Daniłowa i brała do serca jego udręki w okresie bezskutecznych zachodów o Albaniego i długich pertraktacji z wdową po altowiolistą Gansowskim. Czujne ucho mogłoby ułoić teraz w dźwiękach strojonych instrumentów pewną nerwowość, do której z rzadka, na wysokich nutach, dołączał się lekki dreszczyk ironii.

Daniłow czuł się paskudnie. Chciał opowiedzieć kolegom o zaginięciu ukochanej altówki, ale zachował tę przykrą wiadomość dla siebie w obawie przed nazwaniem rzeczy po imieniu, a tym samym – przed spłoszeniem nadziei na szybkie odzyskanie zguby. Nadzieja i bez tego była słaba, chwiejna i drżąca jak ostatni liść osiki. Oświadczenie w komendzie złożył na wszelki wypadek, dla spokoju ducha – zresztą w zakładzie ubezpieczeń nikt by nie zechciał go słuchać, gdyby nie zawiadomił oficjalnie milicji. Wydawało mu się chwilami, że tamtego wieczora w zaułku Chochłowskim widział jakieś podejrzane cienie i że ktoś obserwował ich z Nataszą zza węgła. W pewnej chwili pomyślał nawet, że tamci gitarzyści z klubu poznali się

na jego altówce i stracili głowę, ale natychmiast odrzucił podejrzenie: przecież chłopcy w koronkach to też muzycy. „Ach, żeby sprawcą kradzieży okazał się rzeczywiście jakiś zwyczajny złodziejaszek!” – marzył skrycie. Wierzył w milicję i wiedział, że w takim przypadku altówka byłaby na pewno odnaleziona. Myśl o złodziejaszku była jednak tyleż naiwna, co złudna, z czego Daniłow doskonale zdawał sobie sprawę. Był niemal przekonany, że jeśli nawet przyszło mu mieć do czynienia ze złodziejem, z całą pewnością jest to złodziej osobiwy. Kto wie, może ambitny szachista, pan Walenty, który tydzień temu wręczył mu wezwanie, otrzymał nowe poufne instrukcje?...

Jeśli tak jest w istocie, jeśli ktoś droczy się z nim lub przeprowadza doświadczenia w obliczu zbliżającej się Godziny Zero, wypada zdobyć się na opanowanie i cierpliwość. Przeświadczenie to przyszło mu z wielkim trudem: co jak co, ale cierpliwość nigdy nie była cechą jego natury. Oczywiście, gdyby skorzystał teraz z możliwości nadzwyczajnych, postarałby się o wykorzystanie wszystkich swoich powiązań, o zmobilizowanie wszystkich sił dla odnalezienia instrumentu. Ale kurier pan Walenty oraz ci, którzy stoją za nim i nad nim, tylko na to czekają. Z całą pewnością zapomnieli dziś nawet o obowiązkach służbowych licząc, że już wnet zrozpaczony Daniłow przestanie nad sobą panować.

Z przywilejów demona nie chciał korzystać także dlatego, że twardo postanowił: jako muzyk pozostanie tylko człowiekiem. Gdyby było inaczej i gdyby korzystał z szans nieporównywalnie większych niż każdy zwykły śmiertelnik, mógłby pokazać światu zdumiewające rzeczy, ale takich warunków gry – wbrew zasadom fair play – Daniłow nie uznawał, choćby nawet dotyczyło to gry na altówce. Miał zamiar przetrwać w swym postanowieniu aż do samego końca, w każdym szczególe. „A może to i lepiej, że straciłem altówkę Albaniego? – pomyślał nagle. – Na takiej każdy dureń potrafi dobrze zagrać, ale ja, skoro chcę zostać muzykiem wysokiej klasy i skoro wystarczyło mi odwagi, żeby się na to zdecydować, muszę na zwykłym instrumencie grać tak jak na tym unicum”. Odzyskał nawet częściowo spokój, przekonawszy samego siebie, że już wkrótce potrafi zagrać po mistrzowsku na prymitywnym instrumencie wartości trzystu rubli. „Źle się bawią – myślał dalej – chociaż, z drugiej strony, jeśli wczorajsza Natasza nie była utkana z fluidów, tak źle jeszcze nie jest...”

Skończył się *Don Carlos*, orkiestra wychodziła zmęczona. Rezerwowa altówka nie usłyszała od swojego pana złego słowa: brzmiała dziś całkiem, całkiem, a zresztą cóż ona biedna była winna?

„Misza Korieniew porwał się na rozwiązywanie najgłębszych zagadek Paganiniego bez instrumentu Stradivariego – pomyślał Daniłow. – Nie miał Stradivariego, miał zwyczajne fabryczne skrzypce... Teraz jest mu wszystko jedno, swoje męki pozostawił nam...”

Cała orkiestra rozmawiała dziś o samobójstwie Korieniewa; znaleźli się ludzie, którzy, tak jak Daniłow, dobrze znali Miszę. Wszystkich poruszyła jego śmierć. O przyczynach depresji krążyły jedynie domysły. W szkole muzycznej Daniłow nigdy nie był z Miszą w bliskiej przyjaźni, w ciągu kilku ostatnich lat widział się z nim zaledwie parę razy: na koncercie, a potem w łaźni – najpierw w parówce, później w kolejce po piwo. Nawet porozmawiali i ta rozmowa Daniłowa zdziwiła, ale natychmiast o niej zapomniał. Teraz wyjaśniło się, że Korieniew był przyjacielem Nataszy – jeśli, oczywiście, Natasza istniała naprawdę.

Nie pojechał nazajutrz na panichidę i zastanawiał się, czy iść na cmentarz. Nie lubił pogrzebów. Mimo to jednak poszedł. Miał trudności z odszukaniem wyznaczonego miejsca, aż wreszcie zauważył skupisko ludzi w brzozywym gaiku, skręcił tam i nie pomylił się, trafił dobrze. Ludzi było dużo, przeważała młodzież. Misza leżał w otwartej trumnie i twarz miał spokojną, pozbawioną wyrazu bólu i męki, tak jakby zmarł w locie, nim dotknął twardych płyt chodnika. Szczupły człowiek z ostrym nosem czytał nad grobem jakieś wiersze. Przy trumnie stała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w czerni, a obok niej dwie wylężnione dziewczynki. Naokoło było wielu znajomych muzyków, niektórzy z nich witali Daniłowa

skinieniem głowy, inni tylko rzucali na niego okiem. Poczł nagle, że musi spojrzeć za siebie, i dostrzegł z tyłu, przy zielonej ławeczce, zapłakaną Nataszę. Zmieszany pomyślał, że nie wypada teraz podejść, stał więc tak jak przedtem, odwrócony do niej plecami. Zjawa, myślał, czy ziemiska istota? Był jednak prawie pewien, że to nie zjawa.

Człowiek z ostrym nosem skończył wiersz. Zapadła cisza, słycać było tylko nawoływania zimowych ptaków. „Śpiewają sobie te ptaki i wszystko im jedno, mają talent czy nie mają, jest z nich jakiś pożytek czy nie ma – myślał Daniłow. – Zresztą wszystkim tutaj jest wszystko jedno; takie gładkie, wyrównane to miejsce pod osłoną brzoź i topoli, wszędzie równouprawienie...”

Dla Daniłowa śmierć Miszy mieściła się początkowo raczej w sferze wyobraźni niż w realnej rzeczywistości; przejął się wczoraj nie tyle samym faktem, że Misza odszedł na zawsze, ile rodzajem samobójstwa, jaki obrał. Patrzył teraz na uspokojoną twarz nieboszczyka i zdawało mu się, że Misza w ostatniej chwili zdołał rozstrzygnąć wszystko, czemu nie mógł podołać przez trzydzieści sześć lat życia. Śmierć ukazała teraz swoje oblicze, przybrała postać okrutnej, bolesnej realności. Daniłow miał w oczach łzy; żal mu było Miszy, jego żony i dwóch wylęknionych dziewczynek, żal Nataszy i w ogóle życia, żal było siebie. Myślał o tym, że jego kres też może być bliski. Dawniej uciekał się do samozakłamania, usiłował odpędzić myśl o przyszłości przywołując na pomoc beztroskę nadziei. Teraz, nad trumną Miszy Korieniewa, wszystkie złudzenia pierzchły.

Tymczasem do trumny zbliżyło się pięciu młodych ludzi ze skrzypcami. Podnieśli smyczki; zabrzmiała muzyka – smutna, pragnąca wszystkich pogodzić; trzech grabarzy, wspartych o łopaty, patrzyło na skrzypków z zaciekawieniem, bez cienia ironii. Daniłow nie mógł odgadnąć, co to za muzyka – słycał ją po raz pierwszy, ale ktoś stojący obok powiedział: „To kompozycja Miszy”. To, że Korieniew komponował muzykę, było dla Daniłowa niespodzianką, toteż przysłuchiwał się tak, jakby siedział w sali koncertowej i usiłował ocenić, dobra to muzyka czy niedobra. Zrozumiał, że gdyby rzeczywiście usłycał ten utwór w sali koncertowej, oceniłby go jako przeciętny, ale w obecnych nadzwyczajnych okolicznościach kompozycja robiła wrażenie. Towarzyszyły jej głośne szlochania. A potem muzyka ścichła i ścichło wszystko. Żegnano Korieniewa w milczeniu, milczeli nawet grabarze. A gdy zabrano się do zabijania trumny, wdowa z wzrokiem utkwionym w niedosiężnych wyżynach nagle zawołała:

– Muzykę waszą przeklinam!

Ludzie usiłowali ją uspokoić, jedna z dziewczynek przylgnęła do matki łkając: „Nie trzeba, mamusiu, nie trzeba!”, ale wdowa wciąż powtarzała:

– Przeklinam, przeklinam!...

Brzmiało to niesamowicie. Wdowa krzyczała, aż wreszcie straciła siły i znieruchomiła na przyniesionym przez kogoś taborecie.

Rzuciwszy na wieko trumny grudę zamarzniętej ziemi, Daniłow pomyślał, że on sam i reszta zebranych zachowują się jak poganie usypujący zmarłemu kurhan. Ale oto zaczęła się naokoło typowa dla pogrzeboń krzątania: uderzały łopaty o lodowatą ziemię, ludzie tłoczyli się z wieńcami i portretem zmarłego, rozmawiano głośno, spóźnieni dopytywali się, co było przedtem. Daniłow odważył się podejść do Nataszy, ale zauważył, że metalowe ogrodzenie przy sąsiednim grobie jest świeżo pomalowane zieloną jadowitą farbą i że wszyscy, którzy przechodzą obok, plamią sobie tą farbą okrycia. Zatrzymał się przy zielonym ogrodzeniu ostrzegając ludzi:

– Uwaga, świeżo malowane.

– Ach! – powiadali niektórzy machając ręką. – Kto by tam myślał w takiej chwili o drobiazgach! Co to wszystko znaczy wobec wieczności?

A jednak nawet filozofowie stosowali się do ostrzeżeń.

Daniłow z całą powagą pełnił dobrowolną wartę przy ogrodzeniu zerkając od czasu do czasu w stronę Nataszy. Nie ruszała się z miejsca i nie zamierzała podchodzić ani do Daniłowa, ani do grobu. W rękach trzymała róże – białe i czerwone.

Daniłow słyszał wokół siebie:

– Teraz wieńce, dajcie te wieńce... Może tu, na lewo...

– ...nie wiem, chyba po trzy ruble...

– Ani dyrygent nie przyszedł, ani pierwsze skrzypce, ani Tormosian. Nawet na panichidzie nie byli...

– Gdyby jeszcze zmarł naturalną śmiercią, a tak – kto go tam wie, co chciał przez to udowodnić...

– Patrz, tam pod lipą na czyimś grobie jest kierownica od ciężarówki zamiast pomnika. Może na grobie Korieniewa położą skrzypce?

– Wątpię... Właśnie od skrzypiec uciekł, bał się własnego instrumentu...

– Może to choroba psychiczna?

– Ależ skąd, nic z tych rzeczy, po prostu był ostatnio jakiś skryty, nic poza tym. Tylko po kieliszku zawsze powtarzał: „Szaraczki z nas, szaraczki, tacy już zostaniemy do śmierci. Zastanawiam się, czy Paganini był taki sam człowiek jak każdy inny, czy może naprawdę zapisał duszę diabłu...”

– No właśnie, w ostatniej chwili też mocował się z *Kaprysem* Paganiniego...

– Poprzedniego dnia opowiadał mi coś o maszynach. Mówił, że niedługo maszyny zaczną komponować muzykę i będą grały nie gorzej od genialnych wykonawców. Śmiałem się z niego...

– Idziesz na stypę?

– Nie, teraz muszę jechać do Ostankina, mamy tam nagranie... Upiję się gdzieś wieczorem, w knajpie albo w domu.

Ktoś pomógł wdowie wstać i poprowadził ku wyjściu. Wówczas Natasza podeszła do grobu, złożyła na przyprószonej śniegiem ziemi swoje róże. Wdowa dostrzegła ją, stanęła w miejscu i nawet zrobiła ruch, jakby zamierzając powrócić, ale po chwili znowu zobojętniała. Koleżanki podtrzymały ją pod rękę.

Daniłow zaczekał na Nataszę.

– Wolałabym dziś o niczym nie rozmawiać – powiedziała – i proszę mnie nie odprowadzać do domu. Ale gdyby jutro miał pan ochotę na rozmowę ze mną, proszę, tu jest mój numer telefonu.

Podawała mu strzępek papieru, odwróciła się szybko i poszła na lewo, ścieżką prowadzącą wzdłuż cmentarnych ogrodzeń i krzyży. Widocznie nie chciała, żeby widziała ją wdowa po Korieniewie.

Przy bramie cmentarza Daniłow zdecydował się podejść do wdowy. Przeprosił ją i podał białą kopertę, którą wręczył mu wczoraj Mielechin.

– Co to? – zapytała wdowa; była ciągle jeszcze nieobecna i nikt nie wiedział, co tam teraz stoi jej przed oczami.

– Widzi pani... – zmieszał się Daniłow. – Pani mąż miał występ w naszym instytucie... To pieniądze, których nie zdążył odebrać.

– Kim pan jest? – zapytała wdowa.

– Jestem jego znajomym – odpowiedział Daniłow. – Pracuję w instytucie... to znaczy w klubie...

– Dziękuję – powiedziała. – Niech pan wsiada z nami do autobusu, pojedziemy do nas... Uczymy jego pamięć...

Daniłow nie miał innego wyjścia, musiał więc wsiąść do autobusu. Zobaczył tam dużo znajomych, ale na stypę nie miał najmniejszej ochoty: obawiał się, że będzie piątym kołem u wozu. Cieszył się jednak, że wdowa przyjęła pieniądze i że cała ta sprawa, która męczyła go

od rana – a przecież trzeba było to załatwić! – została załatwiona tak naturalnie. Autobus skręcił z Prospektu Pokoju i nie dojeżdżając do stacji metra „Szczerbakowska” zatrzymał się przed znajomym białym budynkiem z loggiami. Daniłow wymknął się ostrożnie, pozostając nie zauważony. „Pójdę sobie teraz do łaźni – pomyślał – dobrze się składa, bo łaźnia jest naprzeciwko...” Właśnie w tej łaźni rozmawiał z Miszą Korieniewem po raz ostatni.

Na szczęście piwa w łaźni nie zabrakło.

W ciemnym bufecie, gdzie na ladzie leżały myjki i mydło, a nad tym wszystkim królował tryskający piwem kran, zebrało się mnóstwo ludzi. Byli tu budowlni w roboczych bluzach, ekspedienci z dużego sklepu „Chemia”, który później spłonął, mistrzowie zmian z zakładów „Kaliber” – i w ogóle kogo tu nie było! Siwa, cała w zmarszczkach, stara bufetowa – popularna Babcia Zina – napełniała kufle nie czekając, aż ustoi się piana, poskramiała pchających się bez kolejki inwalidów i wykrzykiwała co chwila: „Kufle! Kufle! Chłopaki, nie zatrzymujcie kufli! Kto z bańkami, podchodzić, nalewam do baniek!”

Daniłow, uważając, by nie wylać piwa na plecy innych amatorów złotego płynu, przepchał się w kąt bufetu. Dwa kufle postawił na biegnącej wzdłuż całego pomieszczenia ladzie, z której usunął przedtem kawałek gazety z ogryzkami kiełbasy i sera, trzeci zaś kufel opróżnił od razu i pusty przesłał z powrotem do Babci Ziny.

– Masz arszyna? – pchnął go ktoś pod żebro.

– Co takiego? – nie zrozumiał.

– Pytam, czy masz arszyna?

– Nie noszę ze sobą szklanek – odpowiedział Daniłow ze złością i odwrócił się do ściany.

„Tak samo staliśmy tu z Miszą rok temu – pomyślał – i tak samo ktoś pytał nas o szklanekę... Może nawet był to ten sam człowiek... A Misza odpowiedział mu wtedy: «Kup sobie turystyczną»”.

Misza tamtego dnia był w smutnym nastroju, wychylał kufel za kuflem, ale pił bez smaku, nie zwracając uwagi na to, co pije. Daniłow częstował go suszoną rybą. Ryba miała ikrę. Ale spojrzenie Miszy co chwila nieruchomiało; skubał wspaniałe muszkieterskie wąsy z taką wściekłością, jakby zamierzał wyrwać z nich kłak. Początkowo toczyła się między nimi rozmowa cicha i zwyczajna – z tych, jakie wszczyna każdy mieszkaniec Moskwy po długim niewidzeniu się ze znajomym: co słyhać, jak tam leci, gdzie i na jakim stanowisku pracujesz, ile zarabiasz, czy masz dzieci (o żonę nigdy się nie pyta, bo i po co?), jakie masz mieszkanie, co z samochodem. Misza zadawał mu te pytania i na takie same odpowiadał, Daniłow natomiast popijając piwo dowiadywał się stopniowo, że wszystko u Miszy w najlepszym porządku, leci mu nie najgorzej, pieniędzy ma pod dostatkiem, bo przez kilka lat z rządu jeździł z występami na wschód i na północ; byli tam z całym zespołem bigbitowym i z piosenkarką, Misza grał, śpiewał i zdarzały się takie miesiące, że brał do dwóch tysięcy na rękę; no więc ma żyguli i mieszkanie, żona i córki są nieźle ubrane... I nagle coś go opętało: odsunął gwałtownie kufel, piwo chlupnęło na ladę, zaczął mówić z żarem, ze złością, było mu wszystko jedno, czy to Daniłow stoi przed nim, czy też inny jakiś, pierwszy lepszy klient łaźni. „Dosyć już, dosyć! Dosyć! – powtarzał. – Wszystkiego mam powyżej uszu! Pieniądzy, kobiet, rozrywek, komfortu! Wszystko to łuska, celofan. Środki egzystencji! A gdzie egzystencja jako taka? Życie – gdzie życie? Wcześniej czy później każdy z nas zostaje z kwestią istoty życia sam na sam – i czym wtedy jesteśmy? Przegraliśmy życie, Daniłow! Co to jest – życie? Życie to pasja. Życie to pragnienie. Pasja i pragnienie tego, do czego człowiek czuje się stworzony. Wiesz dobrze, Daniłow, do czego jestem stworzony... Tchórzyłem, cały czas tchórzyłem, bałem się dźwigania ciężaru ponad siły, bałem się, że od tego dźwigania będzie mi jeszcze gorzej, bałem się złożenia ofiary i dlatego byłem zdrajcą... Nie jestem wierzący, ale zaskoczyły mnie kiedyś słowa świętego Jana Teologa: «Miłość doskonała precz wyrzuca bojaźń, a kto się boi, jest w miłości niedoskonały». Rozumiesz? A ja się bałem, dla swojej bojaźni szukałem usprawiedliwienia, o które zresztą było mi łatwo, i żyłem lekko;

bałem się i nie dane mi było zrozumieć, co to miłość doskonała – miłość muzyki, kobiety, życia wreszcie... Teraz nienawidzę samego siebie, nienawidzę życia i muzyki też nienawidzę... Może niezupełnie tak, bo muzyki jednak nie przestałem jeszcze kochać... Została mi ta jedna jedyna szansa... Jeszcze coś potrafię... Pamiętasz, co powiedział o moich zdolnościach profesor Władimirski?” Daniłow nie pamiętał, ale na wszelki wypadek skinął głową. Misza nie potrzebował jednak potwierdzenia; powiedział niemal natychmiast, że chodzi teraz do kulturysty, który daje mu specjalne ćwiczenia na wzmocnienie mięśni i ścięgien ramion, przedramienia, palców i dłoni; dzięki tym ćwiczeniom Misza jest już bliski osiągnięcia zamierzonego celu. „Patrz – powiedział – Paganini miał wprawdzie dłuższe dłonie i palce, ale ja teraz uzupełniam swoje braki...” Nie skończył jednak, spojrzał tylko na Daniłowa jak na szpiega i w oczach miał lęk bynajmniej nie podświadomy, niczym człowiek, który wie, że dopuszcza się zdrady tajemnicy państwowej. „Dość – powiedział – muszę już iść”. Szybko, jak lecący trzmiel, przepchał się przez ciżbę i dotarł do wyjścia z bufetu – a gdy stanął na najwyższym stopniu schodków, niczym na katedrze lub piedestale, zawołał do Daniłowa tak głośno, że zagłuszył na moment brzęk kufli i przemycanych szklanek: „Pamiętaj! Kto się boi, jest w miłości niedoskonały!” Powiedziawszy to zniknął.

Nerwowa wylewność Korieniewa sprawiła, że Daniłow poczuł się trochę przygnębiony, ale w gruncie rzeczy pozostał na to wszystko obojętny. Miał już wytyczoną własną drogę w muzyce i mógł Miszy najwyżej współczuć, ale na cóż koledze jego współczucie? W pół godziny później troski codzienne kazały mu całkiem zapomnieć o nurtujących Miszę sprawach. Na owe troski składały się długi, praca społeczna, głupia przegrana Dynama dosłownie w ostatnich minutach meczu ze Spartakiem... Dopiero dziś przypomniał sobie słowa Korieniewa, które miały teraz dla niego inny, całkiem nowy sens.

– Skrzypiec nikt nie potrzebuje? – usłyszał nagle.

Umorusany inwalida o nabrzmiałej twarzy, ubrany w mundur konduktora kolei państwowych, rozpychał zajętych piciem piwa klientów bufetu i denerwował ich niedorzeczną propozycją. Dawno nie golony zarost, biały i miękki, wyglądał na jego policzkach jak piana z piwa. Inwalidę szturchano chroniąc drogocenne kufle, tak jak szturchano go pół godziny temu, kiedy pchał się bez kolejki po piwo argumentując swoje postępowanie tym, że akurat jego wagonem wieziono ponoć Goeringa na proces w Norymberdze.

– Skrzypce nikomu niepotrzebne? Co? Oddam za pół basa!

– Jakie znowu skrzypce?

– Cholera wie, skrzypce jak skrzypce. Ze strunami, w pudle. Duże skrzypce. Pudło – szmelc, a skrzypce lakierowane. Cztery ruble za wszystko.

– A na cóż mi skrzypce, stary? Nie potrzebuję. Kumplowi też niepotrzebne.

– Kup dla syna. Nic tylko chlejesz, o dzieciach nie myślisz. Zawiąż synkowi kokardę na szyi i wyślij go do szkoły. A jak chcesz, możesz tymi skrzypcami gwoździe do ściany wbijać, twarde są, dobre. Albo możesz na strunach chusteczki suszyć czy kalesony.

– Przyznaj, się, stary, komu rąbnałeś te skrzypce?

– Rąbnałem? Uchowaj Panie Boże! Goeringa wiozłem swoim wagonem! Na sąd w Norymberdze. Nigdy w życiu nie kradłem. Znalazłem to na naszym podwórku, na Zandera, leżało na kupie węgla. Tak sobie, po prostu leżało. Chodziłem po kolei do wszystkich muzykantów: jeden na harmonii gra, drugi na organkach, trzeci na elektryczności, a skrzypce nikomu niepotrzebne. Niedrogo chcę, pół basa to niedużo. Ale ani kieliszka mniej. Inaczej rozwałę te cymbały razem z pudłem.

– Zjeżdżaj, stary, poszukaj innych frajerów.

– Przepraszam – wtrącił Daniłow – gdzie pan ma te swoje skrzypce?

Inwalida obrzucił go spojrzeniem, docenił najwidoczniej spokojny, inteligentny wygląd gościa i rzekł:

– Za drzwiami, gdzież by jeszcze. Taki tu ścisk, ze skrzypcami przepchać się nie idzie.

Daniłow, pogrążony we wspomnieniach o Korieniewie, słuchał dotąd nawoływań inwalidy w roztargnieniu, jednym uchem. Teraz jednak poszedł za nim pełen przejęcia, wiedząc niemal na pewno, co ukaże się za chwilę jego oczom. Na ulicy inwalida pokazał mu gestem, że muszą skręcić za róg – i tu, na zamrażającej cuchnącej ziemi, Daniłow zobaczył swoją altówkę. Ściślej mówiąc, zobaczył najpierw stary sfatygowany futerał, ale oto inwalida nieporadnie otworzył wieko i altówka okazała się w środku.

– A szal? – zapytał Daniłow.

– Jaki szal? Jaki znowu szal? – udał zdumienie inwalida uciekając spojrzeniem w bok.

– Był jeszcze szal – powiedział Daniłow zdobywając się wysiłkiem woli na spokój.

– Nie widziałem żadnego szala! Szala mu się zachciewa! – mamrotał rozzłoszczony inwalida. – Nie chcesz brać skrzypiec, to idź do diabła!

Nie ulegało wątpliwości, że szal został przywłaszczony, ale czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Inwalida mruczając coś pod nosem zabrał się do zamykania futerału i Daniłow nie wiedział, co robić. Może krzyknąć, że to jego własność, wyrwać altówkę z rąk eks-konduktora i uciec? Ale inwalida narobił alarmu i ody ten motłoch z bufetu, nie wchodząc w szczegóły sprawy, rzucił się z rozkoszą na Daniłowa, poturbuje go i zdemoluje altówkę. Zaprowadzenie inwalidy na milicję, do budynku pięćdziesiątej ósmej komendy dzielnicowej, tuż obok sklepu „Dieta”, również byłoby niewskazane: inwalida wraz z altówką mógł zwiąć w drodze. Pozostawało tylko jedno – zapłacić.

– Ile pan za nią chce? – zapytał.

– To znaczy za kogo?

– No, za al... za ten instrument.

– Ile! Tyle, ile wart. Pół basa.

– Zgoda – powiedział Daniłow.

Zaczął grzebać po kieszeniach i znalazł rubla z groszami. „Przecież miałem pieniądze – myślał zmartwiony. – Nie wyszedłem z domu z pustą kieszenią...” I nagle przypomniał sobie: owszem, miał pieniądze, ale oddał je na cmentarzu wdowie.

– Proszę pana – powiedział zdenerwowany – nie mam przy sobie takiej sumy...

– Dobra – zlitował się nad nim inwalida. – Dawaj trzy sześćdziesiąt dwie i ani grosza mniej. I tak będzie bez zagrychy.

– Mam tylko rubla i drobne...

– No wiesz! Co to, to nie! – oburzył się inwalida. Podniósł instrument i trzymał go teraz pod pachą. – Za takie duże skrzypce – rubla? Na sikacza nie wystarczy!

Daniłow ujął inwalidę pod rękę, perswadował łagodnie:

– Jedźmy razem do mnie, do domu. To niedaleko, jakieś pół godziny jazdy. Dostanie pan na dziesięć półlitrówek...

– Komu innemu możesz zawracać głowę! – powiedział inwalida ze złością. – Nie masz czterech rubli, to zmiataj.

– W takim razie niech pan na mnie zaczeka – błagał Daniłow. – Za czterdzieści minut będę z powrotem, przywiozę pieniądze.

– Jak nie wypiję za dziesięć minut klina, nie pomoże mi żaden lekarz. Pali mnie w środku po wczorajszym. Jeszcze dziesięć minut, a rozwalę te cymbały w cholerę.

Odwrócił się i z instrumentem pod pachą poszedł z powrotem do piwiarni.

– Chwileczkę! Proszę pana! – zawołał za nim Daniłow.

Ale inwalida pozostał nieugięty.

„Co robić? Co tu robić?” – gorączkowo rozważał Daniłow. Nie chciał, ach, jak nie chciał łamać zasad i korzystać z możliwości nadzwyczajnych: wiedział, że długo sobie tego nie daruje. Ze złości o mało nie tupał nogami, a jednak zwyciężył mocny argument: „Też mi wykroczenie, marne cztery ruble...” Zamknął oczy, przesunął do przodu płytkę bransolety z

literą „N” – i sfrunęły mu do rąk dwa wymięte papierki. Rzucił się za inwalidą, znalazł go w bufecie. Inwalida pił piwo.

– Proszę! Ma pan swoje pieniądze! – zawołał Daniłow.

– Już opyliłem! – roześmiał się inwalida. Otworzył zaciśniętą lewą pięść i Daniłow zobaczył na jego dłoni trzyrublowkę oraz rubla.

– Komu? – przeraził się Daniłow.

– A diabli go wiedzą! Taki kurdupel w czapce z królików... Odpalił forszę z miejsca i jeszcze na piwo dał. Widzisz, jak to bywa, sknerstwo nie popłaca. Pożałowałeś, a teraz jesteś stratny.

– Dokąd poszedł?

– Co mnie obchodzi, gdzie poszedł... Choćby i do Afryki. A ja idę stąd prosto do sklepu.

Daniłow wybiegł na ulicę, rzucił się w jedną stronę, potem w drugą, ale nigdzie nie widać było człowieka w czapce z królików i z instrumentem. Mógł odejść w każdym z dziesięciu dowolnych kierunków. Zresztą na pewno już wsiadł do tramwaju albo trolejbusu... Zrozpaczony Daniłow stanął w miejscu. Jedno go tylko pocieszało – że przynajmniej może wskazać organom ścigania jakiś ślad. I wtedy to zza ceglanego rogu łaźni wyjrzała obrzydliwa szydercza gęba ambitnego szachisty, pana Walentego – wyjrzała, wystawiła czerwony jęzor i znikła.

„Ach, tak! – zrozumiał Daniłow. – To wasze kawały! Nie bardzo wam to wychodzi, poczynacie sobie ze mną jak ze smarkaczem. Podpuszczacie mnie i tylko czekacie, aż stracę panowanie nad sobą, a ja na razie muszę to wszystko znosić. Cierpliwości, Daniłow, cierpliwości. Musisz być cierpliwy. Wystarczy, że popełniłeś już jeden błąd – niewielki wprawdzie, bo cóż to jest cztery ruble – ale fakt, że dałeś się wciągnąć w ich zabawę... Nie to nawet najgorsze, że sprawiłeś im przyjemność, niech się cieszą, tylko to, że złamałeś zasadę. Koniec, kropka. Ta altówka musi przestać dla ciebie istnieć. Nie masz Albaniego – i koniec. Nigdy nie miałeś. I nie będziesz miał...”

Pomyślał jednak, że nie zaszkodzi pójść do śledczego i opowiedzieć wszystko o inwalidzie oraz o tym nieznanym w czapce z królików. Kto wie, może komenda milicji w Ostankinie okaże się bardziej roztropna niż gorliwy kurier, pan Walenty.

Wieczorem grali w teatrze *Jeziro łabędzie*. Daniłow myślał o Nataszy. Chwilami tak się stapał z muzyką Czajkowskiego, że czując się księciem' Zygfydem pragnął wtargnąć w przybrzeżne zarośla trzciny i pokonać złe czary ciężące nad białym łabędziem – Nataszą. W pauzach między jednym a drugim wejściem altówki, kiedy jego instrument, zgodnie z życzeniem kompozytora, nie musiał brzmieć w orkiestrze, wyjmował z kieszeni strzępek papieru z numerem telefonu Nataszy i wpatrywał się w cyfry. Ale oto zły czarownik został zwyciężony, znieruchomiały jego pióra na uprzątniętych w czasie przerwy deskach sceny, zabrzmiały, zapłonęły finałowe akordy – i równocześnie zapłonęły na widowni światła. Dyrygent, który służył w teatrze z wyczulonego ucha, podszedł za kulisami do Daniłowa i powiedział: „Dziękuję!” Daniłow był zdumiony i zażenowany: wiedział wprawdzie, że grał dobrze, ale nie spodziewał się pochwały dyrygenta. „Pańska altówka była dziś ozdobą orkiestry” – dodał dyrygent, po czym ukłonił się i poszedł korytarzem. „Myśli pewnie, że to był Albani” – westchnął Daniłow. Dobrze przynajmniej, że tych słów dyrygenta nikt oprócz niego nie słyszał...

Tamta historia w łaźni sprawiła, że nie miał żadnych złudzeń. Wiadomo, co się stało z jego altówką. Uderzają w najczulsze miejsca: na razie pozbawili go tylko instrumentu, a gdyby się dowiedzieli o bliskim człowieku, gwoli swej wyrachowanej zabawy zmiażdżyliby tego człowieka bez litości. On tymczasem nie miał prawa narażać Nataszy. Powiadomiono go przecież o Godzinie Zero; ten termin, na razie jeszcze mu nic znany, jest już ustalony gdzieś tam, w odpowiednim miejscu, z dokładnością do tysięcznych ułamków sekundy i jego nadejście może być oznajmione w każdej chwili. Los Daniłowa jest już wyważony i

przecedzony przez sito, po cóż więc zawracać dziewczynie głowę i ranić jej serce, skoro jutro on, Daniłow, może obrócić się w nicłość, utracić swoją istotę tak bezpowrotnie, że nie będzie nawet przemiany w jakąkolwiek inną substancję! Nie idzie mu zresztą o siebie, tylko o Nataszę – po cóż ma ona cierpieć z tego tylko powodu, że ktoś się w niej zadurzył? Po co ma odwzajemniać uczucie, które niechybnie przyniesie jej zgubę?

W trolejbusie podarł na kawałki karteluszek z numerem telefonu i wrzucił do skrzynki na wykorzystane bilety. Niewiele to jednak pomogło, zbyt dobrze pamiętał ten numer.

Zazwyczaj po *Jeziorko łabędzim* zasypiał szybko, uspokojony i pogodny, ale dziś przewracał się z boku na bok, choć wydawało mu się, że wcale o Nataszy nie myśli. Zażył środek nasenny, lecz tabletka też nie pomogła: coś wyraźnie przeszkadzało jej działaniu. Nagle płytką z literą „N” na jego bransolecie przesunęła się samoczynnie do przodu. „No tak, już mnie wzywają, zaraz oznajmią termin” – pomyślał Daniłow, aczkolwiek wiedział, że o terminie powiadamia się zazwyczaj w inny sposób. Odebrał ledwo wyczuwalny sygnał informacyjny. Wiadomość była krótka i po jej rozszyfrowaniu Daniłow uświadomił sobie, że Kancelaria Rozkoszy komunikuje o oddelegowaniu na Ziemię niejakiego Karmadona, z którym Daniłow chodził kiedyś razem do szkoły. Wywnioskował też z treści komunikatu, że Karmadon odniósł ostatnio jakieś wspaniałe sukcesy przeprowadzając odpowiedzialną akcję w gwiazdozbiorze Wolarza i że skierowanie dla wypoczynku na Ziemię jest pewną formą nagrody za położone zasługi, Daniłow zaś ma zatroszczyć się o zakwaterowanie kolegi i o jego rozrywkę. „Zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, że wyznaczono mi Godzinę Zero! – pomyślał. – Zresztą co mnie to wszystko obchodzi”.

Przesunął płytkę bransolety i wkrótce zasnął, ale przed snem znowu przypomniał sobie słowa Miszy Korieniewa: „Pamiętaj, Daniłow: kto się boi, jest w miłości niedoskonały!”

Rano, o pół do szóstej, obudził go telefon. „Może Natasza?” – przeszło mu przez myśl. Zerwał się z łóżka, ale dzwoniła nie Natasza, tylko jego była żona Klaudia.

– Słuchaj, Daniłow – powiedziała. – Wychodzę za męża. Za profesora Wojnowa.

– Słyszałem to nazwisko – odpowiedział Daniłow usiłując nie ziewać. – To ten od ekonomiki Turcji... Gratuluję.

– Mam dziś bardzo ważny dzień. Zaczyna się mój okres próbny u boku profesora i nie zdążę pozafatwiać wszystkich swoich spraw. Musisz mnie wyręczyć, proszę cię jak przyjaciela – rzekła Klaudia stanowczo.

– To znaczy w jakim sensie wyręczyć? – zaniepokoił się Daniłow.

– Załatwić różne moje sprawy, służbowe i domowe. Muszę mieć rozwiązane ręce, sam rozumiesz. Niełatwo zaspokoić takiego człowieka jak Wojnow, początki będę miała trudne.

– Ale cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego? – wykrzyknął Daniłow odwołując się do najwyższych tenorowych rejestrów swego głosu. – Mamy oficjalny rozwód!

– Ach, jakiś ty niezośny! Obiecałeś przecież, że na zawsze pozostaniesz moim przyjacielem... Zlituj się nade mną, błagam! Co, Daniłow?... Poza tym wybaczone, że ci o tym przypominam, ale mógłbyś przecież być ojcem mojego dziecka... Nawet kilkorga moich dzieci... – Te ostatnie słowa Klaudia wypowiedziała z dawną czułością, a równocześnie z nutą groźby, jakby dając do zrozumienia, że ma wszelkie prawa do roszczeń i że przez jego upór będzie zmuszona z tych praw skorzystać, choć jest to oczywiście środek ostateczny i w ogóle – w złym guście.

– Na miłość boską... – zaczął Daniłow, ale Klaudia natychmiast przerwała mu takim głosem, jakim mogłaby przemówić Plisiecka tańcząca *Umierającego łabędzia* Saint-Saënsa, gdy tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia trzepocze po raz ostatni słabnącym skrzydłem:

– Jeśli nie pomożesz mi teraz, powieszę się, znasz mnie dobrze...

– No, zgoda – westchnął Daniłow. – Ale mam czas tylko przed południem.

– Doskonale! – zawołała radośnie Klaudia. – Na jeden tydzień!...

Natychmiast podyktowała mu cały wykaz spraw, które należało załatwić.

Wykaz zawierał szesnaście punktów. Daniłow spisywał wszystko po kolei i myślał o tym, że dziś na pewno znowu nie odbierze z pralni chemicznej granatowych spodni. W nadziei na ratunek marzył, by zdarzyło się coś nadzwyczajnego: na przykład, żeby przesunęła się samoczynnie płytki bransolety albo nadszedł jakiś całkiem nieoczekiwany sygnał powiadamiający o przybyciu Karmadona. Ale żaden sygnał nie nadchodził. „Szkoda – pomyślał – byłby to z pewnością najlepszy pretekst do uwolnienia się od Klaudii”. Gdyby, dajmy na to, rozzłościć Karmadona, mógłby obrócić Klaudię w proch. Tymczasem Karmadona wciąż nie było: może wstrzymano mu premię albo nie dostał zaliczki na podróż.

Daniłow, choć nie miał najmniejszej ochoty pertraktować z instancjami, a tym samym przypominać im o własnej osobie, mimo wszystko musiał to zrobić. W związku z zapowiedzianą wizytą Karmadona zażądał od Kancelarii Rozkoszy wyposażenia go w specjalny indyktor przypominający licznik Geigera i przeznaczony do wykrywania obecności sił nadprzyrodzonych. „Łatwiej mi będzie zlokalizować Karmadona w przestrzeni” – wyjaśnił w uzasadnieniu swej prośby. Natychmiast jednak pomyślał mrużąc w strachu oczy: „Zaraz mi tak odpowiedzą, że się nie pobieram”. Wbrew obawom, indyktor został mu dostarczony niezwłocznie. „Co się dzieje? Może oni tam naprawdę nie wiedzą, że jestem spalony?” – zdumiał się Daniłow. Indykator wyglądał jak długopis marki Reinholds i na obecność sił nadprzyrodzonych reagował wyświetlaniem ukazującego się od wewnątrz

wizerunku kobiety o rubensowskich kształtach, która to dama nie miała na sobie nic prócz wysokich czerwonych botków. „No, panie Walenty, radzę teraz mieć się na baczności!” – ucieszył się Daniłow.

Nazajutrz rano, zgodnie z podanym przez Klaudię wykazem nie cierpiących zwłoki spraw, należało zgłosić się w zaułku Nastazji pod numerem ósmym. Na dołączonej przez Klaudię karteczce, pachnącej drogim lakierem do paznokci, napisane było zgrabnym, leniwym pismem: „Kolejka. Chłopobudy (budochłopy)”. Ten solidny dom, dawną kamienicę czynszową, Daniłow odszukał bez trudu. Idąc schodami na górę przeskakiwał po dwa stopnie naraz, niemniej znalazł się na pierwszym piętrze nie tak znowu szybko: odzwyczał się od starego budownictwa, w swoim bloku spółdzielczym zdążyłby w tym czasie dotrzeć na strych. W myśl instrukcji pisemnej zadzwonił do drzwi mieszkania nr 3. Na drzwiach widniała miedziana tabliczka z ozdobnym napisem: „Jurij Rostowcew, absolwent dwóch wyższych uczelni” – a nieco poniżej, w nawiasach, dopisane było drobnym drukiem: „W tym jednego uniwersytetu”. Drzwi uchyliły się z lekka, wyjrzał z nich wysoki mężczyzna w okularach, o twarzy rumianej i beztroskiej, jak u dobrze odżywionego bobasa. Patrzył na Daniłowa z ciekawością, a zarazem z pewnym niedowierzaniem, jakby czegoś oczekując: może umówionej formuły powitania, a może nawet hasła.

– Chłopobudy?... – zapytał Daniłow na wszelki wypadek.

– Budochłopy – skinął głową Rostowcew (bo to był właśnie on), czy to poprawiając Daniłowa, czy też odpowiadając na hasło. Drzwi jednak otworzył i przywitał gościa uśmiechem.

Daniłow, choć usposobiony w tej chwili bardzo oficjalnie, odnotował mimo woli niezwykle urok osobisty rumianego gospodarza. „Taki nie zawiedzie – pomyślał – z takim żadne opresje niestraszne, w kolejce po piwo nikt nie da w pysk; taki może nawet poprosić w restauracji o czysty obrus i kelner nie ciśnie w niego salaterką...” Sam również nie mógł narzekać na brak uroku osobistego, ale czy zawsze był tak pewien siebie? Niestety, nie zawsze.

– Chciałbym sprawdzić moją kolejkę – powiedział.

– Proszę za mną – odparł Rostowcew, po czym zamknął drzwi i zniknął w bocznym pokoju. W jego dłoni Daniłow zauważył wrzosową fajkę – niewątpliwie starej roboty, może z pracowni samego mistrza Fiodorowa.

Mieszkanie miało olbrzymi przedpokój; w bloku, w którym mieszkał Daniłow, z takiego przedpokoju zrobiono by co najmniej salę do gry w słupki albo na wszelki wypadek odgrazono go po prostu od reszty pomieszczeń deskami i dyktą. Tutaj natomiast, w obszernym przedpokoju, gdzie widniały między innymi wieszaki, dziecięcy wózek, rowery oraz wisząca na mocnym gwoździu ocynkowana balia, tłoczyły się dziesiątki ludzi. Daniłow przyjrzał się im w świetle żarówki i stwierdził, że towarzystwo jest doborowe: dobrze ubrani, kulturalni panowie i panie, nikt nie pali, nie pcha się, tak jak to bywa zazwyczaj w kolejkach, rozmawiają półgłosem. Prawie nie widać było młodzieży, zwłaszcza tych długowłosych dryblasów; nieliczni młodzi ludzie byli wyraźnie onieśmieleni, niepodobni do swoich rówieśników z pospólstwa – widać było, że pochodzą z dobrych domów i że przyszli tu w zastępstwie starszych. Większość oczekujących należała do średniego pokolenia, które w naszych czasach odznacza się najwyższą aktywnością: trzydziesto- i czterdziestolatki w pełni sił witalnych, których prawdziwy rozkwit miał dopiero nastąpić. Pan domu, absolwent dwóch wyższych uczelni, był z nich wszystkich bodaj najskromniej ubrany i wygląd miał najmniej nobliwy, aczkolwiek fajkę miał nie byle jaką. Były tu damy – dorodne, zadbane, w drogich kreacjach – i Daniłow pomyślał, że Klaudia ma wszelkie dane, by prezentować się w tym towarzystwie całkiem nieźle. Przypomniało mu się, że idąc tutaj widział w pobliżu domu i na sąsiedniej ulicy Czechowa dużo prywatnych samochodów – przeważnie wołgi, wśród których

nie zabrakło jednak wspaniałych opli i peugeotów z moskiewską rejestracją. Nie uległo wątpliwości, że tymi samochodami przybyli tu klienci Rostowcewa.

– O, pan też tutaj?

Daniłow obejrzał się: stał przed nim Kudasow.

– Ja w zastępstwie – powiedział.

– A numerek? Jaki pan ma numerek?

– Żadnego...

– Pan może nie mieć żadnego, ale osoba, którą pan zastępuje, musi mieć numer. Jaki, jeśli nie sekret?

– Zaraz zobaczę – powiedział Daniłow – mam gdzieś zapisane... Chyba dwieście siedemnaście...

– No, ja mam trochę wcześniejszy – powiedział Kudasow. – Pan pewnie w zastępstwie pani Klaudii?

– Tak...

– Niech pan ten numerek napisze sobie na dłoni.

– Po co?

– Jak to po co? Dla pewności. Wszyscy tu tak robią... Proszę, służę długopisem.

Daniłow chcąc nie chcąc musiał napisać na dłoni: „217”. Zwracając z podziękowaniem długopis powiedział:

– Dawno już nie miałem numerków na dłoni...

– Trudno. Takie tu zwyczaje.

Było duszno i Daniłow rozpiął płaszcz.

– O, widzę, że jednak ma pan długopis – natychmiast zauważył Kudasow na widok znanego już nam indykatora.

– Ten długopis nie pisze – uprzedził pospiesznie Daniłow.

– Szwedzki?

– Szwedzki.

– Mogę zobaczyć?

– Proszę – westchnął Daniłow, no bo cóż innego mógł powiedzieć?

Podał mu „długopis” myśląc tylko o tym, żeby, uchochaj Boże, nie ukazała się nagle goła rubensowska kobieta w botkach. Ale w mieszkaniu Rostowcewa nie było jak widać żadnych sił nadprzyrodzonych, toteż obawy okazały się bezpodstawne.

– Potrafią robić ładne rzeczy – powiedział Kudasow zwracając indykator.

– Potrafią – zgodził się Daniłow.

– To chyba niedrogi długopis?

– Niedrogi.

– Ale co za robota...

Daniłow, znając Kudasowa nie od dziś, przeczuwał, że może być za chwilę postawiony w takiej sytuacji, kiedy nie pozostanie mu nic innego, jak sprezentować rozmówcy ten „tani szwedzki długopis”, przy czym Kudasow będzie się jeszcze certolił. „Co to, to nie. Figa z makiem!” – postanowił w duchu.

Na szczęście indykator został uratowany: otworzyły się boczne drzwi i do przedpokoju szybkim krokiem weszło kilka osób – niewątpliwie tych samych, na które czekano. Każdy z kroczących w orszaku miał zatroskany i znaczący wyraz twarzy; nie patrząc na nikogo przeszli do innego pokoju niczym ministrowie podążający w przededniu wielkich wydarzeń z konferencji zwyczajnej na nadzwyczajną. Tłum poruszył się, ustąpił z drogi; zmuszony do oczekiwania, przybladł nagle, stracił swój szykowny wygląd. Damy stawały na paluszkach, żeby lepiej widzieć członków ekipy rządzącej. W czołówce Daniłow zauważył małego człowieczka z czarną bródką – osobnik ten, zwinny, lekki i stanowczy, dodawał orszakowi powagi i dyktował rytm marszu. Był to znany socjolog Obłokow, doktor habilitowany;

Daniłow poznał go na jakimś przyjęciu. Dostrzegł także jeszcze jedną znajomą postać: w orszaku szedł dyrektor dużego sklepu, Gałkin. Dama w zimowej peruce, płonąca podnieceniem, zwróciła się do Daniłowa i Kudasowa:

– Kim jest ten pan, ten w popielatym ubraniu?

– To redaktor z telewizji, specjalista od zagadnień międzynarodowych – powiedział Kudasow, po czym dodał z urazą w głosie: – Pełno go wszędzie!

– Ach, nie! Nie tamten w popielatym, tylko ten drugi, który z tyłu szedł, też w popielatym!

– Lekarz.

– Kosmetolog?

– Dietetyk.

– A gdzie jest ginekolog?

– Skąd mogę wiedzieć! – fuknął Kudasow ze złością i odwrócił się od damy w peruce: widocznie pojawienie się w tej ekipie specjalisty od zagadnień międzynarodowych wpłynęło ujemnie na jego pojęcie o kurtuazji.

Ważne osobistości przeszły i zamknęły za sobą drzwi. W przedpokoju od razu zrobiło się gwarno: kolejka miała za chwilę ruszyć. Zaczynało się nareszcie to, w imię czego trzeba było zrywać się skoro świt i czekać wytrwale, nie wychodząc nawet na papierosa.

– A pan? – zwrócił się Kudasow do Daniłowa kontynuując przerwany temat. – Przegapił pan czy nie udało się tutaj dostać?

– Jakoś czasu ciągle brakuje...

– Szkoda. Zresztą dobrze wiem, co z pana za człowiek – pokiwał głową Kudasow. – Żyje pan beztrosko, z dnia na dzień, dzieci nie ma, więc nie musi myśleć o przyszłości.

– Cóż ja mam za przyszłość – westchnął Daniłow.

W tejże chwili rozległ się twardy głos:

– Numer pierwszy!

Ściśle przestrzegając kolejności ludzie wchodzili do pokoju, w którym zasiadała wysoka komisja. Powracali stamtąd szybko i z wyrazem zadowolenia na twarzach opuszczali mieszkanie Rostowcewa. W miarę posuwania się kolejki Daniłow zdążył rozpiąć wszystkie guziki płaszcza i swoją kudłatą czapkę z nutrii, którą Murawłow zdobył jakimś cudem za dwadzieścia rubli w podmiejskim salonie mody, powiesił na krzywym rogu ocynkowanej balii. Oszacował orientacyjnie prędkość posuwania się kolejki i zrozumiał, że półtorej godziny ma z głowy. „No wiesz, Klaudio...” – powiedział w duchu, ale na dobrą sprawę sam był sobie winien.

Wreszcie, chowając portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki, przeszedł obok Daniłowa uśmiechnięty Kudasow. W pół godziny później wywołano numer dwieście siedemnasty. Daniłow ruszył w stronę drzwi, ale przypomniał sobie o czapce: obawiał się o nią trochę, zwłaszcza że obok przeszedł z patelnią w ręku rumiany bobas Rostowcew zmierzający widocznie do kuchni i Daniłow pomyślał, że mimo całego uroku pan domu ma typowo zbójcecką gębę, a więc z pewnością ukrywa gdzieś w tym mieszkaniu zrabowane skarby.

– Numer dwieście siedemnasty! – padło znowu.

„Trudno – zdecydował Daniłow – ostatecznie czapka to nie altówka i żadnych duchów tu nie ma...” Wszedł do dużego pokoju, który wyglądał na jadalnię.

– Numer dwieście siedemnasty?

– Tak – odpowiedział z uśmiechem Daniłow – dwieście siedemnasty.

Pokazał dłoń z napisaną cyfrą.

Socjolog Obłokow nie zadawał pytań osobiście, choć Daniłow zrozumiał od razu, że właśnie Obłokow jest tu główną postacią. Pytania zadawał postawny człowiek o gęstych łąciatych bokobrodach i wąsach w nieokreślonym kolorze, siedzący jako trzeci od lewej strony. Trzymał w ręce długopis i miał przed sobą zielony zeszyt – ni to rejestr, ni to dziennik pokładowy.

Całe to gremium, zasiadające przy pustym stole obiadowym przykrytym hinduską ceratą zdobną w motywy szaszłykowe, a więc wszyscy oni – dziewięć osób – sprawiali wrażenie komisji egzaminacyjnej, mimo że trudno było wyobrazić sobie posiedzenie tego typu komisji w pokoju z telewizorem, orzechowym tremo i marmurową umywalką. Wystroju wnętrza dopełniały stare rzeźbione szafki i niemieckie makaty na ścianach – dzikie gęsi mknęły po niebie na tych makatach i hasały króliki wokół pochylonej nad strumykiem jasnowłosej Gretchen, najwidoczniej córki młynarza. Członkowie komisji znowu sprawili na Daniłowie wrażenie osobistości tak znaczących i wybitnych, że uświadomił sobie natychmiast dzielący ich dystans, nawet poczuł się na chwilę onieśmielony, tak jakby stał u podnóża piramidy Cheopsa, inaczej mówiąc, piramidy Chufu, z której wierzchołka, z wysokości gigantycznych kamiennych bloków, patrzyli na niego ci oto ludzie.

- Daniłow – przedstawił się z ukłonem.
- Takiego nazwiska nie mamy na liście – powiedział Łaciaty.
- Ja w zastępstwie pani Klaudii Sobolewej – sprostował Daniłow.
- Dlaczego pani Sobolewa właśnie pana upoważniła?
- Jestem jej byłym mężem.

Łaciaty spojrzął z powątpiewaniem na Obłokowa, tamten skłonił głowę i powiedział szybko:

- Były mąż to osoba godna zaufania.
- Mimo wszystko poproszę o jakiś dowód tożsamości – nie dał za wygraną Łaciaty.

Przewertował dokładnie legitymację teatralną i dowód osobisty Daniłowa, po czym wszystkie dane z dowodu – serię, numer, datę i miejsce wystawienia dokumentu – zanotował w zielonym zeszycie.

- Dobrze – skonkludował – rezerwujemy miejsce dla pani Sobolewej.
- Czy mogę już iść? – zapytał Daniłow.
- A składka?
- Jaka składka?
- Piętnaście rubli.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział Daniłow. – Nie mam przy sobie piętnastu rubli. Proszono mnie o sprawdzenie kolejki, tylko tyle.

– Pani Sobolewa doskonale wiedziała o konieczności uiszczenia opłaty – oznajmił ponuro człowiek w drogich okularach, specjalista od zagadnień międzynarodowych. Daniłow wyraźnie nie przypadł mu do gustu.

- Może pan pożyczyć od kogoś piętnaście rubli – poradził Obłokow.
- W kolejce na pewno znajdzie się ktoś z pańskich znajomych.

Słyszając te słowa Gałkin, dyrektor sklepu, zaczął ze szczególną uwagą wpatrywać się w hasające wokół ślicznej Gretchen króliki.

– Nie mam tu żadnych znajomych – odparł Daniłow ciesząc się, że Gałkin usiłuje na niego nie patrzeć.

- No cóż... – rozłożył ręce Obłokow.

– Jesteśmy zmuszeni – powiedział surowo Łaciaty – przenieść panią Klaudię Sobolewą na koniec kolejki. Nowy numer zostanie jej podany po uregulowaniu składki.

- Jak to?... – zmieszał się Daniłow. – Zgłosi się sama jeszcze dziś i zapłaci.

– Prawa kolejności są ściśle określone i niepodważalne. Nigdy nie robimy i nie zamierzamy robić wyjątków.

– Iw ogóle – dodał specjalista w drogich okularach nie patrząc na Daniłowa – uważam, że nie mamy obowiązku polemizowania z przypadkowym klientem.

Zapadła cisza. Daniłow wpatrywał się z nadzieją w Obłokowa, ale tamten również pozostał nieugięty.

- Dziękuję – powiedział Daniłow. – Do widzenia.

Nikt nie raczył odpowiedzieć.

„Poważni ludzie” – pomyślał.

Czapka z nutrii wisała sobie spokojnie na krzywym rogu ocynkowanej balii i Daniłow natychmiast sięgnął po swoją własność. „Pomyśleć tylko, nikt nie ukradł!” – stwierdził z podziwem.

W przedpokoju znowu pojawił się Rostowcew, absolwent dwóch wyższych uczelni; mocny tytoniowy dym wydobywał się z cennej fajki, na ramieniu gospodarza siedziała zielona papuga. „Pirat, rzeźmieszek!” – powtórzył w duchu Daniłow.

Wyszedł na ulicę. „Dobrze się stało, teraz Klaudia będzie miała nauczkę za sknerstwo!” – pomyślał czując się mimo wszystko trochę rozżalony, tak jakby nie Klaudia, tylko on sam został przeniesiony na koniec kolejki. Teraz cała ta historia z pozbawieniem jej numeru wydawała mu się pogwałceniem sprawiedliwości. „Jakie oni mają prawo! – myślał oburzony. – Ja im nie popuszczę, ja im pokażę! Biurokraci!...”

Zadzwoił do Klaudii z automatu.

– Słuchaj, Daniłow! – Głos Klaudii brzmiał niczym górski strumyczek. – Dzwonię i dzwonię do ciebie, a ty... Zaraz ci opowiem, jak idzie mi z Wojnowem, to cię na pewno ucieszy. Powiedz tylko najpierw, jak tam moja kolejka? Byłeś?

– Owszem – odpowiedział Daniłow.

– Świetnie! Zawsze powtarzałam, że jesteś kochany, cudowny chłopak. Słuchaj, robiłam wczoraj na drutach skarpetki dla Wojnowa, możesz sobie wyobrazić, ile mnie to kosztowało, a jednak zrobiłam całą piętę! A przy tym prowadziłam z nim rozmowę towarzyską... Wiesz, on najbardziej lubi duszoną marchewkę i rosół z klopsikami. Wszystko mu sama upichciłam!

„Żeby to dla mnie przynajmniej raz zrobiła na drutach skarpetki” – pomyślał Daniłow, po czym powiedział surowym tonem:

– Wybacz, ale nie interesują mnie ani pięty, ani klopsiki, zarówno jak profesor Wojnow i ten twój staż u jego boku.

– Ależ, Daniłow...

– No więc byłem tam, gdzie mnie wysłałaś, ale przeniesiono cię na sam koniec kolejki.

– Tak przypuszczałam! Wiedziałam! Masz węża w kieszeni!

– Nie trzeba było stawiać mnie w głupiej sytuacji, mogłaś uprzedzić o składce i dać mi pieniądze.

– Boże, co za pech! Po prostu nie masz serca! Nie mogłeś założyć ze swoich albo od kogoś pożyczyć?

– Dziękuję za dobrą radę.

– I co ja teraz zrobię?

– Nie wiem... W ogóle co to za towarzystwo, te budochłopy, chłopobudy czy jak im tam?

– Ciszej, ciszej, to tajemnica...

– Tajemnica? Świetnie. Teraz wszystkie twoje sprawy niech zostaną dla mnie tajemnicą. Listę, którą mi dałaś, odeślę pocztą...

– Zaczekajże, po prostu to rozmowa nie na telefon. Gdzie teraz jesteś?

– Na Gorkiego. Idę do sklepu z garmażerią.

– Dobrze, będę tam za dwadzieścia minut.

„Rzeczywiście, tylko ciebie mi tutaj brakowało” – myślał Daniłow stojąc przy ladzie w barze garmażeryjnym dawnego sklepu „Ukraina” i żując kanapkę z tłustą jak słonina kiełbasą. Teraz, kiedy życie wisało na włosku, targały nim porywy buszującej w jego sercu muzyki, dręczyła świadomość, że ma w tej muzyce tyle do zrobienia. Nataszy, mimo rozpaczliwych wysiłków woli, nie dało się wyrzucić z głowy, altówka zniknęła pewnie już na zawsze – można więc sobie wyobrazić, jak się czuł w obliczu zbliżających się ostatecznych rozrachunków, tymczasem musiał zajmować się bzdurami. Klaudia, ta pusta i zwariowana baba, wcale nie była mu potrzebna, zresztą sama też traktowała go wyłącznie jako narzędzie

pomocnicze – tak mniej więcej, jak majtek pokładowy traktuje swój bosak albo wędkarz znad Newy – słoik na robaki. „Dość tego! Odchodzę!” – pomyślał i akurat w tym momencie ukazała się w drzwiach Klaudia, słodka jak biszkopt z marcepanem w polewie czekoladowej. Miała na sobie futro z lisów i lisią rudą czapkę.

– Co do Wojnowa, możesz być spokojny – powiedziała. – Wszystko w porządku, odpukać w nie malowane drewno.

– Jestem całkowicie spokojny.

– A teraz o kolejce. Jak mogłeś? Nie miałeś przy sobie piętnastu rubli?

– Rzeczywiście, jak mogłem – powtórzył z ironią Daniłow.

– No, dobrze już, dobrze – poddała się Klaudia. – Moja wina. Ale sam chyba rozumiesz: o kolejce nikomu ani słowa! To eksperyment... Można zapeszyć, rozumiesz?

– Nie rozumiem – przyznał się szczerze Daniłow.

– Ach, jakiś ty... Pamiętasz, jak to było z teatrem „Sowriemiennik”? Najpierw kilku młodych, zawsze głodnych, nikomu nie znanych aktorów zaczęło zbierać się razem: nad czymś tam pracowali po nocach, przedpołudniami, przy kawie, kłócili się, sprzeczali, w coś tam wierzyli, a potem nagle – niespodzianka! Premiera: *Wiecznie żywi!* Nowy teatr! Bilety od koników, własny bufet! A teraz przyjął ich na swoje łono MChAT. Tak i tutaj. Bezinteresownie, poza godzinami pracy...

– Przepraszam, a składki? Piętnaście rubli od łebka – nie bardzo mi to wygląda na bezinteresowność.

– E tam! – machnęła ręką Klaudia. – Toteż nie są głodni i trudno powiedzieć, żeby byli nikomu nie znani. Wręcz przeciwnie. I każdy z tych ludzi ma przed sobą przyszłość, co daje nam dobrą gwarancję...

– Ale co to oznacza – „budochłopy”?

– Chłopobudy – poprawiła go Klaudia. – Mówiąc językiem naukowym – zespół inicjatorów zgrupowany pod hasłem: „Chłodna ocena przyszłości, obiektywna i udoskonalona”, w skrócie chłopobudy. Wszystko to Rostowcew wymyślił.

Obejrzała się i zaczęła mówić dramatycznym szeptem, to znaczy nie tyle dramatycznym, ile złowieszczym. I znowu jest to określenie nie dość ściśle: Klaudia nie umiała mówić tonem dramatycznym ani złowieszczym, a więc ten jej szept należałoby określić raczej jako zagadkowy – szeleszczący i pełen tajemniczości. Rozpięła miedziane klamry futra i na jej wypielęgnowanej szyi zaśniły japońskie hodowlane perły. Wyjaśniła, że do zespołu inicjatorów chłodnej oceny przyszłości weszły najznakomitsze umysły, przedstawiciele kluczowych gałęzi nauki. Cybernetycy z Instytutu Łużkowa, mający dostęp do komputera, byli im potrzebni jedynie do prowadzenia prac pomocniczych związanych z ewidencją dochodów, strat i temu podobną matematyką – wyższą czy elementarną. Właściwy zaś trzon zespołu składał się z socjologów, którym przewodził słynny Obłokow, a także futurologów i prawników. Wspomagało ich kilku psychologów i filozofów, dwóch freudystów amatorów, specjaliści od zagadnień ekonomicznych, międzynarodowych i Bóg wie jakich jeszcze; był nawet pewien literat – po to, by redagować akta i protokoły, a gdyby zaszła potrzeba – opisywać osiągnięcia chłopobudów w przystępnej i klarownej formie. W sprawach podrzędnych, czyli w przypadku rozmaitych konsultacji i poczynań praktycznych, zamierzano korzystać (i nieraz już korzystano) z pomocy przedstawicieli wszystkich niemal zawodów: kierowników administracji budynków mieszkalnych, propagandystów, motorniczych, lekarzy, myśliwych, kynologów, fryzjerów, pedicurzystek, zegarmistrzów, chirurgów specjalizujących się w operacjach plastycznych, wykładowców wyższych uczelni, modnych krawców ze słynnego domu mody Zajcewa, detektywów, projektantów wnętrz, hodowców rybek, przewodniczących rad zakładowych – iw ogóle wszelkich możliwych fachowców, oczywiście nie chorych i nie starych, najlepiej przed czterdziestką – słowem, takich, którzy z pewnością nie opuszczą swych posterunków co najmniej przez następnych dwadzieścia lat.

– No dobrze – powiedział Daniłow. – Ale po co ci to wszystko?

Delikatna dłoń Klaudii o pulchnych palcach, na których lśniły dwa niebywale piękne pierścienie – jeden z karneolem, drugi z brylantem – zawisła nad czystym spodeczkiem i lekkim ruchem strzepnęła na fajans grudkę popiołu z papierosa „Winston”.

– To sprawa skomplikowana – odpowiedziała Klaudia. – Natury filozoficznej. Trudno wyrazić to w słowach, trzeba na sobie doświadczyć... Tak jest, doświadczyć. W dodatku potrzebna tu szczególna intuicja. Ty tego nie zrozumiesz albo zrozumiesz opacznie.

– A jednak? – zapytał Daniłow. – Może jednak zrozumiem, przynajmniej częściowo?

– Widzisz – powiedziała Klaudia – każdy szanujący się, przyzwoity człowiek chce żyć dobrze, nawet lepiej niż dobrze. Chce zająć taką pozycję, jaka mu odpowiada. Powiedzmy, znaleźć się nie wśród ostatnich, ale wśród pierwszych, a jeśli nie pierwszych, to przynajmniej ósmych – mam na myśli miejsce w hierarchii społecznej.

– Uważasz, że za mojej kadencji byłaś wśród tych ostatnich?

– No, może nie ostatnich, ale na pewno wlokłam się gdzieś w ogonie. Nie miej do mnie żalu, mój drogi, niestety, to prawda. Ale z dzisiejszej – swojej pozycji jestem zadowolona, a gdyby jeszcze wyszło mi z Wojnowem, byłabym całkowicie spokojna. Oczywiście, tylko na jakiś czas... Przecież u podstaw życia leżą silne emocje, potrzebna nam pasja!

– Pasja? – zdziwił się Daniłow.

– Tak – potwierdziła. – Pasja. Dla ciebie życie to tylko odczucia, a ja chcę pasji. Nie wymyśliłam tego sama, taka teraz moda.

– Przypuszczam, że sama nie wymyśliłaś...

– No więc teraz mam prawie wszystko, a z Wojnowem będę miała jeszcze więcej. Jestem przeciętną kobietą, ale znam swoją cenę. Ładna. W kwiecie wieku. Jak uważasz, jestem ładna?

– Jesteś – zgodził się Daniłow.

– Czego potrzeba kobiecie? Sławy? Powodzenia w pracy społecznej? Obejdę się bez tego, jestem dostatecznie wyemancypowana. Sławy zawodowej nie chcę nawet za darmo, to nie w moim stylu, praca jest dla mnie tylko odskocznią od spraw domowych poniżających kobietę, niszczących jej osobowość – spójrz choćby na swoją znajomą, Tamarę Murawlową: ugrzęzła w codzienności do tego stopnia, że wystaje jej tylko czubek głowy z warkoczem. Naturalnym, zresztą... Nadmiernych napięć też nie potrzebuję, nie każdy musi w tym gustować. Na inną sławę liczyć nie mogę: niestety, nie będę już ani Zofią Loren, ani Nadieżdą Pawłową...

– Uważasz, że gdybyś się postarała we właściwym czasie, mogłabyś liczyć na taką sławę? – zapytał Daniłow.

– Ach, dajże spokój! Masz słuchać, bo mówię poważnie. No więc odrzucam sławę i wzniosłe czyny. I właśnie tutaj pierwsza moja dewiza: nie być w miłości nieszczęśliwą i nie unieszczęśliwiać mężczyzny. Albo mężczyzn, jak wolisz.

– Naturalnie, masz na myśli nie takich mężczyzn jak ja – powiedział Daniłow.

– Ach, kotku, sam rozumiesz: człowiek z ciebie lekkomyślny, żadna pewna firma. Możesz zaimponować niedoświadczonej romantycznej gąsce, ale nie potrafisz dać szczęścia kobiecie wymagającej, hojnie obdarzonej przez naturę. Weźmy choćby sprawę tej głupiej składki... Nie myśl sobie, wcale nie żałuję naszej przeszłości i jestem ci wdzięczna za mieszkanie, ale pomijając wszystko jesteś tylko szarym członkiem orkiestry, jednym z wielu. Profesor Wojnow to całkiem coś innego – silna osobowość, człowiek czynu. Wojnow da mi wszystko – to znaczy mogłabym to wszystko osiągnąć sama, ale on mnie poprowadzi. Będę wtedy kimś. Zajmiemy taką pozycję, której nikt nam nie odbierze. Nikt już nie przesadzi mnie na gorsze miejsce. Otworzę własny salon.

– Wybacz, ale taka, powiedzmy, Zinaida Wołkońska sama była atrakcją dla swoich gości: komponowała muzykę, pisała wiersze, pianistka też była z niej niezła...

– Ach, Daniłow! Ta twoja Wołkońska nigdy w życiu nic nie robiła, a ja pracuję dla dobra społeczeństwa... Czterdzieści roboczogodzin tygodniowo... Ale to, co powiedziałam o Wojnowie, to tylko jedna strona medalu. Jest jeszcze druga. Będziemy mieli własny samochód, i to nie ładę, tylko wołęgę; dom za miastem też będzie – nie jakaś tam szopa na działce, ale przyzwoita profesorska willa w Zagoriance... Do tego dwa mieszkania...

– Dwa? – poderwał się Daniłow.

– Mówiłeś coś? – spojrzała na niego Klaudia i widząc, że za chwilę rozmowa może przybrać niekorzystny dla niej obrót, pośpiesznie ciągnęła dalej: – Naturalnie, trzeba będzie wyjechać za granicę. Wojnow obiecał, że wywiezie mnie na jakieś trzy lata, zwłaszcza że ma w planie zagraniczny wyjazd służbowy. Oczywiście, nie pojedziemy do Turcji – co tam Turcja! Te Turki nic tylko żłopiają od rana do nocy kawę w swoich haremach i tłumią wolność. Są lepsze kraje: Włochy, Francja, Anglia wreszcie. Stamtąd Wojnow też będzie mógł wyrobić sobie pogląd na problem turecki.

– Niewątpliwie – przytaknął Daniłow.

– Ale teraz chcę powiedzieć o czymś innym. O chłopobudach. Powiedzmy, w chwili obecnej wszystko układa się po mojej myśli i jestem zadowolona, ale co będzie za dziesięć lat? Za dwadzieścia? Albo za trzydzieści? Czego wtedy będę potrzebowała? Rozumiesz teraz, po co zapisałam się do tej kolejki – i to nie do jednej, tylko do trzech naraz?

– To znaczy, że chłopobudy handlują dniem jutrzejszym?

– Ależ wcale nie handlują! Jak mogą handlować? Dziwny z ciebie człowiek, Daniłow! Nie trudnią się przepowiadaniem przyszłości, po prostu mają na wszystko naukowe uzasadnienie. Przecież demografowie potrafią już dziś powiedzieć z całą dokładnością, ile dzieci powinny mieć kobiety w roku dziewięćdziesiątym czy dwutysięcznym, żeby ludzkość utrzymała w normie, przepraszam za wyrażenie, przyrost pogłowia. Albo na przykład specjaliści od gospodarki leśnej: powiedzą ci z detalami, ile drzew trzeba będzie zasadzić za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat, żeby w przyszłości lasów było „że ojejku” – pamiętasz, tak Zołotuchin śpiewa, no, ten kuternoga, co to zrobił się znanym aktorem... Nie mówię już o futurologach, ich zawód na tym właśnie polega, żeby wszystko widzieć naprzód – żaden pyłek nie umknie ich uwagi, dostrzegają, jak się to mówi, „i nieba gromy, i ziół padolnych wzrost widomy”.²

– Może „i w głębi morskiej chód gadziny”?

– O morskich gadzinach nic nie wiem, ale mamy tam swojego człowieka z firmy „Ocean”, niech on się martwi o dary morza. Wyjaśniam ci tylko podstawy. Zrozumiałeś?

– Mmn – skinął głową Daniłow.

– Nasi fachowcy też nie z najgorszych. Główną rolę w zespole odgrywają spece od systematyki analitycznej. Ich bożyszczem to Obłokow. Doszli do takiej perfekcji, że żaden mózg elektronowy im nie dorówna. Niech tylko nadejdzie moja kolej, zbadają mnie, prześwietlą, przywołają na – pomoc supernowoczesną aparaturę, do tego dołączą własną wyobraźnię i ulokują mnie w roku dziewięćdziesiątym czy dwutysięcznym, a potem stwierdzą, czego będę w każdym z tych okresów potrzebowała i co w tym celu muszę zrobić teraz i później.

– Pod warunkiem, że będziesz żyła pasją?

– Możliwe... Choć niewykluczone, że pasje mogą nagle wyjść z mody. Analitycy wszystko określają z dokładnością co do sezonu i wszystko to uwzględnią. Ale i my musimy mądrze, zgodnie z nauką, formułować swoje dzisiejsze zapotrzebowania, żeby nie zbijać analityków z tropu.

– Jak często wpłacasz im po piętnaście rubli?

– Dość często. Zgodnie z harmonogramem. Każde z nas musi mieć poczucie odpowiedzialności. Zresztą te marne grosze nie mają żadnego znaczenia, może stać się tak, że później trzeba będzie przepłacać.

– Za co?

– Jak to za co? – zdziwiła się Klaudia.

– No dobrze – powiedział Daniłow. – Zgoda. Przypuśćmy, że otrzymasz cenne wskazówki na trzy dziesięciolecia naprzód. Ale zdręczysz się potem myślą o tych przepowiedniach.

– Ja – nie! Może dręczyć będę innych, ale sama pozostanę spokojna.

– Cale szczęście, że nie muszę się angażować w te twoje sprawy przyszłościowe.

– Kto wie...

– O nie, w żadnym wypadku – przestraszył się Daniłow. – Tylko ten tydzień, tak jak obiecałem. Potem koniec!

– Też mi problem: piętnaście rubli – powiedziała Klaudia. – W kolejce nie brakuje takich, którzy troszczą się nie tyle o siebie, ile o dzieci. Na dzieciach nie wolno oszczędzać, może za parę lat znacznie więcej trzeba będzie wydać na korepetycje.

– Chodzi im o wyższe wykształcenie swoich pociech?

– Niektórym o wyższe, innym o średnie. Powiedzmy, interesuje ich – i całkiem słusznie! – taki istotny szczegół, jak przyszły kierunek wykształcenia, to znaczy do jakich szkół trzeba będzie posyłać dzieci za dziesięć lat. Może przyjdzie wtedy zapotrzebowanie na język islandzki. Albo, powiedzmy, dialekt jamajski.

– Słuchaj, a gdyby tak stwierdzono, że za dziesięć lat modna będzie rodzina z trojgiem dzieci? – zapytał Daniłow. – Urodzisz tyle?

– Urodzę – oznajmiła Klaudia.

– A na razie poczekasz?

– Na razie czekam, sam widzisz.

– Zresztą wszystko to detale...

– Racja, detale – zgodziła się Klaudia. – Dla mnie na pewno detale. O sprawach zasadniczych zostanę w odpowiednim czasie poinformowana, szczegóły mniej istotne. Ale dużo jest takich, którzy właśnie dla tych szczegółów płacą składki. Trafiają się przeurocze kretynki, kretyni oczywiście tym bardziej. Liczą na to, że dzięki chłopobudom sprawią sobie futra i czapki po cenie hurtowej. Niektórzy z nich marzą o butach na sprężynującej platformie. Jest tam taki oryginał, któremu, wyobraź sobie, marzy się kryształ magiczny...

– A Kudasow po co tam chodzi?

– Nie wiem. Na pewno też po jakieś prognozy. Mnie, na przykład, interesują pewne sprawy przydatne dla Wojnowa – oczywiście jeśli zostanie do mnie przyprognozowany.

– Albo przyfuturowany...

– Tak jest, przyfuturowany. A Kudasow – nie wiem, może martwi się o swoją karierę... Sporo tu takich, co mają kłopoty służbowe.

– No dobrze, powiedzmy, że otrzymasz prognozę – i co dalej?

– Dalej? W zespole, oprócz analityków, są także konstruktywiści. Na przykład znany ci Gałkin, dyrektor sklepu. Gdyby powiedziano mi, że w roku osiemdziesiątym szóstym będę potrzebowała futra z morsów, natychmiast zapiszę się do kolejki w jego sklepie...

– I będziesz sprawdzać swoją kolejkę przez dziesięć lat?

– Oczywiście! Dzięki temu otrzymam potrzebną rzecz na czas, nawet z pewnym wyprzedzeniem. Konstruktywiści dlatego tak się nazywają, że wszystkie nasze problemy, zapowiedziane przez analityków, muszą rozwiązywać w sposób konstruktywny. Jakich konstruktywistów będziemy potrzebowali, do takich musimy się zgłosić i zarezerwować sobie kolejki – jeden do kosmetyka, drugi do prezesa spółdzielni mieszkaniowej... Zresztą wszystko to też detale.

– A co jest najważniejsze?

– O, to tajemnica. Ale ja... – uśmiech zakwitł na połyskujących perłową szminką ustach Klaudii – ...ja już coś niecoś wiem. To znaczy mam już pewne informacje... Nie znam wszystkiego, ale się domyślam. Nie powiem ci, jak się dowiedziałam i z czyją pomocą, ale możesz mi wierzyć... Mam pewien szaleńczy pomysł...

– Wystarczająco szaleńczy?

– Pewnie że wystarczająco. Wystarczająco szaleńczy pomysł.

– Może, jak hrabina z *Damy pikowej*, chcesz znać trzy niezawodne karty? I ja mam w tym pomóc?

– Ach, Daniłow! – Klaudia miękka dłonią dotknęła jego policzka odgrzewając wspomnienia przeszłości. – Żaden z ciebie Saint-Germain! Dziękuję, poradzę sobie sama!

– No więc do czego ci jestem potrzebny, po co mi o tym wszystkim opowiadasz?

– Sama nie wiem... W każdym razie teraz możesz mi pomóc: przywrócisz utracony numer w kolejce. Powiesz im, że to twoja wina, że chciałeś przywłaszczyć moje pieniądze i dlatego nie zapłaciłeś składki.

– Wątpię, czy ta kolejka w ogóle ma jakiś sens, skoro i bez tego wszystko będziesz wiedziała.

– Tak, ale informacja musi być oficjalna, a poza tym zbiera się tam ciekawe towarzystwo. Ludzie, rozmowy... Bardzo korzystne znajomości – Pójdziemy razem i postaramy się twój błąd naprawić.

– Ale...

– Żadnych „ale”! To twoja wina, zachowałeś się jak sknera. Poza tym – może wtajemniczę cię później w moje sprawy. Co ty na to?

W tym momencie rozległ się przeraźliwy zbójceki gwizd. Drgnęły i przyhamowały mknące ulicą Gorkiego samochody. Kanapki i węgierskie paszteciki posypały się z lady na podłogę. „Może to Karmadon” – pomyślał Daniłow, ale samochody po chwili nabrały szybkości, sprzątaczkę pozbierały z podłogi kielbasę i ułożyły ją z powrotem na kanapkach, paszteciki zostały ułożone na dawnym miejscu, Klaudia zaś znieruchomiała i rozchyliwszy perłowe usta patrzyła na ulicę.

Spojrzenie Daniłowa pobiegło śladem jej wzroku. Za szybą sklepową przeszedł powolnym krokiem rumiany Rostowcew z nieodłączną fajką w zębach.

Klaudia zdecydowanym ruchem zapięła futro, poszła w kierunku wyjścia, rzuciwszy na pożegnanie: „Zadzwoń do ciebie... Załatwiał sprawę dalej, listę masz... Przepraszam...” – i tyle ją widzieli.

Daniłow miał jechać do teatru. Wstąpił do domu po instrument i windziarka (ich spółdzielnia pozwoliła sobie na taki luksus jak zatrudnienie windziarki) powiedziała mu, że czeka na niego miody człowiek, którego ona nie wpuściła na górę, bo jest jakiś podejrzany i ubranie ma liche. Podejrzany osobnik, o którym była mowa i który siedział opodal na trzecim stopniu schodów, wstał na widok Daniłowa i zrobił krok w jego stronę. Krok był nieporadny, nieśmiały; młody człowiek zachwiał się z lekka. Wyglądał na jakieś dwadzieścia siedem lat, był szczupły, wysoki i starannie ogolony. Miał na sobie jesionkę, w istocie lichą, popielaty kaszkiet trzymał w rękach.

Daniłow, niby to z uwagi na ciepło, rozpiął przed windą płaszcz i zerknął na indykator. Żadnej reakcji – a przecież ten figlarz Karmadon, kolega Daniłowa ze szkolnej ławy, swobodnie mógł wyłonić się z eteru właśnie z takim popielatym kaszkietem w rękach i w ogóle w każdej dowolnej postaci, choćby na przykład jako pogorzelec z niemowlęciem na ręku...

– Przepraszam pana – powiedział młody człowiek – zabiorę panu najwyżej jedną minutę. Nazywam się Pierieslegin, ale moje nazwisko nic panu nie powie. Komponuję muzykę, to znaczy sam na razie nie wiem, co komponuję, ale chciałbym, żeby to była muzyka. Właściwie niepotrzebnie to wszystko mówię... Niech mnie pan zrozumie... Pan mnie nie zna... Ukończyłem wyższe studia muzyczne jakieś dziesięć lat później niż pan... Mam pewien pomysł, może nie tyle nawet pomysł, ile nadzieję, propozycję dla pana... Chciałbym to omówić... Byłem na koncercie w instytucie, znalazłem się tam przypadkowo... Nie spałem potem przez dwie noce... Ale nie odważę się na rozmowę, dopóki nie zobaczy pan tego, co przyniosłem...

Wyjął spod pachy teczkę, na którą Daniłow początkowo nie zwrócił uwagi – zwykłą biurową teczkę z brązowymi tasiemkami; tasiemki były luźne i Pierieslegin bez trudu wydobyl z teczki plik nut.

– Dobrze – powiedział Daniłow – zapoznam się z tymi nutami.

– Bardzo proszę. Gdyby to pana bodaj trochę zainteresowało, może będzie pan łaskaw wysłać do mnie pocztówkę, włożyłem ją do środka, jest już zaadresowana. Telefonu nie mam. Ale gdyby tak się stało, że po przejrzeniu nut wzruszy pan tylko ramionami, proszę to wszystko podrzeć i wyrzucić do śmietnika...

Postawił kołnierz i ruszył w stronę wyjścia. Windziarka, wyciągając szyję, śledziła każdy jego ruch. Daniłow o mało nie rzucił się za nim:

– Pan chciał ze mną porozmawiać, po co więc te wstępne warunki?

– Nie, proszę to najpierw przejrzeć! – zawołał Pierieslegin i wybiegł na zewnątrz.

– Prawdę mówiłam, że to typ spod ciemnej gwiazdy – skomentowała windziarka.

– Tak pani myśli?

– Nie myślę, widzę – odparła.

W windzie Daniłow obejrzał nuty. Na stronie tytułowej widniał napis: „Pierieslegin. Symfonia nr 1”. „Ależ – pomyślał – nie można tak w biegu, odłożę to na potem, kiedy będę miał więcej czasu”. Ucieszyła go świadomość, że przynajmniej jeden muzyk pochwalił jego grę na tamtym koncercie w instytucie. Pochwalił?... Oczywiście, bo gdyby uważał, że jest słaba albo nic niewarta, czy dokładałby starań, żeby go odszukać, narażając się w dodatku na upokarzające pertraktacje z windziarką? A jednak przyszedł – przyszedł mimo wszystko. Daniłow pomyślał nawet, że lepiej w ogóle nie otwierać tych nut przez kilka najbliższych dni:

co zrobi, jeśli utwór Pierieslegina okaże się słaby? Od razu pierzchnie cała radość: ach, więc to taki pochwalił jego grę...

Kudasow miał dobry długopis: niełatwo było zmyć z dłoni numer 217. Daniłow szorował rękę pumeksem, tarł papierem ściernym, ale nic nie pomagało. W domu miał sporo niezbędnych rzeczy – sam umiał wszystko zrobić, nieraz pomagał sąsiadom otwierać drzwi, gdy łamały się klucze albo zaskakiwały zdradliwe zamki automatyczne. „Głupio wpadłem z tą Klaudią! – myślał szorując dłoń. – Tylko tego brakowało, żeby zaczęła zwierzać mi się ze swoich tajemnic... Jestem pewien, że wzięła mnie pod uwagę w tych szaleńczych pomysłach, chyba potrzebuje kuriera, podstawionej osoby albo faceta, który musi stać na czatach. Nic z tych rzeczy, muszę ją przepędzić na cztery wiatry!”

A mimo to „szaleńczy pomysł” Klaudii bardzo go zaintrygował: pamiętał, jak drżała Klaudia, mówiąc o swojej tajemnicy. Teraz gotowa wcielić swój pomysł w życie za wszelką cenę i gdyby ktoś próbował wejść jej w paradę, poprzestawia wieżowce na Nowym Arbacie. Niespożyta energia!

Daniłow z rezerwową altówką pod pachą szedł już do drzwi, gdy nagle zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Katarzyny.

– Pan mnie chyba nie poznaje... – powiedziała.

– Jak bym mógł pani nie poznać! – ucieszył się Daniłow.

Czasu miał już bardzo niewiele i zdawał sobie sprawę, że teraz będzie musiał szukać taksówki, ale ucieszył się szczerze: Katarzynę zawsze darzył sympatią, w dodatku wyczuł od razu, dlaczego zadzwoniła. Porozmawiali najpierw o tym, o owym – o rodzinie Murawłowów, o synu Katarzyny, Saszy, uczniu szkoły plastycznej, młodym męczenniku, który ostatnio tak się wściekł na trudne zadania domowe, że na znak protestu wylał do klozetu wszystkie szampony, jakie były w domu, i za jednym zamachem załatwił w tenże sposób wszystkie dezodoranty; potem Katarzyna opowiedziała, że jej mąż Michał, notabene człowiek równie sympatyczny jak jego żona, znowu jest poza domem; następnie ponarzekali oboje na brak czasu, no bo właśnie zamknięto już, niestety, wystawę zbiorów Silbersteina, której nie zdążyli zobaczyć... Wreszcie Katarzyna tymże żartobliwym tonem powiedziała:

– No, panie Włodku, zrobił pan w naszym instytucie prawdziwą furorę. Wszyscy się dopytują, skąd pana znam...

– Poważnie? – zawstydził się Daniłow.

– Poważnie. Jedna moja znajoma całkiem straciła głowę... Wywarł pan na niej ogromne wrażenie.

– Pani Katarzyno, ja wiem, o kim pani mówi. Natasza też zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Zastanawiał się teraz, jak powinien dalej prowadzić rozmowę – czy w tymże nieprzymuszonym tonie, czy też serio. Na wszelki wypadek podniósł do słuchawki indykator; czuł się przy tym jak ostatni niegodziwiec, ale ryzykować bezpieczeństwo Nataszy nie miał prawa – kto wie, do jakich sztuczek zdolni są przełożeni pana Walentego i on sam. Indykator doskonale reagował na wszelkie, nawet bardzo oddalone dźwięki – ale tym razem wszystko było w porządku: rubensowska dama nie dawała znaku życia.

– Panie Włodku – powiedziała Katarzyna – może źle robię, może pan mnie nie pochwali, ale zdecydowałam się zadzwonić... Chciałam powiedzieć, że z Nataszą jest niedobrze.

Zamilkła; Daniłow też milczał.

– Nie jest chora – ciągnęła Katarzyna po chwili – ale czuję, że coś się z nią dzieje. Nie wiem, jak jej pomóc. Rozumiem, że moja inicjatywa... słowem, że robię głupstwa, może to nawet nietakt z mojej strony... Przecież nie mam prawa mieszać się do takich rzeczy... A jednak postanowiłam zadzwonić mimo wszystko...

– Rozumiem – powiedział Daniłow i natychmiast zapytał: – Ale co z Nataszą?

– Po prostu niedobrze – odpowiedziała – sama nie wiem, jak to określić... Natasza jest dumna. Nic nie powie ani mnie, ani panu. I ciągle czuję, że czegoś się boi, tak jakby była zagrożona...

– Całe moje nieszczęście polega na tym – odparł Daniłow – że nieliczne wolne chwile mam tylko wczesnym rankiem albo w nocy, po jedenastej...

Zanim Katarzyna zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, już przeklinał samego siebie: powinien teraz zapomnieć o wszystkim na świecie – o teatrze, altówce, muzyce, o konieczności sterczenia w jamie orkiestrowej, o wszystkim tym powinien zapomnieć, nawet o własnym życiu i zgubie własnej – zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć i biec do Nataszy, i być z nią, razem, tymczasem bełkotał tylko do słuchawki jakieś idiotyczne usprawiedliwienia... „Łajdak!” – strofował się bez litości, ale cóż mógł odpowiedzieć Katarzynie? Choć niedobrze, choć źle było z Nataszą, dziś albo jutro mógłby sięgnąć na nią jeszcze większe nieszczęścia. Co miał robić? Wyrzec się Nataszy, raz na zawsze skończyć z tym wszystkim oznajmiając Katarzynie stanowczo, że nic go to nie obchodzi? Mało to jego znajomych postępuje w ten sposób... A więc tak miałby postąpić? Usiłował przekonać czym prędzej samego siebie, że jego sympatia do Nataszy to chwilowa fascynacja, która powstała pod wpływem muzyki i na pewno już zdążyła się ulotnić pozostawiając po sobie jedynie jakiś cień, może nawet lekki ból...

– Postaram się coś wymyślić – powiedział.

Ale cóż mógł wymyślić?

Odłożył słuchawkę i tak jak był, w czapce i płaszczu, siedział przy telefonie skubiąc brodę. „Nieprawda – myślał – okłamuję samego siebie”. Wcale nie ulotniło się uczucie, nie poszło w zapomnienie – wręcz przeciwnie, przybrało na sile, stało się faktem niezaprzeczalnym. Całym sercem pragnął być z Nataszą – może właśnie teraz, w tej chwili, Natasza potrzebuje pomocy, a potem będzie za późno? Może wścibski agent, pan Walenty, już skrada się do Nataszy boczkami, na paluszkach, tak jak skradał się kilka dni temu do altówki, a za nim czuwają jego niewidoczni zleceniodawcy?

Zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

Wiedział już doskonale, że nie dotrzyma warunków umowy i że zostanie to odnotowane, gdzie trzeba. „Nieważne! – machnął ręką. – Tak czy owak, innego wyjścia nie mam”. Przesunął płytkę bransolety, odszukał falę emocjonalną Nataszy i przeszedł na odbiór. Nie zamierzał wdzierać się do jej życia w postaci niewidzialnej istoty czy ledwo dostrzegalnej drobinki pyłu; nic takiego nie przyszło mu nawet do głowy: byłoby to obrzydliwe, jak podpatrywanie z ukrycia. Pragnął zobaczyć Nataszę, ale nie mógł. Pozostał więc w domu, przy stoliku z telefonem, i uruchomił tylko system informacji. Teraz, gdyby zechciał, byłby w stanie ogarnąć spojrzeniem całe jej życie, przejrzeć je na wskroś, ale przed tym wzdragał się również: jakież miał prawo penetrować serce Nataszy? Poza tym, nawet dla jej dobra, bał się po prostu zaglądania w przeszłość. Biorąc to wszystko pod uwagę, użył systemu informacji w trybie wybiórczym mając nadzieję, że tym sposobem dowie się wyłącznie tego, co dotyczy jego obecnych trosk. Uzyskał te dane, ale nie natychmiast, jak zakładał, lecz z parominutowym opóźnieniem. Liczył zazwyczaj tylko na siebie, z systemu informacji korzystał rzadko, toteż cała ta maszyna, nie dosmarowana i niemal zardzewiała, dała się zmusić do działania opornie, ze zgrzytem. Daniłow całkiem zapomniał, czym należy smarować aparaturę w warunkach ziemskich – rycyną czy też olejem rzepakowym.

Uzyskane informacje trochę go uspokoiły. Na razie ani pan Walenty, ani jego przełożeni nie zaingerowali w życie Nataszy – czy to zlitowano się nad nią, czy może zostawiono na potem. Powodem obecnego stanu Nataszy były więc sprawy natury osobistej...

Wiedział już teraz najważniejsze i nawet miał sobie za de, że w oczekiwaniu Godziny Zero złamał warunki umowy. Jak można! Przekonał się przecież, że na razie nie grozi Nataszy żadne niebezpieczeństwo; wrogowie, mając Daniłowa za lekkoducha, zdają się nie

bardzo wierzyć w jego uczucia (z altówką sprawa była bardziej ewidentna), a jeśli nawet wierzą, to czekają, aż ugrzęźnie całkiem w sprawach sercowych i narobi sobie kłopotów. „Zobaczymy – zdecydował. – Co będzie, to będzie. Może wpadnę na jakiś pomysł, może uda mi się wykręcić i nie narazić Nataszy”. Po otrzymaniu wiadomości o przybyciu Karmadona zdążył już odzyskać dawną bez troskę; jak kolorowe baloniki w wiosenny dzień szybowaty nad nim nadzieje, że jego przyjaźń z Karmadonem może spowodować odwołanie Godziny Zero. A może i bez Karmadona uda mu się znaleźć jakieś wyjście z impasu? Uda się na pewno, zaraz usiądzie i coś wymyśli...

Czas jednak płynął i Daniłow byłby nieuchronnie spóźnił się do teatru, gdyby usiłował złapać taksówkę w zwyczajny, normalny sposób. „Jak już łamać przepisy, to łamać”! – pomyślał w porywie zuchwalstwa, wcale nie żałując swej junackiej głowy. Natychmiast do jego drzwi zadzwonił taksówkarz i zapytał, czy to nie tutaj zamawiano taksówkę z bazy samochodowej nr 3.

– Tak jest – odpowiedział Daniłow oschle.

Po powrocie do domu, mimo późnej pory, skłonny był zadzwonić do Nataszy. „Niech diabli wezmą te sprawy Klaudii!” – pomyślał znowu. Usiadł już przy telefonie, ale w zdenerwowaniu nie mógł zdobyć się na podniesienie słuchawki. I właśnie w tym momencie rozległo się pukanie: ktoś uderzał w drzwi metalowym narzędziem. Daniłow, nie zdejmując na wszelki wypadek łańcuszka, ostrożnie uchylił drzwi i zobaczył przed sobą człowieka w poplamionym waciaku, z walizeczką w prawej ręce i kluczem francuskim w lewej.

– Pan do kogo? – zapytał Daniłow.

– Z gazowni miejskiej – odpowiedział przybysz ochryłym głosem.

Rano Daniłow zadzwonił jednak do Nataszy. Przeprosił, że zwlekał tak długo, i zapytał, czy miałyby ochotę umówić się z nim na spotkanie.

– Mamy dziś *Carmen*, śpiewa Pogosian – powiedział. – Zostawię dla pani bilet w okienku dyżurnego administratora i spotkamy się w przerwie. Oczywiście, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu...

Propozycja była kusząca. Natasza nic nie miała przeciwko *Carmen*.

Daniłow był zadowolony. Pełen radosnych nadziei, położył przed sobą listę powierzonych mu przez Klaudię załatwień i postanowił, że skoro już obiecał, przeznaczy na te sprawy półtorej godziny. Na razie posprzątał w mieszkaniu, podlał kwiaty i granatową sukienką ścierką wytarł kurze z mebli. W przedpokoju pod wieszakiem stała walizeczka wczorajszego montera z gazowni, obok na podłodze leżał klucz francuski. „Może schować to na razie do komórki? – pomyślał. – Albo w ogóle wyrzucić... Teraz nie będzie mu potrzebne”.

...Wczoraj wieczorem wspomniany monter, wymachując przed nosem Daniłowa kluczem francuskim, domagał się, by wpuszczono go do mieszkania.

– Dlaczego tak późno? – zapytał Daniłow. – I dlaczego akurat do mnie?

– Do wszystkich po kolei – odpowiedział monter. – Sprawdzamy instalację, żeby zapobiec awarii.

Daniłow zdjął łańcuszek i otworzył drzwi. Ciekaw był, jak się przybysz zachowa – mógł przecież okazać się autentycznym monterem z gazowni, który wyruszył w teren rano, żeby zapobiec ewentualnej awarii, i dopiero teraz dotarł do niego. W sprawach komunalnych Daniłow miał spore doświadczenie, toteż stać go było na serdeczność.

– Proszę, proszę – powiedział prowadząc montera do kuchni. – Dawno już chciałem zaprosić fachowca. Dwa kurki mi się źle odkręcają i gaz ledwo idzie.

Ale monter, zamiast spojrzeć na kuchenkę gazową, opadł prawie bez sił na jugosłowiański taboret i ziewnął.

– Niech pan popatrzy – ciągnął Daniłow odkręcając kurki – widzi pan, jak to ciężko chodzi? I jeszcze jedna rzecz: może zamieniłby mi pan ten pomarańczowy kurek przy piekarniku na biały? Brzydko wygląda... Ja panu zapłacę.

– Czym ja to zrobię, kluczem francuskim?

– Ma pan na pewno ze sobą narzędzia...

– Pożartować nie wolno? – powiedział nagle monter całkiem innym głosem, bynajmniej nie ochrypłym. – Co to, swoich nie poznajesz?

Daniłow uważnie spojrzał na gościa.

– Karmadon!

Otworzył mu ramiona, uściskał. Za czasów licealnych nie było między nimi bliższej przyjaźni: Daniłow nie mógł poszczycić się świetnym pochodzeniem, Karmadon zaś i jego brat genealogię mieli wspaniałą; mimo to Daniłow w gronie demonicznej złotej młodzieży stanął jako uroczy łobuz, któremu zawsze sprzyja szczęście, a zatem Karmadon i jego brat, Nowy Margeryt, patrzyli na niego tak, jak pierścień Saturna patrzy na macierzystą planetę, i na każdej klasówce stali mu błagalne spojrzenia: „Daj odpisać horoskopy!” Ktoś inny na miejscu Daniłowa trzymałby Karmadona w swojej świcie na posyłki, ale Daniłow, choć swawolił, do wszystkich kolegów miał stosunek jednakowy i nigdy się nie wywyższał, chyba że miał do czynienia z kapusiem. Tak więc dzisiejsza jego radość na widok szkolnego kolegi była całkiem szczerą, choć przez ostatnich dwadzieścia lat nie odczuwał najmniejszej potrzeby obcowania z Karmadonem.

Gość zdjął brudną czapkę i poplamiony waciak, wyprostował się, jakby wyrósł w oczach i stał się wreszcie podobny do samego siebie. Daniłow obrzucił go spojrzeniem i mimo największych wysiłków nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Z czego się śmiesz? – zapytał Karmadon. – Jestem nieodpowiednio ubrany?

– No, na ulicy na pewno zwróciłbyś na siebie uwagę... – powiedział Daniłow.

– To zbyt ciche – odparł Karmadon.

Widać przed przybyciem usiłował odświeżyć wspomnienia ostatniego pobytu w Moskwie, a że miało to miejsce w roku pięćdziesiątym czwartym, przypominał teraz wyglądem bywalców świętej pamięci koktajlbaru przy ulicy Gorkiego, który to bar dawno już został zamieniony w „pałac lodowy”, czyli w kawiarnię słynącą ze znakomitych lodów. Stał więc przed Daniłowem z wyondulowaną głową, z fryzurą misternie ukształtowaną przy pomocy brylantyny i lakieru, w nakrapianej marynarce o wypchanych ramionach, w obcisłych spodniach i butach od prywatnego szewca na niewiarygodnie grubej karbowanej podeszwie, a ostatecznym uzupełnieniem tego stroju był krawat z wizerunkiem obleśnej różowej małpy. Tylko twarz miał nie taką młodą, jak przedtem.

– Dziś ludzie ubierają się inaczej – wyjaśnił Daniłow. – Wzorcem nie jestem, ale możesz skorzystać z mojej garderoby.

– Dziękuję – powiedział Karmadon – nie chcę cię rujnować. Pokaż mi tylko, co się teraz nosi, ja się dostosuję.

Daniłow poszedł do pokoju, żeby poszukać żurnali, potem zajrzał do barku: koniaku w butelce zostało na dnie. Zmartwił się, ale w tejże chwili przypomniał sobie, że ma wszelkie podstawy, by skorzystać z funduszu reprezentacyjnego. Tymczasem Karmadon bez specjalnego entuzjazmu przekartkował żurnale i natychmiast zmienił wygląd. Miał teraz wąsy i spadające na ramiona gęste loki, nie zapomniał również o zamszowej marynarce i sztruksowych spodniach z efektownym paskiem. Widać było jednak, że nowy ubiór wcale go nie cieszy: znowu zaczął ziewać.

– Ach, cóż my tak siedzimy w kuchni! – zawołał Daniłow. – Chodźmy do pokoju albo gdzie sobie zyczysz. Możesz liczyć na najlepszy poczęstunek. Jesteś głodny. Powiedz tylko, na co masz ochotę – służę każdym napojem, każdym daniem. Pewnie interesuje cię tutejsza egzotyka...

– Nie mam dużych wymagań – odezwał się Karmadon. – I nigdzie nie chcę iść. Zostańmy tutaj.

Daniłow czytając w jego myślach odebrał zamówienie, które zdziwiło go i zasmuciło. Nie miał nic przeciwko temu, żeby zjeść teraz coś dobrego i napić się ormiańskiego wina, ale pozostawił wybór gościowi i na kuchennym stole pojawiła się butelka likieru „Zorza polarna”, który to napój zanadto, przypominał zabarwioną glicerynę z cukrem. Oprócz likieru ukazały się zamówione przez Karmadona zakąski: wyschnięty, pokryty złowrogą czarną wysypką, wędzony boczek z bufetu dworcowego, a ponadto – pewnie z tegoż bufetu – dwie porcje szprotek w oleju na firmowych talerzykach z wizerunkiem lokomotywy. Jediną rzeczą, która mogła w tej sytuacji pocieszyć, była butelka wody mineralnej „Karmadon” pochodzącej ze źródła o tejże nazwie. Trzeba tu wyjaśnić, iż gość Daniłowa otrzymał swe niecodzienne imię ze względów natury romantycznej: jego ojciec nieraz wspominał z rozrzewnieniem uzdrowisko Karmadon położone u stóp Kazbeku w górzystej Osetii – widocznie odwiedzał ongi tamte strony, podziwiał kaukaskie widoki, kąpał się w ciepłych źródłach, gdzie igrają filuterne pęcherzyki, czy też uzdrawiającą wodą leczył przewlekłe choroby i – kto wie – może właśnie tam, u stóp ośnieżonych szczytów, przeżył wzruszającą przygodę miłosną z piękną córką Kaukazu... Dość na tym, że dla upamiętnienia owej pięknej krainy nadał swemu synowi imię Karmadon.

Otwierając butelkę „Zorzy polarnej” Daniłow z uśmiechem rzucił okiem na stół:

– Może i teraz nie chcesz mnie rujnować?

– Skądże – odparł Karmadon. – Po prostu jestem z podróży, nie mam ochoty na jedzenie ani na picie. Nawet nie pamiętam waszych przysmaków, przez wszystkie te lata odżywiałem się samym tylko molibdenem. Nie krepuj się, zamawiaj sam, co chcesz.

Daniłow poczuł w dłoni ciężar kieliszka koniaku, obok na stole zarysował się półmisek z pieczonym kurczakiem sprowadzonym z restauracji „Aragwi”.

– Nie masz ochoty? – zapytał. – Może dobre będzie na początek?...

Karmadon nawet skrzywił się patrząc na wykwintne danie.

– Mówię poważnie. Przepraszam cię, jestem zmęczony. Nie stać mnie teraz nawet na rozmowę. Tyle musiałem sterczeć w różnych kancelariach, pisałem sprawozdania, potem zgrzytałem zębami czekając, aż podpiszą mi urlop – znasz naszych biurokratów.

– Weź przynajmniej kąpiel – poradził Daniłow.

– Chyba tak zrobię – skinął głową Karmadon.

Wyduldał z butelki cały likier i podniósł do ust padniętą, prawie już bezcielesną szprotkę.

Woda szumiała w łazience, tymczasem Daniłow, skończywszy z kurczakiem, złakomił się na baranią polędwicę, którą natychmiast sprowadził prosto z Sofii. Z Sofii autentycznej, ma się rozumieć, nie z restauracji „Sofia” na placu Majakowskiego, gdzie nawet wola demona nie byłaby w stanie przeszkodzić kucharzom w przyrządzeniu figurującej w karcie baraniej polędwicy z gotowanej wołowiny albo jeszcze lepiej – z wyhodowanych na szkolnej działce królików. Daniłow, który przez cały ubiegły tydzień żył na samych kanapkach, z rozkoszą trwoniał teraz fundusz reprezentacyjny.

W łazience zapadła cisza. Daniłowa to zaniepokoiło: nie daj Boże, Karmadon zaleje sąsiadów z dołu – mogło mu przecież strzelić do głowy, żeby pogłębić wannę o dwa kilometry albo jeszcze więcej i baraszkować w jej głębinach... Może dojść do tego, że już za chwilę zaczną się w domu rejwach i lokatorzy będą biegać po piętach ze szmatami i wiadrami w rękach.

– Karmadonie! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

„Utopił się czy co?” – pomyślał Daniłow, pełen obaw.

– Karmadonie!

– No?... – usłyszał wreszcie. – A-a-a... Przepraszam... Zdrzemnąłem się w wannie... Czego chcesz?

– Tak sobie, nic – zmieszał się Daniłow. – Może wyszorować ci plecy?

– Dobra... – odezwał się Karmadon niemrawo.

„Dziwne to wszystko – pomyślał Daniłow. – Zawsze był taki wesoły, beztronski, istne żywe srebro, a teraz... Widać i nieśmiertelnych czas nie oszczędza!”

Karmadonowi wystawała z wody sama tylko głowa i Daniłow, namydliwszy twardą gąbkę, poprosił kolegę, żeby wstał. Karmadon podniósł się z trudem i widok jego ciała przyprawił Daniłowa o zdumienie. Jak każdy demon, Karmadon – w teoretycznym, szkolnym ujęciu – był jedynie pewną substancją duchową i mógł dowolnie zmieniać swoją postać materialną przybierając każdy kształt, stosownie do własnych życzeń i konkretnych okoliczności. Mógł zatem stawać się, na przykład, guzikiem od spodni, ptasim pomiotem, wiewiórką, punktem geometrycznym czy też trajektorią; mógł również wcale nie posiadać żadnego kształtu. Dla ułatwienia sobie wzajemnego obcowania, w myśl ustalonej od dawna mody, większość demonów – nawet we własnym gronie – wolała jednak występować w ludzkiej postaci, zwłaszcza na Ziemi, gdzie demon chcąc nie chcąc musi wyglądać jak człowiek. Tak więc Karmadon miał ludzkie ciało, nawet z wytatuowaną na prawym ramieniu dewizą „Nec plus ultra” – ale z ciała tego tu i ówdzie, w miejscach najbardziej nieoczekiwanych, sterczały jakieś metalowe (a może i niemetalowe) detale; niektóre z nich pozostawały nieruchome, niektóre, zaopatrzone w macki i przyssawki, poruszały się i drgały, inne znowu nabrzmiwały siniejac, jakby brakowało im powietrza. Z żebra wystawał, niczym

odłamek szpady, jakiś pręt, który kołysał się wydając piskliwy przejmujący dźwięk. Daniłow zapytał:

– Coś ty ze sobą zrobił? Boję się, żeby nie zahaczyć o to gąbką...

– To znaczy o co? – zdziwił się Karmadon, a potem spojrzął na własne ciało i pokiwał głową: – Ach, znowu... Nie mogę się tego świństwa pozbyć, to przez ten pobyt w gwiazdozbiorze Wolarza... Zdrzemnąłem się i wszystko powróciło.

Połknął coś białego, zadrżał, skrzywił się, jakby z bólu, i po chwili wyglądał już normalnie. Woda w wannie zawrzała, uniosła się słupami, a gdy opadła, znowu była spokojna i błękitna.

Daniłow sumiennie wyszorował gościowi plecy, zwłaszcza w okolicy łopatek i wzdłuż kręgosłupa; potem przyobiecał, że w najbliższych dniach zaprowadzi go do porządnej łaźni z parówką i piwem – i Karmadon zdawał się być zadowolony. Po kąpieli, rozgrzany i pogodzony z życiem, siedział przy stole w szlafroku kąpielowym Daniłowa i popijał wodę mineralną. Daniłow gryzł słone migdały i o nic nie pytał. Karmadon więcej milczał, ale coś niecoś jednak opowiedział, głównie o swej ostatniej pracy w gwiazdozbiorze Wolarza.

Daniłowa, jak wiadomo, nie pociągały arkana wiedzy technicznej, Karmadona zaś – za czasów licealnych – jeszcze mniej. Powierzone Karmadonowi ostatnio superzadanie nie miało, jak zrozumiał Daniłow, nadzwyczajnych celów naukowych. Skierowano go na planetę Beta Mol należącą do tejże konstelacji Wolarza; w żargonie sprawozdań służbowych planetę ową nazywano Sennym Molem. Większa nieco od Ziemi, zwana przez zamieszkujące ją istoty Glirą, miała swoiste środowisko naturalne, w którym pierwiastkiem dominującym był molibden. Jeśli wierzyć Karmadonowi, wszystkie bez wyjątku wartości materialne, ba – nawet duchowe, miały w sobie na tej planecie domieszkę molibdenu. Dotyczyło to wszelkich możliwych substancji lotnych, ciekłych, rozproszonych, topniejących, tańczących bądź też przelewających łązy – wszystko to na Glirze było molibdenowe; dlatego – Karmadon wyjaśnić nie umiał, Daniłow zaś nie miał ochoty na rozwiązywanie łamigłówek. Dowiedział się od kolegi, że żywych istot, czyli tak zwanych rozumnych braci, jest tam mnóstwo, ale że wszystkie one poruszają się, rozmnażają i pracują nie na twardym gruncie planety, lecz w ośrodku ciekłym, plastycznym, i że losy ich są niezbadane. Mieszkańcom Ziemi ich bracia z obcej planety, czyli Wolarze albo Glirowie, jak sami siebie nazywają, wydaliby się zapewne czymś w rodzaju metalowych klocków, na widok zaś ziemianina splunęliby na pewno z obrzydzeniem. Cały ten sferopodobny, ciekły ośrodek życia na Glirze posiada również własny, a raczej zbiorowy czy wspólny intelekt – i ten to zbiorowy intelekt czy też wspólny duch figurował w sprawozdaniach Karmadona jako Sen. Owszem, klocki żyją, poruszają się, przyjmują pokarm, o czymś tam myślą, coś kombinują, konstruuja, rozbudowują swą cywilizację, knują przeciwko komuś, ale wszystko to czynią pogrążone w głębokim molibdenowym śnie. Posiadają możliwość przenikania się nawzajem oraz przenikania przez całe zbiory podobnych sobie istot, a wówczas łączą się ich sny, w snach powstają nowe fabuły, nowe kataklizmy – i tak toczy się ta dziwna egzystencja. Karmadonowi powierzono specjalne zadanie („Natury moralnej” – tyle tylko zdradził koledze) i można sobie wyobrazić, ile musiało go kosztować wtargnięcie w wizje senne Glirów: sam przecież nie miał prawa zasnąć na sekundę, męczył się ze zbadaniem „psychologii” molibdenowych istot. Po jakimś czasie wpadł wreszcie na pomysł: namydlił się od stóp do głów i dzięki temu udało mu się wśliznąć w sny pewnego naiwniaczka. Niestety, mydło otrzymał z centrali paskudne („Znasz mnie, jestem arystokratą, a ci śmierdzący zaopatrzeniowcy przez oszczędność przystali mi mydło dziegiowe!”). Ale wszystko to były detale – fakt, że sprawa natychmiast nabrała rumieńców. Miał nawet przygody miłosne, potem wybrano go na posła, obiecano wysoką emeryturę i w nagrodę za zasługi odznaczono Kryształem Molibdenu pierwszego stopnia. Ale cóż to znaczy wobec rzeczy najdotkliwszej: przez wszystkie te lata nie wolno mu było spać! Wdzierał się w sny Glirów, gmatwał je na różne sposoby, ale sam zasnąć nie miał prawa – nie

mógł sobie pozwolić na to nawet po powrocie, kiedy siedząc w Kancelarii do Spraw Przemian Moralnych pisał sprawozdania o wykonaniu zadań, nie chciał bowiem psuć sobie opinii asa, specjalisty od zadań nadzwyczajnych. Zamierzał udowodnić wszystkim, w tym również samemu sobie, że zdolny jest do jeszcze większych wyczynów.

Daniłow nie wytrzymał i zadał pytanie, jakie w podobnych okolicznościach zadałby na pewno Misza Murawłow (i mój syn także):

– No i co, ci Glirowie, Wolarze czy jak im tam, nie chcieliby nawiązać kontaktu z Ziemią?

– Może nawet chcieliby, ale nic z tego nie wyjdzie – powiedział Karmadon. – Zresztą cóż wam po kontakcie z takimi susłami! Na nic to się nie zda, oni też kontaktów z wami nie potrzebują. Wymyśliłem teraz dla nich takie sny...

Karmadon ziewnął, lewe oko zaszło mu mgiełką. „Mówcie, co chcecie, ale zmienił się okropnie – pomyślał Daniłow. – Albo się postarzał, albo rzeczywiście jest śmiertelnie zmęczony. Zmizerniał, spoważniał, posmutniał nawet, jakby coś go ciągle gnębiło – a przecież był z niego taki wesoły urwis...”

– Przygotuję ci zaraz pościel – powiedział. – Wyśpisz się tu, na Ziemi. Możesz sobie spać choćby przez całe dwa tygodnie.

– Dziękuję, nie chcę – odparł Karmadon wstając z miejsca – nie wolno mi oklapnąć. Wybacz, ale zaraz cię opuszczę. Postanowiłem zostać na jakiś czas błękitnym bykiem. Bodaj na tydzień. A potem muszę wracać...

– Nudzisz się ze mną? Albo może...

– Nie miej mi za złe i nie zakładaj rzeczy najgorszych. Po prostu przez wszystkie te lata pobytu na Sennym Molu myślałem tylko o jednym: dostać w nagrodę wycieczkę na Ziemię i spędzić urlop w postaci błękitnego byka... Bodaj tydzień... A potem mogę wrócić.

– I gdzie chciałbyś spędzić ten tydzień?

– Gdzie bądź... Tam, gdzie ciepło.

– Nie zapominaj, że odpowiadam za twoje bezpieczeństwo.

– Słuchaj, Daniłow – powiedział Karmadon z protekcyjnym uśmiechem – to ty nie zapominaj, że jestem silny i okrutny.

– Nie zamierzam deptać ci po piętach, ale mógłbym służyć niejedną radą, która pozwoli ci uniknąć niezręcznych sytuacji. Szukasz ciepła? Ciepło jest, na przykład, w Afryce, ale niech cię tylko zobaczą tubylcy – zaraz złapią i zaprzęgną do orki. Jeśli chcesz po prostu pospacerować sobie na wolności, będzie to wyglądało co najmniej dziwnie. Byki są lubiane w Hiszpanii, ale są to sympatie szczególne i corrida może nie przypaść ci do gustu.

– Jakże to wszystko ma znaczenie?

– Dobrze, nic już więcej nie powiem, rób, jak uważasz.

– No to wypijmy strzemiennego. Odchodzę.

Karmadon trzymał w rękach nową butelkę glicerynowej „Zorzy polarnej”, rozkruszona szprotką szybową wokół jego ust. Daniłow wznosił kieliszek koniaku. Wypili, zakąsili. Karmadon – tak jak był, w szlafroku kąpielowym i pantoflach na bosą nogę – wstał i poszedł do drzwi. Hołdował starym naiwnym zwyczajom przodków: znikać zawsze przez te same otwory, przez które się weszło.

– Bądź zdrow, Karmadonku – powiedział roztkliwiony Daniłow. Złamanie karku!

– Bywaj – odparł Karmadon, po czym wyszedł na klatkę schodową i rozpląnął się w powietrzu.

Daniłow powrócił do kuchni i w zamyśleniu upił z kieliszka łyk koniaku. „Po co powiedziałem do niego «Karmadonku»? – myślał. – Głupio to wypadło. Jakież on teraz dla mnie Karmadonek?...” Zrobiło mu się wstyd. Skłonny był tłumaczyć własną słabość w chwili pożegnania rozanieleniem po dobrym alkoholu i wykwinnym jedzeniu, ale uczucie wstydu i skrepowania nie przeminęło. Jakkolwiek na to spojrzeć, zachował się niczym ubogi maluczki prowincjusz, roztkliwiony do łez wizytą możnego gościa. Taki wydawał się samemu sobie, choć aż do tego stopnia roztkliwiony nie był. Miał ochotę wspomnieć Karmadonowi o Godzinie Zero, poprosić go o radę, może nawet o poparcie, ale nie wypadało tak od razu poruszać spraw konkretnych. Ponadto – kto wie, może Karmadon jest już o tym poinformowany?

Daniłow jednak przypomniał sobie całą ich rozmowę i doszedł do wniosku, że jest to raczej wątpliwe. Gdyby Karmadon wiedział, jak stoją sprawy, nie zaczynałby od żartów z gazownią miejską. A zresztą trudno tu coś powiedzieć... Jedno tylko nie ulega wątpliwości: ta nagła przemiana, jaka zaszła w Karmadonie. Cóż, można go poniekąd zrozumieć: jest teraz nie byle kim, ma poważny stosunek do życia... Sam Daniłow też się zmienił, tyle że te zmiany poszły w innym kierunku. Karmadon nie może być teraz dla niego ani doradcą, ani przyjacielem, w najlepszym wypadku patronem, a przecież kto jak kto, ale Daniłow o łaskę prosić nie zamierza.

Co robić dalej? Wszystko wskazuje na to, że Karmadon, choć jest na urlopie, może nawarzyć piwa. Początkowo Daniłow zakładał, że przy pomocy wybiegów czy też umiejętnie dobieranych rozrywek potrafi skierować energię Karmadona na pokojowe tory. Oby się tylko obeszło bez masowych dramatów, bez przelewu krwi. „Szkoda, że nie napuściłem go na jakąś juntę” – ubolewał Daniłow. Wcale nie zdziwiło go, że Karmadon marzy o zostaniu na jakiś czas błękitnym bykiem: dobrze znał siłę zachcianek. Kiedyś, dawno temu, w czasie letnich ćwiczeń wojskowych, sam zapragnął rzeczy na pierwszy rzut oka bzdurnej: w drugim miesiącu pobytu na poligonie prześladowała go ciągle uporczywa myśl – zaraz po powrocie zjeść naraz dziesięć porcji czebureków.³ Sam nie wiedział, dlaczego tak marzył o tych czeburekach: nigdy przedtem za nimi nie przepadał. Coś podobnego zdarzyło mu się kilka lat wcześniej, po pierwszym roku studiów muzycznych: zaciągnął się jako pomocnik do ekipy geologicznej, wyjechał w jakucką tundrę i w tundrze miał jedno jedyne nieodparte pragnienie – dorwać się po powrocie do pierwszego lepszego fortepianu i zagrać psią polkę. Tak też zrobił. Chyba coś w tym rodzaju przeżył Karmadon – tracąc całe lata na Glirów i ich głupie sny, marzył tylko o tym, by zostać kiedyś błękitnym bykiem. „Och, żeby się tylko obeszło bez grubszych nieprzyjemności” – znowu westchnął Daniłow.

Tego właśnie ranka zadzwonił do Nataszy, usłyszał ze wzruszeniem jej miły głos i zaprosił ją na *Carmen* z Pogosian w roli tytułowej.

Wybierając się potem do miasta w sprawach zleconych mu przez Klaudię, schował na wszelki wypadek walizeczkę, waciak, czapkę i klucz francuski „montera z gazowni”: były to cudze rzeczy, o których wolał nic nie wiedzieć. Miał jeszcze w zapasie około dziesięciu minut; włączył japoński odbiornik radiowy i nie bez przejęcia wziął do ręki teczkę, którą zostawił mu kompozytor Pierieslegin. Niestety, teczki nie zdążył otworzyć, przeszkodziły mu płynące z radia ciekawe informacje. „Trudno, odłożę nuty do wieczora” – pomyślał przysłuchując się wiadomościom. Najpierw nadawano komunikaty o turniejach szachowych,

3 czebureki - danie azjatyckie: smażone pierożki z baraniną (przyj. tłumaczki)

potem o jeździe figurowej na lodzie – i nagle spiker oznajmił, że w odległości trzystu kilometrów od wybrzeża Afryki Środkowej, na wyspie Principe – jednej z dwóch należących do Portugalii wysepek, z których druga nosi nazwę Saint Thomas⁴ – w gaju chinowym znaleziono i pojmano błękitnego byka nie spotykanych dotąd rozmiarów. Na wyspę niezwłocznie udał się samolotem profesor Cheevers z Oksfordu. Wybitny naukowiec określił fakt odłowienia niezwykle okazu przez wyspiarzy jako godny podziwu czyn bohaterski w imię dobra nauki i oznajmił przy tym, iż mityczne stwory w rodzaju człowieka śniegu czy potwora z Loch Ness, których istnienia nauka mimo wszystko nie wyklucza, są w mniejszym stopniu warte sensacji aniżeli ten gigantyczny byk. Jak donoszą agencje zachodnie, ciągnął spiker, błękitnego byka dostarczono dziś rano samolotem do Madrytu.

Daniłow aż zdrętwiał.

Tymczasem głos zabrali komentator, znany specjalista od zagadnień międzynarodowych, Jurij Stronników. Opowiedział on o warunkach pracy tamtejszych chłopów zatrudnionych przy uprawie drzew chinowych i wyraził swój podziw dla męstwa i zręczności tychże chłopów, którym udało się złapać byka giganta. Musimy pamiętać, podkreślił Strannikow, że dzieje się to wszystko w czasach, gdy ekipy naukowe pod kierunkiem słynnych uczonych, wyposażone za grube dolary i funty, nie mogą sobie poradzić z pojmaniem człowieka śniegu, pływającego smoka Nessie lub czegokolwiek bodaj w zamian. Następnie komentator przeszedł do scharakteryzowania sylwetki hiszpańskiego milionera Burnabito. Ów potentat finansowy, właściciel największych wytwórni szelek, znany jest również jako mecenas sportu, dzięki jego funduszom prosperują słynne kluby piłki nożnej, za jego pieniądze – ma się rozumieć, nie bez korzyści dla samego Burnabito – ściągają się najlepszych zawodowych piłkarzy z Europy i Ameryki Południowej. Ale zorganizowany przez Burnabito import najlepszych nóg doprowadził do tego, że sprzedajny sport utknął w miejscu: Real znowu wypadł z rozgrywek o Puchar Europy. I oto nienasycony Burnabito decyduje się na następną aferę – kupuje za trzy miliony dolarów byka giganta! Byk, nawiasem mówiąc, zachowuje się ufnie i spokojnie w stosunku do prostych ludzi, ponadto jest dla nauki niezwykle cennym eksponatem, ale wyzuci z czci i wiary biznesmeni nie liczą się ani z nauką, ani z protestem społeczeństwa. W Madrycie⁵ podano do wiadomości, że dziś wieczorem odbędzie się wielka corrida z udziałem błękitnego byka; corridę odpowiednio rozreklamowano i ceny biletów są dziesięciokrotnie wyższe niż zazwyczaj.

„No tak – pomyślał Daniłow – Karmadon daje o sobie znać”. Z obliczeń wynikało, że byk zwrócił na siebie uwagę wyspiarzy i profesora Cheeversa jakieś dwa dni temu, mimo iż Karmadon przybył na Ziemię dopiero dziś w nocy. Oznaczało to, że gość Daniłowa, podobnie zresztą jak on sam, doskonale opanował uprawianą przez siebie sztukę i bez trudu przekroczył umowne granice czasu przedłużając w ten sposób swój odpoczynek na Ziemi. Daniłow był pewien, że później Karmadon poprosi go o potwierdzenie na druku delegacji służbowej, że przybył na Ziemię właśnie dziś, o pierwszej w nocy. „I cóż mi do tego – rozważał Daniłow – pewnie że potwierdzę. Tylko dlaczego on mnie nie uprzedził? Przyznam, że nawet mi trochę przykro...”

Jednak honor honorem, ale czuł się mimo wszystko nieswojo. Nie martwił się teraz o bezpieczeństwo Karmadona: nie jest dzieckiem, sam powinien o sobie myśleć. Ale co innego zahukani wyspiarze i nieszkodliwi, w dodatku na pewno roztargniony, profesor z Oksfordu,

4 Muszę tu nadmienić, że opowiadałam o wydarzeniach, które miały miejsce (a ściślej mówiąc nie miały miejsca) w roku 1972. Wówczas funkcjonowała jeszcze w Moskwie łaźnia Marjińska, której dziś już nie ma. Komitet blokowy mieszczący się w budynku z wieżyczką został gdzieś przeniesiony, budynek zaś zburzono. Wyspy Saint Thomas i Principe należały wówczas do Portugalii, ponieważ nikt się jeszcze nie spodziewał, że nadejdzie dzień 25 kwietnia 1974. Proszę wziąć to wszystko pod uwagę (*przypis autora*).

5 Mówiąc o Madrycie, mam również na myśli Madryt roku 1972. W pobliżu moskiewskich zakładów „Kaliber” jeszcze funkcjonuje wspomniana łaźnia, w Madrycie zaś panoszy się caudillo. Zrozumiałe zatem, że rekiny typu Burnabito mogą doskonale prosperować w takich warunkach (*przypis autora*).

co innego zaś – ludzie areny, którym nietrudno będzie wyprowadzić Karmadona ze stanu błogiej ufności. A może Karmadon ma w tym jakiś swój cel, skoro zamierza stawić czoło pazernemu Burnabito?

Tak czy owak, postanowił, że musi dowiedzieć się bliższych szczegółów, i przesunął płytkę bransolety. Potem mogłoby paść pod jego adresem pytanie, gdzie miał w swoim czasie oczy. W ciągu tej nieuchwytej dla człowieka chwili, gdy przenosił się myślą na Półwysep Pirenejski, zdążył usłyszeć mnóstwo komunikatów radiowych o błękitnym byku, nie potrzebował jednak informacji pośredniej. Nie wychodząc ze swojego domu w Ostankinie, znalazł się w Madrycie, na zalanym słońcem placu Puerta del Sol. Miasto dopiero przed chwilą zbudziło się ze snu, niemniej dało się już wyczuć w powietrzu pewne podniecenie. Z krwawo czerwonych plakatów patrzył błękitny byk przywołując publiczność na wieczorną corridę. Pysk miał straszny, cały w pianie, rogi jak dwa groźne zaostrome pale, na jakie Turcy w czasach romantyzmu nabijali swych jeńców. Ulicami ciągnęły tłumy z transparentami i bez. W połowie drogi do Areny, przy fontannie Kybele, Cyganki przy akompaniamencie kastanietów tańczyły gitanę na cześć błękitnego byka. Daniłow zapatrzył się na taniec i o mało nie zapomniał o Karmadonie, ale na szczęście właśnie w tym momencie przedelfilowały w kierunku Areny bogate stare Amerykanki w przyozdobionych rogami perukach. W pobliżu Areny działy się rzeczy niewiarygodne. Publiczność szalała, wiatr znad Guadarramy szarpał olbrzymią płachtą z tekstem orzeczenia potwierdzonego przez miejscowych luminarzy nauki.

Orzeczenie głosiło, iż byk jest niewątpliwie autentyczny, pochodzący na pewno z wyspy Principe, żadnych barwników ekspertyza nie stwierdziła, hormony i przysadka mózgowa są w najlepszym porządku, a więc gigantyczny okaz bynajmniej nie jest produktem szerzającej się akceleracji czy błędów genetycznych południowej fauny – po prostu taki się urodził. Niżej podane były wymiary i waga byka, a cyfry te nieco rozczarowały Daniłowa. Ucieszył się natomiast po przeczytaniu wydanych przez naukowców prognoz co do potencji rozplodowej niezwyklego reproduktora. „Zwierz, nie buhaj!” – pomyślał z szacunkiem.

Arena była jeszcze pusta, jeśli nie liczyć kilku zamiataczy z miotłami w rękach; wokół krzatali się administratorzy, ale bohaterowie corridy – toreadorzy, matadorzy, pikadorzy i temu podobni Escamillos – na razie gdzieś tam sobie spacerowali. Daniłow rzucił okiem na pomieszczenia przeznaczone dla bydła i w osobnej stajni, na słomianej ściółce, zobaczył błękitnego byka. Tej stajni – a może sali czy też klatki – strzegli żołnierze uzbrojeni w cekaemy i bazooki. Nie zabrakło też pogromców z cyrku i sikawek strażackich. Na kracie boksu wisiała połączana tabliczka z napisem: „Byk Miguel. Właściciel – dr Burnabito”. Daniłow spodziewał się, że poczuje w pobliżu Miguela zapach spoconego bydła, ale nic z tych rzeczy – rozpoznał wyłącznie aromaty, które przywiodły mu na myśl bufet dworcowy na stacji Morszańsk II. Najbardziej jednak zaskoczyło go to, że Miguel spał. Wyglądał rzeczywiście okazale: potężny, gładki, znacznie większy od bizona czy, dajmy na to, żubra, ale do słonia było mu jednak daleko, co oznaczało poniekąd, iż nie zawiodło Karmadona poczucie umiaru i obiektywności.

„Śpi czy udaje?” – pomyślał Daniłow. Posłuszna jego woli, wyskoczyła ze ściółki niesforna słomka i połaskotała nozdrza Miguela. Byk ani mrugnął. Daniłow sprowadził z afrykańskiej sawanny dużego bąka, ale nawet krwiożerczy owad nie zdołał zakłócić błogiego snu Miguela. Wówczas Daniłow przywołał z magazynu Areny ostrą banderillę i kazał jej dźgnąć byka, ale tamten tylko wargami poruszył. „Coś podobnego! – zdziwił się Daniłow. – Wygląda na to, że naprawdę śpi... A więc tak jest naprawdę z jego silną wolą! Też mi as – trzymał się do czasu, ale wystarczyło trochę luzu i z miejsca oklapł. Zresztą trudno się dziwić – po tylu bezsennych nocach...” Znalazł w tymże magazynie Areny grubą derę i troskliwie przykrył nią byka Miguela.

Teraz był spokojny: Karmadon śpi mocno, a więc niech sobie pośpi, przynajmniej na razie nie spowoduje żadnych szkód. „A wieczorem zobaczymy” – zakończył swoje rozważania, po czym powrócił do Moskwy.

W Moskwie przez ten czas nie zdążyła upłynąć nawet sekunda i polecenia Klaudivy były wciąż aktualne, aczkolwiek przestały Daniłowa obchodzić, ponieważ przypomniał sobie o Nataszy i o dzisiejszym wieczornym spotkaniu. Teraz miał wrażenie, że nawet stojąc nad Miguelem tęsknił za Nataszą...

Wśród poleceń Klaudivy była prośba: wpaść dziś do jej biura i obejrzyć przyniesiony przez jedną z koleżanek na sprzedaż australijski peniuar. W szanownej tej instytucji surowo przestrzegano rygorów i wymagano od pracowników bezwzględnej dyscypliny. Postawiony na straży roboczogodzin portier, srogi weteran w wojskowej koszuli, dostawał czasami od Klaudivy rubla za podpisanie jej na liście obecności – wówczas mogła spokojnie „pracować w domu”. Nie robiła tego zbyt często, ponieważ w domu było nudno, ale w tych ostatnich dniach profesor Wojnow wymagał zachodów wokół swej osoby.

Daniłow z należytym szacunkiem okazał portierowi przepustkę, zamówioną dla niego przez kolegów biurowych Klaudivy, po czym wyszedł schodami na trzecie piętro. Drzwi do pokoju Klaudivy były zamknięte, wisiała na nich kartka z napisem: „Narada! Uprasza się o ciszę!” Daniłow ostrożnie zapukał; w drzwiach ukazała się surowa dama, zapytała: „Pan od Klaudivy?” – i wpuściła go do środka. Narada dotyczyła wspomnianego peniuaru i jeszcze kilku intymnych części garderoby. Przywiozła je pewna znajoma, która spędziła trzy lata w Australii i której rzeczy te wydały się w Moskwie zbędne. Wśród uczestników narady było dwóch mężczyzn z gatunku najpraktyczniejszych przedstawicieli silnej płci. Daniłow, jako człowiek nowy, spowodował w towarzystwie wybuch ożywienia. Ktoś z obecnych powiedział:

– Jak to dobrze, że pan przyszedł! Klaudiva zawsze chwaliła pański gust. Niechże pan spojrzy i oceni!

Pokazano mu australijskie ciuchy – były rzeczywiście ładne, ale Daniłow wyraził wątpliwość, czy peniuar nie okaże się dla Klaudivy za duży albo za mały.

– Niech pan popatrzy, jak ja w nim wyglądam, mamy z Klaudivą jednakowe wymiary – powiedziała pani Tieriebieniewa, zatrudniona na stanowisku starszego ekonomisty.

Przebieranie się pani Tieriebieniewej początkowo wprawiło Daniłowa w zakłopotanie, ale zrozumiał po chwili, że nie ma tu ani mężczyzn, ani kobiet i że w biurowym towarzystwie koedukacyjnym coś takiego jak różnica płci w ogóle nie istnieje. Wszystko świadczyło o tym, że został tu od razu potraktowany jako swój człowiek.

Peniuar pasował na Tieriebieniewą jak ulał. Daniłow włączył się do dyskusji na temat pozostałych rzeczy. Żał mu było Klaudivy – straciła taki dzień! Powiedział jej o tym z budki telefonicznej. Powiadomił również, że peniuar został odłożony dla niej i że ustalono ostateczną cenę – sześćdziesiąt rubli.

– Były tam może peruki? – zapytała Klaudiva. – Nie? To znaczy, że wszystkie już poszły. Opuści człowiek jeden dzień i od razu jest poszkodowany. Takie już u nas panują obyczaje. Trudno. Cieszę się, że przynajmniej peniuar zaaprobowałeś. Teraz nie mam czasu, gotuję dla Wojnowa marynarski barszcz. Nie zapomniłeś, że jutro mamy iść do chłopobudów w sprawie mojej kolejki?

– Nie zapomniałem – westchnął Daniłow.

– No, to do jutra!

„A do spotkania z Nataszą jeszcze osiem godzin...” – pomyślał Daniłow ni to z radością, ni to ze smutkiem.

W przerwie próby przedpołudniowej przeglądał gazety i w jednej z nich znalazł krótką wzmiankę o błękitnym byku. „Co on tam porabia? – pomyślał z troską. – Śpi czy się już obudził?” Przesunął dyskretnie płytkę bransolety i znowu jego zmysły powędrowały do Madrytu. Byk Miguel spał przykryty derą, a wokół Areny nadal działały się niestworzone rzeczy. Ściągano nawet oddziały wojska. Wśród licznych nowin była też wiadomość, iż godzinę temu przybył do Madrytu słynny bokser Phil Killeus, który od razu, jeszcze na lotnisku, oświadczył, że na oczach publiczności położy błękitnego byka jednym ciosem. O swych wymaganiach finansowych mistrz boksu wolał na razie nie wspominać. Związek zawodowy toreadorów wystosował protest przeciwko przybyciu i oświadczeniu Phila potępiając go za to, że wtrąca się w nie swoje sprawy, i żądając, by nie dopuszczono do bestialstwa, którego ofiarą może paść niewinny byk.

W mieście krążyły pogłoski, jakoby właśnie w tej chwili Phil i Burnabito prowadzili tajne pertraktacje dotyczące szczegółów spotkania Phila z bykiem. Wymieniano także kwoty w dolarach i pesetach, jakich mógłby zażądać zuchwały bokser. Burnabito nie ogłosił jednak na ten temat żadnych oficjalnych komunikatów.

Daniłow poprawił derę, którą przykryty był Miguel, i postanowił, że zajrzy tu znowu wieczorem. Następnie przesunął płytkę bransolety z powrotem, udał się do bufetu i kupił butelkę napoju orzeźwiającego „Bajkał” oraz kanapkę z suchą kiełbasą.

Podszedł do niego elektryk Nikitin, przywitał się wylewnie i powiedział, że dyrygent zwalnia ich obu z próby, ponieważ wszyscy członkowie redakcji gazetki ściennej mają natychmiast zabrać się do pracy nad nowym numerem.

Daniłow wypisał plakatówką tytuły, nakleił na bristolu przepisane na maszynie w dziale literackim notatki, w tym także dwie własne – o tancerkach. W ocenie ich sztuki scenicznej zawsze potrafił być subtelny i obiektywny, dzięki czemu niejedna dzisiejsza gwiazda baletu przesyłała mu ze sceny wdzięczne uśmiechy. Bohaterka jednej z tych notatek, zatytułowanej: *Po raz pierwszy w roli Sylfidy*, miała na imię Natalia; Daniłow pomyślał, zmienił tytuł i plakatówką napisał z przyjemnością *Natasza*.

Za dwadzieścia siódma pędził już co tchu do głównego wejścia. Zamówił dla Nataszy miejsce po prawej stronie widowni, a więc zamierzał teraz wziąć pod obserwację „prawę” bileterki, ale Natasza z programem w rękach wchodziła już schodami na pierwsze piętro.

– Natasza! Dzień dobry! – zawołał Daniłow.

– Dzień dobry – odpowiedziała z uśmiechem.

– Przepraszam, że załatwiłem bilet na pierwszym piętrze, ale to dobra łoża, blisko środka...

Nie pamiętał, jak grał – chyba dobrze, ale zapomniał tym razem o wszystkim: o Carmen, jej kochanku, o dziewczętach z fabryki tytoniu w Sewilli i o chłopcach z karabinami; grając myślał tylko o sobie i o Nataszy. Stara altówka zdawała się brzmieć tak pięknie, jak brzmiał instrument Albaniego – a może wydawało mu się tylko, że jego muzyka brzmi tak, jakby powrócił do niego Albani. W przerwach wybiegał na górę i tam, pod oszkloną gablotą ze sztandarem przechodnim, czekała na niego Natasza, smukła i zgrabna, w ciepłym brązowym żakiecie ze spodniami. Porywał ich korowód krążący w głównym foyer, szli do bufetu na ciastka, oglądali fotosy w sali muzealnej, a potem Daniłow z jamy orkiestrowej, z grupy altowiolistów, znów unosił się na falach dźwięków w słodkie niebiańskie obszary muzyki, sięgając kryształowych ogrodów wielkiego żyrandola – a może nawet ulatując jeszcze wyżej. Niepokój wprowadzał jedynie powracający od czasu do czasu motyw toreadora: myślał wtedy o Karmadonie i o tym, że nie powinien dopuścić do nieszczęścia, jakie może przynieść ze sobą corrida. Uważał jednak, że teraz, w obecności Nataszy, nie wolno mu zdradzić się ani na moment. Zresztą nie tylko teraz, przy niej – nigdy. Zapewniał samego siebie, że Karmadon będzie spał przez cały dzień i że dziś nie stanie się nic złego, tym bardziej że do Madrytu przyleciał Killeus. A potem całkiem zapomniał o Karmadonie.

Po spektaklu dyrygent pochwalił go znowu, dodając nawet: „Może pan liczyć na wyjazd do Włoch”. Ten wyjazd, niestety, nadal stał pod znakiem zapytania. „Czekajcie – pomyślał Daniłow – ja jeszcze lepiej zagram...”

W błogim zapomnieniu przestał myśleć nie tylko o Karmadonie, ale także o Godzinie Zero.

Szli z Nataszą pustymi zaułkami na Chochły. Najpierw był Kitaj, potem Solanka, dalej Wielkim Iwanowskim skręcili w Kołpaczny, w kierunku pałacu hetmana Mazepy. Zimne powietrze otrzeźwiło Daniłowa: dyskretnym ruchem przełożył indykator do kieszeni płaszcza. Zbyt dobrze pamiętał poprzedni ich wspólny spacer; nie obawiał się teraz o instrument, tylko o Nataszę, i zamierzał uprzedzić ewentualne poczynania pana Walentego. Myśl o panu Walentym była mimo wszystko przelotna i jakby uboczna („Tak, na wszelki wypadek, żeby nikt nas nie podpatrywał”) – w towarzystwie Nataszy pragnął zrobić wszystko, by móc zapomnieć, że nie jest stuprocentowym człowiekiem...

– Tu, przez zaułek Kołpaczny, płynął kiedyś zbiegający ze wzgórza strumyk Raczka, a naokoło były ogrody Wasyla III – powiedział. – Dlatego pałac hetmański stoi do nas bokiem, widzi pani, z tej strony wygląda skromnie, całe swoje piękno ukazuje od strony dziedzińca.

Pałac hetmański stał w rusztowaniach; w lewym skrzydle zaczęły się prace rewaloryzacyjne. Od lewej strony powstawał już schodkowy gzyms z podłużnych cegieł, po prawej, na parterze, takie same cegły zastąpiły część zmurszałych okładzin okalających okna w kopulastych zwieńczeniach. Natasza koniecznie chciała obejrzeć dziedziniec, przeszli więc pod arkadami. Świecił księżyc, świeciły latarnie pobliskiej wytwórni filmów animowanych mieszczącej się w dawnym budynku polskiego kościoła, na dziedzińcu było jasno, a jednak Natasza potknęła się o biały blok ciosanego kamienia i Daniłow pospiesznie wziął ją za rękę. Dotyk jej dłoni sprawił, że poczuł się wzruszony jak sztubak. Pałac od strony dziedzińca również był w rusztowaniach; między deskami dało się zobaczyć tonące w mroku podwójne półkolumnienki, odnowione całkiem niedawno. Daniłow pokazał Nataszy przepiękne okładziny górnych okien o rozerwanych frontonach. Na obitych filcem prowizorycznych drzwiach widniała tabliczka: „Prace budowlane. Osobom postronnym wstęp wzbroniony”. Natasza pchnęła drzwi: było to wejście do piwnicy.

– Zaraz poszukam zapalek – powiedział Daniłow.

Podпалиł gazetę i oświetlił białe kamienne ściany piwnicy. Natasza odważnie zeszła po deskach w dół i zatrzymała się przy noszach z wyschniętą zaprawą murarską.

– Pomyśleć tylko, jakie to dziwne! – powiedziała. – Przecież Mazepa też schodził tędy ze świecą w rękę: miał tu wymarzone miejsce do tajnych rozmyślań. A może liczył ukryte w skrzyniach skarby? Hej, Mazepo! Hetmanie! Gdzie jesteś? – zawołała.

Daniłow, ostrożnie stąpając po deskach, chciał powiedzieć, że Mazepa nigdy chyba nie mieszkał w tym pałacu – istnieje na ten temat dostatecznie dużo sprzecznych wersji. Był tylko wdzięczny Czajkowskiemu za słynne arioso z drugiego aktu opery *Mazepa*: „O Mario, Mario!...” Natychmiast jednak pomyślał z wyrzutem: „Ależ ze mnie dzisiaj nudziarz!” Strzępek gazety dogorywał, białe mury piwnicy wykrzywiały się w chwiejnym świetle.

– Widzę go, widzę! – zawołała Natasza. – Schodzi w dół, zaraz przemówi do nas, jak do Koczubeja...

– Gdzie?

– Już zniknął – odpowiedziała z uśmiechem. – Zniknął Mazepa, ruszył zhańbiony do Połtawy...

Daniłow rzucił spaloną gazetę na ziemię, w mroku przytulił do siebie Nataszę i znowu, tak jak tydzień temu, przekonał się, jak podatne są jej usta, gdy oddaje mu pocałunek.

– Nie mów teraz nic, ani słowa... – szepnęła.

Od pałacu do jej domu, ścieżką przez podwórko, można było dotrzeć za dwie minuty, mimo to jeszcze godzinę, a może nawet dwie błądzili zaułkami Pokrowki.

– Natasza – powiedział Daniłow – chyba miałaś do mnie żal, że nie zadzwoniłem wtedy, po pogrzebie Korieniewa...

– Nie – odparła. – Po prostu czułam się paskudnie. Potrzebowałam pomocy... Pewnie mam słaby charakter, dlatego byłam tak przygnębiona. Nie mam d tego za de, przecież o niczym nie wiedziałeś...

– Powinienem być wiedzieć – zaprzeczył Daniłow. – Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie poza ustawicznym brakiem czasu.

– Nie wiesz jeszcze, że kochałam Korieniewa, było to osiem lat temu... Powiedziałam ci wtedy, że uciekłam do Permu z człowiekiem, którego kochałam, i że tam poznałam Miszę. A więc to nieprawda. Z nim właśnie uciekłam, to on był tym człowiekiem.

– Na spotkanie w instytucie przyszedł też dla niego? – zapytał Daniłow ostrożnie.

– Nie. Tamto dawno minęło. Nie bez bólu... A Miszy było mi żal. Nie przypuszczałam, że potrafi odebrać sobie życie. Do takich decyzji potrzebna jest silna wola, a silnej woli zawsze mu brakowało... Mam ochotę na papierosa.

Daniłow położył altówkę na chodniku i dłońmi osłonił twarz Nataszy od wiatru.

– Odszedł wtedy z domu, z orkiestry, chciał wszystko rzucić i zacząć od nowa. Pracował tam w teatrze, w dziale muzycznym, wynajął pokój w drewnianym domku na Motowilisze, mieszkaliśmy razem. Ale poprzednia praca nic tu nie zawiniła, po prostu powstała możliwość utworzenia zespołu młodzieżowego – instrumenty dęte, strunowe i klawesyn. Planowali, że będą grać utwory barokowe, Monteverdiego i naszych zapomnianych kompozytorów. Miszę typowano na kierownika zespołu. A ja miałam siedemnaście lat, byłam głupia, marzyłam o scenie i właśnie oblałam egzaminy wstępne w Szkole Teatralnej imienia Szczepkina. Misza powiedział, że w Permie załatwi mi pracę w teatrze, a dalej jakoś tam pójdzie... Załatwił, ale dalej nic nie poszło. Sprawy zespołu układały się wprawdzie nieźle, ale za dużo mieli kłopotów, trzeba było chodzić od instancji do instancji, wysłuchiwać różnych bzdur i wyjaśniać, po co te wszystkie baroki i Monteverdi. Nie zabrakło też różnych innych komplikacji, które możesz sobie wyobrazić. Misza dręczył się, cierpiał, przez półtora roku żył nadzieją, a przecież wiesz, jaki był niecierpliw, w gorącej wodzie kąpany... No więc wrócił kiedyś wściekły po jednej z takich rozmów w wydziale kultury czy gdzieś tam jeszcze, chodził po pokoju i powtarzał w kółko: „Koszmar! Koszmar! Prowincja! Ślepy zaułek!” Też nocy wyjechał pociągiem do Moskwy. A ja zostałam. Czułam już, że jestem dla niego ciężarem, choć nadal mnie kochał... Gospodyni patrzyła na mnie jak na porzuconą kochankę... Miałam urodzić dziecko, ale nie urodziłam... Nie powróciłam już na scenę, – aktorka ze mnie nie wyszła, ale trzymałam się teatru, a może to teatr trzymał mnie przy życiu. Przeniosłam się do pracowni krawieckiej i szyłam dobrze, sprawiało mi to przyjemność... A potem, kiedy Misza wyjechał, zobojętniałam na wszystko, ręce mi opadły... Na długo, jeśli nie na zawsze...

Zamilkła. Zaułek Starosadzki skręcał w dół; za rogiem, po lewej stronie, znowu był Kołpaczny.

– Misza powiedział mi kiedyś: „Pamiętaj, kto się boi, jest w miłości niedoskonały” – przerwał milczenie Daniłow.

– Do mnie też napisał te słowa, w liście. I jeszcze było tam coś dziwnego... Mogę tylko przypuszczać, co miał na myśli. Coś dręczyło go ostatnio, jakaś tajemnica.

Daniłow nie wątpił, że w całej tej historii z Miszą jest coś bardzo dziwnego, może w istocie jakaś tajemnica. Ostatnimi czasy często o nim wspominał, długo i uparcie usiłując odgadnąć przyczynę tej ostatniej decyzji, na jaką zdobył się Misza. Niestety, wszystkie wysiłki były próżne. Pomyślał teraz, że kiedyś, później musi koniecznie zapytać Nataszę o tamten ostatni list.

– No więc tak to wyglądało – przemówiła Natasza. – To ja gotowa byłam skoczyć wtedy do Kamy. Stać mnie było na coś takiego... Misza często pisał do mnie z Moskwy, zapewniał,

że kocha, ale dla mnie wszystko już przebrzmiało... Co do zespołu, okazał się bardzo dobry, wysyłano go nawet za granicę. Tyle że bez Miszy.

– Słyszałem – skinął głową Daniłow.

– Potem wróciłam do Moskwy. Nie układało mi się z moimi starszami: niby nic nie mówili, ale odczuwałam w ich stosunku do siebie jakieś milczące potępienie. Załatwili mi w instytucie posadę laborantki, żebym miała przynajmniej jakieś zajęcie. Stałam się dla nich obca, przestali mnie rozumieć... Otrzymałam przez instytut przydział na pokój we wspólnym mieszkaniu, mieszkam sama... A Miszy mi żal i jakoś ciężko jest na sercu... Tak, jakby znowu miało spotkać mnie coś złego...

Daniłow nic nie powiedział, choć w innym przypadku znalazłby na pewno jakieś lekkie, niosące pocieszenie słowa, po których oboje poczuli by ulgę. Szedł obok Nataszy i milczał. Zmierzali teraz do jej domu. Opowiadanie Nataszy sprawiło, że wytworzył się między nimi nagły dystans: szli w pewnej odległości od siebie i w tej ciszy, w pustce wyobcowania tkwił wcale nie obraz Miszy – całkiem coś innego rozdzieliło ich na chwilę lub na zawsze. Każde miało własny los i własne życie, a losy te były teraz równie do siebie niepodobne, jak miesiąc temu, kiedy Daniłow nie wiedział jeszcze o istnieniu Nataszy. „Właściwie dlaczego ja z nią gdzieś idę, po co? Zaraz odprowadzę ją do bramy i wrócę taksówką do domu, może uda mi się wyspać...” – myślał.

Ale kiedy byli już blisko jej domu, Natasza zapytała, czy nie miałby ochoty wstąpić do niej na chwilę, i Daniłow, choć wspomniawszy przez uprzejmość, że pora jest późna, przyjął zaproszenie, ponieważ zaproponowała mu złożenie tej późnej wizyty całkiem bezpośrednio, z rozbrajającą szczerością.

Dom spał. Daniłow zdjął płaszcz i zostawił altówkę w przedpokoju, przy wieszaku. W pokoju Nataszy było ciepło i czysto. Daniłow z przyzwyczajenia, tak jak podczas każdej pierwszej wizyty w obcym domu, podszedł do regałów z książkami. Książek Natasza miała niezbyt dużo, ale wszystkie były z tych, które dobrze znał i lubił. Dwóch monografii – o Somowie i Grünewaldzie – nawet jej pozazdrościł: polował na nie bezskutecznie od roku.

Na stole stała maszyna do szycia.

– Szyję dużo – powiedziała Natasza. – Znam parę dobrych projektantek, plastyczek z domów mody, które też potrzebują zarobić; projektują więc dla swoich klientek suknie czy kostiumy i robią wykroje, ale potrzebna im jest krawcowa, która by to uszyła. A ja zawsze szyję z przyjemnością, nieźle mi to idzie. Ludzie mówią: „artystka”, aż śmieszne... Zaraz zrobię herbatę. A może kawę?

– Chyba lepiej herbatę – powiedział Daniłow.

Po tamtym wyobcowaniu, które czarną pustką legło między nimi w zaułku Starosadzkim, nie pozostało już śladu. Daniłow nie mógł nawet wyobrazić sobie, że Natasza była do niedawna nieznajomą, obcą mu kobietą. Przeszłość po prostu przestała istnieć, zniknęła Korieniew, zniknęło wszystko poza jedną tylko Nataszą, która istniała zawsze. Patrzył teraz na nią, śledził jej lekkie, rzekłbyś – muzykalne ruchy, i każdy gest przyprawiał go o wzruszenie. A potem, kiedy przyniosła z kuchni herbatę, wziął w swoje ręce jej dłonie i już ich nie wypuścił.

Rano przypomniał sobie z przerażeniem o Klaudii i o chłopobudach. Wolał od razu powiedzieć Nataszy o swoim nieudanym małżeństwie, przy czym dodał pospiesznie, jakby na własne usprawiedliwienie, że po latach spędzonych w domu dziecka i szkolnym internacie, stęskniony za zwyczajnym życiem domowym w otoczeniu rodziny i krewnych, wylądował w przytulnym gniazdku Klaudii bez namysłu, z zamkniętymi oczami. Teraz odczuwał wstyd. „Nie żałuję niczego – zaznaczył szybko – do Klaudii też nie mam pretensji, utrzymujemy do dziś przyjazne stosunki”. Pomijając wszelkie inne sprawy, Natasza mogła pomyśleć, że daje się jej do zrozumienia, iż tęsknota za życiem rodzinnym nie przeminęła; wyszło trochę głupio, ale Natasza zdawała się w ogóle nie słyszeć tego, o czym opowiadał, i Daniłow był jej za to wdzięczny. Zresztą był jej wdzięczny za wszystko: za obecne szczęście, a zwłaszcza za spokój i za muzykę, która brzmiała w nim teraz. Ciężko mu było otrząsnąć się z tej błogości i wejść do budki telefonicznej na bulwarze Pokrowskim.

Zamiast Klaudii telefon odebrał profesor Wojnow.

– Czy mogę prosić panią Klaudię? – jękając się zapytał Daniłow.

– Chwileczkę. Klaudio, do ciebie!

Prawie natychmiast rozległ się w słuchawce energiczny głos Klaudii:

– Ach, to ty! Nie mam ani chwili czasu. – W tonie jej zabrzmiał odcień wspaniałomyślności, tak jakby to Daniłow zwracał się do niej z prośbą, którą wypadało łaskawie spełnić. – Spotkamy się za godzinę w mieszkaniu Rostowcewa i bardzo cię proszę, zrób skruszoną minę. Albo groźną, żeby widać było, co z ciebie za ananas...

„Niech to diabli! – pomyślał Daniłow. – Kiedyż ja wreszcie będę miał spokój?” I w tym momencie przypomniał sobie o Karmadonie.

Stracił Karmadona z oczu na całe czternaście godzin!

Usiadł na skwerku, na zimnej ławce, altówkę położył obok. Na teźże ławce dwóch emerytów grało w szachy. Było jeszcze szaro, świeciły latarnie, ale wszystko wskazywało na to, że gra jest już bardzo zaawansowana. „Ciekawe, przywlekli się tu skoro świt czy siedzą od wczoraj?” – pomyślał Daniłow. Sprawdził obu starszków na demonizm przy pomocy indykatora; emerycy okazali się kryształowi. Starszek siedzący dalej od Daniłowa wysunął wieżę do przodu spisując ją na straty; bliższy zawodnik jęknął, zatarł ręce i spojrzał na Daniłowa w oczekiwaniu aprobaty albo podpowiedzi. Mrugnął nawet porozumiewawczo: „Nie damy się nabrać, co?” – a potem sięgnął po najbardziej drapieżny swój pionek. Wówczas Daniłow przesunął płytkę bransolety i ujrzał przed sobą Madryt. Błękitnego byka w mieście nie było.

W Madrycie trwały zamieszki, ale tym razem już pod nieobecność Miguela. Daniłow odnalazł Burnabita w jego podmiejskiej willi, nad brzegami Manzanares. Milioner siedział w marmurowym basenie i walił pięściami w wodę. Do skraju basenu zbliżał się co chwila sekretarz przypominając taktownie swemu chlebobudawcy o upływie czasu i o konieczności uiszczenia okupu.

Daniłow zdobył się na wysiłek woli i przywrócił wydarzenia dnia wczorajszego. Zobaczył trybuny pełne ludzi. Na placu oddziały żołnierzy powstrzymywały jeszcze tłum nacierających, żądnych wrażeń amatorów corridy, dla których, niestety, zabrakło kart wstępu. Tymczasem na trybunach nie milkły oklaski. I oto z tunelu wytoczono duże działo, a na lawecie działa spoczywał dostojnie byk Miguel.

Sezon corridy jeszcze się nie rozpoczął, nadprogramowe widowisko urządzono w drodze wyjątku. Mało tego – Burnabito odważył się na wprowadzenie pewnych innowacji. Z tej to

przyczyny, wbrew odwiecznym zwyczajom, wwieziono byka na lawecie. Został zaprezentowany publiczności i wykonał rundę honorową dookoła areny. Słynni bohaterowie, idole corridy, każdy wystrojony i piękny jak Escamillo, stali już w efektownych pozach na polu. Dla większego efektu wyprowadzono również wszystkie byki bojowe. Matadorzy, a wśród nich śliczna Angelita, która wywalczyła równouprawnienie dla kobiet toreadorów, na widok Miguela pozostali niewzruszeni dając niejako do zrozumienia, że walka z nim jest dla nich pestką. Biorące udział w defiladzie bojowe byki były wzburzone, nieomal wściekłe. Tymczasem Miguel, wykonując rundę honorową dookoła areny, nawet nie podniósł głowy, nie zaszczycił publiczności pochyleniem rogów, przez co pozyskał szczególny szacunek widzów.

Wreszcie Miguela wywieziono z areny i rozpoczęła się corrida. Na pierwszy ogień wystawiono byki najslabsze i najtańsze, pozostawiając „na deser” bardziej zasłużone. Miguel miał wystąpić jako ostatni. Ach, co to było za widowisko! Tańce mullet i peleryn, miganie rogów, tumany kurzu spod kopyt – jednym słowem, tauromachia! Daniłow nie mógł patrzeć bez bólu na okrutną zabawę tłumu, na cierpienia niewinnych zwierząt, a równocześnie zafascynowało go piękno strojów i cały ten niebywale plastyczny, zaiste barbarzyński spektakl. Sporo byków uśmiercono, nim nadeszła kolej Miguela; gdyby tak połączyły wysiłki i przywołały na pomoc brata z wyspy Principe, może wszystko wyglądałoby inaczej... Ale publiczność nadal wyła, nadal rzucała świece dymne, a przecież zdawać by się mogło, że powinna już poczuć się zmęczona nadmiarem emocji. „Miguel! – wołały damy, w tym również bogate stare Amerykanki. – Dawać tu Miguela!” Dla wszystkich było jasne, że chwila nadeszła. Słynni matadorzy – González, Rodriguez i Resnicoviez – ukazali już w przejściu swe smukłe łydki i haftowane ramiona. Powstało jednak małe zamieszanie: jasne było, że na arenie dzieje się coś skandalicznego. Trybuny gwizdały. Wreszcie – znowu wbrew wszelkim regulaminom i tradycjom – byk Miguel nie wyszedł sam, lecz został wwieziony na teźże lawecie. Służba porządkowa, również odświętnie ubrana, usiłowała zmusić go do zejścia z lawety, ale skończyło się na tym, że Miguela sprowadzono na ziemię siłą. Nikt nie zauważył momentu, kiedy Miguel stanął na nogach, ale wszyscy zobaczyli go leżącego na arenie.

Pikadorzy zaciekle ruszyli na byka – święto corridy trwało. Daniłow, choć wtrącać się nie miał prawa, poczuł smak prawdziwego hazardu. „Zaraz Karmadon wam pokaże – myślał – zaraz wystąpi w obronie biednych zwierząt!” Zaczął się atak pikadorów, który nie zrobił na Miguela żadnego wrażenia. Kłuli go pikami, płąsali przed nim, drażnili, kopali, odwoływali się do jego męskiej ambicji i poczucia własnej godności, wskazywali na Bogu ducha winną publiczność, która tyle wydała na bilety... Usiłowali go nawet czymś zwabić, ale byk leżał bez ruchu. Zmieniali się napastnicy, a każdy ponosił sromotną porażkę, aż wreszcie w ich szeregach dało się dostrzec objawy dezorientacji. Wówczas to, wyczuwając moment, wkroczyły do akcji bożyszczka areny – González, Rodriguez i Resnicoviez. Po raz pierwszy w historii corridy cała trójka najslawniejszych toreadorów wyszła w komplecie, i towarzyszyła im śliczna Angelita. Niestety, idole również poniosły haniebną porażkę: Miguel pozostał najzupełniej obojętny na przyspieszone bidę ich walecznych serc. Z półtorej godziny trwały bezskuteczne wysiłki królów areny i całej ich świty. Na trybunach zaczęto podawać w wątpliwość autentyczność byka. „Sztuczny czy co, u diabła?” – wołali niektórzy. „Ty, rogate bydło, nie zwracaj gitary!” – krzyczeli inni, ma się rozumieć, po swojemu, po hiszpańsku. Ulegając żądaniom rozochoconej publiczności, szalony zastęp bohaterów corridy rzucił się na błękitnego byka z białą bronią.

Zachwycony tłum poderwał się z miejsc. Wreszcie coś do Miguela dotarło: ni to kichnął, ni to ziewnął, a może tylko westchnął – i wszyscy gwiazdorzycy, ilu ich stłoczyło się wokół niego, polecieci w różne strony, przy czym niektórzy wpadli nawet na trybuny. Miguel wstał i publiczność przywitała go jękiem zachwytu: wszyscy zobaczyli, jaki to wspaniały okaz, jaki atleta – byk co się zowie! Leniwie, aczkolwiek z godnością, odwrócił się tyłem do trybuny

honorowej, a następnie znowu przybrał pozycję leżącą, kładąc głowę na przednich nogach nieporadnie, jak małe cielątko.

Wtedy to ukazał się zuchwały Phil Killeus. Wszyscy byli pewni, że powrócił do Ameryki, ale Phil został w Madrycie.

Pojawił się tuż przy bandzie rozpychając policjantów i wymachując pięściami – jasne było, że chce dorwać byka. Publiczność zapomniała o Miguelu, patrzyła teraz tylko na Phila wierząc, że on jeden potrafi przywrócić corridzie jej honor. Zdenerwowany Burnabito zerwał się ze swojego miejsca na trybunie honorowej i zawołał: „Trzymać go! Nie wpuszczaj!”, co dało wielu osobom podstawy do podejrzeń, że biznesmenowi idzie nie tyle o uratowanie cennego okazu byka, ile o nie uzgodnione z Philem sprawy finansowe. A nuż powiedzie się Philowi – wówczas nieszczęsny Burnabito będzie zrujnowany. Policjanci i służba porządkowa w cywilu mocno trzymali śmiałka, nie pozwalając mu wkroczyć na arenę.

Zarówno policjantom, jak i służbie w cywilu nie brakowało krzepy, ale Phil też słabeuszem nie był. Wyrwał się im z rąk, sywał przekleństwami, groził, że zrobi miazgę z błękitnego byka, żądał, by przydzielono mu już w tej chwili nagrodę – bycze ucho, kopyto i ogon. Wyrwał się, ale nie uciekał: zamierał w miejscu i dawał się schwytać, schwytany zaś natychmiast zaczynał wyrwać się znowu i straszliwie urągać bykowi. „Puszczaj!” – wołał Phil. „Nie puszczaj!” – krzyczał Burnabito. „Puszczaj!” – „Nie puszczaj!” – „Puszczaj!” – wrzasnął Phil. – „Załatwię go za darmo!” Oświadczenie owo złożył czy to w porywie młodzieńczej odwagi, czy może zaślepiony żądzą zwycięstwa. Policjanci spojrzeli na Burnabita, tamten nie zorientował się od razu, o co idzie, ale w końcu, widocznie już wyczerpany, dał policjantom znak: przepuścić ochotnika. Wyzwolony Phil z miejsca złagodniał – może był zdumiony, a może byk przestał go nagle interesować. Wycofać się jednak już nie wypadało. Publiczność szalała żądając obiecanego ciosu. Phil poskakał trochę przed policjantami mając nadzieję, że zostanie złapany i nie dopuszczony do byka – ale nikt nie zamierzał go łapać. Odrzucił więc z rozpaczą głowę, przybrał pozycję prawostronną i tanecznym krokiem ruszył w kierunku swej ofiary. Zapadła cisza. Phil zbliżył się do Miguela i z całej siły ciachnął go prawą pięścią między rogi. Byk, choć powinien był z miejsca przewrócić się kopytami do góry, nawet nie drgnął. W ogóle nic mu się nie stało, poruszał bokami miarowo jak przedtem. Znieważony Phil walił znowu i znowu, ale byk nic sobie z tego nie robił. Wówczas Phil odbiegł na kilkadziesiąt metrów i z rozpędu skoczył do przodu, jak piłkarz do rzutu karnego. Niestety, nie pomógł nawet rozpęd, ale Phil, już w transie, zaczął młócić byka pięściami jak treningową gruszkę. Była chwila, kiedy Miguel podniósł głowę i spojrzął na Phila zdumiony, po czym zrobił taką minę, jakby chciał splunąć z pogardą, i znowu opuścił łeb. Phil ponownie rzucił się do walki, lecz natychmiast ręce mu opadły bezwładnie; zachwiał się i runął na ziemię obok Miguela. Służba porządkowa podniosła go z trudem i zaprowadziła pod trybuny.

Publiczność wyła. Nie wydano żadnych nadzwyczajnych rozkazów, niemniej z brzucha Areny samoczynnie, jak materialny wyraz jej szaleństwa, wytoczył się na pole uzbrojony w szybkostrzelne działo ciężki czołg, który ruszył prosto na byka. Daniłow wstrzymał oddech. Zbliżające się agresywnie gąsienice czołgu musiały wywołać u Miguela jakieś nowe emocje. Zerwał się z miejsca, przez parę sekund patrzył w osłupieniu na czołg, potem podniósł ogon, opuścił wielką głowę, zaczepił czołg rogami, przewrócił go i potoczył przed sobą niczym kłębek stepowych ostów. Działo natychmiast przełamało się na pół i odpadło, lufa zgięła się w kabłąk i nikogo nie obchodził już los załogi czołgu.

Wszystkich ogarnęła panika. Ludzie wyskakiwali z miejsc, biegli ku wyjściu przepuszczając przodem kobiety i dzieci. Jednak tuż przy bandzie byk Miguel zatrzymał się i najspokojniej w świecie poszedł sobie z powrotem do tunelu. Daniłow zrozumiał, że Miguel nie zdążył jeszcze oprzytomnieć, że porusza się w półśnie i nogi same niosą go tam, gdzie

było mu przedtem tak dobrze. Byk położył się na swoim miejscu w boksie, sam przykrył się zdobytą przez Daniłowa derą i przycichł.

W całym mieście wrzało, ale Daniłow, oceniwszy w przybliżeniu wyrządzone przez byka szkody, odzyskał spokój. Te szkody okazały się w większości moralne. Wiele osób nabawiło się przykrych kompleksów, przypuszczano nawet, że dzisiejsza hańba może spowodować pojawienie się wędrownych rycerzy. Co się tyczy natomiast szkód materialnych, były całkiem zwyczajne: wybite szyby, przewrócone samochody, zburzone gniazda miłości. Zanotowano też pojedyncze przypadki obrażeń cielesnych i kilka zawałów serca – ale wszystko to równie dobrze mogło zdarzyć się w każdych innych okolicznościach. Załoga czołgu była poturbowana, ale nikt przecież nie kazał tym desperatom przypuszczać ataku na byka. Tak więc, gdyby nawet Daniłow poprzedniego dnia przybył tutaj prosto z teatru, zaraz po anitoadora, i cały czas trzymał rękę na pulsie, nie musiałby dokładać specjalnych starań dla wzięcia w obronę ludności Madrytu.

Tymczasem po corridzie wydarzenia nabrały tempa. O pół do dwunastej w nocy błękitny byk Miguel został porwany. Sprawcy porwania – pięciu terrorystów, w tym jeden ni to Japończyk, ni to Filipińczyk – załadowali byka do skradzionego samolotu i wywieźli w nieznanym kierunku. W półtorej godziny później Burnabito otrzymał telegram z Mauretanii, z miasta Nouakchott. Terroryci – czy jak się tam mianowali w rzeczywistości porywacze – postawili milionerowi ultimatum: nazajutrz, nie później niż o jedenastej rano, ma on wyłożyć pięć milionów, które zostaną zwrócone rodzinie lewego skrzydłowego Chumpinasa, sprowadzonego przez Burnabita z Santa Fe. W przeciwnym wypadku, punktualnie pięć po jedenastej, błękitny byk Miguel wyleci w powietrze wraz ze szczątkami samolotu. Równocześnie porywacze składali doktorowi Burnabito gratulacje z okazji zainkasowania dziesięciu milionów dolarów, którą to kwotę otrzymał on za corridę i za sprzedaż telewizji prawa do przeprowadzenia transmisji. Władze miejskie Nouakchott oznajmiły, że nie mają z porywaczami nic wspólnego, i błagały Burnabita o zlitowanie się nad bykiem oraz nad ich miastem: terroryci są ponoć uzbrojeni w pistolety laserowe, którymi straszą miejscową ludność.

Do Nouakchott Daniłow nawet nie zajął: duszno tam, upał, Sahara w pobliżu, zresztą Miguel tak czy owak na pewno śpi. Nie miał też ochoty na przenoszenie samolotu z bykiem na pokładzie z powrotem do Madrytu. Burnabita nie darzył najmniejszą sympatią, a poza tym ktoś może wiedzieć, jakie zamiary ma Karmadon. Szkoda mu było tylko porywaczy. Właśnie w tym momencie zauważył sekretarza Burnabita, który przyniósł swemu szefowi nowy telegram. Terroryci, zdenerwowani uporczywym milczeniem milionera, oznajmiali o skróceniu terminu ultimatum. Telegram głosił, że jeżeli Burnabito nie da odpowiedzi w ciągu najbliższej godziny, zostaną powzięte w stosunku do byka środki nadzwyczajne; nie jest powiedziane, że straci życie, ale wątpliwe, by mógł kiedykolwiek mieć jakieś potomstwo. Burnabito ze złości o mało nie wypluskał z basenu całej wody, Daniłow natomiast zareagował na to uśmiechem, ale po chwili zaczął się zastanawiać. Może Karmadon dlatego popadł w stan takiej błogości, że przestały działać u niego wszelkie odruchy obronne? W takim przypadku pistolety laserowe mogłyby rzeczywiście wyrządzić mu krzywdę – uszkodzić skórę albo coś innego... Daniłow mimo wszystko nie był już taki spokojny jak przedtem. „Wpadnę tam jednak za godzinę – pomyślał – godzina to za mało, żeby stało mu się coś złego”.

Przesunął płytkę bransolety i powrócił do Moskwy.

Staruszek siedzący bliżej niego nie zdążył jeszcze wziąć do ręki podsuwanej mu wieży. Coś go jakby tknęło, popatrzył na Daniłowa czekając, aż ten do niego mrugnie – i zdawało mu się widocznie, że Daniłow wreszcie mrugnął. Uradowany szachista postawił swój pionek na dawnym miejscu mówiąc: „No nie, nabrać się nie dam!” Jego partner nadał się i oświadczył: „Dotknąłeś figury – musisz zrobić ruch!” Wywiązała się sprzeczka, do której

starszowie usiłowali wciągnąć Daniłowa, przy czym ten bliższy patrzył na niego jak na sprzymierzeńca, dalszy zaś – jak na wroga. Daniłow powiedział z zażenowaniem, że po raz pierwszy obserwuje grę w szachy, i poszedł sobie bulwarem do przystanku mikrobusu.

Klaudia wypatrywała go na rogu ulicy Czechowa i zaułka Nastazji. Była wyraźnie niezadowolona, że przyszła pierwsza.

– Chodźmy – powiedziała energicznie. – Proszę cię, zrób skruszoną minę. Wiesz, taką bardziej głupkowaną. Ja będę mówić, a ty mi tylko przytakuj... Co się z tobą dzisiaj dzieje? Daję głowę, że nie nocowałeś w domu. Co? Przecież widzę! Inna kobieta na moim miejscu... Dobrze, dobrze, nic już więcej nie powiem. Czytałeś o błękitnym byku?

– O czym? – zdziwił się Daniłow.

– Pytam, czy widziałeś dzisiejszą gazetę! Jest tam artykuł o błękitnym byku. Nie widziałeś? To później ci opowiem.

Wszystko poszło gładko i w tempie. Drzwi znowu otworzył rumiany pirat Rostowcew, absolwent dwóch wyższych uczelni. Wyjawszy na chwilę z ust cenną fajkę nabitą mocnym tytoniem, ucałował dłoń Klaudii. Na ramieniu, tak jak przedtem, miał papugę, tym razem jednak nie zieloną, lecz niebieską, z jeszcze bardziej haczykowatym dziobem i bardziej złośliwą niż tamta poprzednia. Wyglądał mizernie – widocznie po nocnych łotrowskich eskapadach. Ludzi w przedpokoju było niewiele: w dniu dzisiejszym w ogóle nie rejestrowano klientów, rozstrzygano tylko sprawy sporne. Tym razem Daniłow nie powiesił już swojej czapki na ocynkowanej balii – trzymał ją w rękach niczym ubogi petent z obrazu wczesnej rosyjskiej szkoły realistycznej, zwanej „szkołą pieriedwiżników”. Rzuciło mu się w oczy, że tutejsi luminarze – w tym również Obłokow – traktują Klaudię z respektem, nawet jakby z lekką obawą. Poza tym widać było, że Klaudia jest tu swoim człowiekiem. Ma się rozumieć, miejsce w kolejce zostało jej natychmiast przywrócone, ale trzeba było zadośćuczynić formalnościom. Wskazując na Daniłowa, Klaudia oznajmiła, że jest on człowiekiem roztargnionym, jak to artysta, i dość interesownym, choć poniekąd uczciwym, a więc to on przywłaszczył sobie jej pieniądze (piętnaście rubli) i tym samym zakłócił proces poruszania się kolejki. Daniłow napisał oświadczenie, w którym potwierdził wiarygodność zeznań Klaudii. Patrzone na niego ze współczuciem; nawet człowiek w drogich okularach, specjalista od zagadnień międzynarodowych, nieubłagany, gdy szło o miny i grymasy, zdawał się być ułagodzony. Klaudia, widząc tę zmianę nastroju, odważyła się naruszyć regulamin i zapytała, jak długo ma czekać na swoje prognozy. Obłokow zaniepokoił się, przeszedł szybkim krokiem naokoło stołu, mały i zwinny jak ów Korsykanin w Fontainebleau, po czym powiedział, że na razie nie może udzielić takiej informacji. „Oczywiście, rozumiem pana” – pokornie skinęła głową Klaudia i w jej wzroku Daniłow przeczytał: „Możecie sobie gadać, ja i bez was swoje prognozy znam”. Wypadałoby już odejść, ale łaciaty sekretarz siedzący nad dziennikiem pokładowym zwrócił się do Daniłowa żądając, by podpisał zobowiązanie o zachowaniu dyskrecji.

– Po co? – zdziwił się Daniłow.

– Wymagają tego warunki eksperymentu.

– No cóż, proszę bardzo – powiedział Daniłow.

Złożył podpis i wśród panującej ciszy odniósł wrażenie, że od tej chwili łączy go z chłopobudami coś bardzo ważnego – podpisał się wprawdzie nie własną krwią, ale też z pewnością nie zwyczajnym atramentem.

Pożegnano go życzliwie. Na ramieniu Rostowcewa, który stał w pobliżu drzwi, oprócz papugi siedział teraz także chomik. Daniłow ominął Rostowcewa z daleka, Klaudię natomiast rumiany pirat przyciągał jak magnes. Daniłow czuł, że swoją obecnością jej przeszkadza, ale cóż miał zrobić?

– Koniec – powiedział wychodząc na ulicę. – Całe szczęście, że nie muszę więcej mieć z nimi do czynienia.

– Mylisz się – odparła Klaudia. – Byli dla ciebie bardzo życzliwi.

– Gdyby nawet byli nieżyczliwi, cóż mnie to może obchodzić?

– Nie bądź taki narwany! To ludzie poważni, nie kierują się emocjami, tylko nauką. Jeśli coś im się nie spodoba, mogą cię zniszczyć.

– To rzeczywiście straszne. Postaram się trzymać od nich z daleka.

– O nie – powiedziała Klaudia. – Zapomniałeś, że mam pomysł? Będziesz mi pomagał, nie uciekniesz.

Daniłow chciał zaprzeczyć, a potem pomyślał, że najlepszy sposób na Klaudię to cichy sabotaż.

– Muszę najpierw wiedzieć, co to za pomysł. Kiedy mi powiesz? – zapytał.

– Ciszej! Milcz! Powiem w najbliższym czasie. – Nagle przypomniała sobie: – Słuchaj, czy nie wiesz przypadkiem, co to jest holograf?

– Czytałem coś o holografii, ale nie pamiętam. Po co ci holograf?

– Widzisz – powiedziała ze smutkiem – z prognoz pośrednich wynika, że za dziesięć lat będzie mi potrzebny nie tyle Wojnow, ile holograf.

– Jaki znowu holograf?

– Czy ja wiem? Jednym słowem, specjalista od holografii. Człowiek wartościowy. Niegłupi. Do tego, rzecz jasna, stuprocentowy mężczyzna.

– Dajże spokój! Ty – i jakiś tam holograf?

– Dlaczego „jakiś tam”? Nieważne, że teraz tacy nowatorzy są na szarym końcu, za dziesięć lat powinni znaleźć się w czołówce.

– Cóż, twoja sprawa. Ale co z Wojnowem? Poda się do dymisji?

– Skąd, wcale nie. – Na wspomnienie o Wojnowie w głosie Klaudii wraz ze smutkiem zabrzmiała czułość. – Mamy jeszcze czas... A jednak muszę już teraz poczytać coś o holografii, żeby wiedzieć, jak się w przyszłości zachować. Zresztą wszystko to drobiazgi.

– Masz rację – przytaknął Daniłow. – A propos, czy odebrałaś ten peniuar?

Zaangażowany mimo woli w kupno australijskiego peniuaru, niepokoił się o los efektownego ciucha.

– Tak, oczywiście. Dziękuję ci, przekazałam profesorowi twoją opinię, kazał mi brać od ręki. Ale z tymi perukami oni nas jednak nabrali...

Pożegnali się wreszcie przed hotelem „Rosja”, ale Daniłow zawołał za nią:

– Słuchaj, co ty tam mówiłaś o błękitnym byku?

– Przeczytaj w gazecie! – rzuciła Klaudia. – Dużo bym dała, żeby to zobaczyć... Później ci wszystko opowiem.

„No, dość już tego dobrego! – pomyślał Daniłow. – Koniec z Klaudią i z całym jej towarzystwem!”

Tymczasem w Moskwie upłynęła godzina. W Madrycie także.

Daniłow zbliżył się do pomnika Puszkina i usiadł na ławce, widząc przed sobą tym razem nie szachistów, lecz ludzi usposobionych romantycznie, śledzących z przejęciem ruchy wskazówek dużego zegara. Przesunęła się płytka bransolety – i przed Daniłowem stanął Madryt w całej swej porannej krasie. Pierwsi wędrowni rycerze wyruszyli właśnie na prowincję, w lud, dosiadłszy koni Przewalskiego wypożyczonych z prywatnych rezerwatów. Rycerze, cierpiący na kompleks błękitnego byka, podróżowali bez giermków, jeden tylko toreador Resnicoviez jechał w towarzystwie kelnera.

Tak jak przewidywał Daniłow, Burnabito skapitulował i wyłożył pięć milionów. Lewy skrzydłowy Chumpinas został zwolniony od wyptywających z kontraktu obowiązków i powrócił do swej rodziny w Santa Fe. Burnabito przyjął przedstawicieli prasy we własnej willi; siedział w basenie wypełnionym bieżącą morską wodą, ubrany w same tylko płócienne

slipy. Wyglądał na zmęczonego, ale był zadowolony. Decyzję swą uzasadnił względami humanitarnymi: żal mu było ponoć Miguela, obsługi lotniska w Nouakchott, żal pracowników linii lotniczych i rodziny tego bydlaka Chumpinasa. W nocy miasto nie spało, ludzie żyli oczekiwaniem. Decyzja Burnabita nie wszystkich może wyprowadziła z równowagi, ale wszystkich zmartwiła: choć przemawiał za nią zdrowy rozsądek, świadczyła o braku wszelkiej pasji. Ludzie, nawet ci najspokojniejsi, żalowali w duchu, że nic nie wybuchło i nie wyleciało w powietrze.

Rozczarowanie ogółu znalazło wyraz w burzliwym proteście przeciwko ustępstwom na rzecz podłych terrorystów i tej bezczelnej wyzyskiwaczki, żony Chumpinasa. Nabrzmiwał skandal. Chcąc zapobiec niepokojom, Burnabito zapewnił, że znajdzie w miejsce Chumpinasa kogoś innego i odkryje nową, jeszcze bardziej olśniewającą gwiazdę futbolu – w każdym razie, pieniędzy na to nie pożałuje. „Może będzie to Müller, może Rivellino, a może... – w tym miejscu doktor Burnabito zrobił efektowną pauzę – ... kto wie, może nawet sam Wiktor Papajew z moskiewskiego klubu Spartak.

W każdym razie, poczyniono już odpowiednie kroki...” Nazwisko Papajewa wywołało euforię, dziennikarze zaniemówili z wrażenia. „Niemożliwe! Sam Papajew! Nie do wiary! Superpiłkarz, ekstraklasa! Bomba! Trzy kornery – penaltyle!”

Jasne było, że Burnabito, stary przechera, tym razem też nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać.

Tymczasem byka Miguela odtransportowano samolotem do Madrytu. Choć spotkał się wczoraj z dezaprobatą mieszkańców miasta, teraz, po nocnych perypetiach i przymusowym pobycie w Mauretanii, powitany został jak członek rodziny, przy akompaniamencie gitar i kastanietów. Leżał nadal bez ruchu, czasem tylko podnosił głowę i patrzył na ludzi mętnym wzrokiem. Dziś jednak wszyscy stwierdzili zgodnie, że jego spojrzenie i pozycja świadczą o królewskim majestacie. Wyniosło go z samolotu na specjalnych noszach kilkunastu atletycznie zbudowanych mężczyzn (widząc to Daniłow znowu poczuł litość dla pechowych porywaczy, zwłaszcza dla tego Japończyka czy Filipińczyka). Miguela ulokowano na lawecie i w asyście kolumny motocyklistów, mijając madryckie *plazas* i *avenidas*, przywieziono do wyznaczonej mu zawczasu rezydencji.

Bezpośrednio na lotnisku Burnabito zorganizował konferencję prasową, w trakcie której oznajmił, że przed wczorajszą *corridą* nie zawierał z bykiem żadnych układów, jawnych bądź też tajnych, zatem byłoby szczytem bezczelności żądać teraz zwrotu otrzymanych pieniędzy. Dodał, iż byk został dziś poddany szczegółowym badaniom lekarskim; wybitni specjaliści stwierdzili u niego pewne zahamowanie refleksów powodujące ustawiczną senność: widocznie dało o sobie znać dłuższe zmęczenie i brak snu. Niewykluczone też, że ugryzła go mucha tse-tse lub że ma trudności z aklimatyzacją. Mimo to, zapewnił Burnabito, z całą pewnością w najbliższym czasie – może już za parę godzin – byk odzyska rzeźkość i beztróskę. Przyczyni się do tego instykt miłosny. Najlepsze krowy spośród przedstawicielek żeńskiej połowy gatunku, namiętne i czułe, oczekują już przybycia Miguela. Znajdą się też inne czarujące istoty, dodał Burnabito ze znaczącym uśmiechem; właśnie przed chwilą nadszedł telegram od słynnej gwiazdy filmowej Cynthii Quicombe, która leci do Madrytu, gotowa zapłacić sto tysięcy dolarów za spędzenie godziny w towarzystwie błękitnego byka. Cóż, Burnabito i uczeni konsultanci zastanowią się nad jej propozycją, najważniejsze jest przecież, by w ostatecznym rozrachunku dobre chęci zostały wynagrodzone.

Ach, ta Cynthia! Dawno już pozostawiła w tyle Marylin, Bardotkę i Elizabeth Taylor. Same klejnoty, które zdobyły czasami jej kreacje, warte były dobrych kilka milionów dolarów. Na ekranie potrafiła być nie tylko seksbomba, ale i seksmgiełką. Urzekąco również to, że w najbardziej rozczulających scenach nie grała, lecz żyła przed kamerą. Jej filmy, w tym głośne *Sentymentalne tango*, nawet w krajach skandynawskich wyświetlano wyłącznie na

zamkniętych pokazach, i też okrojone przez cenzurę. I oto sama Cynthia Quicombe chce zobaczyć błękitnego byka! Nie tylko Madryt – nawet Daniłow poczuł się przejęty.

Przyjrzał się bykowi. Miguel spał w przydzielonej mu rezydencji na skórze lwa. Daniłow ziewnął.

Otwierając usta był jeszcze w Madrycie, a skończył ziewać już na ławce przed pomnikiem Puszkina. „Też pospałbym z przyjemnością” – pomyślał w błogim rozmarzeniu.

Ale o spaniu nie było mowy.

Zapewniał sobie, że zaraził się tym ziewaniem od Karmadona, lecz była to nieprawda. Jemu też dało się we znaki ciągłe niedosypianie.

Dzisiejszej nocy nie żałował: była szczęśliwa. Ale ustawiczny brak snu miał ostatnio podłoże zgoła inne – kłopoty, bieganina, a ponadto przykry fakt, że grać dla siebie, dla serca, mógł wyłącznie nocami. Grał bardzo cicho, myśląc o śpiących ludziach, nie tak jak jego sąsiad Klemientiew, muzyk z teatru operowego dla dzieci i młodzieży. Klemientiew, choć w orkiestrze dmuchał w trąbkę, trzymał w. swoim mieszkaniu, za wspólną z Daniłowem ścianą, organy elektryczne, które uruchamiał dla własnej przyjemności. Daniłow, niczym słaby uczeń, czekał z utęsknieniem na niedzielę – jedyny dzień, w którym można dłużej pospać.

„Och, żebym tylko nie zasnął w jamie orkiestrowej!” – pomyślał z przerażeniem. Zdarzyło mu się kiedyś, że zasnął i przewrócił pulpit, ale smyczek nawet wówczas nie ześliznął się ze strun altówki. Pamiętając o tym pił teraz w bufecie kawę i podtrzymywał pasjonującą rozmowę o hokeju. Podczas jednej z przerw zadzwonił do Nataszy – tak sobie, bez powodu, po prostu żeby usłyszeć jej głos. Powiedziano mu jednak, że Natasza wyszła do magazynu po naczynia chemiczne.

Wieczorem grano *Nastazję Filipownę*. Ten spektakl był krótki, kończył się po dziewiątej, ale strasznie dawał w kość: *Śpiąca królowna*, na przykład, trwała do jedenastej, ale Daniłow mógł po niej podnosić ciężary, po *Nastazji* natomiast stać go było tylko na to, by wsadzić głowę pod strumień zimnej wody. A przecież lubił tę operę! Była to muzyka nerwowa, pełna kontrastów, utrzymana na najwyższej nucie, podobnie jak dialogi Dostojewskiego; pełno w niej było dysonansów wokalnych i błyskawicznych odpowiedzi na każde ludzkie cierpienie, na każde przeżycie – a może nie były to odpowiedzi, tylko zapowiedzi owych przeżyć... Daniłow zawsze czuł, że ta muzyka jest mu bliska; wiedział, że jego droga w sztuce prowadzi w tym samym kierunku lub przynajmniej biegnie równolegle; tutaj jednak, w orkiestrze, był nie twórcą, lecz wykonawcą, szeregowym pracownikiem. Oprócz tego powinien był umieć dobrze liczyć. Lubiał liczyć takty, ale w *Nastazji*, właśnie ze względu na błyskawiczne odbicie w muzyce gwałtownych i burzliwych przeżyć, rachuba była trudniejsza niż w jakimkolwiek innym utworze, jedno tylko *Święto wiosny* Strawińskiego mogło jej dorównać. Daniłow grając swoją partię w *Nastazji* nie miał chwili wytchnienia – dlatego po jej zakończeniu wstawał ze swojego miejsca jak przepuszczony przez młyn. Dziś nawet kawa nie pomagała, kleiły się oczy, były takie momenty, że grał jakby w półśnie, podrywał się powracając do przytomności, ale rachuby strzegło święcie jakieś tajemnicze urządzenie wewnętrzne, całkowicie nieomyślne. „Byle dociągnąć do końca i wyjść na mróz!” – marzył.

Obok niego siedział wąsaty Czesnokow, młody altowiolista, wprowadzony do *Nastazji* po pięciu próbach. Chłopak robił wszystko jak należy: i nuty przewracał, i smyczkiem przesuwiał po strunach tak samo jak Daniłow, a mimo to jego instrument nie brzmiał. Czesnokow gubił się w rachubie taktów i odczuwał paniczny strach, że jego błąd może spowodować gniewne lub złośliwe uwagi dyrygenta. Jego smyczek latał więc w próżni, czasami nie dotykając strun. Czesnokow zdawał sobie sprawę, że Daniłow widzi te wybiegi, i ze wstydem unikał jego spojrzenia. Daniłow znalazł odpowiednią chwilę i – nie przerywając oczywiście liczenia w pamięci – szepnął:

– Nic się nie martw... To rzeczywiście trudna muzyka. Przywykniesz – i wszystko pójdzie dobrze. Możesz mi wierzyć.

W przerwie poszedł do bufetu mając nadzieję, że napój tonizujący „Bajkał” pomoże mu zwalczyć senność. Przysiedli się do niego flecista Sadowników i skrzypek Ziemski. Zamówili piwo.

– Ładna dziewczyna była wczoraj z tobą w teatrze, Włodeczku – powiedział Sadowników.

– Ładna – potwierdził Daniłow.

– Ten nasz Włodziu to istny demon! – roześmiał się tubalnie Ziemski.

– Przepraszam, nie zrozumiałem – powiedział Daniłow.

– Mam na myśli baby! – Mówiąc to Ziemski pochylił się do ucha Daniłowa rechocząc przy tym na cały bufet, w którym obecni byli cudzoziemcy i uczennice. – Demon z ciebie, uwodziciel!

Mikołaj Ziemski posturę miał imponującą, bas jak u Maksyma Michajłowa (zakładał się, że rozwali głosem szklanę – i rzeczywiście potrafił wprawić ją w tak silną wibrację, że po chwili pękała); był przy tym łysy, aczkolwiek brwi miał krzaczaste, i zasłużył sobie na przydomek „Ludożerca”, a ponadto służył w zespole jako nieprześcigniony kawalarz i świntuch. Nawet dyrygenci mieli się przy nim na baczności. Z taką posturą mógłby śmiało występować na arenie cyrku zamiast Nowaka, a skoro już grał w orkiestrze, wypadałoby mu grać na gigantycznej miedzianej tubie i w momentach kulminacyjnych wydawać napawające grozą „pum-pum”. Tymczasem Ziemski był skrzypkiem, co więcej – subtelnym wirtuozem. Wprawdzie przez ostatnie pół roku prawie nie grał, a ściślej mówiąc, grał tak jak dzisiejszy sąsiad Daniłowa – poruszając tylko smyczkiem i udając, że gra. Robił to w sposób bardziej perfidny niż Czesnokow i strun nie dotykał w ogóle – nie w obawie przed fałszywym dźwiękiem, lecz w myśl własnej zasady twórczej. Gdyby poproszono go dla sprawdzianu o zagranie jakiegokolwiek partii, zagrałby nie gorzej od pierwszych skrzypiec, ale nikt nie zwracał się do niego z taką prośbą: mając w orkiestrze trzydzieści sześć skrzypiec, milczenia jednego instrumentu, choćby nawet najsubtelniejszego, można nie zauważyć. Koledzy z orkiestry trzymali język za zębami wiedząc, że Ziemski wszystkich ich potrafi przegadać. Zresztą kto wie, może darzyli szacunkiem tę jego zasadę twórczą, o której czasami wspominał. Nawrócił się bowiem na nową wiarę, której główna teza głosiła, że zamierzony przez twórcę dźwięk powinien rodzić się wyłącznie w duszy wyimaginowanego słuchacza. Ziemski byłby w ogóle porzucił zawód, ale zostały mu tylko dwa lata do emerytury, którą pobierać zamierzał mimo wszystko. W życiu codziennym zachowywał się bezceremonialnie, ale do Daniłowa czuł jakby respekt: po pierwsze dlatego, że widział w nim prawdziwego muzyka, niechby nawet i starej szkoły, po drugie zaś dlatego, że należał do spółdzielni mieszkaniowej, w której Daniłow wchodził w skład zarządu. Właśnie od Daniłowa dowiadywał się rozmaitych nowin z terenu spółdzielni. Obrażał się na Daniłowa tylko wówczas, gdy tamten wymawiał jego nazwisko tak jak wszyscy: „Ziemski”. – „Nie jestem Ziemski – mrucał pod nosem. – Ziemskie były kiedyś sobory i byli lekarze ziemscy. Nazywam się Ziemskej!”

– Byłeś na pogrzebie Miszy Korieniewa? – Zwrócił się do Daniłowa.

– Byłem.

– Szkoda, że ja nie mogłem... Szkoda... Niewiele już brakowało, żeby zaczął podzielać moje poglądy. Ale cóż, okazał się za słaby.

– Cóż to za poglądy? – zapytał flecista Sadowników.

– Nie przy piwie – uciął Ziemski. – Prowadziliśmy z Miszą długie rozmowy. Ale zabrakło mu odwagi. Może dlatego skoczył z okna...

– Myślę, że nie dlatego – powiedział Daniłow.

– Kto wie... Opowiem ci kiedyś, Włodeczku, o naszych rozmowach. To są sprawy, bracie... Ta-a-ak...

W tym momencie zabrzmiał pierwszy dzwonek.

Daniłow dzielnie wytrwał do końca trudnej opery, nawet powieki przestały mu się kleić, choć czuł się nieludzko zmęczony, „A więc Misza Korieniew chodził do Ziemskiego – myślał. – Trzeba będzie z Ziemskim porozmawiać. Mniejsza o jego teorie, choć są interesujące; najważniejsze, żeby wyjaśnić, co się działo z Miszą...”

W domu runął w ubraniu na tapczan, po chwili jednak znalazł w sobie na tyle siły, żeby wstać i zaparzyć kawę. Zbliżył się do telefonu, stał przy nim chwilę, potem odszedł. Rano żegnając się z Nataszą nie powiedział ani słowa o przyszłych układach: oboje woleli nie dawać nazwy temu, co między nimi powstało – może dlatego, że każda nazwa mogła okazać się nieścista albo wręcz fałszywa, a może po prostu nie chcieli narzucać się sobie nawzajem, kłamrą nowych pojęć umownych spinać na siłę to, co być może nie zdążyło jeszcze nabrać kształtu. Natasza nie powiedziała nawet: „Zadzwoń do ciebie albo ty do mnie zadzwoń” – po prostu zamknęła za nim drzwi i tyle. Daniłow był jej za to wdzięczny i choć teraz kusiło go, żeby do niej zadzwonić, nie podniósł słuchawki. Nie należało życia popędząć, wystarczyło zaufać, powierzyć mu swoje uczucia i swoją wolność.

A więc on nie dzwonił – i ona też nie zadzwoniła. Daniłow posmutniał.

„Ciekawe, co porabia teraz Karmadon?” – pomyślał nagle.

Przesunął płytkę bransolety, ale nim zanurzył się w burzliwym życiu hiszpańskiej stolicy, pozostawał jeszcze chwilę przy swoich sprawach i myśli biegnęły przez jakiś czas dawnym tokiem. Wyrzucał sobie, że nie zajrzał dotąd do partytury Pierieslegina. „Sumienia nie mam!” – skłął siebie w duchu, ale nie wypadało teraz przesunąć płytki z powrotem, trzeba było śledzić przygody kolegi. Gdyby Karmadon zechciał spędzić swój urlop w Moskwie i bawiłby się razem z nim na oczach wszystkich – powiedzmy, w bufecie Domu Kompozytora – wówczas Daniłow, nawet po przesunięciu płytki na pozycję „N”, nie musiałby wchodzić w kolizję z czasem moskiewskim. Ale Karmadon wołał bawić się daleko stąd i Daniłow, któremu nie wolno było zniknąć z Moskwy nawet na sekundę, zmuszony był uciekać się do popularnej wśród demonów, prastarej metody przebywania w dwóch równoległych wymiarach czasowych naraz. Podobnie jak w pociągu podmiejskim, gdzie można rozsnać w biegu pneumatyczne drzwi i wcisnąć się między ich połówki, rozsuwał płynący na Ziemi czas i będąc poza jego zasięgiem poruszał się razem z nim, po czym puszczał drzwi, które zamykały się ponownie, i był już w środku powracając do tej samej chwili, którą z konieczności opuścił.

Tak więc teraz, kiedy przeniósł się już częściowo do Madrytu, myślał jednak o tym, że w jego spółdzielczej przystani mogą pojawić się nieproszone indywidua, którym w normalnych warunkach wstęp do mieszkania był w myśl umowy wzbroniony. I rzeczywiście: powietrze w pokoju drgnęło nagle, jak za dawnych pamiętnych czasów, zapowiadając nadejście słodkich chwil rozkoszy; wszystko zawirowało, zaczęło podskakiwać, fala powietrza porwała kota Bustera i rzuciła go z powrotem na ziemię egipską; naczynia, meble, dokumenty, książki, w tym również filozoficzne, polisa ubezpieczeniowa dotycząca altówki Albaniego – wszystko to zostało wprawione w szalony ruch połączony z narastającym gwizdem i emanacją złotopomarańczowych płomieni. Potem coś grzmotnęło, zabrzączało, przedmioty powróciły na swoje miejsca – i na biurku Daniłowa, deptając piękną bosą stopą konspekty wykładów szkolenia wieczorowego, stanęła kobieta demon Anastazja, płomienna, triumfująca, gotowa zaspokoić każde jego pragnienie.

– Witam cię, mój luby! – powiedziała zeskakując na podłogę. – Znowu przede mną uciekasz? Może inną przygruchałeś?

Mówiła z uśmiechem, ale w jej złocistych oczach błysnęło coś w rodzaju wyrzutu.

– Ciągłe jestem zajęty – mruknął Daniłow. – Teraz jeszcze ten Karmadon...

– Zajęty? Dajże spokój! – Anastazja machnęła ręką i drogocenne kamienie na jej palcach, pochodzące z dalekich planet, rozbłysły bajecznym fajerwerkiem.

– Co to u ciebie tak wrzeszczy? – zapytała nagle.

– Wrzeszczy? A-a, to mój sąsiad.

Za ścianą sąsiad Klemientiew grał na organach elektrycznych popularną piosenkę *Stokrotki znikły, zwiędły bratki*, której to melodii uczył się od trzech lat. Daniłow do tego stopnia przywykł do jego nocnych ćwiczeń, że prawie ich nie słyszał.

– Głowa pęka! – oburzyła się Anastazja i w organach elektrycznych natychmiast coś wybuchło. Daniłow zmartwił się, że to z jego winy sąsiad poniósł straty materialne.

– Nie będzie teraz grał po nocach – powiedziała Anastazja. – Niech pamięta, że obowiązuje regulamin. No, chodźże do mnie, kochany, chodź... Tak rzadko cię widzę, chodź prędzej...

Ruszyła sama w jego kierunku i nie czekając na reakcję, otworzyła ramiona. Jej lśniące oczy były tak blisko, Daniłow czuł przy sobie to rozkoszne ciało myśląc, że zaraz wszystko poleci w diabły, ale nic nie poleciało.

– Co to znaczy? – zapytała Anastazja wypuszczając go z objęć. – Nie cieszysz się, że jestem? W ogóle mnie nie chcesz? A więc to prawda, że masz inną! Tak mi wróżby przepowiedziały, a jednak nie wierzyłam...

Zamilkła czekając widocznie na odpowiedź, ale się nie doczekała.

– Wobec tego żegnaj – powiedziała gwałtownie. – Żegnaj, mój skarbie, popamiętasz ty swoją zdradę.

Tupnęła nogą – piękna, dumna, nieokiełznana, aż dziw, że podłoga wytrzymała – i natychmiast zniknęła. Powietrze znowu zadrgało, tak jakby ktoś z całej siły trzasnął drzwiami, i od razu odezwały się za ścianą organy elektryczne.

Daniłow poczuł litość dla Anastazji, choć wiedział skądinąd, że nie będzie ona długo smucić się i rozpaczać: na pewno nie on jeden cieszy się jej względami. „Dlaczego byłem taki oziębły? – myślał. – Może z powodu Karmadona? Mam go teraz na karku i nie wolno mi...” Zrozumiał jednak w tejże chwili, że znalazł usprawiedliwienie fałszywe i naiwne. „Chyba gdzie indziej leży przyczyna” – pomyślał. Ich poprzednie burzliwe spotkania na Ziemi miały zazwyczaj miejsce w stronach oddalonych i bezludnych, toteż towarzyszące wybuchom namiętności żywiołowe zjawiska wyrządzały nielicznym mieszkańcom tamtych okolic stosunkowo małe krzywdy; tutaj natomiast pełno ludzi: wiadomo – stolica, w dodatku bogata w zabytki architektury, do których Daniłow czuł wielki sentyment, no więc obawy są uzasadnione... Ale nawet takie wytłumaczenie wydało mu się również niezbyt przekonujące, przecież zawsze można powziąć środki ostrożności i ocalić cenne zabytki. „Wszystko to nieprawda; jasne jak dwa razy dwa, że winna jest Natasza!” – zrozumiał nareszcie.

Było to dziwne; przedtem ziemskie kobiety wcale nie przeszkadzały mu w demonicznych przygodach miłosnych. Zaczął rozmyślać o tym, co się z nim stało, ale szybko odpędził te myśli – rozważania trzeba odłożyć do lepszych czasów. Chociaż, z drugiej strony, co to znaczy: lepsze czasy? Jeśli nie nadeszły właśnie teraz, nie nadejdą już wcale. Może nawet Godzina Zero została odwołana?... Czemuż by nie, pomyślał, przecież to do niego przysłano na wypoczynek Karmadona i pan Walenty zniknął... Może naprawdę coś się zmieniło – powiedzmy, wydała owoce złożona przez Himeko ofiara?...

Poczuł się lepiej. Wierzył teraz w Himeko i w łaskę losu. Miał nawet wrażenie, że czuje subtelny zapach anemonów, które trzymała wtedy Himeko w swych delikatnych dłoniach. „Może by napomknąć jej o altówce?” – pomyślał, choć zdawał sobie sprawę, że ani jego instrument, ani muzyka nie mają nic wspólnego ze światem transcendentnym. „Porozmawiam lepiej o tym wszystkim z Karmadonem – zdecydował. – A pogrózki Anastazji to nic strasznego – ot, tak sobie, ze złości...”

„Och! – zerwał się nagle z miejsca. – Zapomniałem o Miguelu!”

W tejże chwili pomknął do Madrytu.

Dowiedział się niezwłocznie, że Burnabito przyjął od Cynthii Quicombe sto tysięcy dolarów oznajmiając przy tym, iż wątpi w skuteczność oddziaływania wdzięku gwiazdy ekranu na błękitnego byka, ale nie może odmówić uroczej damie. „Bezczelność!” – oburzył się Daniłow.

Na twarzy Burnabita rozkwitał uśmiech, lecz widać było, że trawi go wewnętrzny niepokój. Żadna siła nie mogła obudzić w Miguelu zwycięskiego ducha. Dziesiątki doborowych krów, tryskających zdrowiem i spragnionych miłości, usiłowały rozruszać błękitnego byka, ale żadnej z nich nie udało się zwrócić na siebie jego łaskawej uwagi. Okrutny Burnabito w przyływie gniewu wydał rozkaz: natychmiast przerobić wszystkie te niewinne stworzenia na mięsne konserwy pod nazwą „Śniadanie wędrownego rycerza”. Bykowi aplikowano lekarstwa, pokazywano mu filmy, po których nawet ślepiec doznałby uniesień erotycznych, ale nic nie pomagało. Błękitny byk oddychał spokojnie i pachnącą rosą karmę przeżuwał machinalnie. „Niech to licha, lepiej by było, żeby cię na tym lotnisku rozniosło w strzępy!” – pomyślał Daniłow, choć w gruncie rzeczy nie życzył Miguelowi źle, bo zdążył go już polubić.

Cynthia była teraz dla Burnabita czymś w rodzaju ostatniej nadziei, zresztą w gwiazdę wierzył cały Madryt. Dziesiątki tysięcy wzburzonych ludzi zebrały się przed pałacykiem, w którym miał swoją rezydencję byk Miguel.

Tłumy oblepiły rzeźbione żelazne ogrodzenie, ludzie wisieli na bramie, walczyli o miejsca na płaskich dachach okolicznych domów, uiszczając właścicielom skromną opłatę za udostępnienie punktów obserwacyjnych, gdzie pozostawali na posterunku, zaopatrzeni przezornie w żywność. „I co? Jak tam? Weszła?” – pytali spóźnieni. „Weszła, weszła” – odpowiadano im z podnieceniem. Przy wejściu zainstalowano elektroniczny zegar firmy Rollex, który odmierzał czas z dokładnością do ułamków sekundy. Burnabito trzymał tłumy w napięciu, jakby powołując wszystkich zebranych na świadków, że gdyby Cynthia zechciała przedłużyć eksperyment bodaj o minutę, kosztowałoby ją to następne sto tysięcy dolarów.

Na placu obecny był strapiony wędrowny rycerz Alonso Vitalio Resnicoviez, który w towarzystwie wędrującego wraz nim kelnera powrócił właśnie na swym koniu Przewalskiego z dalekiej prowincji. Włócznie byłego torero zdołał przymocować do niej drutem blaszany talerz z portretem Cynthii oraz napisem; „Żadna inna”. Wiadomo już było, że rycerz ogłosił Cynthię damą swego serca i przyrzekł, iż przebije włócznie z elektrycznym ostrzem każdego, kto zwątpi w potęgę jej uroku. Przyszli także szachiści, nawykli do dowiadywania się o wynikach turniejów w hallach lub na ulicy. Im bardziej zbliżał się czas kontrolny, tym głębsza cisza zapadała na placu.

I oto na zegarze elektronowym wyskoczyły nareszcie zera. Drzwi pałacyku stanęły otworem – i wspaniała Cynthia, nie zaszczyciwszy Burnabita nawet przelotnym spojrzeniem, ukazała się przed tłumem. Patrząc na pogrążony w ciszy plac, Cynthia rzekła głosem, w którym brzmiały złość i zmęczenie:

– Impotent!

Tłum wydał zdławiony okrzyk.

– Zemścijmy się, señores! – zawołał wędrowny rycerz potrząsając włócznie.

Wszyscy zrozumieli, że ten, co ośmielił się znieważać Cynthię, musi zginąć i że zemsta dosięgnie go niezwłocznie.

Kelner podał rycerzowi pieczone jabłko w cieście francuskim, posypane cukrem pudrem. Rycerz połknął jabłko, obsypawszy cukrem stojące w pobliżu damy, ale nie uspokoił się nawet wówczas.

„Taki jest zdolny do wszystkiego! – zmartwił się Daniłow. – Rycerz tylko z nazwy, gębę ma jak typowy oprawca. Właściwie jakie Cynthia może mieć powody do narzekania? Czego oni wszyscy chcą od Miguela? Nie dadzą biedakowi pospać...”

Spraw madryckich trzeba było pilnować. Należało spodziewać się nowych nadzwyczajnych wydarzeń... „Zobaczymy” – westchnął Daniłow.

Powróciwszy do Moskwy, zaczął ścielić łóżko i nagle poczuł, że męczy go jakieś nieodparte pragnienie. Po chwili zrozumiał, że musi natychmiast zagrać na altówce jedną z *Pieśni obłąkanego króla* Davisa. Wiedział nawet, że zagra pieśń szóstą. Zagrał więc, potem powtórzył. „Ach, gdybym miał teraz Albaniego...” – pomyślał, ale i bez Albaniego, wyszło dobrze. Gdyby jeszcze Natasza siedziała obok i słuchała... Jednak przyjemnie było grać i tak, po prostu dla siebie. Daniłow przeciągnął się, wyobraził sobie śpiącą Nataszę i poczuł przypływ tliwości. Równocześnie pomyślał o Anastazji i znowu zrobiło mu się jej żal. „Co mogą znaczyć jej groźby? Żeby tylko nie zrobiła nic złego Nataszy... Nie, do Anastazji to niepodobne, nic takiego nie zrobi... Każdą ziemską kobietę zwyczajnie zignoruje i jeśli już kogoś urządzi, to tylko mnie!”

Sięgnął po partyturę Pierieslegina, chcąc zapoznać się z nią bodaj pobieżnie. Doszedł do końca pierwszego arkusza i wpił się wzrokiem w nuty: zrozumiał, że to prawdziwa muzyka. Symfonia miała siedem części, altówką prowadziła partię solową, ale nie tak jak w *Haroldzie* Berlioza – działały tu inne proporcje, wypowiedź altówki nieustannie wyrażała miłość, nienawiść lub obojętne znużenie dyskutując bez przerwy z waltornią i klarnetem, przy czym partia waltorni była niejako oddźwiękiem poprzednich przeżyć altówki, może nawet nie tyle przeżyć, ile marzeń. To, że symfonia składa się akurat z siedmiu części, nie wydało mu się pretensjonalne: zgodził się w duchu, że podział na siedem części został podyktowany koniecznością, choć na razie nie bardzo wiedział, na czym ta konieczność polega. W ogóle nie zamierzał teraz wnikać w istotę pomysłów Pierieslegina i w szczególności jego partytury – odkładał to na potem, kiedy głowę będzie miał świeższą. Wystarczyło mu pierwsze wrażenie: wiedział z całym przekonaniem, że ma przed sobą Dzieło. Chciał nawet zagrać temat z trzeciej części, ale nic z tego nie wyszło – zasnął przy biurku na siedząco.

Rano zadzwonił telefon. Daniłow znowu miał nadzieję, że usłyszy głos Nataszy, i znowu odezwała się Klaudia, jak zwykle wymagająca i niezmordowana. Dziś, w przededniu zakończenia tygodniowych trudów Daniłowa w jej interesach, pragnęła przypomnieć mu o swej trwającej jeszcze władzy.

– Pamiętam, pamiętam – burknął niechętnie Daniłow.

Zerwany ze snu wcześniej niż zadzwonił budzik, czuł nieodpartą chęć odpłacenia Klaudii pięknym za nadobne.

– Jak tam, zdobyłaś te książki o holografii? – zapytał złośliwie.

– Na razie wystarczy mi Wojnow – powiedziała. – Jest już mój. Podbity.

– A więc masz dziś święto zwycięstwa?

– Od dziś codziennie. Holografia poczeka... Aha, pamiętasz, co ci mówiłam o błękitnym byku?

– No?

– Co za „no”? Tamten byk był z Madrytu, a teraz mamy własnego, pojawił się na ziemiach północnych, w powiecie pankratiewskim.

– To znaczy kto się pojawił?

– Byk.

– Jaki byk?

– Taki sam jak u nich. Prawic taki sam, oczywiście jakość na pewno gorsza i rogi nie tej klasy, ale też olbrzymi i też błękitny, jak tamten. Z tą różnicą, że nasz pochodzi nie z wyspy Principe, tylko z okolic Pankratiewa.

– Pankratiewa?...

– Och, Daniłow, jak ciężko z tobą rozmawiać! Mam na twarzy odżywczą maseczkę z pomidorów, wszystko mi ścieknie... Gazet nie czytasz czy co? Ten byk z Madrytu śnił mi się przez dwie noce, a teraz widzisz – mamy własnego!

Daniłow szybko zakończył rozmowę, wskoczył w dżinsy, zarzucił na gołe ciało płaszcz i zbiegł schodami na parter. Wyjął ze skrzynki gazety, wsiadł do windy i w rubryce „Osobliwości” przeczytał: „Ciekawostka zoologiczna. Spółdzielnia «Postęp» z powiatu pankratiewskiego może poszczycić się niezwykłym okazem byka. Byk ten, niespotykanej błękitnej maści, wzrostem przewyższa wszystkich członków spółdzielni, a nawet szafę pancerną znajdującą się w kancelarii zarządu. Jest to zwierzę silne i niewybredne, przedstawicielej tej rasy nie spotykano dotąd w naszych gospodarstwach hodowlanych. Niezwykły byk usposobiony jest łagodnie i reaguje na poetyckie imię Waśka. Zdaniem zootechnika W. Szyrokowa, nie ustępuje on w niczym słynnemu Miguelowi, którego Szyrokow miał okazję widzieć w kronice telewizyjnej...”

„Pewnie, że nie ustępuje” – westchnął Daniłow.

W domu jeszcze raz przeczytał notatkę, jakby spodziewając się, że znajdzie w niej jakieś dodatkowe dane. „Tak... Jeszcze jeden... Rety, siedzę tu i siedzę, a przecież muszę być w Madrycie! – Zerwał się z miejsca. – Może ten rodzimy byk jest samozwańcem!” Niewykluczona była i taka wersja.

Po chwili znalazł się w Madrycie, przed piękną bramą pałacyku noszącego wyraźne cechy churrigueryzmu. Kiedy indziej zaczęłyby na pewno od podziwiania szczegółów architektonicznych, teraz jednak wszedł od razu do środka i stwierdził, że byka w pałacu nie ma – w ogóle nie wiadomo, gdzie się podział. Jakies dwadzieścia minut temu ludzie Burnabita stracili Miguela z oczu. Na razie w mieście panowała cisza, do popłochu było

jeszcze daleko. Wędrowny rycerz Resnicoviez, który wczoraj, usiłując wydłubać z zębów rybią ość, złamał swoją włócznię, spał na wymoszczonej kostką wilgotnej jezdni przed bramą pałacyku, a jego wierna klacz Concordia drzemała obok przywiązana do słupa.

Daniłow natychmiast postanowił zwiedzić okolice Pankratiewa. Spółdzielnia „Postęp” była już postawiona w stan pogotowia. Daniłow obejrzał stojącą w kancelarii szafę pancerną i dostrzegł błysk niepokoju w spojrzeniu prezesa. Przyczyną zdenerwowania był nadzwyczajnej wagi dokument, dostarczony przez śmigłowiec. Dokument głosił: „Reproduktora Wasyla w asyście przedstawicieli spółdzielni, w której został wyhodowany (słowa te były podkreślone), odesłać niezwłocznie na Wystawę Osiągnięć Gospodarki Narodowej, gdzie zorganizowany zostanie specjalny pokaz w ramach wymiany doświadczeń”. Zarząd martwił się teraz nie tyle o byka, ile o swoich przedstawicieli. To, że byk długo tu nie zabawi, przyjmowano jako aksjomat: taki okaz musi wypłynąć na szerokie wody. Daniłow zajrzał do obory. Byk spał. Było tu chłodniej niż w hiszpańskim pałacyku, nad śpiącym bykiem kłębiła się para, ale on mimo wszystko spał – i to Daniłowa uspokoiło.

Jak się okazało, znaleziono byka całkiem zwyczajnie. Trzy dni temu, o świcie, hodowcy Kukuszkin i Kuleszów natrafili przy oborze na coś dziwnego: w migotliwym świetle bzyjących latarek ujrzeni przed sobą ni to krowę, ni to byka, ni to w ogóle nie wiadomo co. „A niech to...” – powiedział Kukuszkin używając zresztą nieco innych sformułowań. Był mróz, a więc obaj, choć rozżłoszczeni, zlitowali się jednak nad biednym zwierzęciem i, wymierzwszy mu podzelowanym walonkiem parę zdrowych kopniaków, zapędzili do obory. Tam, w świetle żarówek elektrycznych, doszli do wniosku, że wczoraj u tej zarazy Łubki wypili stanowczo za dużo i że bimber miała podły. „Klin by się przydał” – taka była pierwsza myśl, która przysła im obu do głowy, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Tymczasem byk wszedł spokojnie do wolnego boksu i położył się tam na słomie. „Przecież to nie nasz” – powiedział Kukuszkin. „Nie nasz” – zgodził się Kuleszów. „To czyj?” – zapytał Kukuszkin, na co Kuleszów odparł, że nie ma pojęcia. „Może z «Promyka»? – dociekał Kukuszkin. – Sam wiesz, jakie oni mają życie, nam się nie śniło”. – „Gdzie tam – zaprzeczył Kuleszów – nie wyhodowaliby takiego za nic w świecie. Musi przybłąkał się z lasu...” Kukuszkin zwątpił, ale Kuleszów obstawał przy swoim. Wiadomo było, że gdzieś w pobliżu grasuje niedźwiedź samotnik, może to on wypłoszył z lasu byka. Później inni podzielili to zdanie: nie ulega wątpliwości, mówili, że byk przywędrował z lasu. Podziwiano przybysza, litowano się nad nim, wołano na niego: „Waśka!” – i ucho mu drgało, tak jakby wszystko rozumiał. Wówczas postanowiono przyjąć go na stan, i pewien człowiek z miasta, przebywający na wsi służbowo, powiedział: „Gratuluje wam przyszłego rekordzisty!”

A teraz byka zabierają do Moskwy...

„Nic tu więcej nie zdziałam – pomyślał Daniłow. – Wystawę mam w Moskwie pod bokiem... Szczwany lis z tego Karmadona, wykombinował sobie trzy dodatkowe dni urlopu!” Brał jednak pod uwagę i taką ewentualność, że byk Waśka wcale nie musi być Karmadonem. Może Karmadon, gdy zakłócono jego spokój, znalazł sobie nowe zabawy połączone z całą serią tajemniczych zniknięć, niespodzianek i fajerwerków, tymczasem tu, w Pankratiewie, włączyli się już do akcji wrogowie Daniłowa: zjawić się na polu walki w skórze błękitnego byka – to dla każdego z nich pestka. Poszukał na wszelki wypadek śladów Karmadona w Hiszpanii, ale nie natrafił na jego trop. „Dobra – powiedział sobie – zobaczymy, co będzie dalej. Na pewno w najbliższym czasie spółdzielnia odtransportuje tego byka do Moskwy”.

Niestety, byk nie dotarł do Moskwy ani tego dnia, ani nazajutrz, ani nawet pojutrze...

Daniłow postawił ostatnią kreskę na liście spraw Klaudii i westchnął z głęboką ulgą. „Jestem wolny!” – powiedział na głos, po czym zagrał na altówce *Odę do radości*.

Ta ostatnia, podskakująca ze szczęścia kreska na liście dotyczyła punktu szesnastego: „Tapety zmywalne a la brokat, sztruks, satyna lub cegiełki. Może być styl «szlacheckie gniazdo». Kupić na placu Kołchozowym albo gdzieś u handlarzy”.

Daniłow taktownie dał Klaudii do zrozumienia, że podobnych misji podejmuje się po raz ostatni. Chciałby w ogóle zrezygnować na przyszłość z bezpośrednich kontaktów, ale ujęła go jej serdeczność, poza tym rozumiał, że nie uniknie spotkań z chłopobudami, a może nawet i z Rostowcewem. „A jednak jestem wolny! – myślał. – Teraz przynajmniej odbiorę spodnie z pralni chemicznej!”

– Dobrze, a co z bykiem Waską? – zapytał kończąc rozmowę telefoniczną z Klaudią. – Co teraz porabia?

– Dwa dni temu powinien być znaleźć się na wystawie. Dzwoniłam tam, podobno wszystko w porządku, miejsce przygotowano, karmę też, tylko byka nie ma. Wiesz, jak to u nas bywa...

– Ale co cię obchodzi ten byk?

– Jak to co? – zdziwiła się Klaudia. – Taki byk!...

Do kompozytora Pierieslegina Daniłow wysłał pocztówkę, chciał nawet sam do niego pojechać, ale rozumiał, że czasu nie starczy. W dodatku trzeba było uważnie przestudiować nuty. Pocztówka zawierała więc jedynie propozycję skontaktowania się drogą telefoniczną o umówionej godzinie.

Ale zarówno byk, jak chłopobudy, Klaudia, altówka Albaniego i symfonia Pierieslegina nie były teraz najważniejsze; nawet twardy blankiet ze szkarłatnym stygmatem Godziny Zero wydal się czymś z pogranicza iluzji. Wszystko to było tak mało istotne!

Nie zwracając uwagi na ludzi, Daniłow usiłował wyskrobać monetą na oszronionej szybie trolejbusu magiczne słowo „Natasza”.

Natasza była zawsze i wszędzie: w nutach, we wzlotach pałeczki dyrygenta, na scenie teatru – nie tylko w ruchach Giselle czy płochliwej Odetty, ale i w szeleście kurtyny, i w odgłosach spadających na podest kwiatów, choćby nawet rzuconych przez klakierów śpiewaka Wołodina; była też w domu – w marzeniach Daniłowa, gdy pichcił sobie jajecznicę na kuchence gazowej, i w ulicznym gwarze, i w skołowanym, sztywniejącym od mrozu tłumie. Nawet siedząc w jamie orkiestrowej rozglądał się co chwila, czy nie pokaże się gdzieś Natasza.

Ale Natasza nie pojawiała się i nie dzwoniła.

On też do niej nie dzwonił.

Myślał: „Popełniłem błąd, trzeba było powiedzieć jej, że ją kocham” – a myśląc tak zdawał się zapominać, że na wyznanie po prostu jeszcze za wcześnie. Dopiero dziś, w trzy dni po ich pamiętnym spotkaniu, uświadomił sobie nareszcie wszystko. Ogarniały go jednak wątpliwości: a może ona wcale go nie potrzebuje?... Mimo wszystko zatelefonował do instytutu – wydawało mu się, nie wiedzieć dlaczego, że łatwiej jej będzie rozmawiać z nim w pracy niż w domu. Jeśli jest dla niej obcym człowiekiem, telefon służbowy sprawi, że oschła odpowiedź zabrzmie całkiem naturalnie. Ale, tak jak poprzednio, Nataszy nie zastał: wyszła po naczynia chemiczne. „Może to i lepiej – pomyślał. – Muszę dać sobie spokój przynajmniej na tydzień, a potem samo mi przejdzie...” Karmadonowi zostawał jeszcze tydzień wakacji – trochę więcej niż tydzień – i Daniłow wolał na wszelki wypadek trzymać tego urlopowicza z daleka od Nataszy.

W ciągu ostatnich dni grał dużo – w teatrze i w obcych orkiestrach jako gość. Grał także w domu. Czuł się zmęczony i mimo usilnych zaproszeń Murawłowów nie wybrał się nawet do nich. Raz tylko Murawłow umówił się z nim na bulwarze Strastnym: chciał wręczyć mu pięćset rubli uzyskane ze sprzedaży futra. Pieniądze te Daniłow zaniósł natychmiast Dobkinom, od których pożyczył swojego czasu na zakup altówki. U duchów na Argunowskiej nie był już od kilku tygodni: dawne powiązania straciły wszelki sens.

Natasza nie dzwoniła, za to często dzwoniła Klaudia. Nie prosiła o żadne przysługi, co samo przez się było podejrzane, rozmawiała natomiast z nim o różnych błahostkach, jak z przyjaciółką, od której kupiła peniuar. Daniłow rozumiał, że jej telefony mają jakieś podłoże, jakiś ukryty daleki cel i że nadejdzie taki dzień, kiedy oznajmi mu, czego chce i jakie wysuwa żądania. Oswaja go teraz, chce przyzwyczaić do codziennego obcowania ze sobą, żeby później, gdy ułagodzony zapomni o zachowaniu ostrożności, zaskoczyć go zniemacka i połknąć żywcem. „Guzik, niedoczekanie twoje” – myślał udając beztruskę.

Klaudia mówiła między innymi o błękitnym byku. Odwiedziła wystawę i widziała po prawej stronie fontanny „Kamienny kwiat” przygotowane dla rekordzisty pomieszczenie. Tymczasem byka wciąż nie było. Klaudia narzekała na porządki mówiąc, że jeśli tak dalej pójdzie, zmarnują byka całkiem. Pewnego razu Daniłow ledwo powstrzymał się od wyjaśnienia jej całej sprawy, wiedział już bowiem to i owo o byku Waśce, który, jak się okazało, nie zdążył jeszcze opuścić ośnieżonych przestrzeni Wyżyny Galickiej. Ustalenie rozwoju wydarzeń nie wymagało specjalnych wysiłków.

A więc najpierw długo zastanawiano się w spółdzielni, kto ma jechać z Wašką do Moskwy i w jakim charakterze. Trzeba przyznać, że niewielu znalazło się chętnych do asystowania bykowi w podróży, choć wyjazd do stolicy sam w sobie był atrakcją. Wreszcie, późnym wieczorem, zapadła decyzja: wysłać do Moskwy w ramach wymiany doświadczeń hodowców Kukuszkin i Kuleszowa. Skład ekipy poszerzono poprzez dołączenie trzeciej osoby – pani agronom Wasilkowej, nawiasem mówiąc, abstynentki. Byka dostarczono na stację kolejową w przyczepie na płozach, którą ciągnął traktor. Ludzie na stacji, choć niejedno w życiu widzieli, tłumnie otoczyli przyczepę. Nie szczędzono bykowi wyrazów podziwu, przy czym pani agronom rumieniła się z niewiadomych powodów, zadumany Kukuszkin milczał, wypowiadał się natomiast jeden tylko Kuleszów, posiadacz bujnej kędzierzawej czupryny, a i ten powtarzał w kółko to samo: „Wiadomo, buhaj jak trza!” Zastanawiano się długo, w jakim wagonie umieścić byka – przecież nie w towarowym, bo zawsze to na wystawę, do stolicy, na specjalne zaproszenie... Potem jednak ktoś mądry orzekł: „Przejmować się nie warto, od swoich spraw głowa pęka”.

Mimo usilnych starań, Daniłow nie znalazł w Hiszpanii ani byka Miguela, ani w ogóle jakichkolwiek śladów Karmadona. Zresztą nie on jeden poszukiwał błękitnego byka: szalejący Burnabito zaczął od tego, że oskarżył Bogu ducha winną pannę Quicombe o rzucenie na Miguela uroku i zawarcie z nim spisku. Cynthia niczemu nie zaprzeczyła, toteż adwokaci Burnabita przestali akta sprawy do Międzynarodowej Komisji Rozjemczej. Burnabito zagroził rządowi obcych mocarstw, że jeśli nie udzieli mu pomocy w odnalezieniu błękitnego byka, spowoduje w przemyśle szelkowym głęboki kryzys na światową skalę.

Tymczasem byk Waška długo jeszcze czekał na stacji: to agronom Wasilkowa chodziła do sklepu po pończochy i pociąg z Archangielska odjechał, to znów hodowcy Kukuszkin i Kuleszów, pochłonięci lekturą gazet, zapomnieli o swej misji... Zawiadowca stacji Kurniew, mając tego wszystkiego powyżej uszu, poszedł do domu, pozostawiając sprawę odtransportowania byka na głowie dyspozytora Sołomatina. „Tego, jak mu tam... no, tego buhaja... załadujesz do wagonu towarowego ” – powiedział zawiadowca na pożegnanie. Wreszcie przybył z północy pociąg pospieszny, dyspozytor Sołomatin wpakował hodowców i panią agronom do sypialnego, a kiedy pociąg odjechał, okazało się, że byk Waška leży sobie nadal na tym samym miejscu w przyczepie. „Gdzieś ty patrzył? – powiedział dyspozytor z wyrzutem do brygadzysty Pierwuszyna. – Nie widzisz, że byk został?” – „No, został” –

zgodził się Pierwuszyn. „Jakże to tak?” – „A tak, spróbuj no podnieść tego słonia!” – powiedział Pierwuszyn. „Masz przecież całą brygadę!” – „Brygadę! – burknął Pierwuszyn i splunął. – Co tam brygada!... A może on wściekły, cholera wie...” – „I co my teraz zrobimy? – zmartwił się Sołomatin. – W Moskwie na niego czekają”. – „Co z tego, że czekają, zdechną bez niego czy co?” – odparł obojętnie Pierwuszyn. „Ty, bracie, za dużo sobie pozwalasz! – zachnął się Sołomatin. – Ani mi się waź!...” Zapalili, milczeli kilka minut. „Ty sobie nie myśl – odezwał się Pierwuszyn – ja tam przeciwny nie jestem... Bądź spokojny, spróbujemy jakoś podnieść tego byka, wielkie mi rzeczy – byk! Wiesz, ileśmy takich byków... Ale tak sobie myślę... Gdyby rozważyć po naszymu, po gospodarsku... Przydałby się jakiś dźwig, taki jak w porcie, z hakiem, żeby tego byka zaczepić i przenieść w powietrze. Albo może siatkę zrobić taką wielką jak torbę, z silnikiem i śmigłem, i żeby ta siatka sama tego byka złapała i przeniosła... Albo wózek na poduszce powietrznej sprowadzić... Najpierw u nas wypróbować, a potem na wszystkich innych stacjach...” – „Ależ skąd ja ci wezmę taką siatkę! – powiedział z rozpaczą Sołomatin. – Tym bardziej te poduszki powietrzne...” – „No ta-ak... – rzekł z namysłem Pierwuszyn, po czym oznajmił wspaniałomyślnie: – Dobra. Można wziąć z magazynu transporter taśmowy z transmisją”. – „No właśnie! Weź!” – ucieszył się Sołomatin. – „Weź! – powtórzył Pierwuszyn zsuwając czapkę na kark. – Dobrze ci mówić: weź, kiedy jest nawalony!” Sołomatin, choć znany był jako człowiek zrównoważony, nie wytrzymał i wrzasnął: „To po jaką cholere zawracasz mi głowę! Nic nie chcę więcej słyszeć, byk ma być załadowany i kropka! Odjedzie krasnojarskim pociągiem!” – „Dobra, niech będzie krasnojarskim – zgodził się Pierwuszyn – na takim mrozie zaraz nam zacznie kaszleć”. Zarówno sam Pierwuszyn, jak i cała brygada poczuli litość dla biednego zwierzęcia, które cierpi nie wiadomo za jakie grzechy. Toteż, gdy w godzinę później ukazał się pociąg, brygada z pomocą pasażerów wspólnymi siłami załadowała byka do wagonu. Upływały w dal znikające światła pociągu, Pierwuszyn, spocony i dumny z siebie, żegnał je wzrokiem. Wyszedł Sołomatin, zapytał: „Jak tam brygada, gotowa?” – „Byk w pociągu!” – odraportował Pierwuszyn z radosnym uśmiechem. „W którym?” – „Ano w tym!” – „Rety, przecież to pociąg do Chabarowska!” – jęknął Sołomatin. „I co z tego? – powiedział Pierwuszyn. – Po co ma bydłę na peronie marznąć? A jak trzeba będzie, odeślą z powrotem”. – „Ty, zakuta pało...” – zdążył jeszcze wyszeptać Sołomatin, zanim osunął się bez sił na tory.

Dopiero w trzy dni później byk Waśka dotarł do Moskwy. Najpierw oglądali go eksperci i rozkładali ręce. Nazajutrz wyznaczono pokaz wewnętrzny dla specjalistów i przodowników pracy; na wielką arenę wystawową obiecano wyprowadzić byka najwcześniej za dwa dni. Wiadomo było, że do Moskwy przybyli już samolotami profesor Cheevers z Oksfordu oraz jeden z adwokatów chciwego Burnabita. Adwokat oznajmił, że byk Waśka to właśnie zaginiony Miguel.

Profesorowi umożliwiono zbadanie byka w asyście stołecznych ekspertów. Późnym wieczorem profesor Cheevers ogłosił, że Waśka bardzo przypomina błękitnego byka z wyspy Principe, jest jednakże wyższy o siedem centymetrów, rogi ma twardsze, żołądek nieco mniejszy, sierść natomiast znacznie gęstsza i dłuższa, stosownie do surowego klimatu Północy. Profesor nie był w stanie wytłumaczyć faktu równoczesnego pojawienia się dwóch gigantycznych okazów w tak odległych od siebie punktach Ziemi; powiedział tylko, że mamy niewątpliwie do czynienia z jeszcze jedną zagadką stulecia. Adwokata nie dopuszczono do byka, wręczono mu jedynie zaświadczenie, w którym napisane było czarno na białym, że byk Wasyl pojawił się w powiecie pankratiewskim pięć dni temu, czyli wcześniej niż nastąpiło pamiętne spotkanie Miguela z Cynthią.

Ma się rozumieć, Klaudia zdobyła zaproszenie na pokaz zamknięty. Podniecona oznajmiła w rozmowie telefonicznej z Daniłowem, że obecna była cała elita.

– Nie rozumiem tylko – dodała – w jaki sposób ta zgaga Dranicyna zdobyła zaproszenie. Wszędzie ma chody! Brylantami obwieszona tak, że aż kapie.

- A jak tam byk? – zapytał Daniłow.
- Byk? Obłądny!
- Dali tam przynajmniej coś za darmo?
- Skąd, nawet kanapek nie było. I te smrody, muszę powiedzieć... Ale co za byk! Żebyś widział, jak on stoi!
- Stoi? – zdziwił się Daniłow.

Nie usiłował dostać się na pokaz zamknięty po prostu z zasady, ale na imprezę wystawową poszedł z wielką przyjemnością. Proponowano mu w tym dniu chałturę z orkiestrą Kozodojewa, ale odmówił. Był ostry mróz, lśniło słońce. Daniłow wyruszył na Wystawę Osiągnięć Gospodarki Narodowej lekkim sprężystym krokiem. Droga zajęła mu zaledwie piętnaście minut. Zobaczył kolejki przy kasach, pomyślał, że w takim ogonku można zamarznąć na kość, i udał się zdecydowanie w stronę wejścia służbowego, gdzie pomachał legitymacją teatralną i został wpuszczony na teren wystawy.

Przy wejściu na arenę zobaczył olbrzymią blaszaną planszę, na której animalista wystawowy przy pomocy farb olejnych uwiecznił błękitnego byka. Każda część ciała nowego eksponatu oznaczona była cyfrą: pierś, kłęb, krzyż, pęciny, guzy kulszowe i biodrowe, lędźwie, słabizna i tamte sprawy – czyli wszystko jak jest, a niżej figurowały parametry podane w centymetrach i kilogramach. Czas jednak upływał, pierwsza runda na wielkiej arenie powinna była zbliżać się już ku końcowi, tymczasem byk nie wychodził.

Daniłowa popychano ze wszystkich stron, na twarzach ludzi zamiast ciekawości pojawił się wyraz zdenerwowania, nawet żalu. Ubolewano nad tym, że dawno już skończyły się szaszłyki w kiosku przy fontannie, a teraz opóźnia się pokaz. Coraz głośniejsza była wrzawa za ogrodzeniem i szpalerami konnej milicji. „Skąd takie zamieszanie? – dziwił się Daniłow. – Wystarczyłoby dziesięciu amatorów rogatego bydła – i koniec sprawy, a tu całe zbiegowisko!...” Czuł się dziwnie niespokojny. Nagle rozległo się naokoło:

– Jest! Już idzie!

Daniłow wyciągnął szyję. Istotnie, wyprowadzono byka na arenę. Publiczność zamarła. Byk był olbrzymi i piękny. Mała dziewczynka zawołała z zachwytem:

Mamut! Mamut! Jaskiniowy!

Byk stanął w miejscu, niespodziewanie położył się na śniegu i zapadł w drzemkę. Rozentuzjasmowana publiczność okrzykami zachęcała byka do spaceru, żądając od niego wykonania zapowiedzianej wielkiej rundy. Potem dały się słyszeć litościwe głosy: biedne zwierzę, leży na śniegu i marznie... Wreszcie skończyły się roztkliwiania; tłum zaczął szemrać. Hodowcy usiłowali rozruszać byka – wszystko na nic, nawet wysiłki administracji nie dały skutku. Publiczność tupiała tak, że dudniła zmarznięta ziemia, w stronę byka leciały ogryzki, oburzony tłum wył:

– Rundę! Dawać rundę! Za co braliście pieniądze? Lipa!

Daniłow zrozumiał, że jeśli byk natychmiast nie wstanie, będzie całkiem źle. Zacznie się tutaj, a potem tłum rozniesie ogrodzenie i przerwie szpalery konnej milicji. Zdenerwowany zaczął przeciskać się ku wyjściu na arenę. Od płaszcza odskoczyły guziki, szalik o mało nie został na ramieniu jednego z widzów, niemniej Daniłow przedostał się do przodu i stanął tuż przy bandzie. Tutaj zatrzymali go milicjanci. Zrobiło mu się przykro, odszedł na bok. Tłum wrzeszczał. Daniłow zobaczył nie opodal szalejącą Klaudię. „Chyba zgłupiałem do reszty! – pomyślał. – Po co ja się tak morduję?”

Z trudem przedarł się w poblizze pomieszczeń, w których trzymano eksponowane na wystawie bydło, przesunął płytkę bransolety i w tejże chwili przemienił się w byka – większego nawet od Waśki, ale maści zgoła innej: sierść miał zieloną w białe paski, przywodzącą na pamięć marynarski podkoszulek. Ruszył prosto na porucznika milicji, który spojrzał na niego z szacunkiem i przepuścił.

Publiczność znowu przycichła, hodowcy Kukuszkina i Kuleszów na wszelki wypadek cofnęli się o krok od byka Waśki. Daniłow podszedł do niego i pchnął rogiem w bok.

– Hej, Karmadonie!

– No... – ociągając się wychrypiał byk.

– To ja, Daniłow. Wstawaj.

– Odczep się. Nie chcę – burknął Karmadon.

– Mówię ci, wstawaj! – Daniłow przekonał się teraz, że Waśka nie jest samozwańcem. Pchnął go rogiem jeszcze raz, mocniej niż poprzednio.

– Zjeżdżaj – usłyszał.

– Wstawaj, powiadam!

Byk Waśka wstał.

– Teraz idź za mną – rozkazał Daniłow. – Ruszaj się, słyszysz? I uważaj!

Początkowo musiał popychać Karmadona, potem tamten poszedł sam – i nie najgorzej poszedł. Przy akompaniamencie burzliwych owacji obeszli arenę naokoło; Daniłow żałował teraz, że w pośpiechu nie pomyślał o swoim wyglądzie – przez to kretyńskie pstrokate ubarwienie mógł całkiem niepotrzebnie ściągnąć na siebie wzmożoną uwagę rzeczoznawców. Powróciwszy razem z Karmadonem do pomieszczenia, szepnęła:

– Nie mam więcej czasu, muszę pędzić do teatru. Zobaczymy się jutro.

Masz przed sobą jeszcze trzy rundy i wszystkie musisz zrobić, inaczej widzowie obedną cię ze skóry... Jasne?

Waśka ziewnął i skinał głową. Daniłow na wszelki wypadek sam zaprogramował dla niego trzy duże rundy, po czym wyszedł na korytarz i przybrał swoją normalną postać.

„Sen miał nie taki znowu głęboki – pomyślał. – Zresztą co mi do tego? Mam już tych byków powyżej uszu”. Niemniej przez resztę dnia i cały wieczór mimo woli musiał wysłuchiwać dalszych nowin o byku, a nowiny były tym ciekawsze, im bardziej oddalał się od terenu wystawy. Opowiadano, że już wkrótce zostaną zademonstrowane na wystawie mamut, tygrys szablasty i człowiek śniegu, bo właśnie udało się złapać ostatnio wszystkie te dziwy natury. Damy zasiadające w trolejbusach na miejscach dla inwalidów orzekły jednomyślnie, iż pojawienie się błękitnego byka nie wróży nic dobrego. „Zobaczycie – zapewniała jedna z nich – w Afryce zacznie się straszliwa powódź, a u nas skoczą w górę ceny na biały ser...” Bzdurne pogłoski wyprowadzały Daniłowa z równowagi i napawały wstrętem, złościł się najbardziej na Karmadona, który ponosił winę za cały ten cyrk. „W Hiszpanii to jeszcze ujdzie, ale żeby u nas ludzie tracili głowę z powodu byka, niechby nawet nadzwyczajnego!...” – myślał z oburzeniem, jak przystało na patriotę.

O pierwszej w nocy obudził go telefon. „Natasza!” – podskoczył. Ucieszył się ogromnie, a zarazem poczuł lęk. Karmadon był w Moskwie i mógł zjawić się u niego w każdej chwili. Natasza nie powinna wiedzieć o Karmadonie, zarówno jak on – o Nataszy. Ale dzwoniła znowu Klaudia.

– Daniłow, widziałam cię na wystawie. Byłeś blisko byka. O czym rozmawiałeś z milicjantem?

– Szukałem toalety – odpowiedział Daniłow ponuro.

– To do ciebie podobne... I co, widziałeś byka?

– Nie! – uciał mając ochotę walnąć słuchawką. – Byłem w toalecie.

– Nie widziałeś rzeczy najważniejszej! Wyobraź sobie, obsługa wpuściła na arenę przeszkolonego byczka, specjalnie był pomalowany na zielono, w białe paski, żeby tamten wziął go za swojego i posłuchał. No i ten byczek, taka sobie mizerota...

– Dość! Żegnaj. Boli mnie ząb – powiedział Daniłow ostro i odłożył słuchawkę.

Ząb na razie nie bolał, ale w każdej chwili mógł rozboleć z winy Klaudii. „Wygłupiłem się z tym idiotycznym deseniem! – myślał ze złością. – Klaudia też dobra: «byczek», do tego

jeszcze «mizerota»...” Zасыpiając przypomniał sobie, jak w postaci byka giganta kroczył ośnieżoną ścieżką dookoła areny, i stwierdził, że było to uczucie bardzo przyjemne...

Rano poszedł po jarzyny na Rynek Jarosławski. Pod bramą kwitnął ożywiony handel lizakami na patyczkach. Daniłow jeszcze od czasów dzieciństwa lubił te przezroczyste, rozpluwające się w ustach lizaki, ale tym razem kolejka była zbyt długa. „Byczki na patyczku! Byczki na patyczku!” – powtarzał jak katarynka chłop z workiem, choć klientów nie trzeba było zachęcać. „Skończyły się byczki! – usłyszał Daniłow po chwili. – Zostały tylko koguciki i kosmici w skafandrach!”

„Co za mistyka!” – pomyślał.

Przez cały ten dzień starał się usuwać na bok, gdy słyszał rozmowy o byku. Flecista Sadowników przyznał się, że był wczoraj na wystawie i że czuje się oszukany. „Wielkie mi rzeczy, pokazali coś niebieskiego... Myślałem, że to Bóg wie co, a tutaj...” Skrzypek Ziemiński nadmienił, że wystarczyłby z powodzeniem sam afisz z napisem: „Spacer byka giganta” – wówczas każdy z widzów mógłby stworzyć sobie własną wizję spacerującego byka i byłaby to prawdziwa sztuka, a nie takie szarlatanstwo. Wszyscy utrzymywali zgodnie, że teraz w Moskwie – widocznie w związku z tym błękitnym bykiem – notuje się wyraźny wzrost męskiej potencji. W przerwie *Śpiącej królowny* Daniłow trafił na dziennik telewizyjny i po obejrzeniu nasion przygotowanych do wiosennego siewu zobaczył na ekranie znanego komentatora wydarzeń aktualnych, Eugeniusza Sinicyna. Komentator powiedział, że byk z Wyżyny Galickiej wywołał olbrzymie zainteresowanie za granicą i że dziś autokary przywoziły na teren wystawy liczne grupy zagranicznych turystów. Chcąc popatrzeć na byka, przybył do Moskwy popularny w Hiszpanii wędrowny rycerz Resnicoviez na swej kłaczce Concordii. Rycerzowi towarzyszy w podróży wędrujący wraz z nim kelner. („Cóż, niech sobie popatrzy” – pomyślał Daniłow). Nic dziwnego, dodał komentator, przyjaźń zbliża narody; na dowód słuszności tego hasła byk Waśka odleci dziś do Kanady z zaszczytną misją pokoju, jako posłaniec idei dialogu i współpracy. Daniłow aż posunął się do przodu. „Tak jest – ciągnął Sinicyn – błękitny byk zostanie wysłany do Kanady w charakterze prezentu, jaki otrzymuje od naszego rządu znany przedstawiciel kanadyjskich kół handlowych, Andre Richard”.

Nazwisko milionera Richarda z Prince Rupert było wszystkim znane. Richard, który już kilkakrotnie odwiedzał Moskwę, słynął jako zapalony kolekcjoner, posiadacz rzadkich okazów zwierząt, wyjątkowo cennych zbiorów starej porcelany i szesnastowiecznych mebli. Po dokonaniu pewnych transakcji sprezentował kiedyś Izbie Handlowej stylowy fotel roboty lombardzkich manierystów, z zegarem nad oparciem. Teraz zrewanżowano mu się prezentem w postaci błękitnego byka. „Słusznie!” – orzekł Daniłow i poszedł grać dalej *Śpiącą królownę*.

Wiedział, że Richard jest człowiekiem interesu i że byk na pewno wyląduje jutro rano w Kanadzie. A potem może sobie spać aż do końca wakacji. Mimo to wieczorem Daniłow nie zadzwonił do Nataszy – kto wie, jaki obrót przybiorą sprawy.

Wziął do ręki nuty Pierieslegina. Kompozytor otrzymał już chyba jego pocztówkę, ale odpowiedzi na razie nie było. Daniłow znowu stwierdził, że symfonia jest bardzo ciekawa, mało tego – poczuł się autentycznie wzruszony. Miał wrażenie, że partia altówki w tej symfonii jest niejako ilustracją jego życia; w nerwowych peregrynacjach altówki po arkuszach partytury dostrzegał oddźwięki własnych cierpień i kłopotów, własnych nadziei i uniesień. W czwartej części znalazł nawet taki moment, w którym altówka (czyli on sam) przeżywa uczucie podobne do tego, jakie ogarniało go, gdy zatrzymywał się przed pralnią chemiczną z zamiarem odebrania spodni, lecz natychmiast porywa ją fala życia i niesie dalej,

pozostawiając daleko w tyle nie spełnione zamiary. I tylko od czasu do czasu zdarzały się altówce (czyli jemu samemu) chwile medytacji lub po prostu cichej zadumy, ale zadumie przeszkadzała codzienna krzątania, rozwiewał ją wicher życia. Zresztą były to refleksje typowo literackie, takie myśli nawiedzały Daniłowa tylko w trakcie odczytywania nut. Grając natomiast lub słuchając czyjeś gry zapominał o słowach i wizjach, miał bowiem do czynienia z Muzyką, która znaczyła dla niego więcej niż wszystkie słowa i wszystkie wizje razem wzięte, a niekiedy więcej nawet niż samo życie. Na razie studiował partyturę. „Słowo daję, można to zagrać! – powtarzał. – I ja to zagram!” Ale już po chwili sam wylewał na siebie kubek zimnej wody: gdzie on to zagra? I z kim? „Nieważne gdzie i z kim, zagram i kropka” – powiedział sobie w końcu, przy czym altówka brzmiała w jego mózgu prowadziła już temat z piątej części symfonii Pierieslegina.

Postanowił wprawdzie, że nie będzie myślał o Karmadonie, ale myślał o nim ciągle – częściowo z przyzwyczajenia, częściowo zaś powodowany zwykłym niepokojem. I jeszcze jedna rzecz: liczył na poważną rozmowę z Karmadonem. Trzeba było opowiedzieć mu o Godzinie Zero i zasięgnąć porady. A może nawet o coś poprosić...

Wkrótce nadeszły pierwsze wiadomości. Otóż, choć biznesmen Richard przyrzekał, że byk Waśka zostanie ozdobą jego menażerii, natychmiast po przybyciu byka do Prince Rupert wzięli go w obroty (jak zresztą przypuszczał Daniłow) zoologowie Richarda. Widocznie kiedy był jeszcze na pokładzie samolotu, już marzyły się im stada dorodnych błękitnych krów w dolinie rzeki Fraser. Byk stanowczym kopnięciem rozpedził natrętnych zoologów i opuścił menażerię na zawsze.

Przez całą dobę Daniłow nie mógł znaleźć sobie miejsca, każdy sygnał odbierał w najwyższym napięciu i wreszcie o jedenastej wieczorem dotarła do niego nowa informacja: w północnej części Kanady, nad brzegami Zatoki Hudsona, pewien myśliwy o nazwisku Kennan zauważył dziwne zjawisko. Spod pokrywy lodowej wyrastał na cienkiej łądźce niebywały kwiat, lśniący w mroku nocy polarnej dziwnym blaskiem. Kennan zerwał kwiat, ale żadnych korzeni nie widział. Później, w trakcie badań laboratoryjnych, stwierdzono, że niezwykła roślina zawiera spore ilości molibdenu.

Daniłow niezwłocznie wyruszył do Kanady słynną trasą przelotu Czkałowa. Miał ze sobą łom i przybory szanrowe. Dotarł do miejsca, w którym znaleziono dziwny kwiat, i zrozumiał, że sam łom mu nie wystarczy. Zamiast łomu musiał więc użyć młota pneumatycznego. Ziemia pod lodem ścięta była wieczną zmarzliną. Skoro wyrosły na ciele Karmadona rośliny z gwiazdzbioru Wolarza, oznacza to, że Karmadon nie odpowiada za swoje czyny i może zamarznąć tu na wieki wieków. Długo walczył Daniłow z wieczną zmarzliną, ocierał pot z twarzy, aż wreszcie odkopał Karmadona. Karmadon, całkiem sztywny, jawił mu się w dawnej postaci dziwacznej istoty, która pływała przedtem w jego wannie: znowu miał na ciele tamto żelastwo, przyssawki i nie wiadomo co jeszcze. Daniłow spróbował go obudzić, ale gdzie tam! Zaklął szpetnie, wziął Karmadona za kark i odtransportował do swojego mieszkania w Ostankinie, gdzie wpakował go do wanny napełnionej gorącą wodą.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Karmadon otwierając oczy.

– W moim mieszkaniu – odpowiedział Daniłow oschle. – Zostało ci pięć dni wakacji. Możesz uważać, że zabawa w byki skończona.

– Znowu obrosłem tym świństwem – pożałował się Karmadon.

Zażył tabletkę i zrobił się bardziej podobny do siebie.

– Nie wyspałeś się jeszcze? – zapytał Daniłow.

– A co, spałem? – zdziwił się Karmadon patrząc na niego osłupiałym wzrokiem.

– Skądże, wędrowałeś z gitarą po Hiszpaniach – powiedział Daniłow. – Żyłeś jak przystało na asa.

„Jestem brutalny – pomyślał za chwilę – po co tak naskakiwać na niego? Trudno, miałem z nim kłopot, ale był to mój obowiązek. Spał sobie – i dobrze, przynajmniej nie zrobił nic

złego. Przecież jest naprawdę zmęczony po swoich wyczynach u tych Wolarzy, czemuż by nie miał wypaść się porządnie?”

– A więc spałem! – Karmadon z rozpaczą uderzył dłonią w wodę. – Oklapłem do reszty!

– Nie przejmuj się – powiedział Daniłow czując coś w rodzaju litości. – Powiedzmy, że spałeś, i co z tego?

– Hańba! Wstyd! Jaki ze mnie as? Szmata!

Zmartwiony, o mało nie płakał.

– Nie wydaje mi się, żebyś w tej chwili demonstrował mocne strony charakteru – zauważył Daniłow.

– Masz rację – zgodził się pokornie Karmadon. – Rozłożyło mnie kompletnie.

– Masz tu ręcznik, masz piżamę... Słuchaj, naprawdę niczego nie pamiętasz?

– Przypominam sobie coś jak przez mgłę. Jak przez sen... Ktoś mnie gdzieś prowadził, coś kazano mi robić... Chowałem się po różnych zakątkach Ziemi... Wstyd!

Rano Daniłow musiał go zbudzić: Karmadon, choć wzbraniał się wieczorem przed snem i prosił Daniłowa, żeby nie dawał mu czystej pościeli, spał teraz cichutko na kanapie. Obudzony zawstydzził się znowu, wyrzucał sobie słabość, pytał Daniłowa, czy nie zna jakiegoś środka na pozbycie się senności. Daniłow żadnych takich środków nie znał. Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos Nataszy.

Co za pech! Żeby ten Karmadon wyszedł gdzieś bodaj na chwilę – po papierosy czy po listy ze skrzynki – ale skąd, niemrawy i ospały siedział w fotelu. Daniłow słuchał miłego głosu Nataszy i bojąc się nazwać ją po imieniu mówił niewyraźnie, zdawkowo, tak jakby chciał pozbyć się jej czym prędzej.

– Co ci jest, Włodku? – zapytała Natasza. – Może przeszkadzam?

– Nie, wcale nie, czekałem na twój telefon – powiedział Daniłow oglądając się na Karmadona. – Ale teraz, niestety, nie mam czasu...

– Cóż, przepraszam – powiedziała Natasza i odłożyła słuchawkę.

„Zaczekaj!” – o mało nie krzyknął Daniłow.

– Kto to był? – zapytał Karmadon.

– A-a-a – machnął ręką Daniłow – tak, nic ważnego...

„Zresztą może to i lepiej, że zadzwoniła teraz – pomyślał – zostało tylko pięć dni, potem ją odzyskam i przeproszę...”

– Kawa gotowa – powiedział do Karmadona. – Masz tu kanapki z serem. Co zamierzasz dalej robić?

– Nie wiem – wybąkał Karmadon.

– No, jak uważasz – powiedział Daniłow. – Możesz siedzieć w domu. Włącz sobie telewizor, poczytaj gazety, dużo tam jest o byku.

– Dobrze, daj te gazety – skrzywił się Karmadon.

Daniłow, jak co rano, zabrał się do prasowania czarnego motylka. Nagle dobiegły z pokoju głośne jęki Karmadona zajętego lekturą prasy codziennej. Daniłow wyszedł z kuchni.

– Że spałem, to jeszcze nic, ale po co oni mi ciągle przeszkadzali! – zawołał Karmadon podnosząc głowę. – Słusznie powiedziane: „I wieczny bój, i we śnie tylko spokój...”

– Skąd o tym wiesz?

– Sam do tego doszedłem.

– Słuchaj – powiedział Daniłow – jeśli nie zamierzasz dłużej... że tak powiem, odpoczywać... to może byś poszedł do łaźni? Do Sandunowskiej. albo Marjińskiej. Ja dziś nie mogę, ale wytłumaczę ci, jak tam trafić.

– Nie pomoże mi żadna łaźnia – westchnął Karmadon.

Czuł się tak paskudnie, że o mało nie płakał. Czy taki był, gdy przybył na Ziemię po burzliwych przygodach w gwiazdozbiorze Wolarza? Zmęczony, lecz wciąż jeszcze potężny, wierzył wówczas w siebie i w swoje przyszłe wyczyny, ryzykowne, acz pełne pasji; był

wulkanem, a dziś jest niczym – plastikową popielniczką pełną niedopałków... Dawniej dewizą jego była максима: „Nec plus ultra”, a teraz aż wstyd o tym wspominać; był basem profundo, a dziś jest zaledwie słabiutkim tenorem lirycznym, nadającym się jedynie do odśpiewania kupletów Triqueta – i też tylko na jakiejś amatorskiej scenie zakładów młynarskich. Dobiło go nieustanne czuwanie, mimo usilnych starań nie mógł znowu poczuć się asem. Osiem dni temu, gdy pojawił się na Ziemi Karmadon, Daniłow był wobec niego czymś w rodzaju poczmistrza, do którego zawitał nieoczekiwanie możny dygnitarz, dawny kolega z ławy szkolnej – i choć Daniłow nie cenił siebie aż tak nisko, mimo woli musiał przyznać, że różnica rangi robi swoje. Teraz natomiast wszystko wyglądało zgoła inaczej: to on gotów był opiekować się Karmadonem, a zmiana tak istotna zaszła w ciągu jednego zaledwie tygodnia. Prasując spodnie, usłyszał nagle okrzyk:

– No nie! Tego już za wiele! „Błękitny byk jest impo...” Słuchaj, Daniłow, to chyba niemożliwe, żebym dał komuś powód do takich wniosków! Nawet gdybym przez cały czas był nieprzytomny! Jak myślisz, co?

– Widzisz, jak by to powiedzieć... – zaczął ostrożnie Daniłow.

Karmadon cisnął pod stół gazetę z notatką o dziwnych cechach błękitnego byka. „Tak ciska się czasami recenzję – odnotował w duchu Daniłow – wystarczy sam fakt, że recenzja jest niepochlebna, i człowiek nie ma ochoty na zagłębianie się w szczegóły: przemawia u niego protest i instynkt samozachowawczy”. Dobrze wiedział, czego spodziewa się po nim Karmadon – żeby powiedział, że nie warto czytać szmatławych gazet.

– Wydaje mi się, że jednak coś musiało być na rzeczy – powiedział wymijająco.

– Bezczelne kłamstwo! – oburzył się Karmadon i jednym spojrzeniem zniszczył gazetę zamieniając ją w papier toaletowy. – Mam uwierzyć, że ta Cynthia mnie odwiedziła? To ona powiedziała o mnie „impotent”? Jakim prawem? Już ja ją teraz znajdę, ja jej pokażę!

– Owszem, Cynthia rzeczywiście złożyła ci wizytę, po której była tak zła na byka Miguela, jak ty teraz złościsz się na nią.

– Koszmar! – odezwał się Karmadon. Zamknął oczy i odrzucił w tył głowę. – I pomyśleć, że tak marzyłem o tym, żeby zostać błękitnym bykiem choć na chwilę! I przecież byłem bykiem!

– Byłeś, to prawda.

– Jestem zhańbiony, muszę teraz znaleźć inne zajęcie, najpodlej sze, najgorsze! Niech mnie skierują do przesypywania kurzu w rowach gdzieś na Saturnie, żeby wprowadzić w błąd astronomów.

Zamilkł.

– Po co te czarne myśli – przemówił Daniłow. – Uspokój się, wszystko masz przed sobą.

– O nie, po takich obelgach uspokoić się nie mogę! Lepiej już w ogóle nie powracać z tych wakacji... Masz hantle?

– Mam, pięciokilogramowe.

– Dobra. Zacznę od gimnastyki porannej.

– Słusznie. Potem idź do łaźni.

– Pójdę. Ja się z tego wygrzebię.

„Cóż – pomyślał Daniłow – może i wygrzebiez się, kto wie”.

– Cynthia! Też mi wyrocznia! – pokiwał głową Karmadon. – I krowy tego Burnabita! Pewnie jakieś wygłodzone, zahukane stare klepy...

Mimo to wieczorem, po powrocie z teatru, Daniłow stwierdził, że Karmadon znowu jest przygnębiony. Zobaczył rozłożoną na kuchennym stole brudną, wymiętą cudzą gazetę, na niej – resztki zakąsek. Zapachy w kuchni też były jakieś obce.

– Piłeś? – zapytał Daniłow. – Z kim?

– Poznałem takich dwóch w łaźni.

– Co to za ludzie?

– Z waszego domu. Jeden – Kola, hydraulik. Drugi – skrzypek z twojego teatru. Mikołaj Ziemski.

– Zgadza się – skinął głową Daniłow. – Ziemski jest na zwolnieniu lekarskim. Lumbago. Pewnie tyłek wygrzewał w łaźni...

– Nie tyłek, wyższe partie.

– Ciekawe, jak się im przedstawiłeś?

– Jako twój przyjaciel. Powiedziałem, że byliśmy razem w sierocińcu. Teraz mieszkam na Syberii, jestem specjalistą od molibdenu.

– Syberia jest duża.

– To samo powiedziała mi stara wiedźma, która siedzi w waszym domu na dole. Na twoim miejscu dawno zamieniłbym ją w suchy badył. Wy tłumaczyłem, że przyjechałem z Irkucka.

– Widzę, że znowu nie masz humoru.

– A-a! – machnął ręką Karmadon. – Wiesz, myślę sobie, a może to wszystko z nadmiaru wiedzy?

– To znaczy co wszystko?

– No... – powiedział Karmadon z zażenowaniem – wszystkie te dziwne sprawy... Choćby tamta z Cynthią...

– Nie rozumiem.

– Mówię o tej rzekomej impotencji. Może to z nadmiaru wiedzy?

W oczach miał smutek, jakby odkrył u siebie chorobę, która może sprawić, że całe jego dalsze życie zamieni się w pasmo cierpienia. „Jaki jest dzisiaj potulny – pomyślał Daniłow. – Parę dni temu na pewno rozprawiłby się na miejscu z tą naszą windziarką, ciotką Pauliną, zamieniając ją w kaktus albo w dziurawą torbę na zakupy. A teraz tyle ma w sobie subtelności, że gotów oszczędzać każdego...” Znowu poczuł litość dla Karmadona, przebaczył mu nawet to, że Natasza odłożyła słuchawkę.

– Dlaczego akurat z nadmiaru wiedzy? – zapytał ot, tak sobie, jak gdyby dając Karmadonowi szansę do zmiany diagnozy.

– Widziałeś naszych znawców i teoretyków? Wszyscy mają łysiny, braki w uzębieniu i cierpią na impotencję. A z czego? Z nadmiaru wiedzy!

– Co ma z tym wspólnego uzębienie? – zdziwił się szczerze Daniłow. – Poza tym ty, to znaczy tacy jak ja i ty nigdy nie utrudniali sobie życia jakimś nadzwyczajnym dążeniem do wiedzy. Po co? My – praktycy – mamy swoje sprawy, przeżycia, dramaty, ciągle brakuje nam czasu... Teoretycy, myśliciele, znawcy dlatego właśnie nie mogą wykroczyć poza obręb teorii, że cierpią na impotencję wrodzoną albo przechodzą do klanu teoretyków przez impotencję nabytą... O łysinie nie mówię, to całkiem inna sprawa. Wreszcie myśliciele i znawcy muszą myśleć niejako z obowiązku. Podporządkowują sobie czas i przestrzeń, chwile płyną im wolno i każdą mogą zatrzymać, nie to co my... – Mało brakowało, a byłby dodał, że myśliciele i teoretycy mają pewnie czas na to, żeby zjeść codziennie przyzwoity obiad, ale powstrzymał się od takiej uwagi.

– Nie masz racji – odparł ze smutkiem Karmadon. – Nic na to nie poradzimy, to cecha zawodowa, demoniczna. Niestety, demon jest duchem poznawania. Zapomniałeś o tym? Owszem, jestem praktykiem, demonem czynu, jestem realistą i myślicielami gardzę, ale zawsze byłem zachłanny. Moja zachłanność nie ma granic: sam o tym nie wiedząc, wchłaniam wiedzę tak duchową, emocjonalną, jak i konkretną. I wiedza mnie kiedyś zgubi! Kto wie, może będzie to dla mnie boleśniejsze niż dla kogoś, kto ma naturę analityczną. Masz rację, tacy od początku byli bezsilni, ale co się stanie, jeśli ja stracę siłę? Co się stanie, jeśli wyschnie jej źródło?...

– Po prostu jesteś zmęczony i niewyspany, stąd to wszy stko.

– Nie, mój drogi, wiedza jest winna. Wiedza!

Daniłow zrozumiał, że nic tu nie działo. Był zażartym dyskutantem, mógł dyskutować do upadłego na rozmaite tematy, w tym również całkiem mu obce, zwłaszcza gdy w charakterze oponentów miał przed sobą Murawlowa czy kolegów z orkiestry grających na instrumentach dętych. Teraz jednak wolał nie dyskutować. Może czuł się zmęczony po spektaklu, a może były inne powody. Domyślał się, co to mogło być: dużo uzbierało się w jego życiu rzeczy ważnych, istotnych i bolesnych – takich, które przyrzekł sobie przemyśleć lub rozstrzygnąć. Tymczasem życie sprawiało, że musiał ciągle odkładać wszystkie te przemyślenia i decyzje do lepszych czasów, pocieszając się tym, że zrobi to kiedyś na pewno, a na razie niech wszystko toczy się jak zwykle. Dlatego nie chciał dziś wszczynać sporu, który mógłby doprowadzić nie wiadomo do czego. Poza tym poczuł nagle, że mało go obchodzą kłopoty osobiste Karmadona i w ogóle wszystkie te demoniczne zwątpienia, podobnie jak narzekania mieszkańców stolicy na tłok w trolejbusach nie obchodzą poganiacza reniferów.

Przyniósł koniak i likier „Zorza polarna”, zakupiony w dniu debiutu błękitnego byka na madryckiej arenie. Na wszelki wypadek zaproponował Karmadonowi kieliszek koniaku, ale Karmadon pozostał wierny dawnym upodobaniom.

– Tak jest – powiedział Karmadon – żyliśmy dotąd samymi emocjami! Nie jesteśmy z tych, co to nade wszystko stawiają nauki ścisłe i wymądrzania się zgrzybiałych filozofów, ani z tych, którzy gotowi z lupą w rękach badać każdy zakamarek pojmanej w sidła duszy. Wiesz sam, co jest moją pasją. Wichry, zwidy, napaści, szaleństwo czarnych mocy – oto mój prawdziwy żywioł, tu działam zdecydowanie i podejmuję każde ryzyko. Tutaj jestem zachłanny, stąd moja dewiza – „Nec plus ultra”.

Daniłow o mało nie odparł, że ma własny pogląd na zło, napaści i czarne moce, ale ugryzł się w język.

– Ale działać to przecież nie szyby rozwałać, nie wysysać krew na modłę wampirów, nie wydawać szatańskie bale! – ciągnął Karmadon. – Czy miałbym szacunek dla siebie, gdyby wysłano mnie do gwiazdozbioru Wolarza po to tylko, żebym wykręcał im korki na klatkach schodowych! Nie ma tam wprawdzie żadnych korków i schodów też nie ma, mówię to tylko dla przykładu, gwoli ścisłości. Nic z tych rzeczy – powierzono mi sprawę całej cywilizacji! Całą cywilizację miałem zdemoralizować – i zrobiłem to, co do mnie należało. Odwróciłem bieg tamtejszej historii, sam nie wiem jeszcze, w jakim kierunku, i dokonałem tego z taką precyzją, że nic nawet nie zgrzytnęło, nie wyłamał się żaden tryb. Jako mistrz jestem zadowolony ze swojej roboty, ale ileż mnie to kosztowało!

W tym momencie Daniłow chciał dać do zrozumienia, że jego rozmówca zapomina się i mówi o rzeczach, które należałoby trzymać w tajemnicy, zwłaszcza w rozmowach przyjacielskich. Ale Karmadon mówił już dalej:

– Musiałem gruntownie zbadać całą ich cywilizację, zrozumieć wszystko dogłębnie, a przecież mają swoją filozofię, bardziej rozbudowaną i głębszą niż którykolwiek ze znanych ludziom prądów filozoficznych, ponadto mają tradycje, wobec których każda filozofia w ogóle wysiada. Poplątałem ich sny, ale nie zrobiłem tego brutalnie i nie uciekałem się do pokus, których mieli już dość. O nie, trzeba było stworzyć dla nich nową filozofię, opartą na najnowszych osiągnięciach nauk ścisłych i podbudowaną taką ilością danych, która pozwoliłaby zdobyć zaufanie Glirow. Tak skonstruowaną filozofię należało wprowadzić do ich snów. Co ty na to? Ale w trakcie tej pracy sam ulegałem stopniowo zatruciu. Cierpiałem, byłem zmęczony, ale zmęczony wiedzą, nie bezsennością... A co dalej? Można dowiedzieć się w końcu takich rzeczy, że nie tylko straci się na zawsze siły i popadnie w obojętność, ale przyjdzie nieuchronnie pytanie: po co to wszystko? Po co zburzyłem Glirom ich dawne sny? Po co ja w ogóle istnieję? Po co mi nieśmiertelność?

Karmadon umilkł. Daniłow chciał powiedzieć, że zmęczenie przejdzie, że komu jak komu, ale im z Karmadonem nie grożą nieszczęścia z nadmiaru wiedzy – no bo cóż to znowu za nadzwyczajna wiedza? Powstrzymał się jednak: zrozumiał, że to wykrety. Owszem, sam

wzbraniał się przed nadmiarem wiedzy, ale jakiej? Takiej, która wchodzi do mózgu samoczynnie, jak utrwalony na karcie perforowanej program komputerowy. Powtarzał sobie w duchu, że gdyby można było poznać wszystko do końca i jeszcze dalej, czyli w nieskończoność, życie stałoby się nudne. Nie miał nic przeciwko temu, żeby więcej dowiedzieć się o przeszłości, ale nie do wszystkich archiwów otwarto mu dostęp. Zresztą to nieważne... Niektórym gorliwym czytelnikom czasopisma „Zdrowie” sprawia przyjemność niezachwiane przekonanie, że dokładnie wiedzą, w którym jelicie znajduje się w chwili obecnej wprowadzony do ich organizmu pokarm i w jaki sposób porusza się ta czy inna część składowa ich kośćca. Daniłow nie bez ciekawości przestudiował swojego czasu budowę anatomiczną organizmu człowieka, ale ciągłe koncentrowanie uwagi na swoich narządach wewnętrznych: tętnicach, naczyniach włoskowatych, na krezce czy nerwie kulszowym przyprawiało go o wstręt. Przestałby wówczas być samym sobą, byłby workiem pełnym kości i naczyń krwionośnych. Wiedział, że muzyka to też dziedzina ścisła, i żył muzyką. Mając do czynienia z nutami, w każdym utworze dostrzegał przede wszystkim jego armaturę, belki oporowe, stropy i ukryte sklepienia, ale szczegóły fachowe cofały się po chwili na drugi plan i zaczynały być czymś równie naturalnym jak umiejętność poruszania palcami, gdy ma się w rękach instrument i smyczek. Gdyby cała matematyka leżąca u podstaw muzyki była dla niego rzeczą dominującą, roztrzaskałby na pewno swoją altówkę (oczywiście nie Albaniego). Muzyka była jego miłością, miłość zaś gotów był przyjąć tylko wówczas, gdy podyktowana została natchnieniem, nie rozsądkiem. Życie też było dla niego miłością. Każda miłość kryje w sobie zagadki, pełna jest wyolbrzymień, fantazji, zdumienia – zawsze w to wierzył i nie godził się z uczuciem wyważonym, zaakceptowanym przez trzeźwy głos rozumu. Rozum najczęściej popada w samozakłamanie i z reguły nigdy nie wychodzi na swoje. Coś tam z tego udaje się czasami osiągnąć, ale to „coś” jest już obce, nie bliskie sercu.

Jak wspomniano wcześniej, Daniłow jeszcze za czasów licealnych nauczył się „wszystko wiedzieć, wszystko czuć i wszystko widzieć”, ale nie chciał z tych możliwości korzystać – udawał lekkoducha, prostaczka o niskim współczynniku inteligencji. Komisja lekarska nie potrafiła go rozgryźć, toteż został zwolniony od obowiązku przystępowania do obrządku Wielkiego Wtajemniczenia. Zwolniono go bez uciążliwej zwłoki: ukazał się właśnie nowy przepis, nie objęty wprowadzaniem okólnikiem, lecz podany do wiadomości ustnie; w myśl tego przepisu, mającego na względzie zarówno dobro młodzieży, jak i dobro wspólnej sprawy, bynajmniej nie każdy adept miał być dopuszczany do Wielkiego Wtajemniczenia – mógł po prostu otrzymać świadectwo ukończenia nauki. Daniłow zachował nabyte zdolności dla siebie, ale nawet aparaturę poznawania stopnia pośredniego (APSP-20), wręczoną mu wraz ze świadectwem, wykorzystywał nader rzadko, i to wyłącznie do celów służbowych. Nie potrzebował jej na użytek własny, wołał wszystko odkrywać sam, tak jak zwykli śmiertelnicy. Te odkrycia sprawiały mu niewysłowioną radość. Pomyślał nagle, że Karmadon ma rację – przecież w istocie on, Daniłow, sobie tylko zawdzięcza nabytą wiedzę, tak wielką, że trudno nawet zmierzyć jej ogrom...

Przyswoił sobie także zdobycze innych – poprzez słowa, melodie, linie, barwy, znaki przestankowe – a wszystko to również wyłącznie dzięki swej chłonnej naturze. Ta wiedza wcale nie przyprawiała go o lęk, przeciwnie – będąc naturalną częścią składową jego szczęścia i cierpienia, muzyki i miłości, sprawiała, że świat nabierał szczególnego uroku. Teraz jednak zmartwiła go wypowiedź Karmadona: co, jeśli ten niepokój jest uzasadniony i jeśli w istocie nadejdzie taki czas, kiedy on, Daniłow, poczuje się zmęczony życiem i muzyką tak jak skrzypek Ziemski? Co, jeśli wiedza okaże się zgubna?

– Myśliciele... – pokiwał głową Karmadon. – Nowy Margeryt też z nimi przestaje. Żebyś zobaczył, jak on teraz wygląda!

Skrzywił się: Nowy Margeryt, jego rodzony brat, za dawnych czasów nie zdradzał skłonności do nauki, był raczej typem sportowca, a teraz...

– Aż litość bierze... A przy tym twierdzi, że poczucie wieczności daje mu słodycz. Jak myślisz, czym jest wieczność?

– Czy ja wiem... – zamyślił się Daniłow. – Poczucie wieczności oznacza chyba, że to, co się dzieje, nie znika bez śladu i że przyszłość jest czymś dokonującym się w teraźniejszości, może nawet czymś dokonanym...

– Powiedzmy, że masz rację, ale czy takie uczucie sprawiłoby ci przyjemność?

– To, co się dzieje, nie powinno znikać bez śladu – powiedział Daniłow. – Ale nie widzę potrzeby, żeby przyszłość stała się czymś dokonanym.

– No więc po co nam poczucie wieczności?

– Nie mówmy na zapas. Może kiedyś odczujemy taką potrzebę...

– To sobie odczuwaj! – rzucił Karmadon z urażą w głosie.

„O czym ja mówię? – pomyślał Daniłow. – O poczuciu wieczności? W ostatnich chwilach przed nadejściem Godziny Zero? Niech Karmadon wyłoży wszystko, co ma na sercu, może znajdę potem moment, żeby napomknąć mu o Godzinie Zero. I nie ma sensu rozwodzić się o banialukach...” Uświadomił sobie jednak natychmiast, że myśli utartymi schematami: przecież Banja Luka to miejscowość w Jugosławii, a bzdurę powinno się nazywać po prostu bzdurą. W tym momencie zrozumiał, jak przeszkadza mu nagromadzona bez sensu, wyrwykowa i powierzchowna wiedza: mógłby spokojnie używać słowa „banialuki”, tak jak robią to wszyscy, i nie mieć pojęcia, skąd to słowo pochodzi. Po co mu ta niepotrzebna erudycja? Chyba że do krzyżówek, którymi pasjonuje się Murawłow – ale Murawłow załatwił sobie subskrypcję na encyklopedię powszechną, odebrał już szesnaście tomów i obejdzie się doskonale bez jego pomocy.

– Ech, bracie – powiedział Karmadon – i co ja mam teraz robić? Zmieniać dewizę? „Nec plus ultra”... Gdyby tak było! A przecież byłem spokojny, byłem pewien, że te słowa... Czyżby i mnie czekała płycizna? Albo może wpadnę na jakieś wywrotowe pomysły?... Niesamowite perspektywy!

– Wszystko przejdzie – machnął ręką Daniłow.

– Słuchaj, ta... jak jej tam... Cynthia... powiedz, czy jest przynajmniej atrakcyjna? – zapytał Karmadon.

– Nie w moim guście. Ale podoba się mężczyznom.

Karmadon spuścił głowę, sięgnął po butelkę „Zorzy polarnej” i tak jak poprzednim razem, wypił jednym haustem całą jej zawartość. Butelka natychmiast napełniła się ponownie. Daniłow, czując, że wybiera moment niezbyt uczciwie, uległ jednak pokusie i pospieszenie, aczkolwiek z pewnym zażenowaniem, opowiedział Karmadonowi o glansowanym blankiecie ze stygmatem Godziny Zero i o sprytnym kurierze panu Walentym. Altówkę Albaniego w swojej relacji na razie pominął. Opowiadając zdawał sobie doskonale sprawę, że gdyby miał teraz do czynienia z dawnym Karmadonem, nieustraszonym asem powracającym z superzadania, nie wydusiłby z siebie ani słowa.

– Jak? Co ty mówisz? – podniósł głowę Karmadon.

Daniłow powtórzył wszystko od początku.

– Masz ci los – powiedział Karmadon. – Ciekawe, kto to taki, ten pan Walenty. Pewnie jakaś gnida. Podlegasz Kancelarii do Spraw Tamtego Świata... – rozważał na głos. – No tak... mam w tym urzędzie... – Poruszył brwią, co miało oznaczać, że intensywnie myśli, po czym zapytał: – Nic przypadkiem nie zbroiłeś?

– Skądże – wzruszył ramionami Daniłow – nic takiego... Chyba że jakieś głupstwa...

– Prawdę mówisz? – zapytał Karmadon surowo.

– Prawdę – skinął głową Daniłow, ale odpowiedź zabrzmiała niezbyt przekonująco.

– Dobra – powiedział Karmadon. – Nie martw się, jesteś zdolny. Znamy się przecież nie od dziś. Myślę, że Nowy Margeryt... Jest teraz na samym szczycie...

Znowu łyknął z butelki. Pełen współczucia dla Daniłowa, litował się nad nim tak jak nad sobą, biorąc go za ofiarę zgubnego działania nadmiernej wiedzy.

– Włos ci z głowy nie spadnie! – oznajmił i walnął dłonią w stół.

Daniłow otworzył oczy. Karmadon, nagi do pasa, podnosił i opuszczał hantle.

O szóstej wieczorem, po powrocie z teatru, Daniłow nie poznał swojego lokatora: wszystko wskazywało na to, że Karmadon nie potrzebuje już opieki.

Jutro koniec jego urlopu i Daniłow znowu będzie mógł żyć tak, jak uważa za stosowne. Naturalnie, pod warunkiem, że Karmadon dołoży starań, by Godzina Zero została odwołana lub odroczone na długie lata. Daniłow wierzył w pomyślne zakończenie – chciał wierzyć i wierzył.

Jak się wyjaśniło, Karmadon dla dodania sobie animuszu nie tylko zabrał się do intensywnej gimnastyki porannej, ale ponadto przebiegł truchtem spory kawałek w kierunku pałacu Szeremietiewa, obecnie – Muzeum Twórczości Chłopów Pańszczyźnianych. Był także w łaźni, tym razem w Sielezniowskiej, znowu w towarzystwie skrzypka Ziemskiego i hydraulika Koli, do których zdążył już przywyknąć. W łaźni nie gapił się i nie marznął, korzystał na całego z parówki i piwem z drewnianej balii spryskiwał rozgrzane kamienie. Zarówno Ziemiński, jak i hydraulik Kola, rozebrani do rosołu, zachwalali Karmadonowi film pod tytułem *Siedemnaście mgnień wiosny*. Karmadon wyszedł do rozbieralni odetchnąć świeżym powietrzem i, przykryty pożyczonym od łaźniennego prześcieradłem, natychmiast obejrzał zachwalany film – wszystkie dwanaście części. Pokaz przebiegł nie najgorzej wyjąwszy fakt, że Karmadon nie mógł uważnie wysłuchać muzyki Tariwerdijewa: przeszkadzali mu rozprawiający o sterletach sąsiedzi w zarzuconych na ramiona mokrych prześcieradłach. Muzykę Ziemiński skrytykował, ale hydraulik Kola w trakcie kąpieli zanucił Karmadonowi wszystkie melodie z filmu. Potem cała trójka udała się na spacer, przy czym nie obeszło się bez przygód, choć na szczęście mało znaczących. Teraz Kola i Ziemiński siedzieli w mieszkaniu Daniłowa i popijali wódkę, rozłożywszy na arkuszach nutowych kawałki smażonego ostroboka. Daniłow wyszedł do kuchni z zamiarem przyrządzenia zakąsek, zawahał się jednak i stanął w miejscu rozważając, jak tu postąpić. Miał w lodówce jedną tylko puszkę kurylskiej skumbrii w sosie własnym, tymczasem, jak przystało na gościnnego pana domu, chciałby dogodzić Karmadonowi w ostatnim dniu jego wakacji. Wątpił jednak, czy ma prawo dopuścić, by z funduszu reprezentacyjnego korzystały osoby postronne, czyli Kola i Ziemiński. W tym momencie zjawił się w kuchni Karmadon i rozwiązał jego wątpliwości:

– Po co robisz zamieszanie z tymi talerzami? Dzisiaj ja stawiam.

– Ależ, kto to widział... – zaczął Daniłow.

– Cicho! – przerwał mu Karmadon.

– Dobrze, rób jak uważasz...

– Pamiętaj, że już wiem, kim jesteś – powiedział Karmadon i pchnął go palcem w bok. – Byłem w twoim teatrze, siedziałem w jamie orkiestrowej obok perkusisty, a przy okazji dowiedziałem się tego i owego... Zasięgnąłem informacji w Kancelarii. Otrzymałem wszystkie dane. Wiem teraz, co z ciebie za jeden.

Uśmiech miał niemal dobrotliwy, ale w tym uśmiechu Daniłow dostrzegł jakby błysk stali, może nawet z domieszką molibdenu. „Chyba rzeczywiście sprawdził wszystko...” – pomyślał.

– No więc co ze mnie za jeden? – zaryzykował pytanie.

– Jak by to powiedzieć... Coś takiego jak ten... no... Stierlitz czy jak mu tam... Swój człowiek na Ziemi. Tubylec. Niby myślisz tak jak oni i rzępolisz jak oni. Jednym słowem, trudno o lepszą wtyczkę.

Karmadon zamilkł na chwilę, jakby chciał Daniłowa przetrzymać i dopiero potem zaaprobował lub potępić styl jego życia. Zaaprobował jednak, poklepał Daniłowa po ramieniu:

– Dobra robota!

Włączył na wszelki wypadek stojący w kuchni odbiornik radiowy „Aurora” – wszystkie trzy programy naraz – i do tego puścił jeszcze na całą moc wodę z kranu, po czym przysunął się do Daniłowa mówiąc mu do ucha:

– Takich właśnie potrzebujemy! Załatwię ci przeniesienie do naszej Kancelarii Przemian Moralnych. Zobaczysz, że nasz urząd przyjmie cię z otwartymi ramionami, wtedy możesz nie obawiać się tamtych, guzik ci zrobią ze swoją Godziną Zero... Musisz tylko podpisać z nami umowę i przyjąć nasze warunki. Co ty na to?

„Ani odbiornik, ani ten kuchenny kran nie uchronią przed podsłuchem – pomyślał Daniłow. – Warto by jeszcze spuścić wodę w klozecie”.

– Odłóżmy to do jutra – szepnął. – Jutro wszystko omówimy.

– Zgoda – skinął głową Karmadon.

– Halo, gdzie się pan podział? – dobiegło z pokoju.

– Chodźmy do nich – powiedział Karmadon. – Aha, będziesz musiał podpisać wszystkie moje papiery urlopowe. I bardzo cię proszę, pomóż mi załatwić jakieś upominki.

– Och, że też nie pomyśleliśmy o tym wcześniej, jutro sklepy będą zamknięte! – zmartwił się Daniłow i natychmiast sklął samego siebie: „Kapuściana głowa! Znowu te ziemskie kategorie... O jakich sklepach ja mówię, komu są potrzebne do tego sklepy?” Ale Karmadon zdawał się nie zauważyć jego pomyłki.

– A zresztą w tych sklepach same tylko buble – powiedział Daniłow usiłując naprawić błąd. – Coś wymyślimy...

Gotów był teraz dogadzać Karmadonowi na wszelkie sposoby – nie tylko dlatego, że liczył na jego pomoc, ale i tak, po prostu, od serca. Wiedział dobrze, jakie upominki będą miały powodzenie u mieszkańców Dziewięciu Sfer.

– Panie Andrzeju! – basem zawołał z pokoju Ziemski.

– Pan Andrzej to ja – wytłumaczył Karmadon. – Andrzej Iwanowicz Somow z Irkucka. Twój gość. Chodźmy.

– Serwus, Daniłow! – ucieszył się Ziemski na widok gospodarza, ale wyglądało na to, że czuje się trochę zażenowany.

– Cześć, Włodziu! – powiedział hydraulik Kola. Był rówieśnikiem Daniłowa, dlatego zwracał się do niego po imieniu i darzył uśmiechem nawet w chwilach, kiedy bywał trzeźwy: szanował go jako wzorowego lokatora, któremu nigdy jeszcze nie zatkał się klozet i który przed włączeniem ogrzewania sam spuszczał z kaloryferów powietrze i czarną maź.

– Jak się pan czuje? – zwrócił się Daniłow do Ziemskiego.

– Dziękuję, nieźle. Kurowałem się w łaźni miotełką brzożową. Ale o muzyce też nie zapomniałem. Zapoznałem pana Andrzeja ze swoją twórczością, wysłuchał kilku moich nowych utworów... Co pan o nich powie, panie Andrzeju?

– Zabawne – powiedział Karmadon. – Jak się nazywa ten pański kierunek?

– Ciszyzm – powiedział Ziemski. – Ciszyzm.

– Coś jakby z kranów ciekło – przerwał im nagle hydraulik Kola.

– Rzeczywiście – potwierdził Ziemski z tubalnym śmiechem.

– Chwileczkę, zaraz wrócę – powiedział Karmadon.

Poszedł do kuchni i przyniósł trzy oszronione butelki wódki oraz dwie – „Zorzy polarnej”. Oprócz kawałków smażonego ostroboka, pojawiły się na stole kanapki z razowego chleba ze szprotkami, puszka kilek i – ku zdziwieniu Daniłowa – puszka kurylskiej skumbrii w sosie własnym z jego lodówki. „Dziwne – pomyślał – czyżby skończyły się fundusze?...” Chcąc ratować sytuację, poczynił starania, by sprowadzić na stół pieczone kurczęta i baraninę, ale

zrozumiał w porę, że serwując gościom takie przysmaki zachowałby się nietaktownie wobec Karmadona. Wskutek tego zamówione wiktuały powróciły do restauracji miejscowych oraz bałkańskich i tylko lekki aromat baraniej pieczeni unosił się przez chwilę nad zestawem rybnych dań.

Kola rozlał wódkę do kieliszków – i potoczyło się, i poszło.

Daniłow nie miał ochoty na alkohol, ale trzeba było pić. Karmadon, wybrawszy odpowiedni moment w toku hałaśliwej i bezładnej rozmowy, wywołał Daniłowa do przedpokoju, gdzie otworzył szafę ścienną, wyjął stamtąd futrzane czapki z uszami i zapytał, czy nadają się jako upominki.

– Gdzieś to zdobył? – zdziwił się Daniłow.

Sprawa okazała się dość zawiła. Jak wynikało z relacji Karmadona, wyszli z Kola i Ziemiakiem z łaźni i rozmawiając przechodzili przejściem podziemnym, a wówczas jakiś zwariowany wyrostek zerwał Karmadonowi futrzaną czapkę i uciekł. Karmadon chciał dogonić chłopaka, ale Ziemiaki i Kola poradzili mu, żeby nie ścigał złodzieja sam, tylko zgłosił kradzież na milicji. Poszli więc wszyscy razem na komendę, ale Ziemiaki i Kola tuż przed budynkiem komisariatu przypomnieli sobie naraz, że mają pilne sprawy. Kola napomknął coś o zalanym wodą mieszkaniu, Ziemiaki natomiast powiedział, że czeka na niego praca nad oratorium *Ptak Feniks*.

W komendzie Karmadon opowiedział o skradzionej czapce, okazał swoje irkuckie dokumenty, napisał podanie, po czym usiadł nie zamierzając odchodzić. Zapytano go ze zdumieniem: „Po co tu siedzicie, obywatelu?” Odpowiedział, że czeka na swoją czapkę i nie zamierza wychodzić na mróz z gołą głową. Cała komenda zebrała się, żeby na niego popatrzeć; ktoś powiedział, że pewnie jest pijany i 6am zgubił swoją czapkę albo komuś oddał; ktoś inny, grzeczniejszy od poprzednika, poradził Karmadonowi, żeby szedł sobie do domu. „Nie pójdę – oznajmił Karmadon. – Dokąd mam iść?” Rozważył, że po powrocie z urlopu dział gospodarki materiałowej zażąda od niego wyjaśnień w sprawie zniknięcia części ekwipunku, który powstał z fluidów będących własnością urzędu. Rozzłościł się nie na żarty – i za parę minut wszystko w komendzie zostało wprawione w ruch. Poproszono go, by opisał dokładnie, jak wyglądało utracone nakrycie głowy, ale było to sprawą niełatwą: rodzaju futra określić nie potrafił, powiedział tylko, że czapka była taka bardziej kudłata, rozmiaru swojego też nie znał. Pożyczono od kaprała pas i tym pasem zmierzono Karmadonowi obwód głowy. Upłynęło jeszcze czterdzieści minut i Karmadon ujrzał przed sobą aż jedenaście czapek: wśród nich, jak przekonał się teraz naocznie Daniłow, były dwie z futra młodych renów, jedna z piżmaków, model olimpijski, cztery całkiem nowe z królików, dwie z tchórzy, jedna karakułowa i jeszcze jedna – ostatnia – z wielbłądziej wełny. Karmadon powiedział, że nie może stwierdzić dokładnie, która z tych czapek jest jego własnością; wówczas zaproponowano mu, żeby wszystkie zabrał do domu i zwrócił się o pomoc do żony albo do znajomych, a potem, przy okazji, odniósł z powrotem te niepotrzebne. Wahał się chwilę, po czym zabrał wszystkie czapki i teraz zastanawiał się, czy będą dobre jako upominki.

– Naturalnie – powiedział Daniłow – byłyby to piękny prezent, ale miałeś przecież dziesięć czapek zwrócić...

– Nie mam czasu – odparł Karmadon.

– No więc przez ciebie ktoś inny będzie chodził bez czapki: może krewni twoich dobroczyńców albo ktoś jeszcze...

– I co z tego? Ja też zostałem bez czapki! – Karmadon obrzucił Daniłowa zimnym spojrzeniem. – W ogóle mówisz dziwne rzeczy. Co się z tobą dzieje?

„Rzeczywiście, co się ze mną dzieje?” – pomyślał Daniłow.

– Moja rola tego wymaga – powiedział znacząco.

– Ach, prawda, masz rację. Nie martw się, nie zostawiłem żadnych śladów. Nikt nie ma pojęcia, czyim jestem gościem i w czyjej szafie leżą te czapki...

– Świetnie – powiedział Daniłow. – Poszukamy jutro innych upominków.

Przy drzwiach wejściowych zabrzmiał dzwonek. Zjawił się Kudasow. Daniłow go wpuścił, choć był wielce zdumiony nieoczekiwaną wizytą. Kudasow też czuł się nieswojo, mamrotał coś o tym, że Daniłow tyle razy zapraszał go do siebie i jakoś ciągle nie udawało mu się skorzystać z zaproszenia, a że teraz akurat przechodził obok i pomyślał: „Może wpadnę na chwilę”...

– Dobrze pan zrobił – powiedział Daniłow, aczkolwiek gotów był wyrzucić tego Kudasowa na zbity pysk.

„Co go tutaj przyniosło?” – myślał... I nagle zrozumiał wszystko. Od Kudasowa do niego trzeba było jechać jakieś czterdzieści minut, a przecież właśnie czterdzieści minut temu powstały w wyobraźni Daniłowa pieczone kurczęta i jagnię z Półwyspu Bałkańskiego! Aromat wymaglinowanych przysmaków, unoszący się w jego kawalerskim mieszkaniu, Kudasow natychmiast ułowił swym niezawodnym węchem. Daniłow dawno już nie bywał na obiadach u Murawłowów i Kudasow od trzech tygodni bezskutecznie poruszał wąsami usiłując zwęszyć smakowite zapachy domowej kuchni...

Daniłow sam nie miał nic przeciwko temu, żeby zjeść dzisiaj coś dobrego. Szepnął więc do Karmadona:

– Mam jeszcze fundusz reprezentacyjny... Księgowość potem rozliczy...

– No to działaj – powiedział Karmadon.

Daniłow wprowadził Kudasowa do pokoju i przedstawił obecnym:

– Pan Walery Kudasow, lektor, specjalista od zagadnień aktualnych.

Ziemski z niewiadomych przyczyn parsknął, ale hydraulik Kola ucieszył się szczerze na widok nowego gościa.

Daniłow, obserwując drgania nozdrzy i wąsów Kudasowa, współczuł mu serdecznie: człowiek przybył tu, zwabiony aromatem baraniej pieczeni, i teraz miał pełne prawo przypuszczać, że spóźnił się i że wszystko zostało już zjedzone. Daniłow poszedł do kuchni, złożył zamówienie na zestaw bankietowy z dwóch dań, a ponadto, wiedziony próżnością, zamówił ruchomy barowy stolik na kółkach.

– Dziś podejmuje gości pan Andrzej – powiedział do obecnych.

Kudasow przerwał inteligentną wypowiedź i nastroszył wąsy.

Minęło jeszcze kilka minut – i dało się już te wąsy umoczyć, przy czym coś niecoś trafiło też do ust.

– Mam do pana pytanie – powiedział hydraulik Kola odstawiając kieliszek i biorąc kawałek smażonej ryby. – Jak by pan wytłumaczył sprawę błękitnego byka?

– O, właśnie, to ciekawe – poparł Kola Daniłow.

– Cóż – powiedział Kudasow – na razie jasne jest tylko jedno. Ojczyzną błękitnego byka są raczej lasy kostromskie, żadne tam egzotyczne gaje z wyspy Principe.

– No pewnie że tak! – przytaknął Ziemski.

– A może to sprawki kosmitów? – zapytał Kola wprost.

– Jakich znowu kosmitów? – zdziwił się Kudasow patrząc na Kola.

– No bo wszyscy gadają, że to kosmici przytachali ze sobą na Ziemię błękitne byki – wyjaśnił Kola. – Trzy tysiące lat temu. A przed odlotem uśpili bydło i zakonserwowali. No i te dwie sztuki obudziły się akurat ze śpiączki.

– Konserwowaniem bydła zajmują się, o ile mi wiadomo, zakłady mięsne – zauważył rozbawiony Ziemski.

Panu Andrzejowi z Irkucka słowa te nie przypadły do gustu; skrzywił się i powiedział:

– Dajcież panowie spokój z tymi bykami! Wszyscy w Moskwie zdążyli już o nich zapomnieć, a wy ciągle swoje... Teraz rozpoczyna się kongres stomatologów, to lepszy temat.

Miał rację. Byk Waśka został odesłany do Kanady zaledwie dwa dni temu, a zdawać by się mogło, że minęła od tego czasu cała wieczność. Wszystkie rozmowy i dyskusje o błękitnym byku poszły w niepamięć, cóż dopiero mówić o tamtym drugim, zielonym w białe paski, którego nikt w Moskwie nawet nie wspominał. O, wartki nurcie moskiewskiego życia! Wygląda na to, że sieci rybackie są ci w ogóle nie znane!... Rzeczywiście, rozpoczął się kongres stomatologów, o którym mówiono teraz wszędzie. Klaudia wystarała się o zaproszenie i odsiedziała swoje na inauguracji, a teraz zamierzała dostać się na posiedzenie plenarne. Wśród ludzi krążyły pogłoski, że kongres w ostatnim dniu obrad wyda specjalną uchwałę o zlikwidowaniu maszyn do borowania zębów. Teraz zęby będą leczone bez bólu, przy pomocy specjalnych urządzeń na sprężone powietrze i wodę destylowaną. Rewelacje następowały jedna po drugiej, toteż błękitny byk nie miał najmniejszych szans na dłuższe pozostawanie w centrum uwagi.

– Mówili w radio – znowu wtrącił Kola – że ten ichni Burnabito kazał wystawić bykowi pomnik z czystego mosiądzu. Będzie stał na łączce przed jego domem. Taki byk, po zbójcu, co to nogę trzyma na leżącej kobiecie, no, na tej Cynthii czy jak jej tam – niby, znaczy się, zwyciężył...

– Proszę – powiedział Kudasow. – I cóż mają z tym wspólnego kosmici?

– To prawda? – zapytał pan Andrzej z Irkucka. – Naprawdę ma stanąć taki pomnik?

– Tak mówili – odezwał się Kola. – A jeszcze kawał słyszałem o byku...

Kawał był sprośny i urągający godności błękitnego byka, toteż Daniłow, oszczędzając wrażliwą naturę Karmadona, przerwał dowcip toastem na cześć stomatologów, zjeżdżających tłumnie na swój kongres. Dwukrotnie wytaczał z kuchni stół uginający się pod ciężarem coraz to nowych dań i napojów, towarzystwo zaintonowało już nawet śpiewy chóralne. Hydraulik Kola jeszcze w łaźni nauczył pana Andrzeja modnej piosenki *Stokrotki znikły, zwiędły bratki* – i teraz gość z Irkucka nucił ją z wyraźną przyjemnością. Podtrzymał ich Kudasow, na razie nie zmorzony jeszcze snem, a także – co najdziwniejsze – ciszysta Ziemiński. Daniłow też dołączył do rozśpiewanego chóru. Ich śpiew usłyszał mieszkający za ścianą Klemientiew i niezwłocznie wykonał piosenkę o stokrotkach na organach elektrycznych nastawionych na pełny regulator.

– Zwariował czy co? – oburzył się Karmadon. – Taka muzyka nadaje się tylko do głuszenia ryb w rzece! Całą noc spać nie dawał...

I znowu za ścianą coś wybuchło. Organy umilkły.

Uczta toczyła się na całego, gdy zadzwoniła Klaudia.

– Jesteś mi potrzebny – usłyszał Daniłow. – Zaraz do ciebie wpadnę..

– Przepraszam cię, mam gości.

– Baby czy chłopcy?

– Męskie grono.

– Ilu was jest?

– Pięciu.

– Doskonale – orzekła Klaudia. – Zabieram czterech, piąty niepotrzebny.

– Jak to – zabierasz? Dokąd?

– Do przenoszenia ciężarów. Mam nadzieję, że prawdziwi mężczyźni nie odmówią damie pomocy.

– Masz swojego Wojnowa!

– Wojnowa! Wojnow jest stworzony do nauki, ma problem turecki na głowie... No to na razie, czekaj – skończyła odkładając słuchawkę.

Przybyła w pół godziny później, ubrana na sportowo, tak jakby wybierała się na narty. Obrzuciła spojrzeniem obecnych i rekonesans zdawał się ją zadowolić. Usiadła na chwilę dając mężczyznom czas na przygotowanie się do wyjścia.

– Przywiozę was za chwilę z powrotem – powiedziała. – Roboty tam na jakieś piętnaście minut. Dałabym sobie radę sama, ale te skrzynie są okropnie ciężkie...

Ziemski powołał się natychmiast na lumbago i na zwolnienie lekarskie dodając przy tym, że chętnie przypilnuje mieszkania, aż powróci pan domu ze swoimi gośćmi.

– Dobrze – skinęła głową Klaudia. – I tak zabrakłoby miejsca w samochodzie. Zresztą mężczyźni z taką tuszą są całkowicie bezużyteczni.

Ziemski przytaknął...

Klaudia szła energicznie i ani w korytarzu, ani na ulicy nawet się nie obejrzała, pewna swych pomocników, którzy usiłowali dotrzymać jej kroku. Daniłow posłusznie dążył za Klaudią z przyzwyczajenia, hydraulikowi było wszystko jedno, gdzie śpiewać ulubioną piosenkę: „Nie chcę, żebyś wiedział, że to ja, że to ja nawiedzam cię po nocach”, ale każdy z nich mimo woli podziwiał imponującą energię Klaudii, nawet Kudasow, któremu tajemnicze eskapady były bynajmniej nie w smak, ba – nawet sam Karmadon. Klaudia usiadła przy kierownicy profesorskiej wołgi, jechali nie wiadomo dokąd w pewnym napięciu, lecz nadal z tymże poczuciem gotowości spełnienia wszystkich poleceń zdecydowanej kobiety. Poleceń albo rozkazów. Było ciemno i Daniłow nie rozumiał, gdzie się znaleźli. Wyszli z samochodu na terenie stacji towarowej przy którymś z dworców (chyba Jarosławskim). Klaudia odsunęła rozchwiane deski ogrodzenia, wpuściła przez otwór najpierw hydraulika Kołę, potem Karmadona i Daniłowa, a następnie przeszła sama pozostawiając Kudasowa na straży przed dziurą w płocie. Długo prowadziła ich przez zasy, niczym grupę dywersantów; brnęli wzdłuż torów, wchodzili pod wagony towarowe, aż wreszcie Klaudia przyprowadziła swój oddział pod ceglany mur, gdzie stały sklecone z desek i przysypane śniegiem skrzynie.

– Bierzemy dwie! – wydała dyspozycję. – Daniłow, ten facet pójdzie z tobą, a ten drugi ze mną.

„Facetem”, który miał iść z Daniłowem, był hydraulik Kola; Karmadona upatrzyła sobie Klaudia. Skrzynie okazały się ciężkie, co najmniej po siedemdziesiąt kilo każda. Denerwując się i sapiąc wtaszczyli do dziury w płocie odrywając przy tym jeszcze jedną deskę. Przy samochodzie, w świetle latami, Daniłow odczytał na skrzyniach napis: „Wyprawa Kameczacka. Wulkan Szywełucz”. Gdzieś w oddali, za wagonami, dziarsko gwizdnął na alarm nocny stróż. Jedną ze skrzyń wpakowali do bagażnika, drugą na tylne siedzenie, sami wskoczyli do samochodu i, jakby czując za piórami pogoń, pomknęli ulicą, ciemną mimo pojedynczych latami. Kola rozgrzał się w samochodzie i, choć przygniótł go całym swym ciężarem Kudasow, znowu zaczął śpiewać: „Czapki z głowy! W lesie śwista kos, rozśpiewany Rosji wybraniec!...”

Samochód zajechał nie pod dom Wojnowa, tylko pod blok, w którym mieszkała Klaudia – dawniej z Daniłowem, teraz sama. Klaudię ze skrzyniami załadowano do windy, reszta poszła na górę schodami. Kudasow trząśł się z przejęcia, wąsy mu drżały, ale Klaudia uspokoiła biednego lektora zapewniając, że nikt nie poda go do sądu, ponieważ o tych skrzyniach wszyscy dawno zapomnieli, a zatem są niczyje. Na wszelki wypadek dodała jednak, że o dzisiejszej wyprawie lepiej nikomu nie opowiadać.

Tak jak obiecała, odwiozła całe towarzystwo z powrotem do Daniłowa i posiedziała z nimi jeszcze pół godziny. Była do pewnego stopnia ozdobą ich męskiego grona, ale cały poprzedni nastrój zniknął bezpowrotnie. Kudasow, rzuciwszy spojrzenie na puste talerze, stwierdził, że powinien wracać już do swoich skryptów. Widać było, że nie zatrzymają go dłużej nawet gorące dania: w sercu miał zamęt. Ziemski w obecności Klaudii spokorniał, choć lubił świntuszyć i popisywać się dowcipami. Hydraulik Kola śpiewał bez końca swoje piosenki. Jeden tylko Karmadon, ku zdumieniu Daniłowa, okazał damie zainteresowanie. Jakiś znajomy dawny ogień zapłonął w jego oczach.

Daniłowa zaniepokoiło już samo pojawienie się Klaudii w ich towarzystwie: rozumiał, że po przykrych przejściach z Cynthią i krowami Burnabita Karmadon może czuć obrzydzenie

do całej płci pięknej. Spodziewał się po swoim gościu przejawów zemsty lub impertynencji, tymczasem Karmadon wszystkie polecenia Klaudii spełniał bezszmerowo: i do samochodu wszedł pierwszy, i pod wagon włąził, i skrzynie dźwigał. Teraz, przy stole, patrząc na nią rozmarzonym wzrokiem, bawił się breloczkiem przyozdobionym figurką małpy. A więc taki to wszystko przybrało obrót! „Cóż – pomyślał Daniłow – ja też nie jestem lepszy, też jak ostatni dureń biegłem za Klaudią i tachałem te przekłete skrzynie... Opętała nas zwariowana baba! Zwariowana i do tego głupia, bezdennie głupia! Nie rozumiem, jak mógł ożenić się z nią ktoś taki jak profesor Wojnow, poważny człowiek, naukowiec!” Przypomniawszy sobie zresztą za chwilę, że sam był kiedyś mężem Klaudii.

Klaudia wypła kawe, podziękowała za pomoc i gościnność; wypadałoby może, gwoli uprzejmości, poprosić ją, by została dłużej, ale Daniłow tego robić nie zamierzał. Karmadon powiedział szarmancko, że odprowadzi damę; była wyraźnie zadowolona, odpowiadała na żarciki swojego kawalera szczerym śmiechem. W drzwiach Karmadon mrugnął znacząco do Daniłowa. „Idź sobie z nią, idź...” – pomyślał Daniłow.

Na umizgi Karmadona do Klaudii postanowił nie zwracać uwagi: ich sprawa. Jednego tylko nie spodziewał się po urlopowiczu – tego znaczącego mrugania, tej wyraźnej bezczelności w spojrzeniu. Karmadon pochodził z dobrego domu, z szanującej tradycje rodziny i w żaden sposób nie pasowały do niego maniere prowincjonalnego lowelasa. Pomyślał na usprawiedliwienie kolegi, że pewnie chce za wszelką cenę pozbyć się kompleksów, w jakie wpędziła go Cynthia, i przywrócić sobie wiarę we własne siły, choć obawia się w skrytości ducha czegoś jeszcze gorszego. Nic dobrego nie wróżą takie wahania – wątpliwe, by powiodło mu się z Klaudią...

Hydraulik Kola siedząc na kanapie zażądał, by Daniłow przygrywał mu do śpiewu na skrzypcach. Ziemski, przypomniawszy sobie o swym lumbago, jęknął i zaczął popychać Kole w stronę wyjścia, mimo że na stole pozostały jeszcze nie opróżnione butelki. Dziwnie zażenowany, powiedział gospodarzowi na pożegnanie, że niezły z niego figlarz: zaledwie kilka dni minęło, a już zdążył sobie przygruchać inną kobietę, i też ładną. „Ładną?” – zdziwił się Daniłow. „Oczywiście, bardzo efektowna dama” – pokiwał głową Ziemski.

Daniłow przypomniał sobie, jakim zachwyconym, pełnym uwielbienia wzrokiem patrzyli jego goście na Klaudię. „Czyżby naprawdę robiła aż takie wrażenie?” – zdumiał się ponownie. Dawno już przestał dostrzegać w Klaudii kobietę, ale teraz powstał w jego pamięci jej dawny obraz; spozjrzał na nią jakby z boku i pomyślał, że istotnie buzię i figurkę ma niebrzydka, można więc zrozumieć Karmadona.

Przestał martwić się o ewentualne krzywdy, jakie mógł wyrządzić jej ten urlopowicz – zresztą to jeszcze pytanie, o kogo należałoby się martwić... Ciągłe odczuwał niepokój po tej przygodzie ze skrzyniami. Zastanawiał się, czy nie wzięli przypadkiem udziału w aferze kryminalnej. Może jednak Klaudia miała rację, że po prostu dali nauczkę ekipie Wyprawy Kamczackiej, która tak beztrąsko pozostawiła pod gołym niebem próbki z wulkanu Szywełucz... Myślał tak, myślał – iw rezultacie, na oczach stróża czuwającego z gwizdkiem na mrozie, pod ceglany murem stacji towarowej wyrosły jak spod ziemi zaginione skrzynie, przysypane tak jak przedtem puszystym śniegiem. Stróż pokiwał głową i natychmiast pogrążył się w błogiej drzemce, nie wypuszczając z ust pełnego śliny gwizdka. Mimo wszystko Daniłow nieco przeholował w swej gorliwości dla dobra nauki: nie miał teraz pojęcia, które z tych skrzyń stworzył sam, a które są autentyczną własnością Wyprawy Kamczackiej. Wynik zatem mógł być dwojaki – albo nauka odzyskała utraconą własność, albo próbki mające prawdziwą wartość naukową pozostały u Klaudii. „Pał licho, to się okaże” – machnął ręką.

Karmadon powrócił o północy. Nie miał ani humoru, ani apetytu. Rozebrał się bez słowa i położył na kanapie, twarzą do ściany.

Upparty Klemientiew zdążył już naprawić swoje organy elektryczne, które nagle ryknęły za ścianą tak potężnie, jak potrafi zagrznieć tylko orkiestra w pełnym składzie. Karmadon zgrzytnął zębami i organy Klemientiewa rozsypały się w drobny mak.

„Czeka nas trudny dzień” – pomyślał Daniłow...

Karmadon wstał przy dźwiękach płynącej z radia muzyki porannej i przez czterdzieści minut wykonywał ćwiczenia z hantlami. Daniłow odmówił sobie przyjemności dłuższego wygrzewania się w łóżku, choć miał na to wielką ochotę. Ledwo zdążył wyjść z łazienki, Karmadon powiedział, że warto zająć się jego delegacją i sprawozdaniem z przebiegu urlopu.

– Ustalimy też od razu listę upominków – dodał – żeby później nie zapomnieć.

– O której chcesz wyruszyć?

- Punktualnie o północy.
- Nim zapieją pierwsze kury?
- No właśnie – skinął głową Karmadon.

Mówił oschle, niczym jaśnie pan do skryby, a oczy miał zimne, z metalowym błyskiem. W kłapie jego zamszowej marynarki, jak duży okrągły czekoladowy medal, widniał znaczek z wizerunkiem błękitnego byka i dewizą: „Nec plus ultra”.

Pili kawę i Daniłow, który nie zdążył jeszcze oswoić się z nowym obliczem Karmadona, zapytał, czy zagoiły się już rany zadane mu przez nadmierną wiedzę. Karmadon odparł lodowatym tonem, że rozmowa na ten temat jest teraz nie na czasie. Dodał, że w ogóle muszą obaj zapomnieć zarówno o wydarzeniach dwóch ostatnich tygodni, jak i o dyskusjach, w których brał on udział wbrew sobie, powodowany chwilową niedyspozycją.

- Dobrze – odpowiedział Daniłow z powagą.

Wówczas Karmadon powiedział – widocznie po to, by rozwiać wszelkie wątpliwości rozmówcy – że wakacje ocenia jako udane i stwierdza, iż przybyło mu sił. Dokonały się w nim bowiem istotne przemiany, dojrzał do czynów znacznie bardziej doniosłych niż zabawy z cywilizacją Glirów.

- Tak jest, czuję wyraźny przypływ sił – powtórzył.

Wyglądało na to, że skończył już z wylewnością. Daniłow znowu poczuł się jak lokaj podający drogie futro przyjezdnemu wielmoży. Nie był nawet pewien, czy tamta rozmowa z Karmadonem o Godzinie Zero w ogóle miała miejsce. Mimo woli przemknęła myśl: niewykluczone, że Karmadon wcale nie przybył tu na wypoczynek, że został oddelegowany na Ziemię do przeprowadzenia inspekcji w jego sprawie. Ta myśl w pierwszej chwili przyprawiła go o dreszcz grozy, ale już za moment usposobiła wojowniczo.

Usiadł przy biurku i zabrał się do podpisywania dokumentów urlopowych Karmadona. Wówczas dopiero gość złagodniał: poprosił Daniłowa tonem niemal przymilnym, by odnotował wszystko zgodnie z prawdą, zaś w sprawozdaniu z przebiegu jego urlopu postarał się zachować obiektywność.

- Postaram się – odparł Daniłow.

Jak wynikało z podsumowania, pobyt Karmadona na wyspach Saint Thomas i Principe, a potem w powiecie pankratiewskim, był o pięć dni dłuższy, niż przewidywał okres jego urlopu; Daniłow pominął więc dokładne daty w rubrykach „przyjazd” i „odjazd”. Błękitny byk w jego sprawozdaniu scharakteryzowany został jako stworzenie nad wyraz szlachetne, godne w każdym razie reputacji Karmadona. Złożył pod sprawozdaniem własnoręczny podpis fioletowym atramentem przy pomocy szkolnego pióra z lat czterdziestych – było to cienkie pióro w drewnianej obsadce ze stalówką „rondo” (księgowość nie akceptowała długopisów i niebieskiego atramentu). W miejscach, gdzie miała figurować pieczętka, przyłożył rozgrzaną nad kuchenką płytkę bransolety z literą „N”. Na blankietach delegacji, w rubrykach „środku lokomocji”, podkreślił odpowiedni rodzaj paliwa i sposób przyśpieszenia. Teraz dokumenty Karmadona były w porządku. Karmadon zawinął je w żaroodporną chustkę i przypiął do spodni agrafką: niedbale wypełnione lub utracone dokumenty sprawozdawcze stały się w gronie ich wspólnych znajomych przyczyną złamania niejednej kariery.

– A jak się namyślisz i postanowisz przenieść się do nas – powiedział Karmadon – będziesz musiał złożyć inny podpis, już nie atramentem...

- Wiem – skinął głową Daniłow rzucając mu szybkie spojrzenie.

- Miałeś powiedzieć mi dziś, na co się decydujesz.

– Dobrze – odparł Daniłow – ale skończmy najpierw z twoimi sprawami, potem możemy przejść do moich.

„Z tego wynika, że o rozmowie nie zapomniał, a więc inspektorem nie jest, chyba rzeczywiście chciał tylko spędzić tu wczasy – wykoncypował, usposobiony nieco łagodniej. – Ostatecznie nie jest taki najgorszy, a że spoważniał i sposepniał, to dlatego, że nie wie mu

się z kobietami...” Czuł, że ze swoją sprawą powinien poczekać do wieczora – kto wie, jakie zostaną mu zaproponowane warunki, po cóż więc martwić się na zapas?

– Teraz lista upominków – powiedział.

– Tak, prawda...

Listę sporządzili szybko. Daniłow przyrzekł, że o wybrane pozycje rejestru zatroszczy się osobiście i wszystko to odeśle w ślad za Karmadonem lub równoległym kursem. Listę otwierało dziewięć czapek futrzanych oraz jedna – z wielbłądziej wełny. Gość poprosił również o osiem skrzynek wody mineralnej z osetyjskiego uzdrowiska Karmadon – dla starców. Następnie do rejestru włączono wyprodukowaną w Ludinowie lokomotywę. Daniłow zamierzał wyjaśnić, po co ta lokomotywa, ale Karmadon zmieszał się i spiekł raka.

– Dobra – powiedział Daniłow.

Dalej szły filmy, w tym kilka z udziałem Cynthii Qiucombe. Karmadon wyraził chęć zabrania ze sobą zreperowanej włóczni wędrownego rycerza Resnicowieza. Wpisano też na listę pięć ton gumy do żucia. Daniłow zrobił w myślach przymiarę, z jakich krajów można sprowadzić gumę, po czym postanowił, że koniecznie kilka paczek gumy zaoszczędzi, by poczęstować Miszę Murawłowa i inne dzieci. Oprócz tego Karmadon nalegał, by potraktowany został jako upominek i odesłany tamże sprawozdawca konkursu jazdy figurowej na lodzie, którego to dziennikarza upodobał sobie szczególnie. Daniłow jednak wyraził przypuszczenie, że sprawozdawca uczepli się kurczowo swojego mikrofonu i nigdzie nie zechce lecieć. Karmadon wydał się być zmartwiony, w związku z czym Daniłow namówił go, żeby zastąpił sprawozdawcę wujkiem Narikiem, który w łaźni podawał Karmadonowi prześcieradło, ale na szczęście przypomniał sobie w porę, że Narik jest wyznawcą islamu, zatem sprawa byłaby do załatwienia, gdyby przynajmniej któryś z nich – on czy Karmadon – był dżinem. W końcu, jako rekompensatę za sprawozdawcę sportowego, wpisano na listę komętę. Kohoutka oraz niebieskie lizaki „byczki na patyczku”. Karmadon poprosił o „jakieś upominki dla dam i wówczas Daniłow pokazał swoje zdolności. Miłe. sercu kobiet działały paryskich magazynów mody: „Samaritaine”, „Monoprix” i „Prix Unique” miały wkrótce opustoszeć lub spłonąć. „Wypadałoby wysłać też coś niecoś od siebie dla znajomych pań, przede wszystkim dla Himeko i Anastazji. Ach, ta Anastazja... – westchnął. – Nie przyjmie przecież ode mnie żadnego prezentu”. Do spisu upominków włączono, ponadto powielony stenogram odczytu Kudasowa wraz z odpowiedziami na pytania audytorium, lombardzki hotel potentata finansowego Richarda (bezpośredni powód deportacji byka Waśki), zabawny pomnik Gogola z moskiewskiego bulwaru, kapustę morską w puszkach, organy elektryczne, akwedukt z Rostokina, a do tego długą kolejkę sprzed stoiska z dywanami w domu towarowym na Zamoskworzeczu oraz erupcję wulkanu Tiatia. Lista zawierała jeszcze piętnaście pozycji.

– Na razie wystarczy – powiedział Daniłow – potem może jeszcze coś. sobie przypomnimy.

– Chyba wystarczy – zgodził się Karmadon.

Wówczas Daniłow poczuł, że akweduktu mu żal. Lepiej będzie, pomyślał, jeśli budowla pozostanie na swoim miejscu – jest potrzebna miastu i, jakkolwiek by rozważać, stoi sobie spokojnie już od dwustu lat. W zamian proponował wysłanie do Dziewięciu Sfer otwartego basenu kąpielowego „Moskwa”, z którego winy gniją obrazy w muzeach i książki w bibliotekach, ale w końcu basenu też pożalował.

Na twarzy Karmadona malował się wyraz zadowolenia: widać było, że sporządzanie listy upominków sprawia mu wyraźną przyjemność. Daniłow znowu uświadomił sobie, że chce dogodzić Karmadonowi za wszelką cenę i że w swej gorliwości nie jest całkiem bezinteresowny. „E, co tam – pomyślał – ostatni dzień, potem znowu będę wolny...” Przyszło mu nawet na myśl, że mógłby wpisać teraz na listę altówkę Albaniego – wpisać, a potem niby

to zapomnieć o jej odesłaniu... Natychmiast jednak zarzucił sobie kanciarstwo, powiedział: „Nigdy w życiu!” – i nawet palcem pogroził.

Tymczasem Karmadon znowu zrobił wyniosłą, pełną powagi minę, jak przystało na demona siódmej rangi. Widocznie zawładnęły nim wzniosłe myśli.

– Mamy przed sobą cały dzień – powiedział Daniłow. – Co będziemy robić?

– Spędzimy ten ostatni dzień na swawolach – oznajmił Karmadon.

Słowa te wypowiedziane zostały głosem zimnym i twardym, tak jakby pod pojęciem swawoli Karmadon rozumiał bynajmniej nie tańce perskich niewolnic i nie tłuczenie luster, lecz zażywanie leków i studiowanie materiałów źródłowych. Zresztą może chciał tylko podkreślić, że to on jest dziś panem sytuacji i nie potrzebuje żadnych pilotów czy nianiek. Daniłow znowu odczuł dzielący ich dystans i zdał sobie sprawę z własnej naiwności. „A, niech sobie używa – pomyślał – wszystko jedno czy sam, czy z kimkolwiek... Choćby nawet z Klaudią...” Nie miał najmniejszej ochoty na żadne hulanki, tym bardziej nie uśmiechała mu się perspektywa uczestniczenia w libacjach po to tylko, żeby odprowadzać potem podpiitych kompanów do domu. Ale cóż mógł na to poradzić?

– Zaraz przyjdą tu Ziemski i hydraulik – powiedział Karmadon – wtedy wyruszymy.

– Dokąd to znowu? – zapytał Daniłow.

– Na Dworzec Pawielecki.

Pierwszy zjawił się jednak nie Ziemski i nie Kola, tylko Kudasow. Daniłow zakładał, że teraz Kudasow długo będzie omijał jego dom, tymczasem lektor energicznie poruszał wąsami: widać było, że zwabiły go wielkie, choć na razie mgliste, nadzieje wypływające z dzisiejszych planów Karmadona. „W jaki sposób to wyczuł?” – dziwił się Daniłow. Kudasow, wylękniony, nerwowy, czujności nie tracił i choć wzbraniał się przed odwiedzaniem tego domu, jakaś przemożna siła porwała go i przyniosła tu mimo woli. „Może Karmadon ściągnął go umyślnie, żeby zabawić się jego kosztem?” – pomyślał Daniłow widząc, jakim przenikliwym wzrokiem patrzy tamten na Kudasowa.

Około południa przyszli Ziemski i Kola. Okazało się, że taka była umowa – wprawdzie Kola o niej zapomniał, ale pamiętał Ziemski.

W restauracji na Dworcu Pawieleckim czekał na nich zarezerwowany stolik. Dyrygował Karmadon: było to przecież pożegnalne przyjęcie na jego cześć. Pito więc za Irkuck i za syberyjskie przestrzenie, aczkolwiek na tym akurat dworcu należało pić raczej za inne miasta – powiedzmy, za Tambow czy Saratow. Goście wcześniej niż poprzednim razem, bo po pierwszych kilku kieliszkach, mieli już porządnie w czubie – czy to pamięć o wczorajszej uczcie miała na to wpływ, czy może sama aura na Dworcu Pawieleckim, nie wiadomo. Daniłow w ogóle nie miał ochoty na alkohol, zwłaszcza teraz, kiedy w spojrzeniu Karmadona dostrzegał jakiś niemiły chłód. Postanowił, że będzie się pilnował, ale Karmadon władcym tonem szepnął mu do ucha:

– Daniłow, graj uczciwie! Nie udawaj świętoszka! Obrażę się na ciebie, bo robisz taką minę, jakbyś mi nie ufał.

Daniłow rzeczywiście nie ufał mu teraz, nie chciał jednak denerwować swojego gościa. Przeciwnie – wolał, żeby Karmadon był z niego zadowolony. „Niech będzie – pomyślał – dogodzę mu w tym ostatnim dniu, spełnię wszystkie jego życzenia, co mi szkodzi... I przystanę na ich warunki... W końcu dla mnie bez różnicy, jakiej kancelarii będę podlegał”. Trzymał się zawsze jednej zasady: być sobą w sprawach istotnych, a jeśli idzie o drobiazgi, można pójść na ustępstwa – drobiazgow jest więcej, są bardziej widoczne i dlatego robią wrażenie znaczących, tymczasem to, co naprawdę ma znaczenie, jest tylko jedno, głęboko ukryte. Niech myślą zatem, że jest uległy – nic mu to nie szkodzi, jaki był dotąd, taki zostanie.

Potem ucztowano w restauracji Dworca Ryskiego, następnie – Kurskiego. Kiedy i jak zasmakował Karmadon w kuchni kolejowej, Daniłow nie miał pojęcia, pytać zaś nie

wypadało, zwłaszcza teraz. Restauracja na Dworcu Ryskim okazała się znośna, na Kurskim zaś – skandaliczna, jedyną jej zaletą były czyste serwetki. Później, nie wiadomo dlaczego, jedli coś na stojąco w żółtym bufecie na stacji Butowo, gdzie nieśmiertelne bufetowe dania – przeważnie jajka na twardo i kanapki z razowego chleba ze śledziem – podawano na talerzykach z folii aluminiowej. Popijali te przysmaki „Zorzą polarną” i popularnym napojem wysokowym za trzy ruble sześćdziesiąt dwie kopiejki. Butelki Karmadon wyciągał spod stolika – wydawało się, że miał je schowane w nogawkach spodni. Miejscowi amatorzy mocnych trunków pytali z zaciekawieniem, skąd tu nagle wódka w niedzielę; Daniłow objaśniał, że ze stacji Katuar Kolei Sawiołowskiej, tam dziś jest sprzedaż. Amatorzy natychmiast podążyli we wskazanym kierunku, a wówczas Daniłow stwierdził ze zdumieniem, że całe ich towarzystwo jedzące teraz szprotki znajduje się już nie w Butowie, tylko w bufecie stacji Lwowska. „Jeszcze trochę, a trafimy do Tuły na pierniki” – pomyślał i rzeczywiście, tulskie pierniki nie kazały na siebie czekać.

W spojrzeniu Karmadona, w grymasie jego ust, kiedy popadał w zadumę i przestawał jeść, było coś zbójckiego, była też wyniosłość i ukryta pogarda. Daniłow rozumiał, że trzeba przygotować się na nowe niespodzianki, tym razem dobrze przemyślane i nie mające nic wspólnego z dotychczasową brawurą. Oby tylko nie przyniosły komuś zguby! Ale Karmadon zajadał kolejowe frykasy i pił „Zorzę polarną” z takim smakiem i taką przyjemnością, że nawet Kudasow, wybredny smakosz, patrząc na pana Andrzeja połykał jedno za drugim jajka na twardo.

Daniłow popijał od niechcienia, a jednak widział, jakim spojrzeniem obrzuca dziś Karmadon kobiety. Było to spojrzenie głodne, spragnione; czasami, gdy nad pianą z piwa przepływał imponujący biust bufetowej, oczy Karmadona świadczyły wymownie, że w jego krwi „buszuje płomień żądz”. Pożerał wzrokiem każdą napotkaną kobietę, przede wszystkim zaś kelnerki i barmanki. Widocznie pragnął dziś zwycięstwa i upojenia. Nawet Ziemski, bujający w obłokach i jakiś nietutejszy, też zwrócił na to uwagę.

– Panie Andrzeju – pchnął Karmadon w bok na stacji podmiejskiej Szarapowa Ochota – niechże pan korzysta z okazji! Ta mała też łypie na pana okiem! Proszę, połóżyla panu na talerzyku dodatkowy kawałek sera! Śmiało, do szturmu!

– Nie – odparł cicho Karmadon. – Owszem, jest niebrzydka, ale wyboru już dokonałem. Mam swoją damę serca, więc albo ona, albo żadna. Ale odkładam to na potem.

Od tego momentu przestał pożerać kobiety wzrokiem i Daniłow zrozumiał, że to, co Karmadon powiedział przed chwilą Ziemskiemu, zostało powiedziane serio. „A zresztą może lepiej by było, gdyby zaczął od bufetowej, tak sobie, dla rozgrzewki? – pomyślał i od razu poczuł niepokój. – Ciekawe, co to za dama serca? Czyżby Klaudia? Cóż, Klaudia umie kochać” – stwierdził z nieoczekiwaną tkliwością wspominając byłą żonę.

Niepokój wzrastał, ale przyczyną nie była Klaudia. Tymczasem sprawy przybrały taki obrót i taki powstał mętlik, że na rozważania o kobietach nie pozostało czasu. Może tak właśnie miała wyglądać finałowa scena szaleństwa: wszyscy znowu pili, śpiewali, jechali nie wiadomo dokąd albo zatrzymywali się w jakimś zupełnie nieoczekiwanym miejscu... Jechali przeważnie w wagonach restauracyjnych, zatrzymywali się natomiast w tychże bufetach kolejowych, gdzie stali przy plastikowych ladach lub po prostu pod ścianą. „Zaraz ja się też upiję albo udam pijanego – postanowił Daniłow. – Będzie mi to na rękę: jeśli przystanę dziś na ich warunki albo podpiszę umowę, zawsze mogę potem mieć argument, że złożyłem podpis w stanie nietrzeźwym. Nawet świadków mogę mieć!” Ziemski i hydraulik Kola byli już w stadium błęgiego zawieszenia, ale trzymali się na nogach, poruszali dość sprawnie, czasami brali udział w rozmowach i, ma się rozumieć, otwierali usta wtedy, kiedy było to konieczne. Kudasow nadal stoszył wąsy i był najwyraźniej czymś zdziwiony – nawiedzały go od czasu do czasu jakieś mgliste, niepojęte idee. Jadłospis wszędzie był ten sam: nieśmiertelne kanapki z razowego chleba ze szprotkami, dzwonki śledzia z jajkami na twardo,

boczek pokryty siatką czarnych i rudych kropek, gotowane kurczaki składające się z samych kości, jakich trudno nawet spodziewać się w drobiu, pierniki twarde jak kamienie bruku, żółty ser, choć z dziurkami, ale złożony, rzekłbyś, z samej skóry i paszteciki nadziewane resztkami mielonych kotletów. W wagonach restauracyjnych było przyjemniej; siedziało się wygodnie, gdzie się jechało – czy to w jedną stronę, czy w drugą, oprócz sera i śledzi podawano tam barszcz w metalowych miseczkach i smażoną rybę z kaszą gryczaną, a czasami nawet zielony groszek. Przy tym pan Andrzej z Irkucka tak rzucał się na jedzenie i pałaszował dania z taką łapczywością, że całemu towarzystwu udzielał się jego apetyt, tak jakby każdy z nich spędził dzieciństwo na kolei, w budce dróżnika. Słowem, była to szczytowa faza *dolce vita*. Pewien wagon restauracyjny z uwagi na ich zapotrzebowania wstrzymał obsługę wszystkich innych klientów, choć prowiantu miał w zapasie tyle, że powinno było wystarczyć aż do stacji Mineralne Wody. Za chwilę znaleźli się w ekspresie „Samara” – i tam wagon restauracyjny też został wkrótce spustoszony. Zamknięto również dwie „mordownie” na stacjach Kolei Kazańskiej. Zdumiony Daniłow myślał: „Skąd nagle u mnie takie możliwości? Karmadona rozumiem: szaleje, bo zerwał się wreszcie z więzi, ale my?...” Pokiwał z powątpiewaniem głową, a mimo to zjadł następne jajko na twardo. Kudasow połknął dwa. Obok bufetu, w którym zasiadali, przetoczył się załadowany tucznikami pociąg towarowy obsługujący Podolskie Zakłady Mięsne. „Zaraz zniknie im jeden wagon!” – pomyślał Daniłow. Trafił w dziesiątkę, ponieważ w bufecie pojawiło się natychmiast mnóstwo talerzy z boczkiem w czarne i rdzawe kropki, pochodzącym najwyraźniej z mijającego stację pociągu.

„I to ma być apogeum Karmadonowych szaleństw? – zastanawiał się Daniłow. – A może apogeum dopiero nastąpi? Ciekawe, co on jeszcze wymyśli”. Że Karmadon coś wymyśli, był pewien, ale teraz rozważał o tym spokojnie, bez jakichkolwiek złych przeczuć, po prostu – leniwie i dobrodusznie, jakby próbując odgadnąć, w którym momencie Karmadon z czymś wyskoczy.

– Chciałbym tu mieszkać! – oświadczył niespodziewanie Karmadon.

– To znaczy gdzie?

– Tutaj – obrzucił spojrzeniem ściany bufetu – na Ziemi. Być choćby kimś takim jak hydraulik Kola...

Siedzący nie opodal Kola drgnął i zanucił: „Sokiem brzozowym, sokiem brzozowym...”

– Jak to mam rozumieć? – zdziwił się Daniłow.

– A tak – odparł Karmadon wzdychając.

Zniknęła cała jego poza, był smutny. Smutek wydawał się być całkiem inny niż cztery dni temu, kiedy to żegnał się ze swoim poprzednim wcieleniem – postacią błękitnego byka. Wówczas przygnębiało go poczucie własnej słabości, dziś natomiast powrócił do formy, a mimo to o mało nie płakał.

Daniłow spojrzał na niego roztkliwionym wzrokiem; żał mu było kolegi.

– Daj spokój! – powiedział. – Wszystkiemu jest winna ta Cynthia... Albo Klaudia... To przejdzie.

Pocieszenie, choć może nie całkiem głupie, zabrzmiało jednak banalnie, ale nic mądrzejszego Daniłow nie mógł wymyślić: był pijany.

Karmadon opamiętał się widocznie – i po chwili całe towarzystwo jadące teraz bakijskim pociągiem ujrzało przed sobą most na Oce. Zamiast śledzia i jajek pojawił się na stole tawa-kebab⁶ skwitowany przez Karmadona złośliwą uwagą. Daniłow wypił coś pod nowe danie i całkiem oklapł. Zaprzagnął nagle świeżego powietrza; wydawało mu się, że jest metalowym krążkiem – jubileuszową monetą czy medalem pamiątkowym – i że obraca się nieustannie wokół własnej osi na gładkiej powierzchni stolika. Kręciło nim, kręciło, miał nadzieję, że ten ruch obrotowy wnet ustanie i że on – czyli krążek – zatrzyma się wreszcie, ale wirował nadal.

6 tawa-kebab - mięsne danie, specjalność kuchni azerbejdżańskiej (przyp. tłumaczki)

Wprawdzie byli już teraz nie w pociągu jadącym do Baku, tylko na dworcu stacji kolejowej Morszańsk II, ale niczego to nie zmieniało. Potem stacja zniknęła, utonęła w zaspach, a wokół krążyły tambowskie wilki czy tambowskie szynki – i oto już inny pociąg, miński, otworzył swe przytulne podwoje przed panem Andrzejem z Irkucka i jego kompaniami. „Jaki znowu Mińsk, po co nam Miński – mamrotał protestująco Daniłow. – Och, żeby skończyła się wreszcie ta karuzela, przecież musi się skończyć...”

Metalowy krążek uderzał już brzegiem o blat stolika...

Nagle cisza jak wata zatkała uszy. Oczopląs ustał; Daniłow znalazł się gdzieś w lesie albo w parku. Zrozumiał, że stoi na nartach; w oddali, pod drzewami, rysowały się sylwetki innych narciarzy. Obok pojawił się Karmadon, również na nartach.

– Koniec – powiedział. – Uczta skończona. Mam dość, i to na długo. A ty?

– Ja też – burknął Daniłow.

Głowę miał ciężką, ale z nartami jakoś sobie radził.

– Nadeszła pora spotkania – powiedział Karmadon. – Zaraz ją zobaczymy...

– To ja chyba pójdę – odezwał się Daniłow. – Nie chcę przeszkadzać.

– Zaczekaj – poprosił Karmadon.

„Co się z nim dzieje? – pomyślał Daniłow. – Jest jakiś onieśmielony... Mówi, że ma dość, a jednak...” Zorientował się teraz, że są w Sokolnikach. Tej zimy po raz pierwszy stanął na nartach i trzymał się ścieżki niepewnie, zwłaszcza że ścieżka była brzydka, oblodzona, w nocy przysypał ją trochę śnieg, ale niewiele to pomogło: narty ślizgały się jak w lodowych koleinach.

– Zaraz przyjdzie... – szepnął Karmadon.

Daniłow wyczuł nutę przejęcia w jego głosie. Tymczasem Karmadon skrzywił nieoczekiwanie w lewo i poszedł przez pokryte firnem pole, wyraźnie grając na zwłokę.

– Umówiłeś się z nią? – zapytał Daniłow.

– Nie. Ale to nieistotne... Nawiasem mówiąc, to twoja znajoma. Nie gniewaj się na mnie...

– Niby dlaczego miałbym się gniewać? – wybąkał Daniłow.

– Widziałem ją ostatnio wieczorami to pod teatrem, to w pobliżu twojego domu. Może szukała okazji, żeby zobaczyć się z tobą?

– Proszę?... – podniósł głowę Daniłow.

– Patrz, już przyszła – powiedział Karmadon pokazując kijkiem. – Widzisz ją? Stoi tam, na górcie.

Na górcie stała Natasza.

– Może mnie przedstawiś – powiedział Karmadon i w jego tonie zabrzmiał rozkaz.

Daniłow, choć rzadko czuł się zbity z tropu, był wyraźnie zaskoczony. Nie miał jednak zamiaru denerwować Karmadona. Niezgrabnie zbliżył się do Nataszy, powiedział kilka żartobliwych, niezbyt mądrych słów i – co najdziwniejsze – Natasza odpowiedziała mu beztróskim uśmiechem, tak jakby nie zaszło między nimi żadne nieporozumienie. Za chwilę zbliżył się pan Andrzej Somow z Irkucka, został przedstawiony Nataszy – i Natasza przywitała go takim samym uśmiechem.

Pan Andrzej wyraził wątpliwość, czy dziewczyna tak subtelna potrafi zjechać z tej niebezpiecznej góry. Natasza natychmiast zjechała w dół, zrobiła to efektownie, ze znajomością rzeczy, a ponadto pozwoliła sobie na wykonanie kilku ostrych skrętów jak przy zjazdach wysokogórskich. Elastyczny kombinezon opinał jej sylwetkę i widać było, że dziewczyna jest nie tylko zgrabna, ale silna i wysportowana. „Czy naprawdę szukała okazji, żeby spotkać się ze mną pod teatrem i w Ostankinie? – pomyślał Daniłow. – Na cóż ja czekałem, ciężki idiota?”

Patrzył na Nataszę ze zdumieniem: dotąd zazwyczaj bywała poważna, czasami smutna, dziś natomiast była ożywiona, w oczach miała łobuzerski błysk. „W ogóle czy to Natasza?” –

pytał siebie. Choć wstydził się własnej podejrzliwości, zerknął jednak ukradkiem na indyktor, ale wszystko świadczyło o tym, że Natasza jest autentyczna. Z jej zachowania wynikało, że nie przekomarza się z nim, nie udaje, jest całkiem naturalna. Czyżby aż tak podziałało na nią pojawienie się Karmadona? Daniłow sposepniał. „Kokietuje go, a na mnie patrzy jak na puste miejsce! Wpadł jej w oko!” – myślał z oburzeniem, ze wściekłością, tak jakby był Maurem, a nie zwykłym grajkiem zamieszkałym na przedmieściu Moskwy.

Nagle przyszła nowa myśl: dobrze, niech sobie Karmadon zabiera Nataszę, on da im spokój. Tak będzie najlepiej dla wszystkich – i dla Karmadona, i dla niego, i dla Nataszy też. Dawno już czas na zerwanie znajomości z Nataszą, przez niego jej życie jest zagrożone. Tylko słabość sprawia, że nie zdecydował się dotychczas na zerwanie. Teraz nadarza się ku temu dobra okazja... Pomyślał przez moment, że ta koncepcja wpadła mu do głowy tylko dlatego, że chciałby dogodzić Karmadonowi, ale spojrzawszy znowu na Karmadona i Nataszę i oburzenie powróciło: „Mizdrzy się do niego, przestałem ją obchodzić... Nie, to nie, pójdę sobie! Powiem, że idę nakarmić wiewiórki, i więcej tu nie wrócę...”

– Daniłow! – zawołał Karmadon. – Co ty tak ciągle zostajesz w tyle?

– Deski mam słabe, za duży opór – powiedział Daniłow.

– Smar do kim! – roześmiał się Karmadon i Daniłow w tych jego słowach i śmiechu dopatrzył się ukrytego znaczenia.

– Rzeczywiście, coś z tym smarem nie w porządku – uśmiechnęła się filuternie Natasza. – A mówił pan, że lubi narty, zachwalał Sokolniki, w końcu ja też postanowiłam wybrać się tutaj.

– Bywałem tu dawniej, kiedy miałem czas – odburknął Daniłow myśląc przy tym: „No proszę, już mówi do mnie per pan!” Jednak w tej uwadze o Sokolnikach wyczuł aluzję: może Natasza przyszła tu z nadzieją, że go spotka?

– Bardzo panią przepraszam – powiedział do Nataszy Karmadon. – Chciałbym zamienić z Włódkiem parę słów na tematy służbowe, wyjeżdżam dzisiaj i musimy jeszcze ze sobą to i owo omówić.

Obaj odeszli na bok.

– Wiesz – powiedział Karmadon, a w głosie jego zabrzmiała delikatna nutka – myślę, że twoja obecność jest tu rzeczywiście zbyt cenna.

– Mylisz się – twardo odparł Daniłow.

– Chcesz stanąć mi na drodze? – zdziwił się Karmadon. – Musisz zrozumieć, jak potrzebna mi jest ta dziewczyna. Właśnie ta.

– Wykluczone – uciał Daniłow.

– Zwariowałeś! Mam ją na widoku od trzech dni, ale czuję teraz, że szukałem jej od dawna. Nie potrzebuję żadnych innych kobiet. O słabości nie może być mowy, jestem pewien siebie. Mówię to całkiem poważnie.

– Ja też mówię poważnie – rzekł Daniłow.

– A więc będziemy walczyć? – uśmiechnął się Karmadon.

– Jak sobie zyczysz. Wycofywać się nie zamierzam.

Oczy Karmadona przybrały zielony kolor, zabłysła w nich złość. Jeszcze przed chwilą rozmawiał z Daniłowem jak z przyjacielem, którego upór drażnił go, ale nie dawał powodów do poważnej sprzeczki. Teraz natomiast zamienił się w giganta z sercem jak bryła lodu – co tam dla takiego nędzne uczucia drobnych stworzonek! Na razie jednak trzymał się twardo, a przecież wszystko w nim wrzało po tych ucztach w bufetach dworcowych!

– Może zapomniałeś, kim jesteś, zapomniałeś o własnej sytuacji? – zapytał ostrzegawczo.

– O niczym nie zapomniałem – odparł ponuro Daniłow.

– W takim razie uważaj...

Daniłow, choć nie wykluczał, że Karmadon może mieć względem Nataszy stosunkowo uczciwe zamiary, pomyślał jednak, iż mimo wszystko cała rzecz polega dla Karmadona

głównie na tym, żeby poddać go próbie, poniżyć i zgniebić – stąd iskra ciekawości błyskająca co chwila w tych zielonych gniewnych oczach. Pełen obrzydzenia, był o krok od tego, by dać Karmadonowi w twarz, ale skutek byłby tylko jeden – pojedynek.

– Dobrze – powiedział Karmadon. – Uważam, że na tym koniec wyjaśnień. Ty wycofać się nie chcesz, ale i ja jej nie oddam.

– Skoro tak – odezwał się cicho Daniłow – jesteś... jest pan podłym uwodzicielem. Zwyczajnym draniem.

Zdjął z prawej dłoni rękawiczkę, nadział ją na ostrze aluminiowego kija i podał Karmadonowi. Była to wprawdzie normalna ciepła rękawiczka włóczkowa, ale Karmadon po chwili namysłu przyjął znak wyzwania z całą powagą. Pobladł, oczy mu lśniły groźnym fioletowym blaskiem, słychać było, jak zgrzyta zębami, choć szczęki miał zaciśnięte. Daniłow obawiał się, że jego rękawica może wylądować na ziemi – zagrażała przecież nie tylko życiu Karmadona, ale i karierze! – tymczasem poczucie honoru przeważało i rywal schował rękawicę do kieszeni.

– Spotkamy się jutro rano tam – powiedział Karmadon wskazując w górę. – Warunki omówimy przez sekundantów. Teraz muszę pana pożegnać. Opuszczam Ziemię.

Daniłow złożył ceremonialny ukłon.

Natasza zjechała z górki i zapytała, czy skończyli już omawiać swoje tajemnicze sprawy.

– Tak – powiedział Karmadon. – Wyruszam po swój bagaż, a potem od razu na dworzec. Czas nagli. Żegnam.

– Odprowadzę pana Andrzeja – oschle powiedział do Nataszy Daniłow.

W milczeniu odjechali jakieś dwieście metrów, po czym pan Andrzej Somow, gość z Irkucka, nie czekając na trzecie kury rozpułynał się w powietrzu.

Daniłow powlókł się w stronę wyjścia z parku.

W pobliżu okazałej rezydencji klubu hokejowego, w grupie starszawych narciarzy, dostrzegł sylwetkę pana Walentego, ambitnego szachisty, kuriera do specjalnych poruczeń.

Pan Walenty jadł lody i chichotał.

O czwartej rano Daniłow usiadł przy biurku zamierzając sporządzić testament. Rozejrzał się po pokoju, spojrzął na ściany, na sufit i stwierdził, że w tym testamencie mógłby ująć wyłącznie długi. Wówczas przeszedł do rozważań nad listą dyspozycji, ale samo słowo „dyspozycje” miało w sobie coś z żądań lub rozkazów, tymczasem rozkazów wydawać nie miał komu, a zresztą nawet nie zamierzał.

W nocy miało miejsce spotkanie sekundantów. Ustalono, że Daniłow, gdyby nie dopisało mu szczęście, skończy tym samym swoją ziemską egzystencję niby to wskutek wypadku. Została opracowana na tę okoliczność odpowiednia wersja dla ludzi: Daniłow wpadnie pod tramwaj albo na Prospekcie Pokoju spadnie mu na głowę olbrzymi sople lodu.

Było mu smutno. Patrzył na książki, na teczki z nutami, myślał o muzyce, o bliskich sercu ludziach, oczy nabiegały łzami, pocierał nasadę nosa... Pamiętał jednak, że w czasie pojedynku może liczyć wyłącznie na swoją silną wolę, toteż nastrój elegijny może mu tylko zaszkodzić. Nie zdążył jeszcze ochłonąć, jeszcze kipiał w nim gniew, bynajmniej nie pragnął „paść przebity strzałą”. Uwzględniał jednak ewentualność śmierci jako jeden z realnych wyników ostatnich wydarzeń. Nie chciał, by jego odejście łączyło się z wyrządzeniem komukolwiek krzywdy – myśląc tak troszczył się głównie o ludzi, wobec których miał zobowiązania. Z tej to przyczyny chciał zostawić testament, właściwie nie tyle testament, ile coś, czego bliżej nie umiał określić. Gotówką nie dysponował żadną, kosztowności nie miał, samochodu czy willi – również. Liczył na uczciwość instytucji ubezpieczeniowych: ubezpieczył w swoim czasie zarówno altówkę Albaniego, jak i własne życie. Zwracając się nie wiadomo do kogo, spisał więc teraz na kartce papieru, ile i komu jest dłużny, napisał również, że kwoty te należy zwrócić dobroczyńcom podejmując je z jego konta w Zakładzie Ubezpieczeń. Pomyślał: co, jeśli milicja odnajdzie altówkę? Komu zapisać cenny instrument? Najchętniej zapisałby Murawłowom, gdyby którekolwiek z nich grało na altówce, ale z całej rodziny można jako tako liczyć tylko na Miszę, ucznia piątej klasy. Uczono go przecież w szkole, jak się tańczy na paluszkach osetyjski taniec simd, śpiewał też razem ze wszystkimi w szkolnym chórze pieśń Pachmutowej *Mleko krowie daje zdrowie...* Zatem postanowione: altówkę zostawi Miszy, może chłopiec poczuje się wzruszony cennym prezentem i nabierze przekonania do muzyki. Ach, gdyby tak mieć własnego syna!... Daniłow znowu poczuł przypływ smutku i natychmiast, żeby się nie roztkliwiać, przywołał na pomoc silną wolę. Udało mu się zwalczyć melancholię, ale powróciła bardzo szybko – tym razem z powodu książek. Książki były rzadkie, piękne i świadomość, że być może nigdy już nie weźmie ich do ręki, sprawiała mu dotkliwy ból.

Część kwoty, na jaką ubezpieczył własne życie, postanowił zapisać Klaudii; przyzwyczaił ją do tego, że regularnie płacił czynsz za pozostawione jej spółdzielcze mieszkanie, po cóż więc teraz ją krzywdzić? Przecież Klaudia nie jest winna zmiany jego losu.

Uporządkował także na wszelki wypadek swoje sprawozdania i rachunki służbowe. Niewykluczone, że zwierzchnictwo może mieć zastrzeżenia co do wczorajszych „swawoli”; dołożył więc starań, by dokładnie, co do grosza, spisać wszystkie wydatki. A kiedy spisał, sam się zdziwił: aż tyle? Nie do wiary! Ilości napojów wcale go nie zaskoczyły – wiadomo, jak to jest z płynem, był i już nie ma, ale skąd się wzięły dziesiątki – ach, gdzie tam dziesiątki: setki, tysiące kilogramów żywności?!

Wagon wiozący tuczniaki do Podolskich Zakładów Mięsnych rzeczywiście obciążył ich konto. Poza tym, jak wynikało z obliczeń, wczorajsze doborowe towarzystwo z Karmadonem na czele poszczycić się mogło następującym bilansem spożycia artykułów żywnościowych:

746 kg śledzia (nie wliczając w to wagi ogonków, które można sobie darować); jajek na twardo i na miękko – 412 tys. sztuk (z tego, jak odnotował gwoli ścisłości, 82 tys. zepsutych); oprócz tego tyle szprotek, ile wynosi w przybliżeniu łączny połów dwóch kutrów rybackich... Ustalił przy okazji niezaprzeczalny fakt spożycia takich rodzajów prowiantu, o jakich wczoraj nie miał pojęcia – tak na przykład wyszło na jaw, że zjedzono również cztery kilogramy suszonej karmy dla rybek! A gdy zerknął na rubrykę, w której figurowało dwadzieścia kilogramów mlecznej margaryny, poczuł niemiłe burczenie w brzuchu. „Opętał nas ten Karmadon, robił z nami, co chciał!”

Nie ulegało wątpliwości, że pan Walenty pojawił się w Sokolnikach tylko na moment – poczuł widocznie, że sprawy Daniłowa przedstawiają się kiepsko, i dlatego wyjrzał ukradkiem. W okresie wakacji Karmadona pan Walenty starał się nie pokazywać na oczy, niemniej wcale nie zniknął, był w pogotowiu, czekał na swój moment – i doczekał się wreszcie. Może to właśnie on wskazał Karmadonowi drogę do Nataszy? Całkiem możliwe. Cóż, trudno. Kiedy indziej Daniłow na pewno umiałby sobie wyperswadować, że uniósł się honorem, że Karmadon nic tu nie zawinił i że wszystko to sprawki pana Walentego, ale teraz, przed pojedynkiem, odrzucał stanowczo podobne domysły. Pan Walenty liczył chyba na to, że swoim pojawieniem się wprawi Daniłowa w popłoch, napędzi mu strachu – i Daniłow zjawi się na miejscu pojedynku słaby, pozbawiony woli, niepewny własnych racji. Nie przeciwnik Karmadona, lecz żywa tarcza do strzelania. Ale Daniłow myślał teraz: do diabła z panem Walentym, przecież Karmadon nie jest dzieckiem, ma głowę na karku, czemuż by miał pozwalać wyprowadzać się w pole? Jako as i wprawny gracz mógł zagrać samodzielnie: wywęszyć Nataszę i w imię gry iść na ryzyko. A Natasza... Zresztą o Nataszy Daniłow postanowił nie myśleć, żeby nie zawiódł go instynkt samozachowawczy. Wiedział tylko jedno: gdyby nie wyzwiał Karmadona na pojedynek, nieszczęście byłoby nieuniknione. Nawet jeśli założyć, że towarzystwo Karmadona sprawiało Nataszy przyjemność, wszystko to mogło skończyć się dla niej bardzo źle. Ach, jak pragnął Daniłow, żeby obeszło się bez pojedynku!

Niestety...

Westchnął i zabrał się do pisania listów. Chciał napisać do dwóch znanych mu zdolnych kompozytorów i jednego zdolnego altowiolisty. Altowiolistę prosił, by zapoznał się z symfonią Pierieslegina i gdyby muzyka przypadła mu do gustu, zagrał partię solową. Znajomym kompozytorom polecał debiutanta dodając, że jest to człowiek utalentowany, aczkolwiek nieśmiały, z kategorii pechowców. Chwalił symfonię i wyrażał nadzieję, że jako uznane autorytety, okażą jej twórcy życzliwość, a tym samym wyświadczą muzyce niewątpliwą przysługę. Zastanawiał się też, czy nie napisać do skrzypka Koli Michajłowskiego, by powiadomić go, że rezygnuje z wyjazdu do Kaługi z sekstetem młodzieżowym i tenorem Pałladinem, pomyślał jednak, że skoro do Kaługi nie pojedzie, Michajłowski dowie się o tym tak czy owak...

Gdzieś na dole cichutko postukano w kaloryfer: to sekundant przypominał mu, że do rozpoczęcia pojedynku pozostały tylko dwie godziny.

Ze znalezieniem sekundanta miał trudności – skąd go wziąć? Tymczasem Karmadon zażądał ścisłego przestrzegania wszystkich punktów regulaminu. W myśl zawartej umowy, Daniłow mieszkając na Ziemi nie miał prawa do utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z resztą demonów. Wolno mu było mieć do czynienia jedynie z duchami. „Cóż, trudno, niech będzie duch” – przekazał na Ziemię Karmadon i Daniłow wyobrażał sobie, jaki zrobił przy tym grymas.

Duch – ale który? Czy duchy w ogóle nadają się na sekundantów? „Zaraz, zaraz, przecież w naszym domu też jest duch” – przypomniał sobie Daniłow. Duch rzeczywiście był, zwał się Bek Leonowicz, na zebraniach w domu przy Argunowskiej pokazywał się rzadko, nikomu nie wadził i żarówek na klatkach schodowych nie wykręcał, prowadził natomiast mądre rozmowy o losach górskich masywów, a gdy do okien zaglądał kragły księżyc, powtarzał wzdychając:

„Znowu pełnia!” Niemniej, z niewiadomych przyczyn, uchodził za narwańca – wiadomo było, że pochodzi ze Wschodu, choć dawno już nawrócił się na inną wiarę. Swego poprzedniego imienia nie pamiętał, to zaś, które nosił teraz, otrzymał w latach trzydziestych, kiedy to na terenie Wystawy Rolniczej w Ostankinie zbudowano między innymi pawilon jednej z azjatyckich republik radzieckich. Naturalnie było rzeczą nie do pomyślenia, by taki pawilon – biało-niebieski, ażurowy, zdobny w fontanny i kolumny – mógł prosperować bez własnego ducha, toteż w Kokandzie, w pałacu chana Chudojara, znaleziono ducha miejscowego, który wyraził zgodę na przeprowadzkę do Moskwy. Nadano mu imię – Uzbek Pawilonowicz. Tenże Uzbek Pawilonowicz, wolontariusz świadomy, dobrze zdawał sobie sprawę, dokąd jedzie, lecz mimo to nie mógł powstrzymać się od zabrania ze sobą ośmiu swych żon czy tam przyjaciółek albo po prostu wielbicielek. Tłumaczył wszystkim, że kobiety są mu potrzebne w nowym pawilonie głównie dla egzotyki. Nikt tych kobiet nie widział, większość twierdziła, że są to gliniane posążki albo nawet naczynia, z których można pić herbatę, jeść pilaw czy używać do innych celów. Ale oto, jakieś piętnaście lat temu, pawilon został przemaalowany i przekazany na cele kulturalne, w związku z czym Uzbek Pawilonowicz stracił posadę. Przeniesiono go do budynku mieszkalnego w Ostankinie, potem do innego bloku, potem do następnego – i właśnie ten ostami budynek był blokiem spółdzielczym, w którym mieszkał Daniłow. Imię ducha uległo skrótowi, nazywano go teraz Bek Leonowicz; zachowywał się skromnie, potrafił być prawie niezauważalny, tylko tęsknił okrutnie do tych swoich żon. Opuszczając ażurowy pawilon nie mógł zabrać ich ze sobą i dlatego zamurował wszystkie w kolumnach. Daniłow wiedział, że Bek krąży po nocach wokół pawilonu, głasza kolumny, słucha jęków i nawoływań biednych kobiet i zalewa się łzami. Przeżycia nieszczęśliwca wzruszały Daniłowa, w dodatku ten Bek był z natury milczkiem, a więc właśnie do niego skierował Daniłow swoją prośbę i zaproponował mu rolę sekundanta w pojedynku z Karmadonem.

Onieśmielony Bek potraktował prośbę Daniłowa niemal jako rozkaz i odpowiedział: „Jestem zaszczycony”. Daniłow rzeczywiście wydał mu rozkaz – po to, żeby zdjąć z ducha wszelką odpowiedzialność; poczuł jednak, że Bek mimo onieśmielenia wydaje się cieszyć z przygody: widocznie rzeczywiście, jak przystało na Azjatę z krwi i kości, miał w sobie coś z narwańca.

Sekundantem Karmadona został niejaki Sinoświerzb, znacznie niższy od niego rangą starszawy demon, znany w kręgach demonicznych jako włóczęga i tramp. Sinoświerzb posiadał znakomitą kolekcję odznak pochodzących ze wszelkich możliwych planet i układów gwiazdnych; część okazów należących do tej kolekcji, w tym również honorową odznakę „Strzelec Woroszyłowa”, nosił na piersi. Przybył teraz osobiście do Ostankina na rozmowy z Bekiem, ponieważ duchowi nie przystało bujać w przestworzach, a poza tym dlatego, że Bek z braku wprawy mógłby dostać w locie zawrotów głowy. Obaj sekundanci utrzymywali ciągłą łączność z Daniłowem i Karmadonem, a zatem wyszło tak, że warunki pojedynku uzgodnili przeciwnicy, choć nie zamienili ze sobą ani słowa.

Najdłużej trwały pertraktacje na temat rodzaju broni. Pojedynek, w myśl regulaminu, mógł być słowny lub zbrojny, a jeśli zbrojny, to na szpady, pięści, pistolety bądź też karabiny. Zdarzało się niekiedy, że pojedynek rozgrywano na karty; bywały też przypadki, gdy przeciwnicy ciskali do siebie kamieniami lub jarzynami, walczyli na kości prehistorycznych zwierząt, na strumieniu ognia – trudno zresztą wymienić wszystkie możliwe sposoby załatwiania porachunków. Daniłow i Karmadon doszli do wniosku, że powinni odbyć pojedynek z zastosowaniem wyrzutni raketowych średniego kalibru o maksymalnym zasięgu sześciuset kilometrów. Do obowiązków sekundantów należało między innymi zaznaczenie kredą rubieży ogniowych w pustynnym miejscu, możliwie najdalej od Ziemi, na obszarze omijanym nawet przez meteoryty. Mapę astronomiczną Bek porwał z biurka mojego syna, który w tym czasie zawracał nam z żoną głowę marzeniami o astronomii.

O piątej rano, kiedy Daniłow śleczął jeszcze nad dokumentacją urzędową, zadzwonił telefon. Daniłow osłupiał: czyżby Natasza przeczuwała zbliżające się nieszczęście? Rozmowa z nią nie byłaby teraz wskazana... Okazało się jednak, że dzwoni Podkowyrow z trzeciego piętra, członek spółdzielni mieszkaniowej, solista zespołu baletowego.

– Przepraszam – powiedział Podkowyrow – wydawało mi się, że pan nie śpi...

– Czym mogę służyć? – zapytał Daniłow.

– Wczoraj wieczorem udało mi się coś napisać! – oznajmił Podkowyrow z triumfem.

Był wprawdzie tancerzem, ale miał zamiłowania literackie: układał maksymy, aforyzmy i pisał tak zwane „Fragmenty utworów nie drukowanych”. Miał publikacje.

– Dobrze, niech pan czyta – powiedział Daniłow.

– No więc tak. Ogłoszenie do rubryki „Rogi i kopyta”: „Uwaga, zbieracze autografów! W paryskiej Katedrze Inwalidów co nocy, gdy północ wybije, sam cesarz powstaje z grobowca. Korzystajcie z okazji!”⁷ Podoba się panu? Zabawne?

– Co w tym zabawnego?

– No...

– Byłoby zabawne, gdyby autor pieśni to wszystko wymyślił, ale tak jest naprawdę. Bo on naprawdę powstaje.

– Kto?

– Cesarz.

– Kiedy?

– O dwunastej. Gdy północ wybije.

– Gdzie?

– No właśnie w Katedrze Inwalidów. A potem wsiada na statek powietrzny.

– Żartuje pan?

– Nie żartuję. Sam widziałem ten statek – odparł Daniłow i odłożył słuchawkę.

„Gdyby nie ten przeklęty pojedynek – pomyślał – zaaranżowałbym dla tego kretyna spotkanie z Napoleonem...” Ale trudno było gniewać się na Podkowyrowa: szczęście ogłupia.

„Tak – powiedział sobie. – Napisałem, co miałem napisać. Czyżby to było już wszystko?” Poczł nawet lęk: miał na użytek własny jeden taki przesąd – wyruszając w niebezpieczną podróż, zawsze dbał o to, żeby zostawić sobie do załatwienia jakąś drobną, bagatelną sprawę, na którą niby to nie starczyło mu czasu. Dawało to poczucie, że koniecznie musi powrócić. „Ach, prawda, przecież nie odebrałem jeszcze spodni z pralni chemicznej!” – ucieszył się nagle.

Spodnie to głupstwo, było też coś ważniejszego. Nie zdążył ani razu zagrać utworu Pierieslegina w całości – od początku do końca. A przecież chciał to zrobić. Wziął altówkę, otworzył nuty i za chwilę zapomniał o wszystkim. Zabrzmiała muzyka – i była w tej muzyce tęsknota, ale była także silna wola, i odblaski słońca skrzyły się na graniach kryształu zdumiewającą grą niebywałych kolorów, i wichura waliła w dach urwanym kawałkiem blachy, i splatały się na drewnianych klockach misterne koronki, i kaszel rozrywał piersi, i zgrzytały hamulce, i ciepłe krople deszczu spływały za kołnierz, i promieniała dziewczęca twarz, a wszystko to łączyła w całość wielka harmonia... Sąsiad Klemientiew, którego obudziła muzyka, wściekle zapukał w ścianę.

Daniłow opuścił altówkę i smyczek. Był zmęczony i smutny.

Nagle przypomniał sobie, że czas płynie, i spojrzął na zegarek. Minęło aż czterdzieści minut! Całe szczęście, że ten sąsiad zapukał. Trzeba zwalczyć słabość i zbierać się do wyjścia.

7 Tu i dalej: nawiązanie do pieśni klasycznej *Co nocy, gdy północ wybije* oraz wiersza Lermontowa *Statek powietrzny* - utworów poświęconych Napoleonowi Bonaparte (przyp. tłumaczki).

Zresztą – o jakiej słabości mowa? Czyżby muzyka mogła pozbawić go sił? „O nie – pomyślał – muzyka mi pomogła. Najlepszy dowód, że odczuwam teraz potrzebę zagrania tej partii nie tylko dla siebie, ale i dla ludzi. A chcąc to zrobić, muszę zwyciężyć i powrócić...” Zdawał się brać pod uwagę, że może zwyciężyć, a mimo to nie powrócić.

Przesunął płytkę bransolety i przywołał Beka. Bek zjawił się blady. Kiedyś, dawno temu, przeprowadzał się z Kokandu do Moskwy na osłach i wielbłądach, tylko część drogi odbył pociągiem, a teraz ktoś silniejszy od niego, biorąc wprawdzie cały grzech na siebie, każe mu lecieć w powietrzu, i to nie wiadomo dokąd, aż strach pomyśleć. „Gdyby jeszcze lecieć! – uśmiechnął się gorzko Daniłow. – Gdyby można było dziś rozkoszować się lotem tak jak dawniej, kiedy latałem do mojej jaskini w Andach!...” Tym razem czekał ich nie tyle lot, ile błyskawiczne przemieszczanie się w próżni. Prerażony Bek szczekał zębami.

– Proszę zamknąć oczy i trzymać się mojej ręki, za chwilę będziemy na miejscu – powiedział Daniłow. – Gdyby stało mi się coś złego, mój przeciwnik odtransportuje pana z powrotem. To wszystko. W drogę!

Znaleźli się na miejscu pojedynku. „Ziemia, życie, miłość, muzyka... Czyżby – koniec?...” – przemknęło w głowie Daniłowa, tak jakby ciągle jeszcze rozmyślał w czasie podróży. Uciepione jego lewej dłoni palce Beka przywróciły mu poczucie rzeczywistości.

– Niech się pan uspokoi – powiedział. – Jesteśmy już na miejscu. Proszę czuć się jak w Ostankinie. Może pan swobodnie chodzić, pływać albo szybować. Oczy radzę otworzyć... O tak, dobrze.

Było mroczno w tej próżni, zimno i – nie wiedzieć czemu – wilgotno. Bek rozluźnił palce i zrobił parę kroków macając ręką przestrzeń jak ścianę. Potem otworzył oczy.

– Nie ma ich – powiedział.

– Jeszcze pięć minut – uspokoił go Daniłow. – Ma pan przy sobie mapę?

– Mam – odpowiedział Bek.

Ta mapa gwiazdowego nieba sporządzona przez swojego syna była przedmiotem zazdrości Miszy Murawłowa. Daniłow, spojrzawszy na krążki konstelacji, na sploty żółtych, niebieskich i zielonych linii, wskazał palcem:

– Jesteśmy tutaj. Chyba tutaj... – dodał. – O kredzie pan nie zapomniał?

– Nie zapomniałem... Mam jeszcze latarkę.

Minęła szósta, ale nie widać było ani Karmadona, ani jego sekundanta.

Coś tu nie grało. Daniłow czuł, że Karmadon musi być gdzieś w pobliżu, gdzieś obok, ale gdzie? „Może pozostaje niewidzialny?” – myślał. Zakaz pojedynków obowiązywał od siedemdziesięciu lat, za uczestnictwo w nich groziła surowa kara, a więc może Karmadon zamaskował się dla większego bezpieczeństwa? A jednak, mimo wszystko, powinien był stawić się o szóstej. Miejsce wybrano odpowiednio: pustynne, na odległych peryferiach nieskończonego wszechświata. Daniłow oświetlił mapę latarką. Ach, tak! Zielona linia w ich sektorze, łącząc się z żółtą, zanikała bez śladu... „Nie ma to jak moskiewscy młodzi geniusze ze średnią notą dostateczną! – pomyślał ze złością. – Ze mnie też fajtłapa, nie sprawdziłem wcześniej!” Karmadon z jego sekundantem, gdyby posłużyli się tą mapą, też mogli zawędrować w miejsce oznaczone żółtym albo i niebieskim punktem... Wreszcie dostrzegł przez teleskop dwie ponure sylwetki w pelerynach. Były bardzo, bardzo daleko stąd!

Złapał swojego sekundanta za rękę i znalazł się przy nich. Bek podszedł nieśmiało do sekundanta Karmadona pokazując mu mapę. Latarka była już niepotrzebna. W pustce, niczym olbrzymi tulipan, rozkwitała gasnąca gwiazda rzucając ciemne złowieszcze światło. Karmadon nerwowo machnął ręką:

– Prędzej!

Sekundanci przygotowali barierę; była to bariera co się zowie – świetlna, i dźwiękowa równocześnie. Ponadto oznaczona została pałaszami, na których Sinoświerzb zatknął ciepłe rękawice Daniłowa. Rękawice te zrobiła mu na drutach ubiegłej zimy żona Murawłowa.

Między pałaszami Bek nakreślił kredą feralną linię. Sinoświerzb, ważny i wyniosły, wszystkie swe odznaki, w tym także odznakę honorowego Strzelca, przypiął do peleryny; odbijały teraz złowrogie, zmęczone światło umierającej gwiazdy. Sekundanci sprawdzili wyrzutnie raketowe, przy czym Bek zachował godność, nie drżał już więcej i nawet wykrył drobną niesprawność w systemie optycznym wyrzutni Karmadona. Następnie obejrzelik ukrycie, z którego mieli obserwować przebieg pojedynku. Mieszkaniec Ostantkina i w tym przypadku zachował się dzielnie.

Wreszcie wszystko było przygotowane i sprawdzone. Sekundanci, odwrócen do siebie tyłem, stanęli między pałaszami.

– Raz, dwa, trzy! – zawołał Sinoświerzb.

Obaj równocześnie ruszyli przed siebie, odmierzyli po piętnaście kroków i w miejscach, gdzie się zatrzymali, utwierdzili po jeszcze jednym pałasz. Sinoświerzb odniósł przy tym wrażenie, że Bek robi dłuższe kroki niż on, a tym samym działa świadomie na niekorzyść Karmadona. Sprawdził więc osobiście odległość od zaznaczonej kredą linii do pałasza Daniłowa i przekonał się, że została odmierzona rzetelnie.

– Ruszać! – rozkazał surowo.

Daniłow i Karmadon – każdy od swojego pałasza – ruszyli sobie na spotkanie.

Stanęli przy białej linii, dzieliła ich bariera. Każdy usiłował zniszczyć przeciwnika spojrzeniem. Karmadon, groźny i niecierpliwy, minę miał taką, że nie należało spodziewać się po nim ani nastrojów pokojowych, ani zwykłej litości. Ale Daniłow nie liczył na to wcale. Czuł, że wszystko w nim gotowe jest lada chwila zapłonąć pod ciskającym iskry wzrokiem Karmadona, tak jak płonie kora brzozowa pod rozżarzoną świetlną igłą rzucaną przez szkło powiększające. Wytrzymał jednak ten pałający wzrok i nawet sam bliski był tego, by kazać swym oczom żarzyć się jak dwa błękitne węgle, ale z siebie tylko wiadomych przyczyn nie nadał spojrzeniu maksymalnej mocy.

– Rozejść się! – dobiegł głos sekundanta.

Bek trząsł się ze strachu. Na różowej powierzchni gasnącej gwiazdy wystąpiły żółte pęcherze – to Karmadon oparzył ją wzrokiem. Daniłow poczuł klucie w końcach palców, zaschło mu w gardle; powtarzał sobie, że musi uspokoić się, żeby wyjść na linię ognia w dobrej kondycji.

Sinoświerzb machnął ręką i wraz z Bekiem odszedł na bok. Daniłow i Karmadon stanęli każdy przy swojej wyrzutni, obejrzelik jeszcze raz zespoły i pulpity sterowania, uruchomili systemy obserwacji i zameldowali, że są gotowi.

– Cóż, zaczynamy! – doleciał z ukrycia głos Sinoświerzba.

Pierwszy strzał należał do Karmadona. Dzieliła go teraz od Daniłowa odległość sześciuset kilometrów. „Co będzie, to będzie” – myślał Daniłow z desperacją usiłując nadrobić minę. Ścisnął mocno plastikowe dźwignie, pulpitu sterowania. Ekran był pusty – ani kropki, ani kreski. Podniósł głowę. „Dlaczego on zwleka?” – pomyślał. W tym momencie ujrzał wprost przed sobą olbrzymią sylwetkę Karmadona. Przeszył go zimny dreszcz; dopiero po chwili zrozumiał, że Karmadon stoi wcale nie przed nim – pozostał na dawnym miejscu, tyle że niesamowicie powiększył rozmiary. Był teraz olbrzymem wysokim na jakieś sto mil, martwe powieki opuścił na oczy i tak stał – zimny gigant, gotowy rozgnieść, zmiażdżyć nędzną poczwarkę. „Co to za popisy? – myślał Daniłow. – Po co on mnie straszy, jaki cel ma ta, głupia zabawa w horror? Zachowuje się tak, jakby miał do czynienia z dzieckiem albo tchórzem...” Na ekranie systemu obserwacji pojawiła się biała plama: rakietę pomknęła w kierunku Daniłowa. Wysunął szybko naprzód ruchomą tarczę z siatką, zacisnął szczęki – teraz wszystko zależało od silnej woli; gdyby osłabła, zamieniłby się w nicłość, w próżnię. Alę wolę. zachował silną, nie słabszą niż Karmadon; wybiegła więc pociskowi naprzeciw, stawiała mu opór, a gdy Karmadon poczuł się albo zmęczony, albo zrezygnowany, otoczyła rakietę

siatką i odrzuciła na bok, w stronę gasnącej gwiazdy. Coś zasyczało i na różowym ciele gwiazdy wybulił się nowy pęcherz.

„Jak on teraz wygląda? – myślał Daniłow. – Nadal udaje olbrzyma czy jest już normalny?” Karmadon nie zmniejszył rozmiarów – stał z dumnie uniesioną głową, oczy miał otwarte i patrzył na Daniłowa z lekkim uśmiechem. „Proszę! – pomyślał Daniłow. – Trzyma fason!” Wiedział, że jeśli teraz chybi, pojedynek potrwa aż do chwili, gdy przeleje się pierwsza kropla krwi – i bardzo możliwe, że ta krew będzie jego krwią. Ale całe jego oburzenie przeszło; ważne było tylko to, że nie popuścił rywalowi i uratował Nataszę; na uśmierceniu Karmadona wcale mu nie zależało.

Ulokował się na twardym zielonym krzeselku i nie zwracał już na Karmadona uwagi. Włączył celowniki, następnie sprawdził, czy ładunek jest na miejscu, i nacisnął guzik. Owiąły go buchające żarem wichry, poczuł, że rakieta posuwa się naprzód z trudem, jak świder w skałach granitowych; były nawet chwile, gdy pod presją woli Karmadona zamierała w miejscu. Ale pozostało mu jeszcze dość sił, jeszcze kipiało w nim życie, toteż popędzał raketę oszczędzając ładunek – i nagle poczuł, że Karmadon słabnie. Była to pierwsza oznaka zwycięstwa; wyobrażał sobie, że Karmadon, uczepony kamienia lub badyła, zawisł teraz nad otchłanią i palce jego w każdej chwili mogą odmówić posłuszeństwa. Należało jeszcze jednym wysiłkiem woli wbić, wtłoczyć pocisk w ciało wroga, żeby skończyć z tym raz na zawsze... I właśnie wówczas ogarnęła go litość. Wyprostował się, rozluźnił i pozwolił Karmadonowi sprowadzić raketę na boczny tor przy pomocy drugiej tarczy. I znowu na różowym ciele gwiazdy powstał pęczniejący żółty bąbel.

Daniłow ochłonął. Był spocony, dyszał ciężko, siły go opuściły. Nie ulegało wątpliwości: Karmadon zrozumiał, że został świadomie oszczędzony. Daniłow myślał, że teraz można by przerwać pojedynek – obaj skorzystali z prawa wypowiedzi, to powinno wystarczyć.

Z urzędzenia łączności dobiegł cichy szelest: to rozmawiali ze sobą sekundanci. Pewnie tam, w ukryciu, również zrodziła się koncepcja zawarcia przymierza.

W tym momencie zabrzmiał śmiech – przerażający, niczym huk armatni. Gdyby różowa gwiazda była planetą i gdyby ta planeta była zamieszkała, zawrzałyby tam teraz woda w rzekach, popękały w oknach wszystkie szyby i statki powietrzne utraciłyby zdolność sterowania. Daniłow ujrzał Karmadona, który wyrósł jeszcze bardziej: włosy miał błękitne, ciało w pomarańczowe plamy wyglądające niczym strupy; straszne pazury, jak dziesięć ostrych mieczy, zawisły nad różowo-czarną próżnią, krzywe lśniące kły sterczały z opływającej pianą paszczy, całą jego postać otaczała obrzydliwa powłoka zielonkawego śluzu i w mazi tej poruszały się, splatały, drgały groźne, pokraczne macki, jakieś srebrzyste żyjątko, rogi, przyssawki, molibdenowe szpady i anteny, wymięte ryjki, pływające czy łączące ryby; wszystko to popiskiwało, podzwaniało, podskakiwało histerycznie, wtórując przerażającemu rechotowi Karmadona. Najbardziej jednak przerażał jego wzrok – wyniosły, płomienny, zniewalający... Zaskoczony Daniłow zdał sobie sprawę, że Karmadon wziął jego współczucie za słabość, chwilowy przyływ litości odebrał jako zniewagę i utwierdził się w przekonaniu, że teraz jego pocisk nabierze niszczycielskiej siły. „Za kogo on mnie ma? – pomyślał znowu. – Przestałby już wreszcie udawać upiora...” Ale Karmadon nie działał aż tak naiwnie, miał trochę pojęcia o ludzkich zabobonach i o działaniu wyobraźni, zatem Daniłow patrząc na niego mimo woli czuł się trochę nieswojo: widok był w istocie niesamowity.

Karmadon nacisnął guzik.

Daniłow dosłownie w ostatniej chwili zdążył odwieść wysłany w jego kierunku pocisk. Tym razem jego życie wisiało na włosku... Uświadomił to sobie w chwilę później i cały zdrętwiał. Rozpiął kołnierz, poczuł pragnienie... Nie miał już najmniejszej ochoty na kontynuowanie pojedynku, ale cóż mu pozostawało? Czuł, że Karmadon też ledwo dyszy, że nie zostało już śladu po jego kłach i pazurach. Lecz oto nagle ciało Karmadona zmieniło się w metal, przybrało geometryczne kształty; wyglądał teraz jak pancernik albo robot.

Daniłow miał dziesięć minut na przygotowanie się do strzału. Czas ten upłynął. Daniłow nacisnął guzik.

Przypuszczał, że nie trafi i że może sobie pozwolić na chwilę odprężenia, żeby zmobilizować się do dalszej walki. Liczył na odzyskanie sił. Usiadł wygodnie na zielonym krzeselku; jego pocisk mknął z wolna, ale z toru nie zbaczał. Nagle zerknął na ekran: drgała tam powiększająca się biała plamka! A więc to taki... Zrozumiał, że nim zdążył nacisnąć guzik, Karmadon, nie mając do tego prawa, wysłał w jego kierunku swój pocisk o ładunku jeszcze groźniejszym niż poprzedni. Przeciwnik posłużył się ponadto unowocześnionym sposobem przyspieszenia, nie przewidzianym w regulaminie pojedynku!

„Podłość!” – zdążył jeszcze pomyśleć Daniłow, nim rozległ się przerażający zwycięski śmiech Karmadona. Wiedział, że zaraz wszystko skończy się na zawsze, ale postanowił mimo to doprowadzić swoją raketę do celu. Tej podłości wybaczyć nie mógł; ostatni wysiłek woli, ostatnie siły chciał zużyć na zadanie śmiertelnego ciosu. I właśnie wtedy coś go ogłuszyło, wybuchło w samym środku głowy, popłynęły barwne wizje, były tam czyjeś twarze, kobiece też – najpierw jakby twarz Nataszy, potem Anastazji, muzyka sprawiała mu ból, a może był to po prostu ból bez muzyki, aż wreszcie zbladły barwy, umilkły dźwięki i wszystko zniknęło...

- Przepraszam pana, to znowu ja, Podkowyrow.
- Słucham – westchnął Daniłow.
- Myślałem, że może by przerobić tekst...
- Jaki tekst!
- No, ten o cesarzu.
- I co pan wymyślił?
- Powiedzmy, tak przerobić, żeby cesarz wstawał z grobowca nie o dwunastej, tylko o pierwszej w nocy. Zabawniej będzie, jak pan sądzi?
- Zabawniej – powiedział Daniłow odkładając słuchawkę, po czym zdjął ją z widełek, żeby mieć spokój.

Czuł się paskudnie, był ledwo żywy. Bolała głowa, łamało w kościach, palce drżały. W dodatku na lewym ramieniu miał czarną dziurę. Dziura zmniejszała się powoli, ściągały ją założone wprawną ręką jedwabne szwy. Początkowo była wielkości budzika, ale teraz dałoby się ją przykryć dwudziestokopiejkową monetą. Rana nie bolała, tylko dziwnie ciążyła, zaklejona przez kogoś przezroczystym plastrem. Chcąc obejrzeć dziurę dokładniej, Daniłow odlepił w kuchni skraj plastra – i nagle wszystko naokoło zostało wprawione w ruch, wszystko podążyło do dziury. Daniłow szybko przyklepił plaster z powrotem, ale jeden z kuchennych taboretów, który zdążył ulecieć w powietrze, rozsypał się w drobny mak i te szczątki zniknęły w czarnej dziurze. W ślady taboretu poszły nie uprzątnięte ze stołu widelce. Pozostałe przedmioty dało się uratować. „Głupstwa – pomyślał Daniłow – nic strasznego, dziura niedługo zarośnie... Normalna zapaść grawitacyjna...” Mimo wszystko czuł się jakoś nieswojo zdając sobie sprawę, że od rany na jego ramieniu bierze swój początek czarny tunel prowadzący do całkiem innego wszechświata. „Urządził mnie Karmadon, nie ma co...”

Dowiedział się również o zagadkowym zniknięciu Beka i Sinoświerzba. Nie ulegało wątpliwości, że Karmadon przed dopuszczeniem się niecnego czynu sprzątnął świadków: był pewien, że pozbędzie się również Daniłowa, dlatego ich usunął. A więc biedny Bek, nieszkodliwy duch, zniknął bez śladu – i wyszło tak, że przyczyną jego zguby stał się Daniłow. Próżno teraz będą czekać na Beka zamurowane w kolumnach żony; niby to rzecz drugorzędna, ale szkoda tych wschodnich piękności.

A jednak, mimo wahań, mimo niepewności swego losu, Daniłow rozumiał, że musi powrócić do spraw codziennych. Uratował go przypadek, przypadek też przywrócił mu życie – cóż, trzeba być wdzięcznym przypadkowi (albo Anastazji) i żyć dalej.

Postanowił przejrzeć to wszystko, co napisał rano. Najpierw zamierzał podrzeć lub spalić swoje notatki, ale potem pomyślał: „Właściwie po co, może przydadzą się w swoim czasie...” Wszystkie dyspozycje były sensowne, żadnej nie zamierzał wycofywać, nawet zapisu na korzyść Klaudii. Jedynie listów dotyczących symfonii Pierieslegina zdecydował nie wysyłać: lepiej będzie, jeśli po prostu zadzwoni do tych ludzi. Do Pierieslegina zaś napisał nową kartkę z prośbą, by kompozytor odwiedził go w najbliższym czasie.

„Ach, jak to głupio wyszło! Nic mnie nie rozgrzeszy!” – pomyślał, przypomniawszy sobie znowu biednego Beka, swoją niewinną ofiarę. Obiecał mu przecież, że wszystko ułoży się dobrze i że nie spotka go nic złego. Choć przeklinał teraz Karmadona, wiedział, że zguby Beka sam jest winien – nigdy sobie tego nie wybaczy i sumienie nie pozwoli mu już zjawić się u duchów na Argunowskiej. „Niechby mnie Karmadon zniszczył, Beka nie miał prawa tknąć nawet palcem”. Mimo to Beka zabrakło, on zaś żył i czarna dziura zrastała się powoli na jego ramieniu.

Zgodnie z odwiecznym regulaminem pojedynków, ostatnio wprowadzie zabronionych, wolno było nie tylko zranić, ale i unicestwić przeciwnika. Nieśmiertelnej istoty nie mogły zniszczyć ani choroby, ani żywioły, ani ktokolwiek z ludzi, mógł to natomiast zrobić ktoś ze swoich w czasie pojedynku – tak się utarło od niepamiętnych czasów. Trafiony zdradzieckim pociskiem Karmadona, Daniłow stracił przytomność i niewiele brakowało, by obrócić się w nicość, gdyby nie wspaniałomyślna i dzielna Anastazja. Nie miał pojęcia, jakim cudem dowiedziała się o pojedynku i gdzie się ukrywała w czasie jego starcia z Karmadonem – zresztą nie zależało mu na tych szczegółach, najważniejsze było to, że wiedział już, jak wyglądała scena finałowa.

Otóż rakieta Karmadona mknęła, gotowa roznieść w strzępy powłokę cielesną i jestestwo Daniłowa, ale czuwająca w pobliżu Anastazja rzuciła się odważnie na pomoc. Gołymi rękami, nie dbając o ewentualne poparzenia, schwytała śmiertcioną substancję, zamieniła ją w antymaterię – i w ten to sposób powstała na jego ramieniu czarna dziura. Substancji było tak dużo, że wystarczyłoby na gwiazdę pierwszej wielkości, stąd też czarna dziura miała również rozmiary imponujące. Anastazja natychmiast przystąpiła do zszywania brzegów rany przy pomocy jedwabnych nici, po czym Daniłow odzyskał przytomność, samarytanka zaś zniknęła nie zauważona, Ach, ta dumna i piękna Anastazja – jaka szkoda, że ciągle jeszcze jest na niego zła!

Nie wiadomo, jakie miała zamiary zjawiając się na miejscu pojedynku, ale czy teraz ma to jakieś znaczenie? Jedno jest jasne: od strony formalnej nie miała prawa ratować mu życia, podobnie jak on nie miał prawa jej pomocy przyjmować. Ale Karmadon pierwszy złamał honorowe zasady i Anastazja nie mogła pozostać obojętna na jego podłość. Opuszczając Daniłowa zdążyła zalepić ranę przezroczystym plastrem, posmarowawszy ją uprzednio jakąś znachorską maścią, i teraz czarna dziura kurczyła się w oczach, materia upływała z niej gdzieś daleko, w puste zakątki nie zbadanej przestrzeni obcego wszechświata.

„Skoro Anastazja potrafiła przedostać się na miejsce pojedynku, mieliśmy też na pewno innych widzów...” – pomyślał Daniłow. Nic dobrego to nie wróżyło – nieprzypadkowo tak wzbraniał się przed wyzwaniem Karmadona na pojedynek.

Liczył teraz na jedną istotną okoliczność: dla wpływowych przyjaciół i krewnych Karmadona korzystniejsze byłoby zatuszowanie całej tej sprawy. Przypadek przypadkiem, ale zarówno Karmadon, jak i jego przyjaciele mimo wszystko zostali wciągnięci w skandaliczną historię. Ostami pocisk Daniłowa trafił Karmadona w szczękę i coś uszkodził w okolicy szyi; na razie nie pomogli ani lekarze, ani doświadczeni mechanicy – zachodziła obawa, że ranny może mieć wykrzywioną twarz. As z krzywą gębą – kto to widział!... Biorąc pod uwagę regulamin, Karmadon niewątpliwie przegrał: pojedynek i nawet poufne rozmowy o tym przykrym incydencie mogły mu tylko zaszkodzić.

„Trudno, zobaczymy, co będzie dalej – pomyślał Daniłow i znowu westchnął: – Ach, biedny Bek!”

Włączył żelazko i zabrał się do prasowania motylka. Miał wieczorem spektakl.

„Co zrobić z Pieriesleginem? – myślał. – Warto zagrać jego symfonię, ale gdzie i z kim? Muszę odszukać go jeszcze dzisiaj. Może pojechać do domu?”

Mimo woli podniósł lewą rękę do zalepionej plastrem rany. Plaster trzymał się mocno.

Zadzwonił telefon.

– Daniłow! No i co? – odezwał się w słuchawce głos Klaudii.

– Co to znaczy – co? – zapytał Daniłow.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

– A cóż bym miał do powiedzenia?

– Nie masz? Po tym, co zaszło?...

– Niby co takiego zaszło?

– No, dobrze – powiedziała Klaudia po chwili milczenia. – Czy nie chcesz mnie o nic zapytać?

– O co mam pytać?

– Dobrze, zaraz sama do ciebie przyjadę.

„Cholerna baba! – zirytował się Daniłow. – Nawet nie zapytała, czy mam czas...”

Telefon zadzwonił znowu. „Zaraz jej wszystko wygarnę!” – przyrzekł sobie Daniłow. Ale tym razem usłyszał głos Nataszy.

– Przepraszam – powiedziała Natasza – miałam takie wrażenie, że stało się wczoraj coś przykrego... To znaczy że wynikło jakieś nieporozumienie między panem... między tobą a twoim gościem... Dlatego odważyłam się zadzwonić.

– E tam, bzdury – odezwał się ponuro Daniłow. Czuł się trochę zakłopotany.

– Może to źle, że zadzwoniłam? – zapytała Natasza.

– Skądże, skądże – wybełkotał Daniłow. – Gdzie jesteś?

– Błąkam się po twoim osiedlu... Wstałam rano i od razu pojechałam tło Ostankina.

– A teraz? Skąd dzwonisz?

Natasza wymieniła punkt – okazało się, że to w pobliżu, dwie minuty od jego domu.

– Zaraz tam przyjdę – powiedział Daniłow.

Był już w windzie, gdy przypomniał sobie o Klaudii „A, niech się przejedzie” – pomyślał. Znalazł Nataszę przed apteką na ulicy Zandera.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry.

– Zrozumiałem, że interesuje panią mój przyjaciel...

– Nie – powiedziała Natasza. – Co to, jesteśmy znowu na „pan, pani”?

– Tak mi się jakoś powiedziało. Ale nie ja zacząłem.

– A gdyby tak znowu przejść na „ty”?

– Zgoda.

– Bałam się o ciebie... Coś się wczoraj zdarzyło, tak?

– Nic ważnego... Drobne nieporozumienie. Już po wszystkim.

– Nie gniewasz się na mnie?

– O co?

– Nie wiem... Nie mogłam zasnąć. Bałam się, sama nie wiem czego. Wydawało mi się, że muszę cię ratować... Nie wiem... Przyjechałam tu rano i chodziłam pod twoim domem... Myślałam, że zwariuję... Może to nerwy. Chyba musisz trzymać się ode mnie z daleka.

– Co ty mówisz! – powiedział wzruszony Daniłow. – Nie wyspałaś się?

– To widać? – zmartwiła się Natasza. – Aż tak źle wyglądam?

– Ależ skąd! – zaprzeczył Daniłow. – Może była w nocy zmiana ciśnienia, dlatego nie mogłaś zasnąć?

Natasza popatrzyła na niego dziwnie, tak jakby usłyszała coś przykrego, a potem powiedziała cicho:

– Nie... Jakie tam ciśnienie...

„Pewnie, że ciśnienie nie ma z tym nic wspólnego – pomyślał Daniłow. – Przecież i pod teatr przychodziła po mnie, i do parku w Sokolnikach, i pod dom. A ja tu jeszcze wydziwiam! Ale co robić? Anastazja, Natasza, ta głupia Klaudia – wszystko mi się pomieszało... Bądź tu mądry! Co z tego prawdziwe, autentyczne, a co – tylko ułuda, miraż, marność nad marnościami? Niby łatwo ocenić, ale jak wybrać? I to jeszcze starać się, żeby nikomu nie przysporzyć kłopotu...”

– Wiesz, kocham cię – powiedziała Natasza.

– Ja cię też kocham.

Tyle tylko sobie wyznali. Obok nich przechodzili ludzie; na razie było ich niewiele, ale przechodzili. Cóż można było dodać do tych wyznań na ulicy? Wszystkie inne słowa byłyby zbyteczne.

Tuż przy nich zatrzymał się znajomy samochód nabyty za pieniądze profesora Wojnowa. Klaudia otworzyła drzwiczki.

– Co ty sobie myślisz! – powiedziała do Daniłowa z urazą w głosie. – Wybieram się do ciebie, a ty spacerujesz!

– Dzień dobry – powiedział Daniłow.

– Dzień dobry – skinęła głową. – Nie masz sumienia. A gdybym tak nie jechała tą ulicą?

– Wcale na ciebie nie czekałem.

– Jak to nie czekałeś?

– A tak. Nie zapytałaś nawet, czy mam dla ciebie czas. No więc czasu nie mam.

– Daniłow! Co ty pleciesz! – zdziwiła się Klaudia, po czym udała, że dopiero teraz zauważyła Nataszę. – Kto to? – zapytała.

– To Natasza. Nataszo, to Klaudia, moja była żona. Mówiłem ci, pamiętasz?

Chciał niedwuznacznie dać Klaudii do zrozumienia, że on i Natasza to dwoje bliskich sobie ludzi – bliskich jak brat i siostra, mąż i żona, Klaudia natomiast jest tu kimś obcym.

– Mimo wszystko – rzekła Klaudia, usiłując jak gdyby wyrzucić Nataszę spojrzeniem poza obręb otaczającego świata – mimo wszystko jesteś mi potrzebny.

– Nie wykluczam tego faktu – odparł Daniłow – ale ty w żadnym wypadku nie jesteś mi potrzebna.

– Daniłow – powiedziała Klaudia nieśmiało – przecież zawsze byłeś grzeczny wobec kobiet...

Wyczuł, że w stosunku Klaudii do jego osoby, wraz z dotychczasowym poczuciem własnej przewagi i niezachwianej władzy, pojawia się coś nowego – ni to niepokój, ni to niespodziewany domysł, a może podejrzenie albo nawet lęk...

– Mam tajemnicę – powiedziała Klaudia cicho.

– Dobrze – skinął głową Daniłow – innym razem.

Rozgoryczenie znowu dodało Klaudii sił.

– Pani jest jego nową sympatią? – zwróciła się do Nataszy.

Natasza popatrzyła na Daniłowa.

– Ta pani jest moją wieczną sympatią – sprostował Daniłow.

– Radzę trzymać go krótko. Jest rozpieszczony.

Daniłow na takie dictum nie znalazł stosownej riposty.

– Gdzieś musiałam panią widzieć – ciągnęła Klaudia. – Czy nie jest pani krawcową?

– Krawcową nie jestem – odpowiedziała Natasza – ale szyję.

– To nie pani przypadkiem szyła suknię dla Gawriłowej według projektu Gagarinej?

– Ja.

– No właśnie! Więc musiałam panią widzieć u Gawriłowej! Nakrycia głowy też pani robi?

– Też.

Wówczas Klaudia wyskoczyła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i natychmiast zapomniała o istnieniu Daniłowa.

– Wie pani, muszę koniecznie mieć taki turban z czarnego aksamitu, żeby dobrze wyglądały na nim perły i brylanty! Wybieramy się z mężem na trzy lata do Anglii, no więc sama pani rozumie, że w Anglii nie sposób pokazać się w towarzystwie bez nakrycia głowy. Na przyjęciu u królowej obowiązuje pełna gala. Moja przyjaciółka, która mieszkała w Anglii, otrzymała zaproszenie na raut do królewskiego pałacu i nie wpuszczono jej, bo przysłała z gołą głową. Teraz wróciła do Moskwy i miejsca sobie nie może znaleźć, wstyd jej pokazać się przyjaciółkom na oczy, życie ma złamane. Rozumiem ją doskonale! A swoją drogą, skoro

królowa zaprosiła do siebie taką kretynekę, nas z mężem zaprosi tym bardziej, może nawet kilkakrotnie... I co, podejmie się pani? Mam wzór i dobrze zapłacę.

– Mogę to zrobić – powiedziała Natasza. – Przydadzą mi się teraz pieniądze.

Kobiety przeszły do ustalania terminów, wymieniały adresy i telefony, Daniłow zaś poczuł się niepotrzebny do tego stopnia, że wszystko w nim kipiało.

Natasza to wyczuła i przesłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

– No cóż, jedna sprawa z głowy, dobre i to – powiedziała Klaudia otwierając drzwi samochodu. – Przynajmniej tyle z ciebie pożytku – dodała patrząc na Daniłowa.

Mimo to zwlekała z pożegnaniem; teraz, kiedy kwestia turbanu została omówiona, patrzyła na Nataszę już bez poprzedniej życzliwości zimnym, nawet pogardliwym wzrokiem, tak jak patrzy jaśnie pani na zwykłą szwaczkę. Miała taką minę, jakby chciała im obojgu coś zakomunikować – może dać do zrozumienia, że względem Daniłowa ma szczególne uprawnienia – a równocześnie jak gdyby brakowało jej odwagi...

– Dobrze – podsumowała. – Dobrze, Daniłow, ja cię jeszcze znajdę.

I odjechała.

Przez cały ten czas, gdy trwały pertraktacje z Klaudią, Daniłow i Natasza prowadzili ze sobą rozmowę bez słów, w której liczyło się tylko to, co wyznali sobie przed kwadranssem. Ich dialog toczył się niezależnie od rozmowy z Klaudią, gdzieś w całkiem innej płaszczyźnie, stąd był w nim element gry, dla obojga z nich podniecający. Cóż obchodziła ich Klaudia i jakieś jej tajemnice, cóż obchodziła ich ulica Zandera z apteką i przystankiem autobusu nr 85! Ale w momencie, gdy Klaudia zaczęła omawiać z Nataszą szczegóły zamówienia, Daniłow odniósł wrażenie, że urwał się nagle ten dialog bez słów i że Natasza pozostawiła go samego. „Też pomysły! – skarcił siebie w duchu. – Zazdrość?... Kobieta zawsze pozostanie kobietą...” Był zły na siebie za głupie słowa o jakiejś wiecznej sympatii, ale teraz, kiedy Klaudia nareszcie odjechała, powrócili oboje do przerwane dialogu i Daniłow zrozumiał, że tej głębokiej treści im na dziś wystarczy, że nadmiar słów mógłby wszystko popsuć.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała Natasza.

– A ja idę do teatru.

– Chcesz, uszyję ci spodnie? Wezmę miarę i uszyję. Albo ubranie dżinsowe, albo kurtkę...

– Od razu znalazłyście z Klaudią wspólny język – nie wytrzymał Daniłow.

– Zainteresował mnie ten turban, ciekawy fason, chciałabym spróbować coś takiego zrobić – powiedziała Natasza. – Ach, jakie spodnie widzę dla ciebie!

– Nie jesteś przecież krawcową od spodni...

– Ja wszystko potrafię. Zobaczysz, jak cię ubiorę...

Poczuła się nagle zażenowana, tak jakby zrozumiała, że szyjąc dla Daniłowa skłoni go do zobowiązań, czego on jako mężczyzna może sobie wcale nie życzyć...

Nadjechał autobus.

– Trzymaj się, Natasza! Zadzwoń do ciebie.

– Lepiej po prostu przyjdź...

W domu rozpiął koszulę, obnażył ramię. Czarnej dziury już nie było. Odlepił plaster i nożyczkami ostrożnie wyjął jedwabne nici. Brzegi rany zrosły się całkiem, po zapaści grawitacyjnej nie pozostało śladu. „A przecież – pomyślał – gdzieś w sąsiednim wszechświecie rozwarła się jakaś biała dziura i wpłynęła do niej cała materia, jakiej użył Karmadon do przyrządzania śmiertelnościowego ładunku...” Daniłow ze swej strony też zrobił nieznanemu wszechświatowi prezent w postaci taboretu i widelca z kuchennego stołu.

Westchnął. Ciekawe, że dziura nie pochłonęła wszystkich jego kości i flaków – może nie miała dostatecznej mocy albo coś tę moc powstrzymało? Pomyślał z mglistą nadzieją, że może niepotrzebnie psioczy na Karmadona: może Bek i Sinoświerzb również zostali wciągnięci w otchłań czarnej dziury i teraz wynurzyli się w tamtym wszechświecie z dziury białej w charakterze przybyszów z innego świata... A gdyby tak było w istocie, on znajdzie później sposób, żeby ich stamtąd wyzwolić.

Później – to znaczy kiedy? I jaki to ma być sposób?...

Po co on zawraca Nataszy głowę, skoro żyje jak pod mieczem Damoklesa, skoro co chwila ubywa mu życia, jak ubywa piasku w klepsydry? Zwłaszcza teraz, po tym pojedynku!...

Ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stanął Pierieslegin.

– Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam, że na długo zniknąłem z horyzontu. Miałem wyjazd służbowy do Gorkiego.

Wypadałoby teraz powiedzieć sobie o sprawach najważniejszych, ale obaj naraz zamilkli. Daniłow nawet zaczął krzątać się bez sensu po mieszkaniu, z czego gość mógł wywnioskować, że pan domu nie ma dla niego czasu.

– Ja tylko na chwilę – powiedział Pierieslegin.

– Ależ dlaczego, dlaczego...

– Zdążył pan zapoznać się z partyturą? – zapytał gość nieśmiało.

– Tak – skinął głową Daniłow.

– I co?

– Bardzo mi się podoba... Przecież napisałem o tym do pana...

– Tak, tak – potwierdził Pierieslegin.

Milczał i patrzył na Daniłowa oczekując być może dodatkowych słów otuchy, ale Daniłow czuł, że tamto pierwsze, najsilniejsze wrażenie, jakie wywarł na nim utwór Pierieslegina, zniknęło gdzieś bezpowrotnie.

– Mógłbym zagrać partię altówki – powiedział wreszcie.

– Świetnie! – ucieszył się kompozytor.

– Ale kto mnie wpuści na scenę? Gdzie ja to zagram? I z jaką orkiestrą?

– Wszystko da się załatwić! – machnął ręką Pierieslegin. – Najważniejsze, że podoba się panu moja muzyka!

Daniłow spojrział na niego ze zdumieniem: oho, jaki pewny siebie! Całkiem inne miał o nim zdanie poprzednim razem.

– Dlaczego główną partię w symfonii powierzył pan akurat altówce?

– Sam nie wiem – odpowiedział kompozytor. – Człowiek, który zaczyna tworzyć... Przepraszam za górnołotność... Słowem, kiedy ktoś zabiera się do komponowania muzyki, czy może kierować się trzeźwym rozsądkiem? Dopiero później, po czasie, można sobie wytłumaczyć, w jaki sposób powstaje ten czy inny dźwięk, ta czy inna melodia... W każdym razie u mnie to tak przebiega, u innych może inaczej... Widocznie miałem jakieś wewnętrzne

przeświadczenie, że musi tu przemówić właśnie altówka... W moim pojęciu skrzypce są adekwatne do żeńskiego pierwiastka. Psotna dziewczynka, smutna kobieta, kryjąca swoją tragedię staruszka – wszystko to dla mnie skrzypce. A co do altówki, ma ona w sobie więcej hartu, głos altówki to głos mężczyzny. Wie pan, ta ciemna barwa dźwięku... Naprawdę nie wiem, jak to wytłumaczyć... Fakt, że w momencie, kiedy zacząłem komponować, usłyszałem głos altówki, więcej nic powiedzieć nie umiem.

– Ale zgodzi się pan, że altówka w naszych czasach przestała być instrumentem, któremu powierza się partie solowe! Wszyscy twierdzą, że to instrument wyłącznie towarzyszący, podrzędny w stosunku do skrzypiec czy głosu wokalisty. Usługowy, że tak powiem.

– Nie i jeszcze raz nie! Żaden instrument nie może być traktowany jako usługowy. Nie może, nie powinien! Wszystko w muzyce jest znaczące i wszystko musi mieć prawo głosu! Wszystko powinno dźwięczeć, trzeba tylko te dźwięki znaleźć. A powracając do altówki, to przecież sam Berlioz powierzył jej partię solową w swojej symfonii!

– Ależ Berlioz komponując *Harolda w Italii* myślał o altówce Paganiniego! – zawołał Daniłow.

– I co z tego?

– Jak to – co? Kto to dzisiaj zagra?

– Pan zagra – powiedział Pierieslegin.

– Ja?... Ale co z tego wyjdzie? Dlaczego akurat na moją osobę padł pański wybór?

– Słyszałem, jak grał pan w instytucie, dlatego przyszedłem właśnie do pana. Mam wielu znajomych altowiolistów, ale przyszedłem do pana.

„Tamtym razem wziąłem go za ciamajdę – pomyślał Daniłow. – Nie miałem racji. Ma silną wolę, jest uparty i wie, czego chce. A skoro wie, czego chce i mimo wszystko wierzy w siebie, oznacza to, że nie brakuje mu odwagi...”

– Podobało się panu, jak grałem? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Pierieslegin. – Jestem szczęśliwy, że zrozumiał pan moją muzykę. Chciałbym pokazać panu inne moje kompozycje... Mam kwartety, sekstety... Z tematami do improwizacji... Każdy z wielkich kompozytorów w przeszłości był improwizatorem, pan dobrze o tym wie. A dziś tak się składa, że swobodę wypowiedzi ma właściwie tylko muzyk jazzowy... Skomponowałem też coś niecoś z myślą o pańskiej altówce...

– Nie ma już mojej altówki – powiedział Daniłow.

– Jak to nie ma?

– Tej altówki, którą słyszał pan w instytucie, już nie ma. Ktoś mi ją ukradł.

– Przykra sprawa – powiedział Pierieslegin patrząc na Daniłowa. Daniłow widział, że kompozytor rozumie, jaka to dla niego ciężka strata. – Ale niczego to nie zmienia, jest pan muzykiem niezależnie od instrumentu.

Daniłow poczuł się zażenowany, że tak roztkliwił się mówiąc o zaginionej altówce. Wstał więc i podszedł do okna. Pierieslegin rozumiał to na swój sposób: jako aluzję do tego, że czas upływa. Wstał również, zwłaszcza że czas rzeczywiście naglił – Daniłow musiał wyruszać do teatru.

– Proszę przynieść mi swoje nowe utwory – powiedział Daniłow. – Na razie nie jestem aż tak pewien siebie, żeby marzyć o występach solowych. Nie jestem też taki młody, żeby pozwolono mi spróbować sił. Ale pańskie utwory zobaczyłbym z przyjemnością.

– Mówi pan: gdzie tu wystąpić i z jaką orkiestrą? – odezwał się Pierieslegin. – Mam na oku taką jedną orkiestrę młodzieżową. Mam też dyrygenta. Mogę pana z nim skontaktować, jeśli pan sobie życzy.

Wyszedł, Daniłow zaś, odprowadziwszy go do windy, poczuł jakiś wewnętrzny niedosyt. Tak czekał na tę rozmowę, tak zależało mu na tym, żeby się do niej przygotować, takie pokładał w niej nadzieje, tymczasem wszystko skończyło się bardzo prozaicznie, niczym ubity z kontrahentem zwyczajny interes – coś w rodzaju kupna-sprzedazy mebli czy

załatwienia szeregowej chałtury w kularach klubu przyzakładowego. Przygotował tyle gorących, szczerych słów, zwłaszcza że kompozytor na takie słowa zasłużył – a zamiast tego plótno niemrawo jakieś banały, tak jakby codziennie przysyłano mu podobne symfonie. Pragnął teraz wzniosłej dyskusji o muzyce, nie o tej dzisiejszej – hałaśliwej, merkantylnej i próżnej, lecz o muzyce prawdziwej, którą starożytni nazywali drugim rozumem, nazywali nauką o wszechogarniającej harmonii, miłością dobra i nienawiścią zła – nienawiścią, która dla ludzi jest dobrodziejstwem. Mogliby usiąść spokojnie i w szczerzej rozmowie dojść do wspólnego wniosku, że wszystko na świecie jest muzyką, wszystko jest harmonią lub poszukiwaniem harmonii i że obaj muszą w tych poszukiwaniach zachować odwagę, iść naprzód nie zatrzymując się i nie wahając w obliczu ryzyka... Ach, jak potrzebna mu była taka rozmowa, jak potrzebne było poparcie bratniej duszy artystycznej, radosna świadomość tego, że nie jest sam, że ktoś go rozumie! Wiedział, że tchórzem nie jest, ale nie był aż tak pewien siebie – niestety, nie był, choć właśnie teraz ta pewność była mu potrzebna jak nigdy. Pierieslegin musiał wyjść od niego zmartwiony, z poczuciem nie spełnionych nadziei... I tak bywa zawsze: nie porozmawia człowiek z człowiekiem, nie otworzy przed nim serca, nie sprawi mu radości, ledwo rzuci w pośpiechu przypadkowe słowo i mknie dalej, powracając do swoich błahych codziennych spraw...

Takie to myśli dręczyły Daniłowa, gdy ubierał się pospiesznie, by wyruszyć do pracy. Rozważania te przerwała nieoczekiwana wizyta Koli.

Kola uklonił się od progu i wyciągnął szyję, jakby wypatrując czegoś w mieszkaniu. Spojrzenie miał dociekliwe i baczne.

– Ja wychodzę, nie mam czasu – powiedział Daniłow.

– Słuchaj, czy nie zostawiłem tu przypadkiem narzędzi?

– Nie – odparł Daniłow – nie miałeś przy sobie żadnych narzędzi.

– A w ogóle byłem u ciebie wczoraj?

– Tak. Ale krótko.

– No to gdzie jeszcze mogłem być?

– Nie wiem.

– Może na dworcu?

– Tak, byliśmy wszyscy razem na dworcu. Na Pawieleckim.

– A nie na Kurskim?

– Nie pamiętam – powiedział Daniłow. – Niewykluczone, że na Kurskim też. Zapytaj Ziemskiego, może on wie. Ale narzędzi na pewno przy sobie nie miałeś.

– Jadłem tam coś? Dlaczego mi dym z gęby wali?

– Jaki dym? Tytoniowy?

– Skąd! Taki jak z parowozu!

Kola chuchnął – i rzeczywiście wyleciał mu z ust ciężki antracytowy dym.

– Nie mam pojęcia – powiedział Daniłow. – Przecież teraz parowozów już nie ma... Zażyj krople żołądkowe, może to przejdzie.

– Zażyłem już coś lepszego od kropli!

W oczach Koli błysnęła iskierka sprytu.

– Wiesz co ci powiem, Włodziu – powiedział – daj mi dwa razy po cztery ruble i będę milczał.

– Nie mam pieniędzy. I w ogóle, co ty chcesz mi dać do zrozumienia? Że niby o czym będziesz milczał?

– No, nie powiem nikomu o tym twoim przyjacielu z Irkucka.

– Ależ opowiadaj o nim ile chcesz!

– No cóż, jak uważasz – powiedział Kola znacząco. – Obiecał mi przysłać czapkę futrzaną. Z popielic. Jak myślisz, przyśle?

– Skoro obiecał, czekaj. No, na mnie już czas!

Z tymi słowy Daniłow wypchnął Kołę na korytarz, zamknął drzwi i poszedł do windy. Kola w tym momencie dostał ataku kaszlu i całą klatkę schodową spowiły kłęby dymu.

Jadąc trolejbusem przez Srietienkę, Daniłow zauważył, że chodnikiem z szybkością trolejbusu podąża rumiany Rostowcew. Kroczył bez najmniejszego wysiłku, okrągłe oczy patrzyły na Daniłowa zza okularów badawczym wzrokiem przyrodnika obserwującego drobne żyjątko. Rostowcew miał na głowie czarny melonik, jakich nie widziano na Srietience co najmniej od osiemdziesięciu lat, w ręku trzymał drogą laskę z żółtą kościaną gałką uwieńczoną posążkiem baktriana; na lewym biodrze, tam gdzie wojskowi mają kaburę z pistoletem, widniał zwisający z rzemienia długi na metr turecki cybuch. Szedł tak i szedł, a gdy przekonał się, że Daniłow na niego patrzy, uchylił melonika i złożył ukłon. Wyraz twarzy miał przy tym najbardziej łotrowski...

Daniłow ledwo zdążył zostawić w szatni teatralnej płaszcz i czapkę, gdy ktoś ostrożnie ujął go pod rękę. Był to skrzypek Ziemski. Daniłow ciągle jeszcze myślał o Rostowcewie: czyżby go szpiegował? Tymczasem Ziemski, wbrew swym zwyczajom, cichym głosem zaprosił Daniłowa do bufetu. Zamówił trzy butelki piwa, Daniłow wziął dla siebie butelkę napoju „Bajkał”.

– Jak tam lumbago? – zapytał Daniłow. – Widzę, że skończyło się panu zwolnienie lekarskie.

– Wszystko mi przeszło wczoraj, jak ręką odjął. Chyba łaźnia pomogła. Ale... czuję się jakoś nieswojo...

– Czemuż to?

– Sam nie wiem...

Ziemski spojrzał na Daniłowa z niepokojem. Była w jego spojrzeniu nadzieja, była też prośba, tak jakby spodziewał się jakiejś ulgi po tej rozmowie.

– Nie rozrabiałem wczoraj? – zapytał.

– Wypił pan sporo, poza tym nic strasznego.

– Bez zakąski?

– Była zakąska – powiedział Daniłow – ale słaba.

– Dziwne to wszystko – pokiwał głową Ziemski – bardzo dziwne... Miałem jakieś głupie sny... Przywidzenia czy coś w tym rodzaju... – zamilkł i popatrzył na Daniłowa z lękiem. – I ten kwit... Zapłaciłem karę... Wynika z tego, że jechałem bez biletu do Mińska...

Daniłow rozłożył ręce.

– Nic ci przypadkiem nie zginęło? – zapytał Ziemski.

– Skąd?

– No, z kuchni.

– Nie zwróciłem uwagi.

– To nie twoje?

Spod fraka, niczym z głębi klatki piersiowej, Ziemski wydobyl spowity w ręcznik długi przedmiot. Położył ten przedmiot na kolanach, żeby nikt nie zobaczył, i rozwinął ręcznik. W środku był olbrzymi nóż do krajania szynki. Daniłow obejrzał nóż i na drewnianym trzonku dostrzegł drobny, skreślony atramentem napis: „Bufet kolejowy, stacja Morszańsk II. Tonią Sołoncowa. Kto ukradnie, na tego kara spadnie”. Zlitował się nad Ziemskim i powiedział:

– Tak, to mój nóż. Przywiózł mi kiedyś Murawłow.

– Nigdy nie byłem kleptomaniem – ciągnął Ziemski – i nagle takie niespodzianki! Tuż przed emeryturą!

– Mogę panu ten nóż sprezentować – powiedział Daniłow.

– Ależ po co, daj spokój! – zaprotestował Ziemski cofając się z przerażeniem.

Wypił swoje piwo jakby oczekując w napięciu, że zaraz Daniłow zaskoczy go nowym niewiarygodnym faktem, i w oczach miał iskrę ciekawości.

– Słuchaj, co z tym twoim przyjacielem, no wiesz, z panem Andrzejem... – zaczął wreszcie i od razu umilkł. Rozejrzał się z wyraźną obawą. Nigdy przedtem Daniłow nie widział, żeby ten człowiek, zawsze hałaśliwy i zaczepny, był aż tak potulny, tak onieśmielony.

– Czas już na nas, chodźmy do naszej jamy – powiedział.

– Czekał, Włodeczku, obiecałeś wpaść do mnie, posłuchać moich kompozycji. Może znajdziesz chwilę... Powiedzmy, jutro rano. Opowiem ci o Miszy Korieniewie...

– Zadzwońię do pana – odpowiedział Daniłow.

„Teraz jeszcze Kudasow zjawi się po wyjaśnienia – pomyślał. – Ależ dał szkołę ten Karmadon... Dobrze przynajmniej, że w dzień Kudasow nie wejdzie do teatru bez przepustki, a na spektakle i tak nie chodzi...” Wcale niepotrzebne mu były teraz rozmyślenia o cierpieniach Kudasowa, poza tym co to za przyjemność – taskać wszędzie ze sobą ten morszański nóż w ręczniku!

Chciał myśleć teraz tylko o Nataszy i o muzyce Pierieslegina. To, co kompozytor powiedział o altówce, wydawało mu się słuszne, choć może nie w stu procentach, ale wykonanie symfonii to sprawa całkiem inna... Poczł się niepewnie: dawniej były to tylko marzenia, w marzeniach zawsze wydawał się samemu sobie nieugięty, ale teraz propozycja nabierała realnych kształtów, wspomniano o dyrygencie i orkiestrze, nic dziwnego zatem, że zdecydowanie ustąpiło miejsca niepewności. „Czy potrafię? Chyba nie dam rady...” Im więcej o symfonii rozmyślał, tym większe ogarniały go wątpliwości. Zmartwiony obawiał się nawet, że już dziś zagra źle, że wyczuje to dyrygent i znowu diabli wezmą wyjazd na występy gościnne do Włoch. „Włochy! – pomyślał z żalem. – Czy ja dożyję do tego czasu?”

Ale oto rozpoczął się spektakl i wszystkie obawy pierzchły. Tego wieczoru grano *Coppelię*; Daniłow grał zachłannie – zresztą nie mogło być inaczej po tym, co się dziś wydarzyło. W dodatku duże znaczenie miała myśl, że może to ostatni spektakl i następnego już nie będzie. Grał więc tak, że serce w nim rosło, siedział w jamie orkiestrowej czując się artystą z prawdziwego zdarzenia...

Wreszcie przestała już falować i nieruchomo zastygła nad orkiestrą kurtyna po zakończeniu pierwszego aktu. Daniłow przypomniał sobie to wszystko, co powiedział Pierieslegin o improwizacji; miał na ten temat własne zdanie. Podniósł głowę i w tym momencie zobaczył nad barierą jamy orkiestrowej twarz Kudasowa. „Diabli nadali! – pomyślał ze złością. – Niech idzie po wyjaśnienia do Ziemskiego! Nie pożalował pieniędzy na bilet, a przecież na pewno kupił od koników...” Usiłował nie patrzeć w tamtą? stronę mając nadzieję, że powrócą myśli o muzyce, ale myśli nie powracały – widocznie spłoszył je Kudasow. Ach, jak mu było żal, przecież tak rzadko zdarzają się chwile, kiedy można sobie spokojnie pomyśleć! Kudasow jeszcze, kilka razy podchodził do bariery – i w drugiej przerwie, i w trzeciej – i patrzył na Daniłowa uporczywym wzrokiem, i wąsy poruszały mu się niespokojnie. Daniłow jednak zachował surowy, niewzruszony wyraz twarzy.

Po spektaklu wyszedł z teatru i przy wyjściu służbowym zderzył się z Kudasowem. Spojrzał na niego oschle, powiedział z miejsca:

– Nic nie pamiętam, byłem pijany. Z domu nic mi nie zginęło. Pan nie rozrabiał, wykroczeń nie popełniał. Aha, byłbym zapomniał: Ziemski prosił, żebym przekazał panu ten nóż. Proszę.

Podał mu nóż zawinięty jak przedtem w ręcznik i Kudasow wziął ten nóż bez namysłu.

– Co to za nóż? – zapytał.

– Nóż jak nóż. Do krajania szynki.

– Odprowadzę pana – zaproponował Kudasow.

– Nie trzeba – odparł Daniłow. – Idę teraz do domu, w którym lodówka jest pusta.

Kłamał oczywiście, bo miał nadzieję, że w domu, do którego zamierzał iść, coś niecoś znajdzie się w lodówce – przynajmniej pasztet na dnie puszki albo kawałek kielbasy. Jadło się wczoraj dużo, ale późnym wieczorem znowu, poczuł głód, a więc przyszedł już zapewne do siebie po porannych przejściach. A może czarna dziura pochłonęła sporo kalorii albo tamten straszliwy wybuch w ogóle nie zakłócił funkcji organizmu, to znaczy fizycznej jego istoty...

– Ja pana bardzo proszę... – powiedział błagalnie Kudasow.

– Nie – odparł Daniłow chłodno. – Koniec.

I odszedł.

Obejrzał się za siebie: Kudasow za nim nie szedł. „Czyżby udało mi się pozbyć tego przeklętego noża?” – pomyślał nie wierząc we własne szczęście.

Do Bramy Pokrowskiej dojechał trolejbusem i skręcił już w zaułek Chochłowski, gdy poczuł, że ktoś się za nim skrada. „Cholerny Kudasow!”

– zmartwił się Daniłow, ale gdy stanął i przyjrzał się w mroku sylwetce:

– prześladowcy, zrozumiał, że to wcale nie Kudasow, tylko rumiany pirat Rostowcew. Wyjął z kieszeni indykator; naga rubensowska dama nie zareagowała na obecność Rostowcewa, a więc był to rzeczywiście on, a nie przebrany pan Walenty czy jakiś inny agent. „Czego ten drab ode mnie chce, po co za mną łązi?” – myślał Daniłow. Chciał podejść do Rostowcewa i zapytać wprost, co oznacza ta zabawa w detektywa, ale było już późno, spieszył się do Nataszy.

Natasza otworzyła mu od razu, tak jakby czekała za drzwiami.

Potem nastął czas miłości – czas spokoju, czas zapomnienia o wszystkich, troskach...

Wiele zdążyli sobie powiedzieć, choć właściwie słowa nadal były niepotrzebne. Nie dalej jak poprzedniej nocy Daniłow starał się nie myśleć o Nataszy: sprzeczka z Karmadonem, zaloty pana Andrzeja z Irkucka – wszystko to zdawało się oddalać go od Nataszy coraz bardziej; dopiero teraz, po swoim powrocie do życia, zrozumiał, jak bardzo ją kocha i jakim ona, darzy go uczuciem.

Nie obchodziło go nic, co nie miało związku z ich miłością, choć słuchał opowiadań Nataszy i sam jej coś opowiadał. Nawet tajemnicza historia. Miszy Korieniewa, która do niedawna tak go frapowała i dręczyła, wydała się teraz historią jakiejś fikcyjnej postaci literackiej. Wiedział jednak, że nadejdzie jutrzejszy dzień i znowu powróci zainteresowanie losem zmarłego skrzypka, ale teraz Korieniew nic go nie obchodził. W ostatnim liście Misza pisał o swej miłości do Nataszy, ale Natasza już go nie kochała. Nie kochała! Właśnie ta świadomość była dla Daniłowa najważniejsza.

Mimo to poprosił Nataszę, by pożyczyła mu ten ostatni list. Chciały przeczytać go uważnie.

Powróciwszy rano do Ostankina, Daniłow wyjął z koperty list Korieniewa. Tych partii listu, w których była mowa o uczuciach, nie czytał wcale, tylko, przebiegł je wzrokiem. W liście Misza trzykrotnie powtórzył słowa, które Daniłow kiedyś od niego słyszał: „Kto się boi, jest w miłości niedoskonały”. Tych słów, co utkwily w pamięci bodaj na zawsze, autor listu użył właśnie w tych fragmentach, które miały dla Daniłowa znaczenie.

Korieniew pisał:

„Kto mi pomoże uśmierzyć wewnętrzny bunt? Co mam robić? Spocząć: na laurach? Albo próbować szczęścia w miłości? Sławy nie zaznam, kochać kobiety taką miłością, jakiej jest godna, już nie potrafię. Kto się boi, jest w miłości niedoskonały. Kochać życie, ludzi? Ale świat mnie przytłacza, marznę, drzę pod jego okrutną presją... Chyba pozostała mi tylko muzyka, tymczasem nawet muzyka przyprawia mnie o zimny dreszcz. To straszne! Czyżby miał rację Z. (nazwisko napisane było najpierw w całości, ale później skreślone) – i uznać trzeba, że nie ma w życiu niczego ponad ciszę? Czy istotnie cisza kryje w sobie tyle błogości, że potrafi uśmierzyć każdy wewnętrzny bunt? Czy tylko cisza jest równoznaczna z harmonią? Nie, o nie! Nie złożyłem jeszcze broni, jeszcze Kocham dźwięki! Spróbuję jeszcze stanąć w szranki z muzyką... Boję się tylko, że zgniecie mnie, zmiażdży, rozniesie w strzępy niepojęta siła... Wówczas dopiero nastąpi cisza. Cisza! Szczyt wszystkiego! Taki będzie ostateczny, najgłębszy sens tajemnicy M.K.”

Była ósma. Daniłow wiedział, że Ziemiński wstaje wcześniej, i zadzwonił do niego.

– Dzień dobry panu – powiedział. – Przepraszam, że niepokoję, ale wczoraj zapraszał mnie pan do siebie.

– Naturalnie – odezwał się Ziemiński. – Przyjdź za kwadrans, czekam.

W kwadrans później otworzył przed Daniłowem drzwi i dożywszy ukłon jak tancerz zapraszający do menueta, poprowadził gościa do dużego pokoju. Daniłow spojrzał na swoje dżinsy, na zdeptane pantofle i poczuł się zażenowany. Pan domu miał na sobie piękny koncertowy frak, koszula i motylek lśniły taką świeżością, jak gdyby zostały najstaranniej odprasowane specjalnie z okazji tej porannej audjencji. Daniłow rozejrzał się i zrozumiał, że Ziemiński nie tylko czekał, ale przygotowywał się skrupulatnie do jego sąsiedzkiej wizyty. Stał przed gościem tak, jak stoi artysta na scenie czując napiętą uwagę zaczajonej w mroku widowni.

– Siadaj w tym oto fotelu! – powiedział tubalnym basem.

Ten potężny bas brzmiał dziś surowo i uroczyście: Ziemiński zdawał się nagle zapomnieć, że przywykł głośno dowcipkować, świntuszyć, a niekiedy używać swych niepospolitych możliwości głosowych do rozbijania w drobny mak cienkich szklanek.

– Napijesz się koniaku? – zapytał.

– Koniaku? Przecież za chwilę mamy iść do pracy! Zresztą nie mam nawet ochoty.

– Ja sam koniaku nie piję, wiesz o tym. Wolę wódkę. Ale dzisiaj... Proponuję po jednym kieliszku dla animuszu i lepszej percepcji.

– No cóż, chyba że dla percepcji – powiedział Daniłow i wypił kieliszek koniaku.

Siedział w czarnym aksamitnym fotelu, szerokim i miękkim, o bardzo wygodnym wysokim oparciu. Oparcie łagodnie spływało ku poręczom; ich owalne zarysy przypominały uszy słonia. Daniłow zazdrościł Ziemińskiemu tego fotela, marzył o takim samym dla siebie. Ach, siedzieć w tym fotelu (a za oknem zamieć), nogi przykryć pledem i trzymać w rękach książkę albo po prostu o czymś rozmyślać!... Albo i nie rozmyślać o niczym, tylko drzemać... Ach, jak dobrze... Ale wszystko to tylko marzenia – wątpliwe, by przyszło mu

kiedys drzemać lub rozmyślać w błogim aksamitnym spokoju, zwłaszcza że na poszukiwania takiego fotela po komisach nie miał ani czasu, ani pieniędzy. Pozostawało cieszyć się tym, że dziś po raz pierwszy Ziemski pozwolił mu zająć honorowe miejsce. Daniłow był w siódmym niebie zdając sobie sprawę, jata to wymowny gest ze strony gospodarza.

– Tak, Włodeczku – przemówił Ziemski – czasu mamy rzeczywiście niewiele. Dlatego od razu przegram ci swoje kompozycje. Mam tu różne, między innymi tradycyjne, mam symfonie, oratoria, balet, mam też różne utwory instrumentalne – nie tylko na skrzypce, ale i na organy, fortepian, flet piccolo i tak dalej... Inne też mam... Ale tych innych możesz początkowo nie zrozumieć, mogą cię denerwować. Zagram ci na początek dwa małe utwory skrzypcowe – nawiasem mówiąc, grałem je twojemu przyjacielowi. Pan Andrzej powiedział, że szczególnie spodobał mu się drugi utwór.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Daniłow.

Ziemski nie słyszał już tych jego słów: żył teraz swoją muzyką, która niepokoiła go i dręczyła. Daniłow widział to i czuł się skrępowany: jeszcze chwila – i trzeba będzie Ziemskiemu coś powiedzieć, a przecież te jego kompozycje mogą okazać się do niczego. W dodatku przyszedł tu wcale nie po to, żeby słuchać muzyki, choć muzyka bardzo go interesowała.

Ze skrzypcami w ręku Ziemski stanął przy pianinie (wielu muzykom w tym domu przydałyby się właściwie fortepiany, ale jak tu wciągnąć fortepian po schodach i gdzie znaleźć dla niego miejsce?). Daniłow patrzył na Ziemskiego od dołu, wydawał mu się teraz olbrzymi, majestatyczny i z niewiadomych przyczyn napawał lękiem. Nie był to już dawny Mikołaj Ziemskej, krzykacz i kawalarz, nazywany w zespole Ludożercą. Takiego tylko przebrać w kostium operowy i wypuścić na scenę – publiczność siedziałaby z zapartym tchem. Wymarzony chan połowiecki, książę Galicki czy Warłaam! Nawet to dla niego za mało, mógłby z powodzeniem śpiewać partię Iwana Groźnego w *Pskowiance!*... Daniłow podziwiał ten królewski majestat: nie, wcale nie potrzebuje Ziemski charakterystyki, nie potrzebuje kostiumu – ramiona ma proste, pierś szeroką i potężną, ciężarówka mogłaby spokojnie przejechać po takiej piersi nie zostawiając na niej śladu... Skrzypce, na pozór gotowe zatrzęszyć w olbrzymich łapskach, Ziemski trzymał jednak z czułą ojcowską troską. „To się nazywa prezencja!” – myślał Daniłow, ale w głębi duszy czuł się mimo wszystko nieswojo.

Ziemski uniósł smyczek.

Za jego plecami Daniłow zauważył przytwierdzony pinezkami do ściany kawałek bristolu, na którym widniał wykonany plakatówką napis: „Ze wszystkich naszych pięciu zmysłów słuch, niewątpliwie, doznaje najmniej naturalnych przyjemności”. Obok wisiał inny kawałek papieru z wypisaną na nim maksymą malarza Aleksandra Iwanowa o sensie twórczości. „Przygotował się solidnie” – odnotował Daniłow na własny użytek.

– Pierwsza kompozycja nosi tytuł: *Pożegnanie z pokojem hotelowym w Tambowie* – zapowiedział Ziemski takim głosem, jakby miał przed sobą oprócz Daniłowa przyczajone gdzieś w pobliżu liczne, choć niedostrzegalne audytorium. – Drugą nazwał: *Cierpienia o poranku w okolicach Koryntu*.

Przeciągnął smyczkiem po strunach, ale żadnych dźwięków Daniłow nie usłyszał: smyczek, zadumany i smutny, przepływał w minimalnej odległości od strun. *Pożegnanie*, jak należało sądzić, utrzymane zostało w konwencji elegijnej – widocznie coś bardzo smutnego przydarzyło się twórcy w tym Tambowie. Początkowo Daniłow śledził ruchy smyczka z zainteresowaniem spodziewając się, że – jak głuchy z warg rozmówcy – odczyta, odgadnie sens utworu. Ale nic z tego nie wyszło: ta nowa muzyka była trudna do zrozumienia. Poczul, że uwagę ma już rozproszoną; słuchał Ziemskiego, patrzył na niego, a równocześnie kątem oka rozglądał się po pokoju. Starał się robić to dyskretnie, żeby gospodarz nie dostrzegł przejawu próżnej ciekawości... Tymczasem Ziemski niczego nie był w stanie dostrzec:

pogrążony w głębokim smutku, podsumowywał tambowski okres swojego żyda, tworzył w przyptywie natchnienia.

Skończywszy wreszcie pierwszy utwór, Ziemiński opuścił smyczek i na moment pochylił głowę, ale niemal w tejże chwili drgnął i znowu uniósł smyczek koncentrując się tym razem na cierpieniach o poranku w okolicach Koryntu. Cierpienia – czyje? może centaury? – okazały się być srogie: smyczek błyskawicznie przemykał nad strunami, nerwowo latał w powietrzu. Daniłow śledził pełne ekspresji ruchy brwi i rąk twórcy.

Ziemiński opuścił skrzypce i smyczek. Zamarł żegnając muzykę.

Daniłow milczał.

Ziemiński położył skrzypce na stole, wyczekująco spojrzął na Daniłowa, po czym rozlał do kieliszków koniak, podał gościowi kieliszek, swój wychylił jednym haustem i usiadł.

– I co? – zapytał.

– Trochę niecodzienne – powiedział Daniłow.

– Tak myślałem – odparł zmartwiony Ziemiński. – Zakładałem, że będziesz zaskoczony, a mimo to miałem nadzieję... Ta-ak... Popatrz, twój przyjaciel z Irkucka od razu coś wyczuł... I nieboszczyk Misza też...

– Panie Mikołaju – zapytał ostrożnie Daniłow – jak nazywa się ten kierunek, który pan uprawia? Ciszyzm?

– Ciszyzm – skinął głową Ziemiński.

– „Najpiękniejsze z tego, co słyszę – cisza...” To jest punkt wyjściowy?

– Poeta wyraził się trafnie, ale mój tok myśli był nieco inny.

Ziemiński wstał i przeszedł się po pokoju.

– Zresztą, Włodeczku, nie ma tu żadnej przykrej niespodzianki. Chciałem zacząć od przedstawienia ci istoty mojego kierunku, ale kusił mnie ten ryzykowny eksperyment. Myślałem, że zrozumiesz z miejsca...

– Coś niecoś zrozumiałem – bronił się nieśmiało Daniłow.

– Dobra, skoro już tu jesteś, musisz wysłuchać prelekcji – ciągnął Ziemiński nie zwracając uwagi na słowa Daniłowa. – Mam nadzieję, że prelekcja będzie krótka. A potem zagram ci jeszcze jedną rzecz, trudniejszą od tych pierwszych.

Przeprosił z góry za styl uprzedzając, że będzie używał wyrazów potocznych: nie czuje się zbyt mocny w terminologii, choć przyznaje, że każda nowa teoria musi być poparta terminologią naukową. W swoim traktacie o ciszyzmie podjął więc taką próbę, ale nie wszystkie terminy uważa za trafne.

Poprzedził swoje wyjaśnienia dygresją historyczną sięgającą głębszych źródeł muzyki tradycyjnej – tej samej, którą uprawia teraz Daniłow i którą on sam uprawiał przez trzydzieści lat. U podłoża tej muzyki leży najprawdopodobniej ten niezaprzeczalny fakt (stwierdzony zresztą już w starożytności), że słuch nasz, w stosunku do pozostałych zmysłów, zbyt mało doznaje naturalnych przyjemności – mówiąc to Ziemiński wskazał palcem pierwszy kawałek bristolu z wypisanym na nim aforyzmem. A więc oko ludzkie ciągle ma do czynienia z pięknem, choć rzeczy brzydkich też na świecie nie brakuje, tymczasem cóż odbiera nasze ucho? W tym punkcie wszystkie opinie – zarówno dawne, jak i najnowsze – są jednomyślne: ludzkie ucho jest ustawicznie narażane na brzydotę docierających do człowieka dźwięków. Słyszymy jakieś dziwne wrzaski, krakanie wron, zgrzyt piły mechanicznej, szcęk oręza, syczenie kuchennych płyt, połajanki gospodyń domowych, burczenie w brzuchu, świst spadających bomb albo wycie psów, nie mówiąc już o rzucanych tu i ówdzie przekleństwach. Hałas coraz bardziej deprymuje człowieka i wyrządza mu większe szkody niż zanieczyszczenie środowiska naturalnego. I jakże mało słyszy się dźwięków miłych dla ucha – takich jak śpiew ptaków, łagodny plusk wody czy dziecięcy śmiech! Są to nieliczne pozytywne doznania słuchowe – i trzeba do nich dodać jeszcze jedno, najważniejsze, a mianowicie głęboką ciszę. Ale cisza to osobny rozdział. No więc człowiek, na własne

pocieszenie, stworzył muzykę – czyli posegregował dźwięki i przy pomocy tonów, gam, rytmów i tak dalej stworzył przyjemne dla ucha, harmonijne współbrzmienia, które od tysiącleci mają wynagradzać mu ubóstwo dźwiękowe natury. Początkowo były to bardzo skromne zestawy dźwiękowe, które pomagały ludziom kołysać dzieci, wzniecały żar we krwi, nawoływały do bitew i ciężkich trudów, kazały padać na kolana w trakcie uroczystych ceremonii, wierzyć w potęgę siły fizycznej i w moce nadprzyrodzone. A potem powstał cały świat muzyki – świat szczególnie, bezgraniczny i wszechmocny. Tak w każdym razie sądzą ludzie, ale czy tak jest w istocie? Nie i jeszcze raz nie! Muzyka, podobnie jak każdy inny gatunek sztuki lub, dajmy na to, każda gałąź nauki, odzwierciedla poziom rozwoju ludzkości, poziom wyobrażeń człowieka o świecie i o sobie samym. Poziom ów ciągle wzrasta, ale wyobrażenia do dziś pozostają naiwne, dziecinne. Ludzie nadal nie wiedzą niczego ani o sobie, ani o świecie. Po prostu dla ułatwienia sobie życia stworzyli na własny użytek szereg pojęć umownych, zastępujących jedną umowność drugą. Jakim, na przykład, wielkim odkryciem wydawało się swojego czasu malarstwo perspektywiczne – a teraz, jeśli wziąć pod uwagę dzisiejsze osiągnięcia, perspektywiczne malarstwo Leonarda czy Rafaela staje się umowne w tymże, jeśli nie w większym stopniu, co płaszczyznowość lub odwrotna perspektywa w dawnym malarstwie sakralnym. A więc i muzyka tradycyjna jest, siłą faktu, czymś umownym i wrywkowym.

Skądże, on wcale nie chce, żeby muzyka tradycyjna została zdyskwalifikowana i zapomniana, żeby zniszczono instrumenty i spalono wszystkie nuty. Przecież gdyby do tego doszło, dla setek tysięcy muzyków trzeba by znaleźć jakieś zajęcie – muszą przecież coś jeść i karmić swoje dzieci. Zatem trudno, niech sobie dmuchają w trąbki i walą w klawisze fortepianów. Szarlatani też muszą z czegoś żyć. Należy jednak otworzyć ludziom oczy na fakt, że muzyka tradycyjna to zjawisko fragmentaryczne, które nie może pretendować do roli wyroczni. Te jej pretensje mają w sobie coś z ułomności, podobnie jak pretensje do amorów u siedemdziesięcioletniej damy, zgrzybiałej, ale wciąż jeszcze wypacykowanej i przystrojonej w klejnoty. Zwłaszcza teraz staje się to rażące, kiedy tak zwane nauki ściśle sypią jak z worka coraz większą ilością nowych odkryć, dostarczając informacji być może częściowo prawdziwych, a przecież umownych. Zmieniły się gruntownie zarówno metody informacji, jak i środki komunikacji międzyludzkiej. A zresztą szkoda mówić, wystarczy pomyśleć, co będzie dalej. Przez całe stulecia człowiek dreptał sobie pomału, aż nagle popędził przed siebie, i to jeszcze w podskokach! Żył przedtem spokojnie w zamkniętym kręgu, mieszkał w ciasnej chacie, dziś natomiast próbuje poznawać wszechświat – i kto wie, z czym się tam spotka, jakie nowe prawdy odkryje, na widok jakich otchłani posiwieją mu włosy, jakie pozna uczucia i dźwięki, jakie instrumenty potrafi wynaleźć i polubić... A może zdarzyć się tak, że ludzie w ogóle zrezygnują z wszelkich dźwięków gwoli zaoszczędzenia nerwów i zdrowia. Będą, powiedzmy, mieli dość pustych rozmów, zaczną komunikować się ze sobą drogą telepatyczną albo jakąś całkiem inną. Warto! No bo przecież, czy słowa są w stanie oddać tok myśli człowieka i całą gamę jego uczuć? Oczywiście – nie! Mowa ludzka jest zaledwie zestawem służebnych sygnałów, ubogich i żałosnych jak znaki alfabetu Morse'a. A zatem cała sztuka będzie w przyszłości inna.

– I jeszcze jedno – dodał Ziemski. – Stara muzyka jest mimo wszystko jakimś tam odzwierciedleniem harmonii. Ale czy świat to harmonia? Czy życie to harmonia? Ach, przestań krzywić się, Włodku! Daj spokój! Gdzie tu harmonia? Lew rozszarpuje łąnię, tłuste kłosa wyrastają na zbiorowych grobach, kobiety handlują własnym ciałem, pijany zboczeniec kaleczy dziecko, altowiolista Czechonin liże tyłek głównemu dyrygentowi, żeby to on, Czechonin, mógł pojechać zamiast ciebie na występy gościnne do Włoch! Też mi harmonia!

– A może Czechonin właśnie w ten sposób szuka harmonii? – zaoponował Daniłow. – Jakiejś tam harmonii na użytek własny...

Ziemski tylko machnął ręką.

– Ach, gdzie tam – mówił dalej – diabli wiedzą, czego można doszukać się w naszym świecie, tylko nie harmonii. Oznacza to siłą faktu, że muzyka tradycyjna kłamie. Po to właśnie wyselekcjonowała przyjemne dla ucha dźwięki, wytresowała je i pilnie strzeże ich porządku. Cała jest zakłamana, jest kupą tanich świecidełek. Oczywiście, trudno zaprzeczyć, że dawna muzyka do dziś potrafi ludzi wzruszać, do dziś wyciska łzy – ale dlatego tylko, że ludzie odczuwają potrzebę wzruszeń i łez, a innej muzyki nie mają. Ja, Mikołaj Ziemskoj, szanuję wielkich twórców przeszłości; niektórzy z nich, dajmy na to Beethoven, są mi pokrewni, a więc współczuję im i niezmiernie żałuję, że obrali fałszywą drogę. Niech przetrwają ich dzieła, niech i za dwieście lat brzmia dla koneserów w antykwariatach muzycznych, niczego to nie zmienia... Ale muzyka prawdziwa, która chce być adekwatna do świata, nie może wybierać z otoczenia jedynie najsmakowitszych kawałków dźwiękowych; powinna być uczciwa i serwować ludziom wszystkie istniejące dźwięki, choćby nawet przerażające czy bluźniercze; powinna ukazywać im rozdzierającą prawdę życia. Czy nasze stulecie powołało do życia nową muzykę? Nie. Owszem, nasza muzyka w porównaniu z dawną jest bardziej drastyczna i nerwowa, ale jako całość – wliczając w to odkrycia jazzu, kierunki atonalne, wynalazki pop-artu i tak dalej – a więc jako całość jest ona mimo wszystko tradycyjna, tyle że załataną ją i dosztukowano rękawy. Nadal jest umowna!

Ziemski urwał i nagle zamilkł.

– Z tego wynika, że kierunek, jaki pan reprezentuje, czyli ciszyzm, będzie pierwszym kierunkiem uniwersalnym? – zapytał Daniłow. – Stworzył pan system uniwersalnych dźwięków?

– Nie stworzyłem żadnego systemu – odparł niechętnie Ziemski – wszystkie dźwięki, jakich potrzebuje prawdziwa muzyka, po prostu nosimy w sobie. A co do ich bogactwa i autentyczności, powstaje tu taka sama relacja między nimi a bogactwem dźwiękowym świata zewnętrznego, jaka istnieje między naszą myślą lub emocją a słowem czy gestem.

Tłumaczył dalej: reasumując, nikt na razie nie wie, jaka muzyka jest ludziom potrzebna i jaką w końcu dla siebie stworzą. On też dokładnie nie wie, choć domyśla się wielu rzeczy i ma pewne przeczucia. Doszedł do wniosku, że trzeba tworzyć taką muzykę, która brzmiałaby wyłącznie w wyobraźni słuchacza. Taka muzyka nie zestarzeje się nigdy: w momencie wykonania będzie dokładnie odpowiadała stopniowi wyobrażeń słuchaczy o świecie i stopniowi rozwoju sztuki muzycznej. Naturalnie, mówiąc o słuchaczach należy brać pod uwagę tylko takich, którzy są zdolni do odbioru i wewnętrznej reprodukcji jego dzieł. Utrwalanie tych utworów na papierze, przy pomocy nut, jest bezsensowne: zapis nutowy powinien w ogóle ulec zapomnieniu, tak jak uległy zapomnieniu dawne znaki neumatyczne – te staroruskie kriuki. Nuty są w ogóle niepotrzebne; wystarczy, że utwór zostanie opatrzony rozbudowanym tytułem – a zresztą i tytuły zastąpi się w przyszłości czymś bardziej doskonałym. Rzeczą najważniejszą jest przekazanie odbiorcy głównej myśli kompozycji, w następnej fazie powinno włączyć się do procesu twórczego duchowe jestestwo słuchacza. W odtwarzanym przez niego utworze zabrzmia więc tylko takie głosy, takie melodie lub dysonanse, jakich w konkretnej chwili potrzebuje jego natura. Przecież muzykę tradycyjną każdy człowiek również odbiera swój sposób, w dodatku jest nadzwyczaj ulotna: były dźwięki i już ich nie ma, pozostają tylko nie zaspokojone pragnienia. Tymczasem utwory Ziemskiego słuchacz może odbierać samodzielnie i żadne instrumenty nie są tu potrzebne. Wyłyła stąd zasadnicze twierdzenie o uniwersalności ciszyzmu. Z jednej strony jest to całkowita cisza, z drugiej – najbardziej autentyczna muzyka wewnętrzna zakładająca olbrzymią dowolność w wyborze myśli, uczuć i dźwięków.

Dla ułatwienia odbioru swojej muzyki Ziemski skomponował wiele utworów w formach tradycyjnych, wykorzystał też powszechnie znane instrumenty – po to, by wywołać u słuchaczy ściśle asocjacje, czyli uruchomić te głosy, do jakich ludzie przywykli. Później, gdy dotrze do ludzi sens jego muzyki, potrafią zrozumieć i usłyszeć rzeczy bardziej

skomplikowane, nieustępliwe względem przestarzałych kanonów, a tym samym odkrywają w sobie nowe cechy – wzniosłe i na razie im nie znane.

– Wszystko to chciałem wyjaśnić ci od razu – powiedział Ziemski. – Teraz zagram jeszcze jeden utwór skrzypcowy. To też swojego rodzaju ustępstwo. Ale cóż mam robić, skoro nawet ty nie rozumiałaś mojej muzyki... Ten utwór, bardziej złożony, nazwałem: *Gołoledź w kwietniu, na placu Komuny*. Składa się z trzech części: pierwsza to *Wyż baryczny*, druga – *Lód na asfalcie*, trzecia – *W trolejbusie pękają szyby*.

Jak widać, rzeczywiście nie wierzył w harmonię świata: jego utwór, sądząc z nerwowych ruchów smyczka, odzwierciedlał tragiczne zderzenia żywiołów i losów. Daniłow śledził w napięciu jego grę, usiłując przynajmniej coś usłyszeć, i nagle zaczęło mu się wydawać, że w istocie słyszy jakąś muzykę, że dociera do niego coś w rodzaju nocnego wycia wiatru czy szelestu strzępków gazety, które wiatr wlecze po zamarzniętych kałużach, a gdy doszło do części trzeciej, zamknął oczy i ujrzał przed sobą bardzo wyraźnie bramę wejściową parku przy Domu Armii Radzieckiej i rozgrywającą się przed tą bramą scenę krakusy: ciężarówka z cysterną na mleko pakuje się prosto na trolejbus nr 13 – iw trolejbusie pękają szyby...

– Coś słyszałem, teraz wyraźnie coś zabrzmiało – powiedział do Ziemskiego, który chował już skrzypce.

– Nie musi brzmieć – odpowiedział Ziemski. – To musi powstawać.

– Ależ naprawdę! – ciągnął Daniłow, jakby przekonując samego siebie. – Naprawdę coś było, słowo daję!

Teraz był niemal pewien, że naprawdę słyszał nie tylko wycie wiatru, szelest papieru, brzęk szkła i zgrzyt hamulców, ale że odczuł ponadto coś szczególnego i że była to muzyka albo jakiś swoisty rodzaj muzyki. Poruszyło go to, co usłyszał; z całego serca współczuł kierowcy pechowego trolejbusu. Nie odważył się jednak powiedzieć o tym Ziemskiemu, ponieważ tamten, jak się wydawało, zamierzał osiągnąć swym utworem całkiem inny efekt.

– Niewielu znajdzie się takich, którzy potrafią oprzeć się uprzedzeniom – powiedział Ziemski. – Ale później ludzie przywykną do mojej muzyki. Dobrze przynajmniej, że nie zacząłeś mnie z miejsca gromić: i dla mnie to miłe, i tobie przynosi zaszczyt.

– Z muzyką instrumentalną jeszcze pół biedy – powiedział Daniłow – ale co z baletem?

– Sam rozumiesz, że balet to również ukłon w stronę przeszłości. Zasada pozostaje ta sama: trzeba przekazać główną myśl publiczności i wykonawcom, jeśli wykonawcy będą w ogóle potrzebni. Dla jednostek mniej zdolnych w sensie twórczym można opracować libretto, ale skrótowe, typu streszczenia, jak w programie. Z czasem, jak sędzę, zapotrzebowanie na wykonawców odpadnie całkiem. Każdy będzie słuchać i oglądać spektakl rozgrywający się w jego wyobraźni – jeden z przyzwyczajenia wybierze się w tym celu do teatru, drugi pozostanie w domu, usiądzie w takim fotelu jak ten i wystarczy tylko zamknąć oczy...

– W takim razie wystarczyłoby, żeby Czajkowski podał tylko główną myśl *Jeziora łabędziego* czy *Śpiącej królowej*, a potem pozostawił nam całkowitą swobodę w traktowaniu swych dzieł – powiedział Daniłow. – Może powstałyby nowe interpretacje, znacznie głębsze, nacechowane większą indywidualnością niż utwory autorskie?

Ziemski ni to ułowił w słowach Daniłowa ironię, ni to przyjął porównanie jego osoby z Czajkowskim jako złośliwą aluzję – w każdym razie poczuł się dotknięty.

– A właśnie że nie mógł Czajkowski tego zrobić, nie mógł! – zawołał z żarem, ale natychmiast spuścił z tonu, jakby tracąc nagle wszelkie zainteresowanie przedmiotem zainicjowanej przez siebie rozmowy. – Jesteś, bracie, spętany tradycją i tych pęt nie zamierzasz na razie rozrywać. Po prostu je' lubisz. Smutne to, ale rozumiałe. Jesteś młody, zaczynasz grać dobrze, powiedziałbym nawet – świetnie, a więc w tradycyjnej muzyce pokładasz zbyt wielkie nadzieje. Ja też byłem kiedyś taki jak ty, mam w tej oto szafie pełny wór nagród i dyplomów. Mógłbym zająć daleko, ale zaczęły mnie zżerać wątpliwości, doskonałość mi się zamarzyła, doskonałość! Rozumiałem jednak, że doskonałości nie

osiągnę. Wtedy wszystko zaczęło mnie nudzić. Mimo to nie złożyłem broni – i odniosłem zwycięstwo. Jako twórca, artysta i myśliciel znajdę doskonałość w ciszyzmie. Dojdę do tego, a może już nawet doszedłem. A co do ciebie – graj sobie, graj, niech dźwięczy twoja altówka, póki dźwięczeć może. Na razie z ciebie odkrywca, optymista, szybujesz na skrzydłach i świat wydaje ci się piękny. To młodość.

– Jaka tam młodość... – odezwał się Daniłow ze smutkiem.

– Chociaż właściwie... Misza Korieniew w twoim wieku poniósł już porażkę...

– Bywał u pana?

– Tak. Polubiłem go jak syna.

Ziemski nagle wstał i zaczął przemierzać krokami pokój. Daniłow, wyrzucając sobie nietaktowność, postanowił, że będzie milczał, ale ciekawość wzięła górę.

– I co, Korieniew przyjął zasady ciszyzmu? – zapytał.

– Zrozumiał mnie, ale przeraził się mojej teorii. Był przerażony nie na żarty. Ostami jego czyn świadczy jednak o tym, że Staął po stronie ciszyzmu.

– Czyżby?

– Tak – powiedział Ziemski z przekonaniem. – To, co dzisiaj usłyszałeś, jest zaledwie pierwszym słowem w elementarzu, które udało ci się przesyłabizować. Strefa najgłębszej ciszy to obszary, do których odszedł Korieniew. Właściwie odszedł – nie to słowo. Wzbił się, uleciał – tak by należało powiedzieć.

– A więc dla pana ta cisza najgłębsza – czy najwyższa – to zanik osobowości, śmierć? Tak czy nie?

– Nie – odparł Ziemski z pasją. – Dla mnie – nie! Jestem twórcą! Dla mnie moja muzyka jest przedłużeniem życia. Albo jego symbolem, nawet jeśli życie składa się z samych tylko smutków i grzechów. A dla słabej natury, takiej jak Korieniew, ten skok w ciszę wydaje się szczęściem.

– Misza odszedł i zabrał ze sobą „tajemnicę M.K.”...

– Tajemnicę? – przerwał mu nagle Ziemski. – Skąd ty o tym wiesz?

– Przeczytałem jego list. M. K. to chyba inicjały Miszy: Michał Korieniew. Zgadza się?

– Miał ostatnio stany lękowe – powiedział Ziemski. – Bał się dosłownie wszystkiego. Ale też z tym wszystkim, co go tak przerażało, gotów był stoczyć walkę. A w pierwszym rzędzie zamierzał walczyć z samym sobą. Kiedy usłyszał ode mnie, że muzyka tradycyjna wcześniej czy później powinna zniknąć albo umrzeć, też przeraził się, skamieniał, tak jakby stanął na skraju przepaści. A potem powziął decyzję: udowodnić wszystkim i samemu sobie, że ta muzyka nie jest czymś błędnym i wrywkowym, że może być wielka, tak jak wielki może stać się on – jej wyznawca. Tak się jednak złożyło, że niczego nie udowodnił...

– A mógł udowodnić?

– Nie wiem. Myślę, że nie mógł... Był to chłopak wesoły, lekkomyślny, żył w dostatku. A potem jakby nagle przejrzał. Postawił sobie pytanie: „Po co ja żyję?” – i dobrze zrobił, bo od tego momentu poczułem do niego sympatię. A jednak lepiej takich pytań nie stawiać... Ogarnęło go przerażenie na myśl o sobie samym i o świecie. Chciał zmienić się od razu, nie czekając, ale było to niemożliwe. Wtedy postanowił spróbować buntu. Chcąc usprawiedliwić swoje istnienie, zamierzał w muzyce – tej tradycyjnej, oczywiście – spowodować coś w rodzaju pożaru albo fajerwerku. I cóż – zrozumiał tylko tyle, że on sam jako muzyk w ciągu tych beztrosko spędzonych lat wypalił się powoli do cna. Zresztą, między nami mówiąc, nigdy nie miał zadatków na geniusza...

– Wiem – skinął głową Daniłow.

– No właśnie... Tymczasem miotał się i nie mógł znaleźć sobie miejsca: to popadał w istny szal marząc o panowaniu nad muzyką, to znów siły go opuszczały i mówił, że muzykę rzuci i odejdzie – zostanie kierowcą albo czymś tam jeszcze... Patrzyłem na niego i rozumiałem, że owszem, odejdzie, ale bynajmniej nie po to, żeby zostać kierowcą...

- Nie usiłował pan powstrzymać go od takich myśli?
- Nie.
- Przecież powiedział pan, że polubił go jak syna...
- Każdemu jest coś pisane... Czy byłoby lepiej, gdyby uspokoił się, przestał rozmyślać o tym, co przekracza jego siły? Nie! Otwierałem przed nim coraz to nowe obszary, nie chciałem gasić zżerających go płomieni. Obsesje miał coraz silniejsze. Dowiedział się, że maszyna elektronowa zaczęła komponować muzykę nie gorzej od kompozytorów-szarlatanów – i znowu popadł w panikę. Wcale nie próbowałem go pocieszać, przeciwnie. Ze mną też działo się coś podobnego, ale poddać się nie zamierzałem. Tak to już jest: albo – albo. Nie da się inaczej. Skoro Misza nie wytrzymał – oznacza to, że nie mógł wytrzymać...
- Kusił go pan... Spychał na skraj przepaści...
- Być może. Gdybyś nawet powiedział, że popychałem go powoli do tego okna, też miałbyś rację. Owszem, kusiłem. Owszem, popychałem. I wcale tego nie żałuję. Pchałem go nie na skraj przepaści, ale na drogę wyboru, na drogę ostatecznej decyzji. Podjął taką decyzję: wybrał ciszę. Innej możliwości nie miał.
- Wszystko to jest okrutne.
- Niech i tak będzie. Okrutne, ale uczciwe. A w stosunku do mnie to nie okrutne? Przecież bardzo Miszę polubiłem... Nie mogłem nawet pójść na pogrzeb, nie miałem sił...
- Ale pan żyje, a Miszy już nie ma!
- Odszedł tam, gdzie cisza. Najgłębsza cisza... A ja cierpiałem... Nie powstrzymywałem go, potrzebny mi był wstrząs, bo właśnie komponowałem mój najlepszy utwór... Skończyłem i zadedykowałem ten utwór pamięci zmarłego skrzypka. Ta kompozycja będzie dla ludzi wstrząsem!
- Z tego wynika, że śmierć Miszy stała się dobrodziejstwem dla wszystkich: dla pana, dla muzyki i dla ludzi?
- Tego nie powiedziałem. Nie dobrodziejstwem, koniecznością. Świat jest rozbity i skrzypek Korieniew nie mógł tej świadomości znieść. Ktoś inny mógłby, ale nie on. Twórca, który zamierza ukazać śmiertelną walkę osobowości ze światem...
- Taki jak pan?
- Taki jak ja. A więc taki twórca nie może kierować się chłodnym rozsądkiem; powinien przemawiać z pozycji ojca, który widzi cierpienia syna i sam cierpi. Taki jest jego obowiązek. Siwizną, krwawicą musi zapłacić za wielkie dzieło... A ja dobrze wiem, co stworzyłem!
- Stał nad Daniłowem niczym gigant nad karzelkiem. Czy to ten sam Ziemski, który jeszcze wczoraj, w bufecie, cofał się z lękiem na widok noża z Morszańską? Nic podobnego: dzisiejszy Ziemski przemawiał jak prorok, święcie przekonany, że spełnią się jego proroctwa. Z triumfem w oczach unosił się teraz ponad całą ludzkość.
- Mimo wszystko to okrutne – powiedział Daniłow surowo.
- Prawdziwy artysta musi być okrutny! – zawołał Ziemski. – Inaczej będzie jak skrzypek Szytow, co to pcha przed sobą wózek z dziećmiakami i wyręcza żonę w praniu bielizny! Ten Szytow miał kiedyś talent! Rozumiesz – talent! I co ze swoim talentem zrobił? Jest zerem, gospodynią domową w portkach. Rzemieślnikiem w orkiestrze. A wszystko dlatego, że zanadto przejmował się rodziną. I przejmuje się nadal. Został niańką, pielęgniarką, służącą. Dla wielkiego artysty cały świat, a zwłaszcza kobiety, to jedynie materiał pomocniczy... Owszem, wolno artyście współczuć ludzkości, ale być na czyichkolwiek usługach – to znaczy popaść w zależność od ojca, matki, syna, wszystko jedno od kogo – artysta nie ma prawa!
- Daniłow nie mógł dłużej siedzieć przed stojącym Ziemskim, a więc wstał. Zrobił to gwałtownie, jakby na znak protestu. Ziemski dostrzegł tai odruch, opamiętał się jak gdyby i mówił teraz ciszej.
- Właśnie dlatego prawdziwy artysta bywa najczęściej samotny. Ja jestem samotny. Ty też.

– Ja? Samotny? – zdziwił się Daniłow.

– Tak, jesteś samotny – skinął głową Ziemski. – Powiem ci otwarcie: masz szansę zostać muzykiem wysokiej klasy – oczywiście w ramach dawnych, przestarzałych kategorii. Słucham twojej gry od siedmiu lat, a może nawet dłużej. Wyniki masz coraz lepsze i zdolności bez porównania większe niż nieboszczyk Korieniew. Zginął ci Albani, ale ze zwykłej altówki potrafisz jeszcze więcej wydobyć.

– Skąd pan wie o Albanim?

– Wiem... – powiedział Ziemski. – Masz niewątpliwe zadatki na prawdziwego artystę. Jesteś samotny. Nie musisz być niczyją niańką ani pielęgniarzką. Na razie nie masz w sobie okrucieństwa, ludziom jest z tobą lekko, ale jeśli zapragniesz być artystą z prawdziwego zdarzenia, staniesz się okrutny. Pójdiesz wtedy po trupach... Tak będzie, zapamiętaj moje słowa. Nie powtarzaj mi teraz banałów, że geniusz nie może być łotrem – to pięknie brzmi, ale w tym frazesie kryje się za dużo dobrych chęci. Kryje się w nim pragnienie rzeczy niemożliwych, pragnienie świata harmonii, który nie istnieje. Świat zna wielu geniuszy-łotrów. Zresztą nie o tym chciałem powiedzieć, ale o bezwzględności. O bezwzględności w sensie życiowym, w żadnym innym...

– Do tych łotrów siebie pan też zalicza? – zapytał Daniłow.

– Ach, nic to nie ma do rzeczy – zmieszał się Ziemski – różnie bywa w życiu... Znam takich, którzy poszliby na wszystko, żeby zasłużyć na miano geniuszy albo przynajmniej za geniuszy uchodzić... Niektórzy nawet za przelotny sukces, za drobną namiastkę sławy gotowi są zapłacić najwyższą cenę... A Misza Korieniew? W chwilach rozpaczki sprzedałby duszę diabłu! Próbował grać Paganiniego, nic mu nie wychodziło, myślał więc, że pewnie Paganini wszedł w spółkę z szatanem...

– Nieprawda! – powiedział Daniłow.

– Jak to nieprawda? – zawołał Ziemski wysokim, napiętym głosem. – Były takie chwile, że wolał uwierzyć w możliwość tej spółki! Zresztą co tam Misza, ja też wiem, jak to bywa...

– Mówi pan poważnie? – zapytał Daniłow.

– Najpoważniej w świecie! Ogarnia mnie czasami taki smutek, że ja, Mikołaj Ziemskej, gotów jestem paść na kolana przed kimkolwiek – przed istotą nadprzyrodzoną czy przybyszem z planety o wyższej cywilizacji niż nasza – paść na kolana i błagać, żeby uczyniono mnie sławnym i wszechmogącym przynajmniej w sztuce, a co do ceny – można żądać ode mnie każdej!

I z tymi słowy Ziemski runął przed Daniłowem na kolana.

– Podpiszę każdy cyrograf, choćby najstraszniejszy, krwią to krwią, wszystko jedno! – zawołał. – Potrzebna wam moja dusza, bierzcie duszę, życie potrzebne – bierzcie życie, zniosę potem wszystkie męczarnie, zrobię wszystko, czego zażądacie! Niech tylko spełnią się moje pragnienia, zróbcie to, błagam!

– Panie Mikołaju, niechże pan wstanie, po cóż klęczy pan przede mną?

– A przed kim mam klęczeć? – zapytał Ziemski.

– Proszę wstać natychmiast – powiedział Daniłow oschle. – To niesmaczne, słowo daję.

Ziemski, który padł mu do nóg tak błyskawicznie, wstawał teraz powoli, z wysiłkiem, tak jakby lumbago dopiero w tej chwili dało o sobie znać. Starczym krokiem zbliżył się do fotela, a gdy usiadł, Daniłow zauważył, że płomień w jego oczach zgasł. Nadzieja znikła.

– Rozumiem pański dowcip, wiem, że dobry z pana aktor – powiedział Daniłow kiwając głową – ale przyszedłem tu wcale nie po to, żeby brać udział w piętnastowiecznych misteriach.

– Masz rację – zgodził się Ziemski.

Zmierzył go szybkim spojrzeniem, ale natychmiast spuścił głowę. Milczał chwilę, po czym zapytał:

– A ten twój przyjaciel z Irkucka... Jakie ma plany – przyjedzie tu znowu?

– Nie wiem – odparł Daniłow. – Nie wiem, ale myślę, że klęczenie przed nim też byłoby nierozsądne.

– Być może, być może... – wyszeptał Ziemski. – Ja tylko tak... na wszelki wypadek...

– Zresztą i po cóż? – ciągnął Daniłow. – Po co panu czyjaś pomoc? Nie jest pan pewien swojego ciszyzmu?

– Jestem! Jestem pewien! – powiedział Ziemski z żarem. – Ale któż by wiedział o istnieniu Kopciuszka, gdyby biedna sierotka, uciekając o północy z pałacu, nie zgubiła na schodach kryształowego pantofelka?

– To znaczy?...

– To znaczy – kto zrozumie mnie teraz? Kto dowie się za sto lat o moich utworach? Nikt! Zginę mamie, a potem przyjdą do mojego mieszkania dzieci ze szkoły, pozbiorą moje papiery i zanoszą do punktu skupu makulatury, no bo komuż są potrzebne szpargały zwyczajnego grajka ze zwyczajnej orkiestry? Po to, żeby zainteresować świat moimi pomysłami i moją twórczością, po to, żeby w moich papierach za sto lat zaczęli grzebać mądrzy ludzie, muszę zdobyć rozgłos już teraz – teraz, za życia! Niechby nawet w tej zakłamaney starej muzyce! Niechby i ze skandalem. Nawet lepiej ze skandalem, to zawsze chwyta. Moje nazwisko powinno utkwic w ludzkiej pamięci! Potrzebny mi kryształowy pantofelek Kopciuszka, choćby nawet wyglądał jak zdeптany chłopski bucior. W tym celu gotów jestem podpisać każdy cyrograf. Krwią też podpiszę!

– Przykro mi, ale nie mogę panu w niczym pomóc – powiedział Daniłow.

– Czyżby?

– Panie Mikołaju, proszę na mnie tak nie patrzeć. Może chce mnie pan zastraszyć, tak jak Miszę Korieniewa?

– Akurat – odezwał się ponuro Ziemski. – Ciebie nie zastraszę. Przestraszysz się niedługo sam, jeśli tylko zamierzasz serio osiągnąć szczyty. Tak się przestraszysz, że pewnego pięknego dnia podejdziesz do okna i pomyślisz: „A może Misza miał rację?...” Oczywiście pod warunkiem, że jesteś tym, za kogo się podajesz...

– Za nikogo się nie podaję – odparł Daniłow. – Odnoszę jednak wrażenie, że bierzę pan mnie za kogoś innego. Pytanie tylko – za kogo?

Nie ma znaczenia...

– Widzę, że pan, dorosły człowiek, ubzdurał sobie coś bardzo naiwnego i sam w to uwierzył – powiedział Daniłow ze złością. – śmieszne to i niemiłe. Pozwoli pan, że go pożegnam.

– Przepraszam cię, Włodeczku – szybko odpowiedział Ziemski – naturalnie, to tylko żarty. Sam wiesz, że nie wszyscy w moich żartach gustują. Wybacz i zapomnij o tym, co mówiłem. Czas na nas, musimy iść do teatru, do naszej kochanej jamy. Należę ci jeszcze koniaku, ostami kieliszek. A ja napiję się dobrego wina.

Napełnił kieliszek Daniłowa, po czym wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił z wielkim pucharem zrobionym, jak stwierdził Daniłow, z ludzkiej czaszki. U góry i u dołu widniały srebrne grawerowane obwódki. Wino w pucharze miało kolor wiśniowy i było półprzezroczyste. „Skąd znowu te rekwizyty? – skrzywił się Daniłow. – Na wodza Pieczyngów pozuje czy co?”

– A więc wszystko to żarty, Włodeczku – oznajmił Ziemski. – Nie uwierzyłem, rzecz jasna, w żadne bzdury, na razie ufam tylko sobie. Gdyby przyszło mi urodzić się o pięć stuleci wcześniej, byłby ze mnie Waśka Busłajew, kosiłbym w bitwach całe drużyny. Pamiętasz, jak to Busłajew powiedział: „Ni w sen nie wierzę, ni w gusła, jeno w moją palicę czyrzwioną”...

Roześmiał się, a potem z sygnetu zdobiącego środkowy palec lewej ręki wysypał do kielicha jakiś czerwony proszek. Wiśniowy płyn zawrzał, zabulgotał, uniosły się nad nim opary. Ziemski szybkim ruchem podniósł kielich do ust i osuszył go do dna, jak zwyczajną

szklankę. Daniłow, choć nie miał już ochoty na koniak, też wychylił swój kieliszek. „Co za mistyka!” – pomyślał.

W przedpokoju powiedział do Ziemskiego:

– Palicę może pan pozostawić przy sobie, to pańska sprawa, szkoda tylko, że przez pana Misza miał życie tak krótkie.

– Czy przeze mnie, to jeszcze pytanie! – zarechotał Ziemski.

Widocznie tamten wiśniowy płyn sprawił, że odzyskał animusz. Rozpierała go energia; olbrzymim brzuchem przygniótł Daniłowa do ściany i ogłuszył tubalnym basem:

– Nie udawaj bohatera! Co ty wiesz? Nic nie wiesz! Tajemnicę M.K. Misza zabrał ze sobą! Spróbuj no rozwiązać zagadkę! Spuchniesz!

Daniłow złożył pożegnalny ukłon i Ziemski z trzaskiem zamknął za nim drzwi.

„Chciałbym jednak wiedzieć, za kogo on mnie bierze – myślał Daniłow wybierając się do pracy. – Jeszcze pół biedy, jeśli rzeczywiście za kosmitę, a gdyby tak, powiedzmy, za oszusta czy agenta obcego wywiadu? Napisze donos, wyśle gdzie trzeba i przysporzy ludziom niepotrzebnych kłopotów...” Postanowił, że najlepiej będzie, jeśli postara się o wymazanie z pamięci Ziemskiego wszelkich refleksji dotyczących znajomości z panem Andrzejem, wspólnych rozmów i spacerów. Trzeba zrobić tak, jak gdyby nigdy nie istniał ani sam pan Andrzej, ani tamten nóż z Morszańska. I o wszystkich potknięciach Daniłowa w czasie wspólnych eskapad z Karmadonem Ziemiaki powinien zapomnieć.

Tak się też stało. Ziemiaki zapomniał o wszystkim natychmiast. W teatrze zachowywał się spokojnie, Daniłowa nie zaczepiał...

Następnych parę dni upłynęło na zwykłych sprawach: Daniłow dużo grał, to w jednej orkiestrze, to w drugiej. Nocami ćwiczył w domu swoją partię z symfonii Pierieslegina. Z trudem udawało mu się wykroić czas na spotkania z Nataszą. Bez przerwy dzwoniła Klaudia, dzwoniła nawet do teatru, w jej głosie brzmiał wyrzut. Nalegała, by odwiedził jej Monplaisir – miała na myśli mieszkanie, które Daniłow opuścił i za które nadal uiszczał opłaty. Po czterech dniach nieustannych nagabywań zrozumiał, że Klaudia nie odczepi się od niego, dopóki nie złoży jej wizyty.

Przywitała go ubrana bardzo starannie – gotów był pomyśleć, że interesuje ją jako mężczyzna. Tusz na rzęsach i cień na powiekach Klaudii utrzymane były w stylu „Las spowity tajemnicą”. Istotnie, zarówno w obliczu pani domu, jak i w jej wypowiedziach dało się wyczuć intrygującą zagadkowość. Daniłow wiedział jednak, że żadnej tajemnicy Klaudia długo nie zachowa, toteż o nic nie pytał.

– Czy nie wydaje ci się przypadkiem, że w twoim stosunku do mnie nie ma już dawnej rycerskości? – zapytała Klaudia rozstawiając na kuchennym stole filiżanki do herbaty.

– Nie, wcale mi się nie wydaje – odpowiedział Daniłow.

Klaudia spojrzała na niego zdziwiona.

– Ciekawe, skąd ta nagła zmiana? Nie spodziewałam się po tobie arogancji.

– Jestem zmęczony, a ty traktujesz mnie jak chłopca na posyłki – powiedział Daniłow. – Gdybym miał więcej czasu, być może chętnie służyłbym pomocą, ale teraz załatwianie twoich spraw jest dla mnie uciążliwe.

Klaudia dała spokój filiżankom i usiadła na taborecie.

– Ach, Daniłow – powiedziała – przecież widzę w tobie przyjaciela. Jesteś mi potrzebny, chcę utrzymać z tobą więź duchową.

– Więź duchową powinien ci zapewnić Wojnow, profesor, autor mądrych książek...

– To prawda – zgodziła się Klaudia – ale są przecież tajemne zakątki duszy...

„Rany, do czego doszło – tajemne zakątki!” – zmartwił się Daniłow.

– A co do twojej Nataszy – ciągnęła Klaudia – zaprzyjaźniłam się z nią. Zrobiła mi turban, szybko zrobiła. Jestem zadowolona, zaraz ci pokażę. Tylko ten turban trzeba nosić do wieczorowej sukni. Zaczekaj chwileczkę...

Wyszła do sąsiedniego pokoju. Daniłow zawołał za nią, że nie chce oglądać żadnych turbanów, bo czasu ma tylko pół godziny. Nie poskutkowało, musiał więc pogodzić się z losem – zresztą ten uszyty przez Nataszę turban trochę go interesował.

Ku zdumieniu Daniłowa, Klaudia uporała się w ciągu piętnastu minut, po czym zawołała go do pokoju. Daniłow wszedł i zapomniał o wszystkich przykrościach. Królowa brytyjska miała ujrzyć małżonkę profesora Wojnowa w czarnej aksamitnej kreacji i czarnym turbanie.

Śmiały dekolt odsłaniał plecy i efektownie prezentował biust moskiewskiej piękności, brylantowe grono zdobiło wieczorową toaletę. Na turbanie też mieniły się brylanty.

– Cóż, ładnie to wygląda – orzekł Daniłow.

Cieszył się szczerze za Klaudię, turban też był ładny, choć blask brylantów nie pozwalał ocenić dzieła Nataszy w szczegółach.

– Na wieczorne przyjęcie u królowej zrobiłam oprócz tego toczek z gronostajów – powiedziała Klaudia. – Ale tamten jest do innej sukni, do białej, która jest u Wojnowa. Toczek też tam zostawiłam.

– Szkoda – powiedział Daniłow na wszelki wypadek.

– Pewnie, że szkoda – zgodziła się Klaudia. – Chciałam ci wszystko pokazać, wiem, że masz gust. Skoro mówisz, że coś jest ładne, musi być rzeczywiście ładne.

– A tamten toczek też Natasza robiła?

– Skądże, Natasza nie kuśnierz. Ale turban uszyła bezbłędnie. Chociaż, prawdę mówiąc, bierze drogo. I cenę podała tak stanowczo, jakby miała do czynienia z milionerką. A przecież ja jestem swój człowiek!

– Nie za wcześnie to mówić „swój człowiek”?

– Ach, jaki ty jesteś, słowo daję! Myślisz, że Natasza to taka sobie zwykła gaska? O nie, możesz wierzyć kobiecie. Zaprzyjaźniłam się z nią naprawdę, porozmawialiśmy sobie o wielu rzeczach. O tobie, ma się rozumieć, i nie tylko o tobie... I wiesz, co ci powiem?...

– Skoro szyjesz kreacje na przyjęcia u królowej, to znaczy, że wybierasz się z Wojnowem do Anglii? – zapytał oschle Daniłow.

– No, na razie nie wybieram się nigdzie – westchnęła Klaudia. – Wprawdzie Wojnow stara się o wyjazd do Anglii na trzy lata, ale do wyjazdu jeszcze daleko.

– Dlaczego akurat do Anglii?

– Anglia wypadła nam z prognozy – powiedziała Klaudia rozglądając się jakby z lękiem.

– Z prognozy chłopobudów?

– Tak – potwierdziła szeptem.

– Ależ twoje kreacje do tego czasu wyjdą z mody!

– Turban i toczek z mody nie wyjdą, a suknię mogę zmienić.

– I to są wszystkie twoje tajemnice? Po to mnie zapraszałaś?

– Nie sprawił ci przyjemności mój nowy strój? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Powiedzmy, że sprawił – rzekł Daniłow niepewnie – ale po co ty mnie zwabiasz na jakieś tajemnice?

– A skrzynie cię nie interesują? No, te skrzynie, które przynosiliśmy razem z twoimi gośćmi?

– Ach, tak, rzeczywiście No i co z tymi skrzyniami?

– Chodź – powiedziała rozkazującym tonem.

Droga była krótka: z kuchni korytarzem do schowka, ale mimo tej niewielkiej odległości i słabego światła w przedpokoju Daniłow zdążył obejrzeć wystrojoną Klaudię w ruchu. Stwierdził przy tym, że nie utraciła dawnej zgrabności – wręcz przeciwnie, nabrała niepokojącego wdzięku. „Efektowna kobieta” – przyznał w duchu jakby na potwierdzenie czyjejs opinii.

Skrzynie zajmowały połowę komórki, napisy na nich, potwierdzające, że zawartość skrzyń jest własnością Wyprawy Kamczackiej, zostały zamalowane niebieską farbą. Pokrywa górnej skrzyni była zdjeta i Daniłow zobaczył wewnątrz wielki kamień.

– Kamień jak kamień – powiedział.

– Owszem, kamień. Ale jaki? – zapytała Klaudia rzucając mu tajemnicze spojrzenie, pełne triumfu, przecucia bliskiego szczęścia i świadomości własnej przewagi.

– Skąd mogę wiedzieć?

– Przyjrzyj się lepiej.

Daniłow obejrzał kamień, pomacał go, powąchał, mało co nie spróbował ugryźć. Kamień miał powierzchnię płaską, ale nierówną – widocznie został wyrwany z monolitu przy pomocy łomu albo świdra mechanicznego.

– Może to skamieniała lawa? – przypomniał sobie rozmowy o wulkanie Szywełucz.

– Lawa! – roześmiała się Klaudia i czule pogłaskała kamień.

Patrzyła przez chwilę z zachwytem na swoją zdobycz, potem zamknęła drzwi schowka i poprowadziła Daniłowa do kuchni. Nie poplamiała i nie wymięła galowej sukni, widać było, że sprawia jej przyjemność paradowanie w tej kreacji, zarówno jak w turbanie, na którym nadal lśniły brylanty z podwójnym wewnętrznym refleksem.

W kuchni zapaliła papierosa i rzekła:

– Tak, to lawa. Ale za cztery lata będą z niej szmaragdy.

– Dwie skrzynie szmaragdów?

– Może nie dwie, ale pełna szkatułka – na pewno.

– Co to, masz czarodziejski schowek?

– Schowek nie ma nic do rzeczy. Nieważne, jak zamieni się ta lawa w szmaragdy, fakt, że się zamieni.

Powiedziała to twardym, rzeczowym tonem dając mu do zrozumienia, że udziela informacji tylko takiej, na jaką on zasługuje, reszta zaś nie powinna go obchodzić. Może w ogóle nie miała prawa mówić więcej. Daniłow milczał: czuł, że Klaudię aż korci, żeby podzielić się z nim tajemnicą, toteż wołał jej nie ponaglać.

– Teraz modne są brylanty – powiedziała wreszcie – a za siedem lat, po pewnym wydarzeniu, najmodniejsze będą szmaragdy. Zapanuje na szmaragdy taka moda, taki szal, jakiego nie było co najmniej od trzech stuleci.

Daniłow milczał nadal.

– A ja wtedy będę miała dziesiątki szmaragdów, około czterdziestu, dokładnie – trzydzieści siedem! Każdy olbrzymi jak tamte z czapki Monomacha... A gdyby mi się znudziły, mogę je dobrze sprzedać.

Daniłow milczał.

– To całkiem realne, murowany zarobek – dodała Klaudia takim tonem, jakby Daniłow jej zaprzeczał.

Ale on wciąż milczał.

– Iw tym, że wytworzą się z lawy, nie będzie żadnego oszustwa, – żadnych czarów, wszystko odbędzie się zgodnie z nauką. Jeden taki naukowiec z pewnego instytutu... – Obejrzała się znowu, choć trudno było przypuszczać, że usłyszy ją ktokolwiek prócz Daniłowa i spacerujących po kuchennym stole mrówek faraonek. – No więc ten naukowiec, nazywa się Oziamow czy Ozimow, nie pamiętam, zrobił odkrycie... Chciał uzyskać sztuczne szmaragdy, pocił się długo i nic mu nie wychodziło, a potem postanowił zbadać dokładnie, w jaki sposób produkuje drogocenne kamienie matka Natura, i pójść jej śladem. Wreszcie zrozumiał, że szmaragdy powstają ze stygnącej magmy, coś tam w niej zachodzi, jakieś procesy, i szmaragdy zaczynają się krystalizować.

Dalsze wyjaśnianie sensu odkrycia Oziamowa swoimi słowami przekraczało jej możliwości. Przyniosła notes i otworzyła go na stronie, gdzie widniał własnoręcznie przez nią wykonany rysunek – przekrój Ziemi. Powiedziała, że nazywa się to: przekrój stratygraficzny. Pokazała strefę, w której z rozżarzonej lawy powstają szmaragdy, by ulec potem krystalizacji. Na stronie obok Daniłow zobaczył wykres zmian temperatury i ciśnienia.

– Może nie wszystko od razu zrozumiesz – ciągnęła Klaudia. – Jednym słowem, zachodzi tu kawitacja, to znaczy wytrącają się pęcherzyki pary... I ta magma, czyli nasza lawa, musi przejść w stan łomy. Potrzebna do tego temperatura rzędu półtora tysiąca stopni i ciśnienie wynoszące milion albo i dwa miliony atmosfer. Wtedy z magmy powstaje szmaragd.

– Ale skąd twój Oziamow weźmie dwa miliony atmosfer? – zdziwił się Daniłow.

– Załatwi się – machnęła ręką Klaudia.

– I po co ci lava akurat z wulkanu Szywełucz?

– Widzisz, Oziamow ze skóry wyłazi: zrobił odkrycie, skompletował urządzenia do eksperymentu, nie mógł tylko znaleźć odpowiedniej lawy. Sam nie wie, która byłaby najlepsza. Ale ja wiem.

– Skąd ty możesz wiedzieć? Aha... znowu chłopobudy...

– Tak jest – szepnęła Klaudia, przy czym skazane na rychłe zapomnienie brylanty zaślśniły na jej czarnym turbanie. – Właśnie oni. Ma się rozumieć, poza kolejnością, w drodze wyjątku, no wiesz... Zresztą to nieważne. Przepowiedzieli modę na szmaragdy, uwzględnili odkrycie Oziamowa i przy pomocy komputerów ustalili, że ze wszystkich możliwych metod produkcji szmaragdów najlepsza będzie ta, która posłuży się lawą z wulkanu Szywełucz. Oziamow na razie o tym nie wie... Znajdę zaufanego człowieka, który podpowie mu pomysł z tą lawą, no i będę miała trzydzieści siedem szmaragdów jak znalazł. Przecież materiał jest mój!

– Jeśli dojdzie do produkcji sztucznych kamieni, te szmaragdy każdy będzie miał za grosze, jak szkiełka...

– Moje będą gotowe już za cztery lata, wszyscy pomyślą, że są naturalne. A dla Oziamowa będzie to partia próbna. Prognoza mówi, że jeszcze ze trzy lata będzie on uchodził za szarlatana, aż wreszcie wszyscy go docenią i zaczną wdrażać jego odkrycie. Wdrażanie potrwa około sześciu lat.

Do tego czasu znudzą mi się szmaragdy, więc sprzedam je, dopóki będą jeszcze w cenie. Teraz rozumiesz, co to znaczy – chłopobudy?...

Historia ze szmaragdami wydawała się dość zajmująca, ale wyjaśnienia Klaudii nie zaspokoily ciekawości Daniłowa. Nawet biorąc pod uwagę niezbyt wysoki poziom swej wiedzy fachowej, zdawał sobie sprawę, że pomysł Klaudii wygląda raczej na podejrzany. Może nawet wiernie przekazała to, co wiedziała, ale ten uczony Oziamow jest chyba na fałszywym tropie. Tak czy owak, Daniłow postanowił zgłębić problem we własnym zakresie i dowiedzieć się szczegółowo, w jaki sposób powstają szmaragdy oraz czy ma z tym jakiś związek lava z wulkanu Szywełucz. Przecież skrzynie z próbkami miała nie tylko Klaudia, ale i Wyprawa Kamczacka również, i Daniłow nie miał teraz pojęcia, które z nich są autentyczne, które zaś on sam utworzył z fluidów. Po prostu zapomniał w pośpiechu o tak istotnej sprawie jak oznakowanie. Badacze Kamczatki też mogli na własną rękę rozpocząć doświadczenia z lawą. Należało więc zrobić z tym porządek, i to możliwie najszybciej.

Klaudia wzięła go za rękę.

– Szmaragdy to pestka – powiedziała pełnym natchnienia głosem, zapominając o szepcie. – Zdobyłam jeszcze jedną prognozę długoterminową! Zaczekaj chwileczkę.

Wyszła i zaraz wróciła ze skrytką na kosztowności – taką, jakie są do nabycia w sklepach z upominkami. Skrytka była nowiutka, świeżo malowana, z niklowanym zamkiem i wyglądała jak miniaturowa szafa pancerna. „Zmieściłyby się tu ze trzy butelki” – pomyślał Daniłow. Klaudia otworzyła kluczykiem opancerzone drzwiczki i ukazało się wnętrze skrytki, w której leżał plik dokumentów. Na wewnętrznej stronie drzwiczek przyklejona była biała kartka z napisem: „Operacja pod kryptonimem ZBĘDNE DYPLOMY”. Zawartość skrytki stanowiły właśnie dyplomy – przeważnie w granatowych okładkach, tylko dwa miały okładki brązowe: były to dyplomy z wyróżnieniem. Daniłow obejrzał kilka z nich na chybił trafił. Właściciel pierwszego dyplomu, niejaki Igor Kaziematow, ukończył, jak wynikało z dokumentu, studia medyczne i zdobył w 1960 r. uprawnienia lekarza stomatologa; drugi absolwent, Oleg Cypski, po ukończeniu studiów metalurgicznych uzyskał tytuł inżyniera hutnika. Z trzeciego dyplomu Daniłow dowiedział się o tym, iż następny specjalista – Wiktor Dumny – obronił pracę dyplomową pod tytułem: *Krasomówstwo w twórczości kontynuatorów Epifaniusza Arcymądrego, autorów żywotów świętych*. Ów Wiktor Dumny zdobył zawód nauczyciela literatury.

– Co to – domowa filia działu kadr? – zapytał ostrożnie Daniłow.

– To wszystko moje. Mam pokwitowania. Wszyscy, którzy mi te pokwitowania podpisali, zrzekli się nie tylko dyplomów, ale w ogóle swoich zawodów. Potwierdzili to własnym podpisem i słowem honoru.

– Ale po cóż ci te dyplomy?

– A właśnie! – odezwała się znacząco Klaudia.

Dłużej milczeć nie mogła. Sądząc z jej słów, sprawa dyplomów przedstawiała się następująco. Otóż wyniki przeprowadzonych przez chłopobudów szczegółowych badań potwierdziły niezbicie, że za jakieś piętnaście, siedemnaście lat będzie w kraju tyle absolwentów wyższych uczelni i do tego stopnia zacznie brakować przedstawicieli rozmaitych niezbędnych dla społeczeństwa zawodów – sanitariuszy, ekspedientek, pedicurzystek, śmieciarzy, parkieciarzy, tapeciarzy, rozklejaczy afiszów, ogrodników czy pomocy domowych, że powstanie konieczność zwracania się do absolwentów, zwłaszcza tych niezbyt pewnych swego powołania, by wzięli na siebie obowiązki wspomnianych pielęgniarzy, pomocy domowych czy ogrodników. Państwo może pójść nawet na wypłacanie ochotnikom rekompensaty za lata studiów...

– Jakiej znowu rekompensaty? – zdziwił się Daniłow.

– Normalnej! Jeden dostanie dziewięć tysięcy, drugi, powiedzmy, czternaście – to będzie zależało od kosztów nauczania. A wszystko po to, żeby taki człowiek zgodził się zostać ogrodnikiem czy pomywaczem.

– Przecież nie płaciliśmy za wyższe studia!

– Nie płaciliśmy, państwo płaciło. I co z tego? Skoro w społeczeństwie wzrośnie aż do tego stopnia zapotrzebowanie na kadrę w sferze usług, państwo zgodzi się zrekompensować nawet własne wydatki. Zapłacą człowiekowi tyle, ile kosztował dyplom, wliczając w to okres szkoły podstawowej i średniej, byle człowiek zwrócił ten dyplom czym prędzej.

– Dziwne to wszystko... – pokiwał głową Daniłow.

– Ale tak będzie. Przyciśnię ich do muru – i tak się to skończy. Patrz, nawet już teraz... Tyle ludzi ukończyło studia, wyciskali z siebie ostatnie soki, a teraz pracują sobie spokojnie w całkiem innym fachu. I żadnych dyplomów nie potrzebują. Widzisz, ile ja już tego mam? Jeden sprzedał za piątkę, drugi policzył sobie za dyplom dwadzieścia rubli, niektórzy chcieli jeszcze więcej, a byli tacy, co oddawali bezpłatnie. Przyjdzie czas – i na podstawie tych dyplomów i pokwitowań od ich właścicieli zagarnę całą rekompensatę!

– Coś tu jednak nie gra...

– Co nie gra? No powiedz, co? Nie znasz się na problemach socjalnych. Lepiej mi pomóż. Znasz może takich ludzi, którzy nie potrzebują swoich dyplomów? Mówię oczywiście wyłącznie o ludziach stosunkowo młodych i zdrowych, czyli o takich, którzy na pewno przeżyją te dwadzieścia lat.

– Muszę się zastanowić... Owszem, znam jednego. Ukończył wyższą szkołę muzyczną, grał na kontrabasie... Teraz jest korkowcem.

– Korkowcem? To znaczy?...

– Widzisz, ludzie, którzy nie mają pod ręką korkociągu, zazwyczaj wpychają korek do środka butelki. Butelka o pojemności 0,7 litra kosztuje siedemnaście kopiejek, a jeśli ma w środku korek, to żaden punkt skupu jej nie przyjmie, a gdyby nawet przyjął, to najwyżej za dziesięć kopiejek, i też z wielkiej łaski. A w takim punkcie, w kąciku za skrzyniami, siedzi sobie korkowiec. Ma żyłkę nylonową z pętelką na końcu, wyciąga z butelek korki i za każdy korek dostaje dwie kopiejki. Ten mój znajomy kiepsko grał na kontrabasie, ale korkowiec z niego wyszedł taki, że zasługuje na miano wirtuoza. Jest zadowolony ze swojego fachu i powodzi mu się świetnie.

Wyglądało na to, że tym razem Klaudię zainteresowała nie tyle kariera korkowca wirtuoza, ile sam pomysł z wydobywaniem korków z butelek.

– Muszę to zapamiętać – powiedziała. – Żyłką nylonową, mówisz?
– Niekoniecznie. Można sznurkiem. Albo drutem.
– Masz tylko jednego takiego człowieka?
– Sam nie wiem... Aha – przypomniał sobie – przecież twój przyjaciel Rostowcew ma dwa dyplomy, w tym jeden uniwersytecki. Zwróć się do niego.
– Dobrze – odpowiedziała szybko Klaudia. – A więc będziesz prowadził pertraktacje. Dam ci listę, kandydatów jest dużo.
– Ale skąd wezmę czas? – odezwał się żałośnie Daniłow.
„Znowu jej ulegam, znowu pękam – pomyślał. – Sprytnie mnie tym razem okręciła...”
– Muszę już iść. To są właśnie twoje szalone pomysły?
– Nie. Główny pomysł jest całkiem inny.
– Narodził się czy jeszcze nie? Masz instrukcje od chłopobudów?
– W tej chwili nic ci na ten temat nie powiem.
– Jak uważasz – powiedział Daniłow oschle i poszedł do przedpokoju.
Może Klaudia pomyślała, że się obraził, a może nie chciała go puścić – w każdym razie wyszła za nim i powiedziała takim głosem, jakby się poczuwała do winy:
– Włodeczku, zrozum, nie mogę powiedzieć wszystkiego naraz... Sam wiesz, że chłopobudy mają ścisłe regulaminy. Kolejka obowiązuje. I tak już ciągle załatwiam różne sprawy poza kolejnością... Zresztą każdy usiłuje wkręcić się psim śwędem, przez to cała kolejka już się pomieszała... Co do głównego pomysłu, mam na razie tylko wstępne dane. Teraz wystarczą mi tamte, mniej ważne sprawy.
Nie kłamała, była szczerą i darzyła go pewnym zaufaniem traktując jak równego sobie. Poczul się wzruszony. „Pewnie przedtem plotła po prostu trzy po trzy – pomyślał. – Może znowu potrzebuje siły roboczej do przenoszenia skrzyń albo agenta do skupu dyplomów, dlatego szuka takich naiwniaczków jak ja... A zresztą musi przecież wygadać się przed życzliwym człowiekiem...” Równocześnie, nie wiadomo jakim cudem, powróciło coś w rodzaju ciepłego uczucia do Klaudii. Dawno już nic takiego nie odczuwał; wyglądało to tak, jakby przeniósł się na moment w minione czasy, kiedy żyło jeszcze złudzenie, że Klaudia jest mu bliska. Jej pomysły nadal wydawały mu się obce i dziwaczne, a jednak do czegoś ta kobieta dążyła, niecierpliwa natura popędzała ją do działania! Sam ten fakt wiele dla Daniłowa znaczył. Czuł teraz, że była żona też patrzy na niego jeśli nie z dawną czułością, to przynajmniej ze smutkiem, jakby czegoś żałowała. Nie pomylił się, ponieważ Klaudia powiedziała:
– Może szkoda, że tak się nam nie ułożyło?..
Daniłow wzruszył ramionami.
– Jesteś miły... Gdybyś miał jeszcze w sobie coś takiego, jak ten twój przyjaciel z Irkucka, pan Somow...
– Somow?
– Tak. Miał w sobie coś... coś demonicznego.
– Mówisz o Andrzeju?
– No tak.
– Ale po spacerze z tobą wrócił przygnębiony.
– Zachował się niezbyt elegancko... Czy ma zamiar pokazać się znowu w Moskwie?
– Nie wiem. I naprawdę muszę już iść. Czeka na mnie muzyka.
– Muzyka! Ta twoja orkiestra! – powiedziała Klaudia z lekką irytacją. – Żebyś przynajmniej z natury był solistą! Bierz przykład z pana Andrzeja...
– Idę.
– Idź... Ale zapamiętaj, co mówiłam: twoja Natasza gąską nie jest... Jeśli chcesz, opowiem...

– Do widzenia – powiedział Daniłow i zamknął za sobą drzwi. Nacisnął guzik przy windzie, ale winda stała na dole. Dopiero po chwili dał się słyszeć znajomy zgrzyt, winda poszła w górę i w momencie, gdy znalazła się na wysokości czwartego piętra, Daniłow zobaczył za szybą rumianą twarz łotra Rostowcewa. Rostowcew też go zauważył. Niewykluczone, że zamierzał wysiąść właśnie na czwartym piętrze, ale na widok Daniłowa rozmyślił się widocznie i pojechał wyżej. Daniłow machnął ręką i poszedł schodami w dół, a gdy był już na parterze, Rostowcew zjechał tam windą. Daniłow zatrzymał się – winda w tejże chwili pomknęła do góry. „A, niech się bawi, co mi do tego” – pomyślał.

W teatrze dowiedział się, że przywieziono szafy ogniotrwałe na instrumenty. Trębacz Tartakower zagrał *Sławę* na cześć administracji i związku zawodowego. Nie tylko Daniłow miał drogi instrument, były w orkiestrze inne wartościowe instrumenty o wyjątkowych walorach i ciekawych losach – strunowe, dęte, drewniane, blaszane i inne; wszystkie wymagały troski i opieki, tak jak jego bezcenny Albani. Wręczono mu klucz od szafy, wbił tam gwóźdź na wieszak do fraka; pomyślał, że altówce w nowej szafie będzie ciepło i przestronnie. Jak byłoby dobrze, gdyby mógł umieścić w tej szafie ukochany instrument!... Na samą myśl o zaginionej altówce poczuł taką słabość, że usiadł obok szafy. W krzątaniu ostatnich dni prawie nie wspominał o Albanim, ale teraz zrobiło mu się tak przykro, jak gdyby dopiero w tej chwili uświadomił sobie fakt kradzieży. Postanowił, że musi natychmiast zadzwonić na milicję, poszedł więc i zadzwonił. Powiedziano mu, że na razie nie udało się odnaleźć instrumentu, ale poszukiwania trwają i kieruje nimi teraz porucznik Niesynow.

„Po co to wszystko? – pomyślał Daniłow. – Zachowuję się jak małe dziecko, zawracam głowę zajęтым ludziom... Teraz jeszcze ten porucznik Niesynow... Wiadomo, że nie ma Albaniego i nie będzie! I być nie powinno! Muszę zagrać symfonię Pierieslegina na zwyczajnej altówce albo trzymać się od muzyki z daleka”.

Jednak było mu smutno. Dźwięki ukochanej altówki znowu zabrzmiały w jego sercu...

– I co, ładna szafa? – usłyszał nad sobą głos Ziemskiego.

– Ładna.

– Też tak myślę. Chcę obić swoją od wewnątrz sukнем. Czarnym. Widzisz, związek zawodowy, jak zechce, to potrafi!

– Pewnie – zgodził się Daniłow.

– Ten Turukanow ma siłę przebicia – powiedział Ziemski mając na myśli wiolonczelistę Turukanowa, obrotnego związkowca. – Na dobrą sprawę powinien być kierownikiem sklepu albo zaopatrzeniowcem w dużych zakładach. Ale co do szaf, spisał się drań na medal.

Daniłow też uważał, że z tego Turukanowa kawał drania, ale przyznał, że za szafy należy mu się wdzięczność.

– Odgadłeś tajemnicę M.K.? – zapytał Ziemski.

– Nie – odparł Daniłow.

– Podobno masz występ solowy w klubie zakładowym „Reflektora”?

– Ja?...

– No, ty, a któż by jeszcze? Z orkiestrą młodzieżową. Macie ponoć grać symfonię jakiegoś debiutanta.

– Skąd pan wie?

– Wiem – uciął Ziemski. – Zaczynać od podstaw w twoim wieku? No cóż... Ryzykujesz klapę, i to potężną. Nie boisz się? Nie masz tremy?

– Mam – powiedział Daniłow i odwrócił się do niego plecami.

„Dlaczego akurat w klubie «Reflektora»?” – myślał. Wiedział jednak, że Ziemski chałturzy w orkiestrach amatorskich teatrów operowych: tam na pewno pracuje jak należy i wydobywa ze swoich skrzypiec dźwięki tak realne, że doskonale słychać je w dziale księgowości. Teraz jasne, skąd ma te informacje.

Przypomniał sobie o tym, że chciał uzupełnić swoją wiedzę o pochodzeniu szmaragdów. W teatralnej bibliotece nie znalazł, rzecz jasna, żadnych książek z dziedziny mineralogii, mimo że w swoim czasie wystawiano na scenie głównej balet *Kamienny kwiat*. Sięgnął więc po encyklopedię. Zawarte w encyklopedii dane przyprawiły go o zdumienie: albo były oparte

na przestarzałych źródłach, albo towarzystwo chłopobudów umyślnie wprowadziło Klaudię w błąd. Tak czy owak, ciekawość jego wzrosła i nie chodziło tu bynajmniej o kłopoty byłej żony. Postanowił, że wybierze się do biblioteki naukowej, żeby poszukać tam najnowszych prac traktujących o pochodzeniu szmaragdów. W czym tu zagadka? Zanucił machinalnie temat wiewiórki z preludium do trzeciego aktu *Baśni o carze Sałtanie*,... Jak tam było u Puszkina? „W środku szmaragd drogocenny...” Musiał jednak wracać do pracy: czekała go próba, potem spektakl. Po spektaklu był u Nataszy i do rozważań o szmaragdach udało mu się powrócić dopiero rano, kiedy znalazł się w swoim mieszkaniu.

Powrócił więc do tych rozważań – i natychmiast musiał o nich zapomnieć: przeszkodził mu telefon.

Dzwonił Pierieslegin – widocznie z budki, ponieważ słychać było dzwonki tramwajów. Powiedział, że wszystko układa się pomyślnie i że umówił Daniłowa na spotkanie z Jurijem Czudeckim, dyrygentem orkiestry młodzieżowej. Orkiestra, mówił, jest dobra, kompletna, sami zawodowcy, więc można się nie martwić. Dodał, że jeśli Daniłow nie zmieni decyzji, symfonię można będzie zaprezentować publiczności za jakieś trzy tygodnie.

– W klubie zakładowym „Reflektora”? – zapytał Daniłow.

– Nie – odpowiedział Pierieslegin. – W Pałacu Kultury Energetyków. Umawialiśmy się początkowo z „Reflektorem”, ale im się coś przestawiło. To nawet lepiej, bo klub mają za mały jak na orkiestrę, energetycy zapewniają lepsze warunki.

– Dobrze, mam czas jutro o dziewiątej rano.

– Będzie pan w domu?

– Tak.

– Świetnie. Czudecki zgłosił się o dziewiątej. Przepraszam, muszę już kończyć, mam kupę spraw. W dodatku ludzie już walą w szybę...

– Chwileczkę! – powiedział Daniłow, ale Pierieslegin pobiegł już chyba do tramwaju.

„Ach, jaka szkoda – pomyślał Daniłow – chciałem przecież porozmawiać z nim o muzyce, o symfonii, o życiu, o naszym występie... Głupio się składa, tak jakby szło o handel mydłem, nie o koncert”. Zdarzało mu się już nieraz spotykać ludzi, przed którymi chętnie otworzyłby serce, ale na wylewne rozmowy ciągle brakowało czasu. I tak zawsze... Czajkowski, na przykład, swoje opinie o muzyce i sztuce wyrażał w listach do protektorki, pani von Meck; w tej korespondencji dawał wyraz myślom i poglądom, ale co robić, kiedy jedynym środkiem porozumiewania się pozostaje dla ludzi telefon?...

Zaprzagnął nagle nawiązać z Pieriesleginem korespondencję. Znalazł duży arkusz papieru i przypomniał sobie pewnego kompozytora, któremu przelotne rozmowy nie wystarczały: spotkawszy znajomego na ulicy, zamieniał 2 nim, tak jak wszyscy, parę słów, ale za kilka dni przysyłał list. Nikt nie rozumiał, po co ten kompozytor pisze listy, skoro wszystko można powiedzieć bezpośrednio, od razu. Nie szczędzono mu kpin, powtarzano, że pewnie pisze listy dla historii, dla wielotomowych traktatów o dziejach muzyki – ale Daniłow rozumiał teraz, że człowiek ten pisał swoje posłania przede wszystkim z wewnętrznej potrzeby: trudno sobie wyobrazić, żeby spotkanie w biegu mogło stwarzać dobrą atmosferę do wymiany poglądów i szczerzej rozmowy. Tak więc Daniłow postanowił napisać do Pierieslegina, ale już po chwili zdał sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie – odzwyczaił się bowiem od pisania listów, a ściślej mówiąc, nigdy ich pisać nie umiał. Wysyłał tylko od biedy pocztówki do przyjaciół obojga płci, pisane w podróży i zawierające parę tradycyjnych zdań. Teraz też stać go było najwyżej na napisanie krótkiej karteczki, z której Pierieslegin dowiedziałby się dokładnie tyle, ile z ich rozmowy telefonicznej pięć minut temu. Zmartwiony dał sobie słowo, że w wolnych chwilach będzie ćwiczył pisanie listów, tak żeby były długie i nie nosiły piętna pośpiechu – jak w dziewiętnastym wieku albo jeszcze wcześniej.

„Trzy tygodnie! – uprzytomnił sobie nagle. – A co z Godziną Zero? Będą na mnie liczyć, a potem jedna chwila – i nie ma mnie...” Natychmiast jednak powstrzymał się od takich

myśli i postanowił o Godzinie Zero w ogóle nie wspominać, tak jakby wszystko to dotyczyło kogoś innego.

Schował papier i długopis myśląc: „Jutro przyjdzie Czudecki, może z nim porozmawiam o muzyce. Nie wypuszczę go z domu tak szybko”. Kupił nawet butelkę koniaku, ale Czudecki o dziewiątej rano nie przyszedł, tylko zadzwonił. Umówił się z Daniłowem na próby, przeprosił, że z czasem teraz jest krucho, i odłożył słuchawkę. Po tej rozmowie Daniłow zapragnął napisać jeszcze jeden list – do Czudeckiego.

Westchnął, schował butelkę do kredensu i poszedł do baru przy ulicy Korolowa: miał ochotę na piwo z automatu.

Zawsze przed automatem gromadził się tłum, ale dziś ludzi było więcej niż zazwyczaj. Daniłow zobaczył znajomego kamerzystę z telewizji i zapytał:

– Co się dzieje?

– A, nic takiego – odpowiedział kamerzysta – po prostu hydraulik Kola puszcza dym. Bierze za pokaz dwadzieścia kopiejek.

W tym momencie wszystkich obecnych – zarówno tych, którzy wypili już swoje piwo, jak i tych, co jeszcze nie zdążyli wypić – spowiły kłęby dymu.

„Jak mogłem o tym zapomnieć!” – przeraził się Daniłow.

– Włodziu! – zawołał hydraulik wyłaniając się z zachwyconego tłumu i kierując kroki do Daniłowa. – Chodź no tutaj, stawiam piwo!

– Mam pieniądze – odpowiedział Daniłow – zaraz rozmienię rubla.

– Po co masz rozmieniać? – zaprotestował Kola z urazą w głosie. – Patrz, ile mam dwudziestek! A wszystko za dym. Chuchnę raz – dwadzieścia kopiejek leci. A czasem i obwarzanka do piwa ktoś doda.

– Nie jest to kłopotliwe? – zapytał Daniłow ostrożnie. – Może warto zwrócić się do lekarza? Lekarz na pewno coś poradzi...

– A po co mi lekarz? To żadna choroba. Dym mi wcale nie przeszkadza.

Jak mówię normalnie albo oddycham, to dymu nie ma. I śpiewać mogę – dodał, po czym, na potwierdzenie swych słów, zanucił: „Stoję na peronie w chuście kolorowej, a pociągi pędzą sobie w dal...” Rzeczywiście, żadnego dymu nie było.

– Jeść też mogę normalnie – ciągnął Kola. – Czasem tylko zalatuje ogniskiem, niby to szaszłykiem z różną. A jak chuchnę z samego środka, to od razu wali dym. Ludzie się cieszą, muszą im chuchać i chuchać. Kiedyś chuchnąłem trzy razy i dostałem do piwa dobrą zagrychę!

– A może chciałbyś pozbyć się tego dymu? Nic a nic cię to nie męczy?

– Coś ty, zgłupiał? – Kola spojrział na Daniłowa z wyrzutem. – Teraz dopiero mam ciekawe życie.

„Skoro tak, po cóż mam pozbawiać człowieka przyjemności – pomyślał Daniłow. – Niech sobie chucha, na zdrowie”. Wrzucił do szpary automatu otrzymaną z rąk hydraulika dwudziestokopiejkową monetę, napełnił kufel, ale zdążył upić zaledwie dwa łyki – i zapomniał o piwie. Ogarnęło go nagle uczucie, o którym tak pragnął porozmawiać z Pieriesleginem i Czudec kim. Znalazł nawet stosowne słowa i gdyby miał teraz pod ręką papier, wystarczyłoby tych słów na dobrych kilka arkuszy. „Pójdę do domu i zaraz napiszę listy. O muzyce napiszę, o wszystkim...” Poszedł więc, ale w domu przeszkodził mu następny dzwonek telefonu.

Głos, który zabrzmiał w słuchawce, dałoby się określić jako bas liryczny o bogatym diapazynie, z predyspozycją także do popisowych partii barytonowych – takich na przykład, jak partie kniazia Igora czy Mazepy. Daniłow odniósł wrażenie, że gdzieś już słyszał ten głos, ale nie mógł przypomnieć sobie gdzie. Nieznajomy mówił cicho, tajemniczo, a przy tym ton miał tak władczy, jakby siedząc we własnym mieszkaniu przemawiał nad kłatką, w której siedział zamieniony w kanarka Daniłow. Warto było uruchomić indykator i Daniłow nie

omieszkał tego zrobić, ale indyktor zaświadczył, że rozmówca nie ma nic wspólnego ze światem transcendentnym.

– Pańska tajemniczość jest intrygująca – powiedział Daniłow. – Ale skoro daje mi pan do zrozumienia, że tak dużo o mnie wie, musi pan wiedzieć także o tym, że nie dysponuję nadmiarem czasu i dlatego prosiłbym o przejście do konkretów.

– Na razie żadnych konkretów nie ma – odezwał się nieznajomy – jest tylko propozycją.

– Jaka mianowicie?

– Propozycja współpracy.

– Z kim?

– Z nami.

– To znaczy?...

– Jak by to panu powiedzieć...

– Najlepiej po prostu.

– Zaułek Nastazji, mieszkanie Rostowcewa.

– Chłopobudy?

– Ta nazwa jest niepoważna, ale można i tak to nazwać.

Teraz Daniłow wiedział już, z kim ma do czynienia. Nie ulegało wątpliwości: jego rozmówcą był posiadacz łaciatych bokobrodów, ten, co prowadził u chłopobudów dziennik pokładowy, księgę rejestrów czy jak jej tam – słowem, sekretarz. A może i nie sekretarz, lichowie.

– Zdaje się, że pana poznałem – powiedział. – Ma pan bokobrody i jest sekretarzem.

– Jak mnie pan poznał?

– Jestem muzykiem. Muzyk powinien mieć dobry słuch.

– Dzwonię do pana w sprawie niejako oficjalnej.

Klaudia panu poradziła?

– Skądże, pani Klaudia jest tylko jedną z wielu naszych klientek i nie ma z tym nic wspólnego. Sami wpadliśmy na ten pomysł, żeby nawiązać z panem kontakt. A propos, pani Klaudia nie powinna wiedzieć o naszej rozmowie.

– No więc na czym polega sprawa, o której pan wspomniał?

– Utworzyliśmy grupę inicjatorów. Jet to grupa szczególna, rzekłbym, eksperymentalna, zresztą pan już coś niecoś o niej wie. Na razie działamy wyłącznie na własną rękę, ale to, co robimy, choćby ze względu na liczne analizy i prognozy, powinno przynieść niewątpliwą korzyść całemu społeczeństwu.

W tym miejscu Daniłow o mało nie powiedział, co sądzi o podejrzanych machinacjach ze szmaragdami i dyplomami, ale zrozumiał, że w ten sposób narazi Klaudię. Powstrzymał się zatem od uwag; przypomniał sobie o piętnastu rublach wpisowego i o dobrze ubranych ludziach z numerami na dłoniach, którzy wyczekują w przedpokoju mieszkania Rostowcewa. Zapytał więc:

– Społeczeństwo, to znaczy wasi klienci?

– Proszę pana, doświadczenie trwa, na razie jesteśmy w stanie objąć tylko określoną grupę ludzi najlepiej reagujących na przebieg eksperymentu.

– Dobrze, ale na cóż wam moja skromna osoba? Nie jestem waszym klientem.

– Napotykamy szereg trudności, zwłaszcza w dziedzinie wydawania prognoz naukowych.

Potrzebna nam pańska pomoc. Naturalnie, potrafimy to wynagrodzić.

– Moja pomoc? – zdziwił się Daniłow.

– Tak jest – odpowiedział łaciaty. – Wiemy o pańskich możliwościach.

– Jestem muzykiem, gram w orkiestrze, jakież mogę mieć możliwości?

– Nie mam na myśli pańskich zdolności muzycznych.

– Co w takim razie ma pan na myśli?

– Sam pan wie...

- Obawiam się, że zaszła pomyłka i że wcale nie o mnie chodzi.
- Nic podobnego. Wiemy o panu wszystko.
- Ciekawe, z jakich to źródeł...
- Mamy zaufanych ludzi.
- Mylą się i was wprowadzają w błąd.
- Mam więc traktować pańską reakcję jako odmowę przyjęcia propozycji? – zapytał łaciaty ponuro.
- Najważniejsze jest to, jak ja traktuję naszą rozmowę. Otóż traktuję pańską propozycję jako dowcip, którego finezji nie jestem w stanie docenić z braku poczucia humoru.
- To smutne. Dla nas i dla pana. Chciałbym dać panu trochę czasu do namysłu, żeby nie musiał pan później żałować lekkomyślnego stosunku do poważnej sprawy.
- Mówi pan takim tonem, jakby zamierzał mi grozić.
- Może nawet mam taki zamiar. Należy karać bezmyślny upór. Poza tym widać, że nie wierzy pan w nasze możliwości i w powagę naszych zamiarów. Warto więc, żeby przekonał się pan o tym na własnej skórze.
- Czego się mam spodziewać?
- Przypuśćmy, drobnych przykrości zawodowych. Może nie pojedzie pan na występy gościnne do Włoch...
- Co dalej?
- Dalej? Wątpię, na przykład, czy milicja znajdzie altówkę Albaniego..
- Tak. Dalej.
- Za trzy tygodnie planuje pan występ w Klubie Pracowników Służby Zdrowia...
- Dlaczego nie w Pałacu Kultury Energetyków?
- Energetycy zmieniają zamiar i zorganizują konkurs tańca towarzyskiego; wasz zespół będzie zmuszony szukać innej sali.
- No dobrze, i co z tego?
- To, że pański występ nie dojdzie do skutku. Niewykluczone, że w ogóle nigdzie pan nie wystąpi.
- Dosyć! Ja też mogę stracić cierpliwość.
- To już pańska sprawa.
- Zaprzecza pan samemu sobie przypisując mi jakieś nie istniejące możliwości i grożąc drobnymi przykrościami. Skoro posiadam takie możliwości, mogę nie zwracać uwagi na pogróżki. Zastanówcie się lepiej nad sobą, żeby uniknąć nie przewidzianych kłopotów.
- Sekretarz chłopobudów, wyraźnie skonsternowany, milczał sapiąc w słuchawkę. Odezwał się po chwili, ale głos jego brzmiał tym razem bardziej ugodowo:
 - Widzi pan, to przypadek szczególny. Myślę, że nie udało się nam na razie znaleźć płaszczyzny porozumienia. Proszę traktować naszą dzisiejszą rozmowę jako wstępną. Zwracamy się do pana zwyczajnie, po ludzku, nie wykluczamy jednak, że u was, na wyższych szczeblach, decydują jakieś inne czynniki... Może uraziło pana to, że wspomniałem o wynagrodzeniu? Rozumiem, że w pańskim pojęciu mogą to być kwestie zbyt przyziemne.
- Działaliśmy po omacku, ale niech pan postara się nas zrozumieć... Usiłujemy uchylić rąbka tajemnicy, a więc czemuż by ktoś taki jak pan... powiedzmy, istota, która tu, na Ziemi, reprezentuje znacznie wyższy stopień cywilizacji, mająca własne, nie znane nam cele... czemuż by więc ktoś taki nie miał nam pomóc, podzielić się swoim doświadczeniem z entuzjastami zagadnień przyszłości...
 - „Istota” to niby ja?
 - Ach, skądże, mówię w planie teoretycznym...

– Bierzecie mnie za przybysza z kosmosu czy jak? W takim razie pozwolę sobie wskazać panu właściwą osobę: znany jest wam na pewno profesor Sielski-Anielski, weźcie go na eksperta, on wam wszystko wytłumaczy o przybyszach.

– Ta ironia jest nie na miejscu – odezwał się ponuro łaciaty.

– Nasza dalsza rozmowa staje się zbyteczna.

– Przykro mi niezmiernie. Przecież my też mamy różne możliwości, na pewno pan nie pożałuje...

Daniłow nie dał mu dokończyć i odłożył słuchawkę.

– Kanciarze! Budochłopy cholerne! – zaklął. – Pogróżek im się zachciewa!

Nadrabiał miną, ale czuł się nietęgo. Wszystko to napawało go obrzydzeniem. Kiedy zdążyli zgromadzić o nim tyle danych? I skąd przyszło im do głowy, że jest przybyszem z kosmosu? Kto im takie bzdury podpowiedział? Klaudia? Rostowcew? A może ten budochłopski komputer? Albo Kudasow?

Tylko tego mu brakowało! „Nie dość, że goni człowiek z wywieszonym językiem, jeszcze deptają mu po piętach te chłopobudy! – myślał ze złością. – A może nie mam racji, może oni rzeczywiście są potrzebni społeczeństwu? Może pieniądze, które ściągają z klientów, przeznaczają tylko na bieżące wydatki?...” Znowu przypomniał sobie kolejkę w przedpokoju Rostowcewa i poczuł, że cały ten tłum jest mu obcy. Nigdy nie darzył sympatią macherów i dorobkiewiczów. „Nie – powiedział sobie stanowczo – nawet gdyby doszło do nich, że w muzyce i w miłości pozostają tylko zwykłym śmiertelnikiem, to znaczy że łatwo mnie zniszczyć, nawet w takim przypadku nie pozwolę się zastraszyć i w żadne konszachty z nimi nie wejdę!”

Teraz Daniłow spał najwyżej cztery godziny na dobę.

Miał wpaść do porucznika Niesynowa na komendę milicji, ale czasu zabrakło.

Zadzwoił do radia i powiedział, że na razie nie może u nich grać – a przecież pieniądze były mu potrzebne.

Grał w teatrze, grał w domu, miał próby z orkiestrą Czudeckiego. Kiedy grał, czuł się dobrze, ale w chwilach odpoczynku, rozmyślając o swojej grze, siedział zasepiony. Próby przebiegały w godzinach porannych, w sali Pałacu Kultury Energetyków. W orkiestrze była sama młodzież, Daniłow mógłby być ich starszym bratem; pracowali wieczorami kto gdzie mógł – w różnych teatrach, między innymi w dramatycznych, grali w lokalach i na estradzie. Żaden z tych młodych ludzi nie był zadowolony ze swojej obecnej pozycji, nie podobało się im nic z tego, co musieli grać w ramach obowiązków służbowych. Pragnęli wielkiej muzyki i gotowi byli grać za darmo to, co ich porywało. Na dobrą sprawę było to towarzystwo żółtodziobów, chłopców ambitnych, spragnionych sławy i uznania, pewnych swych szans, choćby nawet przyszło im stanąć w szranki z Ojstrachem, Richtermem, a może z samym Beethovenem. Przed pierwszą próbą Daniłow miał straszliwą treść, na scenę też wyszedł stremowany, czując na sobie wnikliwe spojrzenia nowych kolegów. Patrzyli na niego badawczo, bo swoją cenę już znali. Grał starannie, ale chyba gorzej niż w domu – zresztą bez „chyba”, na pewno gorzej. Mimo to nie zauważył w orkiestrze kwaśnych min, choć było rzeczą naturalną, że chłopcy nie stukali z zachwytem w pulpity. Orkiestra przyjęła go spokojnie, na roboczo. Zagrał – i dobrze. Opuścił smyczek, odszedł na bok i usiadł na krześle. Czudecki z Pieriesleginem stali nie opodal, miny mieli zatroskane i rozmawiali ze sobą, ale nie o tym bynajmniej, jak tani brzmiała altówka Daniłowa czy dwa pozostałe instrumenty prowadzące – waltornia i klarnet, lecz o tym, że symfonia trwa czterdzieści cztery minuty. Ich zdaniem, była za długa.

Daniłow poczuł się osamotniony na tej scenie i w ogóle na świecie. Było mu zimno, tak jakby w samym prochowcu, bez czapki, znalazł się na pływającej krze lodowej w polarnym morzu i wiatr zbijał go z nóg popychając coraz bliżej przerażającej szczeliny, która poszerza się z każdą minutą. Jama orkiestrowa w teatrze jawiła mu się teraz jako zbawienna cicha przystań. „I po cóż ja się w to wpakowałem?” – myślał.

Wreszcie podszedł do niego kompozytor. „Zdaje się, nieźle poszło” – tyle tylko powiedział. Co miał na myśli – grę Daniłowa czy własną muzykę? Mówił tak, jakby uspokajał ni to Daniłowa, ni to samego siebie. Powiedział to jedno zdanie i natychmiast wyszedł, z czego Daniłow wywnioskował, że Pierieslegin jest z niego niezadowolony. „Któryż to autor jest zadowolony z wykonawcy?” – perswadował sobie w duchu, ale niewiele to pomogło. Podszedł dyrygent Czudecki – wydawał się być rówieśnikiem Daniłowa, miał łagodny sposób bycia i wyglądał bardziej na dyplomatę niż na dyrygenta. Była jednak w jego postawie spokojna, twarda godność, tak jakby zasłużył już na honorowy tytuł artysty ludowego. Bardzo uprzejmie przedstawił swoje uwagi, uzgodnił z Daniłowem termin następnej próby i dodał: „Myślę, że symfonia zabrzmi” – ale powiedział to bez większego przekonania.

„Może i zabrani – myślał Daniłow siedząc w nocy nad partyturą – pytanie tylko: jak...” Teraz zrozumiał, w czym rzecz: dziś rano dźwięki orkiestry przygniotły, stłumiły, podporządkowały sobie głos jego altówki. Nie wiadomo, czy w ogóle był słyszalny ten słaby pisk. Tak to wypadło, jakby przyszedł na próbę nie przygotowany... Grał w domu swoją partię, cieszyła go muzyka i własna gra, ale symfonię odczytał jako koncert na altówkę,

zapominając, że jego instrument kompozytor ustawił nie w oderwaniu od orkiestry, lecz w ciągłych zderzeniach lub kompromisach z klarinetem i waltornią, a przede wszystkim, rzecz jasna, z całym zespołem. W trakcie dzisiejszej próby jego altówka zdawała się być zaskoczona, że spadły na nią, nieoczekiwanie dźwięki całej orkiestry, że dręczą ją, czegoś od niej żądają, wołają gdzieś lub próbują uspokoić z matczyną czułością. Tak więc altówka, skonsternowana nie mniej niż on sam, brzmiała najwyżej sumiennie, czyli – przeciętnie. Owszem, Daniłow pilnie przestudiował partyturę, ale w partyturze wszystko wyglądało inaczej: orkiestra nie była aż tak agresywna, a potem w ogóle pozostawiała jego altówkę w samotności. Może dlatego pierwsza próba przyniosła zaskoczenie: symfonia całkiem niespodziewanie okazała się potężna, unerwiona, tragiczna i czuła, złośliwa i krucha, szalona i ogromna jak morze. Altówce wyznaczono w niej rolę podmiotu lirycznego – konkretnej osobowości; a może podmiotem miał być kompozytor, ale Daniłow był przekonany, że ta osobowość to on sam wraz z jego przeszłością, wraz z alter ego – waltornią i klarinetem, orkiestra natomiast była tłumem, życiem, bieżącym stuleciem, wszechświatem – czyli całym tym układem, w którym altówka istniała, a raczej powinna była istnieć. Daniłow na scenie grał tak, jakby nadal był w swoim pokoju i muzykował sam dla siebie, życie natomiast kipiało gdzieś za oknami jego domu w Ostankinie. Dopiero w momencie, kiedy zabrzmiała orkiestra, zrozumiał, jak wielki jest zawarty w symfonii świat i jak dużo znaczy w tym. świecie głos jego altówki. Bohaterem symfonii nie był przeciętny człowiek, o nie – była to osobowość na miarę stulecia, na miarę epoki. Ale czy jego instrument: prosta temu zadaniu?...

„Dlaczego Pierieslegin wybrał właśnie altówkę? – myślał. – Czy altówka potrafi oddać istotę człowieka naszych czasów, natury aktywnej, najprawdopodobniej męzczyzny, choć niewykluczone, że może nią być także kobieta... Lepsza byłaby w tym planie trąbka albo saksofon, perkusja czy, w ostateczności, fortepian. A tu nagle – altówka, subtelna i wytworna, o cichym głosie... Altówka odśpiewała już swoje za dawnych czasów, jest anachroniczna jak kruchy Watteau...”

Rozmyślając w ten sposób, Daniłow poczuł nagle, że obraża altówkę. Uświadomił sobie teraz, że Pierieslegin zamierzał opowiedzieć właśnie o naturze subtelnej, uduchowionej i że chcąc oddać te cechy, nie mógł posłużyć się ani trąbką, ani perkusją. Jedno tylko nie ulega wątpliwości: potrzebował do swoich celów innej altówki, innego wykonawcy. Ale to już całkiem osobny rozdział.

Dręczył się tak dzień, dwa i trzy. Po czwartej próbie napomknął ostrożnie: kompozytorowi, że nie jest jeszcze za późno na zaangażowanie innego solisty. „Nie!” – powiedział Pierieslegin stanowczo i znowu gdzieś wyszedł. Daniłow odniósł wrażenie, że obaj – i kompozytor, i dyrygent – patrzą na niego inaczej niż przedtem. W spojrzeniach nowych kolegów z orkiestry też. dostrzegł jak gdyby iskrę zainteresowania. Ale nie poprawiło mu to humoru.

Zdawało mu się, że już rozumie, jak należy grać tę partię – i to, że. rozumiał, jeszcze bardziej go przygnębiało. Czy potrafi tak zagrać? Bardzo, chciałby zrobić to dobrze – i wcale nie dla siebie, tylko dla Pierieslegina, dla. młodych ludzi z tej orkiestry, dla słuchaczy, którzy za dwa tygodnie przyjdą na koncert. Dzień występu wydawał mu się czymś w rodzaju czarnej granicy. Jak dobrze było żyć przedtem, samymi tylko marzeniami o swej przyszłości w wielkiej muzyce! Proszę, oto przyszłość nadchodzi – realna i okrutna. Jest taka, że wszystkim marzeniom potrafi położyć kres. Mało powiedzieć potrafi – musi.

Czasami złościł się na swój instrument, wzdychał: „Ach, gdyby mieć teraz Albaniego!” Ale czy Albani jest tu przyczyną wszystkiego? Niestety, nie tylko Albani! Daniłow zmizerniał, choć i bez tego był szczupły. Zdarzały się chwile, gdy odkładał altówkę i nuty, podchodził do okna i usiłował wyobrazić sobie, co czuł w ostatnich chwilach życia Misza Korieniew, o czym rozmyślał i czy wybrał już wcześniej to, a nie inne okno. Była wtedy

zima, okna uszczelniono paskami papieru i kiedy Misza chciał wyskoczyć, musiał z całej siły szarpnąć okienną ramą.

Daniłow długo stał przy oknie. Nęciły go myśli o całkowitej ciszy, gotów, był przyznać Ziemskiemu rację. Czuł muzykę Pierieslegina całą swoją istotą, czuł wszystkie dźwięki, słyszał głos altówki, a zarazem wiedział, że nie jest w stanie przekazać tego ludziom tak, jak czuje. Zresztą jego altówka nigdy nie odtworzy tych dźwięków. Z trudem zmuszając się do grania, grał i grał w nieskończoność – nie myślał o niczym, po prostu grał, a po skończeniu, fragmentu mówił sobie: „Wcale nie tak źle, znacznie lepiej niż poprzednio, może nie jestem aż takim beztalenciem...” Tymczasem mijały minuty, powracały myśli o własnej niedoskonałości i Daniłow o mało nie płakał. Wszystko naokoło zaczynało go denerwować, doprowadzała do szału złośliwość rzeczy martwych, gotów był rozwalić, zdemolować niesforne sprzęty, które odmawiały mu posłuszeństwa. Koledzy w teatrze zachodzili w głowę, dlaczego Daniłow, ten wzór łagodności, człowiek spokojny i uprzejmy niczym stary petersburżanin, zmienił się nagle w oczach. Na próby do Pałacu Kultury też przychodził zdenerwowany i pewnego razu mało brakowało, a byłby pokłócił się z Pieriesleginem. Kompozytor był tego dnia nie w humorze, drażniła go gra orkiestry, gra Daniłowa, drażnił nawet sam fakt, że w jego symfonii właśnie altówka prowadzi partię solową. Biegał po scenie jak wściekły drwal: gdyby dać mu teraz do rąk siekiere, porąbałby w przyływie szału wszystkie pulpity i rozniósł w drzazgi wszystkie instrumenty, nie wyłączając perkusji. A potem powiedział ludziom parę przykrych słów – i wtedy Daniłow, który gotów był przyjąć każdy zarzut pod własnym adresem, nie wytrzymał tej niesprawiedliwości w stosunku do całej orkiestry i odpalił kompozytorowi tak, że mu w pięty poszło. Myślał przy tym: „Patrzcie go, znalazł się nowy geniusz! Czajkowski! Wagner! Skomponował symfonię z siedmiu części i sam nie wie, dlaczego tak się akurat złożyło, a już ma o sobie wielkie mniemanie!”

Ochłonął dopiero w hallu: „Zachowałem się jak przekupka na targu! I co z tego, że skomponował taką symfonię, a nie inną, co z tego, że ma wygórowane ambicje? Muzyka na tym ucierpiała? Właśnie że nie! Uspieński, na przykład, skomponował symfonię, która składa się z przeszło dwudziestu części – i to jak skomponował! Zamiast wściekać się, muszę być wdzięczny tym ludziom za to, że wszystko załatwili i zaprosili mnie na gotowe”. Rzeczywiście, ktoś inny w jego wieku mógłby długo i bezskutecznie zabiegać o występ solowy, jemu natomiast ten występ spadł z nieba. Głupotą jest ironizowanie na temat struktury symfonii, przecież grając ją on jako muzyk bynajmniej nie czuje sztuczności kompozycji, wręcz przeciwnie, z muzyki wynika, że każda z tych siedmiu części jest na swój sposób uzasadniona. „Świnia jestem – myślał – do siebie muszę mieć pretensje, a nie do niego”. Powinni teraz działać razem, zjednoczyć myśli i wysiłki, tymczasem z niewiadomych przyczyn skaczą sobie do oczu. Wygląda na to, że Pierieslegin zaledwie godzi się łaskawie na współpracę z nim, on zaś, ze swej strony, też zachowuje się tak, jakby żałował, że związał się z Pieriesleginem i jego muzyką. I pomyśleć, że są dwojgiem dorosłych ludzi!

„Może to ja muszę pierwszy wyciągnąć rękę na zgodę?” – myślał. Bardzo chciałby porozmawiać teraz z Ziemskim, ale na cóż innego można po takiej rozmowie liczyć, jak nie na zachęcanie do zbawiennej ciszy? Oglądał kiedyś książkę o twórczości Hiroshige Utagawy i natknął się na definicję zasady teorii „jugen”: „Prawda pozostaje poza zasięgiem słów”. Wynika z tego, że prawda muzyki pozostaje poza zasięgiem dźwięków – w każdym razie, na pewno poza zasięgiem dźwięków jego bezradnej altówki! Lepsza już ucieczka, spokój absolutny, lepsze otwarte okno i cisza...

Nie! Dla niego to wyjście jest nie do przyjęcia. Na myśl o tym oknie i o Korieniewie budził się protest, który kazał mu od razu sięgać po altówkę.

Pewnego dnia, kiedy był w takim właśnie nastroju, posprzeczał się z Nataszą. Obiecał już dwukrotnie, że do niej przyjedzie, i nie przyjechał. Wreszcie zadzwoniła do niego, on w tym momencie ćwiczył i trudno mu było przestawić się od razu, zatem powiedział coś

niestosownego, w dodatku tonem zbyt ostrym. Natasza poczuła się obrażona. W każdym innym przypadku byłby znalazł bez trudu odpowiednie słowa, przemówił dyplomatycznie i wszystko załagodził w mgnieniu oka, ale tym razem obraził się sam. „Nie może mnie zrozumieć – myślał – nie obchodzi jej moja muzyka...” Jednak nazajutrz po spektaklu pobiegł od razu pod Bramę Pokrowską i przed domem spotkał Nataszę spacerującą pod rękę z młodym człowiekiem. Skinęła mu obojętnie głową i poszła dalej. Była ładną dziewczyną, trudno więc dziwić się młodemu człowiekowi, że zaprosił ją na spacer. Daniłow był wściekły; ale cóż mogły pomóc oburzenie i wściekłość? Jakie miał prawo do ograniczania jej swobody i wywierania wpływu na jej sympatie czy antypatie? Miała już raz do czynienia ze skrzypkami, po cóż więc jej jeszcze jeden stuknięty muzyk? Wątpliwą miałaby z niego pociechę...

Natychmiast przypomniały mu się słowa Klaudii: „O, Natasza wcale nie jest gąską...” Racja. Powiedział sobie na własne pocieszenie, że skoro Natasza ma go dość, on narzucać się nie będzie. Czuł się tak zmęczony muzyką, że kobiety przestały go w ogóle obchodzić. Nic nie łączy go z Nataszą, jego troski i przeżycia są jej obojętne. Była to pocieszająca myśl, ale zaraz po niej przyszła następna, mniej przyjemna: skąd on może wiedzieć, czy Natasza nie cierpi, przecież nie wie, o czym ona myśli, co czuje. Niby to nie jego rzecz, a jednak...

Ziemski powiedział wtedy, że on, muzyk Daniłow, jest skazany na samotność – to znaczy nie on konkretnie, tylko potencjalny Artysta Daniłow. A przecież zamierza właśnie zostać Artystą! Wprawdzie ten zamiar hołubił w sobie do momentu rozpoczęcia obecnych prób, teraz nadzieje są nikłe... „Artysta! – myślał z goryczą. – Gdzie tam!” Wiedział już, jak bardzo chce zagrać tę symfonię, i wierzył, że mimo wszystko zagra – tylko tyle mógł sobie gwarantować, choć czasami, na moment, ożywały głęboko ukryte, nieśmiałe nadzieje. A nuż...

„Mimo wszystko jestem samotny – mówił sobie. – I na pewno jestem egoistą. Nigdy nie troszczyłem się o bliskich i mam teraz za swoje: zostałem sam... Chwileczkę, dlaczego sam? – rozważał dalej. – Mam przecież dużo przyjaciół, mam wreszcie Murawłowów, których interesuje moja praca i moje życie artystyczne; gotowi są wysłuchać mnie w każdej chwili, a kiedy potrzebna mi pomoc, natychmiast robią wszystko, żeby przyjść z pomocą. Czy pomagaliby tak próżnemu egoiście? Wątpię...” Przyznał, że to raczej on sam, obarczony tajemnicą osobistą, stara się unikać sympatycznych mu ludzi, żeby im nie zaszkodzić. Ale samotność – to nie dla niego i okrucieństwo wcale nie leży w jego naturze. Zawsze pragnął miłości i współczucia. Dla przyjaciela, dla kogoś miłego sercu gotów był w każdej chwili rzucić altówkę i biec z siatką na zakupy do sklepu albo do apteki po lekarstwa i poduszkę tlenową. Wcale nie egoizm przemawia teraz przez niego, po prostu tyle ma kłopotów i tak musi gonić w piętę, że poza własnymi sprawami nie pozostaje mu na żadne inne ani czasu, ani sił. Tylko w sztuce zawsze będzie osamotniony, tak jak każdy twórca. Któż mu pomoże w tworzeniu muzyki? Jest sam – sam ze swoją altówką...

Tak rozmyślał – to czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, to znów usprawiedliwiając się na wszelkie możliwe sposoby. Przyrzekał sobie, że się zmieni, a jaki ma być – sam nie wiedział. Nie zamierzał jednak pierwszy wyciągać do Nataszy ręki na zgodę. Dąsał się na nią: on tu haruje jak wół, pod się nad nową partią, a ona spaceruje sobie najspokojniej z młodzieńcami... Trudno. Niech robi, co chce. Lepiej będzie dla niej, jeśli z nim zerwie. Zresztą dla niego też będzie lepiej: nic już nie przeszkodzi jego muzyce...

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy próba przyniosła mu satysfakcję. Wyszedł uśmiechnięty, ale w teatrze zaskoczyła go wiadomość, że na występy do Włoch wytypowany został zamiast niego Czechonin. „Trudno – pomyślał – w końcu Czechonin też zasługuje na wyjazd”. Wiedział jednak aż za dobrze, iż muzyk z Czechonina żaden. Inni też o tym wiedzieli. W przerwach Daniłow chodził z ponurą miną, należało chyba iść od razu do kierownictwa, prosić, żądać, nigdzie jednak nie poszedł i nie zamierzał iść. Przypomniała mu się rozmowa telefoniczna z łaciatym chłopobudem. „Spełnia się przepowiednia!” – myślał, choć

oczywiście mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Na próbie zapytał ostrożnie dyrygenta Czudeckiego, czy nie zanoszą się na jakieś kłopoty z salą.

– Dlaczego pan pyta? Czy coś się dzieje? – zdziwił się Czudecki.

– Nie, tak sobie pytam... Może słyszał pan o planowanym konkursie tańca towarzyskiego?

– Zaraz się dowiem – powiedział Czudecki.

Wyszedł lekkim krokiem – energiczny, beztrudny maestro, jakby stworzony po to, by dyrygować orkiestrą we frakach, grającą wyłącznie polki i walce Straussa, wrócił zaś pełen powagi, niczym dyrektor wielkiej orkiestry symfonicznej, która pod jego batutą ma wykonać za chwilę *Patetyczną* Czajkowskiego.

– Rzeczywiście wyznaczyli na ten dzień konkurs tańca towarzyskiego – powiedział surowo. – Znowu będziemy mieli trudności.

– Przykra sprawa – wtrącił Daniłow.

– Przykra – skinął głową Czudecki. – Ale nie tylko my jesteśmy w takiej sytuacji.

Daniłow chciał napomknąć o Klubie Pracowników Służby Zdrowia, ale powstrzymał się w porę. „Czekajcie, chłopobudy – myślał – żebyście nie musieli tego żałować...”

W nocy zadzwonił telefon. Daniłow wstał powoli, podniósł od niechcenia słuchawkę. Gdyby to było parę dni wcześniej, biegłby do telefonu w podskokach mając nadzieję, że usłyszy głos Nataszy, dziś jednak nawet Natasza nie byłaby w stanie sprawić, by poruszał się nieco żwawiej.

Dzwoniła Klaudia. Jak wynikało z jej słów, czuła się fatalnie, miała jakieś przykrości i błagała Daniłowa, żeby wpadł do niej jutro.

– Przepraszam cię, ale nie mam czasu – powiedział.

– Włodeczku, nigdy cię o nic nie prosiłam, ale tak mi na tym zależy... Bardzo proszę... Musisz mi pomóc...

„Niech ją szlag trafi!” – pomyślał Daniłow, a jednak poczuł niepokój: głos Klaudii brzmiał wyjątkowo żałośnie, tak jakby rzeczywiście stało się coś złego. Nie dalej jak przedwczoraj zarzucał sobie egoizm, a teraz odmawia pomocy kobiecie! Pomyślał też, że przy okazji można by zasięgnąć u Klaudii nowych informacji o tych wścibskich chłopobudach. I o Nataszy miała mu kiedyś to i owo opowiedzieć...

Wybrał się do Klaudii na krótko przed rozpoczęciem wieczornego spektaklu. Jechać trzeba było do mieszkania Wojnowa.

Klaudia przywitała go ubrana w jedwabny szlafrok, na głowie miała chustkę przykrywającą lokówki. Wyglądała normalnie, a przecież Daniłow szedł do niej pełen niepokoju, przekonany, że zobaczy ją we łzach! Wyobrażał sobie, że już w progu rzuci mu się na szyję oczekując słów pocieszenia... „Znowu mnie okłamała!” – pomyślał z oburzeniem.

Profesor Wojnow też był w domu. Uścisnął mu rękę i Daniłow zauważył, że Wojnow jakby zeszcupłał. Nic dziwnego: przez kilka ostatnich dni profesor uprawiał bieg po zdrowie; masywny, barczysty, ubrany w błękitny dres z białą lamówką, wyglądał niczym sportowiec zamierzający wyruszyć na poranną przebieżkę. Wszystko wskazywało jednak na to, że w tej chwili powierzono mu jakieś zadanie domowe.

Na podłodze w dużym pokoju stały cztery butelki po winie „Stary zamek” z korkami w środku. Wojnow, natychmiast po zakończeniu ceremonii powitania, powrócił do przerwanej pracy. Usiadł na krześle i sznurówką od butów zaczął wyławiać korek ze stojącej przed nim butelki. Trudził się przykładnie, aż język wystawił. Przejęty Daniłow usiadł w kucki obok, gotów przyjść z pomocą.

– Chodźmy, chodźmy – niecierpliwie powiedziała do niego Klaudia.

– Wczoraj dobrze mi szło – poskarżył się Wojnow – a dziś ta pętka ciągle spada.

– Chodźże, Daniłow! – powtórzyła Klaudia.

– Po co on to robi? – zapytał Daniłow, kiedy znaleźli się z Klaudią w przedpokoju.

- Na wszelki wypadek – odparła Klaudia. – Może się przyda.
- To się robi żyłką nylonową.
- Próbowaliśmy. Sznurówka lepsza. I taniej kosztuje.

Wprowadziła Daniłowa do swojego pokoju i zapytała:

- Słucham cię, o co chodzi?
- Jak to o co? Sama dzwoniłaś w nocy...

– Ach, tak – przypomniała sobie Klaudia. – Dobrze, zaczekaj, muszę skończyć.

Usiadła przy małym stoliku – ni to sekretarzyku, ni toaletce – i zaczęła coś pisać. Pisała zamasyście, jej długopis tańczył niczym Peggy Fleming na lodzie podczas jazdy obowiązkowej, poruszając się ze szczególną wytwornością i kreśląc na wysokogatunkowym papierze wymyślne arabeski. Daniłow znalazł się w tym pokoju po raz pierwszy. Był to pokój prawie taki jak jej buduar w ich dawnym mieszkaniu, które było mu lepiej znane, różnica polegała na tym, że tutaj nad stolikiem, w oszklonej ramce, widniały umieszczone wszystkie razem, na wiejską modłę, kopie sztychów, portretów olejnych i fotosów filmowych. Były to same wizerunki kobiet; ze wspólnej ramki patrzyło na Daniłowa w sumie dziewięć dam: królowa Nawarry Małgorzata, Joanna D’Arc, Katarzyna Daszkowa na koniu, Zinaida Wołkońska, Zofia Kowalewska, Aleksandra Kołłątaj, Sophia Loren, sama Klaudia, młodzianka i śliczna, oraz jeszcze jedna pani, której Daniłow początkowo nie mógł rozpoznać. Domyślił się dopiero po dłuższej chwili, że jest to Milady z *Trzech muszkieterów* – to znaczy Milène Demongeout w roli Milady. „Też pomysł z tą wspólną ramką!” – pokiwał głową.

Za ścianą rozległ się brzęk szkła. Klaudia podnosząc głowę powiedziała z rozdrażnieniem:

– Znowu butelkę upuścił. Łamaga!

Spojrzała na Daniłowa, jakby zdziwiona, że widzi go w swoim pokoju.

– Ty siedź sobie, siedź...

– Mówiłaś, że masz pilną sprawę...

– Tak. Trudno to nazwać sprawą, raczej wprawką. Piszę list do królowej Belgii w imieniu królowej brytyjskiej. Mam wzór.

Podawała mu książkę w szarej okładce, na której widniał tytuł: *Ceremoniał i protokół dyplomatyczny*, sama zaś powróciła do swych ćwiczeń. Daniłow z dużym zainteresowaniem przewracał kartki: chciałby mieć taką książkę. Przejrzał paragrafy przepisów traktujących o butonierkach, o planach rozmieszczania przy stole gości honorowych podczas śniadań z udziałem i bez udziału dam; dowiedział się ponadto, że w reprezentacyjnych powozach, gdzie miejsca są naprzeciwko siebie, jako honorowe traktuje się miejsce na tylnym siedzeniu po prawej stronie w kierunku ruchu powozu. Kartka z rozdziałem *Korespondencja monarchów* założona była jedwabną wstążką. Znalazł tu wyczerpujący zestaw komplementów i zwrotów kurtuazyjnych używanych w korespondencji osób koronowanych. Klaudia, kierując się wskazówkami podręcznika, układała właśnie list do królowej Belgii.

– Widzisz – powiedziała. – Teraz komplement jest na właściwym miejscu i koniec zdania jest taki jak trzeba: „Na ręce mojej dobrej siostry, królowej Belgii”. Gdyby to była jej krewna, należałoby dodać: „Mojej dobrej siostry i drogiej kuzynki”. A gdybym pisała we własnym imieniu, zakończyłabym zwrotem: „Mam zaszczyt pozostać pokorną sługą Waszej Królewskiej Mości”. Trudna sprawa. Do markiza, na przykład, należy zwracać się per „Wielce Czcigodny Panie Markizie”; słowo „czcigodny” zawsze pisze się w skrócie: „Czc.”. Hrabiego tytułuje się „Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio”, a biskupa – „Wasza Przewielebność”...

– Na litość boską, po co ci to wszystko?

– Kto wie, może się przydać – odpowiedziała wymijająco.

– Wybierasz się jednak do tej Anglii?

– Na razie nie. Ale mam tu nie tylko ceremoniał angielski, jest jeszcze francuski i różne inne... Właściwie robię to bez konkretnego celu. Po prostu ciekawe.

– Może powiesz, co tam napisałaś do królowej Belgii?

– To nasza tajemnica, jej i moja – powiedziała Klaudia surowo.

– Widzę, że znalazłaś pasjonujące zajęcie – rzekł Daniłow – i moja pomoc jest tu całkowicie zbyteczna. Wątpię, żebym uwierzył następnym razem w twoje nocne alarmy. A teraz proszę przyjąć najgłębsze wyrazy szacunku. Kłaniam się i żegnam.

Wstał. Był na nią wściekły.

Za ścianą znowu spadła butelka.

– Przepraszam cię, wybacz – powiedziała Klaudia błagalnym tonem. – Nie kłamałam wczoraj. Ja naprawdę czuję się fatalnie.

Z jej oczu trysnęły łzy.

Daniłow patrzył na nią z niedowierzaniem – może to jakiś nowy manewr, żeby utrzymać go przy sobie? Dobrze wiedział, jakie Klaudia ma oczy i twarz, kiedy kłamie; teraz wyglądało na to, że cierpienia jej są autentyczne.

– Czułam się bardzo źle, nie chciało mi się żyć... Byłeś mi tak potrzebny!

– Stało się coś? – zapytał Daniłow.

– Nic się nie stało... Po prostu... Życie mi obrzydło, tylko tyle... Biegam, załatwiam – i po co? Wszystko to jakieś głupie, bez sensu...

Pół godziny temu, idąc do Klaudii, Daniłow zamierzał powiedzieć, że jej przedsięwzięcia z dyplomami i szmaragdami są co najmniej ryzykowne, ale w tej chwili gotów był wynosić pod niebiosa wszystkie te szmaragdy i dyplomy. Dawno już nie widział Klaudii tak bezbronnej, tak przygnębionej życiem. Gdzie się podziała jej zwycięska pewność siebie?

– Ach, żeby można było o tym wszystkim zapomnieć! Życie zwyczajnie, mieć jakiś jeden wyraźny cel, i żeby obok był ktoś wiemy! Taki jak ty!...

Wzruszony Daniłow myślał: „A może ona ma rację, może naprawdę moje miejsce jest przy niej, a wszystko pozostałe to po prostu pomyłka?”

– Każdy z nas przeżywa takie chwile – powiedział. – Przychodzi smutek i nic się na to nie poradzi. Po co od razu tracić nadzieję? Trzeba żyć. Masz tyle planów na przyszłość...

– Jakich? – zapytała nerwowo.

Tymczasem łzy wysychały już na jej policzkach.

– Jakich... – powtórzył Daniłow – sama wiesz najlepiej, jakich. Masz swoich chłopobudów... Wreszcie ten twój najważniejszy pomysł... no, ten, o którym mówiłaś, że zwariowany...

– Tak, ale skąd ja wiem, czy coś takiego da się w ogóle zrealizować!

– Ja też nie wiem. Nie znam przecież twojego pomysłu, nie wiem, co ci tam wyprorokowano na dwadzieścia lat naprzód.

– Niezależność! – powiedziała z żarem. – Niezależność, to jest mój cel.

– Jaka niezależność? Od kogo?

– Po prostu niezależność. Z dużej litery.

– No wiesz... – rozłożył ręce Daniłow. Nic ponadto nie miał do powiedzenia.

Klaudia nadal miała smutną twarz, ale w jej oczach już rozbłysła iskra energii – a więc nocne rozterki ma za sobą. Pewnie zdążyła już o nich; zapomnieć, skoro zaczęła pisać ten list do królowej Belgii. Łzy musiały być jedynie efektem końcowym – reakcją, która często następuje post factum.

– Dlaczego wszystkie te panie umieściłaś razem? – zapytał Daniłow mając na myśli portrety w ramce.

– Zastanów się, pomysł.

– Dziwny zestaw...

– Z tego wynika, że wcale mnie nie znasz. Nie rozumiesz.

– Możliwe, zwłaszcza teraz.

– Pomyśl, co by było, gdyby połączyć razem wszystkie ich cechy... Wiesz, co by to było? Przewróciłabym świat do góry nogami!

– Skąd aż takie kosmiczne ambicje?

– Ach, Daniłow, żebyś wiedział, ile mam w sobie sił, ile energii! Żebyś tylko wiedział! A wszystko to na nic. Spłonę i śladu po sobie nie pozostawię... Zresztą nie tracę nadziei, że coś niecoś jednak zdziałam...

– To chłopobudy przepowiedziały ci niezależność?

– Tak.

– Słuchaj, czy to poważni ludzie?

– Bardzo poważni.

– Chyba masz rację, już się częściowo przekonałem – westchnął Daniłow.

– O czym ty mówisz? Może próbowałaś im przeszkadzać?

– Na razie nie.

– Wybij to sobie z głowy! Zniszczą!

– Nie martw się, chodzę własnymi drogami.

– Ale gdyby zaproponowali ci miejsce w kolejce, zgadzaj się bez namysłu!

– Po co?

– Parę osób z waszego teatru już figuruje w ich ewidencji i dobrze wie, po co.

– O kim mówisz? Co to za osoby?

Spodziewał się, że zaraz padnie z ust Klaudii nazwisko Czechonina – i oczywiście zgadł. Dodała, że byli tam jeszcze wiolonczelista Turukanow i dyrygent, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć.

– Muszę się zastanowić – powiedział Daniłow.

– Zastanawiać się nie ma co, jesteś lekkomyślny i nie zastanawiasz się nad przyszłością. Oczywiście, byłoby głupotą zapisywać się do kolejki dla muzyki, ale chłopobudy, być może, daliby ci jakieś prognozy, wykryli główny sens twojego życia. Zacząłbyś wreszcie żyć jak poważny człowiek. Zapisz się, przynajmniej ja z tego skorzystam.

– Ale skąd wezmę pieniądze na składki?

– Postarasz się o chałtury.

Na samo wspomnienie o piętnastu rublach Daniłow stracił wszelką chęć kontynuowania rozmowy. Do żadnej kolejki zapisywać się nie zamierzał; powinien teraz rozmawiać z Czudeckim i Pieriesleginem, zamiast paplać z Klaudią o bzdurach. Ta kobieta dobrze zna jego czułe miejsca i najgorsze jest chyba to, że wszelki opór z jego strony okazuje się bezskuteczny: Klaudia nadal ma nad nim władzę i on, choć wygłasza żarliwe wewnętrzne monologi protestacyjne, stawia się pokornie na każde jej wezwanie. Wystarczy choćby dzisiejszy przykład: napędziła mu strachu tym nocnym alarmem – i cóż, okazuje się, że obawy były próżne. Pocieszycieli jej na pewno nie brakuje. Same te fotografie na ścianie powinny swoim widokiem przywracać jej życie. Po co on tu przybiegł? Może zaczyna mu brakować tych spotkań? Albo może nabrał do Klaudii szacunku, odkąd dowiedział się o jej pasjach i kosmicznych ambicjach? Przecież ani razu nie zapytała o jego kłopoty, o jego pracę... Zresztą to chyba nawet lepiej, że widując się z Klaudią zapominał na jakiś czas o muzyce. Może takie chwile wyłączenia się ze spraw bieżących są człowiekowi potrzebne i mają wpływ uzdrawiający? „Nie wiem – powiedział sobie w duchu – nie wiem... A jednak czas najwyższy, żeby wiedzieć”.

– Złoty? – zapytał patrząc na medalion zawieszony pod portretami słynnych kobiet.

– Złoty – potwierdziła Klaudia. – Na szczęście mam przyjaciół, których stać na robienie mi takich prezentów.

W jej słowach zabrzmiał wyrzut, ale Daniłow nie przyjął wyrzutu na swoje konto. Szedł już do drzwi, kiedy Klaudia zdjęła medalion ze ściany, otworzyła i podała mu na dłoni.

Wewnątrz było zdjęcie papugi oraz pukiel włosów – jedno i drugie należało, jak się domyślił, do Rostowcewa. Spojrzał na Klaudię.

– Tak – powiedziała – to rzecz szczególna.

„Wcale nie chodzi tu o rzecz!” – pomyślał Daniłow. Wiedział, że Klaudia nie bez ukrytego zamiaru zdjęła medalion ze ściany – i już na pewno nieprzypadkowo otworzyła i pokazała mu zawartość.

W sąsiednim pokoju znowu spadła i potoczyła się po podłodze pusta butelka.

Klaudia odprowadziła Daniłowa do drzwi wyjściowych. Na pożegnanie powiedziała nagle:

– No proszę, zapomniałam powiedzieć, żebyś zdjął buty. Patrz, zostawiłeś ślady. Następnym razem pamiętaj: buty masz zostawiać w przedpokoju.

Daniłow spojrział na podłogę, ale żadnych śladów nie zauważył. „Akurat będę wam buty zdejmował – pomyślał. – Nie jestem głupi. Wiem teraz, jakie hobby ma twój profesor, i nie chcę zostać bez sznurówek”.

W windzie przypomniał sobie, że nie zapytał o Nataszę, to znaczy nie zapytał, co Klaudia miała na myśli, kiedy mówiła o Nataszy. „I dobrze, że nie zapytałem” – stwierdził.

Wszystko świadczyło o tym, że osoba Daniłowa przestała denerwować kompozytora. Czudecki też powiedział pewnego razu parę miłych słów o jego grze. Grał coraz lepiej i nie dręczył się już tak jak przedtem na myśl o własnej niedoskonałości. Pozostały wprawdzie zwątpienia, ale z tym można żyć.

W Pałacu Kultury Energetyków rozpoczęto ożywione przygotowania do konkursu tańca. Młodzieżowa orkiestra Czudeckiego przeniosła się do Klubu Pracowników Służby Zdrowia. Daniłow stwierdził przy tym, że Pierieslegin i Czudecki znają się na organizacji pracy, mimo że obaj, podobnie jak on, robili wrażenie artystów subtelnych i nieśmiałych. Przedsięwzięcie takiego typu jak to wymagało nie lada odwagi, a więc Daniłow także musiał stłumić w sobie wewnętrzne opory.

Zresztą teraz, kiedy sprawy nabrały rumieńców i potoczyły się całkiem niezłe, Daniłow czuł, jak milknie w nim stopniowo głos zwątpienia. Zresztą nie było nawet czasu na refleksje: rozważać mógł tylko w chwilach, gdy korzystał z komunikacji miejskiej, ale nawet wówczas, jadąc trolejbusem, wyjmował z kieszeni „Kulturę” albo „Sport” i zapominał o wielu przykrych rzeczach, pogrążony w lekturze nieobiektywnych sprawozdań krytykujących styl gry hokeistów Dynama (w redakcji „Sportu” prym wiedli najwyraźniej kibice klubu Spartak). W taksówkach przeważnie zasypiał i kończył czytać prasę codzienną w windzie. A jednak coś się w nim chwilami odzywało: „Dobrze, powiedzmy, że zagram – potem opuszczę smyczek i zapadnie cisza...” – „A kysz!” – odpędzał te natrętne myśli.

Potem przyszła następna faza: zaczęły go nawiedzać obawy, że coś im może stanąć na przeszkodzie. Nie miał tu na uwadze ani intryg chłopobudów, ani nadejścia Godziny Zero (o Godzinie Zero w ogóle przestał ostatnio wspominać), myślał natomiast, że może, dajmy na to, zginąć w wypadku albo umrzeć na zawał w przededniu koncertu. Śmiał się sam ze swoich lęków, ale śmiech był nerwowy i obawy nie ustępowały. Nie o własne życie tu szło (choć życia też było szkoda), największą przykrość sprawiała myśl, że nie zdąży powiedzieć ludziom tego, co chciał im przekazać – nie tyle może przekazać, ile oddać przy pomocy swojej altówki coś takiego, o czym ludzie jeszcze nie wiedzą, ale domyślają się na pewno. Nigdy dotąd nie chorował, ani razu nie korzystał ze zwolnienia, a teraz ciągle jeszcze miał wrażenie, że kłuje go coś pod łopatką albo łupie w karku; to ząb go bolał, to miał jakieś kolki... Czasami, kiedy ktoś w jego obecności zaczynał skarżyć się na bóle głowy czy klucia pod łopatką i rozmówcy stwierdzali, że wszystkiemu jest winien klimat („Nic dziwnego, pogoda paskudna”), Daniłow czuł się nieco uspokojony, ale nie na długo. Obawy wkrótce powracały i znowu nabierał przekonania, że jest śmiertelnie chory. Poszedł nawet do przychodni lekarskiej, ale stwierdzono u niego tylko wyczerpanie nerwowe i początkowe objawy nieżytu żołądka. Nawet zmartwił się, że dolegliwości ma tak niepoważne. „Pewnie nie chcą mi wszystkiego powiedzieć” – myślał. Jedno było dobre: przeziębził się po raz pierwszy w życiu i otrzymał trzy dni zwolnienia. Wyspał się przynajmniej, ale potem, rozmyślając w wolnych chwilach o własnym zdrowiu, zdziwił się, że w ogóle potrafi chorować. Może organizm zaczyna się przestawiać?

Rano czuł się bardzo źle i na próbę przyszedł w przykrym humorze. Miała to być próba solowa; kompozytor usiadł przy fortepianie i grał za orkiestrę. Po zakończeniu próby wymienili uwagi, potem zapadło milczenie. Nagle Pierieslegin zapytał:

– Czemu pan tak mizernie wygląda? – i, nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Ja też czuję się podle. Oby tylko dotrzeć do koncertu...

Daniłow spojrzął na niego ze zdumieniem, ale i z radością: czyżby Pierieslegina też prześladowały takie same obawy? Wyznał mu wszystko. Kompozytor ucieszył się i powiedział:

– Tak to już bywa, nie pierwszy raz zdarza mi się coś takiego. Kiedy pracowałem nad symfonią i byłem już bliski finału, nagle ogarnęło mnie przerażenie: czy dam radę skończyć? Byłem pewien, że lada chwila wysiądę... A potem przeszło. Tak i teraz, tuż przed premierą, znowu zaczyna się to samo...

Pozarto wali trochę, pośmiali się z siebie nawzajem, a gdy podali sobie na pożegnanie ręce, każdy pomyślał: „Jemu na pewno nic się nie stanie, a co będzie ze mną – nie wiadomo...”

Niemniej tego dnia Daniłow nie odczuwał żadnych kolek.

Miał jeszcze jeden wieczór wolny od zajęć w teatrze. Siedział w domu i nic nie robił. O Nataszy postanowił nie myśleć. Znowu pochłonęła go muzyka.

Przypominał sobie poprzednie próby, przypomniał też chwile rozpacz, kiedy z trudem opierał się pokusie przekręcenia płytki bransolety. Ale do czego mogłyby doprowadzić te sztubackie pociągnięcia? Przeżyłby może chwilowy triumf albo wstrząs i więcej nic by się nie zmieniło. Byłby w takim przypadku nie artystą, nie twórczą jednostką, lecz zaledwie igłą gramofonową. W latach licealnych i zaraz po ukończeniu liceum Daniłow, jak to miody demon, lubił próbować sił w różnych dziedzinach i między innymi opanował grę na różnych instrumentach. Nawet wówczas zajęcia te wymagały pewnych zdolności i nawyków, ale główną rolę odgrywał nie tyle talent, ile możliwości, jakie dawał mu sam przywilej ówczesnego stanu. Mógł w każdej chwili zagłębić się w muzyce wiecznej, pojąć w niej wszystko – poczynając od najprostszycy dźwięków, a kończąc na kresach możliwości, mógł zrozumieć wszystkie rządzące nią prawa, wszystkie jej nurty i meandry – i nie tylko pojąć, ale wchłonać, przyswoić sobie cały ten ogrom. Muzykę dawną, zarówno jak i muzykę przyszłości, potrafił wówczas odtworzyć na każdym dowolnym instrumencie... A jednak już wkrótce znudziły mu się cudze olśnienia, ich przywłaszczanie zaczęło wydawać się wręcz upokarzające. Pozostawał jedynie urządzeniem odtwarzającym, czymś w rodzaju gramofonu lub adaptera, tymczasem pragnął każde ze swych poczynań zrobić poczynaniem własnym; pragnął tego, co czyniłoby jego osobowość – osobowością. Dlatego też największą satysfakcję sprawiały mu chwile, kiedy muzykę mógł odbierać i rozumieć tak, jak odbiera i rozumie ją zwykły człowiek. Dopiero wtedy poczuł, że wszystko odkrywa sam, wprawdzie częściej dręczył się i cierpiał, ale rozumiał, jaką radość odczuwa twórca. Porywało go niewiadome: rozmyślał, co będzie dalej z muzyką i z nim jako muzykiem. Może osiągnie takie wyżyny i stać go będzie na taką zuchwałość, że sam spróbuje, bodaj o milimetr, ruszyć muzykę z posad, nadać jej nowy impuls... Pytanie tylko – dokąd poprowadzi muzykę ten impuls? Dalej? Naprzód? Ale co znaczą te słowa – dalej, naprzód?... Tego Daniłow nie wiedział, choć mimo wszystko był przekonany, że ruszyć muzykę z posad oznacza dać jej możliwość rozwoju, przejścia na nowe pozycje. I przy tym żadnych sztuczek z bransoletą – tak postanowił raz na zawsze i trzymał się twardo swego postanowienia. Mało powiedzieć, że sięgając po środki nadzwyczajne miałby większe szanse niż którykolwiek z normalnych ludzi – w dodatku byłoby to nudne, banalne, byłoby szarlatanstwem, samozakłamaniem i niczym więcej. Wydawało mu się teraz, że nadeszła pora, by zrobić w muzyce jeden z najważniejszych kroków; niczego jeszcze wprawdzie nie popchnął do przodu (może nawet nie sążone mu to uczynić), ale był przekonany, że jeśli zagra dobrze symfonię Pierieslegina, właśnie ten fakt posłuży niejako za usprawiedliwienie jego egzystencji. Czy potrzebna jest ludziom ta symfonia, czy też nie – to całkiem inna sprawa; jego zadanie polega na tym, by odkryć ludziom tę muzykę. A potem niech się stanie, co stać się musi.

Myślał w tych dniach o Ziemiaku. Ziemiaku na pewno ma już za sobą wiele z tego, co teraz przeżywa on sam, i wiele z tego, co powinna przynieść niedaleka przyszłość. Drogi,

którymi każdy z nich kroczy, są oczywiście bardzo różne, ale udręki i wątpliwości artystów są wspólne na wszystkich drogach. A przecież Ziemiński nie poddał się, nie upadł na duchu i nadal walczy o jakieś wartości nieprzemijające. Ambicje ma olbrzymie i jest przekonany, że do takich ambicji posiada wszelkie prawa. Cóż, niech trwa w tym przekonaniu...

Rozważania o Ziemińskim przerwał telefon. Dzwonił Murawłow, zapraszał go do siebie mówiąc, że żona robi właśnie pilaw i piecze barani udziec zakupiony na Rynku Butyryńskim. Daniłow podziękował za zaproszenie i udał się na Niżną Maśłowkę.

Mijając Dworzec Sawiołowski pomyślał, że kiedy indziej byłby skłonny przesunąć właśnie w takim momencie płytkę bransolety i pozwolić sobie na krótką rozrywkę. Może zażyłby kąpieli w piorunach albo przeniósł się w Andy, do swojej jaskini, gdzie zapewnioną ma samotność i spokój... A teraz nawet już nie wspomina ani o Andach, ani o błyskawicach... Jechał do Murawłowów wiedząc, że będzie mu tam przyjemnie, że zostanie dobrze nakarmiony, a potem posiedzi sobie w błogim cieple albo zdrzemnie się trochę.

Uściskał Murawłowa, przywitał się z jego synem Miszą i wziętym niedawno na wychowanie inteligentnym kundlem Salutem. Ach, co za aromaty dochodziły z kuchni! Nawet kundel oblizywał się do chwila. W przedpokoju Daniłow zauważył jeździeckie buty: Murawłow miał ostatnio nowe hobby – konną jazdę, w wolnych chwilach jeździł alejami parku Piotrowskiego na karym wałachu i nieraz próbował zachęcić Daniłowa do wspólnej przejażdżki. Ale na dzisiejszy wieczór przygotowano dla gościa domowe pantofle gospodarza, zaprowadzono go do pokoju i ulokowano w fotelu nie opodal stołu, tak żeby miał przed sobą ekran telewizora. Tamara krzątała się w kuchni, Murawłow, zerkając do gazety, wycierał sztućce, a wokół toczyło się normalne życie – Misza Murawłow, na co dzień skupiony i zadumany uczeń szkoły podstawowej, bawił się wesoło z Salutem. „Hop, Salut, hop!” – wołał Misza wymachując pionierską trąbką – i Salut, choć skakać nie zamierzał, usiłował odgryźć kawałek pantofla z prawej nogi Daniłowa. Okazało się, że kundel jest płci żeńskiej, w związku z czym Daniłow potraktował atak na swoje pantofle dobrodusznie, z dużą wyrozumiałością. W innych okolicznościach poszedłby na pewno do kuchni, żeby pomóc gospodyni, ale teraz po prostu nie mógł: nie miał sił.

Przyszli goście: Jeriomczenko, Koszelew z Olginą, Wilczkowie, Spascy, Dobkinowie i Katia Kowalewska. Katia była sama, jej mąż Michał znowu gdzieś wyjechał. Ja też zjawiłem się z żoną, zaproszony na ten pilaw i barani udziec, porozmawialiśmy z Daniłowem bardzo przyjemnie, podziękowałem mu za widokówkę, którą przysłał mi jesienią z Chabarowska – leciał wtedy na występy gościnne do Južno-Sachalińska i utknął na chabarowskim lotnisku zatrzymany niepogodą.

– Dawno nie pokazywałaś się, Włodku! – narzekali goście. – Przykrzyło się nam za tobą.

Daniłow usprawiedliwiał się jak mógł, ale był wzruszony i żałował, że częściej nie był u Murawłowów: zawsze to lepiej przyjść tutaj, niż tracić czas, powiedzmy, na głupie sprawy Klaudii.

– Jeszcze trochę, a będę miał więcej czasu – powiedział. – Muszę tylko zagrać jedną rzecz...

Opowiedział o symfonii i zaprosił wszystkich obecnych na koncert do Klubu Pracowników Służby Zdrowia.

Wreszcie nakryto do stołu i zaczęła się uczta. Gospodyni opiekowała się Daniłowem, dokładała mu na talerz największe porcje, wszyscy mówili: „Jedz, Włodziu, jedz”, widząc, jaki jest głodny.

– Ciekawe, dlaczego Kudasow nie przyszedł? – zainteresował się Daniłow. Wy tłumaczono mu, że ostatnio Kudasow wszystkich zdumiewa: stracił apetyt do reszty; wprawdzie wygłasza jeszcze swoje prelekcje, bo musi przecież utrzymywać rodzinę, ale robi to jak pod przymusem – potrafi, na przykład, urwać w środku zdania, jakby dziwiąc się temu,

co mówi, i nie wierząc samemu sobie. A najczęściej siedzi w domu, zadumany i wpatrzony w kwiaty na tapetach.

– Dziwne – powiedział Daniłow.

– No pewnie, że dziwne – zgodził się Murawłow.

W istocie zdumiewające, a nawet przykre było to, że Kudasow nie zareagował na dzisiejsze aromaty: barani udziec, nadziewany czosnkiem, miał wyjątkowo pachnącą złocistą skórę, skropioną winem „Kindzmarauli”. Nikt nie darzył Kudasowa szczególną sympatią, w domu Murawłowów traktowano jego obecność jako zło konieczne, ale wszyscy do niego przywykli. Zresztą nieobecność Kudasowa w niczym nie zakłóciła przebiegu uczy. Policzki gospodyni płonęły; patrzyła rozkochanym wzrokiem na gości, na męża z synem, na Daniłowa, na resztki baraniny i nawet na mądrego kundla, który obgryzał ukradkiem obwolutę niedawno nabytej monografii o Sergiuszu Sudiejkinie. Pies był rzeczywiście nadzwyczaj inteligentny, ponieważ pierwszy w domu zapoznawał się z każdą nową książką.

Po jedzeniu Daniłow podziękował gospodyni i poczuł, że morzy go sen. Nie zasnął, widział wszystko i coś niecoś słyszał, ale sam ani rozmawiać, ani ruszać się nie mógł. Miałem ochotę pogadać z nim o muzyce, zapytać o to i tamto, wyglądał jednak tak, jakby tego dnia przeszedł okrutne tortury i teraz dopiero zaczynał powracać do życia. Nie pozwoliło mi sumienie indagować udręczonego człowieka, dałem mu spokój. Goście przycichli, telewizor też ściszone do minimum. Nawet pies z mniejszym niż dotąd zapałem gryzł monografię o Sudiejkinie. Kobiety rozmawiały ze sobą niemal szeptem, szmer ich głosów działał na Daniłowa kojąco. Wiedział, że gdyby stało mu się coś złego, wszyscy w tym domu byłiby głęboko zasmuceni. Gotów był opowiedzieć tym miłym ludziom o swych kłopotach, o czarnych myślach, jakie nawiedzały go ostatnio, i może czarne myśli zostałyby natychmiast rozwiane, jemu zaś powiedziano by z wyrzutem, że w ogóle nie powinien takich myśli dopuszczać. Powstrzymał się jednak od wylewności i drzemał w swoim fotelu, a gdy otworzył oczy, część towarzystwa poszła już do domu.

Murawłow z Koszelewem grali w szachy. Koszelew, z zawodu adwokat, w każdej grze był agresywny niczym prokurator. Nie opodał Daniłowa razem z panią domu siedziała Katia; kobiety wertowały „Burdę” szukając wykrojów letnich sukienek. Daniłow poczuł się zażenowany: wydawało mu się, że Katia spojrzała na niego jakby z wyrzutem. Może wiedziała o jego sprzeczce z Nataszą? Miał wielką ochotę porozmawiać z Katią, zbyt długo okłamywał samego siebie i teraz rozumiał, jak brakowało mu ostatnio Nataszy. Może to prawda, że Natasza ma go dość, ale jemu jest potrzebna! Przecież wtedy, na koncercie w instytucie, grał tak dobrze tylko dlatego, że słuchała go Natasza...

Przez cały następny dzień chodził smutny i roztargniony. Czudecki z Pieriesleginem byli zdziwieni.

– Co się z panem dzieje? – zapytał Czudecki. – Wczoraj wszystko szło tak dobrze, a dzisiaj... Pojutrze premiera!

Rzeczywiście, Daniłow sam nie wiedział, co się dzieje; smyczek i altówka leciały mu z rąk.

– Zmęczony jestem – powiedział.

W teatrze zagrał to, co miał do zagrania w spektaklu, potem wrócił do Ostankina i pod domem, w mroku, zobaczył Nataszę.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Muszę z tobą porozmawiać. Proszę, wysłuchaj mnie, nawet jeśli taka rozmowa jest dla ciebie uciążliwa...

– Zimno tu – powiedział Daniłow. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chodźmy do mnie.

Weszli do mieszkania.

– Możesz myśleć, że się tobie narzucam, że za wszelką cenę chcę zostać twoją kochanką albo przyjaciółką, możesz mną gardzić, ale niczego to nie zmieni. Musiałam zobaczyć się z tobą i wyjaśnić wszystko do końca. I wcale nie wstydzę się, że przyszłam.

Daniłow milczał.

– Obojętne, czy jestem ci potrzebna, czy nie, po prostu nie mogę żyć bez ciebie – mówiła Natasza. – Może ty mnie w ogóle nie kochasz, w takim razie powiedz i dam ci spokój. Na zawsze.

– Bardzo źle było bez ciebie – powiedział Daniłow.

Czuł, że choć tęsknił dzisiaj za Nataszą, choć marzył o spotkaniu, żal nie przeszedł całkiem. Wręcz przeciwnie, teraz odżył i powiedziane przed chwilą słowa oznaczać miały, że źle mu było nie tylko bez Nataszy – było w ogóle źle, o czym Natasza nie ma pojęcia. „Nie, tak nie wolno! – pomyślał. – Nie mogę być drobiazgowy!”

– Powiedz, jestem ci potrzebna? – zapytała Natasza.

– Tak.

– Nie mam nikogo oprócz ciebie. Adoratorów nigdy mi nie brakowało, tamtego wieczoru pozwoliłam jednemu z nich odprowadzić się do domu; czułam, że przyjdiesz, dlatego to zrobiłam – z żalu i przez babską głupotę. Przepraszam...

– Nie umawialiśmy się nigdy, że będziemy żyli jak w więzieniu. Ja też cię przepraszam. Za przykre słowa i za brak uwagi... Ale ostatnio czas mam wyliczony co do sekundy.

– Chciałabym, żeby wszystkie twoje kłopoty i troski były też moimi, żeby było ci lżej, kiedy jestem z tobą, ale boję się do ciebie zbliżyć. Może się mylę, ale ciągle mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz, coś bardzo ważnego, dlatego jest mi tak ciężko i dlatego nie możemy być ze sobą szczerzy do końca. A cóż dobrego może z tego wyjść?

Daniłow milczał: nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wybacz – powiedziała Natasza – może chcę za dużo, może cię niechcący obraziłam. Ostatecznie jakież mam prawo do twojej szczerości?

Daniłow chciał powiedzieć coś nieistotnego, może nawet zbyć jej słowa żartem, żeby wszystko między nimi pozostało jak dawniej. Spojrzał jednak na Nataszę i zrozumiał, że to niemożliwe.

– Tak – odparł. – Mam tajemnicę, której nie mogę zdradzić ani tobie, ani w ogóle komukolwiek. Nigdy nie powiem ci wszystkiego, bez względu na to, jak się ułożą nasze stosunki.

W oczach Nataszy pojawiło się przerażenie, nie chciała mu wierzyć. „Nie! Nie! – mówił jej wzrok. – Wszystko to wymyśliłeś! Nie może tak być, nie powinno!”

– Niestety, tak jest – powiedział Daniłow. – Ale tajemnica ta, związana z moim pochodzeniem i obecnym życiem, dotyczy tylko mnie. Nie ma w niej niczego, co by można było nazwać nieuczciwym. Możesz być spokojna, nie grozi ci żadna kompromitacja.

Dodał jeszcze na wszelki wypadek:

– Moja tajemnica nie jest związana z żadną działalnością na szkodę ojczyzny.

Odniósł wrażenie, że właśnie te ostatnie słowa uspokoiły Nataszę. Nic dziwnego, można sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby wyszło na jaw, że Daniłow jest szpiegiem lub agentem obcego wywiadu!

– Powiedziałem ci znacznie więcej, niż mogłem – skończył, myśląc równocześnie: „Nie wolno mi było mówić ani słowa! Jeszcze za to zapłacę, i to słono!” Po chwili dodał: – Postąpiłem tak dlatego, że jest to nasza ostatnia rozmowa.

Natasza zrobiła zaprzeczający gest.

„Może pomyśli teraz, że jestem wariat? – przemknęło mu w głowie. – Trudno, niech pomyśli, byle odeszła z lekkim sercem...” Ale już po chwili sama myśl, że Natasza może podejrzewać go o chorobę umysłową, wydała mu się nie do przyjęcia.

– Proszę, nie bierz mnie za pomyleńca – powiedział. – Jestem przy zdrowych zmysłach, choć oczywiście sama ta deklaracja o niczym nie świadczy.

– Wiem, że nie jesteś chory – odezwała się Natasza cichym głosem i Daniłow zrozumiał, że mówi szczerze.

– Powiedziałem, że to nasza ostatnia rozmowa, ponieważ teraz, po tym, co usłyszałaś, nasze stosunki nabrałyby takiej powagi, że nie byłibyśmy w stanie żyć z tym dalej. Mogłyby spaść na nas oboje wielkie nieszczęścia. Widzisz, zdarzają mi się dziwne rzeczy: mogę w każdej chwili – powiedzmy, za moment – zniknąć bez śladu. I to na zawsze. Ale nie to jest najważniejsze – najważniejsze, że człowiek, który odważy się związać ze mną swój los, zostanie narażony na niebezpieczeństwa i ja nie będę mógł ani przewidzieć ich, ani im zapobiec. Byłabyś ciągle zagrożona, musiałbym drzeć o ciebie na każdym kroku. Żadnych korzyści moja sytuacja nie daje, wręcz przeciwnie, mogą na ciebie czyhać różne nieszczęścia, choroby, może nawet śmierć. Marzyłem, żeby mieć syna albo córkę, ale ani córki, ani syna mieć nie mogę.. Moja tajemnica zawsze ciążyłaby na ich życiu.

– Biedactwo – powiedziała Natasza.

– Wcale nie biedactwo. Wiem, co jest mi sędzone i czego się mogę spodziewać. Ale nie mam prawa narażać czyjegoś życia.

– No więc?

– Więc musimy się rozstać.

– Powiedz, czy teraz, w tej chwili, jestem ci potrzebna?

Daniłow milczał.

– Będę może przeszkadzać, będę kulą u nogi?

– Nie wiem...

Rzeczywiście nie wiedział.

– Naturalnie, może zdarzyć się tak, że przestaniesz mnie kochać, wtedy ja to zrozumiem i odejdę. Ale powiedz, czy jestem potrzebna teraz – powiedzmy, przez najbliższy tydzień, przez jeden dzień? Powiedz tak, jak czujesz, zostaw na boku wszystkie inne względy i nie troszcz się o mój los, bardzo cię proszę.

– Jesteś potrzebna – powiedział Daniłow.

– W takim razie zostanę z tobą. Zostanę przez ten tydzień, może. dzień...

– Natasza, ja nie mogę...

– Nie boję się ani trochę. Przyjmuję wszystko, co twoje. Co mogą znaczyć nieszczęścia, choroby czy śmierć, skoro jestem tobie potrzebna? Jeśli coś mi grozi, to znaczy, że grozi również tobie. Jeśli ciąży na tobie jakaś wina czy wielkie zobowiązanie, wezmę na siebie twoją winę i twoje zobowiązania. Jeśli trzeba będzie zapłacić życiem, zapłacę. Złóż na mnie przynajmniej część swojego ciężaru. Wiem, czym jest dla ciebie muzyka, wiem, że ci nie dorównam, ale postaram się, żeby moje zainteresowanie dla twojej muzyki nie było dla ciebie uciążliwe. Zrobię wszystko, żeby twojej muzyce nie przeszkadzać. Nie myśl, że stanę się twoim cieniem albo służącą, byłoby to dla ciebie nudne. Postaram się pozostać sobą, ale ty potrzebujesz miłości, potrzebujesz oparcia, więc to ja będę twoją miłością i twoim oparciem.

– Dziękuję ci, Natasza – powiedział Daniłow. – Cóż, skoro tak... Ale nie mogę obiecać, że nie zniknę nagle któregoś dnia.

– Za dużo powiedziałaś, ale możesz wierzyć każdemu słowu. A gdybyś stwierdził, że ze mną wcale nie jest ci łatwiej i że masz mojego towarzystwa dość, możesz mnie wyrzucić.

Teraz Daniłow był przekonany jeszcze bardziej, że powinien rozstać się z Nataszą na zawsze. Powinien był uchronić ją, ustrzec od złego. Nie powiedział jednak ani słowa, a gdyby nawet powiedział, czy mógłby cokolwiek zmienić? W tej chwili Natasza była od niego silniejsza.

– Przynajmniej dziś mnie nie wyrzucaj – prosiła Natasza z nieśmiałym, uśmiechem.

– Dziś nie wyrzucę – powiedział.

Nadszedł dzień występu.

Natasza wyprasowała mu frak i spodnie, czarny motylek prasował sam. Jeść nic nie mógł, choć czekało na niego ciepłe śniadanie. Napił się tylko kawy.

Dzwonił zdenerwowany Pierieslegin, pytał, czy Daniłow załatwił sobie w teatrze dzień wolny. Dzwonił Czudecki, też zdenerwowany, radził zaprosić na występ wszystkich dobrych znajomych, usposobionych życzliwie do Daniłowa i do muzyki, żeby nie okazało się nagle, że sala jest pusta. Wczorajszy dzień był niespokojny, dzisiejszy zapowiadał się podobnie. Było tak jak w teatrze przed premierą, kiedy wszystkim wydaje się, że nic nie jest przygotowane, że przydałby się jeszcze dzień lub dwa, bo takiego koszmaru nie można ludziom pokazać – i aktorzy do niczego, i dekoracje mogą w każdej chwili runąć, i w ogóle kłapa murowana. Ale właśnie tego niepokoju Daniłow potrzebował: niepokój zmuszał do działania, kazał ciągle powtarzać próby i wprowadzać dodatkowe, biegać, sprzeczać się, kłócić, rozpaczać, kłać życząc, żeby wszystko to diabli wzięli – i natychmiast znowu grać, pucować buty, przycinać brodę, dzwonić do znajomych i prosić ich, żeby nie przynosili kwiatów: „Jakie tam kwiaty, zaopatrzenie się lepiej w zgniłe jabłka...” Paliła go niecierpliwość; energiczny, podniecony, zapomniał o chorobach, o strachu przed śmiercią i czuł się całkiem dobrze.

O piątej pojechał do klubu. Natasza obiecała przyjść po pracy razem z Katią. Daniłow poczuł głód i wpadł do baru na Bulwarze Srietieńskim. Czebureki – specjalność baru – były do niczego, ale Daniłow wiedział, że te wstrętne czebureki i bulion z klopsikami zapamięta na zawsze, jak zapamięta wszystko, co ma związek z dzisiejszym dniem. Na skwerku obejrzał naklejone na słupie afisze: nie było na nich nazwisk Pierieslegina i Czudeckiego – widocznie zabrakło miejsca.

„Żeby tylko chłopobudy nie popsowały nam występu! No, niech spróbują bruździć, ja im pokażę!” – myślał. Do klubu jechał pełen niepokoju.

– Nie odwołano? – zapytał z progu, nie zdążywszy nawet powiedzieć „dzień dobry”.

– Co też panu przyszło do głowy? – zdziwili się Pierieslegin i Czudecki.

– Tak tylko pytam... – odpowiedział.

Nie czuł się jednak spokojny. Obejrzał instrument – czy struny są w porządku – i nie wypuszczał już altówki z rąk. Poszedł na scenę i wszystko dokładnie zbadał, tak jakby szukał ukrytej bomby zegarowej.

Zaczęła pomału ściągać publiczność. Najpierw pojawiły się w foyer jakieś nieznanne twarze – chyba pracownicy służby zdrowia. Potem przyszło kilka znanych osobistości. Wykładowcy z wyższej szkoły muzycznej, nawet ci, z którymi Daniłow jako student nie miał zajęć, wymienili z nim ukłony. Zjawiło się czterech wybitnych muzyków i kilku krytyków muzycznych.

Wszystkich witali przy wejściu Pierieslegin i Czudecki – widocznie sami ich zaprosili. Przyszedł też człowiek, którego widok wprawił dyrygenta i kompozytora w pewne zakłopotanie.

– To pan go zaprosił? – zapytali Daniłowa.

– Skądże – powiedział. – A kto to jest?

– Zybawow – skrzywił się Pierieslegin. – Krytyk, felietonista...

– To świetnie – powiedział Daniłow.

Zybawow, mężczyzna wysoki i dorodny, mierzył obecnych ponurym spojrzeniem. „Wygląda jak zła wróżka Carabos na urodzinach Śpiącej Królowy” – pomyślał Daniłow. Nie wiedział, że Zybawow jest krytykiem muzycznym, ale widział go w kolejce u chłopobudów.

Czudecki i Pierieslegin czekali jeszcze na jakichś gości, których na razie nie było widać. Wiadomo, że ludzie najbardziej potrzebni spóźniają się zazwyczaj albo nie przychodzą w ogóle.

Głupio było tak stać z altówką w foyer, ale Daniłow, choć skrepowany, czekał na swoje towarzystwo. Przyszło ze czterdzieści osób: prawie wszyscy, którzy byli ostatnio u Murawłowów, a oprócz tego inni znajomi. Przyszły nareszcie Natasza z Katią. Daniłow nie wiedział, jak ma przedstawić Nataszę znajomym, ale Katia wzięła sprawę prezentacji na siebie i Daniłow zrozumiał, że o istnieniu Nataszy wszyscy wiedzą albo się domyślają. Zresztą kwestia stosunku łączącego Daniłowa z Nataszą nie była teraz najważniejsza. Razem z innymi przyszła dawna znajoma Daniłowa, Lena Buranowa, akompaniorka ze Szkoły imienia Gniesinów – i właśnie na jej osobie skupiło swoją uwagę całe towarzystwo. Lena była w ciąży – i sądząc z jej wyglądu, należało spodziewać się co najmniej dwojaczków. Wszyscy proponowali dla dzieci imiona – dziwnym trafem same męskie. "Dajcie spokój! – protestowała Lena. – Zobaczycie, że będę miała dziewczynkę i imię dla niej już mam: Marianna..." Znajomi prosili Daniłowa, żeby grał spokojnie, bez zbytej pasji, bo Lena może przejąć się i urodzić tu, na widowni – jedyne pocieszenie, że na terenie podlegającym służbie zdrowia. Daniłow odpowiadał żartem na żart i cieszył się, że rozmowa jest beztraska.

Wreszcie przywitał się już ze wszystkimi, na których czekał. Pobiegł za kulisy. Ktoś zawołał za nim: „Gdzie robicie bankiet?” Odwrócił się zamierzając odpowiedzieć i wówczas zobaczył w drzwiach wejściowych rumianego Rostowcewa. Nie odpowiedział więc na pytanie o bankiet i wyszedł z hallu.

Wielu słuchaczy zajęło już swoje miejsca, choć przy bufecie nadal było tłoczno. Oprócz symfonii Pierieslegina w programie znalazła się *Siódma symfonia* Prokofiewa. Utwór Pierieslegina figurował początkowo jako drugi, ale kompozytor zaprotestował – jego zdaniem, Prokofiewa należało zostawić na koniec, żeby po ewentualnej klapie nowej kompozycji uratować honor orkiestry. „Może to i lepiej – pomyślał Daniłow – szybciej zrobię swoje i będę miał spokój”.

Zapowiedziano symfonię Pierieslegina. Daniłow wyszedł na scenę. Było cicho. Jak grał i co czuł, przypominał sobie później w dziwny sposób – w postaci urywków, przebłysków i oderwanych, pojedynczych wizji. A przecież scena nigdy go nie peszyła, zdarzało mu się występować w salach bez porównania większych – nieraz akompaniował śpiewakom w składzie zespołu muzycznego albo po prostu grał w sekstetach. Różnica polegała na tym, że w tamtych przypadkach będąc na scenie widział i słyszał wszystko, dostrzegał każdy pyłek na deskach podłogi, łowił uchem każde chrząknięcie, każde westchnienie dolatujące z widowni, teraz natomiast, zamknięty w sobie i skupiony do maksimum, nie słyszał nawet własnej gry – to znaczy słyszał, ale tak, jak słyszy siebie człowiek usiłujący przemówić do ludzi, powiedzieć im niezwłocznie coś bardzo ważnego; któż by myślał w takich chwilach o artykulacji poszczególnych dźwięków, o tym, czy mówi ładnie, poprawnie! Nawet nie próbował otrząsnąć się z tego, nie usiłował ocenić dźwięków swej altówki – zależało mu tylko na tym, żeby instrument brzmiał.

On, solista, był teraz nie tylko w Klubie Pracowników Służby Zdrowia – był wszędzie. A czas stanął w miejscu. Wszędzie stanął, tylko nie w muzyce. W muzyce czas upływał już to wolniej, już to szybciej, mknął naprzód, śmiertelnie zmęczony przewalał się po kamieniach. Znowu altówka Daniłowa i on sam przeżywali razem walkę i miłość – w słodkiej niezgodzie i bolesnym przymierzu z całą orkiestrą. Czuli się nie słabszy od orkiestry, nie godził się z żelaznym krokiem kotłów i tub nacierających na niego to w rytmie marsza, to znów w zwierzęcym rozwrzeszczanym płasie; zdławiony, zdeptany, odradzał się na nowo, by żyć i dźwięczeć tak jak przedtem. A później, porwany gwałtownym wichrem scherza, mknął w ślad za lotem promiennych skrzypiec, nurzał się w ich dźwiękach, po czym łobuzersko wyrwał się naprzód i sam przemawiał do skrzypiec wołając, by podążały za nim gdzieś bardzo

daleko; wówczas wszystko milkło i tylko jego altówka – czyli on sam, wcielony w subtelny ciepły dźwięk – ni to smuciła się, ni to cieszyła długo oczekiwanym spokojem i skupieniem. Ale były to zaledwie ulotne chwile: znów do głosu dochodził tłum, ziemia i wszechświat porywały Daniłowa i było mu błogo i gorzko, i łyzy nabiegały do oczu. Waltornia i klarnet – przeszłość altówki i jej alter ego – istniały ciągle obok, tuż przy nim; waltornię ogarniał smutek, drżała płochliwie albo coś przepowiadała, czasami wydając z siebie dźwięk niewiarygodnie jasny, czysty jak miniona świeżość młodych lat; klarnet uczepiał się nerwowo prowadzonej przez altówkę melodii, szarpał nią, rozrywał w strzępy, dręczył się i groził – a wszystko to czynił na rozkaz kontrabas, skrzypiącego jak ciężka czarna brama rozwierana przed nadejściem straszego gościa. Następnie altówka, przygnębiona ciężarem pamięci i tego wszystkiego, co w sobie ukrywała i czemu nie mogła dać wyrazu, słuchała w napięciu rozlegających się naokoło złośliwych głosów, po czym jak gdyby powracała do rzeczywistości – i znowu odzyskiwała zdolność pragnień, znowu rosło jej oburzenie, pasja miłości i pasja życia, i choć spadały na nią lawiny druzgocących dźwięków, choć rozlegał się złowieszczy zgrzyt i nacierały zewsząd okrutne mechaniczne moce, altówka przebijała się przez to wszystko, mknęła dalej – czy to o własnych siłach, czy też porwana gorączkowym pędem orkiestry – i znowu kochała, cierpiała, nienawidziła; akcja nabierała tempa, zdawać by się mogło, że ten nieustanny ruch, coraz szybszy, potężny, szalony, będzie trwał wiecznie – i nagle przychodził koniec. W tym miejscu kompozytor postawił kropkę; smyczek zamarł żegnając struny.

Wszystko ucichło na zawsze.

Ucichło, by po chwili odżyć. Publiczność hucznie i życzliwie biła brawa. Na scenę rzucano kwiaty. Daniłow kłaniał się, dyrygent z uśmiechem na twarzy ścisnął mu dłoń i wskazywał na niego publiczności, jakby dając do zrozumienia, że jest to przede wszystkim zasługa solisty; Daniłow, ze swojej strony, wskazywał na dyrygenta, potem na waltornistę, klarnciście i orkiestrę. Odszukano kompozytora, przyprowadzono na scenę. Kompozytor też otrzymał brawa.

– To już koniec? – zapytał Daniłow.

– Czterdzieści cztery minuty! – odpowiedział kompozytor przeprasającym tonem. – Nie da się dłużej.

– Ach, wcale nie to miałem na myśli. Ostatni dźwięk urywa się tak nagle...

– Nie urywa się – powiedział Pierieslegin z żarem. – W tym cały sens. Nie urywa się i nie umiera – zostaje, trwa... Pan tego nie czuje?

– Tak pan uważa? – zdziwił się Daniłow.

W pokoiku za sceną Pierieslegin uściskał Daniłowa, ale natychmiast wypuścił go z objęć i powiedział z powagą:

– Czy zdaje sobie pan sprawę, że zagrał więcej, niż było w mojej partyturze? To, co pan zrobił, zabrzmiało potężnie. Tyle dumy, bo ja wiem, jak to jeszcze nazwać, może wzniosłości...

– Niemożliwe! – zawołał Daniłow. – Nie mogłem zagrać więcej, niż było w partyturze... Poza tym to nie ja grałem, tylko orkiestra, byłem zaledwie solistą.

– Proszę nie zaprzeczać – powiedział kompozytor. – Słyszałem wszystko, choć ze strachu trząsałem się w kącie jak galareta. Na próbach wychodziło panu inaczej. Ale to rozumiałe.

Daniłow, pełen wątpliwości, zerknął ukradkiem na bransoletę. Nic nie wskazywało, żeby przestawiły się płytki, a więc był na scenie tylko człowiekiem. Podszedł do nich słynny muzyk, pogratulował, a potem zwrócił się do Pierieslegina:

– Panie kochany, pan nam całą muzykę przewrócił do góry nogami.

– Skądże znowu! – Pierieslegin aż podskoczył. – Nic podobnego! Komponuję muzykę najbardziej konwencjonalną... Powiedzmy, że znalazły w niej odbicie jakiegoś nielicznego współczesnego rytmu i dźwięki – tylko tyle...

– O nie, szanowny panie – pokiwał głową słynny muzyk – to się panu tylko wydaje... – Ukłonił się w stronę Daniłowa. – Do pańskiej gry, młody człowieku, też trzeba przywyknąć... Napomknął, że w foyer czeka na niego dama, i odszedł.

– Przywyknąć! – powtórzył zmartwiony Pierieslegin. – Uprzejme słowa, nie ma co.

Wpadł Czudecki, zapytał, gdzie Daniłow z Pieriesleginem zamierzają słuchać Prokofiewa. Daniłow powiedział, że idzie na widownię. Czuł jednak, że niczego nie jest w stanie słuchać, najchętniej poszedłby teraz do domu, ale nie wypadało wobec kolegów z orkiestry, których zdążył polubić. Odczekał więc, aż zabrzmiał trzeci dzwonek, i po cichu wszedł na salę. Altówkę zostawił za kulisami – teraz mógł nie obawiać się o nią. Siedział na widowni, na twardym krześle, i pomału odzyskiwał przytomność, tak jakby wracał z niebotycznych wyżyn albo z samego dna przepaści. Zmęczenie minęło, czuł się coraz bardziej podniecony i choć wiedział, że poszło mu dobrze, pragnął zagrać całą symfonię od nowa; zrobiłby to natychmiast, gdyby tylko dano mu możliwość. Zagrałby nie jeden raz, lecz tyle, ile potrzeba, żeby zaspokoić pragnienie i odzyskać równowagę. Zanucił nawet motyw ze swojej partii, ale z mroku syknęli na niego słuchacze, ocknął się więc i szepnął: „Przepraszam”.

Orkiestra już grała Prokofiewa. Daniłow usiłował wniknąć w grę tych sympatycznych młodych ludzi, Prokofiewa też lubił, ale nic nie mógł ze sobą zrobić. „Ach, gdyby teraz wyjść na scenę!” – marzył z udręką... A potem symfonia Prokofiewa dobiegła końca.

Pospieszył za kulisy, żeby pogratulować Czudeckiemu i kolegom z orkiestry, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Mamrotał tylko coś, co miało wyrażać zachwyt. Na szczęście nikt nie spodziewał się pięknych frazesów, wystarczały uczucia, a tych mu nie brakowało.

Potem zastanawiano się, czy nie warto by pojechać gdzieś razem. Daniłow szukał Pierieslegina, ale kompozytor zniknął, a może znowu zaszył się gdzieś w kącie. W foyer czekali na Daniłowa przyjaciele i znajomi: wszyscy powtarzali, że świetnie prezentował się na scenie we fraku z motylkiem i z instrumentem w rękach – wymarzony model dla portrecisty. Murawłow żartobliwie wyraził ubolewanie, że muzyka okazała się niegroźna, ponieważ Lena Buranowa, choć wzruszona grą Daniłowa, nie urodziła jednak na sali.

– Nie widzę jej, gdzie się podziała? – rozejrzał się Daniłow.

Okazało się, że Lena zaraz po koncercie została odtransportowana samochodem do domu.

– No więc jak, może pojedziemy do nas? – zapytał Murawłow zacierając dłonie. – Żona tam coś niecoś upichciła...

– A może do Włodka? Tam też coś się znajdzie – powiedziała nieśmiało Natasza i natychmiast spojrzała z obawą na Daniłowa.

– Rzeczywiście, jedźmy wszyscy do mnie! – powiedział Daniłow.

Wybrano rozwiązanie kompromisowe: żeby nie obrażać Murawłowów, wysłano głowę rodziny do domu po wiktuały. „Spakuj wszystko do plecaka, słyszysz?” – powtórzyła kilkakrotnie żona Murawłowa, po czym całe towarzystwo udało się tramwajem do Ostankina. Siedzieli u Darniowa do późnej nocy. Pan domu, wciąż jeszcze podniecony, co chwila wstawał od stołu, wybiegał do kuchni, przynosił jakieś szklanki, jakieś sałatki na talerzykach, coś do kogoś mówił, do mnie między innymi też, i sam słuchał różnych wypowiedzi. Padały tu opinie poważne – o muzyce, o jego grze – i choć poza Daniłowem towarzystwo składało się z samych dyletantów, on jako muzyk uznał te uwagi za trafne i słuszne. „Zrobiłeś duże postępy, bardzo duże” – powtarzała żona Kosturina. „A ja tak się bałam cały czas – i za ciebie, i w ogóle” – mówiła cichym głosem Tamara Murawłowa. I nagle stracił wigor – poczuł, że za moment zaśnie. Słyszał poprzez drzemkę jakieś dyskusje, czyjś śmiech, pbrzękiwanie naczyń, szmer kobiecych rozmów, miły głos Nataszy... Ach, jak mu było błogo! Otworzył oczy: Katia tańczyła z Jeriomczenką, za oknem krążyły płatki śniegu, Murawłow energicznie gestykulując udawał coś żonie Kosturina... A obok stał Rostowcew. „Skąd się tutaj wziął? – zdziwił się Daniłow. – Po co?...” – i natychmiast zasnął.

A kiedy zasnął, ujrzał samego siebie z instrumentem w rękach na scenie Klubu Pracowników Służby Zdrowia i usłyszał głos swej altówki.

Rano śnieg stopniał.

Daniłow ziewając i przeciągając się podszedł do okna.

W mieszkaniu było czysto, stół wrócił na swoje miejsce, naczynia były umyte. Tylko w doniczkach na oknie został popiół z papierosa – widocznie Murawłow w ferworze dyskusji strzepywał popiół do kaktusa.

Natasza zniknęła. Daniłow zadzwonił do niej, ale widocznie wyszła już do swojej pracowni.

Czy naprawdę odbył się wczoraj koncert? Czy to on grał na altówce? Chyba tak, bo pamięta, że grał – na scenie, w drodze do domu i nawet we śnie. Świadczą o tym choćby te kwiaty w kryształowym wazonie – żonkile i lilie. Wczoraj wieczorem wręczono mu oprócz tego róże, ale rozdał je od razu paniom.

Zjechał windą na parter i wyjął ze skrzynki gazety. W Angoli walczyli rebelianci, Karpow znęcał się nad Poługajewskim, Malcew według systemu punktacji „bramka – podanie” zdobył dwadzieścia siedem punktów i uplasował się na czwartym miejscu... Daniłow przejrzał prasę i posmutniał: niby nie spodziewał się niczego, a jednak wypadało przyznać, że mimo wszystko na coś czekał. Pal licha „Sport”, tam nawet o Malcewie było zaledwie parę linijek, ale „Kultura” albo „Prawda Moskiewska” mogłyby poświęcić przynajmniej jeden akapit nowej symfonii Pierieslegina i jej wykonawcom, jeden bodaj wiersz w rubryce „Aktualności życia kulturalnego”... „Na co ja liczę? – próbował sobie wyperswadować. – Występy największych sław gazety komentują z dużym opóźnieniem, a ja szukam recenzji o sobie, i to nazajutrz po koncercie!” W istocie, gdyby spojrzeć trzeźwo, wczorajszego koncertu w Klubie Pracowników Służby Zdrowia bynajmniej nie można nazwać wydarzeniem. Najlepszy dowód, że Klaudia w ogóle nie uważała za konieczne zjawić się w klubie. Daniłow przypomniał sobie, ile starań dołożyła swojego czasu, by zobaczyć błękitnego byka... Szkoda nawet spodziewać się czegoś po gazetach.

W dole mknęły samochody, szli szybkim krokiem ludzie dźwigając torby i teczki, wiatr rozwiewał po żółtych chodnikach żółty piasek, popychał zatroskanych obywateli do pracy, do obowiązków, do codziennych zajęć. Co zmieniła w losach, w duszach tych ludzi muzyka Daniłowa, co w ogóle mogła zmienić? Widocznie bardzo niewiele albo w ogóle nic... Czul pustkę, zmęczenie i wstręt do muzyki.

Siedział na kanapie w ciepłym szlafroku, z udręką w stygnącym sercu. Muzyka była mu niepotrzebna, niepotrzebny był sam sobie. Nikt nie był mu potrzebny.

Zadzwonił telefon.

– Dzień dobry – powiedział Ziemski. – Byłem wczoraj na twoim występie, a jakże!

– O!

– Tak, tak, wziąłem zwolnienie lekarskie i wybrałem się na koncert.

– Czy warto było, skoro tego typu muzyka zaprzecza pańskim teoriom?

– Warto, bo jestem ciekawski. A poza tym na razie toleruję wszystkie kierunki, niech sobie ludzie rzepolą. Muszę ci powiedzieć, że grałeś na medal.

– Dziękuję.

– Odważnie grałeś. Miałem takie wrażenie, że z kimś dyskutujesz. Może ze mną?

– Nie, z panem nie dyskutowałem. Po prostu grałem i tyle. Grałem, jak umiałem.

– Teraz musisz grać nie tak, jak umiesz, ale tak jak jeszcze nie umiesz! W ostatecznym rozrachunku zagrasz przecież właśnie tak, jak umiesz. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– No to graj, posuwaj się do przodu. Będzie z ciebie kawał muzyka – powiedział Ziemski.
– A potem dojdiesz do kresu, zapytasz: „Co dalej? Dokąd?...” – i to już będzie koniec. Idziesz teraz w niemożliwe, a stamtąd pozostaje jeden krok do ciszyzmu. Tak, mój chłopcze... Nie chcę cię straszyć ani martwić, nie mam złych intencji...A propos, czy dużo harmonii było we wczorajszej muzyce? Grałeś dobrze, ale co z harmonią?

– Chciałem ją odnaleźć.

– No i?...

– Proszę pana, czy pańskie teorie i marzenia to nie poszukiwania harmonii?

– Ejże, Włodku – westchnął Ziemski – młody jesteś, zielony... Przyjdzie i tobie wkroczyć na drogę krzyżową...

Były to ostatnie słowa Ziemskiego. Odłożył słuchawkę.

Rozmowa z Ziemskim podniosła Daniłowa na duchu. „Przynajmniej jeden nie pozostał obojętny na naszą muzykę! Tak powiedział: «Grałeś na medal»...” A przecież Ziemski był surowym krytykiem.

Daniłow wstał i zaczął przemierzać pokój. Marzył teraz, żeby zadzwonił ktoś jeszcze, a liczył przede wszystkim na Czudeckiego i Pierieslegina. „Jednak dobrze mi poszło! – myślał. – Co z tego, że nic się na świecie nie zmieniło: po prostu nie mogło się zmienić, ale może zmieniło się coś we mnie? Grałem tym razem tak, jak nigdy dotąd. W dodatku miałem zwyczajną, przeciętną altówkę. No więc mogę być z siebie zadowolony – przynajmniej dziś!”

Za chwilę zaczął zastanawiać się, dlaczego Natasza wychodząc nie zostawiła nawet kartki. Był rozżalony, że opuściła jego dom razem z gośćmi. Rozumiał: może to i lepiej, że Natasza chce żyć nie tylko jego sprawami, przecież jeszcze Puszkina pisał w swoim czasie, wprowadzając po francusku, że trudno o coś bardziej nudnego i banalnego, niż cierpliwa ofiarność kobiety gotowej do wszelkich wyrzeczeń. Daniłow mógłby posprzeczać się z wieszczem jedynie w kwestii kategoryczności tej definicji. Mimo to poczuł się teraz niemal obrażony. Dlaczego właśnie w tej chwili nie ma przy nim Nataszy?

Zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, mówi znajomy – powiedział głos pana Walentego.

– Przepraszam, kto? – zapytał Daniłow i natychmiast zrozumiał, że ta konsternacja zdradza jego lęk.

– Jestem pewien, że pan doskonale wie, kto mówi – odezwał się głos w słuchawce.

– Dzień dobry panu – powiedział Daniłow. – Czym mogę służyć?

– Mnie osobiście niczym pan nie może służyć. Mam tylko jedną uwagę, ale to naprawdę drobiazg, nie warto nawet mówić... Dzwonię do pana na razie bez konkretnych powodów. Powody będę miał później: pan przecież wie, co go czeka... Teraz tak tylko dzwonię, między innymi dla własnego spokoju, a jeszcze po to, żeby wyprowadzić pana z fatalnego błędu. Właściwie nie wolno mi rozmawiać z panem o sprawach prywatnych, niewykluczone, że mogę mieć z tego powodu grube nieprzyjemności... Ale powstrzymać się nie mogłem.

– No więc?... – powiedział Daniłow.

– Pan teraz triumfuje...

– Niby z jakiej racji?

– Wiem, że pan triumfuje. Tak zagrać!... Ale pański triumf wypływa z błędnego przeświadczenia, że grał pan wczoraj jak zwykły człowiek, nie korzystając z żadnych dodatkowych możliwości. To prawda, że nie przesunął pan płytki bransolety, ale co z tego? Czy coś się zmieniło? Sam pan musi zrozumieć, że w muzykę włożył wczoraj całą swoją istotę. Całą, bez reszty! Ta muzyka to cały Daniłow – i ten, który mieszka na Ziemi w ludzkiej postaci, i ten drugi, demon na umowie. Cała pańska istota zabrzmiała wczoraj w muzyce, cała jej historia i doświadczenie życiowe. Jak tu mówić o równych szansach?

– To wszystko? – zapytał Daniłow.

– Sam rozumiem, że jestem zerem – zachichotał pan Walenty. – Nie pcham się do muzyki, to nie moja dziedzina. Ale powstrzymać się nie mogłem... Wolno panu nie zwracać uwagi na moje słowa, wolno myśleć, że przemawia przeze mnie zazdrość albo że jestem panu niezyczliwy. Proszę bardzo, wolno panu tak myśleć.

– Lepiej zwróćcie mi instrument – powiedział Daniłow.

– Jaki instrument?

– Skradzioną altówkę Albaniego.

– Albaniego? Nie mamy żadnej altówki! – pisnął pan Walenty. – Do milicji niech się pan zwróci! Do milicji! Też gadanie!

Ten nieoczekiwany, jazgotliwy jak u przekupki wrzask pana Walentego zagłuszyły krótkie sygnały z pogwizdywaniem.

A więc nic się nie zmieniło. I wcale nie zniknął pan Walenty, rzetelny agent do specjalnych poruczeń. A więc tylko na krótko – nie wiadomo w jakim celu – pozostawiono Daniłowa w spokoju, by teraz przypomnieć mu, kim jest i co go czeka. Ogarnęła go rozpacz. „Wszystko to nie na czasie” – myślał rozżalony, choć trudno było zakładać, żeby coś takiego kiedykolwiek mogło być na czasie. A jednak wydawało mu się, że jakieś dwa miesiące temu pogodziłby się łatwiej z wyznaczeniem mu Godziny Zero. Ach, szkoda mówić...

Mimo wszystko po chwili spróbował wyperswadować sobie, że nie wolno mu narzekać i rozpaczać – trzeba żyć dalej, może godzinę, może jeszcze dzień – a nuż wszystko się ułoży. Zdawało mu się, że pan Walenty nie był chyba zanadto pewien siebie, skoro zwrócił się do niego za pośrednictwem miejskiej sieci telekomunikacyjnej. W samym tym fakcie usiłował dopatrzeć się jakiegoś sensu. „A może naprawdę zrobił to z własnej inicjatywy? – myślał. – Korciło go po prostu, dlatego zadzwonił...” Jakkolwiek rozważać, ta miernota, czyli pan Walenty, miała jednak rozkaz pilnowania właśnie Daniłowa, a nie kogoś innego.

„Po jaką cholere takie coś wtrąca się do muzyki? – irytował się Daniłow. – Cóż on tu ma do gadania?...” Myśli o Godzinie Zero zniknęły bez śladu; zaczęły go dręczyć wątpliwości: a może pan Walenty ma rację i rzeczywiście on, Daniłow, wbrew wszelkim nadziejom i twardym postanowieniom, ma w muzyce bez porównania większe szanse niż każdy inny zwykły śmiertelnik? Po chwili namysłu powiedział sobie jednak, że wczoraj w niczym nie naruszył zawartej z samym sobą umowy. Owszem, jego zdolności, zdobyte doświadczenie i umiejętność pojmowania muzyki są ściśle związane z całym życiem, z losem, z tym wszystkim, co przeżył i odkrył dla siebie oraz w sobie, ale przecież każdy człowiek – czy to amator, czy zawodowiec – podlega takim samym prawom. W dodatku nie brak na świecie ludzi o jeszcze bardziej złożonych losach i jeszcze większych możliwościach niż te, które on posiada. Tacy ludzie mają jeszcze więcej szans. Gdyby tak rozważać serio, zdolności muzyczne, jakie dane mu były od urodzenia, wcale nie uczyniły go na Ziemi cudownym dzieckiem. Przodkowie Daniłowa po mieczu na wszelką muzykę byli najzupełniej obojętni i to, że Daniłow miał słuch muzyczny od dzieciństwa, zawdzięczał wyłącznie matce – zwyczajnej kobiecie z Ziemi rodem. Wykształcenie muzyczne zdobył sam, bez jakiegokolwiek ingerencji sił nadprzyrodzonych, w tym względzie pan Walenty może zamknąć gębę na kłódkę. Muzykę Daniłow traktuje poważnie, ludzi w błąd nie wprowadza i nigdy z nich nie kpi. Jedno tylko zrobił źle: niepotrzebnie wspomniał o skradzionej altówce; głupie to i upokarzające – żądać od złodzieja zwrotu łupu. A zresztą kto wie, może pan Walenty rzeczywiście nie ma żadnych wiadomości o Albanim, może słusznie radził, żeby upomnieć się jeszcze raz na milicji, choć upominać się bez przerwy nie wypada. Nawiasem mówiąc, parę dni temu wzywano go przecież na milicję, ale nie miał czasu, warto więc pójść dzisiaj.

A jednak nie poszedł.

Zobojętniał na wszystko, od wszystkiego chciał odpocząć. Od muzyki w pierwszym rzędzie, niech ją diabli porwą! O nutach, dźwiękach, o instrumencie i konieczności sterczenia w jamie orkiestrowej myślał z obrzydzeniem i wściekłością. Rzucić teraz to wszystko, zaszyć

się gdzieś, ukryć w myśliwskiej chatce w głębi tajgi turuchańskiej albo w góralskiej sakli na wzgórzach Degestanu, tak żeby świat naokoło był zasypany śniegiem i wiatr uderzał w okienko, i wyły wilki, on zaś leżałby sobie i nawet palcem w budę nie kiwnął. Leżałby tak rok czy dwa i nie zastanawiał się nad tym, co będzie robił potem. Nie wykluczał przy tym ewentualnej obecności Nataszy w tejże sakli, choć nie nawiedzały go żadne słodkie wizje mające z Nataszą jakiś bezpośredni związek. Wystarczy mu, żeby siedziała obok – nic więcej. Być może nie powróciłby nigdy do muzyki, tylko rozpoczął całkiem inne życie – jakie, sam nie wiedział. Tam, w sakli czy chatce, będzie snuł niespieszne rozważania, może nawet natury filozoficznej, obecnie mu nie znane, i zrozumie dzięki temu bardzo dużo. I już na pewno z wysokości białych szczytów ciszy i spokoju całe jego dotychczasowe życie, z muzyką włącznie, wyda mu się taką marnością nad marnościami, że tylko oczy zamknąć i nie widzieć tego wszystkiego. Zresztą i bez szczytów dostrzegał ten bezsens. Z czego tak się ucieszył? Że mając lat trzydzieści pięć wylazł na scenę i zagrał solówkę? Może nieźle zagrał, ale co z tego? Co dalej? Dalej?

I cóż znaczą rozważania o przyszłości po tej rozmowie z panem Walentym?...

Czuł się zdruzgotany; sama myśl o tym, że kiedyś trzeba będzie znowu wziąć do ręki instrument, przyprawiała go o męki. Mimo to wziął altówkę pod pachę i wyruszył do teatru. Miał tego dnia dwa spektakle – popołudniowy i wieczorny, a kiedy grał, nie pamiętał już o swoich rozterkach.

Koledzy nic nie mówili o wczorajszym koncercie, zresztą skąd by mogli wiedzieć o wydarzeniach w życiu kulturalnym pracowników służby zdrowia? Tylko wiolonczelista Turukanow zapytał podczas ostatniej przerwy, czy służba zdrowia dobrze płaci, i był niemal zmartwiony, gdy usłyszał w odpowiedzi, że zarówno Daniłow, jak i cała orkiestra grali za darmo.

– No wie pan... – pokiwał głową. – Przecież nie jest pan studentem...

– Nie jestem – zgodził się Daniłow.

– Otóż to – ciągnął Turukanow. – Ci lekarze, zwłaszcza dentyści, mają forsy jak lodu.

Po spektaklu Daniłow zamknął instrument w szafie ogniotrwałej. W domu altówka była mu niepotrzebna.

A nazajutrz życie potoczyło się zwykłym nurtem. Znowu ugrzązł po uszy w troskach codzienności. Zadzwoiła Klaudia, miała masę pretensji. W teatrze ponaglano ich z gazetką ścienną. Daniłow przepisał notatki o stażystach, przede wszystkim o nowym mezzosopranie, wygzekwował od trębacza Tartakowera zamówiony polemiczny artykuł o zespołach i solistach, sam napisał o jesiennych występach na Sachalinie, tylko z artykułem wstępnym miał kłopoty. W tym, co próbował napisać, brzmiały same piszczałki, zabrakło donośnego ryku blaszanych instrumentów dętych. Dzwonił do mnie, prosił o pomoc, błagał o ratunek, ale cóż ja mogłem dla niego zrobić? Znalazł wreszcie wyjście: odpisał okolicznościową notatkę ze ściennego kalendarza. Ledwo skończyły się kłopoty z gazetką, ruszyły seminaria, znowu odżyła praca szkoleniowa. Zakupy też wymagały czasu: nie chciał, żeby Natasza dźwigała ciężkie torby ze śródmieścia do Ostankina. Czasami sam przyrządzał na obiad duszoną paprykę z kiełbasą śniadaniową.

Spektakle w teatrze leciały jeden za drugim na dwu scenach: głównej i reprezentacyjnej. Nie odczuwał już tak ostrej nienawiści do muzyki, ale czasami miał wszystkiego dość. Bywały chwile, kiedy przychodziła pewna ulga, wówczas myślał: „Już nie będzie mnie dręczyła ta symfonia, urodziłem ją raz i wystarczy...” Znowu zapomniał o panu Walentym, tylko pewnego razu miał uczucie, jakby coś leciutko musnęło jego ramię, i od razu przyszła pełna bólu myśl: „Czy naprawdę nigdy już niczego nie zagram?” Ale potem to minęło.

Widział się z Pieriesleginem i Czudeckim. Kompozytor mówił o sobie, że jest beztalenciem i że nigdy więcej nie zabierze się do komponowania muzyki. „Co też pan wygaduje? – zaprzeczał Czudecki. – Publiczność bardzo dobrze przyjęła pańską symfonię, zresztą Konstantinow i Wengerow też pana chwalili”. – „Naprawdę? – odzywał Pierieslegin. – Ale to wcale nie moja zasługa, to wy zrobiliście muzykę z moich wypocin. Niech pan sam powie, czy w mojej partyturze altówka tak miała brzmieć?” Powtarzał przy tym, że nigdy więcej nie skomponuje żadnego utworu na altówkę: przeraził go instrument Daniłowa. „Altówka to królowa instrumentów, moja muzyka nie dorasta jej do pięt!” Czudecki uśmiechał się tylko zapewniając, że za miesiąc Pierieslegin uspokoi się i skomponuje coś nowego – właśnie na altówkę. Od Czudeckiego Daniłow usłyszał, że jego grę podziwiali znani muzycy obecni na koncercie; mówili ponoć, że są zdumieni, ponieważ udało mu się pokazać, jakie możliwości kryje w sobie altówka, tak jakby przypomniał ludziom o czymś zapomnianym albo przepowiedział przyszłość. Pewnego dnia Klaudia też zapytała obrażonym tonem, dlaczego nie zaprosił jej na swój występ. „Cóż to za wydarzenie, że miałbym cię zapraszać?” – udał zdziwienie Daniłow. „Nawet nie mów, mam do ciebie żal i koniec – powiedziała Klaudia. – Wszyscy mówią o waszym występie, ja jedna o niczym nie wiem”.

Czudecki mówił, że warto powtórzyć koncert – jeśli nie w Klubie Pracowników Służby Zdrowia, to w Domu Kultury Zakładów Młynarskich. Zresztą niewykluczone, że trzeba będzie powtórzyć i tu, i tam. Zjawił się podniecony Pierieslegin powtarzając jak w transie: „Kto zabiera się do kompozycji, musi działać bez skrupułów! Bez skrupułów! Trzeba komponować tak odważnie, jak grał pan swoją partię!” – „Co to znaczy – bez skrupułów?” – zapytał Daniłow, choć jemu też zdarzyło się kiedyś użyć tego określenia. „Bez skrupułów – znaczy bez skrupułów!” – uciał Pierieslegin ze złością, tak jakby poczuł się obrażony.

Daniłow długo nad tym rozmyślał: „Bez skrupułów! No pewnie, że bez skrupułów! Ale bez jakich? Może są okoliczności, które każą jednak mieć pewne skrupuły?...”

I wówczas to dał znać o sobie krytyk Zybałow: zamieścił artykuł na łamach pewnej gazety, nie najciekawszej i nie najważniejszej, a jednak z tych, które wywiesza się na ulicy w

gablotach. Artykuł Zybałowa – coś w rodzaju glosy – był krótki, jego objętość miała zapowiadać niejako z góry, że koncert w Klubie Pracowników Służby Zdrowia był bez znaczenia. Tytuł artykułu zawierał w sobie wyraźnie sformułowany wyrzut: *Komu udostępniono scenę?* Zybałow w złośliwych, sugestywnych wyrażeniach besztął administrację klubu za nieodpowiedzialny stosunek do mienia społecznego: na powierzonej jej scenie powinna prezentować samorodne talenty, zamiast dawać pole do popisu przedsiębiorczym zawodowcom wyzutym z czci i wiary. Wspominano mimochodem o udziwnionym, pretensjonalnym utworze niejakiego Pierieslegina. Niepokój Zybałowa budziła kultura – nie tylko muzyczna, ale kultura jako taka – dyrygenta Czudeckiego. O soliście Daniłowie krytyk nawet nie wspomniał.

Pierieslegin natychmiast zmarkotniał, Czudecki natomiast powtarzał z uśmiechem: „Należało się tego spodziewać” – i zapewniał, że tak czy owak zamierza powtórzyć występ.

Daniłowa zmartwił najbardziej brak jego nazwiska w artykule. Niechby nawet krytyk go zniszczył, ale powinien był o nim wspomnieć! Wynikało z tego, że solista był kompletnym zerem, skoro nie przypawił autora artykułu nawet o zwyczajny niepokój. Nazajutrz rano zadzwonił łaciaty sekretarz chłopobudów.

– Co u pana słyhać? – zapytał. – Nie zmienił pan zdania?

Daniłow chciał powiedzieć mu parę mocnych słów i natychmiast dobrać się chłopobudom do skóry, ale na wszelki wypadek powstrzymał się od wypowiedzi.

– Nie miałem ostatnio czasu na tego typu rozważania – odparł.

– Mam nadzieję, że docenił pan taktowność Zybałowa. W jego artykule pańskie nazwisko nie figuruje.

– Jestem niezmiernie wdzięczny.

– Nie zrobiliśmy panu na razie nic złego, chcemy tylko dać do zrozumienia...

– Zrozumiałem wszystko już poprzednim razem.

– Ale sprawy mogły potoczyć się inaczej, dziś mówiłoby o panu całe miasto.

– Tak od razu?

– Cóż w tym dziwnego? Przynajmniej mówiłyby kręgi muzyczne... A teraz mam wrażenie, że nadzieje Czudeckiego na powtórzenie koncertu są co najmniej naiwne.

– Jest pan tego pewien?

– Proszę pana, powinien pan zdać sobie sprawę, że w obecnej chwili bynajmniej nie zamierzamy panu grozić ani działać na nerwy. Po prostu przypominamy się po raz następny.

Rzeczywiście, łaciaty mówił tonem bardzo uprzejmym, bez cienia arogancji.

– Zgodzi się pan, że na razie nie doznał z naszej strony żadnych przykrości – tak tylko, same drobiazgi. Postanowiliśmy odczekać – dodał głosem pełnym sympatii.

– Dobrze – powiedział Daniłow. – Muszę pomyśleć.

– Kiedy mogę zadzwonić do pana?

– Za dwa dni – zakończył Daniłow i odłożył słuchawkę.

On też postanowił odczekać i dać na razie spokój tym chłopobudom, budochłopom czy jak im tam. To prawda, że na razie oszczędzili mu grubszych przykrości, zemścili się za to na Bogu ducha winnych kompozytorze i dyrygencie. Właściwie trudno to nazwać zemstą – raczej chcieli pokazać, że też coś niecoś potrafią.

Całe szczęście, że Natasza wybierała się właśnie do pracy i nie słyszała tej rozmowy. Nie przeprowadziła się do Daniłowa całkiem: z jednej strony nie chciała stracić mieszkania, z drugiej – nie było sensu przewozić z Chochłów do Ostankina dwóch maszyn do szycia, ręcznej i elektrycznej. Trudno sobie wyobrazić koegzystencję altówki z maszyną do szycia w spółdzielczej garsonierze!

Znowu sypał śnieg, temperatura spadła nieoczekiwanie do minus ośmiu. Daniłow postanowił wybrać się na narty: miał prawie trzy godziny wolne. Pierwszy raz tej zimy spadło

tak dużo śniegu, a przecież wiosna była już za pasem. Daniłow stapał z przyjemnością po skrzypiącym białym poślaniu.

Przebiegł z piętnaście kilometrów wzdłuż ogrodzenia parku i poczuł się zmęczony. Gdyby miał więcej czasu, pojechałby do ulubionych Sokolnik: w tutejszym parku było ciasno, emeryci spacerowali wprost po ścieżce narciarskiej. Ale nawet tu, w Ostantkinie, śnieg był cudowny: co najmniej przez trzy ostatnie zimy nie chrzęścił tak zachęcająco pod nartami...

Kiedyś, bardzo dawno temu, młody i beztroski Daniłow bawił się nieraz w sprowadzaniu na Moskwę pięknej zimy z lekkim mrozem i zaspami. Teraz wstydził się dawnego sztubactwa, choć chyba niepotrzebnie, ponieważ i dziś nie byłoby grzechem, gdyby skorzystał od czasu do czasu ze swych możliwości: po pierwsze, ludzie, stęsknieni za prawdziwą zimą, czuliby się na pewno szczęśliwi, po drugie zaś, sam fakt, że mróz wzmaga się dzięki jego staraniom, odnotowano by mu in plus w odpowiednim urzędzie Kancelarii do Spraw Tamtego Świata. I może właśnie jakiś pan Walenty byłby zmuszony postawić mu ten plus, aczkolwiek zrobiłby to na pewno z kwaśną miną.

Na myśl o panu Walentym dobry nastrój prysnął. Daniłow zdjął narty i związał je sznurkiem.

Poczuł pragnienie. Pawilon „Kawa – pączki” był zamknięty, należało iść ulicą Kordowa do baru pod szyldem: „Piwo – soki – woda mineralna”. Daniłow pomyślał, że pewnie spotka tam hydraulika Kolę i dowie się, czy dym jeszcze wali z jego ust. Ale Koli w barze nie spotkał.

Wypił szybko kufel piwa, wziął z automatu następny i poczuł, że przesadził. Był jednak tak zmęczony, że nie miał sił, by ruszyć się z miejsca; stał oparty o ścianę i narty też postawił przy ścianie. Sączył powoli piwo, patrzył na rude karaluchy spacerujące po podłodze obok kubłów na śmieci, potem dobiegły go jakieś niemiłe wrzaski. Obejrzał się: przy sąsiednim stoliku urzędowało kilku chłopaków, typowych rozwydrzonych wyrostków z przedmieścia; mieli na wygląd najwyżej po siedemnaście lat i byli mocno podchmieleni. Towarzystwo liczyło pięciu chłopaków, były też z nimi dwie panienki, szczupłutkie, wypacykowane, hałaśliwe i natrętne. Panienki wieszały się na szyjach chłopakom – może niezupełnie tym, którym zamierzały wieszać się na szyjach planując dzisiejszy wypad, ale w końcu było to nieistotne. Jeden z młodzieńców – taki sam dwumetrowy dryblas, jak i jego koledzy – ubrany w spodnie dzwony i puchatą czapkę z lisa, spod której wybijały się obfite kędziory, szarpnął różową dziewczynę za rękę i z całej siły walnął ją w twarz. Daniłow o mało nie rozlał swojego piwa. Paniencie trysnęły z oczu łzy, ale kawaler, z którym całowała się przedtem, ani myśląc stawać w jej obronie odwrócił się do kolegi i rozmawiał z nim dalej. Dryblas w czapce z lisa też przyłączył się do rozmowy. Panienska wciąż płakała ocierając łzy białą rękawiczką, potem przestała płakać i zaczęła całować się z następnym chłopcem, który wziął ją na kolana. Wówczas tamten w czapce zbliżył się do nich i znowu uderzył dziewczynę w twarz. „Co za zwyczaj! – pomyślał Daniłow ze smutkiem. – Ależ ta dzisiejsza młodzież...” Stojący obok niego starszy człowiek patrzył na młodzieżowe towarzystwo z radosnym zaciekawieniem, oczekując rozwoju wydarzeń. „Dwie dziewczyny na tyłu chłopaków to za mało” – powiedział. Widać było jednak, że mimo tak zwanych drobnych nieporozumień paczka jest zgrana i że młodzież bawi się świetnie. Dziewczęta, reagujące głośnym piskiem na dowcipy chłopaków, pyszczki miały niebrzydkie. Kawalerowie obłapiali swoje damy, podszczypywali je, głaskali używając przy tym wyrazów bynajmniej nie salonowych, bardziej swojskich, czyli takich, jakie mieli na podórzedziu. Jeden z chłopaków podszedł do Daniłowa i klepnął go po ramieniu:

– Ty, ojciec, pożycz papierosa!

Widocznie Daniłow sprawiał wrażenie człowieka zamożnego, który jest w stanie coś pożyczyć. Chyba właśnie z tego względu podeszło do niego jeszcze dwóch chłopców w towarzystwie różowej panienki w białych rękawiczkach. Jeden z młodzieńców wraz z

panienką zostali na boku, zaś dryblas w czapce z; lisa pochylił się nad Daniłowem i szepnął mu poufale prosto w twarz:

– Chłopie, pożycz trojaka, zabrakło nam na wino. Albo kup dwie litrówki wermutu i chodź z nami. Dziewuchy mamy fajne.

– Młody człowieku – odpowiedział Daniłow – dlaczego cenicie swoje damy tak tanio? Co się tyczy natomiast pańskiej propozycji, obejdę się bez spółek komercyjnych.

Gdyby po prostu, najzwyczajniej w świecie, wysłał chłopaka gdzie trzeba, tamten na pewno dałby mu spokój, ale „inteligencka” wypowiedź Daniłowa doprowadziła dryblasa do szału: poczuł się widocznie znieważony.

– Coś ty powiedział?... – wysyczał ruszając do przodu.

Drugi chłopak i panienska natychmiast sposepniali i też zrobili krok naprzód.

– No!! – wrzasnął dryblas. Rozpiął mu się skórzany płaszcz, biały wełniany szalik włókł się po podłodze. – Ja ci zaraz pokażę! Załatwimy cię migiem!

Starszy człowiek z tym samym zaciekawieniem patrzył teraz na Daniłowa.

– Dość – powiedział Daniłow do dryblasa. – Nie zamierzam kontynuować rozmowy.

– Zobaczmy czy dość – odparł tamten. Tymczasem wokół Daniłowa zgromadziła się już cała ferajna, do której dołączyło kilku energicznych osobników spoza towarzystwa. „Spuścić mu manto!” – czytał w ich oczach.

– Chodź! – rzucił dryblas rozkazującym tonem.

Daniłow nigdzie nie zamierzał iść, rozumiał jednak, że gdyby ten incydent miał znaleźć odbicie w jakimś dokumencie – na przykład, w protokole milicyjnym – i gdyby dokument ów został przekazany w odpowiednim trybie do teatru, wówczas samo miejsce akcji, czyli podła knajpa, kazałoby dyrekcji zwątpić w nieskazitelność jego oblicza moralnego. Mogliby nawet uwierzyć, że racja była po jego stronie, ale zawsze pozostałyby pewne domysły: kto to widział, żeby przedstawiciel świata kultury, wszczynał awantury w podejrzanym lokalu?...

– Dobrze, chodźmy – westchnął.

Wyszli na zewnątrz: Daniłow przodem, za nim – rozgorączkowana, banda szczeniaków, gotowych rozszarpać go na kawałki.

– A teraz na podwórko! – znowu rzucił rozkazującym tonem dryblas w czapce z lisa.

Daniłow czuł się bardzo nieswojo, nic nie zależało teraz od jego woli, banda dyktowała mu warunki. Pałające wściekłością, straszne pijackie oczy nie pozostawiały najmniejszej nadziei na ratunek. Z trzema lub czterema chłopakami może dałby sobie radę, ale zebrało się ich już ponad dziesięciu i panienski wydawały z siebie wojownicze okrzyki. Błysnął nóż w czyjeś desperackiej dłoni, ferajna zacieśniła krąg...

Otoczyli go na samym środku podwórka.

– Dawaj dychę! – krzyknął dryblas.

– Co to, ceny poszły w górę? – odpowiedział Daniłow pokonując wewnętrzny lęk.

– Ty, sukinsynu! – wrzasnął tamten chwytając go za klapy kurtki.

Narty wypadły z rąk Daniłowa. Odepchnął od siebie dryblasa i szybkim ruchem przesunął płytkę bransolety.

Kobiety w oknach i przechodnie, przygotowani na ciekawe widowisko, byli zaskoczeni nieoczekiwanym obrotem spraw. Morderstwo, które przed chwilą wisiało w powietrzu, przestało w ogóle wchodzić w rachubę. Teraz; atmosfera była taka, że lada moment mogło nastąpić radosne braterskie pojednanie. Panienskom Daniłow przywrócił utraconą cnotę; odczuły natychmiast tę zmianę i stały przed nim smutne, surowe, wyobcowane, patrząc; przed siebie wzrokiem zimnych piękności niemego ekranu. Chłopcy mieli, spojrzenia młodych wychowawców z kolonii dla dzieci młodszych: marzył; się im ład moralny i wewnętrzna doskonałość. Przeprasząc Daniłowa podnieśli z ziemi jego narty, przy czym pomóc pragnął każdy, ale nart dla wszystkich nie starczyło. Naturalnie, ulotnił się natychmiast zapach alkoholu, nikt z tych młodych ludzi nie pamiętał, że był przed chwilą w jakimś barze.

Daniłow nawet pożałował, że stracił umiar i pozbawił chłopaków ich bujnych fryzur – był to z jego strony przejaw drobiazgowej samowoli, do tego przejaw mało dowcipny, ale na szczęście nie zwał im spodni, nie zmienił krempliny na sukno sznylowe i nie odebrał dziewczętom ani sztucznych rzęs, ani drogich modelowych bucików. Wygłupił się tylko z tymi czuprynami, a wszystko przez to, że napędzili mu strachu. Widocznie stracił opanowanie, skoro posunął się do takich środków, jego wolą musiała działać zbyt impulsywnie i wymknęła się spod kontroli. Ach, nerwy, nerwy... Trzeba lepiej panować nad sobą: skoro takie głupstwo wyprowadziło go z równowagi, jak wytrzyma przyszłe, poważniejsze próby?

– Nie będę państwa zatrzymywał – rzekł bardzo oficjalnie.

Odchodząc rzucił jednak okiem na stojące w zamyśleniu panienki. Wyglądały teraz tak sympatycznie, że poczuł litość. „Dobra – pomyślał – przypilnuję tej sprawy, ale na razie niech popuszczą”. Na wszelki wypadek zasięgnął informacji, czy cnota została przywrócona dziewczętom na stałe, czy też tymczasowo; ustalił, że na szczęście tymczasowo, na okres trzech lat. Równocześnie powiadomiono go, że nawet po upływie tego terminu nikt prócz niego nie będzie w stanie cofnąć nałożonej kary. „Ależ ze mnie idiota! – zaklął. – Wpadłem jak śliwka w kompot!”

Szedł ulicą i złościł się na samego siebie. Jakim prawem skazał tych nieznanomych młodych ludzi na cudze losy? Ale cóż mu pozostawało? Nie mógł znaleźć odpowiedzi, pomyślał więc, że zastanowi się nad tym później. Najbardziej żał mu było dziewcząt: musi teraz pamiętać o nich, żeby nie pozostały w dziewictwie do końca życia. Dobrze przynajmniej, że brzydkie nie są, wręcz przeciwnie...

Był już blisko domu, gdy przypomniał mu się artykuł krytyka Zybałowa. Całe szczęście, że nie poniosło go wczoraj tak jak dziś i że nie przyszło mu do głowy, żeby uciec się do pomocy bransolety. Mógłby przecież bez trudu zamieścić odpowiedź w każdej gazecie. Ale cóż właściwie zawinił Zybałow? Pozostał wierny chłopobudom – i tyle. A może po prostu szczerze wyraził to, co myślał – może w istocie był przekonany, że Klub Pracowników Służby Zdrowia udostępnił scenę chałturzystom... Jedno było pewne: denerwował Daniłowa sam fakt istnienia tych chłopobudów, ale na razie musiał ich znosić.

W teatrze trębacz Tartakower oznajmił mu, że czeka na niego miła niespodzianka – krawat z Kanady. Mówiąc to Tartakower wybuchnął śmiechem, w którym Daniłow ułowił jakby przedsmak dobrej zabawy.

Parę lat temu ich teatr był na występach gościnnych w Montrealu; tamtejsza orkiestra zaprzyjaźniła się z nimi, a teraz trzech kanadyjskich muzyków przyjechało do Moskwy z wycieczką. Chcieli zorganizować koleżeńskie spotkanie, przywieźli upominki. Altowiolisci z Montrealu przekazali przez nich krawaty dla moskiewskich altowiolistów – zatem na Daniłowa też czekał krawat z Kanady. „To gdzie ten krawat?” – zapytał Daniłow i odpowiedzią mu był głośny śmiech zgromadzonych wokół Tartakowera członków orkiestry. Widać było, że bawią się jego kosztem albo zachęcają do czynu.

Sprawa wyglądała następująco: goście z Montrealu zamierzali wybrać się gdzieś w towarzystwie moskiewskich kolegów po fachu, posiedzieć w milej atmosferze, porozmawiać o swoich sprawach. Energiczny wiolonczelista Turukanow wziął na siebie organizację spotkania i zaprosił Kanadyjczyków do swojego domu obiecując poszerzone grono gości, muzykę, poczęstunek, przyjacielską serdeczność i temu podobne rozkosze. Kanadyjczycy przyszli, zastali u Turukanowa dwóch skromnych wiolonczelistów oraz panią domu, skrzypaczkę. Trochę ich to zdziwiło, trochę rozczarowało. Posiedzieli więc i poszli sobie, zostawiając w mieszkaniu Turukanowa upominki dla wszystkich, w tym również przeznaczone dla altowiolistów krawaty. „Z tego wynika, że mam teraz iść do Turukanowa?” – zapytał Daniłow. Odpowiedział mu chór oburzonych głosów – otóż okazało się, że Turukanow nawet nie zamierzał rozdawać zostawionych w jego mieszkaniu prezentów twierdząc, iż wszystkie są przeznaczone dla niego i jego żony, skrzypaczki. Część drobiazgów, takich jak albumy z widokami prowincji Quebec i kalafonia w słoiczkach, rozdał swym kolegom wiolonczelistom, reprezentującym orkiestrę na spotkaniu z gośćmi. Tamci liczyli na coś więcej i obrażeni na Turukanowa, a jeszcze bardziej na jego pazerną żonę, opowiedzieli o wszystkim w teatrze.

Jeszcze przed chwilą Daniłow nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z Turukanowem, ale teraz poczuł, że musi do niego pójść i że zrobi to niezwłocznie.

Turukanow siedział w małym pokoiku, gdzie przyjmował zazwyczaj składki związkowe.

– Ja do pana – powiedział Daniłow.

– Ależ pan ma składkę miesięczną zapłaconą!

– Czyżby? – zdziwił się Daniłow. – Zresztą to nieważne, ja w całkiem innej sprawie. Słyszałem, że rozdaje pan krawaty.

– Jakie znowu krawaty? – odparł surowo Turukanow.

– Kanadyjskie.

– Kanadyjskie? – wzruszył tamten ramionami. – Pewnie ktoś przysłał tu pana dla kawału...

Widać było jednak, że czuje się trochę nieswojo.

– Rozumiem, że może pan być zdenerwowany, kiedy ktoś przychodzi i upomina się o głupie drobiazgi – powiedział Daniłow – ale jest mi bardzo nieprzyjemnie: wczoraj spotkałem pana Verniera, altowiolistę z Montrealu, i on zapytał, czy podoba mi się krawat, który został przekazany przez pana...

Mówiąc o spotkaniu z panem Vernierem, Daniłow, oczywiście, skłamał na poczekaniu, ale Turukanow przyjął jego słowa bez zastrzeżeń i uciekając spojrzeniem w bok powiedział cicho:

– Po co panu krawat, pan zawsze nosi motylki...

– Owszem – zgodził się Daniłow – ale normalne ubrania też czasem noszę, więc muszę mieć parę krawatów. Zresztą nie w krawacie rzecz...

Turukanow w milczeniu odsunął od siebie papiery.

– Szkoda czasu – powiedział Daniłow – poproszę o ten krawat, bo muszę już iść.

– Nie mam tu żadnych krawatów, nie wziąłem ze sobą! – zawołał Turukanow ze łzami w oczach. – Może znajdą się w domu...

– Przepraszam, widzę, że z tej torby coś wystaje. Co to jest? – zapytał Daniłow czując, jak narasta w nim bezczelny upór.

– Gdzie? Z jakiej torby? Ach, z tej!

Z papierowej torby ulokowanej na krześle nic wprawdzie nie wystawało, ale jej powierzchnię w śliczne kwiatki zdobił angielski napis, który z powodzeniem mógł być nazwą firmy produkującej krawaty. Turukanow tłumaczył się usilnie, że w tej torbie ma drobiazgi, które otrzymał w prezencie od kanadyjskich przyjaciół. Dodał, że postara się – sam od siebie – sprawić przyjemność kilku sympatycznym kolegom.

– To znaczy komu? – zapytał Daniłow takim tonem, jakby trzymał w dłoni pistolet.

Turukanow pośpiesznie wyjaśnił, że ma na myśli jednego z dyrygentów, poza tym pianistę, który udziela się społecznie – i w ogóle wszystkich ludzi przydatnych w kolektywie.

– Ale przecież nie ja jeden spodziewam się krawata, wszyscy altowiolści mieli dostać! – powiedział Daniłow.

– Wszyscy? Co też pan opowiada! – oburzył się Turukanow. – Oczywiście, sprawdzę w domu, czy nie ma tam krawata dla pana, ale proszę nie mówić mi takich bzdur, że wszyscy... Co by to byli za artyści, którzy myślą tylko o ciuchach! A co do pana, sprawdzę na pewno...

Postanowił widocznie pozbyć się natręta za wszelką cenę, zapominając, że ów natręt jest redaktorem teatralnej gazetki ściennej. Sięgnął po torbę, pogrzebał w niej i z westchnieniem pociągnął za koniec błękitnego krawata w białe kropki. Krawat – o dziwo – okazał się nieskończenie długi; można było pomyśleć, że jego koniec sięga mieszkania Turukanowa na Siwcewym Wrażku. Rozrósł się monstrualnie, miał co najmniej pół metra szerokości i cały był w barwne plamy, jakby został uszyty z kolorowych gałganków. Na jego tle wyraźnie, jak naklejone, odbijały się chusteczki do nosa, zdjęcia z widokami prowincji Quebec i Rzeki Św. Wawrzyńca, płyty długogrające, taśmy magnetofonowe, żyłki, skarpetki i dwie pary damskich rajstop – w listki oraz w czarne serduszka. Turukanow pocił się, sapał, ciągnął krawat do siebie i zatrzymać się już nie mógł. „Cóż to takiego? Skąd to wszystko?” – powtarzał zrozpaczony. Dopiero gdy gigantyczny krawat zajął połowę pokoju, ukazał się z torby jego drugi koniec.

„Niech to licho, znowu przeholowałem!” – zmartwił się Daniłow. Wylęknięty Turukanow dreptał wokół krawata, kilkakrotnie zamierzał dotknąć tej dziwnej i chyba bezużytecznej rzeczy, ale za każdym razem cofał rękę, jakby w obawie przed oparzeniem. „Jakże to? Skąd się to wzięło?” – powtarzał jak katarynka, spoglądając na Daniłowa z przerażeniem.

Zadzwonił telefon. Turukanow zwlekał chwilę, jakby obawiając się, że ze słuchawki też może coś wyskoczyć albo wystrzelić. Wreszcie podniósł ją i Daniłow, choć stał w znacznej odległości od telefonu, wyraźnie usłyszał krzyk żony Turukanowa: „Wyleciało! Wszystko wyleciało!” – „Co wyleciało?” – pytał Turukanow. „Wszystko! Mówię ci, wszystko! Krawaty, rajstopy – wszystko!” – „Co to znaczy – wyleciało? Jak?” – „Skąd mogę wiedzieć jak! Wyleciało i już! Przez ścianę!” – „Uspokój się! – mówił Turukanow. – Musisz wezwać lekarza!” – „Myślisz, że lekarz mi wszystko zwróci?!”

Turukanow odłożył słuchawkę i znowu spojrzął ze strachem na Daniłowa. „To niemożliwe! – mamrotał. – Jakże to? Przecież to nie do pomyślenia! Co? Jakże to?...” Daniłow wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. „Czy ja naprawdę zapłaciłem składkę?” –

zdziwił się znowu. Otoczyli go koledzy. „Sprawdziłem – powiedział. – Turukanow ma tylko jeden krawat, ale jakiś olbrzymi. Wygląda na to, że normalnych w ogóle nie ma...”

Po próbie altowiolista Czechonin zapytał, dlaczego Daniłow nie idzie do domu.

– Przecież gram w *Weselu Figara* – odpowiedział Daniłow.

– Coś ty? – zdziwił się Czechonin. – To ja dzisiaj gram, ty jesteś wolny.

Zakłopotany Daniłow pobiegł do inspicjenta i wyjaśniło się, że źle odczytał dwa tygodnie temu plan obsady. Nie po raz pierwszy zdarzały mu się takie pomyłki; kiedyś przez roztargnienie opuścił popołudniowy spektakl (był to *Złoty Kogucik*), za co udzielono mu nagany i nie wzięto na występy do Mongolii. Teraz, skoro okazało się, że jest wolny, powinien jechać do Ostankina i odpocząć w zaciszu domowym, ale po chwili namysłu postanowił zostać i posłuchać *Wesela* z widowni.

Słuchał i nabierał przekonania, że nie miał dotąd pojęcia, jak należy grać Mozarta. Zdarzył się przecież u nich w teatrze podobny przypadek: kontrabasista, który grał w orkiestrze bez mała czterdzieści lat i właśnie przeszedł na emeryturę, zdobył po znajomości bilety na *Carmen* i przyszedł do teatru z wnuczkim, a potem, w pierwszej przerwie, przybiegł za kulisy wołając: „Boże, co za muzyka! Co za opera! Przez całe życie wydawało mi się, że to same pam-pam, a tu masz ci los – okazuje się, że jest jeszcze ta-ra-ra-ra...” – i z tymi słowy zanucił motyw toreadora. Tak i z Daniłowem: dziesiątki razy, siedząc w jamie orkiestrowej, grał *Wesele Figara*, by teraz po raz pierwszy posłuchać tej muzyki z widowni. Najpierw siedział nieruchomo z otwartymi ustami, potem zaczął podśpiewywać, ponieważ libretto znał na pamięć. Mało że podśpiewywał – całkiem zapomniał, gdzie się znajduje, i kilkakrotnie zawołał do siedzącego przed nim staruszka: „Ach, co za muzyka! Jak to brzmi!” W ferworze zachwytu o mało nie złapał staruszka za ramię; zdumiony staruszek obejrzał się, a potem przywołał Daniłowa do porządku dodając złośliwie, że mimo wszystko artyści na scenie śpiewają trochę lepiej od niego. Inni sąsiedzi z łoży też sykali na Daniłowa i rzucali mu gniewne spojrzenia. Skonsternowany przestał nucić i wtórował orkiestrze w myślach, a jednak zapominał się co chwila i znowu dawał się słyszeć jego cichy śpiew. Orkiestra w tradycyjnym mozartowskim składzie, doskonale dając sobie radę bez Daniłowa, grała w istocie pięknie, zresztą czyż można grać inaczej taką muzykę! W przerwach Daniłow, bojąc się zejścia z obłoków na ziemię, nie poszedł ani za kulisy, ani do bufetu – pełen Mozartowskich dźwięków, siedział cicho na dostawianym krześle w łoży, gdzie załatwiła mu miejsce zaprzyjaźniona bileterka.

W ostatnim akcie mimo wszystko najadł się wstydu: zasnął niechcący i wyłączył się na parę minut. Oprzytomniał dopiero na dźwięk cudownego głosu Cherubina w momencie, gdy uroczy paż, zamiast stawić się w pułku, powraca do pałacu hrabiego. Ach, jak się złościł Daniłow na siebie! A jednak już za chwilę znalazł argumenty na własne usprawiedliwienie: ostatecznie nic się nie stało, każdemu może się zdarzyć. Wszystkiemu winne ciągłe zmęczenie, przydałby się jakiś odpoczynek, przynajmniej ze dwa tygodnie. Morze, ciepły piasek...

– Młody człowieku – przemówił nagle staruszek – jęczy pan i przeszkadza innym.

– Przepraszam najmocniej – odpowiedział Daniłow – ale tak mnie wrusza ta muzyka...

W drodze do domu cały czas nucił Mozartowskie melodie. „Ach, gdyby coś takiego skomponować! – myślał. – Byłem idiotą, że aż przez dziesięć dni wbijałem sobie do głowy różne głupoty. Nieprawdą jest, że po symfonii Pierieslegina wszystko skończyło się raz na zawsze; skończył się tylko jeden rozdział, ale to nic, najważniejsze, że był! Owszem, odczuwałem wstręt do muzyki, ale w końcu to minęło jak zły sen. A teraz Mozart! Mogą sobie rozprawiać dzisiejsi teoretycy, że w porównaniu z wyższą matematyką Schönberga Mozart to tylko algebra. Skądże znowu: nie ma żadnej algebry, żadnej wyższej matematyki, żadnej muzyki osiemnastowiecznej – jest po prostu muzyka wieczna, wieczna i wielka...” Schönberga Daniłow bynajmniej nie krytykował, żywił dla niego szacunek, podziwiał jego

Drugą symfonię kameralną i A Survivor from Warsaw (Ocalałego z Warszawy) – miał w domu nagrania tych utworów i odbicie Schönbergowskich zasad techniki dodekafonicznej znalazł w symfonii Pierieslegina. Mimo to Mozarta wynosił teraz ponad Schönberga – ni to w wyniku wewnętrznej dyskusji z samym sobą, ni to z potrzeby znalezienia nowych argumentów przeciwko teorii Ziemskiego. Proszę – oto muzyka konwencjonalna w jej najczystszej postaci, a jaki wywiera wpływ! Muzyka jest potrzebna, nieodzowna i on jako muzyk powinien grać, grać nieustannie! Powinien to robić dla siebie i dla ludzi. Czuł się uzdrowiony jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie, czuł się narodził po raz drugi – dla muzyki. Tak też było w istocie.

Melodie z *Wesela Figara* nucił jadąc trolejbusem, aż wreszcie zrozumiał, że pasażerowie mogą sobie o nim to i owo pomyśleć, i spojrzął naokoło.

Próżne obawy: każdy z pasażerów rozmyślał o swoim. Daniłow na wszelki wypadek wyjął z kieszeni płaszcz gazetę popołudniową, przeczytał rubryki „Na wokandzie sądowej” i „Kalendarz ogrodnika”, po czym zerknął na pierwszą stronę i zwrócił uwagę na krótką notatkę pod tytułem *Ciekawe zjawisko*. Autor notatki opowiadał o doświadczeniach geofizyków, którzy odbyli w lecie wyprawę na Kamczatkę i zbadali wulkan Szywełucz. Pracownia, która skierowała na Kamczatkę ekipę naukowców, zajmuje się teorią jądra Ziemi. Geofizycy przywieźli do Moskwy próbki lawy pochodzącej z wyżej wymienionego wulkanu – i całkiem nieoczekiwanie, w procesie obróbki termicznej, z bryły skamieniałej lawy o wadze 760 g wykształciły się dwa duże szmaragdy oraz jeden żywy motyl odmiany *machao maaka*. Kierownik pracowni, członek korespondent Akademii Nauk M. Zastyłow, oznajmił reporterowi gazety, że choć wypada przy wyciąganiu wniosków zachować dużą ostrożność w obawie przed popełnieniem poważnych błędów naukowych, niemniej fakty pozwalają przypuszczać, iż jądro Ziemi składa się w całości ze szmaragdu w postaci ciekłej lub niezupełnie ciekłej. W każdym razie, dodał uczony, zespół kierowanej przez niego pracowni stoi niewątpliwie u progu wielkiego odkrycia, aczkolwiek przyznać należy, że skonkretyzowanie wniosków ostatecznych komplikuje w pewnym sensie fakt pojawienia się żywego motyla, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę rozpiętość skrzydeł tego okazu przekraczającą normę o siedem centymetrów. Należałoby ustosunkować się również do dziwnego zbiegu okoliczności, który sprawił, że motyl oprócz ssawki posiada zęby.

„Skąd się wzięły te szmaragdy, nie mówiąc już o motylu? – myślał Daniłow. – Co za przedziwna materia nawinęła mi się wtedy pod rękę?...” Postanowił, że zajmie się próbkami jeszcze dziś – albo lepiej jutro. Przeczynał, jak zmartwi się Klaudia po przeczytaniu tej notatki. Biedactwo! Że też musiały to być akurat szmaragdy! Motyl zafascynował Daniłowa do tego stopnia, że myśli o nim okazały się silniejsze od Mozarta. Przez całą drogę, idąc od przystanku do domu ulicą Zandera, Daniłow usiłował rozwiązać zagadkę motyla; melodie z *Wesela Figara* umilkły niemal całkiem i tylko chwilami powracały w postaci wyciszonych odgłosów.

Otworzył swoją skrzynkę na listy – gazet nie było. W skrzynce znalazł tylko złożoną na pół karteczkę z zeszytu w kratkę; widniało na niej kilka słów skreślonych ręką Ziemskiego (Daniłow znał jego pismo, ponieważ Ziemski przynosił czasami notatki do „Kamertonu”). „I co, Włodeczku? – pisał Ziemski. – Jak tam z tajemnicą M.K.?”

„Przyczepił się do mnie! – pomyślał Daniłow ze złością. – Pewnie żadnej tajemnicy nie ma i nigdy nie było...”

W momencie, gdy otwierał drzwi swojego mieszkania, tknęło go złe przecucie. Był pewien, że coś się stało albo stanie się za chwilę. W mieszkaniu panował straszliwy upał i czuć było jakiś swąd. Rzucił się do kuchni i tam, na stole, na porcelanowym półmisku wyjętym przez kogoś z kredensu, zobaczył twardy lśniący blankiet, wezwania opatrzone szkarłatnym stygmatem. Zamarł na moment, potem jednak odważył się zrobić krok do przodu i przeczytał płonące słowa:

„Godzina Zero. Dziś w nocy, za kwadrans pierwsza. Przystanek trolejbusu – zaułek Łazienny. Dom nr 67”.

„Koniec” – pomyślał Daniłow osuwając się na taboret. Wezwanie natychmiast znikło: było już niepotrzebne. „Koniec” – powtórzył w duchu jeszcze raz.

Czasu zostawało niewiele – półtorej godziny, z tego jakieś dwadzieścia pięć minut, a może i więcej, trzeba przeznaczyć na dojazd. Nocne trolejbusy kursują rzadko, trzeba będzie czekać co najmniej piętnaście minut. Wzywanie taksówki w takich przypadkach nie było przyjęte.

Przebierać się nie musiał: do teatru zawsze chodził ubrany porządnie. Przejrzał tylko dyspozycje i listy przygotowane przed pojedynkiem z Karmadonem. Uznał, że jest w porządku: chyba nie skrzywdził nikogo – ani tych, którym sam był dłużny, ani tych, którzy mieli wobec niego zobowiązania. Klaudii też nie skrzywdził, może wspomni o nim kiedyś z sentymentem. A zresztą co mu do tego...

Jedna tylko Natasza... Dobrze się stało, że jest dziś u siebie w domu – przeznaczyła ten wieczór na szycie. Wypadałoby jednak do niej zadzwonić.

Nie mógł podnieść słuchawki: zbliżał się do telefonu i znowu odchodził, powstrzymywało go nie tylko zdenerwowanie, nie tylko opory przed sprawieniem jej bólu. Obawiał się, żeby Nataszy nie narazić. Ale, w gruncie rzeczy, jedna rozmowa telefoniczna mniej, jedna więcej – cóż to znaczy wobec ogromu informacji, jaką zdążył zgromadzić o Nataszy pan Walenty!

Podniósł wreszcie słuchawkę.

Natasza odebrała telefon po dłuższej chwili – widocznie musiała wstać od maszyny. Pewnie praca nad bluzką z etaminy (Daniłow widział to dzieło w stanie początkowym) – pilnym zamówieniem pani inżynier z zakładów „Kaliber”, przyjaciółki Tamary Murawlowej – posuwała się opornie. W głosie Nataszy dało się wyczuć zmęczenie.

– Natasza... – powiedział Daniłow jękając się mimo powziętej decyzji, że będzie twardy i dzielny. – Natasza, nadeszła chwila, o której ci kiedyś mówiłem. Dziękuję za wszystko. I proszę – ani słowa więcej.

Odłożył słuchawkę.

Altówka została w teatrze, w szafie ogniotrwałej. Usiadł przy pianinie i zaczął grać. Sam nie wiedział, co gra, palce dotykały klawiatury mimo woli. Ta muzyka była jego bólem, jękiem i rozpaczą.

Za dziesięć dwunasta wstał, znowu przejrzał wszystkie papiery i czule pogłaskał wieko pianina. Dotyk był lekki, muskający, nic nie łączyło go już ze starym instrumentem, który nie wyda więcej z siebie dźwięku. Włożył płaszcz i czapkę, sprawdził, czy gaz jest wyłączony, zgasił w całym mieszkaniu światło i zamknąwszy bez pośpiechu drzwi, nacisnął guzik windy.

Tak jak przypuszczał, trolejbus kazał na siebie długo czekać. Było zimno i wilgotno, śnieg wieczorem znowu stopniał. Wreszcie trolejbus nadjechał. Daniłow wrzucił pięć kopiejek do nowego automatu, nacisnął metalowy przycisk, ale bilet nie wyskoczył. Wówczas Daniłow, patrząc na jedyne go o tej porze, podchmielonego pasażera, powiedział tonem, w którym obok przeproszenia brzmiała dezaprobata dla innowacji technicznych:

– Nie wydaje biletu...

– E! – machnął ręką pasażer nie podnosząc oczu.

„Czy to przypadkiem nie Rostowcew?” – pomyślał Daniłow. Wszystko jednak wskazywało na to, że pasażer jest przypadkowy – jakiś zwyczajny ponurak pijący albo nałogowo, albo ze zmartwienia.

Usiadł i westchnął. Z prawej strony przepływała za oknem wystawa sklepu „Ocean”, o tej nocnej porze jakby zanurzonego w podwodnych głębinach. Daniłow przypomniał sobie wiolonczelistę Turukanowa, przerażonego widokiem krawata olbrzyma, przypomniał też tamte panienki, które z jego winy będą teraz miały złamane życie, przypomniał sobie zięjącego dymem hydraulika Kołę i Kudasowa, który w trakcie rozważań o wysokich materiałach będzie odtąd ustawicznie wąpił w słuszność głoszonych przez siebie opinii... Dużo innych rzeczy przyszło mu na pamięć: ileż to spraw pozostawił nie zakończonych, ilu ludziom powinien był pomóc – i nie pomógł, nie zdążył. Ciągle gdzieś się śpieszył, pędził albo płynął z prądem, porwany falą życia...

„Och, zapomniałem przecież wpaść do komendy milicji!” – zreflektował się nagle. Cóż, teraz sprawa kradzieży altówki na pewno zostanie przekazana ad acta i jako jedna z nie rozstrzygniętych spraw obciąży w okresie sprawozdawczym dokumentację Komendy Dzielnicowej nr 58. Ale dla Daniłowa to wspomnienie o Albanim było czymś w rodzaju deski ratunku, pozwalało mu łudzić się, że wcale nie muzyka, nie Natasza, nie pragnienie życia i ocalenia osobowości będą zmuszać go do powrotu za wszelką cenę – nie, dołoży starań, żeby ocaleć i wrócić, bo musi przecież pozafatwiać rozmaite drobne, acz nie cierpiące zwłoki sprawy. Obowiązek przede wszystkim! Cieszył się więc, choć mimo całej swej lekkomyślności zdawał sobie sprawę, że dzisiejsza podróż jest szczególna, do poprzednich niepodobna. Małe pocieszenia skracały mu drogę, tymczasem trolejbus przebrnął już przez most Kriestowski.

„Rozmyślałem o bzdurach, a przecież za chwilę mam wysiadać!” – ocknął się Daniłow. Zostały jeszcze dwa przystanki. Teraz wypada pomyśleć o sprawach najważniejszych. I natychmiast przeszło go znane nie od dziś uczucie, że jest obserwowany, że ci, którzy go obserwują, widzą wszystko, znana im jest każda jego myśl, każdy zamiar, każda przelotna i nieuchwytna zmiana nastroju. Sama świadomość tego faktu upokarzała i przyprawiała o mękę. Nawet gdyby spróbował zmobilizować całą swoją wolę i wbrew wszystkiemu zachować spokój, napięcie psychiczne zostałoby niewątpliwie z miejsca wykryte i poddane skrupulatnej analizie. Mimo wszystko sam wiedział, że trochę przesadza – był przekonany, choć może się mylił, że złożony świat jego emocji, tok jego myśli nie mogą być rozszyfrowane do końca, że nie poradzi sobie z tym nawet najnowocześniejsza, superczuła aparatura.

Myśli, zwłaszcza te z kręgu życia codziennego, przekazujemy sobie wzajemnie w formie słownej. Ale słowo, skrępowane rygorami języka, jest prymitywne i ubogie; słowo oddaje zaledwie znikomą część myśli, i to nierzadko część bynajmniej nie najistotniejszą; samej zaś istoty myśli, jej życia, jej wibracji słowo oddać nie jest w stanie. Muzyka natomiast –

Daniłow był o tym przekonany – ma w tym względzie znacznie większe możliwości. Dla niego, altowiolisty z zawodu, była to rzecz ponad wszelką wątpliwość. Nauczył się wyrażania swych stanów wewnętrznych przy pomocy fraz muzycznych lub poszczególnych dźwięków. Stało się to niezależnie od jego woli, wypłynęło z naturalnej wewnętrznej potrzeby, a częściowo z łobuzerskiej przekory. Początkowo ów język muzyczny nie był skomplikowany: Daniłow wziął za podstawę *Dziewiątą symfonię* Beethovena (była to pora, kiedy fascynował się Beethovenem) i z tego tworzywa sporządził na własny użytek coś w rodzaju słownika. Termin „słownik” nie zadowalał go, rzecz jasna, chodziło mu bowiem nie o słowa, lecz o całe pojęcia wyrażane przy pomocy dźwięków, których odtwarzanie powierzył obojowi. Przez jakiś czas całkowicie wystarczał mu zasób dźwiękowy *Dziewiątej symfonii*, aż przyszła pora, gdy do *Dziewiątej* dołączyły koncerty fortepianowe, muzyka z *Damy Pikowej* Czajkowskiego, *Czwarta symfonia* Brahmsa, fragmenty dzieł włoskich kompozytorów, Wagnera, Mahlera, Hindemitha i Schönberga; nie zabrakło też Strawińskiego, Prokofiewa (zwłaszcza *Ognistego Anioła*) i Dymitra Szostakowicza. Zaczął pozwalać sobie na coraz więcej, rządził cudzymi dźwiękami z rozkoszą, ale i z wybrednością wytrawnego konesera. Tak na przykład motywy przyśpiewek ludowych z utworów Szchedrina służyły mu do rozważań o trudnościach gospodarczych, osiągnięcia muzyki bigbitowej oddawały usługi w chwilach sentymentalnych, kiedy ubolewał nad utratą bezcennej altówki, renesansowe flamandzkie śpiewy chóralne a cappella pomagały, gdy zamierzał stawić czoło przeciwieństwu losu...

Porwany tym fascynującym procesem, zaczął sam tworzyć elementy muzyki wyrażającej jego stan wewnętrzny. Myślał najczęściej w pośpiechu, w biegu, stąd myśli miał przeważnie szybkie, często urywane, a więc potrzebował też odpowiednich symboli – skąpych, racjonalnych, bez ozdobników, bez rozwijania tematu, bez instrumentacji – wszystko to było drugorzędne. Powstawała często muzyka dodekafoniczna albo w ogóle bliżej nie określona. Następnie Daniłow sięgnął po dorobek innych szkół muzycznych z całą ich słodyczą i odrębnością rządzących nimi praw. Zwrócił się zatem do muzyki murzyńskiej, indyjskiej i muzyki Dalekiego Wschodu; zabrzmiały w jego wyobraźni marakasy, sitary, raboby, sjamiseny, koto i flety bambusowe – sjakuchati... Do budowy rozwiniętych, aczkolwiek zwięzłych i szybkich fraz muzycznych nadawała się równie dobrze siedmiostopniowa diatoniczna skala indyjska, jak i pięciostopniowe skale japońskie – miakabushi i inakabushi. Często powstawały złożone zlepki orientalno-europejskie, a wówczas Wagnerowskiej miedzi wtórował subtelny głos fletu sjakuchati, któremu Daniłow przez ustawiczny pośpiech nie pozwalał jednakże na typowe dla tego typu instrumentu melizmaty i płynne przebiegi po gamie. Altówka w tej jego muzyce brała udział bardziej niż skromny – korzystał z niej rzadziej niż z innych instrumentów. A kiedy zdarzały się chwile spokoju (spokoju fizycznego, bo spokój myśli i uczuć był mu nie znany), tok rozważań przybierał postać mniej lub bardziej regularną i frazy muzyczne zaczynały powtarzać się w rozmaitych wariacjach: niekiedy – w momentach radosnych – brzmiały płynnie, jak powtarzające się słodkie marzenia, niekiedy zaś – w chwilach rozpacz – następowały po sobie gwałtownie i nerwowo; wówczas rodziły się utwory polifoniczne, czasami fugi, czasami sonaty. Ogólnie rzecz biorąc, była to muzyka bardzo oryginalna, dziwna być może, ale z pewnością niekłamana – właśnie tak, niekłamana. Warto by ją zapisać i kiedyś odtworzyć, ale gdzie tam!... Tak czy owak, „muzyka myśli” stała się ulubionym wynalazkiem Daniłowa, przywykł do tego nowego języka. Ten system muzyczny – teraz już własny – komplikował się i poszerzał, powstawały nieoczekiwane upojne improwizacje, a co się tyczy ewentualnych kontynuatorów, Daniłow sądził, że jego muzyka może stanowić dla nich zagadkę. Właśnie teraz nadarzała się okazja do sprawdzenia, czy miał rację.

Trolejbus zbliżał już się do zaułka Łazienego.

Daniłow wstał. Sam nie wiedząc po co, zerknął niezdecydowanie na zadumanego towarzysza podróży, jakby spodziewał się, że tamten doda mu otuchy albo spróbuje go zatrzymać. Samotny pasażer nie podniósł głowy. „Może zapomniał, gdzie ma wysiadać?” – zaniepokoił się Daniłow.

– Przepraszam pana – powiedział – gdzie pan wysiada? Pytam, żeby nie zawędrował pan przypadkiem do zajezdni...

– Pilnuj swojego nosa! – odezwał się wojowniczo pasażer. – Masz wysiadać, to i wysiadać, o mnie się nie martw. Sam wcześniej czy później trafisz do zajezdni. A tam lampy, żyrandole...

Zimny dreszcz przeszył Daniłowa. Postawił kołnierz płaszcza. Zegar na rogu zaułka wskazywał za dwadzieścia cztery minuty pierwszą. Nie opodał, na Drugiej Mieszczańskiej (obecnie ulicy Gilarowskiego), zgrzytał tramwaj udający się widocznie na spoczynek do Rostokina. „Czyżby ten pijak był ostatnim człowiekiem, którego dane mi widzieć?” – pomyślał Daniłow z rozpaczą. Zostało mu dziesięć minut ziemskiej egzystencji: dom nr 67 stał niedaleko, jakieś sto metrów od przystanku.

Budynek ten, dwupiętrowy, podobnie jak sąsiedni dom nr 69, miał w lewej swej części bramę wjazdową zwieńczoną wysokim łukiem. W tej to ciemnej czeluści, jakieś siedem metrów od chodnika, były drzwi, do których należało wejść. Dawniej od lewej strony przylegał do domu 67 jeszcze jeden budynek i drzwi w bramie prowadziły na jego kręte schody. Kilkanaście lat temu sąsiedni dom zburzono, stanęły tu dwa kioski – z papierosami i z kwasem – a na pustym placu powstało boisko do gry w koszykówkę. Słupy z koszami były teraz wykrzywione, obręcze pogięte, pośrodku placu królował stół okupowany ustawicznie przez amatorów domina i napojów wysokokowych. Drzwi prowadzące niegdyś do zburzonego budynku pozostały nie zamurowane, można je było otworzyć wychodząc na trzeci stopień byłego ganku i zrobić krok w pustkę. Daniłow nie miał pojęcia, kto i kiedy wpadł na pomysł wyznaczenia właśnie tego punktu, ale posługiwanie się owym tylnym wejściem w przypadku nagłych wezwań do Dziewięciu Sfer obowiązywało od dwunastu lat. Zawsze myślał o tym przepisie z ironią – było w nim coś sztucznego, teatralnego, takie zabawy są dobre dla dzieci... Dziś jednak o ironii nie mogło być mowy: niesamowicie wyglądał nocną porą ten zmurszały ubogi budynek. W dzień nie rzucał się w oczy, mieszkali w nim zwyczajni ludzie, lecz teraz sam jego widok działał przygnębiająco. Nie opodał stał dom nr 71, olbrzymi i posępny, wsparty na ciężkich szarych kolumnach wyglądających niczym kamienne łapy miejskiego potwora. Przytulonych do niego staruszków sąsiadów kolos ten zdawał się trzymać na smyczy, swą władczą postawą dając im i wszystkim pozostałym do zrozumienia, że te stare rudery, tak zwane grymasy przeszłości, powinny rozpaść się za chwilę i zniknąć z powierzchni ziemi, ale skoro są jeszcze w stanie utrzymać się o własnych siłach, niech sobie na razie stoją, dokładnej godziny nikt im nie wyznaczył⁸. I rzeczywiście – w brzydki grymas układały się krzywe linie ceglanych gzymsów i międzykondygnacyjnych przewiązek starych budynków nie wytrzymujących ciężaru lat, dopełniało zaś wrażenia smętne wygięcie górnej belki nad bramą wjazdową. Dom nr 67 w istocie gotów był w każdej chwili runąć i zniknąć na zawsze; każdemu, kto zjawiał się tu, posłuszny mocy szkarłatnych znaków, mimo woli przychodziło na myśl, że on sam, trzymany na smyczy, którą dzierży w dłoni ktoś władczy i potężny, też jest skazany na niechybną zgubę. Dom wyglądał tak, jakby poczuwał się do jakiejś winy, i Daniłow rozumiał mimo woli, że poczucie winy zaczyna mu się udzielać.

W ponurej mrocznej bramie czuć było kotami i zgniłą kapustą. Daniłow pomyślał, że ten mrok, zgniliznę i koci smród autorzy instrukcji wliczyli zapewne do zestawu środków oddziaływania na delikwentów. Podwładni, przywołani mocą wezwań, w ostatnich chwilach pobytu na Ziemi powinni byli doświadczyć wszelkich możliwych upokorzeń wy wpływających

8 Zburzono w końcu i te domy, teraz buduje się nowe (przyp. autora).

niejako z samej scenerii tego zakątka, odczuć własną bezradność i zapamiętać Ziemię jako świat nad wyraz ohydny. Stanowiło to jakby podsumowanie ich działalności, było swoistym preludium do przejścia w stan jeszcze bardziej przykry, może nawet nijaki. Daniłow nadepnął na coś śliskiego, śmierdzącego, potknął się, o mało nie przewrócił i zaklął szurając butem po asfalcie, by strzepnąć z podeszwy to świństwo. A potem stanął na trzecim stopniu ganku i dotknął klamki. Drzwi nie ustępowały; Daniłow pochylił głowę nad klamką: trzy gwoździe, wbite widocznie na polecenie tutejszej administracji, mocno zabezpieczały niepotrzebne wejście. Pomyślał, że w komitecie blokowym nie zabrakło mimo wszystko troskliwych gospodarzy – nie uszło ich uwagi, że osierocone drzwi trzaskają bez potrzeby. Może i przedtem próbowano je zabijać, ale były powody, dla których gospodarskie gwoździe za każdym razem znikają bez śladu. Daniłow, rzecz jasna, nie miał przy sobie żadnych narzędzi, zdjął więc rękawiczki i próbował obluzować te gwoździe, ale nic nie wskórał, poranił tylko palce do krwi. Złościł się zdając sobie sprawę, że może się spóźnić, i wówczas dopiero przyszła mu na myśl bransoleta. „Cóż ja wyprawiam? – pomyślał. – Jak zamierzam wyruszyć w podróż?” Przesunął płytkę bransolety, gwoździe wyskoczyły z desek i uległy dematerializacji, drzwi zaś poddały się bez trudu. Otworzył je i nie pozwalając sobie nawet na sekundę wahania, zrobił krok...

Porwany szalonym wirem, poczuł silny ucisk, uderzenie, potem rozległ się chrzęst – może to nawet w nim coś chrzęsnęło; rwały się jakieś nid, brzęczały łańcuchy, wichry szalały naokoło, waliły się góry albo on sam spadał w rozżarzone kratery... Było to niepodobne do żadnego z poprzednich jego przemieszczeń w przestrzeni; odczuwał ból i lęk.

Przybył jednak wreszcie tam, gdzie przybyć należało. Znalazł się w przedsionku Dziewięciu Sfer, w Studni Oczekiwania, znanej mu dotąd tylko z opowiadań. Naokoło był gęsty mrok, nie mrok nawet – czarna próżnia, mimo to nie roztopił się w ciemnościach, czuł, że żyje i jest niezależny, ale ulgi mu to nie przyniosło. Wiedział, że ze wszystkich stron otaczają go mury i choć nie istnieją w sensie fizycznym, wydostać się stąd nie sposób. Zdawał sobie sprawę, że jest odizolowany zarówno od góry, jak i od dołu, choć nie było tu ani podłogi, ani sufitu. Studnia nie miała ścian, ale nie dało się w niej latać ani pływać. Myślał początkowo, że nie wolno mu nawet zmieniać pozycji; trwał jakiś czas w bezruchu, po czym odważył się spróbować – wyprostował nogi, opuścił ręce i już spodziewał się przykrych następstw, ale nie odebrał żadnych sygnałów wzbraniających. A więc coś mu jednak wolno! Ucieszyła go świadomość tej minimalnej bodaj swobody czy też pozorów minimalnej swobody. W mroku Studni nic się nie działo i należało przypuszczać, że nic się dziać nie powinno. Sam ten mrok, sama bezczynność, sama świadomość uwięzienia, własna bezradność i przecucie straszliwych wydarzeń – wszystko to powinno było doprowadzić trafiających w czarne czeluści Studni do stadium skrajnego wyczerpania. Daniłow stracił poczucie czasu, to znaczy nie odczuwał tego czasu, do którego przywykł – czasu, który potrafi płynąć, biec, zatrzymywać się lub cofać. Tu, w świecie Dziewięciu Sfer, wszystko było inaczej. Ponadczasowość przygłębiała, skazywała na bezwład, na brak czujności w obliczu zaskoczenia, a zatem na niezdolność podejmowania obrony. Zrozumiał, że łatwiej mu będzie zachować resztki silnej woli, jeśli postara się o przywrócenie sobie poczucia czasu w ziemskich wymiarach. Postarał się. – i choć odniósł zaledwie drobne zwycięstwo, łatwiej mu było teraz panować nad sobą. Ustalił więc w tej Studni normalny, jak na Ziemi, bieg czasu i licząc godziny powtarzał sobie: „No proszę, wytrzymałem jeszcze godzinę i jeszcze pół...” Mijały doby, liczył je również, aczkolwiek przypuszczał, że na Ziemi w tym czasie mogła nie upłynąć nawet sekunda... Liczył i liczył bez końca; znowu zmienił pozycję – wcale nie dlatego, że zdrętwiała mu noga albo ręka, po prostu nie chciał wyglądać śmiesznie lub żałośnie.

I oto stało się: miał pierwsze widzenie. Podmiotem tej wizji, jej motorem był pan Walenty, gorliwy agent do specjalnych poruczeń. W wyświechtanym kożuchu i wsuniętych w kalosze walonkach, z miotłą w rękę stał w ciemnej bramie. Miał wygląd dozorca, który wprost na kożuch narzucił ciemny załatany fartuch z blaszanym numerkiem, jakich nie noszą moskiewscy dozorczy już od dawna. Pan Walenty opuścił miotłę i jął zamiatać zgniłe, cuchnące odpadki, które tak obrzydziły Daniłowowi ostatnie sekundy pobytu na Ziemi. Świeżo upieczony dozorca spełniał swe czynności nieudolnie, praca mu wyraźnie nie szła, toteż dreptał w miejscu wykonując miotłą ciągle ten sam, jednostajny i niemrawy ruch. Poruszał się jak nakręcony; wreszcie sprężyna osłabła i pan Walenty zamarł. Potem drgnął i znowu zaczął szurać miotłą zachowując przy tym poprzednią amplitudę mechanicznych ruchów z dokładnością co do centymetra. Daniłow usłyszał odgłosy westchnień, pociągania nosem i szurania miotły po asfalcie. Wreszcie pan Walenty, który dotąd zdawał się nie dostrzegać Daniłowa, spojrzął na niego z wyrzutem i pogroził palcem. Skrzywił się nawet przy tym, jakby chciał powiedzieć: „Doigrałeś się, gołąbeczku, co?...” Ale w tym momencie

padł widocznie jakiś rozkaz, ponieważ pan Walenty zgarbił się, zmalął i poszedł sobie; blaszany numerek na fartuchu bardziej rzucał się teraz w oczy i cała postać dozorca jakby mówiła: „Tak jest, pamiętam, czego mi nie wolno, zresztą jak bym śmiał, wiem, kim jestem – miernotą, zerem, zrobiłem swoje i odchodzę...” Brama zniknęła i pan Walenty rozpląnął się w mroku.

Znowu Daniłow został w tych ciemnościach sam oczekując, że wnet zostanie poddany nowym próbom. Nic się jednak nie działo, toteż odniósł wrażenie, że zapomniano o nim na jakiś czas.

Miał ochotę zdjąć płaszcz. Nie było mu gorąco ani zimno, ale płaszcz, czapka i rękawiczki zaczynały go kępować. Z największą przyjemnością rozpiąłby teraz koszulę i zdjął motylek, nawet buty chętnie by rozsznurował, choć wcale go nie gniotły. Z czego chciał wyzwolić się – z ubrania? Niechby nawet i tak – na początek... Stwierdził jednak w tejże chwili, że wszystkiemu są winne nerwy, a więc nie rozpiął ani jednego guzika, nie zdjął rękawiczek, czapkę zaś nasunął głębiej i spuścił nauszники, tak jakby chciał uchronić uszy przed hałasem, choć znikąd nie dobiegał żaden dźwięk.

Zaczął powtarzać w myślach partię altówki z symfonii Pierieslegina, ale po chwili przerwał: był ni to osłabiony, ni to zrezygnowany. Czuł, że wzbiera w nim żal, jak w małym i słabym chłopczyku, który ze łzami w oczach pyta dorosłych spojrzeniem: „Za co mnie krzywdzicie? Co złego wam zrobiłem?” Chciałby naprawdę być teraz dzieckiem – słabym, bezbronnym (zresztą bezbranny był w istocie) – i żeby ktoś silny, ktoś dobry przytulił go do piersi albo przynajmniej zlitował się nad nim, przebacząc mu wszystkie kaprysy i psoty. Nawet brodę chętnie by zgolił, gdyby go o to poproszono. Ale nikt nie chciał dostrzec w nim skrzywdzonego dziecka – nie dobiegło go najłżejsze bodaj współczujące westchnienie.

Wokół panowała głęboka, niesamowita cisza. Szuranie miotły pana Walentego, jego sapanie i pociąganie nosem Daniłow wspominał teraz jak najśłodszą melodię. Może nabrała już mocy prawnej Godzina Zero? I może ta moc polega na tym, żeby odizolować go na zawsze od wszelkich dźwięków? „Nie mają prawa! – myślał oburzony. – Muszą mi najpierw przedstawić zarzuty, powiedzieć, o co mnie oskarżają i dlaczego!” Poczł jednak niemal od razu, że jego oburzenie, podobnie jak gotowość pozbycia się brody i ukazania się w roli skrzywdzonego dziecka, jest samo przez się pozbawione sensu i że on, Daniłow, jest traktowany tu wyłącznie jako bezwartościowe, upośledzone indywiduum.

Zamknął oczy i przez opuszczone powieki dostrzegł, a raczej wyczuł pewien ruch: czy to sunęły naokoło jakieś cienie, czy też powiewały zerwane z czyichś nie zagojonych ran bandaże. Zmęczony, otworzył oczy jakby od niechcenia.

Cienie czy powiewające płachty zniknęły w czarnej otchłani mroku i oczom Daniłowa ukazało się sześć baranich głów osadzonych na krótkich sękatych palach. Głowy mrugały do siebie, stroiły miny, szczyrzyły zęby, podskakiwały na palach usiłując popchnąć się lub ugryźć.

Potem w miejscu baranich głów pojawiła się dziwnie znajoma sylwetka mężczyzny niewielkiego wzrostu. „Przecież to mój Tsisai!” – zrozumiał Daniłow. Nigdy go nie widział, ale był pewien, że to właśnie on, Nosiciel Smutków. Tsisai uklęknął zamierzając widocznie wznosić modły – może chciał pomodlić się o lepszy los dla siebie albo dla Daniłowa, związanego z nim za sprawą pięknej Himeko. Twarz Nosiciela Smutków zniekształcił wyraz przedśmiertnej męki, głowę miał spuszczoną. Przedtem Daniłow sądził, że jego Nosiciel Smutków – wytwór naiwnych wierzeń z czasów, których nikt już nie pamięta – powinien być ubrany w kimono i mieć spływający po plecach warkoczyk, tymczasem Tsisai, ubrany w dżinsy i skórzaną marynarkę, włosy miał długie i bujne jak bigbitowiec. „Jaki młody! Przecież to jeszcze dziecko! – pomyślał przerażony Daniłow. – Proszę cię, Himeko, nie rób tego, błagam!” Zamknął oczy, ale widział wszystko przez zamknięte powieki. Himeko nie dosłyszała widocznie jego błagań, zresztą to wcale nie ona ściągnęła tu tego chłopca czy jego

cień. Może Tsisai został już złożony w ofierze dla uratowania Daniłowa i teraz on zobaczy, jak to przebiegało, i zrozumie, dlaczego ofiara okazała się daremna... Otworzył: oczy: w miejscu, gdzie stał przed chwilą Nosiciel Smutków, widniała rozplywająca się szkarłatna plama, potem plama zaczęła parować i wszystko okrył mrok. „A przecież gotów byłem przyjąć ofiarę!” – uświadomił sobie Daniłow odczuwając przejmującą litość zarówno dla tego chłopca, który zginął bezsensownie, jak i dla siebie. Byłby się rozplakał, gdyby wiedział na pewno, że nikt go nie obserwuje... Zdawało mu się nawet przez moment, że czuje delikatny zapach anemonów: może to Himeko mimo wszelkich przeszkód śpieszy do niego pełna współczucia? W tejże chwili poczuł ostre drapanie w gardle i w nosie – spowodował je bynajmniej nie zapach anemonów, lecz jakiś przykry duszący fetor, tak jakby gdzieś w pobliżu, wybuchł bezdźwięcznie granat z gazem łzawiącym. Daniłowa ten smród otrzeźwił, przykre odczucia przypomniały mu o tym, że jego los wcale nie: jest lepszy od losu Nosiciela Smutków...

Zawirowały przed nim wichry świetlne, w których pękały fioletowe bąble. Po chwili wichry przestały wydawać mu się komunikatem o nie znanej treści, nabrały bowiem postaci realnej, nabrały potęgi i głębi, a głębia była. przeraźliwa – na miliardy kilometrów. Wydało mu się przez moment, że zniknęły ściany Studni, ale było to tylko złudzenie. Głębia wizji w istocie sięgała miliardów kilometrów, ale czarne ściany pozostały nienaruszone: gdyby wyciągnął rękę, można by ich nawet dotknąć – naturalnie, nic nie odczuwając.

Przypomniał sobie nagle, że przed chwilą – nie wiedział kiedy, bo nie prowadził już rachuby czasu – próbował odtwarzać w pamięci muzykę Pierieslegina i że muzyka tak szybko umilkła. Czy świadczy to o jego słabości? A może on nie panuje już nad sobą? Albo zamąciły mu w głowie te zjawy? Nie! Postanowił natychmiast odzyskać suwerenność i przywrócić tok życia, niezależny od obecnego pobytu w Studni i od zamiarów badaczy, poddających go doświadczeniom. Zdobył się na nowy wysiłek woli, znowu zaczął liczyć upływające minuty – i natychmiast zabrzmiały dźwięki klasycznego sekstetu z *Passacaglii* Haendla. Myśli i uczucia nadal biegły dwoma nurtami – słownym i muzycznym.

Niestety, wizje powróciły.

Różowe pęcherze rosły w oczach, pękały ze straszliwym trzaskiem, szarpały nimi wściekłe wichry, nalatywały z rozpędu, oślepiały płomieniem wybuchów. Jęzory ognia trzepotały w mroku, odłamki rozpryskiwały się na niezmierną odległość. Długo jeszcze trwały wybuchy, potem stały się rzadsze, jak gdyby uciszał się pomału ich żywioł, i wreszcie ułagodzone, uporządkowane kształty i cienie zaczęły wyłaniać się z tych rozżarzonych, buszujących potoków. Przed oczami Daniłowa, obracając się wokół niewidocznej osi, zawisł mętny, połyskujący, nieco wykrzywiony dysk, a wewnątrz tego dysku, wprawione w powolny ruch, wirowały świetlne spirale ó zakreślonych iskrzących się końcach. Dostrzegł po chwili, że wokół środkowego dysku, w różnych odległościach mierzonych już nie na miliardy kilometrów, lecz na stulecia i tysiąclecia, zawisają i płyną inne wirujące dyski, spirale oraz skupiska lśniących i czarnych okruchów – planet i gwiazd. Poczł się kolosem zdolnym przeskakiwać te skupiska materii, niczym kępi na podmokłym torfowisku gdzieś w okolicach Jegorjewska lub Szatury. Mógł stąpać po nich i panować nad nimi, brakowało mu tylko drobiazgu: pozwolenia na wyjście ze Studni Oczekiwania.

Upłynęła jednak chwila – i poczuł się już nie kolosem, lecz nędznym robakiem, zagubionym i wylęknionym w obliczu tych gigantycznych dysków i spirali, w obliczu wszechświatów, galaktyk i zawiłych kolei ich losów. Zrobiło mu się zimno, nie pomogła nawet czapka z uszami, i klasyczny sekstet, któremu Daniłow, opierając się woli eksperymentatorów, wciąż nakazywał grać *Passacaglia* Haendla, naraz umilkł. Tymczasem zniknęły również dyski i spirale, błysnął w mroku jakiś czarny pyłek, którego żadna aparatura elektroniczna zainstalowana na Ziemi nie byłaby w stanie wykryć ani nawet pośrednio przyjąć do wiadomości faktu jego istnienia. Pyłek rozrastał się – a może to Daniłow małał i

usyczał: rozumiał już, że został umieszczony wewnątrz tej drobiny, i gdyby jeszcze drobiny! Był zamknięty albo w niewymiernie małym jądrze pierwszego lepszego atomu, który naukowców nawet nie zainteresuje, albo – co jeszcze bardziej upokarzające – w cząstce elementarnej, nie znającej na Ziemi spokoju, nie zidentyfikowanej przez żaden najczulszy przyrząd i tylko tu, w Studni, pokornej i nieruchomej. I teraz wewnątrz tej cząstki, wewnątrz jej jądra, ujrzał nowe połyskujące dyski, nowe struktury krystaliczne – dostrzegł ich leniwe ruchy i wyraźnie stanął mu przed oczami mknący w oddali tutejszy kosmolot, i nie wiedzieć czemu przypomniał sobie Karmadona: mignęła nawet na moment znajoma twarz z gniewną i wyniosłą miną, jaką miał Karmadon pamiętnego dnia w Sokolnikach.

Nagle zaczęło się dziać coś nowego: dyski pękły, szkielety krystaliczne jęły sztywnieć, posypały się z nich lodowe igły i kulki, topniejąc lub rozpryskując się w locie. Przed Daniłowem siedział człowiek mniej więcej pięćdziesięcioletni, szewc z Lasku Marjińskiego, który reperował płócienne tenisówki, jakie nosili, przywracając im biel za pomocą proszku do zębów, moskiewscy eleganci końca lat czterdziestych. Na kolanach szewc miał rozłożony czarny skórzany fartuch, w zębach trzymał ćwieki – nawiasem mówiąc, wcale niepotrzebne do reperacji tenisówek. „Co to za jeden? – zdziwił się Daniłow. – Po co pokazują mi szewca? Może jestem mu dłużny? Jakoś sobie nie przypominam...” Obok szewca skakał szary kundel, trochę podobny do Saluta, inteligentnego psa Murawłowów. Szewc rzucił rozanielone, pełne dumy spojrzenie na swoje dzieło, po czym podał tenisówki psu. Kundel natychmiast połknął obuwie, a następnie zgarnął łapą szewca i połknął go również. Po tym wszystkim oblizął pysk, skrzywił się, wypluł czarny skórzany fartuch i ćwieki, ziewnął i poszedł sobie bez pośpiechu.

Ćwieków było pięć. „Dziwne – pomyślał Daniłow – jednego brakuje, bo było przedtem sześć, ale jakież to w końcu ma znaczenie?...”

Fartuch i ćwieki długo poniewierały się w próżni, tymczasem do akcji przystąpiły pojawiające się znikąd zastępy przedmiotów, sprzętów i maszyn: były tu walizki, szafa na ubrania, kombajn górniczy, metalowe wieszaki na spodnie, trap samolotowy, maszyna drogowa do pokrywania nawierzchni asfaltem, łazienka połączona z klozetem w ślicznym błękitnym kolorze, samochód jaguar, dziecięca kolejka z tunelami i automatyczną przekładnią zwrotnic, maszyna do borowania zębów wraz ze spluwaczką, szybkościowy dziurkacz biurowy, komplet kuchennych mebli – wszystkiego Daniłow nie mógł i nie chciał widzieć. Coraz więcej było naokoło maszyn i przedmiotów; nacierały na siebie w tym ścisiku, tłoczyły się, krążyły chaotycznie, rozpadały się nagle na części składowe, po czym – energicznie i starannie – łączyły się z powrotem w całość odzyskując poprzednie kształty. Potem stała się rzecz dziwna: detale przestały powracać do poprzednich układów – czy to nie mogły, czy może nie odczuwały już potrzeby, dość że zaczęły wirować w szalonym tempie, a więc coś się musiało z nimi dziać. Daniłow nie mógł zrozumieć przyczyn tej destrukcji, dopiero po jakimś czasie, kiedy z desek, płyt, szyb, metalowych bloków i złączy, połówek porcelanowych tarcz, kół zębatych, pasów transmisyjnych, żelaznych kół i drewnianych nóżek jęły powstawać nieomal żywe stworzenia, każde w swoim rodzaju – niektóre zwinne, szybkie, obleczone w gumowe worki czy kombinezony, inne ociężałe, rozlazłe, o wybałuszonych, nalanych smarem maszynowym ślepiach – dopiero wówczas Daniłow pojął, o co tu idzie. Miał do czynienia już nie z przedmiotami, lecz z samą istotą przedmiotów i maszyn, które znalazły się z czyjejs woli w Studni Oczekiwania, w tej samej co on czasoprzestrzeni. Widział więc przed sobą to, co filozof ateński nazwał niegdyś idea, duszą rzeczy martwych. Wyzwolone ze swych powłok, pozbawione funkcji, przedmioty dawały wyraz ukrytym pragnieniom i pasjom, nacierały na coś, agresywne, natrętne i chciwe, pchały się, tłoczyły, wierzgały, aż wreszcie Daniłow zrozumiał, że depczą i usiłują zniszczyć skórzany fartuch szewca pozostawiony tu przez szarego kundla. Był pewien, że o tym fartuchu eksperymentatorzy po prostu zapomnieli wskutek niedbalstwa. W gestach i

podskokach rozwścieczonych przedmiotów był patos, triumf, a równocześnie budząca odrazę drobiazgowość.

„Pewnie ćwieki też są zdeptane” – pomyślał Daniłow, ale nie mógł już zobaczyć ani ćwieków, ani fartucha. Rozszalałe stwory poruszały się w coraz szybszym tempie, ich liczba ciągle wzrastała, każdy z nich za wszelką cenę usiłował przedostać się do środka, tak jakby zapomniany fartuch był dla nich upragnionym celem. Nagle wzbił się nad nimi i zawিrował w pustce krąg płonących liter: „Ikra mintaja solona, 1 – 150, cena 1 r. 80 kop., Temriuckie Zakłady Przetworów Rybnych”. Za chwilę niektóre płonące litery zgasły, jak gdyby przepaliła się część żarówek (widocznie miał miejsce jakiś defekt na desce rozdzielczej), potem zniknęły wszystkie. Skaczący, rozbrykany motłoch nie zwrócił na to uwagi, jedynie w samym jego środku, w samym gąszczu musiało coś się stać: może ginęły tam jednostki nazbyt skore do akcji, stratowane przez dopływ następnych, dopiero co narodzonych i pragnących potencję swego istnienia natychmiast przekształcić w aktywność.

Następnie wygląd zewnętrzny tych rozpychających się nacieraczy zaczął ulegać pewnym przeobrażeniom. Powstawało stopniowo coś nowego – i to nowe natychmiast ulegało następnym metamorfozom. Gumowe worki, połączenia galaretowatych kul, giętkie metalowe bolce ze zgrubieniami, pęcherze z lustrzanym wnętrzem, kłujące zarośla ni to znaków nutowych, ni to metalowych zawijasów zdobiących oparcia starych petersburskich łóżek, ciężarne kolby, zielone strąki na drucianych nogach, tarcze szlifierskie, astma w worku nylonowym, obrzydliwa łapa z pazurami jak u kury – a najwięcej było konturów i cieni, jakby żywcem przeniesionych z ekranu aparatury rentgenowskiej; pozostawiły na ekranie kościec czy inne elementy oporowe i teraz, zabarwione nienaturalnym światłem, przybierały w nieustannym ruchu coraz to nowe kształty. Wreszcie przestały wyglądać jak cienie, teraz były to najoczywistsze potwory, monstra, których widok wprawilby na pewno w zdumienie personel każdego gabinetu osobliwości. Tylna część karoserii chevroleta weszła w symbiozę z nogami i zadem parzystokopytnego bydłęcia, którego Daniłow nie odważył się nawet sklasyfikować; miniaturową puderniczkę przyozdobiły rogi jelenia; w samotnie fruującym skrzydełku motyla bielinka o wymiarach welonu Pierrette tkwiła jak kolczyk ordynarna żelazna kłódka; targany nerwowym tikiem, mrugał światłami kocioł elektrociepłowni wypełniony po brzegi zupą cebulową; trąba gramofonowa sterczała z macek taniej nylonowej ośmiornicy, z trąby wyskakiwały serki homogenizowane w smętnych brązowych opakowaniach i wpadały z powrotem do tej rozwartej paszczy... Były to najwyraźniej jakieś kompozycje czy kombinacje złożone z przypadkowych elementów. Daniłow nie wiedział, jak je nazwać; niektóre wyglądały na pozór całkiem przyzwoicie, ich widok nie powodował mdłości, ale potem zaczęły dołączać do nich jakieś sylwetki czy istoty (w końcu Daniłow przypomniał sobie słowo „fantomy”, choć było to też niezupełnie ścisłe określenie), bez porównania bardziej obrzydliwe. Kilkakrotnie zmuszony był walczyć ze spazmem żołądka, zbierało mu się na wymioty. Zewsząd nadciągały jakieś plastikowe czy metalowe detale – ni to silniki, ni to kawałki turbin samolotowych, oplecione zwojem drgających, broczących krwią ludzkich i zwierzęcych wnętrzności. Niektóre mechanizmy zostały przenicowane i posypane przy tym jakimś cuchnącym świństwem. W słojach ze spirytusem pływały samochody, tramwaje, gilotyny, szczepione ze sobą jak bracia syjamscy; z aparatów do pędzenia bimbru kapą obrzydliwa galaretowata ciecz, w której pływały utopione szczenięta; potem na bimbrownię najechał katafalk skrzyżowany z gnidą i zdobny w białe frędzle – wszystko to razem zamieniło się w czarną ropuchę o żółtych spróchniałych kłach, obwieszoną miotaczami min i tar elkami o wygiętych uchwytych, przy czym tarczki były przeznaczone bynajmniej nie do ucierania jarzyn. Ropucha połąkła bliźniacze tramwaje pływające w słoiku ze spirytusem i natychmiast przemieniła się w lep na muchy, a przyklejone do tego lepu ogromne smoki konwulsyjnie biły ogonami powodując wzmożone ruchy rojących się

naokoło robaków. Jątrzyły się otwarte rany i ktoś niewidzialny rozdzierał je papierem ściernym...

Potem ukazały się przerażające gęby, dobrze znane z folkloru i strasznych baśni jako wytwór bujnej ludzkiej fantazji. Byli tu odmieńcy, ludożercy bez zębów, zdolni jedynie do napędzania strachu grzecznym dzieciom, były wampiry, melancholijne potwory z żółtą pianą na chorych dziąsłach, Fantomasy, Frankensteiny, rozpustne wiedźmy z Tyrolu, sine nieboszczyki załaskotane ongi na śmierć przez rusałki, a z nimi i owe rusałki, obecnie zdechłe ofiary ścieków przemysłowych; były też gniewne darmapały o siedmiu twarzach i dwudziestu rękach, stuokie, przepasane skórami tygrysów, w koronach z ludzkich czaszek, w naszyjnikach ze ściętych głów i z mangustą albo marchewką w jednej z licznych dłoni; była tu błada trzyoka dzambała, królowa zmierzchu o płomiennych włosach, w powiewającym zielonym szalu; były bezczelne asury, przebiegłe apsaury, których płasów lepiej nie oglądać; były jakieś czarne bałwany, lubieżne diabły podzwrotnikowe, dręczone ustawicznym świerzbem; były strzegące lochów smętne psy o ślepiach jak misy i latające wampirki, którym z pysków wiecznie kapie ślina na rozsypłane krawaty – słowem, wszystkich straszyleń nie zliczyć. Galopowały konie – i ten biały, i ten czarny, i rozmarzona dziewczica odpływała w dal na liściu lotosu...

Wszystkie te fantomy (a może i nie fantomy, nieważne) nosiły na sobie piętno obecnych czasów, tak jakby uleganie kaprysom mody miało dla nich jakieś szczególne znaczenie albo jakby potrzebowały dowodów świadczących o tym, że w ich środowisku rozwój także nie stoi w miejscu. Jeden z nich podskakiwał z ponurą miną na motorze tratując swoich kompanów, drugi dmuchał w saksofon, trzeci paradował w bikini z ptasich gniazd, inny gryzł lampę ręciovą, jeszcze inny miotał się w masce gazowej i pomarańczowym kombinezonie przeciwpromieniowym, ktoś wymachiwał harpunem, ktoś zrobił sobie kolczyk z wagonu kolejki linowej, ktoś trzymał w opuchniętych łapach, od których odpadały sine zaropiałe strupy, przelamany na pół grecki tankowiec, ktoś tam jeszcze ostrzeliwał tłum z cekaemu – krótko mówiąc, działy się rzeczy niestworzone.

„Po co to wszystko? – myślał Daniłow. – Kiedyż wreszcie będzie koniec?” Końca jednak nie było widać. Zarówno fantomy, które otoczyły go dopiero przed chwilą, jak i ocalałe od destrukcji synkretyczne monstra, idee Bóg wie jakich rzeczy martwych, długo jeszcze buszowały wokół Daniłowa, ich bachanalie nabierały rozwiązłości i zdawały się grozić tragicznym finałem. Wiele z nich już zginęło, znikało w szalonym ścisisku rozbestwionych stworów, nie wiadomo dokąd podążających ciał, powłok, substancji ciekłych i lotnych. Daniłow czuł, że nacisk tych nieprzebranych tłumów nie jest pozbawiony celu, że ma on jakiś związek z jego osobą, na razie jeszcze mimo wszystko nie stratowaną i nie ulegającą żadnym przemianom. Poszczególne jednostki w nie kończącym się gąszczu nie tylko szalały, nie tylko ginęły w nieustannym dążeniu (do czego? może do czarnego fartucha?), lecz zderzając się ze sobą nadal usiłowały tworzyć nowe, nieoczekiwane kombinacje. Tylko postacie historyczne figurujące w koszmarnych legendach nie doznawały istotnych przemian, choć również ulegały transformacjom, polegającym głównie na zmianie atrybutów i ozdób: zamiast lamp ręciovych przywdziewały szybkowary, zamiast ciemnych okularów – pieski pekińczyki o wiszących kosmatych uszach, zamiast greckich tankowców – kostki rosołowe. W trakcie tych przemian zmniejszały się lub puchły te czy inne członki ich dał: to rozrastały się głowy do rozmiarów stokrotnie większych niż normalne, to rozdymały się brzuchy wyglądające jak aerostaty przeciwlotnicze, to znów usychały nogi, łapy lub ogony i były malutkie jak u jaszczurek. Po chwili rozmiary kończyn powracały do normy, opadały brzuchy, ale tym razem oczy wyskakiwały na dziesięć metrów do przodu i obracały się z wolna, niczym wilgotne obolałe kule.

W tym wzrastającym tumulcie Daniłow zaczął wyróżniać pewne obce elementy wizualne: to tu, to tam zawisały w powietrzu trójwymiarowe ruchome obrazy o treści wyjątkowo

niemiłej: już to zarzynano niemowlę nożem i krew spływała do wiadra, już to na porośniętym drzewami zbocz góry ukazywał się Kozak na karym koniu wiozący za sobą w siodle uśpionego chłopca; jeździec wrzucał w przepaść obrzydliwego nieboszczyka i czyhające głęboko w dole żółte szkielety natychmiast chwyciły trupa w swe koślawe szpony, zaczynały go dusić i jeden z tych szkieletów – olbrzymi, szerniały ze starości – rozpaczliwie usiłował przebić się do nieboszczyka spod ziemi, gryzł ją zaciekle dręczony własną bezsilnością, i trzęsły się góry, i pękała ziemia... Piękna niewiasta, całkiem jeszcze młodzianka, uwięziona w baszcie zamku, wrywała się, krzyczała pragnąc uniknąć śmierci, ale cegły jedna za drugą przykrywały wnękę i stygła szara zaprawa cementując martwy mur, tylko skrawek czerwonej spódnicy tkwił w dolnym rzędzie cegieł... W zielonej kotlinie wybuchały miny, rozpryskiwały się odłamki metalu, leciały w powietrze zbroczone krwią strzępy mięsa, żywi jeszcze ludzie gdzieś biegli, pchali wrogów bagnetami, szare fontanny ziemi i dymu w miejscu wybuchów rosły niczym sztywne sprężyste krzaki, czarny pająk pełzał po zimnym karku leżącego w trawie kaprała... Fala sztormowa połykała ludzi tłukących kamienie za płótem... Cudem ocalałe drzewo umierało samotnie na czarnym pogorzelistku... I wówczas Daniłow poczuł, że znowu następuje jakaś zmiana w wizjach – jeśli oczywiście były to tylko wizje: wzmogły się ostre zapadły, zalatywało spalenizną i jadowitą chemią.

Wszystko co czarne spurpurowiało, potem zwyciężyła oślepiająca biel, eksplodowały i obracały się w proch oddalone, przedtem nie istniejące szczyty gór. Wybuchy trwały, fala detonacyjna powinna była wnet dosięgnąć Daniłowa, odrzucić go precz albo w ogóle zniszczyć. Czuł przemieszczanie się tej fali, a mimo to nadal trwał w zawieszeniu, nieruchomy i nietknięty. Eksplozje, erupcje, potężne ruchy górotwórcze i strumienie wrzącej cieczy wywołały popłoch w tłumie potworów i strasznych zjaw – aż wreszcie porwały tę ciżbę i wprawiły w zawrotny ruch, jakby ubijając ją w kotle o niewidocznych lub nie istniejących ściankach. Energiczne dotąd stwory – czy może monstra, jak kto woli – przestały panować nad sytuacją; Daniłow już przedtem miał wrażenie, że ich orgią kieruje czyjaś ręka albo przemożna wola, ale teraz najwyraźniej miotał nimi, ubijał je i miesił okrutnymi paluchami zimny, nieprzychylny im żywioł. I znowu nadeszła seria detonacji, potężniejszych i bardziej bezlitosnych niż wszystkie poprzednie. Daniłow trzął się od stóp do głów wiedząc, że zaraz nastąpi katastrofa, straszny kataklizm, a może nawet będzie to koniec świata, w którym on dotąd istniał. Ginęły, znikały tłoczące się tu przed chwilą stwory, monstra i fantomy, nabrzmiwały fioletowe pęcherze, wszystko szalało i obracało się w nicość – i oto znowu, wśród łun i wybuchów, popłynęły przed Daniłowem spirale, dyski, skupiska gwiazd i planet; ich ruch był coraz wolniejszy, ospały, wszystko zdawało się pokrywać szronem albo zamieniać w bryłę lodu. Nie odczuwając zimna, Daniłow wiedział, że jest zlodowaciały i martwy. Pochłoniął go czarny bezruch...

A potem powróciło życie. Nie miał pojęcia, ile minut czy stuleci pozostawał martwy. Wokół była próżnia, nieco rozjaśniona z lewej strony, tak jakby zaczynało tam świtać. „Co to jest?” – pomyślał widząc obok siebie jakiś przedmiot, choć domyślał się, że przedmiotem tym jest na pewno skórzany fartuch szewca. Chciał zbliżyć się do niego, podplynać, ale nie drgnął w jego ciele żaden mięsień, fartuch zaś natychmiast zniknął.

Wokół nadal panowała cisza.

„Zostawili go tutaj umyślnie czy nie zdążyli sobie o nim przypomnieć?” – zastanawiał się Daniłow. Ale po cóż było zostawiać ten fartuch i w ogóle jaki sens miało wszystko, co się działo albo zwiadywało mu się przed chwilą? Nie mógł znaleźć odpowiedzi i chyba tylko jakiś cud sprawił, że jeszcze żyje. Znowu spróbował zmobilizować wolę, rozpocząć rachubę czasu, przywołać muzykę – obojętne jaką, byle przypomnieć sobie cokolwiek i odzyskać zdolność myślenia. Udało mu się zmobilizować – i natychmiast coś go porwało, wciągnęło niczym w lej trąby powietrznej, uniosło w górę i odczuł to, czego się obawiał i chciał uniknąć. Odczuł wieczność. Uczucie było błyskawiczne i przeszywające; wydawało mu się, że osiwił.

Lej trąby powietrznej rzucił Daniłowa w dół. Wówczas dobiegły go metaliczne dźwięki przywodzące na myśl zgrzytanie po żelaznej płycie.

I znowu pochłonął go mrok, i Daniłow roztopił się w ciemnościach.

Leżał na łóżku z metalową siatką – takim, jakie się widzi czasami w pokojach prowincjonalnych hoteli. Materac był cienki, siatka wrzynana się w boki. Łóżko jak widać swoje odslużyło, ponieważ siatka obwisła i leżało się jak w hamaku. Bielizna pościelowa była jednak czysta, pachnąca świeżością, i widniały na niej w należytych miejscach pieczętki inwentaryzacyjne. Daniłow miał na sobie niebieską piżamę, obok łóżka stała duża szafa z drewna pod orzech – możliwe, że wisiało w niej jego ubranie, zimowy płaszcz i czapka z nutrii. Poprzednio zdarzało mu się korzystać z pokoiów gościnnych bez porównania bardziej komfortowych, czasami nawet sypiał w królewskich alkowach, gdzie otaczały go lustra w srebrnych oprawach i owalne ściennie malowidła pędzla Bouchera.

Rozżalony naciągnął na głowę wełniany koc, ale właśnie w tym momencie poczuł, że odzyskuje przytomność. O jakich tu żalach może być mowa, o jakich narzekaniach! Nie ma sensu udawać głupka: pewnie że tu nie Wersal, nie Sans-Souci, nie hotel Hiltona w Houston, raczej coś w rodzaju Domu Turysty, ale i to dobre po czarnej Studni Oczekiwania. Powinien cieszyć się, że żyje; nawet czystą pościel mu dano, używaną wprawdzie, ale świeżą i wyprasowaną, a na nocnym stoliku obok głośnika postawiono karafkę z płynem do picia.

Pościel, piżama i karafka przywróciły mu nadzieję. Podniósł głowę i łyknął wprost z karafki. Płyn był ciepły, mimo to wypił prawie połowę. Poczł teraz głód i ten głos naturalnej potrzeby organizmu był równocześnie głosem nadziei. Oznaczało to, że on żyje i chce żyć. Jadłospis śniadania („Nazwijmy to śniadaniem” – pomyślał) mógł zostać mu przekazany drogą telepatyczną lub przysłany w postaci normalnej karty dań. Żądając karty Daniłow zastosował pewien wybieg: nazwy dań, które będą mu zaproponowane, winny świadczyć o jego obecnym statusie. Nie wiedział bowiem na razie, jak zamierzano go traktować – jako więźnia, skazańca, gościa czy po prostu byle gagatka.

Wstał, znalazł pod łóżkiem zdeptane pantofle, zlokalizował toaletę i umywalkę, wymył zęby twardą szczotką, uczesał się, a potem wyciągnął losowi dłonie.

Na wyciągnięte dłonie spadły arkusze cienkiego jak bibuła papieru. Trudno powiedzieć, żeby przysłany jadłospis Daniłowa ucieszył: figurowały tam nazwy licznych dań pochodzących – co do jednego – z bufetów dworcowych. „Może ktoś tu bierze mnie za Karmadona?” – pomyślał ze zdumieniem. Równie dobrze mógł przypuszczać, że zapanowała w tych stronach jakaś nowa moda na bufetowe menu albo że jadłospis zawiera w sobie aluzję do uczt z Karmadonem: niby to on, Daniłow, ma jeść i pamiętać, dlaczego tu trafił.

Postanowił mimo wszystko najpierw zjeść, potem dopiero snuć domysły. W jadłospisie znalazł między innymi gotowaną kurę; przypomniał sobie, że nieraz, opuszczając Ziemię na pilne wezwania, zabierał ze sobą w drogę gotowanego kurczaka w tradycyjnym opakowaniu podróżnych – gazecie „Sport”. Zamówił więc kurę i przysłano ją niezwłocznie, była zimna i chuda, ale Daniłow zjadł ją łapczywie i obgryzł wszystkie kości. Zażądał papierowych serwetek – pojawiły się serwetki, zażądał wykałaczki – i tej mu nie odmówiono.

Czuł się najedzony, tak jak bywało co rano po szybkim przegryzieniu czegokolwiek, ale poczucie sytości nie przyniosło uspokojenia. U siebie w domu, w Ostankinie, po śniadaniu zawsze prasował motylek, teraz jednak prasowanie byłoby pozbawione wszelkiego sensu.

Nie ulegało wątpliwości, że wczoraj (nareszcie mógł powiedzieć „wczoraj”) usiłowano go nie tylko zastraszyć lub zaskoczyć w tej Studni Oczekiwania, nie tylko postawiono mu szereg zadań i zagadek, ale poddano analizie siłę i szybkość jego reakcji na wszystkie te wizje, kataklizmy i wstrząsy, na tłum superaktywnych monstrów i fantomów – i wreszcie na odsłonięcie przed nim oblicza wieczności. Kiedy po tamtych przejściach zobaczył nad

umywalką lustro i w lustrze ujrzał własną twarz, zdziwił się, że mimo wszystko nie osiwiął. Stwierdził jednak z ulgą, że poczucia wieczności nie pamięta. Ukazane mu odmęty nie pozostawiły w jego pamięci nawet śladu, zarówno jak wszystkie błyskawiczne olśnienia; wiedział teraz o sobie i o świecie nie więcej niż przedtem, kiedy był zaledwie jednym z wielu mieszkańców Ziemi. Nie miał pojęcia, lepiej mu z tym czy gorzej, przypominał sobie tylko jak przez mgłę, że ukazano mu również jego przyszłość. I co z tego? Może to pomyłka sprawiła, że dane mu było zanurzyć się na moment w wieczności? Może przez pomyłkę pozwolono mu zakosztować wszechwiedzy i dopiero nazajutrz, już po fakcie, starto całą tę wiedzę jak kurz mokrą szmatą, żeby nie mógł skorzystać z furtki prowadzącej do przyszłości... Albo może potrzebny im był jego natychmiastowy odruch – tylko tyle? Tam, w Studni Oczekiwania, wstrząśnięty odkrytą mu tajemnicą, sam usiłował utrwalić poczucie wieczności, ukryć je w którejś z najgłębszych komórek zamkniętego na sto spustów magazynu pamięci, ale teraz próżno wyteżał pamięć próbując odtworzyć bodaj część tego, co pozwolono mu wówczas zobaczyć – wszystko na nic. A zatem jasne jak dwa razy dwa, że każda jego reakcja, każdy niuans psychiki jest zbadany, zarejestrowany i że oto wszystkie razem są zdeponowane w specjalnym banku informacji.

„Trudno – pomyślał. – Nic nowego na pewno nie odkryli, po co było zużywać tyle energii i środków?” I rzeczywiście, energii i środków zużyto w Studni Oczekiwania niemało: wystarczy przypomnieć sobie ten tłum potworów, te krocie skłóconych monstrów, klęski światów i galaktyk... Pokazano mu tysiące bzdur i dziwołagów, nie istniejących w życiu realnym, przeważnie zapożyczonych, jak ta zapożyczona od Gogola scena z Kozakiem wiozącym za plecami uspięne dziecko i spychającym w przepaść nieboszczyka. Ciekawe, czy eksperymentatorzy specjalnie przestudiowali zawczasu *Straszną zemstę*, czy też zaczerpnięte stamtąd informacje (nawiasem mówiąc, bardzo ogólnikowe, jako że Karpaty w tutejszym wydaniu miały wygląd dość sztuczny) zostały wprowadzone do ich aparatury drogą pośrednią? Właściwie nie miało to znaczenia, ważne było jedno: ich sposoby oddziaływania na jego psychikę zanadto przypominały chwyt, do jakich uciekał się swojego czasu Karmadon. Usiłowano go zastraszyć przy pomocy całego arsenału trącących myszką okropności, przy pomocy fantomów i nieczystej siły. Ciekawe, co jeszcze wymyślą? „A, wszystko jedno” – machnął ręką.

Zamówił zegar ścienny produkcji Serdobskich Zakładów Mechaniki Precyzyjnej, przy czym nie oparł się pokusie i podkreślił w zamówieniu, że ma to być zegar z kukułką. Życzenie zostało spełnione i Daniłow powiesił zegar nad łóżkiem. Potem dreptał bez sensu od umywalki do szafy i z powrotem albo zdejmował pantofle i kładł się na łóżku trzymając nogi na zimnym metalowym oparciu. Zaczynała go denerwować niebieska piżama, mimo to wzbraniał się podświadomie przed włożeniem ubrania – może dlatego, że w ubraniu wypadałoby gdzieś iść, a przecież nikt go nigdzie nie zapraszał. Tak więc pozostawał nadal w piżamie, co samo przez się usprawiedliwiała poniekąd pasywne sterczenie w tym pokoju.

Tymczasem zegar z kukułką oznajmił o zbliżaniu się pory obiadowej. Daniłow rzadko przestrzegał pór posiłków, tutaj jednak, choć nie odczuwał jeszcze głodu, mógł pozwolić sobie na pewną pedanterię. Znowu sfrunęły mu na dłonie kartki jadłospisu, w którym też przeważały stereotypowe dania z wagonów restauracyjnych. „Niech szlag trafi tę dziwną modę!” – pomyślał zmartwiony Daniłow; pamiętał przecież lepsze czasy, kiedy mógł uraczyć się tu zupą zółwiową i nie musiał sobie odmawiać takich frykasów, jak, powiedzmy, ostrzygi w winie...

Westchnął widząc, że pojawił się przed nim stół, dokładnie taki, jak w wagonie restauracyjnym pierwszego lepszego ekspresu, z czterema miejscami do siedzenia, po dwa z każdej strony. Daniłow usiadł do stołu w piżamie. Może w istocie tutejsza służba myli go sobie z Karmadonem, a może jest to jeszcze jeden sposób na przypomnienie mu historii z pojedynkiem... Ciekawe, co się dzieje teraz z Karmadonem? Został ukarany czy wręcz

przeciwnie – awansował, wprawił szczękę i zajmuje w tej chwili miejsce wśród pilnujących Daniłowa obserwatorów? Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że gdyby bezpośrednią przyczyną wezwania był pojedynek z Karmadonem, jego sprawy przedstawiałyby się nie najgorzej. Rozumiał, że najprawdopodobniej tkwi w błędzie, a jednak pocieszał się nadzieją.

Tymczasem zamówione dania stały już przed nim na stoliku, brakowało tylko mknących za oknem lasów i słupów telegraficznych. Na przystawkę podano mu śledzia z groszkiem, potem był czerwony barszcz z kawałkiem słoniny, obok stygły parówki z tymże groszkiem i stała szklanka kompotu. „Niemożliwe, żeby piwa nie mieli, stać ich przynajmniej na jedną butelkę!” – powiedział do siebie tonem ni to błagalnym, ni to pełnym oburzenia, ale rzecz polegała jak widać nie tyle na trudnościach aprowizacyjnych, ile na fakcie, że piwo mu się po prostu nie należało.

W głowie miał zamęt; rozmyślał nad znalezieniem wyjścia z tej głupiej sytuacji, to znów próbował dokonać oceny dotychczasowego życia szukając w nim sensu i usprawiedliwienia swych poczynań. A może jego życie nie miało żadnego sensu? Po cóż w takim razie spodziewać się czegoś lepszego, liczyć na ratunek i w ogóle żyć dalej?

Nawet w tym momencie, choć miał nareszcie czas i ciszę, by skupić myśli, wszystko rozważyć i podjąć decyzję, pragnął nade wszystko odroczenia terminów ostatecznych. Rozumiał jednak, że jest za późno i że pozostało mu jedynie rozmyślać i rozpaczać. Trwał w przekonaniu, że jego dziwna egzystencja staje się niedorzeczna: czy żyje on na świecie, czy też nie – niczego to nie zmienia. Może tylko dla muzyki jego życie coś znaczy... Ale w końcu w muzyce też niewiele zdziałał, nie przyczynił się do tego, by muzyka zrobiła bodaj krok naprzód – przynajmniej na razie. Po cóż więc myśleć o ratunku? A równocześnie oburzała go ta pokora, narastał protest; mało powiedzieć protest – dojrzywał w nim istny bunt. Wkrótce doszedł do wniosku, że sam fakt jego pobytu w tym pomieszczeniu, sam fakt, że przebrano go w piżamę, ma wymowę jednoznaczną. To wcale nie hotel, tylko zwyczajne więzienie, jest upokorzony i pozostaje mu tylko położyć głowę na szafocie, by ułatwić katowi spełnienie obowiązku... O nie, tak być nie może! Trzeba natychmiast zrzucić z siebie przeklętą piżamę i czym prędzej gdzieś iść, coś zrobić! Nie bez obaw zbliżył się do szafy: przedtem był pewien, że wisi w niej jego ubranie, ale co robi, jeśli okaże się, że odebrano mu wszystko i zostawiono w samej piżamie? Stanowczym gestem pociągnął drzwiczki szafy, jakby walcząc o przywrócenie skradzionego mu dobytku. Obawy okazały się bezpodstawne: zimowa moskiewska odzież wisiła na swoim miejscu. Wstydził się teraz własnej gwałtowności – całe szczęście, że drzwiczek nie urwał. Po chwili wahania, czując, że szkoda mu spodni i fraka, poprosił o zaopatrzenie go w przyzwoity garnitur, w którym można pokazać się w towarzystwie. Garnitur przysłano i Daniłow musiał przyznać, że uszyły był całkiem nieźle. Poczł się nawet wzruszony tym, że służba odpowiedzialna za wygląd zewnętrzny gości potraktowała go bez porównania życzliwiej niż służba żywienia. Może były ku temu powody, a może szwankowała u nich koordynacja i każda ze służb działała niezależnie – zresztą szkoda było zastanawiać się nad drobiazgami.

Najwyraźniej podniesiony na duchu, ucieszył się jeszcze bardziej, gdy zobaczył na wewnętrznej kieszeni marynarki etykietkę firmy „Biedermann – Paris”. Oczywiście firma nie najbardziej ekskluzywna, zresztą zarówno ubranie, jak i etykietka nie muszą wcale być autentyczne, ale zawsze to coś, nie ma nawet porównania z kolejowym jadłospisem. Tym razem uraczono go już nie Morszańskim, lecz Diorem czy Zajcewem! Te nazwiska zabrzmiały w jego świadomości niczym arioso księcia Mantui z drugiego aktu *Rigoletta*.

Rozejrzał się naokoło. Pomieszczenie, w którym przebywał – ni to pokój hotelowy, ni to pojedyncza cela – nie miało ani drzwi, ani ścian, ani okien. Mimo to, z nawyku do umowności, odczekał jakiś czas w miejscu, gdzie wedle przypuszczeń powinny być w każdym hotelu drzwi wyjściowe. Długo nie mógł znaleźć w sobie sił, by zrobić pierwszy krok, a kiedy zrobił, gotów był trzymać się ścian, gdyby były tu ściany. Kolana ugięły się pod

nim: czekał, aż spadnie mu na głowę cegła albo ktoś odda do niego strzał lub po prostu wepchnie go z powrotem do łóżka, gdzie czeka zniechęcona piżama. Ale żadna cegła nie spadła, nie zastawiono na niego sieci i w ogóle nikt mu nie przeszkadzał. Dreptał przez chwilę w miejscu, po czym pobiegł, podskoczył i wzbijał się w powietrze, jak za młodych lat. Szybowanie znudziło mu się jednak już wkrótce, stanął więc na nogach i poszedł normalnie. Dokąd idzie – nie wiedział, byle przed siebie. Znowu zaczęła mu ciążyć niepewność sytuacji, na spacer bez celu nie miał ochoty; chciał stanąć: niezwłocznie przed obliczem swych obserwatorów i sędziów, by móc im powiedzieć: „Macie mnie, połknijcie żywcem, tylko przestańcie nareszcie dręczyć!”

Nie miał pojęcia, w której z Dziewięciu Sfer znajduje się obecnie – może w Czwartej, zwanej Sferą Gościnności, a może gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie Kancelarii Porządku. I może tylko wydaje mu się, że potrafi chodzić i latać, w rzeczywistości zaś jest na uwięzi: nie lata i nie chodzi, tylko drepcze w miejscu jak przywiązana do słupka koza...

Miejsce, w którym się znalazł, pozbawione było wszelkich znaków szczególnych. Wokół rozpościerała się pustka – nie czarna jednak, jak w Studni Oczekiwania, tylko żółtobłękitna. Nie słychać było też żadnych dźwięków. Ale oto tuż przed nosem Daniłowa, o mało nie zbijając go z nóg, przemknął na hulajnodze jakiś przepocieszny grubas w panamie o zmiętym rondzie. Grubas, choć starszawy, odpychał się lewą nogą z istic chłopięcym zapałem i hulajnogę miał marki „Zrób to sam” – taką, jakie moskiewska dzieciarnia, w tym również nieletni Włodek Daniłow, majstrowała w latach czterdziestych z desek i trzech łożysk. Łożyska toczyły się w pustce jak po asfalcie, z łoskotem, krzesząc snopy iskier. Grubas wyprzedził Daniłowa, zatrzymał się jakieś sto metrów przed nim grożąc mu palcem, po czym krzyknął: „Gazu, gazu, jeszcze gazu!” – i pomknął dalej. „Ten na pewno wie, dokąd pędzi, trzeba iść za nim” – pomyślał Daniłow.

„Może to pan Walenty?” – zastanawiał się idąc za napotkanym osobnikiem, choć raczej skłonny był myśleć, że spotkanie jest całkiem przypadkowe. Rozczulił go nawet ten figlarny jeździec w panamie, pewnie po raz pierwszy w życiu zdarzyło się grubasowi dorwać hulajnogi – może przybrał postać wczasowicza specjalnie dla Daniłowa, przedtem zaś przez długie stulecia tkwił jako martwy kamienny strąk gdzieś w konstelacji Osobliwych Ciał, aż wreszcie przypadek sprawił, że spotkały się ich drogi, toteż skorzystał ze sposobności i chcąc zaimponować napotkanemu przybłędzie, postarał się czym prędzej o letniskową panamę i hulajnogę.

Wypada nadmienić w tym miejscu, że świat, który Daniłow uważał kiedyś za własny, by dziś nabrać do niego dystansu i nazywać światem Dziewięciu Sfer, posiadał cechy polimorficzne. Zamieszkujące go istoty mogły przybierać niezliczoną ilość postaci i nie tylko ulegać wszelkim możliwym przeobrażeniom, czyli bez trudu przechodzić z jednego stanu w drugi, ale i wcielać się w dowolnie obrane powłoki cielesne, to znaczy przebywać równocześnie w różnych stanach przybierając stosowne do okazji oblicza.

Daniłow słyszał o popularnych teoriach głoszących, iż kiedyś, dawno temu, władze Dziewięciu Sfer potraktowały Ziemię jako bazę doświadczalną, ale od tego czasu upłynęło sporo wody i uleciało sporo dymu. Badacze z Dziewięciu Sfer zdążyli opanować inne cywilizacje – zarówno te o poziomie zdumiewająco wysokim, jak i prymitywne, słabo rozwinięte. Spenetrowano przy tym pustynne strefy oddalonych układów gwiazdno-planetarnych, gdzie na razie gnieździły się same tylko mikroorganizmy lub po prostu szalały w afekcie samozagłady samotne i martwe żywioły. Wszystkie wymagały uwagi i opieki. Fole do działania było dostatecznie szerokie, czas natomiast upływał (a może i nie upływał – nie ma to większego znaczenia) i choć Ziemia w dociekaniach naukowców z Dziewięciu Sfer nadal zajmowała niepoślednie miejsce, równie wnikliwej uwagi wymagał każdy układ mikrokosmiczny mieszczący się wewnątrz cząstki elementarnej. Do tego sporo mieli pracy i kłopotów z mgławicami, z problematyką gwiazd podwójnych – i tak dalej. Należało pamiętać

przy tym, że w każdym z badanych układów panowały odrębne poglądy na sens życia, na sposoby przetrwania i rozwoju cywilizacji, na to, co się powinno jeść i jakie nosić stroje. W każdej galaktyce wszystko wyglądało inaczej, wszystko było dziwne, zaskakujące. Ambicją obserwatorów stało się ciągle podkreślanie tych odrębności – w tym celu tu i ówdzie uciekano się do perfidnej dezinformacji. Chcąc jednakże działać z sensem, należało mieć rozeznanie co do cech szczególnych rozmaitych form życia, należało zmieniać tysiące wcieleń, by móc czuwać nad przebiegiem wydarzeń w każdej z opanowanych cywilizacji, w każdym nie zamieszkanym układzie planetarnym. Obcując z ziemianami oraz z tymi, których, podobnie jak Daniłowa, oddelegowano na stałe do pracy wśród ludzi, personel Dziewięciu Sfer przybierał ludzkie postaci, a czynił to tym chętniej, że panowała tu od lat nieprzemijająca moda na wszystko, co ma z Ziemią jakikolwiek związek. Tamten grubas z hulajnogą – może w istocie jakiś strąk krystaliczny z gwiazdozbioru Osobliwych Ciał – też na pewno został przywołany do centrali ze swej prowincji i siłą faktu znalazł się w ziemskim wariacie Dziewięciu Sfer. Zatem i pan Walenty w swym ludzkim wcieleniu mógł teraz siedzieć sobie spokojnie na Ziemi jako szary człowieczek o wyglądzie zwyczajnego spekulanta z Ptasiego Rynku bądź też księgowego ze spółdzielni rzemieślniczej, a równocześnie, gdyby zaszła potrzeba, wejść w porozumienie z Karmadonem i wylądować, dajmy na to, na planecie Senny Mól w postaci bryły molibdenu.

Gdyby wiedzieć, gdzie jest teraz Karmadon!...

Coś błysnęło w oddali. „Winda!” – uzmysłowił sobie Daniłow.

W obrębie każdej z Dziewięciu Sfer było sporo osiadłych mieszkańców, którzy nie potrzebowali szukać wcieleń w innych cywilizacjach. Wielu z nich zajmowało się między innymi problemami Ziemi. Właśnie oni, tubylcy – Daniłow swojego czasu też należał do ich grona – ustalali tu normy towarzyskie, styl żyda czy po prostu asortyment drobnych nawyków. Demony wszelkich rang, przedostając się z jednej sfery do drugiej, miały do wyboru każdy z wielu przyjętych sposobów pokonywania przestrzeni, ale ostatecznie, mniej więcej od stu lat, zapanowała moda na posługiwanie się w tym celu windą. Winda – powolna, staromodna, jak w dziewiętnastowiecznym filadelfijskim hotelu Astora – poruszała się z niesamowitym zgrzytem, ale była wyposażona we wszelkie niezbędne rekwizyty staroświeckiego szyku: różne tam metalowe klamki i ozdóbki, frędzle ze złotymi pomponami, wspaniałe lustra zdobne w błękitne porcelanowe lilie – i tak dalej. Wszystko to stwarzało pozory niezaprzeczalnej nobliwości.

Grubas na hulajnodze albo zdążył już skorzystać z windy, albo pojechał sobie dalej.

Daniłow nacisnął guzik.

„W której to sferze teraz jestem?” – pomyślał znowu. Ni z tego, ni z owego przyszła mu na pamięć jedna z wizyt u Klaudii i przejażdżki windą, jakie uskutecznił w jej domu rumiany pirat Rostowcew. Może bawi się nadal korzystając tym razem z tutejszej windy?

Kiedy tak wspominał Rostowcewa, winda minęła podest, na którym stał. Oburzony zaczął raz po raz przyciskać guzik, ale nic to nie pomogło. W windzie zdążył zauważyć parę osób, którym przyjrzeć się bliżej nie mógł – zresztą niewiele by mu to dało, nie znał tu przecież wszystkich. Ciekawe, czy to guzik nawalił, czy też umyślnie odcięto mu drogę wyjścia? Nacisnął guzik jeszcze raz i wkrótce usłyszał zgrzyt zjeżdżającej windy; niewidoczne liny dudniły i skrzypiały. „Zatrzyma się czy nie?” – myślał z lękiem, ale winda stanęła. Nie namyślając się dłużej wtargnął do pustej kabiny, tak jakby spieszył się gdzieś i był już spóźniony. Na wszelki wypadek, gdyby droga na górne kondygnacje była mu zakazana, nie odważył się kusić losu i nacisnął guzik najniższy.

Z całą pewnością zjechał do Sfery Pierwszej, ale czując się onieśmielony zwlekał z opuszczeniem kabiny. Sądził, że długo tu nie zabawi – jeśli, oczywiście, wypuszczą go stąd. Wierzył jednak, że wypuszczą.

Zorientował się teraz, gdy obliczył mijane kondygnacje, że jego cela z metalowym łóżkiem mieści się w Sferze Czwartej, czyli Sferze Gościnności. Oznacza to, że jest traktowany jako gość lub osoba wezwana w sprawach służbowych. Nie łudził się jednak zbyt: samo ulokowanie o niczym jeszcze nie świadczy...

Nikt nie nadchodził, nikogo nie było widać. Naokoło zawisła smętna stygnąca mgła. Czuł się nieswojo: wiedział, że trzeba stąd odejść czym prędzej i pod żadnym pozorem nie zbliżyć się do obszarów zakazanych, ale pokusy zwalczyć nie mógł. W miejscu, które dobrze zapamiętał z dawnych czasów, widniała jak przedtem pryzma kamieni, tłuczonych kolorowych szkiełek i pogruchotanych sztucznych kości. Pogrzebał w tym rumowisku; emulsja perłowa pod spodem była zdarta – i przez odsłonięte okienko w drogocennym kryształe dolnej sfery ukazał się jego oczom w całej swej okazałości Wielki Błękitny Byk.

Byk stał spokojnie, poruszając z wolna wargami. Drgały mu powieki, potem nagle drgnęło prawe ucho, tak jakby chciał przepędzić natrętnego owada. Wielki Błękitny Byk dźwigał na swym grzbiecie wszystkie Dziewięć Sfer i miał dźwigać je wiecznie. Należało wiedzieć o jego istnieniu, ale patrzeć na niego nikt nie miał prawa: obowiązywał w tym względzie surowy zakaz. Mimo to Daniłow za młodych lat, powodowany ciekawością i przekorą, łamał te przepisy niejednokrotnie (dowiedział się zresztą z czasem, że łamanie niektórych przepisów należy do dobrego tonu). Zakaz dotyczący Wielkiego Byka miał charakter kategoryczny – i właśnie ten fakt jeszcze bardziej dopingował go do ryzykownych prób. Krążyły pogłoski, że emulsja powlekająca od wewnątrz spód kryształowej sfery jest w kilku miejscach zdarta i że widać tam coś niecoś przez kryształ. Daniłow, wówczas jeszcze młody urwis, znalazł jedno z takich miejsc i stwierdził naocznie, że istotnie widać tam dobrze; co więcej – w kryształowej sferze odkrył głębokie pęknięcie, szparę na wylot. Nikt tej szpary nie zaklejał, po prostu przywalono ją kupą gruzu. Wtedy to Daniłow po raz pierwszy zobaczył Wielkiego Błękitnego Byka. Zwierzę ukazało mu się w całym swym majestacie, ale odczuł typowe dla żółtodzioba rozczarowanie: „Też mi чудо, byk jak byk – stoi, mruga i co z tego?” Mimo to zawsze wspominał Byka z szacunkiem. Teraz jednak czuł, że nie same tylko wspomnienia dziecięcych odkryć przywiodły go w to miejsce, że miało to jakiś głębszy sens...

Emulsja była zdarta jak przedtem, szpara też pozostała, przywalona gruzem. Daniłow patrzył na Byka: pod twardą i elastyczną skórą drgnął na grzbiecie jeden mięsień i Daniłow pomyślał, że Byka musi coś niepokoić – może odczuwa swędzenie. Litując się nad biednym stworzeniem, pogrzebał w rumowisku, znalazł odłamek długiej cienkiej kości, wsunął go do szpary i podrapał Byka po grzbiecie. Zwierzę podniosło powieki, zwrócone w stronę Daniłowa oko patrzyło z wdzięcznością, jakby prosząc: „Jeszcze trochę!” Daniłow długo łaskotał Byka tym odłamkiem kości, aż wreszcie powieka znowu opadła i Daniłow zrozumiał: „Dziękuję, już dość”. Przysypał więc szparę gruzem i poszedł do windy rozmyślając w drodze: „Ciekawe, dlaczego Karmadon za wszelką cenę chciał wystąpić na Ziemi w postaci błękitnego byka? Może zależało mu na tym, żeby poczuć się tak jak ten gigant, który dźwiga na grzbiecie wszystkie Dziewięć Sfer? Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem, choć nadal nie bardzo Karmadona rozumiem... Po co mu to wszystko?”

– Jak to po co? – odpowiedział sam sobie po chwili. – A po co mi, na przykład, moja muzyka?

W windzie nacisnął guzik Sfery Drugiej. W Sferze Drugiej kwaterowali weterani, inwalidzi wojenni.

Był teraz spokojniejszy i zauważył w kabinie windy innowację techniczną – urządzenie klimatyzacyjne. Nigdy w tej windzie nie było duszno ani zimno, ale widocznie innowacje okazały się zbyt kuszące.

Winda stanęła i opuścił ją nie bez lęku zdając sobie sprawę, że zjawia się tu nie proszony. Zobaczył wokół siebie malownicze widoki, wchłaniał upojne aromaty. Do Sfery Drugiej nie przedostawały się ani hałaśliwe dźwięki, ani niemiłe zapachy z magazynów Sfery Pierwszej, gdzie szalały ze szczęścia lub doznawały okrutnych męczarni złowione ludzkie dusze. Na tle malowniczych krajobrazów, w miejscach specjalnie do tego przeznaczonych, tutejsze towarzystwo spacerowało niczym w Baden-Baden. Naokoło widniały ogrodzone sznurkiem lub zaznaczone kreską skwerki i kwietniki, śliczne altanki zdobne w girlandy kwiatów, zielone tunele bindaży, fontanny ze złożonymi smokami rozsypujące perliste strumienie wody... Wszystko to służyło miejscowym kuracjom. Kiedyś, dawno temu, zwłaszcza w okresie znanym na Ziemi pod nazwą średniowiecze, wielu z tych weteranów było postrachem dla ludzi, dziś natomiast wygląd mieli nobliwy i łagodny, aż miło patrzeć, choć oczywiście trafiały się i tutaj swojego rodzaju parszywe owce czy też zwyczajne flejtuchy. W sumie jednak sprawiali wrażenie pozytywne – czy to uszlachetniły się obyczaje, czy też coraz bardziej oddziaływała ustalająca się we wszystkich sferach nowoczesna moda. W dodatku, do czegoś by mogły służyć dziś etatowe upiory – chyba tylko do straszenia niegrzecznych dzieci lub pojawiania się w koszmarnych snach. W Sferze Drugiej nikt nie musiał już pracować, zaś straszenie we własnym gronie byłoby co najmniej niepoważne.

Tak więc korzystające z zasłużonego odpoczynku demony dreptały alejkami w cieniu mirtów i winorośli, nad brzegami przejrzystych strumyków, latały, pełzały, powłoczyły nogami, grały w kości lub klamki od drzwi, rzucały grochem o ścianę, wróżyły, bawiły się w duchy... Okolica, w której znalazł się Daniłow, przeznaczona była dla demonów niższych i średnich rang; trafiali się wśród nich mężni wojownicy, byli też cwaniacy i spryciarze, nie zabrakło też, ma się rozumieć, okrutników i krwiopijców. Daniłow przeszedł się alejami, obejrzał skwerki i rabaty, spotkał kilku znajomych starszków zmęczonych długoletnią służbą, między innymi pedagogów z młodszych klas licealnych. Spotkał poza tym kilku demonów znacznie młodszych, okaleczonych w niebezpiecznych i trudnych akcjach. Byli tu inwalidzi pracy umysłowej i po prostu nieroby, którym udało się wykręcić od służby i przejść na wcześniejszą emeryturę. Wszczywał z nimi rozmowy, gawędził o tym i owym. Nikt z napotkanych, rzecz jasna, nie podejrzewał nawet, że wyznaczono mu Godzinę Zero. Nie przybył tu jednak po to, by prowadzić z nimi spokojne ciche rozmowy, nie obchodziły go uroki tutejszych ogrodów – chciał dowiedzieć się czegoś o Karmadonie albo spotkać Sinoświerzba. Los Karmadona związany był częściowo z jego losem, strzelec Sinoświerzb mógł opowiedzieć mu o nieszczęsnym Beku – przecież to on, Daniłow, wciągnął Beka w otchłań (czy w czarną dziurę?), a więc musiał dowiedzieć się za wszelką cenę, czy są w obecnej sytuacji jakieś szanse na odstawienie Beka z powrotem do Ostantkina.

Niestety, Sinoświerzba nie spotkał.

Tutejsi weterani, choć wolni od wszelkich obowiązków, kwaterowali każdy w swojej celi, dość przestronnej, nie na tyle jednak komfortowej, by w takich warunkach umieszczać również asów typu Karmadona. Poszukiwanie go tutaj nie miało żadnego sensu, zresztą gdyby nawet Daniłow znalazł Karmadona, na pewno by do niego nie podszedł. Ruszył zatem

dalej – tam, gdzie mieszkały osobistości bardziej znaczące, które teraz – stracone z cokołów, rozczarowane czy też wyczerpane nadmiarem wiedzy – także korzystały z zasłużonego odpoczynku. Wyznaczono dla nich tereny bardziej rozległe, mieli własne obszary, własne pastwiska i zamki, górskie szczyty i wodospady, wyspy koralowe, wulkany i doliny gejzerów. Rozczarowani tęsknili jak Manfred na bazaltowych płaskowyżach, niedostępnych nawet dla ponurych koziorożców, albo w wilgotnych jaskiniach, gdzie głucho uderzały o ziemię spadające ze stalaktytów krople. Sędziwi weterani i inwalidzi, wspominając młode lata, urządzali niekiedy w swych posiadłościach trzęsienia ziemi, wybuchy prochowni czy sprowadzali dawnym zwyczajem epidemie cholery. Od czasu do czasu składano sobie nawzajem sąsiedzkie wizyty, grano w lotto czy popijano arabskie wina. Byli i tacy, co nic nie robili, tylko ciągle drzemali w beczkach lub szklanych naczyniach. Krajobrazy tutejsze też były warte podziwu. Daniłow, nie wkraczając na prywatne obszary, na które zresztą nikt by mu wkraczać nie pozwolił, i nawet nie przelatując przez ogrodzenia – czy to materialne, zaciągnięte drucianą siatką, czy też umowne, niewidzialne – ustalił dość szybko, że Karmadon nie ma w Sferze Drugiej własnej parceli. Mimo to na wszelki wypadek, udając beztroskiego wędrownika, przemknął obok posiadłości Beliala, stryjecznego dziadka Karmadona. Dziadek mieszkał w chatce pustelnika, dwupiętrowej zresztą i zbudowanej w stylu całkiem nowoczesnym. Stał właśnie przed gankiem swego domostwa, ubrany w farmerski kombinezon, i z aluminiowej miski sypał garściami proso kalifornijskim kogutom. Schludne grządki ostów, jaskrów i białych muchomorów wskazywały na to, że ogrodnictwo to jego główne hobby. Widok był wzruszający, ale bynajmniej nie dla podziwiania grządek zajrzał tu Daniłow. Wszystko wskazywało na to, że Karmadona w domu dziadka nie ma.

Daniłow rzucił weteranom ostatnie spojrzenie, westchnął, i poleciał w stronę windy.

Tym razem nacisnął guzik Sfery Siódmej.

Nie zdążył nawet zastanowić się, co robi. Sferę Siódmą nazywano także Sferą Przyjemności, tymczasem trudno było zakładać, że w obecnej sytuacji ma on prawo do pojawiania się na balach i bankietach, zwłaszcza że nie jest odpowiednio ubrany. Ale naprawić tego, co zrobił, już się nie dało: skoro, nacisnął ten guzik, mówi się – trudno. O żadnym nadzwyczajnym kurażu, nie mogło być mowy, mimo to usilnie nadrabiał miną rzucając wyzwanie komuś bliżej nie określonymu – prawdopodobnie w pierwszym rzędzie własnej niepewności. Jechał w górę coraz bardziej zdenerwowany wspominając z przykrością dawne czasy, kiedy zjawiał się w Sferze Siódmej na całkiem innych prawach.

Był wówczas powszechnie lubiany, sprzyjało mu szczęście i cieszył się wyrozumiałością otoczenia, które z pobłażliwą sympatią przyjmowało wszystkie jego figle. Jakie spojrzenia przesyłały mu damy – nawet te, których młodość dawno już minęła! Rumieńce igrały na ich policzkach, a i on nie pozostawał obojętny, choć nie pozwalał płomieniom rozgrzewać serca zanadto i nigdy nie szukał protekcji, zwłaszcza damskiej. Duma i samodzielność były jego dewizą. Owszem, chętnie pracował w Sferze Siódmej, urządzał fajerwerki, grał na lutni sentymentalne utwory muzyczne, tańczył na balach – i gdyby pozostał w tej służbie, w gestii Kancelarii Rozkoszy, z całą pewnością nie doszłoby do wyznaczenia mu Godziny Zero.

Ale w takim przypadku nigdy nie zamieszkałby wśród ludzi; tego zaś, że trafił na Ziemię, żałować nie miał powodów.

W Sferze Siódmej panowała dziwna cisza. Sączyło się nie wiadomo skąd mętne światło, z oddali dobiegały obce dźwięki, nie mające nic wspólnego z muzyką: ktoś najwyraźniej przesuwał meble i szorował podłogę mokrą szmatą. Wszelkie hulanki, tańce i fajerwerki miały miejsce zazwyczaj w nocy, ale może kłamały wskazówki zegara z kukułką i wcale nie była teraz pora kolacji? Wszystko wskazywało na to, że odbywa się tu poranne sprzątanie. „Muszę wreszcie przystosować się do tutejszego czasu” – pomyślał Daniłow.

W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno: poranek to poranek. Nie szkodzi, że zdążyły już umilknąć orkiestry i przestały szeleścić na parkietach strojne suknie – ciężka głowa i

zmęczony organizm właśnie o poranku potrzebują odprężenia. Nieocenione usługi oddaje wówczas orzeźwiający, płyn – zbawienna woda spod kiszonych ogórków. Niegdyś w tym celu otwierano tu po balach liczne bistra, bary i trattorie, w których można było czy to pociągać z dzbanów jad żmii, czy to zanurzyć pękającą głowę w beczce z piwem. Teraz jednak żaden bar nie stał otworem, żadna bufetowa nie karciała zmęczonych birbantów i nie pocieszała ich dobrym słowem.

Z drugiej strony, jak stwierdził Daniłow, była mu poniekąd na rękę ta cisza, ten dziwny spokój: rozumiał, jak rażący byłby dla niego w tej chwili widok rozbawionego tłumu. Ponadto obawiał się ewentualnych spotkań z Anastazją – nadal czuł do niej sympatię, ale nie odważyłby się spojrzeć jej w oczy. Minęły czasy, kiedy ani on, ani ona nie brali serio jego przygód miłosnych na Ziemi... Co się tyczy natomiast pięknej Himeko, przypuszczał nie bez podstaw, że jej raczej nie spotka: zawsze unikała Sfery Siódmej i pojawiała się tu bardzo rzadko. Mimo to odczuwał pewien niepokój widząc, że na jego obecność w świecie Dziewięciu Sfer nikt nie reaguje; oprócz Anastazji i Himeko miał tu mnóstwo znajomych i w myśl regulaminu, od chwili jego przejścia w stan demoniczny wolno im było utrzymywać z nim kontakty, tymczasem nadal pozostaje nie zauważony... Dziwne!

– Słuchaj no, chłopie – odezwał się za nim ochryply głos – gdzie tutaj, wiesz, no wiesz, o co mi chodzi?...

Daniłow obejrzał się: stał przed nim kudłaty, z trudem poruszający językiem demon. Cały był pluszowy – to znaczy nie ubrany w plusze, tylko pluszowy jak miś. Ciało miał aksamitne, z meszkiem, i nie było w tym nic nieprzyzwoitego. Od razu dało się poznać, że cierpi okrutnie i żyje jedynie nadzieją na rychłą ulgę.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem – powiedział Daniłow i natychmiast zrozumiał, że zachowuje się niemądrze. Oczywiście mógł przypuszczać, że jego rozmówca szuka toalety, ale słuszniejszy byłby wniosek, że pali go potrzeba zgoła inna.

– Tam – dodał szybko wskazując kierunek, w którym udawało się zazwyczaj o świecie podchmielone towarzystwo.

Pluszowy demon odleciał. Daniłow chciał pójść w jego ślady, ale nowy znajomy od razu powrócił. Był wściekły – ni to na Daniłowa, ni to na coś, co przyszło mu zobaczyć. Wrzeszcząc, wymachując rękami i skrzydłami, cisnął pod nogi poźółtką kartonową tabliczkę, po czym splunął i zniknął wydając świadczący o skrajnym oburzeniu elektroniczny świst. Daniłow podniósł tabliczkę; widniał na niej napis powtórzony w osiemnastu kodach logicznych: „Sanitarny dzień”. „Ach, więc tak wygląda sprawa! – domyślił się wreszcie. – Żadne nadzwyczajne okoliczności, po prostu nowe porządki...” Na wszelki wypadek postanowił osobiście zajrzeć tam, gdzie przedtem skutecznie pozbywano się kaca. Rzeczywiście, na wszystkich niemal przybytkach widniały tabliczki powiadamiające o zamknięciu lokali z uwagi na sanitarny dzień. „Kiedyż oni zdążyli wprowadzić te przepisy?” – zastanawiał się Daniłow. Pomyślał też, że nie zna zbyt wielu tutejszych innowacji, choćby tak drobnych, jak klimatyzacja w windzie czy ten sanitarny dzień – a przecież był czas, kiedy wszystko musiał wiedzieć, wszystko go interesowało. „Kto by mógł przypuszczać, że nabiorą aż takiego zamiłowania do czystości?” – zdziwił się znowu i odnotował w duchu, że myśli o tutejszych mieszkańcach z dużym dystansem, odseparowując się w ten sposób od ich życia.

Obszedł bez pośpiechu znajome miejsca i tkliwy uśmiech towarzyszył jego wspomnieniom. Miał jednak w pogotowiu cały zasób ironii, jakim dysponuje człowiek dorosły. Nudno było tu teraz, tylko stukwały gdzieś wiadra o podłogę, szmaty szurały po linoleum, po parkietach i kamiennych posadzkach wyłożonych florencką mozaiką. Może i pan Walenty szorował gdzieś w pobliżu podłogę równie gorliwie, jak przedtem szurał miotłą... W pamięci Daniłowa odżyły upojne chwile: w tym oto miejscu on, młody demon, grał kiedyś na lutni, tu własnoręcznie robił race do fajerwerku pod nazwą Czarny Cylinder i łączył je przy pomocy lontu; w tej małej altance prawił jakieś żarliwe głupstwa pewnej

ślicznotce w błękitach, która odpowiadała mu beztróskim śmiechem i bawiła się wachlarzem z macicy perłowej... Ach, po co się roztkliwiać, po co wspominać tamte naiwne i łatwe rozkosze? Poczł się całkiem stary – może raczej nie tyle stary, ile obcy. Nawet ten fakt, że jego dzisiejsza wizyta w Sferze Przyjemności zbiegła się akurat z sanitarnym dniem, wydał mu się znamieny. Dawniej ten świat był dla niego łaskawszy... Zresztą trudno się dziwić.

Zastanawiał się, czy ogród zoologiczny też jest zamknięty. Niegdyś lubił tam odpoczywać obcując ze zwierzętami, które dawno już zniknęły z powierzchni Ziemi. Kolekcję okazów ciągle uzupełniano, tereny były dostatecznie rozległe, a mimo to często powracano do tematu udostępnienia mieszkańcom ogrodu jeszcze większych przestrzeni. Spodziewano się rychłego przybycia z Ziemi nowych dużych partii ptaków, ryb, owadów i ssaków – tak na przykład przywędrowała tu swojego czasu z Pacyfiku dobroduszna foka zwana krową morską Steller. W tutejszym zoo nie było ani klatek, ani krat z kolcami, zwierzęta pasły się na wolności, baraszkowały, pożerały kogo trzeba i same dbały o przetrwanie w warunkach naturalnych.

Ogród zoologiczny był otwarty.

Daniłow nie zabawił tu długo – ciągle powracał myślami do swej celi z łóżkiem i szafą, tak jakby miały tam na niego czekać jakieś pisemne dyspozycje. Poza tym odczuwał pragnienie; na terenie zoo były wprawdzie dwa kioski z napojami i można by spodziewać się, że powinny być otwarte, ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył na jednym z nich karteczkę z napisem: „Wysłał do magazynu”, drugi zaś był po prostu zamknięty, bez żadnych wyjaśnień. „Nie umywa się do dawnych porządków!” – pomyślał z dezaprobatą.

Popatrzył chwilę na pływające jaszczury, na dinozaury, mamuty i smoki, które nie pozostawiły badaczom nawet swych kości i przetrwały na Ziemi tylko w mitach i legendach. Widok zwierząt – nawet tak rzadkich – nie był jednak w stanie rozproszyć ponurych myśli. Znajomy nosorożec, którego Daniłow jeszcze w dzieciństwie nazwał Kleontem, ucieszył się na jego widok, ale rozbawiło to Daniłowa tylko na moment. Szybko opuścił Kleonta i biedny nosorożec, podnosząc łeb i bijąc w ziemię kopytami, rozryczał się ze zmartwienia.

– Brakuje tylko, żebym się rozczulił – burknął Daniłow.

Powrócił do Sfery Czwartej. Wszystko tu pozostało bez zmian. Zajrzał do szafy: odzież była na miejscu. „I to dobre” – pomyślał. Nalał sobie szklanekę płynu z karafki – płyn znowu wydał się ciepły i wstrętny. Chciał zamówić jakieś inne napoje, ale postanowił na samych napojach nie poprzestawać. Strzałki na zegarze z kukułką należało przesunąć: rozpedziły się i wskazywały zbliżającą się porę kolacji, tymczasem wszystko świadczyło o tym, że pora w Dziewięciu Sferach jest w tej chwili raczej obiadowa. Daniłow zdążył już zjeść i śniadanie, i obiad, a chcąc stosować się do tutejszych porządków, musiałby zjeść teraz obiad ponownie, czyli znowu połykać na siłę zimne parówki. Ciarki przeszły go na samo wspomnienie o parówkach; pomyślał i zdecydował się na pewien wybieg: nie prosząc o jadłospis wysłał zamówienie, w którym wymieniał między innymi piwo, koniak, solankę, proszę z rożna, czarną kawę i pomarańcze na deser. Do pokoju wtoczył się ten sam stolik z wagonu restauracyjnego i przerażony Daniłow ujrzał przed sobą porcję śledzia z groszkiem, barszcz z dwoma kawałkami słoniny, parówki z tymże groszkiem i napój cytrynowy. A więc dano mu nauczkę. „Sknery cholerne!” – zaklął w duchu, ale postarał się niczym nie zdradzić swego oburzenia.

Po obiedzie powziął decyzję: szczęścia trzeba szukać na miejscu, ostatecznie jest to Sfera Gościnności, gdzie nigdy nie brakowało wszelkiego rodzaju jadłodajni, oberży, pubów i różnych tam knajpek, nie mówiąc już o bufetach i kioskach. Sprawdził i przekonał się, że wszystkie te przybytki funkcjonują nadal – nie uszczuplono sieci placówek usługowych i nie zahamowano ich działalności przeprowadzaniem akcji sanitarnych. Wchodził więc do znajomych lokali i choć czuł się nadal onieśmielony, nikt go stąd nie wyrzucał, nikt nie próbował zatrzaskać przed jego nosem drzwi. Wówczas zaczął wybierać: po pierwsze dlatego, że jego zdaniem miał prawo wyboru, po drugie zaś z tej przyczyny, że cały szereg dań i napojów, których zapachy, aromaty, bukiety pociągały go za młodu, przestało mu po prostu odpowiadać. Tak na przykład odwrócił się ze wstrętem na widok lokali, których specjalnością były dania historyczne – rozmaite pikantne przysmaki z suszonych stonóg, papki z utartych w moździerz kaktusów, marynowane udka gigantycznych pajaków czy szare bryły pływające w zielonej serwatce. Wszystko to budziło w nim teraz obrzydzenie. Ponadto w niektórych knajpach trzeba było płacić gotówką. Wybrał zatem skromny bar, gdzie podawano mięsne dania i gdzie można było spokojnie zjeść na kredyt.

Wszedł do baru – i od razu zobaczył Karmadona.

Karmadon w towarzystwie trzech nieznajomych demonów siedział przy ciężkim, grubo ciosanym stole. Wszystkie zresztą stoły były tu do siebie podobne: grubo ciosane, z porowatego tufu.

Pierwszym odruchem Daniłowa było – wyjść natychmiast z baru, ale wziął się w garść i usiadł przy wolnym stole w sporej odległości od Karmadona. Pomyśleć tylko: ile lokali ominął, z ilu zrezygnował dla samego ich wyglądu, ile odrzucił idąc za głosem wątpliwości – a wszystko po to, żeby trafić akurat tutaj! Skąd więc ta konsternacja, dlaczego nawet teraz, kiedy zajął już miejsce przy stole, gotów jest mimo wszystko uciec stąd czym prędzej? Przedeż tak jeszcze niedawno sam szukał kontaktu z Karmadonem – i oto Karmadon jest tutaj, siedzi przed nim! „Muszę tu zostać! – wydał samemu sobie rozkaz. – Skoro wszedłem, muszę zostać”.

Biorąc pod uwagę obecne ich układy z Karmadonem, był w sytuacji bardziej korzystnej, ponieważ mógł pozostać nie zauważony. Fakt ten sprawiał jednak, że czuł się trochę nieswojo. „Jak przedstawiają się teraz jego sprawy?” – myślał, choć pewne wnioski mógł

wyciągnąć już na tej podstawie, że Karmadon, niezrównany as, który przedtem umawiał się na spotkania z przyjaciółmi w miejscach najbardziej ekskluzywnych, siedział teraz w tym podrzędnym barze. „A może specjalność tego baru to te same przekłete dania kolejowe? – przeraził się Daniłow. – Nie zdziwiłbym się wcale, skoro przychodzi tu Karmadon...” Zmartwiony przesunął ręką nad różowym kamiennym blatem stołu, niczym nad aparatem muzycznym Theremina, zamawiając w ten sposób dania z kuchni. Pamiętając, że dawniej w tym barze serwowano oprócz mięsnych dań także rybne, zamówił „ikrę mintaja soloną, 1 – 150”. Zamówienie zrealizowano w mgnieniu oka. Daniłow nigdy dotąd nie miał okazji skosztowania ikry mintaja, ale przyszedł mu na pamięć ognisty krąg, płonący nad rozszalałym tłumem w Studni Oczekiwania, dlatego złożył takie zamówienie. Teraz ta ikra leżała przed nim na talerzu w postaci twardej kostki – widocznie była prasowana. Ugryzł kawałek i ucieszył się: smakowało nieźle, choć ikra kleiła się do zębów jak iryski. Była słona, przydałoby się do niej piwo; zamówił więc radebergera i piwo holenderskie. Pojawiły się zapocone kufle, ociekające obfitą pianą. Zamówione piwo holenderskie okazało się oryginalne, ze słynnych browarów Freddiego Heinekena, ale zamiast radebergera zaserwowano mu pilsa z Apoldy. „Drobiazg – pomyślał dobrodusznie – im też może czasami tego czy owego zabraknąć; na dobrą sprawę radeberger to tenże pils”. Przypomniał sobie, że miasto Apolda leży niedaleko Weimaru i że właśnie w Apoldzie Goethe, zsiadłszy z konia, pokierował kiedyś akcją straży ogniowej. „Całkiem tu nieźle – roztkliwił się Daniłow. – Skazaniec czy aresztant nie dostałby na pewno ani ikry, ani piwa!” Po takim stwierdzeniu zamówił ponownie jedno i drugie.

O Karmadonie tymczasem jakby zapomniał, choć oczywiście nie spuszczał go z oka. Karmadon siedział bokiem do niego, jadł powoli, wyraz twarzy miał spokojny i surowy.

– Pan pozwoli? – usłyszał Daniłow czyjś głos.

– Proszę bardzo – skinął głową.

– Ba, czy mnie czy nie mylą? Daniłow! – zawołał przybysz. – Powitać, powitać! Jak pan tu trafił?

– Normalnie – odpowiedział Daniłow wymijająco.

Usiłował dojść, z kim ma do czynienia. Twarz jak gdyby znajoma... Nowo przybyły miał na sobie wełniane ubranie uszyte według europejskiej mody, ale ubranie przykrywała szeroka opończa z kapturem jak u Beduina. „Jak się nazywa to, co noszą Beduini? – męczył się Daniłow. – Ubrus... burnus... nie pamiętam”. Kaptur osłaniał niemal całą twarz sąsiada, ale dało się zauważyć, że poszczególne części tej twarzy istnieją jakby niezależnie od siebie i mogą zamieniać się miejscami. „Kto to taki? Może któryś ze szkolnych kolegów? – wyteżał pamięć Daniłow. – Na pewno nie z mojej klasy, może ze starszej? Albo z młodszej?”

– Nie, kolegą szkolnym nie jestem – powiedział sąsiad. – Liceum to dla mnie za wysokie progi. Znamy się z kursu doskonalenia walorów moralnych. Pan opowiadał nam wówczas o swoich spostrzeżeniach... Ja też działałam na Ziemi, konkretnie – na Pustyni Arabskiej.

– Ach, tak, oczywiście, pamiętam... – wybąkał Daniłow.

Mówił prawdę; rzeczywiście przypomniał sobie tego demona, nawet imię chodziło po głowie: Urael, Urael – coś takiego...

– Urael – poprawił demon.

– Tak, naturalnie – potwierdził Daniłow. – Urael.

– Pan ze sprawozdaniem czy po instrukcje?

– Ze sprawozdaniem – szybko odpowiedział Daniłow oglądając się za siebie.

– Jasne – skinął głową Urael i na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek: znamy takie sprawozdania.

– A pan tu dawno? – zapytał tym razem Daniłow.

– Dosyć – odpowiedział Urael. – Ja na wezwanie.

– Mam nadzieję, że przyczyną wezwania była sprawa pomyślna? Oczywiście, jeśli to nie sekret...

– Pomyślna – rzekł Ugrael z powagą.

Tymczasem Karmadon, postawiwszy przed sobą puchar z czarnym płynem, odwrócił głowę i Daniłow zobaczył prawą, dotąd niewidoczną część jego twarzy. Była wykrzywiona, tak jakby Karmadon dotknął paraliż, może niezbyt groźny, ale mający trwałe następstwa. „Okropne wrażenie sprawia ten grymas” – pomyślał zdumiony Daniłow. Zmartwił się: wiedział dobrze, w czym rzecz, ale sądził, że wszystko dawno już powróciło do normy. Karmadon odwrócił się znowu i wyglądało na to, że nie zauważył Daniłowa, nie wyczuł jego obecności.

– Cierpi – skomentował Ugrael i w jego głosie zabrzmiała nuta satysfakcji.

– Kto? – nie rozumiał Daniłow.

– Karmadon. Całą facjatę mu wykrzywiło.

– Może powrócił z niebezpiecznej akcji?

– Z akcji! – uśmiechnął się Ugrael. – Gdyby z akcji, dawno już byłby wyleczony. A tu sam pan widzi: Karmadon, były as, zaczął nagle odwiedzać takie przybytki, jak ten...

– To znaczy, co miałbym wiedzieć?

– Jak to co?

– No, o czym to niby ma świadczyć?

– Niechże pan nie udaje! – zawołał Ugrael. – Wszyscy wiedzą, o czym to świadczy, zwłaszcza że Karmadon był pańskim przyjacielem.

– Przybyłem dosłownie przed chwilą... Z Moskwy...

– Z Moskwy! – znowu uśmiechnął się Ugrael.

– Tak jest – potwierdził Daniłow surowo i zdecydowanie.

– I co, nie wie pan, że Karmadon został zdegradowany i zesłany do mikrokosmosu, na cząstkę elementarną?

– Nie miałem o tym pojęcia – powiedział Daniłow z całą szczerością.

– No więc tak się stało.

W tym momencie Daniłow przypomniał sobie jedną z wizji w Studni Oczekiwania: pomniejszony do niewiarygodnie małych rozmiarów, tkwił wówczas wewnątrz atomu czy drobiny – i tam, wśród spirali, mikrogalaktyk, splotów szkieletów krystalicznych, nagromadzenia lodowych kul i szpilek, przywidział mu się mknący kosmolot i mignęła twarz Karmadona. Z tego wynika, że wizja była nieprzypadkowa, ale tamten Karmadon miał twarz dumną i wyniosłą – wątpliwe, by taki as odwiedzał liche knajpki.

– Cóż – odparł po chwili milczenia – tam też praca odpowiedzialna. Niełatwa.

– Zgadza się – skinął głową Ugrael. – Odpowiedzialna i niełatwa. Precyzyjna. A jednak pan udaje.

– Skądże znowu! Nie jestem z Karmadonem aż w takiej przyjaźni, jak dawniej.

– Być może. Rozumiem, że w tamtych czasach, kiedy Karmadon był asem, mógł gardzić naszym towarzystwem, ale teraz?...

– Zobaczyłem go dopiero przed chwilą – ciągnął Daniłow. – Nie przypuszczałem, że możemy się spotkać. Nie znam tych jego przyjaciół, nie wypada mi przerywać im rozmowy. Ale zaskoczył mnie jego wygląd: co mu się stało?

Mówił i złościł się na siebie: po co szuka argumentów na własne usprawiedliwienie? Rozumiał, że nie należy uciekać się do podstępu i indagować przypadkowego rozmówcy, wezwanego w niewiadomym celu z Pustyni Arabskiej, ale powstrzymać się od pytań nie mógł. W oczach Ugraela błysnęła uśmiech; patrzył tak, jakby chciał dać do zrozumienia: spokojna głowa, nie ze mną te sztuczki.

– Ja też niewiele wiem – powiedział Ugrael. – Jakie mogę mieć informacje? Karmadon nigdy nie zaszczycił mnie swoją uwagą, jestem zwykłym pionkiem... To znaczy byłem.

Zaakcentował to ostatnie słowo i znowu spojrzął znacząco na Daniłowa. Widocznie przybył tu z nadzieją na awans, został pokrzepiony na duchu i dlatego skorzystał z pierwszej lepszej okazji, by napomknąć o tym komu bądź.

– Wiem tylko tyle – mówił dalej – ile słyszałem od innych, a cóż znaczą wiadomości zasłyszane? Takie tam pogłoski, plotki... Powiadają, że Karmadon miał przygodę... no, nazwijmy ją intymną, sercową... Znalazł się w paskudnych tarapatkach. I wtedy go wykrzywiło. Sam pan wie, że w takich przypadkach nie jest przyjęte usuwanie skutków urazu. Poza tym mówiono, że zlekceważył przepisy, czyli splamił swój honor. Nie pomogli ani krewni, ani życzliwi znajomi: zhańbiony, przegrany, nie miał prawa pozostawać asem. Sam pan rozumie, jak to jest. Teraz żyje jako demon dziesiątej rangi.

– Dziesiątej? – powtórzył Daniłow nie wierząc własnym uszom.

– Tak. I zesłano go na tę cząstkę elementarną.

Na stole przed Ugraelem pojawiła się butelka imbirówki oraz zakąska – kawałki suchych pędów bambusu, mające wygląd rozpiłowanych kijków narciarskich. „Pewnie ma dość swych arabskich przysmaków” – pomyślał Daniłow. Ugrael częstował go wódką, ale Daniłow podziękował bardzo uprzejmie i zamówił kufel jasnego piwa.

– I wie pan – ciągnął Ugrael – nie było żadnej oficjalnej rozprawy, choćby nawet zamkniętej. Po prostu został zdegradowany i zesłany. Słyszałem poza tym, że nie skorzystał z prawa apelacji. Słusznie, bo po co? Gdyby jeszcze powód był poważny, nie jakaś tam głupia spódniczka...

Lewe oko Ugraela nagle spełzło w dół, sięgnęło niemal kącika ust i patrzyło wyczekująco na Daniłowa. Może spodziewał się, że zostanie mu zapłacone szczerością za szczerść?

– Rzeczywiście przykra historia – powiedział Daniłow.

Oko Ugraela powróciło na dawne miejsce i skromnie patrzyło teraz w kieliszek. Ten czyściutki zakapturzony demon wiedział z pewnością bardzo dużo, a skoro informacje miał tak szczegółowe, został niewątpliwie powiadomiony także o udziale Daniłowa w tym incydencie i świadomie udawał teraz naiwnego prowincjusza. Niemniej Daniłow nie wykluczał, że może mylić się w swych przypuszczeniach.

– Co tam słyhać w Moskwie? – zapytał Ugrael.

– A co pana interesuje?

– Interesuje mnie wiele spraw – odpowiedział Ugrael. – Takich na przykład, jak: klimat, warunki życia, popularne gatunki napojów, wyrobów tytoniowych i tak dalej.

Przerwał nagle, tak jakby poczuł lęk, że zadając podobne pytania zdradza coś, o czym powinien milczeć. Daniłow znowu spojrzął mu w twarz: ciekawe, czemu tak uczeplił się tej Moskwy?

– Cóż, w porównaniu z Pustynią Arabską klimat w Moskwie jest dość surowy – powiedział. – Wie pan, wpływ Oceanu Lodowatego...

– Tak, tak, wiem – szybko odpowiedział Ugrael.

– A co do wyrobów tytoniowych... Jaki asortyment pana interesuje? Papierosy, cygara, tytoń fajkowy? Albo może haszysz?

– Ach, skądże, zapytałem ot, tak sobie... – zmitygował się Ugrael. – Ja nie palę... Przepraszam bardzo, ale już czas na mnie... Mam pilne sprawy.

Wstał.

– Życzę panu udanego pobytu.

– Dziękuję – odezwał się chłodno Daniłow i skinął głową.

– Może spotkamy się kiedyś, a może nie – dodał Ugrael i uszy spełzły mu na oczy. Przez chwilę mierzył Daniłowa nieprzyjemnym złowrogim spojrzeniem, a potem zniknął.

„Ten na pewno coś wie – pomyślał Daniłow z niepokojem. – Widać, że świadomie zgrywa się na prostaczka. O Moskwę wypytuje, niby to przez uprzejmość, ale z podtekstem...

Dobrze jeszcze, że nie zapytał o teatr”. Mina, jaką Ugrael zrobił na pożegnanie, popsuka mu humor do reszty. Był wyraźnie rozdrażniony.

Zaspokoił pragnienie, jeść już nie mógł, wypadało więc odejść. Ale dokąd? I po co? Żeby uciec przed Karmadonem? Ale Karmadon jest teraz niegroźny. Jeszcze przed chwilą Daniłow miał jedno jedyne pragnienie: zniknąć czym prędzej z tego baru, teraz jednak siedział i siedział, niemal obrażony na wroga, który nadal nie zauważał jego obecności. Całe rozdrażnienie, wywołane rozmową z Ugraelem, skupiło się zatem na Karmadonie. Chciał zrobić coś takiego, co zmusiłoby Karmadona do zwrócenia uwagi na jego osobę. Pozwolił sobie na rzecz niedopuszczalną: po różnych gatunkach piwa zaczął pić koniak na znak protestu, choć sam nie bardzo wiedział, przeciwko czemu lub komu protestuje. Popijał więc ten koniak i patrzył ponurym wzrokiem na stół, przy którym siedział Karmadon.

Wreszcie Karmadon spojrział w jego stronę. Mówił właśnie coś do swoich kompanów, coś im udowydniał, ale odwrócił się – i zamilkł, znieruchomiał. Potem ocknął się, przesunął krzesło i usiadł do Daniłowa plecami. Tak siedząc kontynuował przerwana rozmowę.

Daniłow nie wątpił, że został znieważony. Zwrócił też na siebie uwagę demonów siedzących razem z Karmadonem. Towarzystwo zerkało na niego co chwila, wątpił jednak, by w rozmowie poruszano jego temat.

Karmadon nie zaszczycił go więcej spojrzeniem. Zdenerwowany Daniłow odsunął kieliszek, drażniło go dosłownie wszystko. „Nie raczy na mnie spojrzeć! – powtarzał sobie z oburzeniem. – Nie okazuje mi ani pogardy, ani gniewu, ani żalu. No pewnie – arystokrata! Upokorzony, zdegradowany, ale zawsze ten sam – przedstawiciel najwyższej kasty!” Daniłowa rozsądzała niecierpliwość, gotów był w każdej chwili wszcząć awanturę, pozbawioną wszelkiego sensu i niewątpliwie brzemioną w przykre skutki – obrzydliwą, histeryczną babską awanturę połączoną z tłuczeniem naczyń. „Pójdę do niego sam! – podniecał się coraz bardziej. – Zażądam wyjaśnień, niech powie, co zrobił z Bekiem i Sinoświerzbem!”

Myśl o Beku przyszła mu do głowy (albo została wypowiedziana) w samą porę i Daniłow uczepił się tego pretekstu. Zapewniał sam siebie, że właśnie z powodu Beka powinien podejść do Karmadona. Los pocziwego Beka w istocie martwił Daniłowa, nie opuszczało go poczucie winy, ale zasadnicza przyczyna, dla której pragnął rozmówić się z Karmadonem, była oczywiście całkiem inna. Jaka – tego nie potrafił określić. Istniała jakby niezależnie od niego.

Wstał i podszedł do tamtego stołu.

– Przepraszam, jestem zmuszony zwrócić się do pana...

Karmadon zdawał się w ogóle nie słyszeć, ale reszta towarzystwa przejawiała żywe zainteresowanie, jakby spodziewając się szybkiego rozwoju ciekawych wydarzeń.

– Przykro mi, że postępuję wbrew etykietce... – kontynuował Daniłow.

– Mówi pan do nas wszystkich czy konkretnie do któregoś z nas? – zapytał demon w berecie i z uszami jak u rysia.

– Mam pytanie do Karmadona i jego prawem jest decydować, czy mam zadać to pytanie publicznie, czy też w cztery oczy.

– Obojętne – rzucił Karmadon.

– Chcę zapytać, gdzie się podział Bek.

– Kto? – zdziwił się Karmadon.

– Bek. Bek Leonowicz. Duch z Ostankina.

– A-a – przypomniał sobie Karmadon i od razu dodał wyniosłym tonem: – Niestety, nie jestem w stanie zaspokoić pańskiej ciekawości.

– Ależ nikt oprócz pana nie może wiedzieć, co się z nim stało, zniknął za pańską sprawą! Nie jest mi obojętny jego los, ponieważ zagwarantowałem mu całkowite bezpieczeństwo!

– Udzielenie odpowiedzi na to pytanie przekracza w chwili obecnej moje możliwości – rzekł Karmadon.

– A więc w czyich możliwościach to leży?

– Nie wiem. Sądzę jednak, że nie w pańskich.

Daniłow poczuł nagle, że cały jego wigor zniknął bez śladu. Nie miał więcej nic do powiedzenia. O jakiej awanturze mogła być mowa, o jakich oskarżeniach? I po co to wszystko? Wyglądał żałośnie: sytuacja stawała się coraz bardziej niedorzeczna i cała ta scena zakrawała na farsę. Tymczasem rozmówcy Karmadona patrzyli na Daniłowa wyczekująco spodziewając się po nim konkretnych działań. Nic jednak nie zdziałał, Karmadon zaś, choć oszepecony, siedział nadal z miną wyniosłą i spokojną, patrząc na niego tak, jakby w oku miał monokl z bryłką lodu zamiast szkła.

– Cóż, trudno – powiedział Daniłow. – Muszę rozpocząć starania o powrót Beka.

Złożył ukłon.

Wypadało teraz opuścić bar, ale było to ponad jego siły. Powrócił do swojego stołu i usiadł plecami do Karmadona. „Zachowałem się jak kretyn – myślał. – Najadłem się wstydu – i dobrze mi tak!” Zdawał sobie sprawę, że w stosunku do Karmadona postąpił nieładnie, nie mówiąc już o tym, że w ogóle nie miał prawa wspominać imienia Beka w obecności osób postronnych – nie wolno mu było nawet powiedzieć tego Karmadonowi do ucha. Przecież nie wiedział o niczym oprócz tego, że Karmadon został zdegradowany i że za karę nie usunięto z jego twarzy śladów hańby. Ale jak do tego doszło, jakie padły przy tym słowa, jakie sporządzono notatki i wydano charakterystyki – o tym wszystkim nie miał zielonego pojęcia. Zachował się jak krzykliwa przekupka z targu, która podnosi wrzask, bo wydaje się jej, że ktoś wyciągnął z beczki kiszony ogórek i odszedł nie zapłaciwszy, tymczasem nikt jej niczego nie ukradł... Palił go wstyd, czuł odrazę do samego siebie.

Dręczył się długo, ale baru nie opuścił. Wydawało mu się teraz, że to nie on, tylko ktoś inny usiłował spowodować awanturę. „Może to kochani obserwatorzy wszystko ukartowali?” – myślał. Ale oznaczałoby to, że stracił do reszty panowanie nad sobą i pozwolił nadzorującym kierować swym postępowaniem w warunkach sztucznie stwarzanych sytuacji. Owszem, grubsza awantura rozeszła się po kościach, ale udało się im dowiedzieć o tym i owym – choćby, powiedzmy, o Beku. „Nie – powiedział sobie stanowczo – nawet po tak dobrym piwie nie miałem prawa zapominać o zachowaniu zimnej krwi!”

Nadal wzburzony, popijał piwo. Nie wiedział, czy Karmadon i jego przyjaciele opuścili już bar, czy też siedzą nadal – wyłączył się całkowicie i nie słyszał żadnych rozmów. Myślał wciąż o Karmadonie – a więc taki los spotkał kolegę ze szkolnej ławy! Mimo wszystko przyznać trzeba, że trzyma się nieźle. Poniżony, oszepecony, a jednak ciągle ten sam! Można pomyśleć, że wcale nie utracił dawnych powiązań i rang, że w każdej chwili spodziewa się awansu. Orzeł, sokół, choć trafiony w locie kulą! A może po prostu tak dużo wie o swoim przyszłym losie, że sama świadomość tej wiedzy pozwala mu zachować dumną postawę? I może nadejdzie jeszcze czas, kiedy rozliczy się z Daniłowem za wszystko: za dzisiejszy wybryk i za tamten pojedynek. „Zobaczymy – pomyślał Daniłow. – Orzeł, sokół... Mało mu było tego, przymierzał się do Wielkiego Byka...” W tym momencie zrozumiał, że posuwa się za daleko: małostkowa zemsta nawet w myślach jest niedopuszczalna. To on wpadł na głupi pomysł używania banalnych porównań, Karmadon wcale nie musi być aż taki groźny. „A jednak – stwierdził po chwili namysłu – jednak jest nadal drapieżny, nadal pozostaje asem...”

Wypadało iść do domu. „Do domu! – pomyślał z ironią. – Co mnie tam czeka? Szafa i smętne refleksje? Cóż, trudno, muszę siedzieć w swojej klitce i rozmyślać o tym, kim jestem i po co istnieję. I czy takie istnienie w ogóle ma jakikolwiek sens...”

– Daniłow! – usłyszał za sobą i czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się: stał nad nim Karmadon. W barze było pusto i cicho.

– Słucham – nachmurzył się Daniłow.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Słucham pana.

– Nie tutaj.

– No to gdzie?

– Znam jedno takie miejsce. Naturalnie, jeśli się zgodzisz... jeśli zgodzi się pan pójść ze mną. Będę bardzo wdzięczny.

– Dobrze – powiedział Daniłow.

Wstał. Karmadon szybko poszedł przodem nie patrząc za siebie. Na ramiona miał zarzuconą długą granatową pelerynę powiewającą, jak gdyby ukrywał pod nią szpadę. Daniłow, pełen niepokoju, szedł za Karmadonem. Skręcili w ciemny zaułek i trudno było zrozumieć, w którym znaleźli się stuleciu i jaki styl architektoniczny cechuje wznoszące się naokoło budynki, o których niczego nie sposób było powiedzieć na pewno oprócz stwierdzenia faktu, że stoją. Karmadon jako pan sytuacji miał sobie tylko znane zamiary. Skrzypnęły drzwi, Karmadon pchnął je ramieniem i otworzył na oścież, po czym zaprosił Daniłowa do środka. W dłoni trzymał teraz cienką świecę, jej nerwowy płomień wyrwał z mroku zarysy wąskich krętych schodów, jakie widzi się w zamkowych wieżach albo we wnętrzach kamiennych pałaców; podobne schody widział Daniłow w zabytkowym domu solikamskiego wojewody, gdzie zdarzało mu się wychodzić takimi schodami na samą górę.

Tym razem schody prowadziły na dół. Suche kamienne stopnie, mocno już starte, robiły wrażenie pochyłych. Nie wyczuwało się żadnych zapachów, ale cienie, choć ruchliwe, wyglądały złowieszczo, jakby rzucały je nietoperze o psich pyskach. „Co mi tam nietoperze!” – próbował dodać sobie otuchy Daniłow, ale trudno mu było zwalczyć narastający lęk. Wreszcie rozjaśniło się nieco, byli teraz w pomieszczeniu przypominającym loch albo piwnicę. Karmadon wskazał mu ławę stojącą przed długim dębowym stołem. Daniłow po chwili wahania usiadł niepewnie na samym skraju ławy. Karmadon skinął na niego władczy gestem, każąc przysunąć się bliżej środka stołu, i Daniłow posłusznie spełnił rozkaz. Wówczas Karmadon rozpiął pod szyją srebrną klamrę, zrzucił pelerynę i usiadł obok Daniłowa.

– Słuchaj – powiedział kładąc mu rękę na ramieniu. – Słuchaj...

I nagle z jego oczu popłynęły łzy.

Daniłow zamierzał strącić z ramienia rękę Karmadona, ale powstrzymał go widok tych nieoczekiwanych łez. Rozejrzał się naokoło, czy ktoś ich nie obserwuje. Wyglądało na to, że poza nimi w piwnicy nie ma nikogo, ale mogli być obserwowani z ukrycia.

Ręka spoczywająca na ramieniu Daniłowa opadła na dębowy stół i Karmadon położył na niej głowę. „Dlaczego płacze? – myślał Daniłow. – Udaje czy naprawdę cierpi?” Na wszelki wypadek obejrzał całe pomieszczenie. Na stole, jedynym w tej piwnicy, płonęły trzy grube świece w augsburskich lichtarzach. Dwa słupy podtrzymywały sklepienie w kształcie namiotu. Był to niewątpliwie wczesny gotyk, przy tym skromny, prowincjonalny. Ściany, sklepienia i słupy pokrywał tynk, o ceglanej fakturze murów świadczyły równe linie gurtów.

Płomienie świec unosiły się w górę nieruchomo, mury piwnicy sprawiały wrażenie wiecznych i niezachwianych. W kącie, za drugim słupem, Daniłow zauważył beczki. Co w nich było: proch, wino czy jakaś trucizna?...

Karmadon podniósł głowę. Oczy miał już suche.

- Zagraj coś dla mnie – poprosił.
- Nie rozumiem – odezwał się zdumiony Daniłow.
- Proszę, żebyś zagrał coś smutnego.
- Przecież nie mam instrumentu!
- Tam leży, weź.

Wskazał kąt, w którym stały beczki – i rzeczywiście pojawiło się tam coś nowego. Daniłow zamarł: czyżby Albani?... Podeszedł szybkim krokiem i zobaczył lutnię. Lutnia była znajoma, ta sama, na której grywał w latach licealnych i później, kiedy pracował w Sferze Przyjemności. Ostrożnie wziął lutnię do rąk, pełen tkliwego szacunku dla nieśmiertelnego instrumentu.

- Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie – powiedział.
- Proszę cię – powtórzył Karmadon.
- Spróbuję, ale przywykłem na Ziemi do innych instrumentów. Pewnie masz ochotę na jakieś melodie naszej młodości?
- Tak – skinął głową Karmadon.

Oczywiście, Daniłow mógł skorzystać w tej chwili z przywilejów obecnego stanu i bez trudu wykonać każdy utwór na każdym instrumencie, ale takie same możliwości posiadał Karmadon i zależało mu nie na wykonaniu jako takim, lecz na muzyce w głębszym znaczeniu tego słowa, a może nawet na czymś głębszym niż sama muzyka. Daniłow zaczął grać. Zdarzały się w latach ich wspólnej młodości chwile wzniosłe i smutne – chwile, które oddać mogły tylko słodkie elegie muzyczne; Daniłow wspomniawszy te dawne czasy i szczerze zapragnął swą muzyką ulżyć koledze w jego nieszczęściu; żał mu było i Karmadona, i siebie...

- Dziękuję – powiedział Karmadon, kiedy Daniłow skończył grać.
- Za co?
- Napijmy się.
- Dobrze... – powiedział Daniłow niepewnie. Nie miał ochoty na alkohol, a przede wszystkim nie chciał rozstawać się z lutnią. Pożegnał ją ze smutkiem – stęsknił się za muzyką.

Spojrzał podejrzliwie na kielichy, które nie wiedzieć skąd pojawiły się przed nimi na stole; miał obawy, że za chwilę ukażą się butelki z likierem „Zorza polarna” i zakąski z bufetu dworcowego na nieśmiertelnych talerzykach z folii aluminiowej. Obawy jednak okazały się bezpodstawne. Karmadon z ponurą miną wychylił zawartość swojego kielicha jednym haustem, Daniłow skosztował ostrożnie i zdumiał się szlachetnością wybornego trunku. „Dlaczego w takim razie na Ziemi Karmadon truł nas tą swoją «Zorzą polarną» i dlaczego prześladują mnie do dziś dania z bufetów dworcowych?” – zachodził w głowę.

Karmadon napełnił i wypił następny kielich. Daniłow pociągnął łyk.

- Och, jak mi źle, Daniłow! – powiedział Karmadon. – Nie wiesz nawet, jak źle!
- Dlaczego? – zapytał Daniłow raczej przez uprzejmość.

W tym pytaniu Karmadon dopatrywał się ni to kpiny, ni to zwyczajnego braku zrozumienia. To wystarczyło. Spojrzał na Daniłowa rozjuszony, ale w tym spojrzeniu była też słabość zranionej zwierzyny. Mimo to Daniłowa znowu przeszył lęk. Za chwilę Karmadon odzyskał równowagę: nie po to przecież przyprowadził tu gościa, żeby załatwiać z nim porachunki. Daniłow nie wiedział już zupełnie, jak się ma zachować: niepostrzeżenie przeszli w rozmowie znowu na „ty”, ale tego, co między nimi zaszło, odwrócić nie było sposobu.

– Naprawdę nie mam pojęcia, czym jest spowodowany twój ciężki stan – wyjaśnił oschle Daniłow.

Karmadon spojrział mu w oczy.

– Naprawdę? Nic o tym nie słyszałeś?

– Słyszałem coś niecoś, ale przypadkowo, dosłownie przed chwilą. W każdym razie były to jakieś fragmentaryczne wiadomości, na pewno dalekie od prawdy. Może nawet zwyczajne plotki...

– Degradacja, zesłanie, klęska – powiedział Karmadon.

Daniłow zakładał, że skoro Karmadon sam chce z nim rozmawiać, wyłoży mu zapewne wszystko od razu, wyolbrzymiając detale, dramatyzując i licząc na współczucie; tymczasem Karmadon powiedział tylko te trzy słowa, po czym uderzył pięścią w stół, jakby stawiając kropkę, i z dzikim jękiem wychylił następną kielich.

– Ostatecznie mikrokosmos też ma swoje ciekawe strony... – ostrożnie zauważył Daniłow.

– Ma – skinął głową Karmadon. – Ma ciekawe strony.

– No więc po co rozpaczać? – ciągnął Daniłow. – Nie jesteśmy dziećmi, w naszym wieku powinno się już wiedzieć, że wcale nie na tym polega rzecz, żeby za wszelką cenę znaleźć się na szczycie.

– Lepiej nic nie mów – odezwał się Karmadon. – Dobrze grasz na lutni, ale myśliciel z ciebie żaden.

– Chyba masz rację – zgodził się Daniłow.

– Nie o to przecież idzie, że zesłano mnie na część elementarną! – zawołał Karmadon z pasją. – Nie o to! Słabość moja jest najgorsza, rozumiesz, słabość!

Daniłow milczał.

– Twoje imię nigdzie nie padło, możesz być spokojny – powiedział Karmadon.

– Jak to, nie wiedzą o pojedynku?

– O pojedynku wiedzą.

– Skoro tak, o mnie też muszą wiedzieć.

– Ja w każdym razie o tobie nie wspomniałem! – wrzasnął Karmadon. – Rozumiesz: ja – nie!

– Cóż, i za to dzięki.

– Słowo „pojedynek” też nie padło. Każdy zachował to określenie dla siebie.

„I pomyśleć, że wygłupiłem się w barze z tym Bekiem!” – zmartwił się Daniłow.

– Niczego nie żałuję – ciągnął Karmadon. – Nie żałuję nawet tego, że wbrew regulaminowi wystrzeliłem pierwszy. Musisz to zrozumieć.

Daniłow chciał zaprzeczyć, potem pomyślał: „Ale po co?”

– Tyle że strzelać trzeba było bez pudła! – dodał Karmadon. – Gdybym nie spudłował, przebaczyliby mi teraz wszystko. Nie byłoby żadnych degradacji. Cieszyłbym się powszechnym szacunkiem. I sam do siebie mógłbym mieć szacunek. A tak – wyszło żałośnie.

– Dobrze mi żałośnie – odezwał się Daniłow. – Tysiąc słońc skondensowanych w jednym pocisku!

– Żałośnie – powtórzył uparcie Karmadon. – Najlepszy dowód, że żyjesz. Partacz jestem, nie stać mnie już na nic.

– Cóż, ty na pewno wiesz lepiej – zgodził się uprzejmie Daniłow, ale po chwili zapytał: – Może powiesz mi, gdzie są nasi sekundanci.

– Świadców nie potrzebuję! – rzucił ostro Karmadon.

– Sam to rozumiem, ale widzisz, bardzo martwi mnie los Beka. Za Sinoświerzba nie ja odpowiadam, ale Beka sam zaangażowałem i zapewniłem go, że nie stanie mu się nic złego...

– Nie po to cię tutaj przyprowadziłem, żeby rozmawiać o duchach.

– Niczego to nie zmieni – powiedział Daniłow twardo.

– Dobrze, powiem. Pozbyłem się obu. Może wpadli do czarnej dziury, o której wolisz nie wspominać. Są teraz pewnie w innym wszechświecie, nie związanym w żaden sposób z naszym. Ale jeśli czujesz się na siłach, możesz ich stamtąd wydostać. Spróbuj.

– Spróbuję – powiedział Daniłow, jakby nie dostrzegając kpiny w tonie Karmadona.

– Czy pomyślałeś o tym, że tam mogą czuć się lepiej niż tu?

– Możliwe.

– No, to skończmy z tym tematem! – podsumował Karmadon.

Znowu miał przed sobą pełny kielich. Pił łączywie, krople trunku spadały na popielatą zamszową kamizelę. Daniłow usiłował nie patrzeć na niego, nie widzieć tej oszpeconej twarzy.

– A tamta kobieta... Co z nią? – zapytał Karmadon.

Daniłow był pewien, że pytanie dotyczy Nataszy. Obawiał się przez cały czas, że ktoś ich podsłuchuje, aczkolwiek zakładał, że Karmadonowi bynajmniej nie zależy na świadkach tej poufnej rozmowy i że w istocie wybrał miejsce najbardziej zaciszne. Mimo woli rozejrzał się jednak ponownie po wszystkich kątach gotyckiej piwniczki.

– Nie bój się – powiedział Karmadon głośno – nikt nie podsłuchuje. Wiedziałem, gdzie cię przyprowadzić.

„Może prawdę mówisz, a może i nie” – pomyślał Daniłow.

– Nie żartowałem wtedy – odezwał się Karmadon – i wcale nie wystawiałem cię na próbę. Myślałem, że traktujesz ją lekko... ot, tak sobie... A mnie rzeczywiście była potrzebna.

– Dajmy temu spokój – powiedział Daniłow ponuro.

– Myślę o niej nadal – rzekł Karmadon.

– Nasza rozmowa staje się bezsensowna.

Karmadon znowu wychylił kielich.

– Masz rację, to niegodne mężczyzny! – zawołał z żarem. – Sam wiem, że zachowuję się jak ostatni mięczak! Pamiętasz moją dawną dewizę: „Nec plus ultra”? Ech, gdzie są tamte czasy!... Przypominasz sobie naszą ostatnią, rozmowę w Ostantkinie?

Napięcie nie opuszczało Daniłowa, myślał teraz tylko o jednym: żeby nie zaszkodzić Nataszy. Słuchając Karmadona jednym uchem, zrozumiał tylko tyle, że jest o coś pytany, i na wszelki wypadek skinął twierdząco głową.

– Mówiłem wtedy, że przyczyną bezsilności jest nadmiar wiedzy. Nie zgadzałeś się ze mną – mówił Karmadon.

– Pamiętam. Ale nie miałem na razie okazji, żeby przekonać się, czy masz rację. Teorie mało mnie obchodzą.

– Za młody jesteś!

– Jestem twoim rówieśnikiem.

– Nie. Każdy as starzeje się szybciej. Siedziałeś sobie spokojniutko na swojej planecie, a ileż ja w tym czasie zdążyłem przeżyć! Ile zobaczyłem różnych cywilizacji i martwych układów! Ile mnie to kosztowało! Jaki ogrom wiedzy mnie przytłoczył!

– Po ukończeniu liceum doznałeś zaszczytu, dopuszczono cię do. Wyższego Wtajemniczenia – wtrącił Daniłow ostrożnie.

– Właśnie w tym cała rzecz, że wiele z tego, co poznałem, nie pokrywa się z dogmatami Wyższego Wtajemniczenia – oznajmił Karmadon.

Zamilkł natychmiast i, podobnie jak przedtem Daniłow, rozejrzał się naokoło, jakby sprawdzając, czy rzeczywiście są tu sami.

– Zresztą nie pamiętam już tych dogmatów w szczegółach – dodał tonem mniej zdecydowanym, niemal ugodowym.

Po chwili jednak znowu zaczął mówić z żarem:

– Wiedza mnie przytłoczyła, ale jestem, jaki jestem i nic na to nie poradzę. Nie uspokoję się nawet wtedy, kiedy będę zmuszony przejść w stan spoczynku i jako zasłużony weteran

hodować na grządkach mandragorę. Mam teraz do czynienia z cywilizacją zamieszkującą część elementarną – to znaczy elementarną w pojęciu wąskim, potocznym – i haruję tam jak wół. Muszę zasłużyć na przywrócenie mi dawnych rang i znowu być godnym superzadań, do których jestem stworzony. Ta krzywa gęba też nie dodaje mi uroku. Muszę jednak udowodnić, że zawsze pozostanę sobą. Że jestem jeszcze bardziej zacięty, jeszcze twardszy. Nigdy nie miałeś do czynienia z mikrokosmosem, spróbowałbyś zamącić w głowach temu robactwu! Spróbowałbyś odwrócić bieg ich cywilizacji! Musisz wiedzieć, że te niewidoczne dla nas kruszyny subtelnością i pedantyzmem przewyższają większość istot, z którymi kiedykolwiek przyszło mi spotkać się w makrokosmosie! A więc bardzo możliwe, że w tym nowym miejscu spotka mnie porażka i że asem nigdy już nie będę. Nawet w tej chwili doznałem klęski, bo widzę, że nie potrafiłem cię zniszczyć: żyjesz sobie w najlepsze i patrzysz z uśmiechem na moją oszpeconą twarz!

Znowu uрониł głowę na ręce i zamilkł.

W trakcie jego monologu Daniłow przypomniał sobie Wielkiego Błękitnego Byka; przypomniał, jak przez szparę w kryształowej sferze łaskotał go po grzbiecie i chciał zapytać Karmadona, dlaczego tak zależało mu na tym, żeby na Ziemi wystąpić akurat w tej, a nie innej postaci. Nie odważył się jednak i pytania nie zadał. Ale Karmadon, czytając w jego myślach, podniósł głowę.

– Tak! Chciałem znaleźć się w jego skórze, poczuć się arcydemonem, żeby wiedzieć, co robić dalej. Ale co z tego wyszło?...

Przerwał i zmienił temat.

– Każdy żywiol jest czymś w rodzaju pierwotnego gruntu, na którym wyrasta coś zupełnie nowego – coś, co jest z tym gruntem ściśle związane, a zarazem stanowi jakościowo odmienną formę życia. Ziemia – w sensie gleby – to grunt dla drzew i roślin, woda – dla skał i minerałów, eter – dla wiatru, śniegu, deszczu. Jeden żywiol przeradza się w drugi. Ja też jestem żywiolem, ale co wyrośnie na tym gruncie?...

Sama myśl była nienowa: Daniłow przypominał sobie jak przez mgłę, że z podobną filozofią spotkał się jeszcze na ławie szkolnej. Chyba tak było w istocie, a co do teorii – wydawała mu się naiwna i zbyt oderwana od rzeczywistości. Tymczasem Karmadon miał prawo do własnych poglądów na świat i należało te jego poglądy uszanować.

– Co wyrośnie na tej glebie? – ciągnął Karmadon. – Wcześniej czy później muszę przeciwieństwo przemienić się w coś innego, ale w co?

– Przemieniać się nie musisz, to chyba niekonieczne...

– E-e, co ty tam wiesz! – machnął Karmadon ręką. – Każdy z nas to całkiem odrębny przypadek. Ja, na przykład, czuję, że czeka mnie przemiana. Pytanie tylko, w co się przemienię. Może moja burzliwa natura zamieni się w całkowite swoje przeciwieństwo, czyli krańcową bezsilność? Może w tym następnym wcieleniu sądzono mi być zaledwie pestką wiśni? Albo wykastrowanym baranem? Albo gwintem pompy wodnej czy stopioną bryłą molibdenu?...

„Ciekawe, skąd u niego te zwątpienia, dawniej nigdy nie miał takich problemów” – pomyślał Daniłow.

– To nerwy – powiedział na głos. – Kłopoty służbowe, przykrości osobiste, słowem stresy, nerwy...

– Jakie znowu nerwy, co ty wygadujesz – skrzywił się Karmadon. – To wy tam, na swojej Ziemi, możecie mieć nerwy. Powiem ci jeszcze coś... Wiesz, jaki jestem niecierpliwy i zawzięty; no więc bywało czasami tak, że trafiała mi się jakaś nowa cywilizacja, zabierałem się ostro do dzieła i tak dawałem im w kość, że strach pomyśleć. Sprowadzałem na te biedactwa potopy, erupcje wulkanów, epidemie, wybuchy śmiertelnych substancji; widziałem spalone stolice, morza krwi, walki bratobójcze, rozterki duchowe – ale wystarczyło zostawić tam jedną jedyną wysepkę życia, by wszystko po jakimś czasie znowu zaczynało

rozkwitać: stopniowo, nie od razu, ale zawsze rozkwitało obficie i hojnie, jak zboże na gnoju... I wychodziło tak, że sam przyspieszałem rozwój, który chciałem powstrzymać. No więc powiedz, czy takie wstrząsy są potrzebne? I komu? Mnie? Dziś – płomienie, krew, zagłada, a jutro – nowe, niepożądane z naszego punktu widzenia, owoce, niepożądany rozwój, kwiaty, barwy, muzyka...

– Może przesadzasz z potęgą Dziewięciu Sfer? – zapytał Daniłow. – Może same cywilizacje ponoszą winę za te kataklizmy?

– Nawet gdyby tak było, komu jesteśmy potrzebni, komu potrzebne są nasze wysiłki i nasze zakusy? Czym w końcu jesteśmy? Kto od kogo zależy: wszystkie te cywilizacje i martwe układy od nas czy my od nich? Utwierdzamy coś czy po prostu czemuś szkodzimy? Czy nasza obecność na świecie jest konieczna i na czym polega ta konieczność? A może wszystko to tylko zabawa i niepotrzebna strata czasu? Zgubiłem się do reszty...

– A mówisz, że cierpisz na nadmiar wiedzy.

– Owszem, ale to, czego nie rozumiem, zrozumieć muszę, choćby wbrew własnej woli! Z tego wynika, że potrzebna mi nowa wiedza. To staje się nie do zniesienia... Opuszczają mnie siły, zaczynają mi być obojętne ideały, które prowadziły dotąd prostą drogą. A może jestem już na innej drodze, nie znanej mi i obcej? Mówię ci, tracę resztki sił... Ty siedzisz przede mną zdrowy i cały, a ja mam wykrzywioną gębę...

– Powtarzasz się – powiedział Daniłow. – A co do twoich wątpliwości, nie mogę tu być doradcą ani oponentem. Mam swój pogląd na te sprawy, a i ty z pewnością nie zamierzasz zmieniać przekonań.

– Nie potrzebuję ani doradcy, ani oponenta.

– No więc po coś mnie tu przyprowadził?

– Sam nie wiem. Czuję się osamotniony... Moi krewni i wpływowi przyjaciele, aczkolwiek zrobili wszystko, żeby nie padło w żadnym wypadku słowo „pojedynek”, traktują mnie teraz chłodno, może nawet z obrzydzeniem. Wiesz, jakie to rzeczowe, konkretne towarzystwo. Mój uczony braciszek, Nowy Margeryt, zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie było na świecie. Dlatego wybrałem ciebie, choć w gruncie rzeczy cóż ty teraz znaczysz – nic, demon na umowie i tyle. Jesteś kimś całkiem obcym, ale takiego właśnie potrzebuję. Roztkliwiłem się, uroniłem łezkę, był to widok żałosny, a jednak mi ulżyło. Może zapomnę wkrótce o tej łezce i nikt mi o niej nie będzie przypominał. Teraz jesteś przy mnie, ale niedługo przepadniesz...

– Jesteś tego pewien? – zapytał Daniłow.

– Wystarczy sam fakt, że otrzymałeś takie wezwanie.

Daniłow chciał zaprzeczyć, powiedzieć, że owszem, otrzymał wezwanie z wyznaczeniem Godziny Zero, ale umieszczono go bynajmniej nie w celi: ma całkiem przytulny pokój gościnny z szafą i zegarem ściennym, pozwolono mu spacerować, a zatem może nie będzie konieczności uciekania się do środków ostatecznych... Przypomniawszy sobie nawet, że Karmadon obiecał załatwić mu przeniesienie do swojej kancelarii, a tym samym uchronić go od spowiedzi i sądu. Ale o tym nie warto było wspominać.

– Słyszałeś może coś nowego w mojej sprawie? – zapytał.

– Słyszałem. I wątpię, czy jestem w stanie ci pomóc.

– Nie zamierzam cię fatygować.

– Cóż, twoja rzecz...

Karmadon podniósł kielich, tym razem powoli, od niechcienia, jakby zmuszając się do picia.

– Tyle – powiedział. – Uważaj z tym Ugraelem, czyha na twoje miejsce. To wszystko. Żegnaj.

– Żegnaj – odpowiedział Daniłow.

Wstał z miejsca nie wiedząc, w którą stronę ma iść. Wziąć świeczkę i wspinać się po schodach?

– Daniłow – powiedział nagle za nim Karmadon. – Powiedz, czy chciałbyś mieć dzieci?

– Dzieci? – zdziwił się Daniłow. – Chciałbym.

– A ja nie.

– Dlaczego?

– Nie mógłbym im przekazać żadnych wartości moralnych.

„Masz ci los!” – pomyślał Daniłow.

– Zresztą w ogóle dzieci mieć nie mogę – rzekł Karmadon z goryczą, ale zreflektował się natychmiast i rzucił groźnie: – Dostyc! Żegnaj!

W tejże chwili rozległ się straszliwy huk, coś wybuchło jak beczka z prochem, gotyckie sklepienie stanęło w ogniu i kłębach dymu – i Daniłow znalazł się znowu w Sferze Czwartej, nie opodal baru.

Jeśli zegar z kukułką nie kłamał, minęło jeszcze kilka dni. Daniłowa zostawiono w spokoju, tak jakby ktoś tu z niego kpił. Może znalazł się na samym końcu długiego ogonka i ci, którzy wysłali do niego wezwanie, nie mieli najmniejszych powodów do zbytniego pośpiechu... Znudziło mu się jeżdżenie windą z jednej sfery do drugiej, zdążył już odświeżyć wspomnienia przeszłości, znajomych spotykał mało, w dodatku nawet z tymi, których spotykał, prowadził rozmowy ostrożne i wymijające. Leżał godzinami na swym łóżku hotelowym patrząc w przestrzeń i o niczym nie myśląc. Tyle razy przyrzekał sobie przedtem solennie i stanowczo, że zastanowi się nad sensem własnej egzystencji i podejmie decyzję, czy warto tej egzystencji bronić – ale przyrzeczenia pozostały nie spełnione. Bezczyńność umysłową usprawiedliwiał tym argumentem, że w swych rozważaniach i analizach będzie dla samego siebie zbyt okrutny i niesprawiedliwy, że zamartwi się, popadnie w rozpacz, straci resztę sił, a wówczas łatwo da się złapać. „No nie – powiedział sobie – zaczekajmy na razie...”

Od czasu do czasu powracał myślami do tego, co widział w Studni Oczekiwania; usiłował znaleźć wytłumaczenie tej fantasmagorii, ale nie był pewien, czy wszystko należycie zrozumiał. Tak na przykład nadal budził sporo wątpliwości epizod z szewcem, zwłaszcza ten pozostawiony w próżni skórzany fartuch... Utkwiły mu w pamięci fragmenty rozmowy z Karmadonem, pamiętał wszystkie stwierdzenia, którym chciał zaprzeczyć – i nie zaprzeczył. „Dlaczego z nim nie dyskutowałem?” – zadawał sobie pytanie i sam na to odpowiadał: „A po co?” Był dla Karmadona rozmówcą fikcyjnym, równoznacznym z pustką. Poza tym to nie on potrzebował akceptacji swych Opinii. Oczywiście kusiło go, żeby podyskutować o kataklizmach i różnych tam żywnych glebach, ale nie widział szans osiągnięcia porozumienia: na pewno dałyby o sobie znać różnice terminologii i płaszczyzn rozumowania. I bez tego zdawał sobie sprawę, że tu, w Dziewięciu Sferach, zbyt często używa pewnych pojęć typowo ludzkich – całe szczęście, że rozmówcy tego nie dostrzegają. Czeką go zresztą konfrontacja najważniejsza, tam musi szczególnie uważać na każde słowo, by nie zaszkodzić sobie albo nie zrozumieć czegoś opacznie. A więc dobrze się stało, że w rozmowie z Karmadonem ograniczył się do postawy pasywnej i przeważnie milczał: nie wyobrażał sobie na przykład dyskusji o wartościach moralnych, które Karmadon mógłby przekazać swym ewentualnym potomkom. Dla Daniłowa, w każdym razie, były to wartości raczej wątpliwe. „Ja wiem swoje, oni swoje” – myślał, a jednak, pomijając wszystko, co zaszło między nim a Karmadonem, odczuwał litość dla swojego antagonisty. Pewnego razu tak się zagalopował, że pomyślał o nim tak, jak przywykł myśleć na Ziemi: „Żal człowieka”. Teraz przynajmniej rozumiał, jaki sens miało dla Karmadona wcielanie się w błękitnego byka: kusiło go po prostu, żeby przymierzyć się do osobowości giganta, arcydemonia; co się tyczy natomiast reszty jego dziwnych upodobań, zwłaszcza smakowych, pozostały dla Daniłowa zagadką, ponieważ o nich Karmadon nawet nie wspomniał.

Daniłow przestał bywać w Sferze Przyjemności, choć sanitarny dzień dawno minął. Nie wybrał się też na razie do Sfery Piątej zwanej Sferą Nauki. Nigdy nie był tam częstym gościem: podtrzymywanie uczonych rozmów w gronie przemądrzałych demonów nie było w jego guście. Myślał o sobie, że jest niezdolny do przyswojenia wszystkich mądrości, aczkolwiek przez wrodzoną ciekawość interesował się postępowaniem nauki. Teraz, z tych nudów, doszedł do takiego stanu, że gotów był odwiedzić nawet ów przybytek wiedzy, gdzie pracowało wielu jego kolegów ze szkoły i byłych towarzyszy zabaw. Dawno nie widział też Nowego Margeryta, brata Karmadona, z którym chodził do tej samej klasy. Karmadon

powiedział mu jeszcze w Ostankinie, że Nowy Margeryt zrobił zawrotną karierę i doszedł do samych szczytów, a później tenże Karmadon opowiadał, jak przyjął Nowy Margeryt wiadomość o jego pojedynku i sromotnej porażce. Nie powinien więc gardzić Daniłowem, chociaż kto wie... Po co mu ten Nowy Margeryt, Daniłow nie wiedział – a może nie chciał wiedzieć, dobrze zdając sobie sprawę, że myśl o spotkaniu z Nowym Margerytem podyktowana jest, pomimo zrozumiałej ciekawości, nadzieją na skorzystanie z taryfy ulgowej.

Tak czy owak, pewnego dnia zwrócił się do odpowiednich instancji z prośbą o zaopatrzenie go w kurtkę ze świńskiej skóry i oryginalne dżinsy, po czym wsiadł do windy i udał się do Sfery Piątej.

Szalały tam wichry i lśniły błyskawice. W takich błyskawicach kąpać się nie miał ochoty. Trwały doświadczenia i pioruny były eksperymentalne.

Na zielonej łące zobaczył smukłą wiejską dziewczynę w drewnianych sabotach; miała czarne brwi i zimne, jakby szklane oczy. Dziewczyna podbiegła do strumyka i zaczęła wrzucać coś do wody; Daniłow przyjrzał się uważnie – były to drobno posiekane jajka na twardo. Rzucając okruchy do wody, dziewczyna powtarzała: „Hej, zimnice-trzęsawice, siedemdziesiąt siedem was, ja wam płacę wszystkim wraz”. Daniłow własnym oczom i uszom nie wierzył: przecież to jakieś średniowiecze! Dawno minęły czasy, kiedy wierzono, że krąży po ziemi siedemdziesiąt siedem boleści i że chcąc je odwieść, trzeba wrzucić do rzeki siedemdziesiąt siedem ziaren prosa lub żyta czy też posiekane na siedemdziesiąt siedem części ugotowane jajko. Domyślił się po chwili, że jest świadkiem eksperymentu, jaki przeprowadza właśnie Instytut Zimnicy. Nie wiedział, na czym polega doświadczenie, ale widocznie były to badania nad odpornością choroby na zamawianie. Dziewczyna, niewątpliwie pracownica owego instytutu, z niewiadomych powodów nie przybrała tym razem postaci osoby chorej, co byłoby poniekąd bardziej zrozumiałe, lecz wystąpiła w roli samej zimnicy – chyba wiosennej, bo febra zimowa powinna mieć wygląd chciwej, roztrzęsionej starej wiedźmy. Wypadało tylko współczuć uczonym, ponieważ ludzie dawno już wymyślili tysiące sposobów leczenia febr: chorym aplikowano bydłęcą krew, mysi lub psi kał, bądź też, co było bardziej do zniesienia, wódkę zaprawioną wyciągiem z nawozu. Wiedzano także o innych niezawodnych sposobach: na przykład, chory musiał znaleźć rozszczepioną osikę i przejść trzy razy przez szparę zostawiając w niej niemoc; można było nosić przy sobie nitkę z dwunastoma supełkami albo udawać, że nie ma nikogo w domu – zabić gwoździami drzwi i powiesić na zewnątrz tabliczkę: „Wyjechałem”. Krewni mogli położyć chorego na wozie i pędzić końmi przez największe wyboje, żeby wytrzepać z człowieka chorobę, albo wygnać delikwenta do lasu i ścigać go z palami w rękach, a gdy chory padnie bez sił, wbić obok niego w ziemię zaostrzony pal i tym samym przygwoździć złośliwą zimnicę. Słowem, sposobów istniało mnóstwo i prawie wszystkie były pewne. Naturalnie, specjaliści od zagadnień zimnicy i w tamtych czasach nie siedzieli z założonymi rękami: należało uodpornić chorobę zarówno na trzęsące wozy, jak i na zaostrome pale, i na każdy sposób znaleźć odpowiednie antidotum. Ale wszystko to poszło w niepamięć; jeszcze za czasów licealnych Daniłowa wysiłki i starania pechowych badaczy uznano za przestarzałe i antynaukowe, po cóż więc teraz te zabawy z posiekanyim jajkiem?

Nie czekał na wyniki doświadczenia, zresztą czekać na pewno musiałby długo. Poszedł dalej. Onieśmielony, wolał odwlec spotkanie z Nowym Margerytem, myśląc z niechęcią, że będzie zmuszony o coś prosić. Włóczył się zatem bez celu po Sferze Piątej i zwiedzał rozmaite jej zakamarki.

Obszary zajmowane przez Sferę Nauki jawiły mu się to w postaci naturalnych poligonów doświadczalnych (las, czarne wąwozy, skaliste dno oceanu, gdzie jakieś potwory pływały nad głową), to znów terenów zabudowanych całym szeregiem hangarów czy hal fabrycznych bez ścian i dachów, z metalową i niemetalową armaturą, ze splotem rur, nagromadzeniem

przejrzystych kopuł, gigantycznych pojemników lub prowadzących nie wiadomo dokąd korytarzy i tuneli. Tu i ówdzie zobaczył tablice, na których widniały nazwy instytutów i pracowni.

Zwolnił kroku. Korytarzami i tunelami toczyły się wagoniki, w górze przepływały ni to balony, ni to zeppelin, naokoło śmigły i szybowały uczone demony, a każdemu z nich pilno było do swych spraw. Czasami ktoś witał Daniłowa mimochodem, trafiali się też znajomi, ale na rozmowy nikt nie miał czasu: panowała tu atmosfera wyętej pracy.

Płonące litery na tablicach układały się w nazwy poszczególnych placówek naukowych: „Instytut Optymalizacji Metod Rozczesywania Zielonych Włosów Rusałek” („Czyżby rusałki mogły mieć włosy w innym kolorze?” – zastanawiał się Daniłow), „Oranżeria Latających Talerzy”, „Akademia Guseł”, „Magazyn Sztucznych Intelktów”, „Lektorium Niuansów”, „Instytut Wywiniętej Pończochy”, „Składnica Postaci Historycznych” – i tak dalej. Nazwy te nie zaskoczyły Daniłowa, tylko jedna z nich sprawiła, że zdumiony stanął w miejscu, a mianowicie: „Komisja d/s Utylizacji Topielców (Muzyków)”. To, że stosuje się jakieś metody utylizacji topielców, w tym oczywiście topielców muzyków, znane mu było nie od dziś, ale sam fakt powołania specjalnej komisji do tego typu badań stanowił niewątpliwie przejaw postępującej modernizacji. Zaintrygowany działalnością owej komisji, chętnie zapoznałby się z jej osiągnięciami, ale jak on tam wejdzie i co im powie? Że chce dostarczyć nowych danych dotyczących przedmiotu badań? I jakie dane interesują komisję? Właśnie to chciałby wiedzieć... Długo stał przy bramie przestępując z nogi na nogę, potem jednak rozmyślił się i poszedł dalej.

Mijający go młodzieniec, którego twarz wydała mu się znajoma (wymienili nawet ukłony), upuścił kilka doniczek z sadzonkami. Daniłow podniósł te doniczki i poszedł za młodzieńcem. „Ciekawe, dokąd mnie zaprowadzi?” – usiłował zgadnąć; okazało się, że zmierzają do Oranżerii Latających Talerzy, dla których ludzie wymyślili jeszcze jedną nazwę – UFO. W ciepłym powietrzu, pod szklaną kopułą, na zielonych pniach i źdźbłach rosły te dyskopodobne owoce, małe i duże. Niektóre wyglądały jak zwyczajne talerzyki deserowe, inne były znacznie większe, jeszcze inne – gigantyczne, niczym świętej pamięci transatlantyk „Queen Elisabeth”. W hangarze za oranżerią poniewierały się urządzenia służące do wysyłania latających talerzy na Ziemię. Wielu mieszkańców Dziewięciu Sfer traktowało tę zabawę jako niepoważną dziecinadę i miało do niej stosunek sceptyczny. Mieli stuprocentową rację, ale cóż komu szkodzi dziecinada?

Talerze nie zrobiły na Daniłowie żadnego wrażenia – rosą sobie i dobrze, niech rosą. Znajomy wyjaśnił mu z całą powagą, że otwarto niedawno szesnaście nowych inspektów, w których ma przebiegać siedemnastodniowy cykl dojrzewania talerzy średniogabarytowych. Cykl jest skrócony: dawniej trwał co najmniej dwadzieścia dwa dni.

– A jakość? – zapytał Daniłow na wszelki wypadek. – Jakość na tym nie ucierpi?

– Nie powinna – odpowiedział tamten, co prawda niezbyt pewnym tonem, po czym dodał z pasją: – Ech, gdyby mieć naturalne nawozy zamiast tych cholernych proszków!

Co do nawozów, Daniłow poparł opinię rozmówcy. Miał okazję obserwować płody Tutejszych oranżerii w działaniu: latały pięknie, tajemniczo i bezszelestnie, wywołując u ludzi sprzeczne uczucia.

Bezpośrednio za tym ogrodem zimowym zobaczył nową tabliczkę: „Ośrodek Badawczy Zagadnień Trójkąta Bermudzkiego”. „Też ciekawe” – pomyślał: los samolotu „Star Tiger”, który w 1948 roku zniknął bez śladu w rejonie Bermudów, nadal pozostawał dla niego zagadką, choć reszta tak zwanych tajemniczych wypadków w tej pechowej strefie była mniej więcej jasna. Poruszył klamką drzwi prowadzących do budynku ośrodka, ale wejść nie mógł. Możliwe, że pracownicy byli gdzieś w terenie i wychodząc zamknęli drzwi na klucz.

Poczuł nagle smakowity zapach pieczonego ciasta. Ożywił się, poszedł w tamtym kierunku i stwierdził, że znajduje się w pobliżu Akademii Gospodarstwa Domowego. To

również było interesujące, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że przy jego układach życiowych sam pełnił w domu obowiązki kucharki i sprzątaczkę. W tutejszej akademii, aczkolwiek badania i odkrycia jej załogi przyczyniły się nie tyle do zasadniczych przewrotów, ile do wyrządzenia drobnych szkód, wszyscy pracowali z olbrzymim zapalem. Widać było, że każdy jest zafascynowany i pochłonięty swoją pracą: jeden coś pisał, drugi prowadził doświadczenia, inni stali przy kuchenkach gazowych, przy piecach – holenderskich, rosyjskich i zanzibarskich, glinianych i elektrycznych, przy prymusach i kuchenkach naftowych; bryzgano czymś czarnym na parkiety i posadzki, podpalano tapety, usiłowano wciągnąć do odkurzacza zwój belgijskich koronek; byli też tacy, którzy, posypując dywany śniegiem, trzepali je za pomocą wyciorów karabinowych... Każdą pracę traktowano z należytą powagą. Uczzone głowy zastanawiały się nad sporządzaniem fałszywych przepisów kulinarnych, nie różniących się na pozór od autentycznych; dawna tradycja nakazywała, by do każdego przepisu wprowadzać parę niewłaściwych ingredientów, toteż jeszcze w starożytnym Egipcie faraonowie jedli placki zbożowe przyrządzane wedle tutejszych wskazówek. Daniłow zwrócił uwagę na pracownika, który pocił się właśnie nad opracowaniem przepisu na kluseczki. Trzeba było widzieć, jak cierpiał ów męczennik czarując przy piecu! Grzmiał pięciolitrowym emaliowanym garnkiem, kłął, zacządził całe pomieszczenie, a mimo to kluski wychodziły idealnie okrągłe i smaczne. Był to niezaprzeczalny błąd – zadanie polegało na tym, by wszystkie kluski rozpadły się w trakcie gotowania. Męczennik nawet nie zauważył stojącego obok Daniłowa; myślał intensywnie, aż wreszcie zrozumiał, że musi dać mniej mąki. Uradowany tańczył teraz wokół garnka, w którym pływały brzydkie strzępy ciasta, a potem odepchnął Daniłowa i rzucił się do notowania wynalezionych przed chwilą proporcji składników.

Opracowane w ten sposób fałszywe przepisy niezwłocznie przekazywano na Ziemię, po dołożeniu pewnych starań włączano do poważnych ksiąg kulinarnych, do encyklopedii gospodarstwa domowego lub zamieszczano w popularnych czasopismach przeznaczonych dla gospodyń domowych i ich rodzin. Na biurkach pracowników akademii można było zobaczyć odpowiednie edycje filadelfijskie, „Burde” z Offenburga, tygodniki kobiece wydawane gdzieś w Uagadua, ba – nawet skromną „Robotnicę”, którą Daniłow chętnie przeglądał odwiedzając dom Murawłowów. Przepis na kluski – najnowsze osiągnięcie zakładu – miał być już wnet przesiany na Ziemię. „Znowu podpadnie któreś z tych czasopism – pomyślał Daniłow – posypią się listy od oburzonych czytelniczek, choć nie wszystkie z przepisu skorzystają. W każdym razie Klaudia na pewno nie będzie gotowała klusek...”

Skręcił za róg i znalazł się w tym samym miejscu, gdzie był przed chwilą – nie opodal bramy, na której widniała tabliczka: „Zakład Nawilżania”. „Co to, zabłądziłem?” – pomyślał, choć na dobrą sprawę nie miało dla niego znaczenia, w którym kierunku iść. Zbliżył się do bramy i przeczytał pełną nazwę instytucji: „Zakład Nawilżania Usychających z Miłości”. Pracowano tu nad całym szeregiem środków służących odkochiwaniu się zakochanych; prace naukowe prowadzono z uwzględnieniem tradycji ludowych i plemiennych oraz stopnia intensywności planowanej kuracji. Tak na przykład produkowano tu swojego czasu antylubczyki w postaci proszków o wyjątkowo niemiłym smaku, gorzkich albo kwaśnych niczym eliksir, jaki lansował ongi słynny lekarz Bomelius. Potem nauka zrobiła postępy i produkowany obecnie środek odwykowy był słodki, lepki jak guma do żucia. Daniłow wziął do ust jedną błękitną kulkę i stwierdził, że smak ma całkiem niezły.

Wyglądało na to, że w istocie zatoczył koło (a może zrobił pętlę albo spiralę w przestrzeni) i powrócił do miejsca, w którym był już wcześniej. Znowu zapłonęła przed nim ognista reklama Instytutu Optymalizacji Metod Rozczesywania Zielonych Włosów Rusałek. „Skąd ta pretensjonalna nazwa?” – pomyślał. W hallu siedział wąsaty portier, nogi miał porośnięte sierścią, wstrząsał nim co chwila rozdzierający tytoniowy kaszel. Wpuścił Daniłowa niechętnie, żądał przepustki, ale Daniłow szepnął zdecydowanie: „Od Tercjusza, z

pomysłami” – i portier pękł. Wkrótce stało się jasne, że umieszczenie na dole tak surowego stróża miało swoje przyczyny: wiele działów tego instytutu nie miało żadnej nazwy, same tylko numery – widocznie zaszyfrowane, a może nawet fikcyjne. Trafiły się też tabliczki wprowadzające w błąd i skłaniające do zastanawiania się nad profilem i zasięgiem prac instytutu. Tak na przykład zwrócił uwagę Daniłowa dział sekspatologii rusałek, któremu podlegały pracownice rozmaitych odmian: reńskiej, missuryjskiej, dunajskiej, kamsko-wołyżańskiej itp.; były też pracownice zajmujące się problematyką rusałek pochodzących z mniejszych zbiorników wodnych. Daniłow poczuł pewien niepokój na myśl, że wśród podopiecznych instytutu może spotkać znajome, ale na szczęście przypomniał sobie po chwili, że ma poważniejsze sprawy na głowie.

Rzuciła mu się w oczy tabliczka z napisem: „Pracownia łaskotania”. Owszem, problematyce łaskotania warto było poświęcać uwagę – przy obecnym tempie i stylu zabaw miłosnych niełatwo było rusałkom znaleźć czas na łaskotanie i wybrać odpowiednią pauzę, a jeśli człowieka nie załaskotać, to w jaki sposób zrobić z niego topielca? Nad metodyką łaskotania też trzeba było pracować: wiele chwytów, do niedawna skutecznych, dziś zaczyna trącić anachronizmem i w najlepszym wypadku może doprowadzić do łez, ale nie uśmierca... Daniłow zajrzał do środka: wszystko tu wyglądało tak, jak w normalnych pracowniach naukowych na Ziemi, w każdym razie tak wyobrażał sobie wnętrze podobnej pracowni, ponieważ na Ziemi nigdy nie odwiedzał tego typu zakładów. Naokoło widniały jakieś pulpity, przełączniki, guziki, mrugające światłami deski rozdzielcze, dobiegał metaliczny huk, rozlegały się trzaski, coś tam szemrało i bulgotało. Na leżance w stylu empire, jakby wypożyczonej z salonu Mme Récamier, siedziały cztery rusałki w elastycznych kombinezonach modelu „Sadko” ze zgrabnym nylonowym futerałem na ogon, zapinanym na zamek błyskawiczny. Tylko jedna z tych nimf miała włosy zielone, pozostałe prezentowały loki w trzech kolorach: rudym, liliowym i srebrnym. Każda z rusałek trzymała w dłoni parasolkę. Na widok Daniłowa wszystkie cztery zrobiły ruch w jego kierunku i przesłały mu słodkie spojrzenia. „Jeszcze czego! – przestraszył się Daniłow. – Żeby mnie załaskotały na śmierć?” Kiedy indziej, z ciekawości, może i poszedłby na ryzykowny eksperyment, ale teraz uważał za bardziej rozsądne wziąć nogi za pas.

Tu, w ruszałczanym instytucie, także istniała odrębna pracownia zajmująca się problemami topielców, a przede wszystkim topielców muzyków. Była w tym swoista logika: muzyków, którzy ponieśli śmierć w falach rzek i oceanów, zatrudniano w specjalnych orkiestrach obsługujących szerokie rzesze rusalek i wodników. Daniłow, zainteresowany pracą zespołu, stwierdził, że obecnie naukowcy troszczą się głównie o repertuar orkiestry. Wszędzie stały magnetofony, piętrzyły się stelaże z kasetami. Własnej muzyki, jak widać, nikt tu na razie nie komponował, korzystano zatem z osiągnięć popularnych na Ziemi kompozytorów. Daniłow posłuchał nagrań słynnych zespołów „Lad Zeppelin”, „Eldorado”, „Emerson and Glyde”, „Pink Floyd” i wielu innych, wysłuchał też *Kołysania* Mozarta i ulubionej piosenki hydraulika Koli *Stoję na peronie*. Były to widocznie melodie najczęściej zamawiane przez rusalki, o które należało dbać z uwagi na ciężkie warunki ich pracy w zatrutych zbiornikach wodnych. Nawiasem mówiąc, dziwić się należy, iż niektórym z nich udało się jeszcze jakimś cudem zachować naturalny, zielony kolor włosów; trudno nawet stwierdzić, czy ten naturalny kolor w ogóle istnieje – niewykluczone przecież, że wszystkie cztery ślicznotki siedzące na leżance à la Mme Récamier mają na głowach peruki... „Mam już tych rusalek powyżej uszu – pomyślał Daniłow – muszę wreszcie znaleźć Nowego Margeryta”. Ale nim zdążył pomyśleć o właściwym celu swych wędrówek, zauważył następną tabliczkę: „Wydział Ochrony Zdrowia Rusalek w Warunkach Wojny Ekologicznej”. Pokiwał tylko głową przyjmując ten palący problem do wiadomości.

Do Nowego Margeryta trzeba było jeszcze iść i iść: w tym sektorze, po którym błądził teraz Daniłow, mieściły się same instytucje branżowe, Nowy Margeryt zaś uprawiał epokową działalność w ramach badań fundamentalnych.

Na razie więc Daniłow znalazł się przed Warsztatem Monstrów, przy którym istniała także Szkoła Monstrów. Szkoła cierpiała przez jakiś czas na niedobór uczniów, ale teraz wszystko wskazywało na to, że sytuacja uległa poprawie. Znowu w klasach dudniło jak w ulu, znowu grono młodych adeptów zasiadało na ławeczkach przed szkolnym budynkiem. Produkowano ostatnio monstra przeważnie metalowe i plastikowe, nadając im kształt robotów lub kosmitów i zostawiając jedynie krótkie serie starych prototypów – kudłatych cyklopów, siedmiookich smoków czy też duchów gór o szelmowskich ślepiach. Tymczasem sprawy produkcji nie wyczerpywały całokształtu powstających z biegiem lat problemów: obecnie tak się złożyło, że niejeden autentyczny demon pragnął zostać monstrem, obojętne w jakiej postaci, ponieważ monstra zaczynały cieszyć się olbrzymim powodzeniem. Szczególnie trudny konkurs – z tłumem kandydatów i koniecznością zdobycia protekcji – obowiązywał przy selekcji przybyszy z innych planet.

Daniłow ominął ten teren i przemknął chyłkiem obok całego szeregu innych poważnych instytucji naukowych. Mijał zakłady, pracownie i instytuty Wstrząsów Podziemnych, Impregnowania Szelfu, Gradacji Przeżyć Kibiców Sportowych, Zaginionych Torebek, Fałszywych Wyrzutów Sumienia, Krachów Bankowych, Klasyfikacji Rodzajów Grypy, Defektów Osi Gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy, Wad Wzoru Clapeyrona – Mendelejewa i tak dalej. Wszędzie wrzała praca, on jeden obijał się bez sensu.

Dalej zobaczył jeziora, bastiony i wiszące mosty, aż wreszcie ukazał się jego oczom stary zamek – rezydencja Instytutu Wiedzy Fundamentalnej. Odźwierni zatrzymali go przy wejściu: nie miał przepustki. Wściekły na tutejsze porządki, zaklął szpetnie i obszedł zamek naokoło. Pozostając niewidoczny dla odźwiernych, popluł w dłoń i choć szkoda mu było oryginalnych dżinsów z Teksasu, nie pozostawało nic innego, jak przeleźć przez mur.

Był już kiedyś w tym instytucie i pamiętał rozkład pomieszczeń. Powiedziano mu, że Nowy Margeryt jeszcze nie przyszedł, ale będzie lada moment. Personel w instytucie był wysoko kwalifikowany: przeważnie pracownicy w stopniu bakalarzy czy magistrów.

Daniłow, nie mając najmniejszej ochoty sterczeć w poczekalni, udał się na zwiedzanie instytutu. Chodził po korytarzach, tu pogadał sobie ze szkolnym kolegą (teraz, ma się rozumieć, co najmniej magistrem), tam posłuchał głośnej dyskusji uczonych mężów. Tutejsi teoretycy nie tylko rozwiązywali problemy globalne, galaktyczne i metagalaktyczne, lecz także dyskutowali o sprawach mniejszej rangi, które, zdaniem Daniłowa, mogły być z powodzeniem rozstrzygnięte w pracowniach branżowych, opuszczonych swojego czasu przez owych tytanów myśli. Tak na przykład spora grupa uczonych głowiła się nad tak zwanym zagadnieniem ochrony neutrino. Wiadomo skądinąd, że na Ziemi, w stanie Południowa Dakota, niejaki doktor Davis od ośmiu lat usiłuje złowić i zamknąć w hermetycznym, chroniącym przed promieniowaniem, kontenerze z perychlorylenem pochodzące ze Słońca neutrino – po to tylko, żeby się dowiedzieć, co kryje w środku to nasze Słońce. Usiłuje złowić neutrino i nie może. Od niedawna zresztą w górach Kabardyno-Bałkarii zastawia się nową pułapkę na to samo nieszczęsne neutrino – a mianowicie buduje się tunel u stóp Elbrusu i niedługo prace będą zakończone. Z tego wynika, że neutrino należy wziąć pod ochronę i sprawić, żeby zarozumiałcy spuścili z tonu. Nawiasem mówiąc, nikt z tutejszych naukowców nigdy nie łowił żadnego neutrino i wszyscy mocno powątpiewali, czy coś takiego może być do czegokolwiek potrzebne, a mimo to – na wszelki wypadek – mając na uwadze kontener Davisa i tunel u stóp Elbrusu, model teoretyczny ochrony neutrino postanowiono na wszelki wypadek opracować.

Ta sama grupa ze znacznie większym, jak stwierdził Daniłow, powodzeniem prowadziła badania pod kryptonimami „Bagietka” i „Miedziany Guzik”. Rzecz polegała na tym, że ludzie od niepamiętnych czasów stosowali przeciwko szczególnie złośliwym diabłom leśnym jeden niezawodny środek: strzelali do nich z fuzji, w której rolę naboju pełnił miedziany guzik. Z upływem stuleci znaleziono w tutejszym instytucie odpowiednie środki zaradcze, ale powstawała konieczność ubezpieczenia przed agresywnością mieszkańców Ziemi służby bardziej zmodernizowanej niż prymitywne diabły leśne. Co się tyczy natomiast „Bagietki”, prace te również miały swoje źródła w zamierzchłych czasach. Bywało tak, że prowadzona w Dziewięciu Sferach działalność wymagała akceptacji; powiedzmy, jakiś chłop opowiadał, że diabeł przeniósł go na swych barkach do miasta i z powrotem, nikt chłopu nie wierzył, dopóki nie wyjął on z kieszeni nabytej w mieście bagietki i nie pokazał jej zdumionej gromadzie. Dowód rzeczowy usuwał wszelkie wątpliwości. Oczywiście nadeszły inne czasy i teraz chcąc zadziwić otoczenie, człowiek musi zrobić coś bardziej efektownego, ale dowody rzeczowe – ową symboliczną bagietkę – zawsze należy przedstawić. A więc teoria nie może tkwić w martwym punkcie.

W innych działach rozstrzygano problemy natury globalnej. Daniłow usłyszał tu wiele powiedzonek i zwrotów rozpowszechnionych w świecie Dziewięciu Sfer; niejedno z tych określeń dawno już dotarło na Ziemię i weszło w obieg za pośrednictwem popularnej prasy. Uczestnicy jednej z żarliwych dyskusji rzucali co chwila takimi słowami, jak „hiperprzestrzeń”, „hiperstruktura” – i tak dalej, padały też charakterystyczne wyrazy typu: „submateria”, „scyntyllacja”, „pamięć korelatywna”, „wyizolowany układ”... Daniłow zapytał o znaczenie niektórych terminów i był mile zdziwiony słysząc na przykład, że zademonstrowanie ludziom na wystawie sklepowej nie istniejących w sklepie słodkich drożdżówek nazywa się teraz efektem kontiluzjonistycznej komunikacji w ustalonych parametrach. W instytucie darzono uwagą osiągnięcia innych myślicieli: wszędzie było pełno rozmaitych publikacji popularnonaukowych i ściśle naukowych; Daniłow zobaczył między innymi najnowszy numer czasopisma „Wiedza”.

Stwierdził przy tym, że wśród tutejszych badaczy wzrosło ostatnio zainteresowanie dla problemu pochodzenia świata Dziewięciu Sfer. W tym względzie nikomu dotąd nie udało się stworzyć teorii jednoznacznej, ale tyłu nowych hipotez, ile powstało obecnie, nie było bodaj nigdy. Te nowe hipotezy niewiele różniły się od starych, ale zdarzały się wśród nich teorie ryzykowne, podające w wątpliwość supremację mieszkańców Dziewięciu Sfer w stosunku do przedstawicieli innych cywilizacji, w tym również do ludzi. Typowym przykładem takich poglądów była teoria wywiniętej pończochy zakładająca, że kiedyś, w czasach bardzo odległych, pewien układ planetarny, podobny do Układu Słonecznego, doszedł w swym rozwoju do punktu najwyższego, po czym, zgodnie z panującym we wszechświecie prawem, został jakby przeniecony, wywinięty jak pończocha, zamieniając się tym samym w całkowite swoje przeciwieństwo („przez Czarną Dziurę – i na lewą stronę”). W ten to sposób, jak twierdzili autorzy hipotezy, powstał świat Dziewięciu Sfer i odtąd wahadło rozwoju odchyła się w stronę przeciwną. Owa hipoteza, mocno zalatująca fatalizmem, uchodziła tu za ułomną. Istniało poza tym kilka teorii budujących, optymistycznych, ale nawet te, zdaniem Daniłowa, miały swój słaby punkt: żadna nie wyjaśniała roli i funkcji Wielkiego Byka, ściślej mówiąc kwestii Byka nikt nie miał odwagi postawić wprost w obawie, by wątpliwości nie zaczęły się szerzyć i nie dotarły przypadkiem do obiektu dociekań. Trudno się dziwić, ponieważ w istocie nikt nie wiedział, dlaczego ich świat wygląda właśnie tak, a nie inaczej, i co by było, gdyby Wielki Byk zniknął. Dawniej, kiedy Daniłow był miody, o Wielkim Byku nie mówiono na głos, traktując jego istnienie jako zjawisko zrozumiałe samo przez się, teraz natomiast zaczęto o pewnych sprawach mówić głośno. Mimo wszystko, nawet przy obecnym poziomie tutejszej wiedzy, pochodzenie Wielkiego Byka pozostawało zagadką: nikt nie potrafił dociec, czy dźwiga on na grzbiecie Dziewięć Sfer z czyjegoś nakazu, czy też pełni tę rolę dobrowolnie. Im dalej, tym więcej rodziło się pytań: na przykład, czy Wielki Byk to zwyczajne zwierzę, czy też żywy symbol i dowód materialny ich genezy. A może jest antenatem wszystkich tutejszych pokoleń?... Tak czy owak, choć zwykło się pomijać ten problem milczeniem, wszyscy wiedzieli, że to Wielki Byk podtrzymuje ich świat, że stoi, mruga i jest niewątpliwie żywy. Oczywiście, nie wykluczano ewentualności, iż nieliczne grono wybrańców, swego rodzaju kapłanów, poinformowanych bez porównania lepiej niż cała reszta, swoją wiedzę o Byku trzyma w ściślejszej tajemnicy – ale wcale tak być nie musiało. Słowem, kwestia Wielkiego Byka pozostawała dla większości frapującą zagadką.

Daniłow stał w dużym hallu i z otwartymi ustami słuchał dysputy uczonych mężów o transformacji zła. Nie bardzo wypadało przysłuchiwać się cudzym rozmowom na zasadzie gapia, ale naukowcy tak się darli w ferworze dyskusji, że ich rozmowy w żadnym wypadku nie można było nazwać poufną. Wręcz zależało im na szerszym audytorium. „Wasze badania to wierutne bzdury! Robicie postępy, z których cieszyć się mogą tylko skretyniałe wiedźmy na górze Brocken! – gorączkował się uczony wymachujący olbrzymią żółtą teczką. – Jady, sztylety, epidemie dżumy – skończcie już wreszcie z tym zawracaniem głowy! Nie zapominajcie, że stosy dawno zniknęły z miejskich placów!...” Jego oponent, też rozjuszony, patrzył na przeciwnika z pogardą, tak jak szanujący się, solidny człowiek patrzy na snoba i paplę. „Owszem, owszem – mówił – ale spójrzcie lepiej na siebie. Dużo udało się wam zdziałać?”

I właśnie w tym momencie ukazał się na końcu korytarza Nowy Margeryt. Za nim podążała świta i nie ulegało wątpliwości, że teraz na scenę wkroczył luminarz. Przerwano dysputę, wszyscy patrzyli na Nowego Margeryta i składali pełne szacunku ukłony, na które szef odpowiadał szybkim skinieniem głowy. Mijając Daniłowa Nowy Margeryt rzucił mu takie spojrzenie, jakie rzuca dostojnik petentowi, który po długich staraniach uzgodnił wreszcie z jego sekretarzem termin audiencji i teraz siedzi cierpliwie w poczekalni gabinetu.

– Przyjdź za pół godziny. Zawołam – rzucił nie zwalniając kroku.

Dokładnie za pół godziny Daniłow odebrał wewnętrzny sygnał przywołujący go przed oblicze Nowego Margeryta. Przybył do błękitnej komnaty w kształcie przejrzystej kuli, zawieszanej pośrodku sali zamkowej o wysokim sklepieniu. Nowy Margeryt siedział na niebieskiej aksamitnej kanapie. Daniłow rozejrzał się naokoło: zobaczył sporo narzędzi ślusarskich, łagodne zarysy opływowych stelaży oraz dwa stoły laboratoryjne – jeden zastawiony elektronową (albo i nie elektronową) aparaturą, drugi służący najwyraźniej do uprawiania czarnej magii. Nie wiadomo skąd dobiegało ciche cykanie, tak jakby za ścianą grał świerszcz.

– Tak, to prawdziwy świerszcz – potwierdził Nowy Margeryt – nie mogę bez niego pracować. Siadaj – dodał wskazując kanapę. – Cóż, jesteś nadal młody i zgrabny. A ja? Co o mnie powiesz? Pewnie nie poznałeś?

Karmadon podczas pobytu na Ziemi wspominając o bracie nie miał racji: to prawda, że Nowy Margeryt postarzał się i głowę miał łysą jak kapłan z Cejlonu, ale zachował atletyczną budowę. Inna sprawa, że przestał być nerwowym, pobudliwym gołowąsem i osiągnął bezsprzeczną równowagę duchową. Widać było, że posiadał dużą wiedzę i że z tym, co wie, żyje w najlepszej zgodzie.

– Zmieniłeś się – powiedział Daniłow myśląc, że jak tykać, to tykać. – Spowaźniałeś, odzyskałeś spokój.

– Spokój? Tak sądzisz? – uśmiechnął się Nowy Margeryt, po czym zapytał: – No, jak tam życie?

– Dziękuję, nieźle – odpowiedział Daniłow. – Au ciebie?

– Jak widzisz...

– Tak, oczywiście – powiedział Daniłow na wszelki wypadek.

– Otrzymałeś wezwanie?

– Otrzymałem. To znaczy wezwanie jako takie, nie do waszego instytutu...

– Mmm – odburknął Nowy Margeryt.

„Kretyńska rozmowa! – pomyślał Daniłow. – Po co ja tu przylazłem?

Może wstać i wyjść?”

– Nigdy nie byłeś częstym gościem w Sferze Piątej – ciągnął Nowy Margeryt.

– Za dużo tu rzeczy niezrozumiałych.

– Ja też wielu rzeczy nie rozumiem – odparł z uśmiechem Nowy Margeryt – i nie widzę potrzeby, żeby rozumieć za dużo. Bo nawet tego, co pojąłem, nie jestem w stanie zmienić.

– Myślę, że przesadzasz.

– Oczywiście – skinął głową Nowy Margeryt i znowu uśmiechnął się nie wiadomo czemu.

– Ale widzisz, gdybym nawet potrafił cokolwiek zmienić, nie mam na to ochoty.

„Czy przypadkiem nie moje kłopoty ma na myśli?” – zastanawiał się przez chwilę Daniłow. Milczał jakiś czas, potem zauważył:

– Chyba właśnie dlatego odniosłem wrażenie, że odzyskałeś spokój. Powiedz mi tylko, czy ten spokój nie wypływa ze znużenia?

Natychmiast zwątpił, czy takie pytanie jest na miejscu. Można je było postawić wyłącznie pod warunkiem, że rozmówcy są sobie równi i obaj odczuwają potrzebę szczerzej wymiany zdań. A przecież nie mogli być ani równi sobie, ani tym bardziej szczerzy! Byłoby zatem naturalne, gdyby za swoje zuchwalstwo od razu dostał po uszach.

– Nie, znudzony nie jestem – odpowiedział Nowy Margeryt. – Przecież ty nie czujesz się znudzony swoją muzyką. Nie zaprzeczaj, wszystko wiem... No więc ja na razie też nie jestem znudzony. Nie mówiąc już o rzeczach najważniejszych, cieszy mnie tutaj każdy drobiazg, każda dyskusja, choćby nawet taka zwykła połajanka, jaką słyszałeś przed chwilą. To zabawne.

– Chciałbym wiedzieć, który z dyskutantów miał twoim zdaniem rację?

– Obaj mają rację. I obaj nie mają. To jednakowe miernoty, z tą tylko różnicą, że jeden z nich ma lepszą głowę do interesów.

Słowa te, zdradzające poniekąd pewne tajemnice układów wewnętrznych, Nowy Margeryt wypowiedział poufnie – takim tonem, jakim rozmawia się ze sprzymierzeńcem. Zawsze był liberałem i choć często na niego narzekano, lubił chełpić się tym liberalnym stosunkiem do podwładnych. Swoją karierę naukową też zawdzięczał częściowo przychylności osób, od których zależał jego awans. Niejeden z tych wpływowych i bezwzględnych luminarzy, czując się w duchu liberałem, na żadne przejawy liberalizmu nie mógł sobie pozwolić, Nowy Margeryt natomiast mógł – i pozwalał. Traktowali go zatem jako swojego rzecznika i z tej przyczyny cieszył się ich poparciem.

– Ma głowę do interesów – powtórzył Nowy Margeryt – i dzięki temu potrafi zdobyć środki na rozwój swoich badań. Ale to jest całkiem normalne.

Mówiąc dalej o tamtych dwóch naukowcach głoszących tak różne poglądy, Nowy Margeryt naświetlił podstawowe założenia teorii transformacji zła – naturalnie, zła w pojęciu ludzkim. Otóż w świecie Dziewięciu Sfer termin „zło”, używany jako roboczy, stanowił pewną niezbędną część składową wszystkich prac badawczych. Ustalono z całą skrupulatnością, co jest złem dla tych czy innych grup ludzi i jakie zło funkcjonowało w poszczególnych okresach historycznych. W tym względzie należało brać pod uwagę sprawy popytu. Dyskutant powołujący się na zacofanie swojego oponenta i na niewybredne gusta wiedźm z góry Brocken, reprezentował typ osobników obdarzonych niezawodną intuicją, czyli takich, co to wyprzedzają modę o rok. Stresy, nerwice, zaburzenia seksualne – wszystko to leży w gestii jego działu, jest specem od tych spraw. Tacy jak on nie uznają żadnych opinii trącających myszką – dla nich to jak ukąszenie osy.

– A ty jak uważasz? – zapytał Daniłow.

Ja uważam, że najbardziej celowy jest równomierny i równoległy rozwój kilku kierunków badań, nawet gdyby większość z nich okazała się w ostatecznym rozrachunku błędna. Trzeba ryzykować. Tamci od stresów dzięki swej zwyczajnej pewności siebie rzeczywiście mają osiągnięcia. Są wrażliwi na postęp, uwzględniają motoryzację, komunikację lotniczą, bomby, demografię, holografię i tak dalej; wiedzą, w którym punkcie stacji czy wagonu metra najłatwiej urwać obcas albo przewrócić się i doznać wstrząsu mózgu; doskonale potrafią odróżnić dzisiejszego urzędnika od klerka z czasów królowej Wiktorii, z farmakologią też radzą sobie nie najgorzej, zużyli w trakcie doświadczeń tony antybiotyków, nie mówiąc już o astronomicznych ilościach heroiny. I bardzo dobrze! Nie trzeba im przeszkadzać, niech trwają w przekonaniu, że człowiek zmienia się albo już się zmienił do tego stopnia, że nie pasują do niego dawne kategorie zła i że dziś powinno funkcjonować jakieś całkiem inne zło, jakościowo nowe. Mają rację o tyle, że na pewno potrzebne nam są innowacje, ale byłoby błędem zapominać o rzeczach wiecznych. Właśnie taki błąd popełniają powtarzając w kółko: stresy, nerwice, zaburzenia seksualne... Też mi powód do dumy!

– Masz na myśli tamtego dyskutanta?

– Nie potępiam go, niech sobie żyje. Jest potrzebny. Ale powiedz, czy dobrze ci znany Iwan Groźny nie przeżywał stresów i nie był znerwicowany? Albo, powiedzmy, Ludwik XI? Wszystko było tak jak dziś, z jedną tylko różnicą: nie wiedziano dawniej, jak to nazwać. Rzecz jasna, tamte metody rządzenia, tamte obyczaje i niektóre rozkoszne posunięcia uchodzą w naszych czasach za nieprzyzwoite, ale do dziś nie brak na Ziemi takich przykładów, wobec których Iwan Groźny błędnie. Wszystko to już było, było, było... Może nie w takiej formie, ale było. Z tego wynika, że drugi dyskutant, któremu zarzucano zacofanie, też ma rację i też jest potrzebny ze swoją alchemią i górą Brocken. Czasem bywa tak, że konieczna jest goła akcja z jej odwieczną treścią.

– A jednak po co wam te pokruszone jaja i miedziane guziki? W jakim celu wydajecie tyle na rusalki? Cóż te biedactwa mogą działać teraz na Ziemi?

– Co do rusałek, jesteś w błędzie – powiedział Nowy Margeryt.

– Nie wiem, nie wiem...

– Ale ja wiem. Człowiek, podobnie zresztą jak mieszkańcy innych planet, należy do istot nadzwyczaj wytrzymałych i żywotnych. Wystarczy choćby przykład ze zmianą środowiska naturalnego – inna rzecz, że człowiek sam sobie tę przykrą zmianę zawdzięcza. Ale taką już ma naturę: powalczy z chorobami, ze skutkami napromieniowania i szkodliwym działaniem chemii, a potem będzie to dla niego jak tlen. Tymczasem rozłoży go zwyczajny prastary katar. Człowiek może pozjadać wszystkie rozумы, ale potknie się na takiej bagateli, jak wyśmiany przesąd o czarnym kocie. I jeszcze jedno. Im większy postęp niesie cywilizacja, im bardziej dorośleje (albo wydaje się jej, że dorośleje), tym bardziej wzrasta nostalgia ludzkości za własnym smarkatym dzieciństwem. Moda na baśnie dla dzieci przerasta wszelkie wyobrażenia. Ta nostalgia dotyczy też rusałek i czarownic. Rodzi się nowy stosunek do nieczystej siły – bez lęku, z poczuciem własnej przewagi, pewnej ironii, a jednak z sentymentem... Mamy już przykłady. Ostatnio byliśmy zmuszeni wymienić i udoskonalić całe wyposażenie stacji udzielania odpowiedzi spirytystycznych: coraz więcej jest na Ziemi dociekliwych ludzi, którzy wpatrują się jak zaczarowani w wirujące spodeczki. Stwierdziliśmy, że nasza moc energetyczna nie wystarcza już do wprawiania w ruch takiej liczby tych naczyń. Okazało się, że nie nadążamy za postępem. Dlatego przestaliśmy oszczędzać na rusałkach.

– Ale rusałki pewnie też nie są już te, co dawniej?

– Oczywiście – przytaknął Nowy Margeryt.

– Zauważyłem... – zaczął Daniłow i mało brakowało, a byłby zapytał o peruki, ale powstrzymał się w porę. Zamiast tego zadał pytanie, którego zadawać nie miał prawa:

– Słuchaj, dokładacie olbrzymich wysiłków, macie osiągnięcia, ale jaki w tym sens? Nie mówię o dzisiejszych czasach, tylko w ogóle. W planie ponadczasowym.

– No wiesz!... – Nowy Margeryt aż ręce rozłożył. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby wyrzucił teraz Daniłowa z gabinetu. Milczał jednak i odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Cóż – rzekł z powagą – wkroczyliśmy na całkiem inny temat. Dobrze... Pytasz, czy nasze prace mają jakiś sens. Czy mają wartość, czy mogą przysłużyć się ludzkości. Dobrze cię zrozumiałem? Tak? No więc powiem. Sensu w tym wszystkim niewiele. Są wprawdzie sprawy dość istotne, ale... Nie my kierujemy tokiem rozwoju cywilizacji na Ziemi i nie my hamujemy ten rozwój.

– W takim razie kto? – zapytał Daniłow i zdziwił się sam sobie; pyta, jakby nie wiedział.

– Sami ludzie – odparł Nowy Margeryt. – Dobrze o tym wiesz.

– Tak, mam już trochę spostrzeżeń...

– Właśnie dlatego odpowiedziałem na twoje pytanie. Gdyby siedział na twoim miejscu ktoś inny, nie odważyłbym się mącić mu w głowie. Albo nie chciałbym sobie zaszkodzić. Z tobą jest inaczej, ciebie widzę na wylot. Wiem, kim jesteś.

– No, kim? – zapytał Daniłow.

– Daj spokój, to nie na czasie.

– Ale powiedz. Kim jestem? – powtórzył Daniłow z urazą w głosie.

– Wiem wszystko... W każdym razie demon z ciebie żaden. I zostawmy ten temat. Pytałeś o sens... No więc jeszcze jeden detal. Sam człowiek, w sposób bardziej aktywny niż ktokolwiek inny, przyczynia się do rozwoju cywilizacji. I sam, ze znacznie lepszym skutkiem niż my wszyscy razem wzięci, temu rozwojowi szkodzi.

– Może tak właśnie być powinno?

– Widzisz, z niejedną cywilizacją mieliśmy do czynienia, nieraz udawało się nam, dzięki pomysłowości, zmieniać radykalnie wiele rzeczy, ale człowiek to istota szczególna... Człowiekiem nie da się kierować. Niestety, wymyka się on naszej kontroli, nie ulega naszym wpływom. Woli działać na własną rękę. Jest twórcą, fantastą. Traktujemy ludzkość z góry, ale

to niesprawiedliwe. Mamy oczywiście nieporównywalnie większe możliwości, w pojęciu ludzi wręcz fantastyczne, ale potrzeba jest matką wynalazku. Ludzie wpadają częstokroć na takie pomysły, że wiele ich wynalazków wykorzystujemy później w naszej teorii i praktyce. W końcu zaczęliśmy naśladować ludzi. Spójrz na naszych naukowców, którzy naukę ziemską biorą pod lupę. Wiedzą, że dużo w niej bzdur, ale nie uronią ani ziarenka z całokształtu jej odkryć i błędów. Trwają w przekonaniu, że ludzka wiedza jest umowna, a mimo to zdają sobie sprawę, iż okoliczności potrafią zmusić ludzi do takich wybiegów i takich pomysłów, jakich żadna najmądrzejsza aparatura Sfery Piątej nie jest w stanie podpowiedzieć, choćby posłużyła się w tym celu najbardziej precyzyjnym modelem panujących na Ziemi warunków.

– Widziałem tu literaturę naukową i popularną z Ziemi – wtrącił Daniłow. – Były też czasopisma. Z obrazkami. Jedno takie lubiłem czytać w Moskwie, nazywa się „Wiedza”.

– Tak jest – potwierdził Nowy Margeryt. – Dobre czasopismo, nie uważasz?

– Dobre. Zapożyczyliście stamtąd niektóre słowa: hiperstruktura, hiperprzestrzeń...

– Tak było zawsze. Modne na Ziemi terminy szybko wchodzą u nas w obieg. Ułatwia to komunikację i pozwala stwarzać pozory, że nauka nadąza za czasem.

– Hiperprzestrzeń. Ciężkie słowo. Dawniej wszystko było prostsze.

– Myślisz, że lepsze to, co prostsze? Mówisz: „hiperprzestrzeń”, i czujesz, jak pogłębia się twoje zrozumienie świata.

– Zaczynasz sobie pokpiwać – odezwał się Daniłow. – Może ze mnie?

– Nie z ciebie. Z tych, którzy gonią w piętkę łudząc się, że rozstrzygają o losach świata. Ich to dopinguje.

– A ciebie? Co ciebie dopinguje? – zapytał Daniłow.

– Nie odpowiem na to pytanie... Powiem jedynie, że gdybyśmy tylko denerwowali i podjudzali ludzi, gdybyśmy poprzestali tylko na tym, żeby im przeszkadzać, wprowadzać w błąd albo przyprawiać ich o wściekłość – gdyby tylko takie cele przyświecały nam w pracy nad każdą z pozostałych cywilizacji, wówczas świat Dziewięciu Sfer jako taki byłby nic niewart. Bylibyśmy czymś w rodzaju służby przy Faustach. To przecież nudne. Banalne. Beznadziejne. Wreszcie upokarzające. O nie, mamy w sobie niewątpliwie coś więcej, coś, co funkcjonuje niezależnie od innych układów i cywilizacji. Dlatego sam fakt istnienia Dziewięciu Sfer ma jakiś sens – nazwijmy to, nadrzędny... To znaczy powinien mieć.

– Wiesz może, co to za sens? – zapytał Daniłow.

– Domyślam się – odpowiedział Nowy Margeryt. – Ale nie każdemu dane to wiedzieć.

– Chwileczkę, przecież istnieje coś takiego jak Wyższe Wtajemniczenie – powiedział Daniłow, jakby zdziwiony wypowiedzią rozmówcy. – Coś, co pozwala widzieć wszystko na wylot. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Tak nas uczono w liceum. Po cóż więc nam w ogóle nauka, skoro i tak wszystko wiemy? Po co nam doktryny, obecne i przyszłe? Przepraszam cię, że poruszam zagadnienia ściśle naukowe, ale po tym, co mówiłeś o sensie...

– Błyskotliwy to ty nigdy nie byłeś – odparł Nowy Margeryt tonem zmęczonym i nieco protekcyjnym.

– Masz rację.

– Ale musisz wiedzieć, że właśnie dlatego cię lubiłem, choć zdawałem sobie sprawę, że czasami nas zwodzisz udając naiwnego prostaczka. Teraz też udajesz... Wiesz swoje i tych swoich poglądów nie zamierzasz zmieniać. Myślisz: co mi tam Wyższe Wtajemniczenie, co mi tam wieczność, fantastyczne możliwości i tak dalej – żadna z tych rzeczy nie otwiera drogi do prawdy.

– Przecież nie mówię, że to wszystko fałsz.

– Tak, to nie fałsz, ale do prawdy stąd daleko.

– Czy prawda jest osiągalna? Czy jest potrzebna?

– Nie wiem – powiedział Nowy Margeryt z zadumą. – Ale zastanów się: w imię czego neguję te czy inne teorie? W imię czego chcę poznać wszystko dogłębnie? Robię to, ponieważ

mój rozum jest spragniony wiedzy. Rozum mnie dręczy. Tak rodzi się myśl. Własna. Nadrzędna. Taka, o jakich nie mają pojęcia dyskutanci z korytarza. Skoro Wyższego Wtajemniczenia dostąpiłem ot, tak sobie, nie wiadomo w jakim celu, ja – czyli jednostka myśląca – zaczynam podawać to w wątpliwość: może ktoś po prostu maści mi w głowie? Czasami to, co poznałem, wydaje mi się całkiem prawdopodobne, ale nie twierdzą, że mam rację. W tym całe moje nieszczęście i cała radość. Ty nie jesteś myślicielem, stronisz od tajemnic wiedzy i poczucia wieczności, bo gdybyś posiadał tę głębię, utrudniłaby ci życie. Zresztą wszystko co nasze jest ci obce. Nie zaprzeczaj. Ze mną jest inaczej: nie mogę tego wyeliminować ani przyjąć bez namysłu. Dążę do prawdy drogą radości i cierpienia, tak zresztą jak i ty, a każdy z nas robi to na swój sposób. Bo ty usiłujesz poznać prawdę poprzez muzykę.

– To znaczy, że prawda jest jednak osiągalna? Jest potrzebna?

– Nie wiem! Stwierdzam tylko, że ty w swojej muzyce jesteś bliższy prawdy niż ja w nauce.

– Skąd wiesz?

– Wiem. To jedno wiem na pewno. A co do większości naszych prac badawczych, sam widzisz, że mają charakter głównie użytkowy. Są to przeważnie sprawy praktyczne, często pozbawione dalekosiężnych celów.

Ale każda z nich powinna wypływać z żywej doktryny funkcjonującej na danym etapie rozwoju. Negacja, działanie na szkodę, rzucanie kłód pod nogi – po co to wszystko? Odpowiedź brzmi: tak trzeba. Cóż, jak trzeba to trzeba. Oczywiście ludzie szkodzą sobie sami, ale i na naszą pomoc w tym względzie też zasługują. Gdyby nie my, może żyliby sobie dotąd w jaskiniach i spali na niedźwiedzich skórkach...

– A mówiłeś, że cieszą cię nawet te pseudonaukowe dysputy na korytarzach...

– Owszem, cieszą – potwierdził Nowy Margeryt. – Cieszą mimo wszystko. Na razie jestem w pełni sił i władz umysłowych, nie narzekam na brak aktywności, lubię intrygi, lubię grę i bawi mnie wszelkie ścieranie się poglądów, bawi każda walka, niechby nawet pozorną. Na razie – powtarzam, na razie – nie czuję się znudzony i choć nie zgadzam się z całym szeregiem tutejszych prac, jednak skoro za nie odpowiadam albo obserwuję ich przebieg, każda z nich porywa mnie w jakiś sposób, staje się niejako moją własną. Czasami tylko zaczyna mnie mdlić: po co cały ten młyn? Gdzie mi tak śpieszno? I na co w ogóle to wszystko?...

„Karmadon mówił dokładnie to samo” – przypomniał sobie Daniłow.

– Obawiam się, że nie będę w stanie rozwiać twoich wątpliwości – powiedział.

Nowy Margeryt długo patrzył na niego w milczeniu.

– A szkoda – rzekł wreszcie. – Twoje zdanie miałoby dla mnie wagę. Choćby z tej przyczyny, że masz inną niż my strukturę.

– Chciałbym wiedzieć w końcu, za kogo mnie bierzesz.

– Dobrze wiem za kogo.

– Mylisz się – powiedział Daniłow na wszelki wypadek.

– Cóż, może się mylę – westchnął Nowy Margeryt. – Ale nawet w takim przypadku nie żałuję tego, co wyznałem. Trudno o lepszego rozmówcę: dziś mnie wysłuchasz, jutro znikniesz...

„Znowu mówi tak jak Karmadon!” – zmartwił się Daniłow.

– ...I będę mógł spokojnie o wszystkim zapomnieć – ciągnął Nowy Margeryt. – Przestaną mnie nawiedzać wątpliwości. Do buntu nie jestem zdolny.

– Słuchaj, a może to robota kosmitów? – zapytał Daniłow.

– To znaczy co? – nie zrozumiał Nowy Margeryt.

– No, mówię o Dziewięciu Sferach. Może to kosmici stworzyli ten świat? Przybyli tu, powiedzmy, z jakiejś cywilizacji, gdzie czuli się skrzywdzeni, no i zostawili tu nasiona życia.

Wszystko dokładnie zaprogramowali: Wyższe Wtajemniczenie i to, że się widzi na wylot, i poczucie wieczności...

– Wiesz coś bliżej na ten temat? – zapytał Nowy Margeryt świdrując Daniłowa podejrzliwym spojrzeniem.

– Nic nie wiem, po prostu tak przypuszczam.

– Głupia teoria, ale ostatnio robi się modna.

– To dlaczego nikt jej nie obali?

– Ponieważ nie ma takiej potrzeby.

– Powiedz mi jeszcze jedno – nie wytrzymał Daniłow. – Skąd się wziął Wielki Byk? Czy najpierw był on, a potem Dziewięć Sfer, czy odwrotnie?

– Byka zostaw w spokoju – rzekł surowo Nowy Margeryt.

– Ach tak, tajemnica tajemnic... Z tego wynika, że nawet Wyższe Wtajemniczenie nie odsłania wszystkiego do końca?

– Zejdźmy z tego tematu – zasępił się Nowy Margeryt. – Nie musisz kopać pod sobą dołków.

Długo milczeli, potem toczyła się rozmowa już powierzchowna. „Czego spodziewał się po mnie?” – myślał Daniłow. Przecież Nowy Margeryt, mówiąc o swych wątpliwościach, patrzył na niego z wyraźną nadzieją, tak jakby Daniłow mógł powiedzieć albo uczynić coś niezwykłego. Rzeczywiście coś musiało go dręczyć, ale za kogo brał Daniłowa? Oby tylko za zwykłego śmiertelnika, to jeszcze pół biedy...

Porozmawiali jeszcze chwilę. Daniłow zainteresował się działalnością niektórych pracowni i warsztatów, w tym wytwórni produkującej monstra. Nowy Margeryt opowiedział mu, że monstra otacza się teraz szczególną troską, zwłaszcza te rekrutujące się z byłych demonów. Daniłow wspominał też o sztucznych intelektach i zapytał, czy zdają egzamin. Okazało się, że większość sztucznych intelektów gnije obecnie gdzieś w magazynach.

– Dlaczego? – zapytał.

– Są zbyt niesforne – odpowiedział Nowy Margeryt. – Ciągłe ulegają różnym skrzywieniom, a poza tym ustalono, że ich ceny są zbyt niskie.

– I co z tego?

– Jak to – co? – zdziwił się Nowy Margeryt. – Komu w naszych czasach są potrzebne tanie rzeczy?

„Wygląda na to, że uspokoił się już co do mojej osoby – pomyślał Daniłow. – I że niczego więcej nie spodziewa się po mnie...”

– Nie wiesz przypadkiem, po co mnie tu wezwano? – zapytał.

– Wiem – skinął głową Nowy Margeryt.

– I co sądzisz o mojej sytuacji?

– Sądzę, że jest beznadziejna... Oczywiście jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz.

Spojrzał na Daniłowa znacząco, jakby czekając na ważne wyznanie.

– Nie podaję się za nikogo – powiedział Daniłow ze złością.

– Tym gorzej dla ciebie – odparł Nowy Margeryt, po czym dodał: – Musisz dokonać wyboru. Wyboru, rozumiesz?

– Nie bardzo. Jaki wybór masz na myśli?

– Sam wiesz jaki. Ostateczny. Zastanów się dobrze.

– Zastanowię się – powiedział Daniłow. – Dziękuję za radę. Miło mi było porozmawiać z tobą. Przepraszam, że oderwałem cię od twoich zajęć.

Wstał. Nowy Margeryt wstał również. Zrobił nawet gest, jakby zamierzał uściskać dawnego kolegę. Nie uściskał jednak, tylko poklepał po ramieniu.

– Cóż, idź – powiedział. – I poskramiaj pychę.

Daniłow nawet usta otworzył ze zdumienia.

– Jaką znowu pychę? Zawsze powtarzano mi tutaj, że pycha to zaleta. I zawsze byłem tej zalety pozbawiony.

– Sam siebie nie znasz. No, bywaj.

– Bywaj.

I Daniłow opuścił błękitną komnatę.

„Wiedział doskonale, że chcę go o coś zapytać – rozmyślał leżąc na łóżku hotelowym. – Może jednak sam fakt, że przyjął mnie i rozmawiał ze mną tak poważnie, świadczy o jego bohaterstwie? Kogo chciałby we mnie widzieć? Co podejrzewa? Nie byłem petentem, wyszło tak, że to jemu zależało na rozmowie ze mną. Spodziewał się czegoś, na coś liczył, może sądził, że jestem w stanie udzielić mu poparcia, i choć nadzieję miał słabą, jednak nad tym przemyślał... Dużo miał do powiedzenia, ja więcej milczałem. Oczywiście nie był szczery do końca, zresztą trudno o szczerość, skoro wie, dlaczego tu jestem. Karmadon powiedział mi: «Przepadniesz!», jego braciszek też uznał, że moja sytuacja jest beznadziejna, a jednak czegoś się po mnie spodziewał. Byłem w jeszcze mniejszym stopniu szczery niż on. Może zależało mu na zrozumieniu, na współczuciu – bo ja wiem – może tego właśnie potrzebuje? A może chciał wiedzieć, do czego doszedłem? Na pewno sądzi, że do czegoś doszedłem, to pomaga mu utwierdzić się w swoich wątpliwościach albo z nimi skończyć. Całe szczęście, że zachowałem ostrożność. Zresztą może po prostu zamierzał udowodnić samemu sobie, że pozostał liberałem i że nawet w rozmowie z kimś tak ułomnym duchowo jak ja nie boi się wkraczać na cienki lód?... W takim wypadku nie mam podstaw, by obrażać się na niego. Jakkolwiek jest, przyjął mnie serdecznie, po ramieniu poklepał.. O pojedynku nawet nie wspomniał. Wreszcie coś podpowiedział, dał do zrozumienia, że muszę dokonać wyboru...”

Mijały dni. Nikt nie interesował się Daniłowem. Cieszyłby się nawet, gdyby stanął teraz w drzwiach pan Walenty oznajmiając, że polecono mu przyprowadzić Daniłowa gdzie trzeba. Myślał o ewentualnym przypadkowym spotkaniu z panem Walentym w barze: gotów byłby w takiej sytuacji upokorzyć się i zapytać, czy wiadomo już coś o wyznaczeniu mu terminu ostatecznych rozliczeń. Widocznie jednak pan Walenty był stworzeniem zbyt mało znaczącym, by mieć prawo wstępu do baru w Sferze Przyjemności. Tymczasem dość często kręcił się w pobliżu demon Urael z Pustyni Arabskiej: przysiadł się do stołu jak stary znajomy pytając tylko gwoli uprzejmości: „Czy wolne?” – i Daniłow nie miał innego wyjścia, jak odpowiedzieć: „Wolne”. Podczas pierwszego ich spotkania Daniłow, zajęty rozmyślaniami o Karmadonie, nie zdążył przyjrzeć się Uraelowi dokładnie, ale teraz nieodłączny kompan ukazał mu się bez kaptura, z odsłoniętym obliczem, ruchomym i w istocie przeciekawym. Urael w krótkich rozmowach z Daniłowem chętnie poruszał tematy moskiewskie, ale Daniłow tych tematów nie podtrzymywał i w ogóle pozwalał sobie nawet na impertynencje, których Urael zdawał się zresztą nie zauważać.

Daniłow coraz częściej czuł, że ma wielką ochotę komuś nawymyślać. Narastał w nim protest, chciałby zrobić coś takiego, co doprowadziłoby obserwatorów do wściekłości. Może wówczas ocknęliby się wreszcie i kazali mu stanąć do raportu. Ale cóż mógł uczynić, jakich użyć środków, by spowodować awanturę i tym samym pogłębić swoją winę?... Zastanawiał się długo, aż nagle przyszło mu do głowy: „A może by tak odwiedzić ojca?”

Odwiedzanie ojca było mu surowo zabronione, toteż nigdy tego nie robił. Nigdy nie widział swego rodzica, choć orientował się, gdzie tamten przebywa. Ojciec Daniłowa, ulokowany początkowo na Jowiszu, został później przeniesiony na pustynną planetę w konstelacji Byka. O swoim zamiarze Daniłow powiedział teraz na głos – zrobił to umyślnie, żeby ujawnić obserwatorom swe plany. Nikt na oświadczenie nie zareagował. „Tym lepiej” – pomyślał i nie odwołał wycieczki.

Oglądając się co chwila przeszedł do samego końca Sfery Czwartej, aż do Kryształowej Ściany. Nikt go nie śledził, nikt nie gonił. Otworzył kryształowe drzwi i wydostał się na zewnątrz, poza obręb Dziewięciu Sfer, a potem rozłożył szeroko ręce i poleciał.

Mógłby znaleźć się na miejscu błyskawicznie, czyli, mówiąc dzisiejszym językiem naukowym, odbyć „hiperpodróż w przestrzeni”. Tak też robił na pewnych odcinkach trasy, ale w pobliżu planet i gwiazd pozwalał sobie znowu odczuć całą radość lotu i szybował wolno podziwiając wspaniałe widoki. Ach, jak mu było dobrze! Przypomniawszy sobie, że Johannes Kepler ponad trzy stulecia temu spróbował dowieść harmonii wszechświata i sformułował prawa opisujące ruch planet, a jedno z tych praw brzmi: „Drugie potęgi okresów obiegu planet dookoła Słońca są proporcjonalne do trzecich potęg średnich odległości planet od Słońca”. Kepler wychodził z założenia, że ruch planet cechuje harmonia muzyczna, i pozostawił nawet zapis nutowy ilustrujący ruch siedmiu znanych mu ciał kosmicznych. Daniłow jako muzyk skłonny był przyznać Keplerowi rację i dzisiaj znowu zanurzył się bez reszty w tym cudownym świecie rozbrzmiewających muzyką planet.

Najbliższa mu była muzyka Układu Słonecznego: znał dobrze melodię każdej planety, znał ich głosy, z których najbardziej przemawiał do niego głos Marsa. Nie było w nim ryku wojowniczych tub – przeciwnie, był to głos subtelny, bladoniebieski... W tym obszarze, gdzie znalazł się teraz, nie wszystkie melodie przypadły mu do gustu; tłumaczył sobie wprawdzie, że pierwsze wrażenie zawsze jest powierzchowne, że w pośpiechu można czegoś nie zrozumieć, a więc warto posłuchać kiedyś znowu tej muzyki, może wówczas potrafi ją pojąć i polubić. Zreflektował się jednak, że ten jego lot we wszechświecie jest zapewne ostatni – i od razu głosy planet i gwiazd wydały mu się pełne smutku, niektóre nawet zabrzmiały tragicznie. Poczł się tak, jakby wszechświat żegnał go na zawsze. „Bzdury! – powiedział sobie. – Ciała kosmiczne rzadko zmieniają melodie, wyłącznie wskutek kataklizmów. Po cóż by miały brzmieć inaczej na widok pierwszego lepszego grajka? Skoro dana mi jest możliwość, muszę brać ich muzykę taką, jaka jest, a nie doczepiać jej nowych treści”.

Z pełnym triumfu, szerzącym się w przestrzeni wyciem przemknęła obok młoda gwiazda dążąca w nieznanym kierunku. Pobrząkując niczym cymbałki, mignęło stado meteorów. Tysiące głosów usłyszał Daniłow: jak zardzewiały łańcuch kotwicy zgrzytała rozżalona pomarańczowa planeta; inna, nieco mniejsza, wirowała w rytmie taranteli; dobiegały dźwięki bardzo podobne do słyszanych na Ziemi, były też takie, które Daniłow usłyszał po raz pierwszy w życiu. Niektóre melodie i niezawile tematy muzyczne zdawały się kryć w sobie przecucia burz, kataklizmów i klęsk, tęsknotę materii nieświadomej swej głębszej istoty, inne brzmiały radośnie, w ich muzyce była miłość, był rozum. „Ach, co za głosy! Co za dźwięki!” – zachwycił się Daniłow.

Zwiedził niewielki układ planetarny z gwiazdą podobną do Słońca i pięcioma planetami, na których rozkwitało życie. Pomyślał, że warto by tu odpocząć, wybrał więc w próżni miejsce, które wydało mu się korzystne pod względem akustycznym. Przybrał komfortową pozycję, ręce podłożył pod głowę, beztrósko przymknął oczy. Jakby specjalnie dla niego, zabrzmiał w pobliżu sekstet, niepodobny oczywiście do żadnego z sekstetów, w jakich zdarzało mu się grać na Ziemi. Ta muzyka była całkiem inna, nie brzmiały w niej znajome dźwięki, a jednak... Głos gwiazdy górował władczo nad głosami planet, a równocześnie stanowił z nimi oryginalną całość. Każda planeta prowadziła własną partię – i w każdej z tych melodii, na swój, niepowtarzalny sposób, powracał temat gwiazdy, jakby rozdany przez nią hojnie planetom lub rozsypany w przestrzeni, a wszystkie te pieśni połączone w jednym chórze zawierały w sobie zgodę i dumę całego roju. „My – to jedno! – brzmiał sekstet. – My – jedna całość we wszechświecie!...” Daniłow zaczynał oswajać się z tutejszą muzyką, zaczynał akceptować te sposoby wyrazu, coraz bardziej trafiały mu do przekonania i do serca. „Co to jest?” – zdziwił się nagle słysząc głos trzeciej planety – trzeciej, jeśli liczyć od gwiazdy („Pulpit czwarty” – określił jej pozycję na własny użytek, jak w orkiestrze). Głos ten, początkowo w niczym nie przypominający znajomych dźwięków, zmienił się nieoczekiwanie

i w nim, jako jeden z elementów składowych, odezwał się naraz ton altówki. Tak, altówki – tego był pewien! Teraz muzyka wzruszyła go do głębi. „Ach, gdyby na wieki tak było!...”

Opamiętał się po chwili myśląc: „Wyleguję się tutaj, a przecież zaraz ktoś zauważy, że mnie nie ma!” Ale czegoż się miał obawiać? Sam chciał, żeby zaczęli go szukać. Mógłby zostać tutaj, słuchać muzyki i czekać na sygnał przywołania, ale niecierpliwość okazała się silniejsza: pomknął naprzód. „Konstelacja Byka – oto mój cel” – nakazał sobie stanowczo.

Tym razem już nie poleciał, tylko przeniósł się w przestrzeni, i to z taką szybkością, że o mało nie wpadł z rozpędu na planetę, do której zmierzał. Właśnie na tej planecie, sądząc ze skąpych informacji, jakie udało mu się swojego czasu zdobyć, mieszkał jego ojciec. Daniłow zdążył już zapomnieć o Keplerowskim modelu świata i muzyki tej planety nie usłyszał. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie nie tylko niemej, ale i nie zamieszkaney: gruba warstwa żółtego kurzu pod nogami i niebo nad głową też żółte, miejscami przybierające odcień brązowy. Daniłow rozejrzał się i stwierdził, że są tu łańcuchy gór – niestety, także brązowożółtych. Ani krzaczka, ani bajorka. „Ależ pustynia...” – pokiwał głową. Nie dostrzegł żadnych śladów domostwa czy bodaj szłaśasu.

Informacje, jakie miał o swym ojcu, mogły być fałszywe, a gdyby nawet odpowiadały rzeczywistości, to jak go znaleźć? Wydało mu się bezsensowne to, że wybrał się tu tak nagle, mógł wpaść na lepszy pomysł wywołania skandalu i wyprowadzenia obserwatorów z równowagi, niekoniecznie musiał pakować się w odnawianie stosunków rodzinnych. Ani on nie jest ojcu potrzebny, ani ojciec – jemu. W dodatku nikt nie wie na pewno, jak to jest z tym ojcostwem: nigdy ojca nie widział, nie zna go w ogóle i nigdy nie czuł się jego synem, choć, ma się rozumieć, chciałby mieć ojca, zwłaszcza w dzieciństwie. Co on mu teraz powie? „Cześć, stary, jestem twoim synem” – czy tak? „Co za kretyński pomysł! – wyrzucał sobie. – Czego ja tu szukam?...” Mimo wszystko czuł, że nie odleci stąd natychmiast, że spróbuje ojca odnaleźć, popatrzeć na niego przynajmniej z daleka. Początkowo tłumaczył to sobie zwykłą ciekawością, potem jednak zrozumiał, że jest w tym coś więcej, ale co – nie wiedział.

„Jak można mieszkać w takim kurzu? Gdzie ja go znajdę? Może mam wołać »hop-hop«? Śmieszne. Poza tym ja mogę sobie wmawiać, że czuję potrzebę spotkania, ale on takiej potrzeby wcale nie musi odczuwać. Narzucam się niepotrzebnie...”

Pomyślał jednak za chwilę, że ojciec mógł przez wszystkie te lata pragnąć spotkania z nim, ale był pozbawiony takiej możliwości, więc teraz nadarza się okazja. Nie wiadomo tylko, czy zrozumie, że widzi przed sobą własnego syna...

Latał nad planetą, obserwował ją uważnie przez wizjery, uruchomił nawet aparaturę poznawania, a mimo to nie zauważył żadnych oznak życia. „Nie ma tu nikogo” – stwierdził zrezygnowany.

Czując zmęczenie usiadł na skraju skały. I właśnie w tym momencie, na rozpościerającej się w dole równinie, dostrzegł jakiś ruch.

Tam, w dole, wzburzyło się coś żółtego (kurz? ciekła substancja? miazga?), wzbilo się wzwyż w postaci wirującego słupa i poleciało. Zakłębiły się naokoło żółte wichry, drgnęły góry, tak jakby cała planeta, porwana burzą piaskową, miała pomknąć za chwilę nie wiadomo dokąd, tymczasem góry pozostały na swoim miejscu i planeta nie zmieniła orbity, ale gęste, rozszalałe chmury kurzu zawisły nad skałą, na której siedział Daniłow. „Skąd takie wichry w tej atmosferze? myślał. – Nie, to na pewno on. Bierze mnie za wroga albo za przybłędę, który gwałci przepisy i ośmiela się zakłócać jego spokój. A może został przemieniony na zawsze w te żółte chmury i nie ukaże się w innej postaci?”

To ostatnie przypuszczenie okazało się niesłuszne. Minęła chwila – i z żółtej chmury wyłoniła się postać leciwego starca. Ubrany w luźny biały chiton, starzec dmuchał zawzięcie wydymając policzki, jak gdyby zamierzał zmieść wszystko ze swej drogi. Długie siwe włosy powiewały za nim, nadając kierunek strumieniom powietrza.

Daniłow wstał, poruszony tym pięknym widokiem. Chciał zawołać, ale nie był w stanie nawet szepnąć słowa. Starzec, który z pewnością zauważył go już wcześniej, ruszył w jego stronę. Zbliżył się, zastępnął tuż obok. Daniłow gotów był wydać z siebie jęk: „Ojcie!” – i otworzyć ramiona, ale ojciec, wbiwszy w niego wzrok, nie zezwalał na najmniejszy bodaj ruch. Wreszcie uniósł nerwowo ręce, cofnął się, jakby odpychając syna od siebie, i uleciał w górę.

Daniłow chciał podążyć za nim, lecz starzec nie dał mu żadnego znaku świadczącego o tym, że byłoby to zgodne z jego życzeniem. Pozostawało tylko jedno: stać w miejscu i czekać. Tymczasem starzec był już daleko, zmniejszony do rozmiarów ziarenka piasku.

„Jak pięknie, jak groźnie wygląda! – myślał Daniłow. – Wcale nie jestem do niego podobny. Wspaniały starzec, jak postać z tragedii... A ja? Czymże ja jestem?... I te oczy, te oczy! Zrozumiał, kogo ma przed sobą, czuję to, przeniknął mnie wzrokiem do głębi... Ale potem patrzył tak dziwnie...”

Wzrok ojca określił w myślach niezbyt dokładnie – mało powiedzieć, że starzec patrzył dziwnie; to spojrzenie było spojrzeniem obłąkańca.

Daniłow przypomniał sobie wszystkie rozmowy na ten temat: nieraz dawano mu do zrozumienia, że jego ojciec postradał zmysły i że właśnie z tego powodu został ułaskawiony. Mogła spotkać go kara znacznie surowsza, tymczasem darowano mu życie i pozwolono osiedlić się na oddalonej planecie. Były zresztą także inne opinie, którym Daniłow wierzył, ale dziś, zobaczywszy starca na własne oczy, przeraził się nie na żarty.

„Jestem tu niepotrzebny – myślał. – Widziałem go, on mnie widział i wystarczy. Jesteśmy sobie obcy. Znalazłem się w jego włościach, powinien przynajmniej wskazać mi drogę albo powiedzieć bodaj słowo, tymczasem nawet się nie odezwał. Po prostu rozplynał się, zniknął...”

Gdy tak rozmyślał, starzec powrócił do niego: przemknął obok skały, zwrócił ku niemu twarz i zrobił władczy gest ręką (czy skrzydłem?). Daniłow odczytał ten gest jako zaproszenie. Poleciał za starcem i tamten nie odwracał się więcej sądząc widocznie, że jedno zaproszenie wystarczy. Wyglądał imponująco i majestatycznie w swym długim białym chitonie. Daniłow spojrzał z powątpiewaniem na własny strój (te dzinsy, ta skórzana kurtka) – wstydził się swojego ubrania, wydało mu się niestosowne. Lecieli długo i równina pod nimi była tak monotonna, że Daniłow stracił poczucie pokonywanej odległości. Wreszcie ukazały się smętne pagórki; starzec powstrzymał lot, osłonił dłonią oczy i spojrzał w dal, sprawdzając widocznie, czy wszystko tam jest w porządku, czy nie bucha gdzieś ogień, czy wilki są syte i owce całe i czy można w związku z tym podążać dalej. Dalej jednak nie poleciał, zaczął zniżać lot zataczając nad pagórkami duże kręgi niczym ciężki ptak. Daniłow zobaczył pod sobą czarną szparę. Jaskinia! A więc tu ma swoje schronienie ten wygnaniec...

Starzec nie odwrócił się nawet wówczas, gdy byli już w środku jaskini. Oczy Daniłowa dość szybko oswoiły się z mrokiem. Ujrzał dwa kamienie, jeden trochę większy i płaski – coś w rodzaju stołu, drugi mniejszy, niby taboret.

Przeszło go ostre, piekące poczucie synowskiej winy, tak jakby on, młody, bogaty i zdrowy, odwiedzał ojca w domu starców. Zaprzagnął natychmiast coś dla niego zrobić – ale co? I jak? „Biedny staruszek! – powtarzał w duchu. – Biedny samotny staruszek!”

Starzec uniósł ręce czy skrzydła, zmarszczył białe krzaczaste brwi – i znaleźli się obaj w olbrzymiej marmurowej sali, gdzie z powodzeniem mogłaby stoczyć pokazową walkę setka gladiatorów. Światło padało z góry, gorące słońce południa przelewało swe promienie przez szerokie otwory okienne, nie wiedzące, co to znaczy szyba, w marmurowym basenie lśniła woda, połyskiwały ozdoby z mosiądzu i kości słoniowej. Starzec, potężny, pełen królewskiego majestatu, zasiadał jak na tronie w fotelu z poręczami i wysokim oparciem. Kimże był wobec niego Daniłow? Sługą? Uczniem? Następcą tronu?... Pomieszczenie nosiło wszelkie cechy stylu imperium rzymskiego w okresie triumfów i gromkiej sławy, naokoło

stali dostojnicy w togach, niektórzy nawet w zbrojach. Wszyscy na kogoś czekali – chyba na cesarza. Wreszcie pojawił się cesarz, może Juliusz Cezar, a może August – Daniłow nie rozpoznał go z twarzy, no bo i jakże mógł rozpoznać, ale wołał myśleć, że to Cezar. Rozpoczęła się stosowna do okoliczności ceremonia. Wśród osób siedzących na kurulnych krzesłach, a zwłaszcza na honorowych bicelliach (siedzenia ze skóry, na siedzeniach poduszki), Daniłow spodziewał się zobaczyć Brutusa, ale nie zobaczył czy też nie rozpoznał. Ceremonia przebiegała bardzo uroczyście, ale widać było, że główną personą jest tu wcale nie cesarz, któremu gratulowano zwycięstwa, lecz majestatyczny starzec w białym chitonie. Oto machnął ręką – i Rzymianie zniknęli.

„Szkoda, że zapomniałem sprawdzić, czy był tam Cycero” – pomyślał Daniłow poniewczasie. Teraz w miejscu rzymskich komnat ukazał się pałac w Wersalu, który Daniłow dobrze znał, i w cudownej Galerii Lustrzanej Mansart-Hardouina (po prawej stronie widok z okien na główną aleję, baseny pełne złotych rybek i ozdobne sadzawki w marmurowych obrzeżach, po lewej, w lustrach – odbicia drzew i sylwetek gości, w górze zaś – czerwono-zielono-błękitne niebo pędzla Lebruna), na mozaice parkietu ufryzowane damy i strojni w pióra kawalerowie – słodkie laleczki Watteau – tańczyli w blasku tysięcy świec lśniących w srebrnych kandelabrach, przy ścisłym akompaniamencie wytwornej orkiestry, ciesząc się gracją ruchów, pięknem strojów i aromatem perfum. Wśród tańczących był również Król Słońce we własnej osobie („Ach, co za koronki przy mankietach!” – zachwycił się Daniłow). Starzec kiwnął na Ludwika kościstym palcem, tamten przeprosił swoją damę i szybkim krokiem, aczkolwiek nie tracąc królewskiej godności, zbliżył się do starca, który szepnął mu coś do ucha. Na twarzy króla odmalowało się lekkie zdumienie, mimo to podziękował i złożył grzeczny ukłon. W tejże chwili przyprowadzono przed oczy króla młodziutką damę, Ludwik wszczął z nią niefrasobliwą rozmowę i blask jego oczu świadczył o tym, że monarcha jest nadzwyczaj kontent z udzielonej mu rady. Galerię Lustrzaną dzieliły od królewskiej sypialni zaledwie dwa kroki, Mansart-Hardouin wszystko przewidział. „Kim jest ta dziewczyna? – zastanawiał się Daniłow. – To znaczy, kim była? Czyżby mademoiselle de la Vallière? Rzeczywiście miłutka, że też od razu nie zwróciłem na nią uwagi...”

Zniknął Wersal i Daniłow znalazł się nieoczekiwanie w pobliżu belgijskiej wioski Waterloo. Było chłodnawo, nogi w dzinsach marzły. Przestał odczuwać dotkliwy chłód dopiero w połowie bitwy, gdy sprawy Wellingtona zaczęły wyglądać kiepsko. Ale już po chwili przyszło mu przemoknąć do suchej nitki pod Trafalgarem. Rozwrzeszczany Nelson nie wzbudził w nim najmniejszej sympatii... Potem był świadkiem wielu innych wydarzeń z różnych okresów historii ludzkości, spotkał sporo zajmujących ludzi, niektórych udało mu się poznać osobiście. Bardzo ciekawe okazały się wszystkie te egipskie, indyjskie i inne pałace, grobowce, pola bitewne i łąki miłości, które zobaczył dzięki wiedzy i woli starca. Osobistości, jakie przy tym spotykał (niektóre z nich do dziś pozostawiły po sobie niechlubną pamięć), często były tak obrzydliwe, że temu i owemu byłby chętnie napluł w twarz, gdyby nie czuł się tu gościem. Ale to nie on dobierał sobie towarzystwo.

Nie mógł powiedzieć z całą pewnością, czy ten pokaz starzec urządził specjalnie dla niego, czy też bawił się sam wędrówką z epoki do epoki, powtórką z dawnych dziejów – bitew, balów, intryg i poszukiwań ducha prawdy. Miał jednak wrażenie, że idzie tu nie tylko o zabawianie gościa – całkiem możliwe, iż starzec, biorąc pod uwagę jego dość osobliwy sposób myślenia, po prostu zapomina, że nie jest sam. Porwany akcją rozgrywających się przed nim wydarzeń, wtrącał się do nich co chwila, zmieniał postać, wdzierał się nie rozpoznany do tłumu, wskutek czego wydarzenia przybierały tok zgoła odmienny niż ten, który został odzwierciedlony w podręcznikach i źródłach historycznych. Tak na przykład, na godzinę przed rozpoczęciem bitwy pod Waterloo starzec sprawił, że Napoleon pozbył się nagle kataru, toteż Wellington w przebraniu szkockiego kobziarza zmuszony był uciekać w stronę Gandawy porzucając na pastwę losu rozbite wojsko. Daniłow poczuł litość na widok

bladych, gołych nóg księcia. Starzec z wyraźną przyjemnością mieszał całkiem odrębne epoki osiągając przy tym rezultaty, których sam się nie spodziewał: Hannibala wpakował do czołgu Guderiana i biedny dowódca o mało nie odmroził uszu; wykurowanego Napoleona, prosto z Drezna, gdzie cesarz z bramy pałacu obserwował ruchy swych wojsk (za jego plecami Daniłow dostrzegł budynek Hofkirche, w którym Bach grał na organach Silbermanna), przeniósł do współczesności i uczynił trenerem Heleny Wodoriezowej w zastępstwie Stanisława Żuka; Goethemu nakazał być księciem Weimaru, zaś księżę Karol August, zapomniawszy o psach i kobietach, śleczął przy biurku usiłując napisać *Fausta*. Iwanowi Groźnemu w kremlowskiej Granowitej pałacie, na jej ścianie zachodniej, wprost na freskach, wyświetlono film Eisensteina – i car Iwan zalewał się gorzkimi łzami. W ogrodach Waranasi ukazał się oczom Daniłowa sam starzec w otoczeniu słodkich piękności Wschodu; zresztą kobiet było tam mnóstwo, wśród nich Europejki w mini i maxi, a także uroczę dziewczęta z kalifornijskich plaż...

Podziwiając te wizje czy też sceny realne, Daniłow żył razem z tymi postaciami, porywały go ich losy. I nagle poszerzyły się granice świata, który ukazał mu starzec, zaczęły tu ściągać nieprzebrane zastępy ludzi – wszystkie pokolenia wszystkich czasów i wszystkich narodów, starzec zaś siedział na swym tronie, teraz już gigantycznym. Rozłożył ręce ogarniając cały ten świat, jakby chciał oznajmić: „Wszystko to – moje!”

„...I jeśli zechcesz, będzie twoje!” – usłyszał w podświadomości Daniłow. Drgnął, ale starzec nawet nie poruszył ustami. „Wydawało mi się – pomyślał – gdyby taki przemówił, to na pewno basem, a ja słyszałem tenor...” Wówczas starzec sfrunął z tronu, zająknął mu prosto w oczy i oszołomiony Daniłow zdrzął pod tym przenikliwym, mądrym spojrzeniem. Ale już w chwili następnej we wzroku starca znowu błysnął obłęd; tak jak wtedy, przy skale, uniósł ręce, ni to odpędzając syna od siebie, ni to wyrzekając się go na zawsze, i z głębokim smutkiem pokijał głową.

Światło zgasło. Daniłow stał na środku pustej jaskini. „To wszystko? – zastanawiał się wychodząc na zewnątrz. – Pożegnał się ze mną? Ale ja nie zdążyłem się pożegnać...”

Sam nie wiedział, skąd ma pewność, że znajdzie starca przy tamtej skale, gdzie zobaczył go po raz pierwszy. Nie znalazł jednak nikogo. Zszedł w dół, do wąwozu, i tam zobaczył starca, który leżał na kamieniach, twarzą do góry. „Może spadł z wysokości?” – zaniepokoił się Daniłow, nie odważył się jednak podejść bliżej. Przyjrzał się tylko i stwierdził, że starzec oddycha. Oczy miał zamknięte, z kącika ust spływała ślina. Daniłow zrobił krok – i nagle zaszła nieoczekiwana przemiana: leżał przed nim teraz śniady nagi efeb – wymarzony model dla rzeźby Praksytelesa. Młodzieniec uniósł powieki, oczy miał smutne, pełne zmęczenia. „Jest strącony!” – olśniło Daniłowa. Młodzieniec spojrział na niego i w tym wzroku Daniłow znowu dostrzegł obłęd. Po chwili efeb wstał, spojrział w niebo, rozpostarł ręce – i niebo zalsniło błękitem. Ożyły, zazieleniły się góry, wyrosły na nich białe i różowe świątynie, naokoło szemrały górskie strumyki, istoty rodem ze złotego wieku Hellady otoczyły młodzieńca. Patrzył na Daniłowa wyczekująco, spodziewając się widocznie ważnych dla siebie słów. Daniłow milczał. Zbliżył się do nich roztańczony ciemnoniliowy korowód nimf, zniewalającym płąsom towarzyszyła cudowna okaryna Pana. Daniłow milczał. Młodzieniec drgnął i znowu przemienił się w starca. Zniknęły białe i różowe świątynie, zniknęły nimfy i satyry, umilkły dźwięki okaryny, wszystko wokół tonęło teraz w orchideach. Daniłow milczał. Starzec zbliżył się do niego i ponownie zająknął mu w oczy, po czym, tak jak poprzednim razem, cofnął się w przerażeniu. Spojrzenie obłąkańca skierował gdzieś wysoko w niebo, wskazał tam palcem, zgarbił się i odszedł.

„Tak, to koniec – pomyślał Daniłow. – Nie powiedzieliśmy sobie ani słowa. A może w istocie prawda leży poza zasięgiem słów?...”

Otworzył od zewnątrz drzwi w Kryształowej Ścianie. Poddali się bez trudu, nikt nie zamknął ich na klucz, potrzasków też nie zastawiono, zresztą na cóż by się zdały potrzaski?

Zdjął kurtkę i położył się na łóżku. A więc tak zakończyła się jego wizyta... Taki zaproponowano mu wariant życiowy. Ale starzec w końcu zrozumiał, jaki on ma stosunek do świata, i zrozumiał, wskazał długim palcem... Na co wskazał? Daniłow zamówił atlas gwiazdny, ustalił lokalizację żółtej planety, następnie wyjaśnił, jakie gwiazdy można stamtąd zobaczyć, zwłaszcza z pamiętnego wąwozu. Doszedł do wniosku, że starzec niewątpliwie wskazywał w stronę Układu Słonecznego, ściślej mówiąc – na Ziemię. Ach, gdyby ten gest mógł mieć jakiś wpływ na przyszłość...

Daniłow miał bardzo mgliste wiadomości o dawnym życiu ojca; nigdy nie udało mu się wyjaśnić, jakiego typu wolnomyślicielstwo zarzucano jego rodzicowi, za co otrzymał miano wichryciela. W tamtych czasach wystarczającym powodem do kary był sam fakt utrzymywania związku z ziemską kobietą, jeśli związek ten uznano za trwały. Ale czy rzeczywiście były podstawy do posądzania go o obłąd? W tym momencie Daniłow, przypomniawszy sobie chwile, kiedy wyraźnie dostrzegał we wzroku starca głęboką przenikliwość, powstrzymał tok myśli. Może ojciec świadomie obrał sobie taki model życia albo... „Albo jest zadowolony – myślał. – Ma własny świat, te wizje nie są dla niego zabawą, są materiałem do twórczości. Cóż, może to i ciekawe, ale nie dla mnie. To już nie życie, to gra, rzecz wtórna... Po co grać, jeśli można po prostu żyć?”

No właśnie – jeśli można...

Rozmyślając Daniłow nie używał słowa „ojciec”, jakoś mu nie wychodziło, nazywał go w myślach „starzec”. Darzył go sympatią i współczuciem, ale nie był w stanie zdobyć się na stosunek cieplejszy. Wyrzucał sobie obojętność, oschłość, lecz nie potrafił wywołać w sercu synowskich uczuć. Mimo to nie żałował, że odwiedził żółtą planetę.

„Te wycieczki historyczne były wspaniałe – przypominał sobie z przyjemnością. – Niezłe byłoby włączyć się do takiej gry!” Ach, jak by chciał znaleźć się, powiedzmy, w Lipsku w roku 1732, przy skromnej przestrzennej Thomaskirche – i zobaczyć stojącego w progu Bacha! Kantor, czterdziestosiedmioletni, w pełni sił – tuż po skomponowaniu *Kantaty o kawie* – zrobiłby krok w jego stronę, wyjął z kieszeni zwój arkuszy i podał mu mówiąc: „Mam tu koncert na altówkę, zadedykowałem go panu i liczę, że pan ten koncert zagra. Bardzo mi na tym zależy...”

„Hej, wolnego! – skarcił sam siebie. – Posuwasz się za daleko, bracie!” Wstał. Ze złości gotów był zarzucić swym kuratorom umyślne granie na zwłokę. Kiedyż wreszcie pociągną go do odpowiedzialności? Mogliby zastanowić się przynajmniej nad bezsensownym trwonieniem środków...

Był zły i głodny. Postanowił pójść do baru, wypić tam i zjeść na kredyt tyle, żeby księgowość wskazała komu należy na nieopłacalność przetrzymywania go w Sferze Gościnności.

Usiadł przy stole myśląc już o tym, jakie zamówi dania. Sok żołądkowy wydzielał się obficie, ale akurat w tym momencie pojawił się Ugrael. „Znowu ten Arab!” – pomyślał Daniłow z wściekłością. Po twarzy Ugraela, płynnie omijając oczy i nos, błędziły wielkie uszy.

- Proszę siadać – powiedział Daniłow.
- Co pan zamówił? – zapytał Ugrael.
- Zdaje się, że cietrzewie z różną.

– To ja zamawiam ostrygi.

„Cietrzewie to niezły pomysł – rozważał Daniłow. – Doskonały pomysł! Żeby tylko miały chrupiącą skórkę i żeby podano mi do tego marynowane grzybki...” I nagle, przerywając marzenia o cietrzewiach, czyjaś ręka chwyciła go za kołnierz (takie przynajmniej odniósł wrażenie, bo kołnierzyk koszuli wpił się w gardło jak pętla) i powlokła w niewiadomym kierunku. Daniłow dyndał nogami w powietrzu, rękami wykonując nieskoordynowane ruchy, ale uścisk bynajmniej nie zelżał i skutki szamotania się były wręcz odwrotne: dostał czymś ciężkim w głowę i stracił na sekundę przytomność. A kiedy ocknął się, stwierdził, że siedzi na twardym krześle, skrupowany mocnymi pasami. „Też pomysły!” – oburzył się nie na żarty.

Ujrzał przed sobą czarne ściany, na których tu i ówdzie zapłonęły ogniste słowa: „Godzina Zero! Godzina Zero! Godzina Zero!” Słowa skakały, płąsały, nacierały na niego, powiększając się w mgnieniu oka i rozżarzając do oślepiającej bieli. Następnie rozległo się przeraźliwe, nieznośne wycie, a gdy ucichło, zbladły i zniknęły ogniste litery. Daniłow wraz ze swym krzesłem znalazł się w sali z wysokim sufitem, podobnej do sali wykładowej w ich liceum. Początkowo sala była pusta, ale oto w miejscu, gdzie powinna stać katedra, ukazała się mała postać. „Pan Walenty!” – zrozumiał Daniłow.

Pan Walenty miał na nosie te same cwikiery, które Daniłow zapamiętał z czasów wizyt u duchów na Argunowskiej. Wtedy jednak pan Walenty nosił kurtkę, którą zastąpiła teraz stara bluza przepasana jedwabnym sznurkiem i nadająca mu wygląd powiatowego buchaltera. W rękach pan Walenty trzymał wiadro na śmieci, miotłkę i szufelkę. Daniłow był zdziwiony: ogniste litery oznajmiły już o sędzie ostatecznym, tymczasem wszystko wskazywało na to, że ma miejsce jakieś drobne niedopatrzenie: widocznie zapomniano o uprzątnięciu sali i oto teraz, przed pojawieniem się trybunału, wypuszczono na scenę pana Walentego z miotłką i wiadrem. Pan Walenty pracował sumiennie; dawniej, na Ziemi, przynajmniej w rozmowach z Daniłowem, mógł pozwalać sobie na różne złośliwości, ale tutaj całym wyglądem i każdym gestem starał się podkreślić mizerność swej osoby, pokazać (ciekawe komu?), że dobrze wie, gdzie jest jego miejsce. Daniłow nawet zlitował się na chwilę nad biednym eks-kurierem: „Znęcają się nad tym biedakiem, a może jest jedynym żywicielem gromadki anemicznych dzieci... Wcale nie lepszy jego los od mojego...”

Nagle rozległ się huk detonacji, tak jakby pan Walenty nastąpił niechcący na minę. Daniłow utrzymał się na krześle wyłącznie dzięki pasom. Potem dym rozwiął się pomału; pan Walenty stał w tym samym miejscu, ale był już niepodobny do siebie. Zmieniał się w oczach, pyszczek szarego buchaltera przybrał całkiem inny, władczy wyraz, stwardniały rysy, zniknęły cwikiery, zamiast bluzy ukazał się mundur galowy ze złotymi galonami; dawny pan Walenty wyrósł, poszerzył się w klatce piersiowej i w pasie – i oto stanął przed Daniłowem surowy, wszechpotężny naczelnik Kancelarii do Spraw Tamtego Świata.

Daniłow poczuł, że pieką go oczy: znowu, tak jak u duchów na Argunowskiej, metamorfozie pana Walentego musiało towarzyszyć intensywne wydzielanie się gazów łzawiących. A więc wiadomo już teraz, kim jest pan Walenty! A więc sam naczelnik zajmuje się sprawą Daniłowa i analizuje osobiście jego błędy! Analizuje tak skrupulatnie, że traci na to całe miesiące!... Musiało zafrapować go życie skromnego altowiolisty, skoro wytrwale uprawiał te polowania i dołożył tylu starań, żeby ukraść altówkę Albaniego. Zainteresowała Daniłowa osoba naczelnika: widocznie sprawiało mu przyjemność długie przebywanie w skórze marnego stworzenia, dziadka na posyłki, z równoczesnym zachowaniem świadomości, że nadejdzie pora – i rozlegnie się ten straszliwy grzmot, spadną cwikiery, polecą w kąt miotła i on, potężny dygnitarz we własnej osobie, groźnym spojrzeniem przeszyje Daniłowa na wylot...

Pan Walenty – Daniłow nie mógł już nazywać naczelnika inaczej – ciągle jeszcze patrzył na niego surowym wzrokiem, choć i bez tego zrobił odpowiednie wrażenie. Stwierdziwszy, że wystarczy i że czas zaczynać, pan Walenty zrobił ruch ręką, jakby naciskał guzik. Oznaczało

to dla Daniłowa początek końca. W sali płonęło niebieskie światło elektryczne podobne do światła lampy, jaką pamiętał z czasów dzieciństwa (nagrzewano mu zatoki, gdy miał katar); to niebieskie światło gęstniało, przygasało i Daniłowa ogarniał smutek. Krzesło zachybotało pod nim, podskoczyło, pomknęło w dół, następnie w prawo i do góry, jak gdyby było częścią składową szaleńczej karuzeli z wesołego miasteczka, przeciwwskazanej ludziom chorowitym lub cierpiącym na zaburzenia równowagi. Krzesło wirowało coraz szybciej i Daniłow cieszył się nawet, że pasy trzymają go tak mocno, choć zaledwie przed chwilą wydawały mu się obrzydliwe jak kajdany czy więzienne łańcuchy. Był pewien, że teraz tylko te pasy są w stanie go uratować.

Czuł się tak paskudnie, że wolałby zginąć. Wszystko mu obrzydło.

Ale oto krzesło uderzyło w coś twardego, tak jakby znalazł się pod nim bruk lub bierwiona, oderwane od tratwy i krążące z wolna w zatoce. Szybkość ruchu zaczęła maleć i światło przestało być takie gęste i straszne. Migwały przed oczami jakieś twarze, niektóre zdołał rozpoznać. Oto ukazała się niebieska twarz zastępcy pana Walentego do spraw przestrzegania przepisów, przemknęły oblicza urzędników kancelarii ze świty naczelnika, mignął dygnitarz z Kancelarii Porządku, potem dwaj weterani z rzepami w klapach mundurów oraz uczeni mężowie, a wśród nich Nowy Margeryt. Wszyscy mieli spojrzenia nieprzejednane, czytało się w nich gotowość wymierzenia zasłużonej kary.

Krzesło uspokoiło się nieco, ale nie zamarło w miejscu. Daniłow odniósł wrażenie, że fotele (a może sofy), na których spoczywają jego sędziowie, też płyną albo wirują w przestrzeni. Słyszał dawniej, że procesy połączone z rozstrzygnięciem losów lub ukaraniem szczególnie ciężkich wykroczeń przebiegają w sposób najróżniejszy: czasami w całkowitym mroku, gdzie nic nie widać, tylko słyszać głosy, czasami w pomieszczeniach przypominających sale sądowe na Ziemi, z przestrzeganiem całego proceduru przewidzianego kodeksem i tradycją konkretnego kraju, niekiedy zaś w gabinetach naczelników – a wówczas mają postać straszliwej awantury z wrzaskiem i waleniem pięścią w biurko, bądź też w scenerii historycznej, w odpowiednich do epoki strojach, z ukazaniem delikwentowi narzędzi tortur: koła, dyb, gilotyny lub rozżarzonych kleszczy, choć żadnego z tych narzędzi nie używano do tortur, służyły jedynie stwarzaniu nastroju grozy. Widocznie w jego przypadku tak się stało, że przypadła mu w udziale ta obrzydliwa karuzela.

Światło padło na twarz pana Walentego. Wyprostował się i rzekł:

– Rozstrzyga się los pozwanego. Ranga i stanowisko: demon na umowie. Zatrudniony na Ziemi pod pseudonimem: Włodzimierz Daniłow.

Rozległ się huk nowej detonacji, jakby zapowiadając, że głos ma następny mówca. Głos zabrał zastępca naczelnika do spraw przestrzegania przepisów: jał mówić powoli, uroczyście i z wyrzutem.

Mówił długo, wniknął w szczegóły, analizował charakter wykroczeń, potępiał naganny styl życia, nieprawomyślność oraz pretensje Daniłowa – a wszystkie te zarzuty sklasyfikował w siedemdziesięciu trzech punktach. Nadmienił przy tym, że wypada wspomnieć gwoli sprawiedliwości, iż nie posądza się Daniłowa o żadne malwersacje, wręcz przeciwnie – stwierdza się fakt, że dysponował funduszem reprezentacyjnym nader oszczędnie. Nie zmienia to wszakże postaci rzeczy: oskarżony dopuścił się zlekceważenia wielu paragrafów umowy podpisanej przez siebie krwią pochodzącą z pionowej błękitnej żyły, a przecież tylko dzięki tej umowie nie odebrano mu uprawnień demonicznych. Łamie przepisy nawet teraz, po wezwaniu do Dziewięciu Sfer i oznajmieniu mu Godziny Zero. Wykroczenia te wprawdzie nie wnoszą nic nowego do ukształtowanej opinii o jego osobie, wiadomo bowiem, że spowodowane są napiętą sytuacją i ciągłą szarpaniną, a zatem można go w tym względzie zrozumieć. Niestosowanie się do umowy samo w sobie jest niegroźne (nie dla Daniłowa, rzecz jasna, lecz dla Dziewięciu Sfer) i łatwo można temu zaradzić w trybie służbowym. Daniłow został już swojego czasu ukarany i skierowany do pracy wśród duchów, tak więc

teraz również byłby ukarany za swoje wybryki z całą surowością, gdyby miało to jakiś sens. Problem nie polega jednak wcale na nieprzestrzeganiu umowy.

Sedno sprawy, ciągnął zastępca naczelnika, wydaje się tkwić w tym, że Daniłow, jak wskazują jego inklinacje i całe postępowanie, zapragnął być w większym stopniu człowiekiem niż demonem. Trudno powiedzieć, czym to jest spowodowane – może pozwany widzi w tym jakąś korzyść, a może nie zastanawia się nad sobą. Niemniej nawet takie indywidualum mogłoby być w jakimś stopniu przydatne – zaszeregowano by je na określonych warunkach i pozwolono na korzystanie z niektórych uprawnień demonicznych, tyle że w przypadku Daniłowa ma już, niestety, miejsce albo wnet nastąpi zachwianie odpowiednich proporcji. I jeszcze jedna rzecz. Gdyby Daniłow był przede wszystkim człowiekiem i tylko w znikomym stopniu demonem, rozmawiano by z nim inaczej, tymczasem pozostaje przede wszystkim demonem, niepełnowartościowym wprawdzie, bo z nieprawego łoża, ale jednak. I oto teraz, zwłaszcza ostatnimi czasy, zaszły istotne zmiany uwarunkowane trybem życia, jaki prowadził na Ziemi, oraz podatnością jego natury na wpływ otoczenia. Przyczyn należałoby szukać w cechach odziedziczonych przez niego po matce, jarosławskiej chłopce. Zresztą zmiany to za słabe słowo – nastąpił istny przewrót genetyczny: długo walczyły w nim ludzkie geny, aż wreszcie dały o sobie znać. Mało tego: uwierzył ostatnio, że jest wybitnym muzykiem, i zaśpiewując się muzyką jak tarczą chce odseparować się całkiem od Dziewięciu Sfer, a może nawet być ponad wszystko.

– Ależ co ma z tym wspólnego muzyka? – nie wytrzymał Daniłow.

Zastępca naczelnika zignorował jego pytanie i powiedział, że przykre wrażenie sprawia nie tylko Daniłow jako taki: wielce szkodliwy jest sam jego przykład. Ugrzązł w ziemskim bagnie, uległ ludzkim pokusom, poszedł po linii najmniejszego oporu i de facto służy teraz ludziom...

– Macie na to dowody? – zapytał Daniłow wyniośle i zdziwił się samemu sobie: po co on właściwie staje okoniem?

– Będziemy mieli – dobiegł spokojny głos pana Walentego.

Daniłow od razu stracił animusz. Jasne, że będą mieli.

– Reasumując – kontynuował zastępca – Daniłow jako demon powinien być bezwarunkowo zdyskwalifikowany.

„Zrobią ze mnie człowieka?” – pomyślał Daniłow.

– Ale – ciągnął zastępca – zrobienie z niego zwyczajnego człowieka byłoby również krokiem nierozsądnym. Byłby to zbyt uproszczony wariant rozwiązania problemu. A zatem nie będzie Daniłowa – człowieka. Przesłanego musi zostać ukarany. Proponuję więc w ogóle pozbawić Daniłowa jaźni i skazać na wieczne zapomnienie.

Zgasła aureola wokół zastępcy naczelnika i nikt nie ukazał się na jego miejscu.

– Obrócić w proch! – zawołał czyjś znajomy głos.

Nikt go jednak nie poparł. Krzesło wraz z Daniłowem pływało i wirowało w powietrzu, ale wokół była cisza.

– No cóż – przemówił pan Walenty – przejdźmy do pokazu materiałów wizualnych, dotyczących życia Daniłowa. Moglibyśmy skrócić proces postępowania, jako że sprawa jest ewidentna, ale zebranych mogą interesować materiały i dowody rzeczowe.

„Co za koszmar! – myślał zmartwiony Daniłow. – Zaraz wszystko pokażą! Podpatrywali mnie pewnie nawet w toalecie i teraz mogą to wyświetlić... Och, żeby się to skończyło czym prędzej, przecież wszystko i tak jest jasne jak na dłoni!”

Wiedział, że jego los jest przesądzony. Nie miał już sił, by przeciwstawiać się cemukolwiek, a zresztą nawet nie chciał.

– Nim przejdziemy do pokazu materiałów, chcielibyśmy zadać oskarżonemu jedno pytanie. Jest bowiem pewna sprawa, która wymaga wyjaśnienia. Udzieli nam pan odpowiedzi?

– Udzielę – powiedział Daniłow z rezygnacją.

– Najpierw proszę posłuchać – zaproponował pan Walenty, zwracając się widocznie do ogółu zebranych.

Dźwięki, które zabrzmiały natychmiast po tej zapowiedzi, przyprawiły Daniłowa o zdumienie, a równocześnie wydały się bardzo znajome. „Gdzie ja to słyszałem?” – myślał. Bliski załamania, będąc o krok od kapitulacji, miał jednak przeczucie, że jeśli odgadnie, co to za dźwięki, tym samym odmieni swój los. Dźwięki były chwilami nerwowe i jakby zmęczone, ale od czasu do czasu przebijała w nich niezwykła siła. Niektóre z tych dźwięków istniały niezależnie od siebie, inne układały się nieoczekiwanie w harmonijne szeregi, a wszystkie razem – zarówno te osamotnione, niezależne, jak i zgrupowane w pośpieszne, urywane frazy – łączyło niewątpliwie coś wspólnego. „To muzyka! – odgadł wreszcie. – Jestem pewien, że to muzyka!” Rzecz polegała nie na tym nawet, że sporą część tych dźwięków wydawały normalne, rozpowszechnione na Ziemi instrumenty; gdyby ich źródłem były skrzydła wiatraków, sikawki strażackie czy, powiedzmy, trąby powietrzne unoszące kurz nad żółtą planetą – nawet wówczas nie ulegałoby wątpliwości, że jest to muzyka, ponieważ wszystkie jej elementy były podporządkowane obowiązującym w muzyce prawom. „Gdzieś już to słyszałem – powtarzał sobie. – Dziwna muzyka, ale bardzo ciekawa!” Nawet obecny przykry stan psychiczny nie przeszkodził mu w stwierdzeniu, że technika odtwarzania dźwięku godna jest podziwu... Nagle usłyszał temat muzyczny z finału *Ronda* Jeana Marie Leclaira; migracjom motywów polifonicznych przewodziła najpierw wiolonczela, po chwili nieśmiało, z cichą kojącą nadzieją, włączył się w tok rozmowy bambusowy flet sjakuchati – i Daniłow o mało nie wyskoczył z krzesła, o mało nie rozerwał pasów. Zrozumiał wszystko: to była jego muzyka! Jego kompozycja! „Ach, tak! Tak sobie poczynacie!” – myślał.

Z polecenia pana Walentego odtwarzano w tej chwili muzykę wewnętrzną, którą komponował Daniłow na własny użytek, a która służyła mu do wyrażania całokształtu myśli. Nie poznał jej od razu, ponieważ brzmiała dotąd w głębi jego istoty, w nim samym, i dopiero dziś po raz pierwszy stał się jej odbiorcą.

Słyszał ją nie tak, jak się słyszy z jamy orkiestrowej; czuł się niczym słuchacz zasiadający w dziesiątym rzędzie Wielkiej Sali Koncertowej Filharmonii Moskiewskiej. Pojawienie się tematu z *Ronda* Leclaira zdziwiło go dlatego, że ostatnio dążył do maksymalnej samodzielności i bronił się przed każdym zapożyczeniem. Stwierdził jednak, że wykorzystanie tematu z utworu dawnego mistrza o niczym złym nie świadczy: sparafrazował go przecież, rozbudował i powierzył wiolonczeli.

„Kiedyż to myślałem tak i czułem?” – zastanawiał się przez chwilę, aż nagle zrozumiał: w czarnej Studni Oczekiwania! Tak jest, właśnie tam. A więc nagrali to wszystko! Dobrze, ale po co teraz odtwarzają? Co zamierza wyjaśnić w ten sposób pan Walenty? Wreszcie przyszło mu do głowy: „Stracili rozeznanie. Nie mogli zrozumieć, co takiego odebrały i zarejestrowały ich czułe przyrządy. Próżne starania, żaden z nich tego nie zrozumie!” Wiedział, że może się mylić i nie docenia ich możliwości, mimo to, słuchając w upojeniu własnej muzyki, pozwalał sobie na ten krótki, moment triumfu.

„O, właśnie teraz zjawił się w Studni pan Walenty z miotłą, w walonkach i kaloszach – wspominał Daniłow. – Za chwilę wysiąka nos i zacznie szurać miotłą po asfalcie...” Nie usłyszał jednak ani siąkania pana Walentego, ani jego westchnień, brzmiała tylko okaryna i w nieregularnych odstępach czasu uderzała pałeczka w białą skórę wielkiego bębna. Odszedł pan Walenty – tamten, dawny, ze Studni – i okaryna chlipnęła cicho na pożegnanie.

Potem oszołomiły Daniłowa wizje, krążyły wokół galaktyki i wszechświaty, nacierały istoty rzeczy i zjawisk, i było mu odkryte poczucie wieczności, wykarczowane później z jego pamięci. Wszystko to rodziło muzykę, w której brzmiał głos jego duszy. I teraz tej muzyki słuchał...

Czasami na dźwięki – wierne odzwierciedlenia jego myśli i uczuć – nakładały się melodie, powołane przez niego do życia świadomie, jako protest przeciwko panującej w Studni Oczekiwania grobowej ciszy: brzmiały tematy z symfonii Pierieslegina, potem sekstet klasyczny grat *Passacaglia* Haendla. Czasami słyhać było tykanie zegara – to Daniłow prowadził na własny użytek rachubę czasu. Obserwatorom zabrakło rozeznania: zarejestrowali dwie warstwy powstających w jego mózgu dźwięków, odtworzyli je równocześnie i w miejscach, gdzie się te warstwy nakładały na siebie, jakoś dźwięku była nieco gorsza, rozlegały się szумы i trzaski. Żadne zakłócenia nie mogły jednak przeszkodzić mu w odbiorze muzyki jako takiej.

Czuł się zaskoczony, a równocześnie cieszyła go ta muzyka. Niektóre zestawienia dźwiękowe budziły protest, ale wkrótce doszedł do wniosku, że tego typu zestawienia są po prostu na razie zbyt nowe. Dobre sobie! Sam powołał te dźwięki do życia, a teraz się dziwi! Przecież robił to świadomie, przecież sprawiało mu przyjemność łączenie dźwięków nieoczekiwanych, kiedy to waltorniom kazał zderzać się z sitarami, wychwytywał tony najwyższe, najbardziej nietypowe... „O nie, coś w tym na pewno jest! – myślał. – Gdyby zagrać to w innym miejscu, kto wie, może mógłbym liczyć na zrozumienie...” Muzyka nabierała czasami tragicznego brzmienia, nawet pauzy – częste i długie – oddawały napięcie i przerażenie, ale były w niej energia i wiara, były też wyraźne odgłosy spokoju i nadziei. Zachował całkowitą swobodę w doborze środków wyrazu i źródeł dźwięku: nawet instrumenty, którym przedtem niezbyt ufał – saksofon tenorowy, pianino elektryczne, organki, syntezator – okazały się w Studni Oczekiwania przydatne.

Skrzypce podjęły melodię taneczną – i nagle metaliczny trzask, przypominający pstryknięcie wyłącznika, przerwał muzykę.

– Koniec – powiedział pan Walenty, po czym zwrócił się do Daniłowa: – Co to jest?

– Jak to co? – zdziwił się Daniłow. – O czym pan mówi?

– Mówię o tym, czego zmuszeni byliśmy przed chwilą wysłuchać.

– Nikt nikogo nie zmuszał.

– Proszę o zachowanie należytej powagi. A więc co to było?

– Muzyka.

– Jak pan powiedział?

– Muzyka – twardo, wyniośle nawet, powtórzył Daniłow.

– Dobrze – odparł pan Walenty. – Załóżmy, że muzyka. To znaczy pan tak sądzi. Ale dlaczego ta muzyka brzmi w pańskim mózgu – i to tak, jakby mieścił pan w środku całą orkiestrę składającą się ze stu instrumentów?

– To jest główna sprawa, którą chciał pan wyjaśnić?

– Proszę odpowiadać na pytania – rzekł surowo pan Walenty.

– Przecież jestem muzykiem – powiedział Daniłow. – Jestem opętany. Sam przez to cierpię, ale muzyka żyje we mnie ciągle. Nic na to nie poradzę. To istna męka. A co się tyczy takiej ilości instrumentów i głosów – trudno, jestem muzykiem zdolnym.

– Ależ to bardzo dziwna muzyka – zauważył pan Walenty.

– Każda nowa muzyka wydaje się dziwna – odparł Daniłow. – Potem, – w miarę upływu czasu, zaczyna być banalna. Muzyka, której panowie słuchali, jest właśnie nowa. Proszę wybaczyć, ale to moje własne kompozycje. Komponowanie muzyki stało się ostatnio moją pasją, czymś w rodzaju choroby. Możliwe, że jestem grafomanem muzycznym, ale powstrzymać się już nie potrafię. Czasami bywa tak, że rozmawiam z kimś czy coś robię, ale myślę o swoim – komponuję. Tak jak teraz – mówię do szanownego gremium i czuję, że rodzi się we mnie muzyka. Nie jestem w stanie temu przeszkodzić.

„Znowu zanotują moje myśli” – przemknęło mu w głowie.

– Czy przypomina sobie pan, w jakich okolicznościach powstała muzyka, której wysłuchaliśmy przed chwilą? – zapytał pan Walenty.

– Tak – odpowiedział Daniłow. – W Studni Oczekiwania.

– Jest to reakcja dźwiękowa na to, co zobaczył pan i przeżył?

– Niezupełnie. Powiedziałbym, że jest to raczej muzyka niezależna. Oczywiście, wiele tam zobaczyłem i o wielu rzeczach myślałem. O jakich – panowie dobrze wiedzą. A równocześnie komponowałem. Taką już mam naturę.

– On komponuje nawet w tej chwili! Nie komponuje – kombinuje! – zawołał niecierpliwie jeden z demonów. – To, co słyszeliśmy, nie może nazywać się muzyką! Sam grałem kiedyś na cembalo i klawikordzie. Nie ma w muzyce takich dźwięków i być nie powinno!

– Mam na myśli muzykę prawdziwą – odparł Daniłow. – Jej zasoby dźwiękowe są nieograniczone. Właśnie te zasoby chcę wykorzystać.

– Wszystko, co zostało nam zaprezentowane, to nie muzyka, to wytwór chorej wyobraźni! – pieklił się oburzony demon z rzepem w klapie. – Weźmy na przykład choćby ten fragment...

Włączył nagranie w miejscu, które go szczególnie zirytowało.

Daniłow poczuł się niemal znieważony. Coś podobnego! Wtwór chorej wyobraźni! Czy zrozumieli bodaj cokolwiek? Przecież w jego muzyce (po wysłuchaniu nagrania był tego pewien) nie brak tematów całkiem przystępnych, o wyraźnie rozbudowanej linii melodycznej, zdarzają się też momenty bardzo dowcipne, frazy maksymalnie klarowne, utrzymane w okresach cztero- i ósmiotaktowych, są nawet motywy taneczne, a więc gdzie tu nieład, gdzie chora wyobraźnia? Oczywiście są też miejsca bardzo trudne, ale to akurat, które mu wytknął amator gry na cembalo, do trudnych nie zalicza się bynajmniej.

– Cóż w tym niezwykłego? – zawołał z żarem. – Muzyka na Ziemi zna tego typu utwory od początku bieżącego stulecia. To wcale nie mój wynalazek, mój jest tylko temat przewodni. Wykorzystałem zasadę dodekafonii, czyli techniki dwunastotonowej – równoznaczność szeregu wyjściowego z jego modyfikacją, ruchem wstecznym oraz modyfikacją ruchu wstecznego. Zasadą przebiegu utworu – tak poziomą, jak i pionową – staje się w takim przypadku seria dwunastu tonów, z których żaden nie może wrócić przed wyczerpaniem pozostałych jedenastu, oraz tej serii przewroty i odmiany. Jest taka łacińska figura logiczna: „Sator Arepo tenet opera rotas”. Oznacza to mniej więcej: „Oracz Arepo starannie prowadzi sochę”. Wystarczy napisać to zdanie w pięciu liniijkach i czytać jako bustrofedon, to znaczy zgodnie z ruchem wołu zawracającego w orce – od lewej ku prawej, potem od prawej ku lewej i tak dalej – zdanie pozostanie niezmiennie. Tak i mój oracz prowadzi sochę w tym fragmencie muzycznym...

– Dość – przerwał mu pan Walenty. – Dalsze rozprawianie o muzyce nie ma sensu.

– Przepraszam – oburzył się Daniłow. – Skoro posądza się mnie o nieudolność, jestem, zmuszony...

– Powiedziałem: dość – uciął brutalnie pan Walenty. – Koniec.

Zamilkł. Daniłow widział, że pan Walenty, choć minę ma groźną, jest wyraźnie zdezorientowany. Pauza trwała nieco za długo – naczelnik albo spodziewał się nowych materiałów czy też komunikatów, albo przeprowadzał naradę ze swoją świtą. „Nic do nich nie dotarło! – myślał Daniłow. – Nawet wyjaśnienia nie pomogły! Ten fragment dodekafoniczny był dla nich zanadto ścisły i dlatego wydał się im nudny jak wzór matematyczny, ale tylko profan mógłby wykreślić go z muzyki. Profanom popuszczać nie wolno!”

– A zatem – rzekł wreszcie pan Walenty – przekonał się po wysłuchaniu tych nagrań, że świadczą one niezbicie o jednym tylko fakcie. W Studni Oczekiwania Daniłow miał do czynienia z wizjami i z imitacją wydarzeń, które zarówno u demona, jak i u człowieka powinny wywołać odpowiednie reakcje. Mam na myśli tak reakcje zwyczajne, codzienne, jak i te nadrzędne, związane z pojmowaniem istoty świata. Otóż stwierdza się definitywnie, że w Studni Oczekiwania wszystkie parametry reakcji Daniłowa – tok myśli, pulsacja krwi, impulsy biologiczne i tak dalej – wskazują na to, że znowu zachował się jak człowiek. Tak

zwana muzyka, której wysłuchaliśmy przed chwilą, jest dodatkowym dowodem na to, że zjawiska drogie sercu każdego demona przyprawiały go o dreszcz lub wręcz budziły protest.

– Jaki dreszcz, jaki protest? – nie wytrzymał Daniłow. – I co ma z tym wspólnego moja muzyka? Przeanalizujcie ją dokładnie!

Zdziwił się własnemu zuchwalstwu – obudziło się w chwili, gdy usłyszał swoją muzykę i znowu poczuł się artystą. Z jakiej racji artysta ma obawiać się na przykład pana Walentego? Rozumiał, że za chwilę zostanie przeprowadzona ścisła analiza nie tylko melodii, ale i każdej nuty z osobna, że analiza będzie poparta dowodami matematycznymi i że wskaże mu się dokładnie miejsca, w których wspomniany protest znalazł jednoznaczny wyraz. Mimo to milczeć nie mógł.

– Rozmowa o muzyce została zakończona – oznajmił pan Walenty. – Zresztą epizod ze Studnią Oczekiwania to taki sobie drobiazg, ostatni sprawdzian, bez którego z powodzeniem można by się obejść. Przejdźmy do innych dowodów. Zaczynamy pokaz.

Ruch krzesła, na którym siedział Daniłow, został wstrzymany. Był już po prostu widzem – przedtem słuchacz, teraz widz. Ale jakkolwiek muzyki swej był pewien, obecnie należało spodziewać się nieuniknionej konfuzji: kadry z jego udziałem mogły okazać się skandaliczne. „Trudno, niech sobie oglądają, skoro leży to w zakresie ich obowiązków. Niech oglądają!” – powtarzał w duchu, a mimo to znowu posmutniał.

Tymczasem rozjaśniła się przeciwległa ściana, coś pstryknęło i popłynęły ruchome obrazy wzbogacone w efekty dźwiękowe i zapachowe. Znowu Daniłow mimo woli musiał stwierdzić, że jakość projekcji jest doskonała: żaden pyłek nie uszedł uwagi widzów, żaden szmer i najsubtelniejszy zapach; powiedzmy, gdy pokazywano, jak odwiedzał panią Styszkowską chcąc zobaczyć jej domowy zwierzynek, zapach wylęknionej papugi różnił się wyraźnie od zapachu sajańskiej wiewiórki. Na ekranie było realne życie w całej jego przedmiotowości; gdyby nie kłępujące Daniłowa pasy, wystarczyłoby zrobić krok i wejść w to życie, stać się własnym sobowtórem. Tylko po co?...

Projekcji towarzyszyły komentarze pana Walentego oraz jego zastępcy. Od czasu do czasu wstrzymywano poszczególne kadry i członkowie komisji zadawali pytania, na które naczelnik i jego zastępca udzielali wyjaśnień wodząc po zatrzymanym kadrze długim kijkiem. Daniłowa co chwila przywoływano do porządku, ponieważ zdradzał chęć stawiania sprzeciwu i nie podzielał opinii naczelnika. Początkowo na ekranie pojawiały się same niewiele znaczące epizody, takie choćby, jak przypadek z nauczycielem geografii, któremu Daniłow przed wyruszeniem w Andy wyświadczył drobną przysługę.

– Gest typowo ludzki – skomentował pan Walenty. – Świadczy o miękkim sercu.

– Dlaczego? – podskoczył Daniłow. – Zapomina pan chyba o tym, że alkohol to wróg ludzkości! Po prostu skorzystałem z okazji i nie wykraczając poza przyjęte na Ziemi formy zaaplikowałem temu biedakowi sporą dawkę trucizny! To mało?

W podobny sposób wywalczył zaliczenie mu na konto zasług pożaru domu wczasowego na Planerskiej. Incydent z duchem Grzegorzem i grypą wirusową wytłumaczył jako próbę rozpętania epidemii na szerszą skalę. „A to? Co to ma oznaczać?” – zawołał nerwowy członek komisji z rzepem w kłapie, kiedy ukazał się na ekranie Daniłow prowadzący przez ulicę ślepą staruszkę w pobliżu stacji metra „Szczerbakowska”. Tego przypadku Daniłow nie pamiętał – mało to staruszek zdarzało mu się przeprowadzać przez ulicę! – pomyślał więc, że widocznie brakuje im dowodów, skoro wytykają mu takie drobiazgi. Na pytanie nerwowego członka komisji odpowiedział wprost: „To jestem ja, pomagam staruszce przejść przez ulicę”. – „Ach, tak, staruszce pan pomaga! Ciekawe, jak się pan teraz wykręci?” – „Śmiem twierdzić, że zarówno pańskie zdenerwowanie, jak i cały ten pokaz są pozbawione wszelkiej logiki – powiedział Daniłow. – Któż by miał do mnie zaufanie, gdybym żyjąc na Ziemi nie stosował się do elementarnych ludzkich zasad?”

Argument ów, jak się zdawało, sprawił na panu Walentym pewne wrażenie. Dodał nawet: „O staruszki też trzeba dbać, żeby mocniej siedziały młodym na karku”. Na tym skończyła się demonstracja drobnych epizodów. Osobom odpowiedzialnym za selekcję materiału z pewnością groziła nagana: jak można traktować w ten sposób demona, któremu regulamin pracy nakazuje udawać człowieka w każdym calu!

Następnie zaprezentowano audytorium sporo scen z moskiewskiego życia Daniłowa (między innymi scenę przymierzania australijskiej bielizny dla Klaudii i kolejkę w poczekalni chłopobudów); potem zasnuły widownię kłęby dymu wydostające się z baru przy ulicy Korolowa, do przykrych zapachów dołączył mieszany smród piwa, oparów alkoholowych, wędzonej ryby, klozetu, aptecznej mikstury... Członkowie komisji podążali za Daniłowem do jamy orkiestrowej, jechali razem z całą orkiestrą trasą występów gościnnych... Ze szczególnym zainteresowaniem, może nawet ze współczuciem, obejrzano niektóre epizody jego poprzednich romansów; padały przy tym niekiedy pochlebne komentarze, a wszystkie dotyczyły romansów bardzo dawnych, z okresu poprzedzającego znajomość z Klaudią. Daniłow z dreszczem oczekiwał pojawienia się na ekranie Nataszy, ale zarówno Nataszę, jak i Karmadona na razie pominięto. Może komisja w ogóle nie zamierzała poruszać spraw związanych z Karmadonem, a może wolała z tej części materiału zrobić użytek w ostateczności. Pozostawało więc uzbroić się w cierpliwość.

Odtwarzane kadry ilustrowały życie realne, niemniej Daniłow, obyty z umownością sztuki, czuł się tak, jakby oglądał jakiś film, spektakl czy widowisko eksperymentalne. Obserwował ze zdumieniem swoich znajomych, jak obserwuje się aktorów. Sobie, rzecz jasna, dziwił się również. Widok własnej osoby na ekranie zmartwił go niezmiernie: inaczej wyobrażał sobie własną powierzchowność i sposób bycia – w każdym razie nie tak, jak to zobaczył. „Co za gęba! – myślał. – A chód!...”

Oskarżono go o to, że mając do dyspozycji wszelkie dostępne demonowi środki, nie dopuścił do zatonięcia czterech statków na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. „Czterech? A ten czwarty to który?” – zapytał udając, że nie pamięta. Przytoczono dokładne dane dotyczące lokalizacji: wypadek miał miejsce w pobliżu wyspy Sokotra, w odległości dziesięciu mil od portu Hakari; zademonstrowano niezwłocznie kadry ukazujące niespodziewane nadejście ratunku. Postawiono mu także zarzut, że w dżungli afrykańskiej udzielił pomocy walczącym tubylcom, spragnionym (w ich pojęciu) wolności i sprawiedliwości, a napadniętym przez uzbrojonych po zęby najemników. „To łotry!” – zawołał Daniłow, ale audytorium nie bardzo rozumiało, kogo tym mianem określa – napadających czy napadniętych – i jaki sens nadaje swemu określeniu. Co do pomocy, okazał ją zupełnie przypadkowo: lecąc nad dżunglą zobaczył, że dzieje się tam coś skandalicznego, no i nie wytrzymał... Natychmiast po tym oświadczeniu oskarżono go o zbytnią troskliwość w stosunku do środowiska naturalnego i zabytków architektury w ostatniej fazie związku z Anastazją, kiedy to przez dłuższy czas nie zanotowano żadnych ruchów tektonicznych, nic nie uległo zburzeniu i nie wyleciało w powietrze. Sprostował z odcieniem urazy w głosie, że są to sprawy natury prywatnej, intymnej, i że nikt nie może wiedzieć, o czym wtedy myślał, najważniejszą zaś rzeczą była dla niego zawsze uczciwość stosunków osobistych, a nie jakieś tam środowisko naturalne. Następnie padło pytanie: dlaczego w takim razie znalazł się w Islandii, czyli wcale nie na swoim terenie, kiedy miał tam miejsce wybuch wulkanu, i dlaczego tak pokierował strumieniami lawy, że ominęły wioskę rybacką? „Do Islandii trafiłem przez przypadek – wybąkał – akurat miałem gorączkę, bo wszyscy w teatrze chorowali na gripę... Widocznie

coś mi się pomyliło, zresztą piłem poprzedniego dnia i głowę miałem jak bania... Sam nie pamiętam, jak to było...” Przypomniano mu jeszcze kilka przykładów z tejże serii – i nie tylko z tej. Okazało się, że sporo ostatnimi czasy nabroił (pan Walenty nie zastanowił się widocznie używając tego słowa): dzięki jego staraniom powrócili do zdrowia chorzy, którym pisana była śmierć lub trwałe kalectwo; po premierze opery *Martwe dusze* w Teatrze Wielkim urządził w Sokolnikach cały fajerwerk; zachowując się niby to jak obiektywny kibic, nie pomógł Spartakowi pozostać w ekstraklasie – i tak dalej. „Niemożliwe! – zawołał. – Nie słyszałem o tym, że Spartak wyleciał!” W tym momencie nastąpiła mała konsternacja: jak się okazało, Spartak miał wylecieć z ekstraklasy dopiero za kilka lat, podobnie jak za kilka lat miała odbyć się premiera *Martwych dusz*, a więc posądzono Daniłowa o grzechy, których jeszcze nie popełnił, choć zamierzał popełnić w przyszłości. Skreślono zatem z listy zarzutów sprawy piłkarskie i przystąpiono do omawiania następnych, a było ich niemało. Usłyszawszy o planowanej budowie garaży spółdzielczych w zaułku Chochłowskiem, Daniłow zrobił wszystko, by nie doszło do zatwierdzenia projektu tego „szkaradziejstwa” (tak się kiedyś wyraził). W okresie nieurodzaju na cebulę użył wszelkich znanych mu podstępów, by pozostając, oczywiście, w cieniu, skłonić mieszkańców Rostowa Wielkiego do uprawy nowych odmian cebuli, w tym także słynnej odmiany dongańskiej, wskutek czego Rynek Kriestowski był wkrótce zavalony cebulą. Spędzając urlop na Wałdaju, zamienił w fuzjach myśliwych wszystkie naboje na ślepe. W rozmowach, zwłaszcza z dziećmi, podtrzymywał niezbyt pochlebne opinie o profesorze Sielskim-Anielskim, słusznie obalającym hipotezy o kosmitach. Zdolną papugę pani Styszkowskiej odzwyczaił od używania obelżywych wyrazów – i tak dalej, i tak dalej...

Na każdy z tych zarzutów usiłował dać wyczerpującą odpowiedź. Powiedział, na przykład, że mieszkańców Rostowa nakłonił do uprawy cebuli z pobudek typowo egoistycznych: bardzo lubi cebulę, ale na wystawanie w długich ogonkach nie ma czasu, dlatego wołał to jakoś zorganizować. Statki na Pacyfiku i na Oceanie Indyjskim uratował tylko po to, żeby mogły kiedyś zniknąć bez śladu w strefie Trójkąta Bermudzkiego. Papuga pani Styszkowskiej została po prostu ukarana, ponieważ używając przekleństw darła się w takiej tonacji, której on jako muzyk organicznie nie znosi...

– A profesor Sielski-Anielski – dodał – to zupełnie osobny rozdział: nikt nie dostarczył mi instrukcji w sprawie kosmitów...

– Wystarczy – przerwał mu pan Walenty.

– Jak to wystarczy? – nie rozumiał Daniłow.

– Na tym kończymy demonstrację dowodów rzeczowych – wyjaśnił naczelnik. – Ostatnie słowo należy do nas.

– Ależ... – nie dawał za wygraną Daniłow.

I wówczas dopiero zrozumiał wszystko. To rzeczywiście koniec. Za chwilę zostanie ogłoszony wyrok. O Karmadonie nie wspomniano ani słowem – i dlatego nie wspomniano też o Nataszy. Po cóż narażać się znowu i dalej denerwować sędziów? W każdej chwili mogą wspomnieć o tym, o czym dotąd milczeli. Nabrał więc wody w usta.

– Chciałbym podsumować wyniki dzisiejszych obrad – oznajmił pan Walenty. – Szanowna komisja zapoznała się z całą dokumentacją. Udzielane przez oskarżonego wyjaśnienia świadczą o energii i pomysłowości – to, co mówił, było niekiedy nader zajmujące. Ale wypowiedzi te bynajmniej nie idą w parze z tym, co o nim wiemy. Mam przed sobą wyniki badań specjalistycznych – z tymi słowy jął przytaczać liczby, wymiary krzywych, wielkości stałe, odchylenia od liliowej poziomej, stopnie impulsów brutalnych, wyniki pomiarów ustalających łuskowatość skrzydeł, hiperdybling infernalny – i tak dalej. – Wszystko to dowodzi niezbicie – podsumował – iż w momentach krytycznych cechują oskarżonego intencje i emocje, które należałoby określić jako typowo ludzkie. Komponowana przez niego muzyka również jest nam obca. Podtrzymuję zatem oznajmioną już na wstępie

form idę wyroku: Daniłowa, demona na umowie, należy pozbawić jaźni i skazać na wieczne zapomnienie.

„I kto to mówi? – myślał z goryczą Daniłow. – Wy, którzy ukradliście Albaniego!” Natychmiast jednak stłumił w sobie żal: według ich kryteriów kradzież altówki nie jest sprawą nieuczciwą. I po cóż teraz wspominać o altówce, skoro wyrok został ogłoszony i z jego wykonaniem władze na pewno postarają się nie zwlekać! Nieistotne, czy był kiedyś na świecie niejaki Daniłow, czy też nie było go wcale... Koniec.

– Pora teraz na wysłuchanie opinii członków komisji – rzekł pan Walenty.

Rozległy się głosy:

– Pozbawić jaźni!

– Pozbawić!

– Tak jest, pozbawić!

„Trzy głosy za pozbawieniem jaźni – liczył Daniłow – cztery... pięć...” Inne propozycje były mniej zdecydowane. Niektórzy proponowali złagodzenie kary: „Pozbawić nie jaźni, tylko świadomości i zesłać na pustynną planetę” („Ciekawe, czyj to głos miłosierdzia? – myślał Daniłow. – Czyżby Nowy Margeryt chciał udowodnić, że ma dobre serce?”). „Pozbawić jaźni, ale nie uśmiercać, niech żyje w jakiejś najbardziej prymitywnej melodii typu *Wlazł kotek na płotek*, może w wersji nieco unowocześnieonej, i melodię puścić w obieg” („O zgrozo! – drgnął Daniłow. – Trudno o gorszą karę! Niech już lepiej uśmiercą mnie na miejscu! Ach, żeby pozwolili mi po raz ostatni wziąć do rąk altówkę, bodaj na pół godziny!...”).

– Dziękuję – podsumował pan Walenty. – Większość członków komisji wypowiedziała się za pozbawieniem jaźni.

– Tak, ale wyrok powinien być zatwierdzony – powiedział nieznajomy baryton.

– Wiem o tym – odpowiedział pan Walenty takim głosem, jakby się poczuł niemal dotknięty.

Daniłow zobaczył naczelnika wprost przed sobą – tam, gdzie przed rozpoczęciem obrad komisji pan Walenty pod postacią zahukanego buchaltera zamiatał podłogę. Naczelnik zrobił kilka bardzo ostrożnych kroków – i po chwili rozwarła się przed nim podłoga, w której powstała ni to szczelina, ni to wąwóz. W dole rozbrzmiewał przytłumiony warkot. „Zaraz wtrąca mnie do tej szczeliny” – pomyślał Daniłow.

– Pozwalam sobie zwrócić się z prośbą o zatwierdzenie wyroku w sprawie Daniłowa, demona na umowie – przemówił pan Walenty. – Ostateczna wersja wyroku, przyjęta większością głosów przez komisję brzmi: pozbawić Daniłowa jaźni i skazać na wieczne zapomnienie.

Zamilkł. „Zepchną mnie tam, obrócą w proch, i to się stanie za moment...” – myślał Daniłow. W tym momencie dobiegł ze szczeliny ochryply cichy głos:

– Odroczyć.

Szpara w podłodze zniknęła. Zakłopotany naczelnik milczał. Wreszcie podniósł głowę i powiedział:

– Ogłaszam przerwę.

Wszyscy wstali z miejsc, Daniłow jednak nie mógł opuścić swego krzesła, nawet gdyby spadły pasy.

Krzesło, na którym siedział, uniosło się powoli; zobaczył przed sobą dużą, wyścieloną dywanami salę, podzieloną na dwie nierówne części drewnianą barierą. W większej części sali spacerowali i odpoczywali w miękkich fotelach członkowie komisji; toczyły się przed nimi na kółeczkach podświetlone stoliki barowe, na stolikach widniały słodczyce i szklanki z napojami, obok leżały przygotowane zawczasu fajki i zioła lecznicze. Pomyślano chyba o tym, że sędziowie mogą poczuć się zmęczeni lub potrzebować proszków od bólu głowy. Krzesło Daniłowa wylądowało po drugiej stronie bariery.

Nie mógł zapomnieć widoku strasznej szczeliny, miał jeszcze w uszach wydobywający się stamtąd huk. Przed chwilą, na sali obrad, siedział bez tchu, gotów wszystko przyjąć i zapaść się w nicość. Teraz uczucie odrętwienia powoli mijało, powracał lęk: „A więc tak mogło się skończyć!...” Dlaczego „mogło” – nadal może! Co znaczy słowo „odroczyć” – na jak długo? Może tylko na pół godziny, żeby sędziowie odpoczęli w fotelach i zwilżyli gardła? Ręce mu drżały, nie byłby już w stanie utrzymać w nich altówki, a więc nie zagra po raz ostatni... Kto powiedział to słowo – „odroczyć”?... Usiłował przypomnieć sobie, kto w Dziewięciu Sferach, z racji swego urzędu, jest uprawniony do zatwierdzania wyroków – ale pamięć zawiodła.

– Proszę podejść do bariery – usłyszał nagle czyjś głos.

Przed barierą stał demon w średnim wieku, ubrany w czarną skórzaną marynarkę i świeżą płócienną koszulę.

Pasy spadły, Daniłow wstał i podszedł do bariery.

– Zainteresował mnie fragment utworu, co do którego miał tyle wątpliwości nasz niezrównoważony kolega – powiedział nieznajomy.

– Ten kolega wszystko kwestionuje – odparł Daniłow.

– Owszem – skinął głową jego rozmówca. – Jest ograniczony. Ale powróćmy do tamtego fragmentu. Wspomniał pan o formule, w której figuruje oracz Arepo – sądzę, że przetłumaczył ją pan z łaciny w przybliżeniu...

– Tak. Wyłącznie dla przekazania sensu.

– Zaintrygował mnie ten magiczny kwadrat, proszę mi przypomnieć układ słów.

– Ma pan kawałek papieru?

Demon pogrzebał w kieszeniach i pokiwał przecząco głową.

– Chyba że na mankiecie.

Podał mu ołówek laserowy, po czym wyciągnął lewą rękę tak, że z rękawa marynarki wysunął się biały mankiet. Daniłow usiłował pisać starannie, jednak palce mu drżały i litery wychodziły krzywe. Wreszcie na mankiecie powstał magiczny kwadrat:

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S

– Proszę – powiedział Daniłow. – Sens zdania jest mniej więcej taki, jak mówiłem. Spróbujmy teraz odczytać to z góry na dół, od dołu do góry oraz w przeciwnym niż zazwyczaj kierunku – od prawej ku lewej. A teraz zgodnie z ruchem wołu ciągnącego za sobą pług... Widzi pan?

– Tak. To bardzo interesujące.

– Czyżby tai kwadrat był tu nie znany?

– Może był kiedyś znany, ale wszyscy o nim zapomnieli.

– No więc budowa kompozycji muzycznej polega na..

– Zrozumiałem – powiedział rozmówca.

Patrzył ciągle na swój mankiet, Daniłow zaś obserwował go i starał się przypomnieć sobie, czy słyszał głos tego osobnika w czasie dyskusji nad wyrokiem. Wreszcie przypomniał sobie tamtą wypowiedź: „Tak, ale wyrok powinien być zatwierdzony...” Nie ulegało wątpliwości: te słowa powiedział ten sam spokojny baryton. „Wypowiedział się wbrew regulaminowi – pomyślał Daniłow – nikt nie upoważniał go do upominania naczelnika, a jednak to zrobił, tak jakby pan Walenty zamierzał wykonać wyrok nie czekając na werdykt najwyższej instancji...”

– Dziękuję – powiedział nowy znajomy. – Przepraszam, nie przedstawiłem się panu. Nazywam się Maliban. Chciałem zapytać o jeszcze jedną rzecz. Te chłopobudy czy jak im tam... budochłopy... mają swoją siedzibę w zaułku Nastazji?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie – odpowiedział Maliban, po czym dodał zniżając głos do szeptu: – Szkoda, że nie chciał pan zapłacić wpisowego...

Odszedł. Daniłow stał jeszcze chwilę przy barierze, a potem bez pośpiechu, spacerowym krokiem, powrócił na swoje miejsce. Dosłownie przed chwilą, na początku przerwy, czuł się jak niewolnik opadający bez sił na zboczony krwią piasek rzymskiej areny, kiedy miecz przełamany jest na pół, a w przejściu za kratką rozlegają się ryki wygłodzonych lwów. Demony zasiadające po tamtej stronie bariery były niczym widzowie w lożach Colosseum, którzy w każdej chwili mogą dać znak, by lwy zostały wypuszczone na arenę. Teraz, po rozmowie z Malibanem, Daniłow odżył. Jakie znowu lwy, jaka arena! A kiedy Maliban napomknął o muzyce, Daniłow poczuł się całkiem podniesiony na duchu. Wierzył znowu, że jest artystą, a więc prawa ma nie mniejsze niż każdy z obecnych na tej sali.

Nowy Margeryt w trakcie rozmowy Daniłowa z Malibanem popijał napój orzeźwiający w towarzystwie kilku nobliwych demonów, ale opuścił ich po chwili i podszedł do bariery. Uśmiechał się, mówił nieprzymuszonym tonem światowca; nie byłoby nic dziwnego, gdyby podał oskarżonemu puchar z napojem chłodzącym – ale nie podał. Wyglądał tak, jakby przybył tu z XVIII wieku: miał na sobie czarną sędziowską togę o kroju brytyjskim i popielatą upudrowaną perukę.

Daniłow wstał, podszedł bliżej.

– No, jak tam? – zapytał Nowy Margeryt.

– To znaczy gdzie „tam”?

– W ogóle.

– W ogóle jakoś leci.

– Bronisz się nieźle...

– Nie zaszkodziś sobie tym, że rozmawiasz z oskarżonym? – odezwał się Daniłow z przekąsem.

– Gdyby tak obawiać się wszystkiego... Poza tym to ty popełniłeś aż tyle błędów i wykroczeń, nie ja.

– Powiedz mi, co to znaczy „odroczyć”? – zapytał Daniłow. – To na długo?

– Nie wiem. Nie wiem, choć domyślam się tego i owego. – W oczach Nowego Margeryta błysnął uśmiech; w tym figlarnym spojrzeniu Daniłow wyczytał pewną aluzję. „Sekret twój nie jest dla mnie tajemnicą – zdawał się mówić wzrok rozmówcy – ale skoro nie chcesz o nim mówić, to nie mów, twoja sprawa”. – Spryciarz z ciebie – dodał Nowy Margeryt. – Wszyscy byli pewni, że jesteś przegrany, aż tu nagle masz ci ios!

– A kto to słowo powiedział? – dopytywał się dalej Daniłow.

– Pytasz serio czy żartujesz?

– Żartuję – zreflektował się Daniłow natychmiast. – Powiedz, jaką pełnisz tu funkcję? Eksperta, obserwatora, rzeczoznawcy?

– Wszystkiego po trochu.

– Znawcy muzyki też?

– W pewnym stopniu tak... Znam się na wielu rzeczach, takich nawet, do których nie mam predyspozycji. Ale w muzyce jesteś ode mnie silniejszy. I nie tylko ode mnie – w oczach Nowego Margeryta znowu błysnęła iskra aluzji.

– Nie za ciepło ci w tym stroju?

– Togi i peruki wymaga moja funkcja. To maskarada, naturalnie, ale czasami sprawia przyjemność. Jest w tym coś z zabawy... Zresztą ty też... – Nowy Margeryt zniżył głos. – Słuchaj, radzę ci: zachowuj się dalej tak jak dotąd. Nie wypadaj z tej roli.

– Z jakiej roli?

– Sam wiesz. I jeszcze jedno. Rozmawiał z tobą Maliban. Zastanów się, jaki on ma w tym interes i jaką korzyść możesz z tego wyciągnąć.

– Milczałeś podczas dyskusji nad wyrokiem?

– Nie. Byłem za podtrzymaniem wyroku.

– To po co udzielasz mi teraz rad?

– W każdym razie nie przez sentyment do wspomnień dzieciństwa.

Uderzono w stalową szynę – to znaczy w żadną szynę nikt na pewno nie uderzał, ale dźwięk był podobny. Daniłow nie zdążył odejść od bariery, nie zrobił najmniejszego ruchu, a już poczuł, że pasy trzymają go mocno i że znowu jest przywiązany do oparcia krzesła. Znalazł się z powrotem na sali rozpraw, która zmieniła teraz wygląd. Nie przypominała już sali wykładowej; była tu scena, była jama orkiestrowa – nieduża, taka jak w teatrach dramatycznych z ubiegłego stulecia, był też parter – rzędy jasnych foteli obitych różowym jedwabiem. Na sali panował półmrok, całkiem zwyczajny, swojski, jak na Ziemi. Denerwujące niebieskie światło zniknęło w ogóle.

Krzesło, na którym siedział Daniłow, wyładowało na scenie w miejscu, gdzie powinna znajdować się budka suflera. Wyglądało na to, że skończyło się już wirowanie w powietrzu i cała ta nieznośna karuzela. Niżej, w fotelach parteru, rozlokowali się sędziowie, niczym członkowie rady artystycznej lub komisji egzaminacyjnej. Siedzieli i o czymś między sobą szeptali.

„Pewnie tylko tyle miałem odroczenia... – myślał ze smutkiem Daniłow. – Ciekawe, w jakim celu zaczepił mnie Nowy Margeryt? Chciał zadeklarować, że pozostaje niezależnym liberałem? Że niby stać go na taki gest? Zwłaszcza że po ogłoszeniu wyroku wypowiedział się za pozbawieniem jaźni... I po co zagadywał mnie ten Maliban interesujący się sprawami chłopobudów? Może słowo »odroczyć« rzeczywiście przyniosło mi zmianę losu? Czyżby powiedział to słowo Wielki Byk?... W spojrzeniu Nowego Margeryta wyczytałem wyraźną aluzję... Poza tym radził mi nie wypadać z roli...” Ale Daniłow nie grał, wszystko wyszło niezależnie od jego woli i przyniosło mu same niespodzianki...

– Kontynuujemy omawianie sprawy Daniłowa, demona na umowie – ogłosił pan Walenty.

– Czy sam Daniłow ma coś do powiedzenia? – zapytał zastępca naczelnika do spraw przestrzegania przepisów. – Czy chciałby okazać skruchę?

– Żadnej skruchy – powiedział stanowczo Daniłow. – Nie poczuwam, się do winy.

– Czyżby? – wtrącił z sali Nowy Margeryt.

– Iak jest – odparł Daniłow tonem mniej zdecydowanym.

– Przemawia przez pana karygodna lekkomyślność – zauważył zastępca naczelnika.

– Właśnie, lekkomyślność! – podchwycił Nowy Margeryt, tak jakby szukał akurat tego słowa, ale nie wypowiedział go pierwszy. – Nieprzypadkowo padło tu wcześniej nader trafne określenie „nabroił”.

– Było to przejęzyczenie – sprostował pan Walenty.

– Jeśli nawet przejęzyczenie, to bardzo logiczne – nie ustępował Nowy Margeryt. – Daniłow, znany z lekkomyślności, potwierdza całym swym postępowaniem i stylem życia, że mamy do czynienia z indywidualnością łatwo ulegającym ludzkim pokusom. Indywidualność takie wzoruje się na ludziach nie tyle z pobudek zasadniczych, a tym bardziej programowych, ile przez wspomnianą lekkomyślność i kabotyństwo duchowe!

– I co – mamy się z tego cieszyć? – zapytał zastępca naczelnika. – Działając na Ziemi nie przynosi nam żadnego pożytku, a jeśli nawet komuś szkodzi, to tylko takim jednostkom, które według naszych kryteriów powinien popierać. Gdzie tu pożytek? Oto wyniki szczegółowej analizy obejmującej całokształt działalności Daniłowa: jest to w najwyższym stopniu miarodajna ocena jego użyteczności.

Zbroszurowane tabele z wynikami analiz zostały rozdane uczestnikom obrad. Zaszleściły kartki. Broszurka znalazła się także przed oczami Daniłowa, jej kartki przewracały się samoczynnie w powietrzu, dając mu możliwość zapoznania się z treścią dokumentu.

– Widzę tu sporo rzeczy źle interpretowanych – powiedział Daniłow... – Uległy zniekształceniu wskaźniki. Żądam powołania specjalnej komisji.

Pan Walenty rozłożył ręce.

– Znowu wypomniano mi staruszkę, której pomogłem przejść przez ulicę – ciągnął Daniłow. – Długo jeszcze ta staruszka będzie mnie prześladować?

Gdyby broszurkę, która wisiała przed nim w powietrzu, trzymał teraz w rękach, cisnąłby ją zapewne ze złością na podłogę.

– Powoływanie komisji jest zbyteczne – orzekł pan Walenty. – Co się tyczy komedii, jaką odgrywa przed nami Daniłow, nie daje ona powodów do, wyrobienia pochlebnej opinii o jego zdolnościach umysłowych.

– Po co mówić o zdolnościach umysłowych! – zawołał Nowy Margeryt. – Zawsze był lekkoduchem – i w dzieciństwie, i w latach licealnych. Chcę podkreślić raz jeszcze, że to, co się stało z Daniłowem, nie świadczy bynajmniej ani o buncie, ani o zdradzie, jedynie o braku odpowiedzialności i rozwagi!

– Czy zmienia to postać rzeczy? – zapytał pan Walenty.

– Zmienia – powiedział Nowy Margeryt.

– Wcześniej wypowiedział się pan za pozbawieniem jaźni.

– Tak jest, ale teraz uważam za stosowne podjęcie nowej decyzji.. Musimy Daniłowa ukarać, ale rezygnować z jego usług nie należy.

– Przecież do niczego nie jest nam potrzebny! – oburzył się zastępca naczelnika.

– Poproszę o głos – powiedział Maliban wstając z miejsca. – Nie znałem przedtem Daniłowa, teraz jednak uświadomiłem sobie, czym jest. Rozumiem go trochę inaczej niż mój szanowny kolega – z tymi słowy skinął w stronę Nowego Margeryta – aczkolwiek nie jest to aż tak istotne. Daniłow, taki jaki jest, może okazać się dla nas przydatny. Wczoraj nie mieliśmy z niego pożytku, dzisiaj też nie mamy, ale jutro możemy mieć, nie szkodzi, że pasjonują go zbytnio sprawy przyziemne – może to nawet dobrze.

– Trzymać demona na umowie tylko na zasadzie „może”? – skrzywił się zastępca naczelnika.

– Każda zasada jest dobra – odpowiedział Maliban. – Co z tego, że nasi rzetelni praktycy trują się ofiarnie od świtu do nocy – to jedno „może” potrafi bez porównania hojniej wynagrodzić nas w przyszłości.

– Czym podyktowany jest ten pogardliwy stosunek do rzetelnych i skromnych praktyków? – zapytał pan Walenty. – A poza tym, czy widzi pan niwę, na której owo „może” ma szansę zaowocować?

– Widzę – odpowiedział Maliban. – Zaraz ją państwu przedstawię.

W' przestrzeni między Daniłowem a członkami komisji, wprost nad jamą orkiestrą, zawisł w próżni trójwymiarowy obraz. Daniłow zobaczył wewnątrz mieszkania Rostowcewa; w przedpokoju czekał tłum przyzwoicie ubranych ludzi oczekujących cierpliwie w kolejce. Maliban opowiedział o działalności chłopobudów, nakreślił sylwetki najwybitniejszych działaczy oraz wspominał o ich stosunku do Daniłowa i o jego dwukrotnych pertraktacjach telefonicznych z łaciatym sekretarzem.

– Daniłow, z uwagi na dość lekki stosunek do żyda, mógł nie zrozumieć znaczenia tej sprawy – powiedział Maliban. – Nam jednak nie wolno wykazać się podobną lekkomyślnością.

Usiadł.

– Coś w tym musi być! – zawołał Nowy Margeryt. – Warto zająć się tą sprawą!

– Zgadzam się – potwierdził pan Walenty. – Kierunek w istocie obiecujący.

Na sali powstał hałas, wszyscy popierali opinię naczelnika. Wyglądało na to, że członkowie komisji od samego początku spodziewali się takiego właśnie obrotu rzeczy, a gdy wreszcie to nastąpiło, odetchnęli z ulgą.

– A sam Daniłow jak się na to zapatruje? – zwrócił się do niego zastępca.

– Cóż – powiedział Daniłow – jeśli sekretarz chłopobudów znowu do mnie zatelefonuje, umówię się z nim na spotkanie.

– Moim zdaniem – zauważył Maliban – przedłużanie tej rozmowy nie ma w chwili obecnej żadnego sensu. Sprawy konkretne należy omówić z Daniłowem w terminie późniejszym.

„I to już wszystko? – nie mógł uwierzyć Daniłow. – Komu zawdzięczam ratunek? Może słowo »odroczyć« rzeczywiście powiedział Wielki Byk?...”

– Teraz zastanówmy się nad wymiarem kary – zaproponował pan Walenty.

– Tak, tak – skwapliwie potwierdzili zebrani.

– Proponuję żyrandol – wtrącił zastępca.

– Żyrandol! Żyrandol! – podchwycili członkowie komisji.

Maliban także wypowiedział się za żyrandolem, Nowy Margeryt również.

I oto w górze nad Daniłowem ukazał się olbrzymi żyrandol podobny do tego, jaki wisiał u nich w teatrze, a zarazem nieco inny. Widział go teraz wyraźnie ze swojego miejsca. Widział też samego siebie z żyrandolem nad głową jakby z głębi widowni, z fotela zastępcy naczelnika. Żyrandol był okazały, wysoki na jakieś siedem metrów; środkiem biegł spiżowy rdzeń, na którym oparte były trzy pierścienie z połączanego spiżu – dolny o średnicy najmniejszej, dwa górne znacznie szersze; naokoło pierścieni trzymały się na wspornikach podstawki na świece oraz żarówki pod kloszami. Wszystko to sprawiało wrażenie kryształowych ogrodów, w których rozkwitają i lśnią niezliczone bukiety, girlandy, wisioriki... Tylko patrzeć na to cudo i zapomnieć o całym świecie... Nagle żyrandol zaczął szybko spadać; skrzypiał podtrzymujący go od góry metalowy łańcuch, drżały kryształowe ogrody i Daniłow zrozumiał, że cała ta konstrukcja za chwilę runie mu na głowę. Nie pomylił się: runęła, przygniotła go, zabiła. Z krzesła zastępcy widać było szarą sylwetkę wewnątrz żyrandola, Daniłow natomiast, skrępowany pasami, czuł, że ten żyrandol połknął go żywcem, pochłoniął. Przestał widzieć i słyszeć, a potem wszystko w nim zaczęło gasnąć, aż zgasło całkiem...

Odzyskawszy przytomność zrozumiał, że nadal siedzi na swoim krześle, żyrandol zaś wisi wysoko w górze i tylko chwieje się z lekka.

– A zatem żyrandol – powiedział pan Walenty. – Odtąd zawsze będzie wisiał nad jego głową i jeśli Daniłow swym zachowaniem da ku temu najmniejszy powód, żyrandol spadnie i pomoc nie nadejdzie znikąd.

– Proponuję dodać do tego uczulenie na drgania – włączył się Nowy Margeryt.

– To znaczy w jakim sensie? – zapytał nerwowo demon.

Nowy Margeryt wytłumaczył zebrany, że istnieje teoria Beerfelda-Tarancewa na temat zjawisk zachodzących w jonosferze Ziemi. Ta teoria, potwierdzona badaniami na Półwyspie Kolskim, ma w sobie coś, co dałoby się zastosować w obecnej sytuacji. W myśl zasad głoszonych przez autorów teorii, Ziemia oraz wszystkie zachodzące na jej powierzchni procesy tworzą jak gdyby jeden wspólny potężny układ drgań. Drży skorupa ziemska, pulsuje hydrosfera, wibruje atmosfera – i tak dalej. Człowiek jest częścią składową tego układu, ale żyjąc w nim stale, prawie owych drgań nie odczuwa. Tymczasem zwiększenie amplitudy drgań wszyscy ludzie znoszą źle: gdy częstotliwość sięga mniej więcej 10Hz (Nowy Margeryt przeprosił w tym momencie audytorium za to, że posługuje się w swej wypowiedzi przyjętymi na Ziemi jednostkami), zaczyna być całkiem niedobrze. Szczególna wrażliwość na drgania cechuje ludzi posiadających wyostrzone poczucie rytmu, a przede wszystkim muzyków. Pewien chłopiec z Taszkientu, uczeń szkoły muzycznej z klasy fortepianu, poczuł

się źle na kilka godzin przed pamiętnym trzęsieniem ziemi. Oczywiście teoria Beerfelda – Tarancewa jest sama w sobie dość naiwna i zaledwie sygnalizuje pewne istotne zjawiska, nie należy jednak gardzić zawartą w niej logiką. Daniłow nie wyróżniał się dotąd szczególną wrażliwością na drgania, ale teraz, kiedy zdobył się w muzyce na takie zuchwalstwo, musi być ukarany. Niech więc będzie na wszelkie drgania uczulony, co więcej – gdyby zaczął w przyszłości grać jeszcze lepiej, gdyby udało mu się kiedyś osiągnąć wyżyny, przewrażliwienie powinno wzrosnąć – niech reaguje wówczas nie tylko na ruchy i drgania skorupy ziemskiej, niech odkryje mu się istota ludzkich cierpień, niech dotrą do niego fale ludzkiego bólu. Wielki jest zatem ciężar, który bierze na swoje barki – niech pamięta o tym stale i myśli, czy warto dalej trwać w zuchwalstwie.

– Wydaje się to dość przekonujące – odezwał się pan Walenty.

Propozycja Nowego Margeryta została przyjęta przez gremium. Jeden tylko Maliban wzruszył ramionami.

– Na tym kończymy omówienie sprawy Daniłowa – oznajmił pan Walenty.

I Daniłow poczuł, jak spadają z niego pasy.

Rano spotkał przypadkowo Nowego Margeryta.

Miał jeszcze do wypełnienia jakieś ostatnie papiery i nie był skłonny do prowadzenia rozmów.

– No, wygrzebałeś się z kłopotów, gratuluję! – zawołał wesoło Nowy Margeryt. – Nie rozumiem tylko, jak udało ci się załatwić...

Zamilkł nagle i Daniłow wyczuł, że jego rozmówca miał na języku słowo „odroczenie”, a potem zapytałby pewnie, w jaki sposób Daniłow zdobył protekcję – no właśnie, protekcję, choć pozostawało to dla wszystkich w sferze domysłów. Widocznie jednak sam temat był z gatunku zastrzeżonych i nawet Nowy Margeryt musiał stosować się do przyjętych zasad. „Sam nie wiem, jak udało mi się to załatwić – pomyślał Daniłow. – Może Wielki Byk zlitował się nade mną dlatego, że połaskotałem go kiedyś po grzbiecie?... Ależ zrobiłem to całkiem bezinteresownie!”

– Spryciarz z ciebie, Daniłow – tyle tylko powiedział Nowy Margeryt.

– Słuchaj – ściągnął brwi Daniłow – co to za ogniste litery pokazywaliście mi w Studni Oczekiwania? No, ten napis: „Ikra mintaja” – i tak dalej. Jakoś to do mnie nie dotarło.

– Napis nie miał nic wspólnego z twoją sprawą. To pozostałość po całkiem innym programie. Defekt aparatury.

– A skórzany fartuch?

– Pozostał na planie dłużej, niż należało. Niedbalstwo operatora. Jest ukarany.

– Mam nadzieję, że niezbyt surowo?

– Niezbyt.

– Chciałem zapytać jeszcze...

– O Beka i Sinoświerzba – odpowiedział Nowy Margeryt. – Nie w twojej mocy ich przywrócić. I nikt ci w tym nie pomoże.

– To już moja sprawa.

– Uważaj – ostrzegł Nowy Margeryt.

– Dlaczego kazaliście mi tak długo czekać?

– Długo? Nie ty jeden zostałeś wezwany, mamy kupę spraw na głowie. Poza tym trzeba było przełamać twoją niecierpliwość. Ale zachowałeś się dzielnie, powiem nawet, że mi zaimponowałeś, będę z przyjemnością obserwował dalej twoje życie. Nie bój się, to nie z obowiązku, chcę obserwować cię całkiem prywatnie, jako widz, który tylko patrzy i nie wkracza do akcji. Bardzo mnie interesuje, jakie jeszcze niespodzianki zgotuje ci los i jak potraktują cię osoby, którym jesteś solą w oku.

Z tym się rozstali.

Daniłow, przypomniawszy sobie dania z bufetów dworcowych, chciał zatrzymać Nowego Margeryta i zapytać, co zamierzano osiągnąć przez zastosowanie takich środków, ale Nowy Margeryt miał dobre chody i ostatnie słowa Daniłowa nie miały szans do niego dotrzeć.

„Zdziwił się, że sprawy przybrały taki obrót – myślał Daniłow. – Cóż, ja się też zdziwiłem”.

W trakcie rozprawy zachowywał się jak niesłusznie posądzony o wykroczenia, rzetelny i najbardziej autentyczny demon, gotowy udowodnić niesprawiedliwość krzywdzących go zarzutów. Tak przynajmniej mogło wydawać się z boku, ale na dobrą sprawę mają rację, demon z niego żaden. W znacznie większym stopniu jest człowiekiem, a ściślej mówiąc, jest człowiekiem w każdym calu, choć posiada pewne osobliwe cechy. W takim razie postąpił wbrew swej prawdziwej istocie – dla ratowania własnej skóry odrzucił wszystko, co było mu drogie! Ach, nic podobnego – nikogo nie zdradził, niczego nie odrzucił, po prostu wszystkie swoje argumenty chciał poprzeć dowodami, żeby móc żyć z tym dalej.

Trudno było spodziewać się, że zapadnie inny wyrok. Albo unicestwienie, albo bezwzględne przestrzeganie regulaminu, jaki obowiązuje każdego demona. I ani słowa o Daniłowie – człowieku. Były też inne możliwości: zamienić go w banalną melodyjkę, pozbawić rozsądku, zesłać na oddaloną planetę i tak dalej, ale wszystko to Daniłow sklasyfikował jako niuanse, warianty rozwiązania nr i.

Przygotowany na najgorsze, tyle razy powtarzał w duchu: „Macie mnie, możecie się udławić!” Czasami wyobrażał sobie, że jest męczennikiem, i rozczulał się nad własnym cierpieniem – ale komuż to było potrzebne? Oczywiście zostałby wiemy sobie, to już dużo, ale są też inne sposoby dochowania wierności własnym poglądom i przekonaniom. Zginie w milczeniu, zniknie na zawsze – i nikt nie dowie się nigdy, dlaczego zginął i w imię jakiej idei. Mimo to na początku rozprawy przygotowany był na taką ewentualność, nawet ponaglał sędziów, żeby wszystko to skończyło się czym prędzej. Ale minął jakiś czas – i znowu poczuł się artystą. Nie był gorszy od tych, którzy zasiadali w komisji – jakież znowu nadzwyczajne rozeznanie co do sensu własnego istnienia oraz istnienia ludzkości posiadali ci dygnitarze, by móc wyrokować, co jest dobre, co złe? O nie, teraz Daniłow nie zamierzał uznawać ich przywilejów! Dane mu zostało życie i prawo do tego życia – bez porównania ważniejsze niż przywłaszczone przez nich prawo do osądzania innych i rozporządzania czyimś istnieniem. Dlatego tak się oburzył i o mało nie zaatakował naczelnika wraz z jego zastępcą. Nie życzył sobie, by któryś z nich poczuł się zwycięzcą; udzielał odpowiedzi, które podawały w wątpliwość oceny członków komisji, kierując się przy tym ich logiką i ich zasadami gry. Owszem, włączył się niejako do tej gry, ale komedii nie odgrywał. Wszystko potoczyło się pomimo jego woli: zwodził ich, udzielał aroganckich odpowiedzi – i sądząc z pierwszej wersji wyroku, oni to zrozumieli, w każdym razie zrozumiała większość. A może zaimponowała im jego postawa? Odniośł wrażenie, że werdykt „odroczyć” przyjęli z pewną ulgą i że zadecydowało to ostatecznie o jego losie.

„Nie mogłem dopuścić, żeby runie pokonali! Muszę powrócić na Ziemię!” – myślał jakby na marginesie, usiłując przekonać samego siebie, że powrócić musi, tak jakby bez niego mogły wydarzyć się na Ziemi jakieś nieszczęścia, jakby świat, w którym dotąd żył, skazany został na zagładę i zagłada groziła przede wszystkim muzyce. O nie, jego obowiązkiem jest żyć i być obecnym na Ziemi! Dlatego stawiał taki sprzeciw, na jaki było go stać w obecnej sytuacji.

Po zakończeniu rozprawy krępowała go trochę świadomość, że słysząc decyzję: „Nie może być mowy o Daniłowie – człowieku!”, w pierwszym momencie nawet się ucieszył, potem dopiero nakazał sobie spokój. Rozumiał przecież, że nawet w sprzyjających warunkach nie może w najbliższej przyszłości żądać ostatecznego zerwania ze światem Dziewięciu Sfer i zajęcia pozycji „autentycznego” człowieka. Zachował te żądania na potem, by wysunąć je w ostateczności. Dlaczego? Na cóż się zda utrzymywanie stosunków ze światem, który jest mu

teraz całkowicie obcy? Czy nie lepiej uwolnić się od razu, zapomnieć o istnieniu Dziewięciu Sfer, a załatwić to tak sprytnie, żeby nie budzić w nich pragnienia zemsty? A potem zamieszkać sobie spokojnie w Ostankinie, grać na altówce i kochać Nataszę...

„Na to nigdy nie jest za późno” – mówił sobie, choć rozumiał, że nie ma racji. Rozumiał jednak i to, że nie może wyzbyć się w tej chwili wielu swoich nawyków, po prostu nie może się bez nich obejść – na przykład, bez kąpieli w piorunach byłby już nie tym samym Daniłowem. Przecież to nie do pomyślenia: zobaczyć nad Ostankinem ciężką burzową chmurę i nie ulecieć w niebo, nie złączyć się z błyskawicą! Nie mógł sobie tego wyobrazić. A loty ku dalekim gwiazdom, a wyprawy w Andy?... Może nawet nie musi z tego wszystkiego korzystać, ale taką możliwość chce zachować. „Bransoleta w każdym wypadku powinna zostać przy mnie” – powtarzał sobie, zwłaszcza że bransoleta była mu potrzebna nie tylko do celów natury osobistej. Jak miał postąpić, powiedzmy, w barze przy ulicy Korolowa – pozwolić smarkaczom rozrabiać i terroryzować ludzi? A czy taki cwaniak, jak Turukanow, nie zasłużył na to, by dostać nauczkę? Owszem, są to drobne incydenty, ale zdarzają się również przypadki poważniejsze, kiedy zacierzewione zło, potężne i straszne, jawi się w całej swej okazałości i on, Daniłow, jest tego świadkiem. Co w takiej sytuacji robić? Zadowolić się protestem wewnętrznym – a potem żyć z tym stłumionym protestem w sercu? Czy może z muzyki, z altówki uczynić jedyne narzędzie walki ze zjawiskami, które budzą protest? Nie, to za mało! Nie przebaczy sobie nigdy, jeśli zrezygnuje – teraz czy kiedykolwiek w przyszłości – z najmniejszej bodaj szansy aktywnego przeciwstawiania się bezpardonowym atakom zła: przecież zło nie rezygnuje ze swych możliwości! On nie boi się ryzykownych sytuacji, dla niego to nie nowość, a zatem niech przyjdą nowe próby – potrafi stawić im czoło.

Tylko ten żyrandol... Trudno, niech będzie nawet żyrandol.

Dobro i zło. Odwieczna konfrontacja. Ale zderzenie się dobra i zła też może przynieść pożytek – stąd przecież biorą swe źródło skoki jakościowe w rozwoju wydarzeń. Wszystko to trzeba dobrze przemyśleć, dopóki bransoleta zostaje na jego ręce. Teraz, kiedy dokonał już wyboru, powinien odwoływać się do rozsądku, do obiektywizmu i rozwagi, akcje zaś podejmować jedynie w przypadku nieodzownej potrzeby. Przrzekł też sobie nie nadużywać swej mocy. Nie znosił ingerencji we własne życie, a więc czemuż by inni ludzie mieli tolerować czyjąkolwiek ingerencję, choćby nawet podjętą w imię ich dobra? Postanowił, że będzie używał bransolety wyłącznie w okolicznościach określanych powszechnie jako sytuacje bez wyjścia oraz tylko wówczas, gdy do podjęcia działań skłonią go pragnienia i porywy ludzi, które na pewno potrafi należycie zrozumieć. W przeciwnym wypadku brałby na siebie zbyt wiele... Zdawał sobie jednak sprawę, że podejmuje te decyzje pod wpływem chwili, że tylko dziś cechuje go taka rozwaga i poczucie odpowiedzialności, później zaś, kiedy porwie go codzienna krzątanina, znowu może o wszystkim zapomnieć...

Myśli miał chaotyczne, zresztą trudno się temu dziwić. Czasami zadawał sobie pytanie: czy tutejszym władzom nie udało się przypadkiem nakłonić go do zawarcia z nimi układu? Naturalnie, zdają sobie sprawę, z kim mają do czynienia, ale skoro przyczyniły się do jego ocalenia, powinien spełniać teraz ich rozkazy. „Zobaczymy” – mówił sobie. Jeśli nawet został zawarty układ, to wyłącznie jednostronny: on w żadne układy z nikim nie wchodził, może więc gwizdać sobie na ich polecenia. Na razie jest wolny od wszelkich zobowiązań. Przyczyna – perspektywy związane z przedsięwzięciem chłopobudów. Ale są to tylko perspektywy! Nie widział nic złego w tym, że zgodził się na spotkanie z łaciatym sekretarzem: nie darzył sympatią tej kolejkowej elity, nie lubił cwaniaków i arywistów, czemuż by więc z nich nie zakpić?

Nie miał pojęcia, jakich perspektyw dopatrzyło się w chłopobudach szanowne grono, i teraz miał zgłosić się do Malibana po odpowiednie instrukcje. Dowiedział się, że Maliban piastował do niedawna wysoki urząd w Kancelarii Iluzji, ale teraz został mianowany

kierownikiem zakładu doświadczalnego. Nazwy zakładu nikt mu nie powiedział: widocznie przedmiot badań utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Maliban nie podlegał bezpośrednio Kancelarii do Spraw Tamtego Świata, choć utrzymywał z nią łączność. Daniłow zastanawiał się, kto teraz prowadzi jego sprawę. Ani pan Walenty, ani jego podwładni nie zdradzali chęci prowadzenia z nim rozmów; wezwano go natychmiast do Malibana, więc trzeba było iść.

Wszedł do gabinetu Malibana, wymienili ukłony. Gabinet – przestronny, pustawy – urządzony był ca modłę europejską.

– Właściwie nie potrzebuje pan żadnych instrukcji – powiedział Maliban. – Proszę przystać na ich propozycje i postępować stosownie do przebiegu wydarzeń, czyli po prostu żyć. Tyle.

– Ale po co...

– Po co nam w ogóle te chłopobudy? Na razie sam nie wiem. Mam tylko pewne przeczucia... Coś z tego musi wyjść... Widzi pan, osoby typu naczelnika, a zwłaszcza jego zastępcy, zawsze sądzą, że wszystko jest jasne jak dzień; hołdują tradycyjnej doktrynie i czy podają czasami w wątpliwość pewne jej słabe strony, czy też nie, prowadzą swoje sprawy kierując się zasadami tej niezmiennej doktryny. Co do mnie, ja w doktrynę wątpię. W ogóle niczego nie jestem pewien w stu procentach. Moje wątpliwości, zarówno jak wątpliwości moich podwładnych, są mało powiedzieć legalne – uznaje się je za niezbędne. Prowadzimy doświadczenia – no, może niezupełnie ściśle określam charakter naszych prac, ale niech tak będzie – a więc prowadzimy doświadczenia na szeroką skalę. Między innymi na Ziemi. W tym planie przydadzą się nam nawet chłopobudy... Wzdryga się pan wewnątrz na myśl, że zostaje przydzielony do chłopobudów w charakterze szpicla? Nic z tych rzeczy, gdyby szło tylko o inwigilację, skorzystalibyśmy ze specjalnej służby.

„Może już skorzystaliście” – pomyślał Daniłow.

– Pan powinien odegrać tu inną rolę, powiedziałbym – twórczą...

– Mam zostać twórcą doświadczenia?

– W pewnym sensie tak. Niech pan fantazjuje, wskazuje im drogę, stawia zadania, dostarcza bodźców i stwarza przeszkody – jest pan dla nich zagadkowym indywiduum, czymś w rodzaju przybysza z innego świata. Są ambitni i mają głowę na karku, ale zwrócą się do pana w sytuacji krytycznej. Nie musi pan czekać na moje podpowiedzi, ale spieszyć się też nie radzę. Wszystko powinno przebiegać całkiem naturalnie. Wolno panu nie zdradzić się przed nimi choćby i przez dziesięć lat, jeśli sami nie odczują potrzeby zwrócenia się o pomoc.

– Myślę, że w takim razie będę nie tylko jednym z twórców doświadczenia, czyli jednym z pańskich laborantów, ale także obiektem obserwacji?

Maliban milczał zachowując powagę. Odpowiedział po dłuższej chwili:

– Owszem. Ale nie powinien pan czuć się tym dotknięty. Ma pan naturę bogatą, twórczą i z tego punktu widzenia bardzo interesującą w naszym pojęciu. Wiem doskonale, kim pan jest. Struktura pańskiej osobowości nie jest aż tak prymitywna, jak pan sądzi. Kto wie, może reprezentuje pan nowy typ żywej istoty, najbardziej optymalny na obecnym etapie rozwoju wszechświata. A może się mylę, nie wiem... W każdym razie, ku obopólnemu zadowoleniu, cechuje pana duża elastyczność – a zatem pańska natura i pański los wydają się być nader pouczające i godne głębszych badań. A co do funkcji mojego laboranta, pan mnie źle zrozumiał. Laborant to osoba zależna, panu tymczasem nikt nie będzie zlecał żadnych zadań. Powtarzam: ma pan żyć na Ziemi, tylko tyle. Z dopingowaniem chłopobudów do działania też proszę nie przesadzać, nie inspirować im sztucznych zmian kursu. Wystarczy, że będzie pan reagował na nieobojętne sobie sytuacje z całą szczerością, do jakiej zdolna jest pańska impulsywna natura, Czyli improwizować tak, jak improwizuje pan w swojej muzyce.

Daniłow nastawił uszu: czyżby ten wszystko zrozumiał?

– Nie, nie rozgryzłem pańskich utworów – kontynuował Maliban jakby w odpowiedzi na jego myśli. – Po prostu słuchałem... A propos, znam takich, których najbardziej oburzyły pańskie zuchwałe poczynania twórcze. Obawiają się, że zamierza pan stanąć ponad...

– Ponad co?

– Nie wiem, tak mi się tylko powiedziało. A więc proszę zapomnieć o nas i żyć. Co będzie dalej, zobaczymy... Jeśli zajdzie potrzeba, przywołamy pana znowu. W każdym razie stanie się to nieprędko... Przepraszam, byłbym zapomniiał, niech pan zwróci szczególną uwagę na Rostowcewa.

– Na Rostowcewa?

– Tak. Nic go z nami nie łączy, ale godzien jest uwagi.

– Dobrze – skinął głową Daniłow.

– To byłoby wszystko – powiedział Maliban. – Może pan wracać do swojego Ostankina.

Uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy. Tak jak przedtem, miał na sobie czarną skórzaną marynarkę i świeżą płócienną koszulę. Białe mankiety wystawały z rękawów marynarki i Daniłow patrząc na nie przypominał sobie, jak pisał na jednym z tych mankietów łacińskie zdanie traktujące o mozolnej pracy oracza Arepo.

– To inna koszula – uśmiechnął się Maliban. – Tamta jest w praniu. – I dodał od razu: – O mojej osobie i o naszych rozmowach może pan zapomnieć, ale radzę nie zapominać o żyrandolu. Przykro mi powracać do tego tematu, ale co robić. Rzeczywiście zbyt często zachowuje się pan lekkomyślnie. Mnie to nie przeszkadza, biorę pana takim, jaki pan jest, ale to nie ja będę trzymał na łańcuchu żyrandol nad pańską głową. Naczelnik wcale nie musi uznawać słuszności pańskich argumentów.

Spojrzenie miał chłodne, surowe. Daniłow nieraz wspominał później to spojrzenie i myślał przy tym: „Cóż, trudno było spodziewać się po nim czegoś więcej, skoro w jego pojęciu całe życie jest jednym nieprzerwanym pasmem wątpliwości i doświadczeń”. Doświadczenia na żywych i w jakimś bodaj stopniu rozumnych istotach zawsze były dla Daniłowa czymś amoralnym, ale Maliban w tych praktykach znajdował rozkosz. „Ja wam pokażę doświadczenia, zobaczycie, co znaczy fantazja! – nadrabiał miną Daniłow. – Możecie mnie pilnować, uprzyjemnię wam to zadanie!” Co jak co, ale nadrabiać miną umiał. Maliban mówiąc o żyrandolu umywał ręce – udał, że nie ma z tą decyzją nic wspólnego, ale Daniłow rozumiał, że gdyby postanowiono wykonać wyrok, tenże Maliban zrobiłby to bez wahania, nawet własnoręcznie...

Mógł teraz odpocząć i nawet skorzystać z rozrywek, ale nie miał ochoty na odwiedzanie Sfery Przyjemności. Myślał tylko o tym, żeby skończyć już to wszystko i powrócić do Ostankina. Spodziewał się wezwania do naczelnika lub jego zastępcy, ale nikt go nie wzywał. Tymczasem mnóstwo znajomych, stroniących dotąd od Daniłowa, zapragnęło nagle wznowienia kontaktów. Niektórzy zaczęli mu wyraźnie nadskakiwać udając, że dopiero teraz dostrzegli w jego zachowaniu nieoczekiwaną i zdumiewającą tajemniczość. Unikał jak mógł tych spotkań i rozmów tłumacząc się brakiem czasu. Pewnego razu zobaczył Ugraela – był znowu w burnusie i białym zawoju, wyglądało jednak na to, że jest czymś zmartwiony albo czuje się dotknięty. Wargi miał rozciągnięte aż do uszu, dźwięki wydawał przez nozdrza. „Wyruszam na Pustynię Arabską!” – oznajmił syczącym głosem i machnął przy tym ręką. „Cóż – odparł Daniłow – tam jest ciepło”. – „Ciepło! – odparł Ugrael płaksiwie. – Dobrze panu mówić, pan tego nie rozumie!” Z tymi słowy zniknął.

Kilkakrotnie, w trakcie swych wędrówek po kondygnacjach Dziewięciu Sfer – w bufecie, w kancelariach, w windzie – Daniłow odbierał ledwo wyczuwalne sygnały: czy to wołał go ktoś, czy też zamierzał osobiście przybyć na spotkanie. Dopiero gdy znalazł się nareszcie sam pod zegarem z kukułką, ułowił wraz z sygnałem subtelny zapach anemonów. Serce zabiło mocniej – czyżby Himeko? Szukał jej wszędzie, nie mógł znaleźć – i oto nagłe sama wyłoniła się zza szafy. Stała przed nim z palcem na ustach, smutna i wiotka, ubrana w zielone

jedwabne kimono; Daniłow skinieniem głowy dał znak zgody na zachowanie milczenia. Himeko opuściła rękę i przywitała go uśmiechem, ale uśmiech był pełen smutku. Potem złożyła niski ukłon, a kiedy podniosła głowę, utkwiła w nim czarne wilgotne oczy, jakby pragnąc zapamiętać tę chwilę na zawsze, wchłonąć spojrzeniem wizerunek ukochanego. Patrzyła długo, potem cicho skinęła głową i rozplynęła się w powietrzu.

Chciał rzucić się za nią, ale gdzie jej miał szukać i po co? Poskromił więc swoje porywy i o mało nie płacząc usiadł na łóżku. Zrozumiał, że Himeko pożegnała go na zawsze, nikt jej do tego nie zmuszał, sama postanowiła, że to koniec. Nie pytała go o zdanie choćby dlatego, że wszystko o nim wiedziała. „Nie powinno tak być! – rozpaczał Daniłow. – Skąd ona wie, co się może jeszcze wydarzyć?...”

W jednym tylko względzie przyznał jej rację: słusznie zrobiła, że ani sobie, ani jemu nie pozwoliła powiedzieć ani słowa. „Prawda leży poza zasięgiem słów...” Zresztą o czym mieliby rozmawiać? O Nosicielu Smutków? A może jej starania ze złożeniem ofiary rzeczywiście wydały owoce? O tym, że Himeko zawsze może liczyć na jego pomoc, jeśli, oczywiście, ta pomoc jej nie upokorzy? Wszystko to jasne było i tak... Pocieszał się jedynie nadzieją, że los zetknie ich kiedyś znowu. Smutny, przygnębiony, siedziałby tak pewnie w nieskończoność, gdyby nie wezwano go do naczelnika.

Rozmowa była niespodziewanie krótka. Pan Walenty wyraził uznanie dla jego zdolności szachowych i przypomniał mu ruch czarnego lauffra, który podczas pamiętnej partii szachów w domu przy Argunowskiej przyprawił go o taką irytację. „Niemożliwe, żeby to był pan!” – powiedział Daniłow. „To byłem ja i nie ja” – odparł naczelnik i Daniłow odniósł wrażenie, że mówi prawdę. Następnie pan Walenty oznajmił, iż nie zmienił swojego zdania o Daniłowie, choć to i owo musiał dokładnie przemyśleć. Zapytał tonem dość przychylnym: „Czy ma pan jakieś życzenia?” – a wyraz jego oczu świadczył o tym, że wezwano tu Daniłowa właśnie po to, by takie pytanie zadać. „Nie – odpowiedział Daniłow – nie mam żadnych życzeń...” – „Cóż – skinął głową naczelnik – pańska sprawa. Żegnaj”. Oznaczało to, że Daniłow jest wolny; odszedł pozostając nadal w niepewności, kto objął pieczę nad jego losem – pan Walenty czy Maliban.

W Sferze Czwartej spotkał nieoczekiwanie Anastazję.

– Ach, tak! Jesteś! – powiedziała biorąc go za rękę.

Sceneria uległa błyskawicznej przemianie: Daniłow i Anastazja znaleźli się w cienistym zakątku starego ogrodu, wokół rozkwitał dziki bez, który Daniłow zawsze lubił, i tylko gdzieś tam, nad łopianami i pokrzywą, widniały w zaroślach osypujące się krzaki jaśminu. W gąszczu dzikich bżów stała ławeczka i na tej to ławeczce usiedli.

– Pięknie wyglądasz – powiedział Daniłow.

– Naprawdę? – ucieszyła się Anastazja.

– Naprawdę. Jak hajduczek.

Miała na sobie białą jedwabną bluzkę z luźnymi rękawami, ozdobioną na szwach złotą lamówką; jej kibić zdobił wzorzysty pas, wąskie spodnie z białego aksamitu wpuszczone były w wysokie czerwone buty z cholewkami.

– Skąd wzięłaś wykrój?

– Z „Burdy”. Ładne?

– No pewnie! – powiedział Daniłow.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Przestań już wreszcie wybałuszać na mnie swoje bezwstydną gały! – skarciła go Anastazja. – Zamiast poczuwać się do winy, rozsiadłeś się na ławeczce jak gdyby nigdy nic!

Słowa te powiedziała głośno, ale bez cienia kokieterii czy nacisku, raczej czule i trochę nieśmiało. Poprzednim ich spotkaniem towarzyszyły zazwyczaj słupy ognia, drgania powietrza, fale sztormowe i burzenie się minerałów, wszystko wokół Anastazji kipiało, wszystko wydawało jęki, ponieważ była żywym wcieleniem namiętności; teraz natomiast

żaden listek nie drgnął w zaroślach dzikiego bzu, nie spadł żaden dojrzały owoc w starym ogrodzie. Siedziała przy nim skromnie, jak nieśmiałe młodziutkie dziewczątko.

– Nie miej do mnie żalu – powiedział Daniłow. – Znasz przecież moje dzieje.

Popatrzyła mu w oczy.

– O jakim żalu mówisz? Przyjaciół mam pod dostatkiem, jest mi z nimi dobrze. A do ciebie nic już nie czuję.

Daniłow nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Po chwili przyszła mu na pamięć grzecznościowa formułka:

– Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Za co?

– Za to, że mnie uratowałaś. Za dziurę, którą zaszyłaś jedwabną nicią. Łączyło się to przecież z ryzykiem...

– Z ryzykiem! – machnęła ręką Anastazja. – A coś ty sobie myślał?

Nagle znowu spojrzała mu w oczy i przytuliła go do siebie.

– Słuchaj, zostań tu! Proszę cię, zostań! Po co ci ta Ziemia?

– Jak możesz tak mówić! Przecież sama jesteś spod Smoleńska!

– Nie – odparła – na Ziemi czuję się obca. Lepiej mi tutaj. Każdemu z nas lepiej. Zostań! Mam teraz duże możliwości. Na razie jesteś na umowie, ale odzyskasz swoje prawa, będziesz z nami. Wszystko załatwię, tylko zostań! Zrób to dla mnie!

W jej spojrzeniu wyczytał błaganie i miłość.

– Nie mogę – odparł. – Wybacz.

– No to idź! – krzyknęła Anastazja. – Idź już sobie i nie oglądaj się więcej! Koniec! Żegnaj!

Daniłow spuścił głowę i poszedł przed siebie. Czuł się bardzo niewyraźnie, a jednak nie obejrzał się ani razu. Może Anastazja szłocha teraz na białej ławeczce pod bzem?... Zresztą gdyby nawet popatrzył za siebie, niczego by nie zobaczył: nie było już ani ławeczki, ani Anastazji, ani zarośli dzikiego bzu.

To znaczy, że Anastazję też stracił na zawsze... Ale cóż jej mógł powiedzieć?

Naczelnik kazał mu wyruszać z powrotem, więc trzeba wracać. Otworzył szafę, w której zostawił swoje ubranie.

Mocno uderzył głową w obite deskami drzwi.

Pociągnął drzwi do siebie – nic z tego. „Przecież wyjąłem stąd wszystkie gwoździe!” – pomyślał. Przyjrzał się dokładnie: gwoździe tkwiły w deskach. „Jakim cudem?” – zdziwił się Daniłow. Trzeba było wyciągać gwoździe na nowo.

Wreszcie otworzył drzwi i znalazł się pod arkadą domu nr 67. Zegar na rogu zaułka Szpitalnego pokazywał dwadzieścia po dwunastej. „Ach, tak!” – uzmysłowił sobie: pospieszył się zanadto z powrotem i trafił z rozpędu w czas, który zdążył już minąć. Dopiero za piętnaście minut na przystanku „Zaułek Łazienny” zatrzyma się trolejbus, którym przyjechał tu w towarzystwie pijaka mamroczącego między innymi coś o żyrandolach. Teraz Daniłowa w tym trolejbusie nie ma, pijak jedzie sam. „Aha, to dlatego gwoździe tkwiły w drzwiach – nie zdążyłem ich jeszcze wyjąć...”

Dla uniknięcia nowych nieporozumień przesunął płytkę bransolety na pozycję „Ziemia”. Obok przechodzili ludzie, których nie było na ulicy przed jego wyruszeniem w podróż. Mógł teraz dojść do stacji metra i jechać do domu, ale coś go powstrzymywało. Może chciał doczekać się trolejbusu i zapytać pijaka, co za żyrandole miał na myśli? „Dziecinada!” – mówił sobie, a jednak szedł pomału w stronę przystanku.

„Skąd lepiej zadzwonić do Nataszy – stąd czy z Ostankina?” – myślał. Byłby zadzwonił od razu, ale nie miał w kieszeni odpowiedniej monety. Do przybycia trolejbusu pozostawało jakieś siedem minut. Patrzył na uśpione budynki stojące w szeregu wzdłuż Prospektu Pokoju, nie widział już teraz ich obrzydliwych grymasów, nie wydawały mu się wcale okropne, choć radości na ich widok też nie odczuwał. Stał zamyślony wspominając pożegnania z Himeko i Anastazją. Gnębiły go smutek i poczucie winy.

Wreszcie zajechał trolejbus, Daniłow wszedł do środka, wrzucił do automatu pięć kopiejek i znowu nie otrzymał biletu. Tak jak tamtym razem, licząc na czyjeś poparcie, zwrócił się do podpitego pasażera, ale pasażer nie zareagował. Dziwne, bo przecież tamtym razem burknął: „E!” – i machnął ręką... No tak, ale tamtym razem Daniłow wsiadł do trolejbusu w Ostankinie i rozmowę z pijakiem rozpoczął grubo wcześniej, zatem wszystko jest jasne: teraz, kiedy zaułek Łazienny pozostał w tyle, pijak zdążył już zasnąć na dobre, a więc sprawa żyrandola pozostanie bez wyjaśnienia. „Właściwie po co go zaczepiać? – pomyślał Daniłow. – Cóż on może mi wyjaśnić?”

Wysiadł na placu Kołchozowym, zszedł do metra i ostatnim pociągiem dojechał do Ostankina.

Zbliżając się do domu żałował, że instrument zostawił w teatrze. Muzyka była mu teraz bardzo potrzebna. Tylko w momencie, gdy weźmie do rąk smyczek i altówkę, uwierzy ostatecznie w swój powrót.

W mieszkaniu nie było już gorąco, nie poczuł też żadnych przykrych zapachów. Porcelanowy półmisek, na którym leżał przedtem blankiet wezwania, powrócił na swoje miejsce, do kredensu.

„Zadzwonić do Nataszy czy już za późno? – rozważał. – Nie, to niemożliwe, żeby spała”. Wykręcił jej numer. Natasza od razu podniosła słuchawkę.

– Wszystko w porządku – powiedział Daniłow. – Zobaczymy się jutro. Przepraszam, że cię obudziłem. Śpij.

Odłożył słuchawkę, ale telefon natychmiast zadzwonił. „Nie, Natasza, nie teraz...” – chciał powiedzieć, ale w słuchawce rozległ się głos Podkowyrowa.

– Przepraszam pana, wiem, że już późno, ale wychodziłem przed chwilą z psem i zobaczyłem u pana światło w oknie. Bardzo cenię pańskie poczucie humoru, chciałbym sprawdzić, czy śmieszne jest to, co napisałem. Pan mnie słyszy?

– Tak – powiedział Daniłow.

– To krótkie, proszę posłuchać. „Gdy upadasz na duchu, musisz pamiętać, którą stronę masz podsmażoną”. Jak się panu wydaje? Dobre?

– Dobre – odezwał się Daniłow głosem skazańca.

– A jak pan sądzi, nie trzeba tu dodać, czym to jest podsmażone?

– Nie trzeba.

Chciał wyłączyć telefon z gniazdka, ale pomyślał – a nuż Natasza zadzwoni.

Nikt jednak nie zadzwonił.

Zasnął szybko, choć wydawało mu się na początku, że nie zaśnie w ogóle. A kiedy otworzył oczy, miał takie uczucie, że coś się powinno zdarzyć albo już się zdarzyło. Podniósł głowę i na jednym z krzeseł zobaczył znajomy futerał. Zerwał się z miejsca, podbiegł, otworzył wieko...

W środku leżała jego altówka – dzieło mistrza Albaniego.

Natasza nie zadzwoniła rano: widocznie pomyślała, że Daniłow żartuje, i zbagatelizowała nocną rozmowę. Nie słyszał przecież jej odpowiedzi i nie miał pojęcia, jak zostały przyjęte jego słowa. Może nawet tamtą, poprzednią poważną rozmowę odebrała jako swoisty żart... Cóż, to chyba lepiej. Myślał tale, choć bardzo wątpił, żeby Natasza – taka, jaką dobrze znał – mogła wziąć to za żart. Pozostaje zatem tylko jedno: nie zadzwoniła, ponieważ wszystko zrozumiała. Nawet gdy zobaczy Albaniego, o nic nie zapyta. Był tego niemal pewien.

Nie wziął altówki do teatru. Zrobił tak dlatego, że przewidywał pytania i dowcipy kolegów, a poza tym wcale nie chciał sprawiać dodatkowej przyjemności panu Walentemu czy komuś tam jeszcze, kto zwrócił mu skradziony instrument. Wszystko ułożyło się tak, jak gdyby nie opuszczał Moskwy ani na sekundę, niemniej na razie w jego moskiewskim życiu – przynajmniej w tej głównej warstwie realnego życia – powstała wyraźna luka spowodowana samą świadomością pobytu w Dziewięciu Sferach. Luka istniała i nie zdążyła jeszcze stać się tylko iluzją. Była jak rana, której brzegi nie mogą się zrosnąć...

Na widok altówki Albaniego Daniłow przypomniał sobie natychmiast o sprawcach kradzieży. Przeżyliby zapewne chwile niesłychanej rozkoszy, gdyby zaczął od razu obnosić się wszędzie z odzyskaną altówką. Zresztą niewykluczone, że mylił się myśląc tak o sprawcach – może była to dla nich rzecz całkiem przeciętna, banalna. Trzeba było – odebrali, przyszedł rozkaz, żeby zwrócić – zwrócili. Po cóż mają trzymać instrument w magazynie, gdzie i bez tego pełno rupieci. A jednak nieprzypadkowo zapytał na pożegnanie pan Walenty, czy Daniłow nie ma jakichś życzeń: wiedział przecież, że prośbę mógłby mieć tylko jedną.

Tak czy owak, Daniłow nawet nie wziął od razu Albaniego do rąk; chodził naokoło, ubierał się bez pośpiechu i dopiero po dłuższej chwili odważył się wyjąć instrument z futerału. Położył go na stole; powinien by teraz podziwiać drogocenną altówkę, wpatrywać się godzinami w szlachetne linie jej główki i boczków, a potem wziąć smyczek – i grać, zapomniawszy o wszystkim na świecie, czując znowu, że instrument jest częścią jego istoty, jego głosem, nerwem, sercem, umysłem. Tymczasem sprawdził tylko dźwięk – czy altówka jest ta sama, autentyczna, czy nie podrzuciono mu przypadkiem falsyfikatu sfabrykowanego przez tamtejszych specjalistów – i przekonał się, że falsyfikacja nie wchodzi w rachubę (nikt nie byłby w stanie nabrać go tak, żeby nie zauważył zamiany), zagrał lekką etiudę Schumana. A potem owinął altówkę kaszmirową chustą i zamknął futerał.

Ach, ile go to kosztowało!

Pragnął ugasić wewnętrzny pożar, lecz na razie tylko stłumił płomień. A jednak udało mu się przynajmniej tyle!

Wiedział zresztą, że na razie nie zdążył uświadomić sobie tej radości do końca: nie odczuwał uskrzydającego szczęścia, nie odczuwał porywu, jaki działa bez względu na opór, nie było też upojenia. Zwrócili instrument – i dobrze. Powinni byli zwrócić.

„Zdążę jeszcze zagrać – powiedział sobie. – Dzisiaj dobra będzie stara altówka”.

Do teatru jechał trolejbusem. Myślał o tym, że trzeba zawiadomić milicję i zakład ubezpieczeniowy. Sprawa była delikatna: mniejsza o zakład ubezpieczeniowy, aie na milicji zażądają od niego wyjaśnień, w jakich okolicznościach pojawił się w mieszkaniu zaginiony instrument. Po co zawracał im głowę, jeśli okazuje się, że nikt mu altówki nie kradł: po prostu schował ją do szafy i zapomniał o tym na amen... „Instrument został podrzucony! – odpowiadał na wymagane pytania funkcjonariusza milicji. – Rozumie pan: podrzucony!” I gdyby tak powiedział, nie byłoby to kłamstwem.

Wyskoczył z trolejbusu i pobiegł co tchu do bramy piętnastej: był już spóźniony. Rozpychał ludzi, przeproszał i biegł dalej. Rzucano za nim epitetami, ale bez złości, zwyczajnie, w każdym razie nikt nie wziął go za wariata. Dawno temu, trzy lata po ukończeniu studiów, pojechał na kilka miesięcy do Aszchabadu: czekał, aż zwolni się miejsce w moskiewskiej orkiestrze, do której chciał się dostać, a na razie, ulegając namowom znajomego, wsiadł do samolotu i wylądował u stóp Kopet-Dagu. Pracował przez ten czas w tamtejszej orkiestrze teatralnej i do teatru biegał w moskiewskim tempie, wskutek czego nieraz był posadzany przez przechodniów o zaburzenia umysłowe. Pewien klarncista mówił, że Daniłow szkodzi swej sztuce, że sukcesy artystów i pisarzy epoki Odrodzenia, a nawet XIX wieku, mają zrozumiałe podłoże – ludzie wtedy nigdzie nie pędzili, żyli i myśleli bez pośpiechu i siłą rzeczy mieli sporo wolnego czasu. Daniłow chciałby wierzyć w słuszność wywodów klarncisty, ale wywody swoją drogą, życie – swoją; Leonardo na pewno spieszył się ciągle, nie mówiąc już o Rafaelu. Słowem, klarncista nie zdołał go przekonać. Życie też wymagało czynów i ruchów bardziej zdecydowanych; gdyby nawet zainstalowano na ulicach miast ruchome chodniki, Daniłow też pędziłby nimi co tchu.

Biegł więc i myślał, że w dzisiejszym Aszchabadzie nikt już pewnie nie wzięłby go za opętańca...

Orkiestra grała dziś w sali prób. Coś wyraźnie niepokoiło Daniłowa; czuł, że niepokój emanuje od ściany, za którą była widownia, ale przyczyny zrozumieć nie mógł. W przerwach nie miał wolnej chwili: przyczepiła się do niego Wariencowa, żeby pomógł jej sprawdzić plan występów społecznych. Włączono go w skład sekstetu, który miał wystąpić w drukarni i w zakładach produkujących hamulce. Miał być czymś w rodzaju osoby odpowiedzialnej za przebieg koncertów, a kiedy zapytał, kto z wokalistów wystąpi z ich sekstetem, Wariencowa wymieniła nazwiska barytona Silczenki i mezzosopranu Paleckiej, z tym że Palecką należało jeszcze namówić. Daniłow wyruszył na poszukiwanie Paleckiej, potem wpadł do pracowni instrumentów muzycznych. Mistrz Andrianow dawno już obiecał mu notatkę do gazetki ściennej „Kamerton”: zgłosił się na ochotnika do napisania artykułu, a potem przepadł. „Gazetkę musimy już niedługo wywiesić...” – zaczął Daniłow tonem przypoehlebnym, w którym zabrzmiała jednak nuta świętego oburzenia. Mistrz, przerywając mu w połowie zdania, wyciągnął z kieszeni dwie zapisane kartki. „Teraz muszę wy dębić jeszcze dwa kawałki – od Sobakina i Paniuszkin – myślał Daniłow biegnąc schodami w górę i przeskakując po dwa stopnie naraz. – Wtedy mogę być spokojny o numer”. Zdążył powrócić na swoje miejsce przed nadejściem dyrygenta Chalszyna. Altowiolista Gorochow, człowiek wszystkowiedzący, szepnął mu do ucha: „Podobno Mosołow ma wystawiać *Króla Edypa*. To znaczy nie podobno, tylko na pewno”. Wiedział, że jest głosicielem dobrej nowiny: Daniłow zawsze twierdził, że w ich teatrze Strawiński jest niesłusznie pomijany. „Damy radę zagrać? – zwątpił nagle Daniłow, a potem dodał głosem pełnym nadziei: – Gdyby tak zdecydowano się jeszcze na *Ognistego Anioła...*” Zachwycił się *Ognistym Aniołem* i czekał długie lata, żeby ktoś zdecydował się na jego wystawienie. Rozumiał zresztą, dlaczego nie znalazł się na razie odważny: z taką rzeczą nie każdy teatr sobie poradzi. „Właśnie o tym trzeba napisać w «Kamertonie»! – olśniło go nagle. – Tylko kto to napisze? Paniuszkin? Czy mam zabrać się do tego sam?”

Notatkę Andrianowa położył na pulpicie. Dyrygent stał już na swoim miejscu (próbowano drugi akt *Frota Skobiejewa*). Daniłow, skorzystawszy z pauzy, zerknął na notatkę i przeczytał tytuł: *Wielki żyrandol*. Pasją Andrianowa była historia teatru, często przesiadywał w archiwach i przynosił spostrzeżenia tak ciekawe, że Daniłow stworzył w „Kamertonie” specjalną rubrykę „Z historii teatru”. Teraz, w tej ostatniej notatce, Andrianow pisał o dziejach wiszącego na widowni wielkiego żyrandola. „Ach, tak, rozumiem już, skąd się to wzięło” – pomyślał Daniłow mając na uwadze niepokój prześladowający go od początku próby. Grał i mimo woli spoglądał co chwila na przyniesione przez Andrianowa kartki – czytał o

dawnych mistrzach, brązownikach i szklarzach, o wspornikach, rożkach i kielichach do żarówek... „Wielki żyrandol składa się z trzynastu tysięcy detali” – kończył swoją notatkę Andrianow.

Wieczorem grali *Próżną zapobiegliwość* i Daniłow siedząc w orkiestrze nie mógł oderwać oczu od wielkiego żyrandola. Stąd, z jamy orkiestrowej, żyrandol był widoczny znacznie lepiej niż nogi tancerek. Teraz w miejsce niepokoju przyszedł nieodparty lęk. Ten żyrandol, który Daniłow przedtem podziwiał i nie wyobrażał sobie teatru bez niego, napawał go wstrętem, zwłaszcza że był bez porównania większy i masywniej szy niż tamten z Dziewięciu Sfer. Daniłow mimo woli wciągał głowę w ramiona – do tego stopnia realne wydawało mu się spadanie trzynastu tysięcy spiżowych, kryształowych i innych detali; byłby to zapewne niezapomniany widok, połączony z cudowną grą odbłasków... Wspaniały widok... No tak, zależy dla kogo... „Co się ze mną dzieje, skąd ten dreszcz? Na razie nie ma powodu...” – pocieszał się Daniłow, ale nic nie mógł na to poradzić i w przerwach uciekał z orkiestry, choć żyrandol wisiał wcale nie nad orkiestrą, tylko nad parterem, nad rzędami najlepszych foteli. Biegł do foyer, do bufetu – ale i tam wisiały żyrandole, wprawdzie nie tak olbrzymie i strojne, jak ten z widowni, wiszący w teatrze, jeśli wierzyć danym Andrianowa, od osiemdziesięciu sześciu lat, ale w pojęciu Daniłowa wystarczająco groźne. „Nerwy – myślał Daniłow. – Nie wolno mi zwlekać ze sprawą chłopobudów, muszę zadzwonić do Klaudii”.

Zadzwonił do niej, ale dopiero nazajutrz.

Powracając z teatru do domu odzyskał względny spokój: żyrandol; pozostał w teatrze, choć jego napawające grozą widmo płynęło nad Daniłowem po nocnym niebie.

W domu czekała na niego Natasza. Otworzyła mu drzwi, wpuściła do mieszkania i przycichła w jego ramionach. Nic nie mówił, tylko gładził jej włosy. Potem Natasza podniosła twarz i w jej oczach zobaczył wszystko: wczorajsze pożegnanie i dzisiejszą radość. Był jej wdzięczny, kochał ją i wiedział, że ciężaru, jaki wzięła na swoje barki postanawiając złączyć z nim własny los, nie wyrzeknie się teraz za nic w świecie: poszła na to. dobrowolnie i czuje się na siłach wszystkiemu sprostać. „Co będzie, to będzie – pomyślał – najważniejsze, że jesteśmy razem”.

– Wróciłeś nareszcie – powiedziała Natasza. – Rozbieraj się, myj ręce i pójdziemy do kuchni...

Oczywiście nie uszedł jej uwagi leżący na krześle futerał. Daniłow, biorąc z jej rąk szklanek herbaty, powiedział jakby mimochodem:

– Znalazł się mój Albani.

Wówczas Natasza, jak gdyby powrót Albaniego był sprawą naturalną i nie wymagającą wyjaśnień, odpowiedziała:

– No właśnie, tak też sobie pomyślałam.

Zrozumiała wszystko. Teraz żadne z nich nie musiało już grać: byli dla siebie tacy, jacy byli i jacy mogliby lub powinni być. Ich losy połączyły się w jedno, były wspólnym życiem, choć każde szanowało prawa drugiej strony do samodzielności, do działań niezależnych. Zniknął bez śladu jego stosunek do Nataszy jako osoby, której nie chciał obarczać swoimi kłopotami. Zasnął spokojnie, czując się mniej więcej tak, jak się czuje człowiek żonaty.

Rano Natasza poszła do pracy. Postanowił zadzwonić do Klaudii.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała Klaudia.

– Ja? Od ciebie? – zdziwił się Daniłow. Uzmysłowił sobie jednak, że w istocie to on tym razem ma do niej interes.

– Nie chciałem sprawiać ci kłopotu, ale... sama mi kiedyś radziłaś... Słowem, mam na myśli chłopobudów.

– Chcesz, żebym ci pomogła wpisać się do kolejki?

– Byłbym bardzo wdzięczny...

– Ale po co?

– No, choćby po to, żeby zdobyć książki, na których mi zależy... Poza tym sama mówiłaś, że mogę się kiedyś przydać.

Klaudia zamilkła – widocznie nastąpił moment rozważań.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Spróbuję załatwić ci spotkanie z Rostowcewem. Ale pamiętaj, że wpisać się do kolejki niełatwo.

– Rozumiem – westchnął Daniłow.

Odłożył słuchawkę i o mało nie walnął pięścią w aparat. Po co w ogóle do niej dzwonił? Skąd cały ten pośpiech – czyżby aż takiego strachu napędził mu wczoraj wielki żyrandol? Przecież łąciaty sekretarz dwukrotnie proponował mu przyjęcie poza wszelką kolejnością! Obiecał wtedy, że zatelefonuje za dwa dni, czyli jutro należy spodziewać się telefonu. Zresztą co tam sekretarz – wystarczy przesunąć płytkę bransolety i sprawa będzie załatwiona w ciągu niecałej sekundy... Zamiast tego w popłochu stracił głowę i wdał się w upokarzające pertraktacje z Klaudią... Teraz gotów był zadzwonić do niej ponownie i powiedzieć, że się rozmyślił, ale Klaudia uprzedziła jego zamiary.

– Załatwione! – powiedziała. – Musisz mi pięknie podziękować. Jesteś moim dłużnikiem aż do śmierci.

– Tak jest, aż do śmierci – zgodził się Daniłow.

– Ubłagałam Rostowcewa, żeby wyznaczył ci spotkanie od razu, jeszcze dzisiaj.

– Dziś u mnie krucho z czasem.

– Co?! Wstydzilibyś się, Daniłow! I bez tego zrobiłam to tylko z litości dla ciebie! Masz lukę między czwartą a szóstą, a więc kwadrans po czwartej w kawiarni na Gorkiego.

– Dobrze – powiedział Daniłow.

– I jeszcze jedno – dodała Klaudia. – To ważne dla mnie. Coś się dzieje ostatnio z Rostowcewem, jest wyraźnie czymś zaabsorbowany. Bardzo cię proszę, wybadaj, w czym tu rzecz. Zrób to dyskretnie... Niby ot, tak sobie... Może puści farbę. Wiem, że większość czasu spędza teraz na hipodromie.

– A twoja niezależność?

– Nie da się tak od razu – powiedziała Klaudia.

„Z tego wynika, że w moim spotkaniu z Rostowcewem Klaudia ma swój cel – myślał później Daniłow. – Może Rostowcew zaczyna wymykać się z rąk i potrzebne jej są dodatkowe informacje...” W głosie Klaudii wyczuł zatroskanie – prawdziwe czy udane, nieważne – fakt, że zrobiło mu się jej żal.

Rostowcew intrygował go nadal, poza tym pamiętał dobrze rady Malibana. Tak więc parę minut po czwartej znalazł się na rogu zaułka Teatru Artystycznego; stał tam ze dwie minuty i nagle zobaczył Rostowcewa na koniu. Jechał z naprzeciwka chodnikiem i wyglądał całkiem zwyczajnie, bez papugi na ramieniu, bez fajki i laski. Spośród innych ludzi, znajdujących się o tej porze na ulicy i nie zdziwionych ani trochę widokiem jeźdźca, wyróżniał się jedynie zbyt lekkim jak na tę porę roku ubraniem – widocznie tak nakazywała dżokejska moda. Rostowcew zsiadł z konia, uwiązał go do rosnącej przy krawężniku lipy i podszedł do Daniłowa. Wymienili ukłony, Daniłow pierwszy podał rękę mówiąc, że nie musi chyba wymieniać swojego nazwiska, choć oficjalnie nikt ich sobie nie przedstawiał. Rostowcew przytaknął. Weszli do kawiarni, Daniłow zdjął w garderobie płaszcz, Rostowcew zostawił tylko dżokejkę. Usiedli na galerii, zamówili lody śmietankowe i butelkę wody mineralnej. Daniłow zerknął na wszelki wypadek na swój indykator i nie stwierdził żadnych odchyień od normy.

– Wynioskowałem ze słów pani Klaudii, że zamierza pan wpisać się do kolejki – powiedział Rostowcew.

– Tak jest – potwierdził Daniłow.

– Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym zapytać, jaki panu przyświeca cel?

– Nno... – wybąkał Daniłow myśląc równocześnie: „Co to, wstępne dochodzenie? Może zażąda od razu wpisowego, a ja mam przy sobie tylko pięć rubli, ledwo wystarczy, żeby zapłacić za lody...”

– Być może Klaudia zrozumiała mnie opacznie – wydusił z siebie wreszcie. – Nie powiem, żeby aż tak bardzo mi na tym zależało. Gdyby pomoc w tej sprawie okazała się dla pana w jakiejś mierze uciążliwa, możemy od razu o wszystkim zapomnieć.

– Uciążliwa? Bynajmniej – rzekł Rostowcew surowo, a w tonie jego zabrzmiała nuta dająca niejako do zrozumienia, że kto jak kto, ale on ma wszelkie prawa do surowości. – Nie odpowiedział pan jednak na moje pytanie – zakończył.

– Potrzebne mi są książki – powiedział Daniłow. – Nie mam czasu na wystawanie pod księgarnią, tym bardziej nie stać mnie na przepłacanie handlarzom.

– Tylko na książkach panu zależy?

– Tak. Kompletuję bibliotekę... i dużo czytam. O muzyce, sztuce, historii, o Narodnej Woli. Teraz na przykład wydano w dużym nakładzie album *Luwr*, ale jak go zdobyć? Im dalej, tym gorzej. A bez książek ja nie mogę...

Mówił prawdę.

– Rozumiem pana – odpowiedział Rostowcew. – Książki są dziś lokatą kapitału, tak jak dywany czy kosztowności. Cóż, pańskie zamiłowania nie są pozbawione sensu. Sam jestem bibliofilem, gromadzę ostatnio całą literaturę z dziedziny hippiki.

– Ma pan pięknego konia – wtrącił przypochlebnie Daniłow.

– To klacz, zresztą przypadkowa – rzucił Rostowcew niedbale. – Wziąłem ją dziś, bo akurat była wolna. A na stałe mam wałacha, rzeczywiście pięknego.

Wspomnienie o wałachu sprawiło, że ton rozmowy uległ zmianie. Rostowcew nie robił dziś wrażenia pirata: surowy, spokojny, od samego początku dał do zrozumienia, że spotkanie powinno mieć charakter chłodny i rzeczowy, ale w momencie, gdy wspomniął o koniu, na jego twarzy pojawił się marzycielski uśmiech i znowu, tak jak przedtem, kiedy to otwierał przed Daniłowem drzwi swojego mieszkania, wyglądał jak uroczy, dobrze odżywiony bobas.

– Pasjonuje się pan konną jazdą? – zapytał Daniłow.

– Tak!

Nie czekając na dodatkowe pytania, nie troszcząc się wcale o wrażenie, jakie jego wylewność może sprawić na rozmówcy, Rostowcew zaczął opowiadać o swoim nowym hobby. Zaczęło się od tego, że podążył za modą i zapisał się do klubu jazdy konnej w Sokolnikach („Tak jak Murawłow” – pomyślał Daniłow). Jak każdy człowiek, który całe życie spędził w mieście i nigdy nie siedział w siodle, Rostowcew musiał przede wszystkim wyzbyć się niezgrabności, choć kiedyś tam, za młodu, uprawiał różne sporty. A więc początkowo miał trudności z wsiadaniem na konia, padał, łamał sobie żebra, dwa miesiące spędził w szpitalu, ale mimo to nie zrezygnował. Wreszcie, po długich zmaganiach, nabył takiej wprawy, że mógł już brać udział w przejażdżkach alejami parku. Same przejażdżki jednak nie wystarczały, konna jazda budziła w nim namiętności: rozdymały się nozdrza, wrzała w żyłach krew przodków – może Scytów, a może jeźdźców ze straży przybocznej samego Monomacha... Zawsze pragnął poczuć się prawdziwym mężczyzną dosiadającym narowistego rumaka, miał nie zaspokojoną potrzebę piękna. W rzeczy samej, czyż jest na świecie zwierzę piękniejsze niż koń, zwłaszcza koń w pędzie! Słowem, przerodziło się to w prawdziwą pasję i rozmawiać na ten temat mógłby w nieskończoność, ale szczegóły na pewno Daniłowa nie interesują. „Dlaczego?” – szczerze zaprzeczył Daniłow, i ucieszony Rostowcew mówił dalej. No więc znalazł dojście do Torów Wyścigów Konnych, miał tam znajomości, które udało się odświeżyć, i teraz jest na torach swoim człowiekiem. Przeczytał masę książek i mnóstwo publikacji – najnowszych oraz dawnych. Pewnego razu natrafił przypadkowo na słynny traktat Kikkulego o treningu koni hetyckich zaprzęganych niegdyś do rydwanów...

– Jak się nazywa autor? – nie dosłyszał Daniłow.

– Kikkuli, Ki-kku-li – powtórzył Rostowcew. – Żył w XIV wieku przed naszą erą. Mitannijski Kikkuli, doskonały znawca koni. Hetyci zrozumieli wtedy, że tylko rydwany zapewnią ich wojsku zwycięstwo.

– To bardzo ciekawe! – powiedział Daniłow zachęcając rozmówcę do kontynuowania tematu.

– Proszę posłuchać, co pisał Kikkuli – rzekł Rostowcew z żarem. – „Dnia dziesiątego, gdy noc się kończy, a świt dopiero wstaje, wznoszę w mowie hurycyckiej gorące modły do Pirinkar i Sauszgi, by dali komom zdrowie, a potem wszystkie moje kony wyprowadzam na łąkę...” Jak ten człowiek musiał kochać konie!

Rostowcew pokiwał głową, ni to współczując Kikkulemu, ni to dając do zrozumienia, że w naszych czasach miłość do koni wygląda zgoła inaczej.

Zaczął wyjaśniać istotę treningu Kikkulego, porwał ze stołu papierową serwetkę i długopisem zrobił na niej jakiś wykres. Powiedział, że jest to wykres zmian obciążenia podczas kłusu i galopu, zanotowanych przez Kikkulego w trakcie obserwacji trwających sto osiemdziesiąt pięć dni. Opowiedział przy tym, jakie chody rozróżniano w starożytności i dodał, że Kikkuli dobierał konie dla jazdy hetyckiej bez żadnych wstępnych przygotowań; jedynym kryterium przydatności do służby był ostry sprawdzian trwający cztery dni – i koń, który wykazał się dobrymi wynikami, zostawał od razu zakwalifikowany. A więc rankiem pierwszego dnia przewidziana była jedna próba stępa i kłusu na dystansie wynoszącym 18 km oraz dwie próby galopu na dystansie 400 – 600 m, wieczorem zaś dwa odcinki po 6 km i 420 m galopu – i tak dalej. Rostowcew w swej mini-prelekcji przytoczył szereg danych zawartych w pracy Kowalewskiego zatytułowanej *Koń i jeździec*, mimo że praca ta ukazała się drukiem znacznie później, w jakieś pięć lat po rozmowie z Daniłowem w „pałacu lodowym”.

– Nie zanudziłem pana? – zapytał.

– Ach, skądże! A więc zamierza pan powozić rydwanem?

– Jakże teraz rydwany! Mam konia pod siodłem. Jak na dżokeja jestem zbyt wysoki i masywny, sam pan zresztą widzi, chciałbym brać udział w sulki – gonitwach kłusaków, gdzie waga nie jest aż tak istotna. Rydwany to pieśń przeszłości.

– Marzy pan o gonitwach?

– Nie marzę, przygotowuję się do nich. A co do marzeń... marzę o takim stanie, kiedy jeździec tworzy z koniem całość, kieruje tum bez wodzy, osiąga maksymalną swobodę. Z cugłami i wędzidłem każdy potrafi. Starożytnym Grekom i Numidyjczykom wystarczała cienka trzcinka i konie były im pokorne... Pod koniec ubiegłego stulecia pewien francuski kawalerzysta, Crémier Foix, udowodnił, że można bez siodła i wodzy, przy pomocy jednej tylko szpicruty, rozkazów słownych i ruchów ciała powtórzyć na parkurze wszystkie klasyczne popisy Numidyjczyków. Czemuż bym ja nie mógł tego zrobić?

– Myślę, że zrobi pan – powiedział Daniłow uprzejmie.

Rostowcew, pochłonięty marzeniami o koniu bez siodła i uzdy, patrzył na Daniłowa nieśmiało, z bezbronny uśmiechem. Taki właśnie – prostoduszny, zażenowany – sprawiał wrażenie najsympatyczniejsze. Po chwili jednak znowu spoważniał:

– Przepraszam, powróćmy do naszych spraw. A więc czego spodziewa się pan po chłopobudach?

– Ja?... – zdziwił się Daniłow. – Przecież powiedziałem...

– Powiedział pan o książkach, ale książki można załatwić inną drogą. Wiem coś niecoś o panu, czuję do pana sympatię. Po co panu całe to bagno?

– Bagno?

– Mówię o kolejce. O chłopobudach, czyli o budochłopach.

– Nie rozumiem.

– Powinien pan rozumieć. To tylko mrzonki, złudzenia.

– To znaczy?...

– To znaczy bief, iluzja, lipa! Mówię poważnie: czuję do pana sympatię i moim obowiązkiem jest otworzyć panu oczy. Chłopobudy to mój pomysł.

Daniłow nastawił uszu. Bynajmniej nie zależało mu na tym, żeby cała ta budochłopistyka okazała się nagle lipą.

– Taką już mam naturę – ciągnął Rostowcew. – Zawsze miałem nieodparty pociąg do mistyfikacji. Dałem się we znaki ludziom i samemu sobie, ale co robić – jestem niepoprawny. No więc o chłopobudach. Jakies trzy lata temu byłem z wizytą w pewnym domu, gdzie poznałem socjologa Obłokowa i dwóch ekonomistów. Byli ozdobą towarzystwa, mówili dużo i pięknie; dla mnie, człowieka o całkiem innej mentalności, ich wywody brzmiały komicznie i wydawały się zbyt dalekie od normy. Dla podtrzymania konwersacji wypowiedziałem się na temat utworzenia eksperymentalnej grupy doskonalenia oceny przyszłości jako ewentualnego kierunku badań i działań praktycznych. Wygłupiałem się, używałem zasłyszanych od nichże terminów, parodiowałem je bezlitośnie, ale nikt nie rozumiał ani kpiny, ani parodii – przeciwnie, moje pomysły ogromnie przypadły im do gustu. Cóż, powiadają, idea doskonała, warto spróbować! Zabawiłem się – i dobrze, trzeba było zapomnieć od razu o tym epokowym przedsięwzięciu, ale odezwała się moja przekorna natura. Przyszli do mnie, przynieśli wstępny projekt i zapragnęli moich uwag. Wtedy mnie poniosło. Takiej nabrałem ochoty do utworzenia eksperymentalnej grupy i przekonania się na własne oczy, jak ludzie zaczną walić do chłopobudów drzwiami i oknami, że starałem się, jak mogłem. Wszystko szło jakby swoją drogą, z dala ode mnie, a mimo to bez mojego udziału obejść się nie mogli. Rzecz w tym, że Obłokow i jego analitycy, ludzie poważni i rzeczowi, są siłą faktu pozbawieni fantazji, wyobraźnię mają ubogą i nieśmiałą, a ich podbudowane wiedzą umysły dobre są tylko do tego, żeby rozstawiać kuchenki naftowe we wspólnych mieszkaniach. Ja natomiast byłem wśród nich jedynym dyletantem, człowiekiem absolutnie wolnym od wszelkiej sugestii zawodowej; wyobraźnię mam nieskrępowaną, nie obciążoną nadmiarem wiedzy empirycznej. Podsuwałem im pomysły, które w pierwszym momencie sprawiały na nich wrażenie szaleńczych, oderwanych od rzeczywistości. Zawsze jednak znalazł się ktoś, kto w porę przypomniał sobie o wielkiej roli zwariowanych pomysłów, i moje chłopobudy zaczynały rozważać: „A może warto zaryzykować?... Coś w tym musi być...” Przywykli też do nazwy, którą dla nich wymyśliłem, a której początkowo nie akceptowali. Tak się też stało, że moja idea zaczęła żyć samodzielnie, już niezależnie od mojej woli. Ograniczam się do tego, że nadal podpowiadam im kierunki działania.

– I te prognozy dla Klaudii też pochodzą od pana?

– Naturalnie. Udawałem, że docierają do mnie nowe informacje, i powiadałem ją poza kolejnością. A wszystko to oczywiście sam wymyśliłem...

– I holografa, i te dyplomy, i szmaragdy z wulkanu Szywełucz?

– Tak jest – westchnął Rostowcew.

– Nieładnie – powiedział surowo Daniłow; czuł się teraz nieomal najbliższym przyjacielem Klaudii, reprezentantem jej interesów, którego nabijano w butelkę wraz z tą łatwowierną kobietą. – Nie wchodzę w to, jaki stopień zażyłości łączy pana z Klaudią, ale jak można narażać kobietę na takie kłopoty? A w przypadku ze szmaragdami – nawet na duże ryzyko... Moim zdaniem, wszystko to jest mało dowcipne.

– Ależ Klaudia potrzebuje takich przeżyć! – odparł Rostowcew z żarem. – Gdyby nawet mnie nie było, sama wpadłaby na pomysły jeszcze bardziej ryzykowne!

– Mimo wszystko sugerował jej pan sprawy pozbawione wszelkiego sensu – powiedział Daniłow tonem mniej zdecydowanym.

– Nie wiadomo, czy tak całkiem pozbawione sensu – zaprzeczył Rostowcew. – Zgadzam się, że z mojej strony były to może głupie żarty, ale jej energia wystarczy, żeby z lawy zrobić szmaragdy.

- Wątpię.
- Czytał pan w gazecie popołudniowej o tych doświadczeniach z kamczacką lawą?
- Nie – odparł pospiesznie Daniłow wyrzucając sobie, że znowu zapomniał o całej tej historii.
- Radzę przeczytać. To był przedwczorajszy numer.
- Klaudia nie będzie miała żadnych szmaragdów – powiedział Daniłow ze złością – niepotrzebnie zawraca pan głowę naiwnej kobiecie.
- Cóż – odezwał się Rostowcew – może ma pan rację... Ostatnio coś sobie ubzdurała na mój temat – że niby jestem jej własnością i że musi mnie za wszelką cenę utrzymać przy sobie. Może sam dałem ku temu powody, nie wiem... A gdyby nawet tak było, powody są najzupełniej banalne, w naszych czasach nikt nie bierze tego serio. Zaczęła urządzać mi sceny... Nie wiem, czy pan to rozumie...
- Dlaczego nie? – odpowiedział Daniłow. – To akurat potrafię zrozumieć, ale nie rozumiem innej rzeczy. Pańskie żarty mają posmak wyraźnej kpiny, oszukiwał pan Klaudię złośliwie, traktował ją jako osobę prymitywną. Co takiego panu zrobiła?
- Ależ tu wcale nie o nią chodzi! – skrzywił się Rostowcew. – Chodzi o cały ten gatunek ludzi! Widział pan tych, co czekają w kolejce?
- Powiedzmy.
- Czuję obrzydzenie na widok wszystkich tych cwaniaków, parweniuszy, nienawidzę ich, bo mają pełne brzuchy i pełne kiesy, a mimo to tylko czyhają, żeby uszczknąć coś na boku! Szukają niezawodnych sposobów na lokatę albo puszczenie w ruch swoich kapitałów: kapitału w sensie finansowym i kapitału pozycji społecznej. Tak jest, świadomie nabijam ich w butelkę, ale sami mnie do tego prowokują. Zależy im na zdobyciu tego, czego jeszcze nie mają.
- Rozumiem. I podjął się pan roli sędziego, ponieważ gardzi pan tymi ludźmi...
- Nic z tych rzeczy. Nie mogę ich sądzić, nie jestem do tego uprawniony. Mogę tylko dać wyraz temu, co o nich myślę. Uważam, że mam do tego prawo.
- No dobrze, ale co z Klaudią? Reszta to dla pana przedstawiciele pewnej określonej rasy, ale Klaudia jest żywą kobietą, człowiekiem jak każdy inny... W stosunku do niej też miał pan prawo być cyniczny? Zresztą po co ja się w to mieszam?...
- Bardzo proszę nie brać mnie za cynika. Wyrachowanie jest mi obce, jestem z natury lekkoduchem i narwańcem, lubię hazard i jak mnie już poniesie, to poniesie. W tym całe moje nieszczęście – albo szczęście, sam nie wiem. A co do Klaudii, miała z mojego powodu same przykrości, nie wie pan wszystkiego, ale nie mogłem brać serio jej przedsiębiorczych zapędów. Stąd pomysły tego typu, jak tamten ze szmaragdami... E, co tam! – machnął ręką, w której trzymał łyżeczkę. – Mam tego wszystkiego powyżej uszu!
- Przerzucił się pan z chłopobudów na konie?
- Tak – potwierdził Rostowcew. – Wystarczyło mi, że ustawili się w kolejce i że kolejka zaczęła żyć własnym życiem. Odtąd przestali mnie w ogóle interesować. Myślę, że już na zawsze.
- No dobrze, ale przyjdzie czas, kiedy przegalopuje pan wreszcie przed publicznością na wierzchowcu bez siodła i uzdy – i co dalej? Znudzi się panu konny sport?
- Na pewno – powiedział Rostowcew. – W kwietniu ubiegłego roku poszło o zakład i zjechałem moskwiczem – cudzym, rzecz jasna – ze słynnych schodów Potiomkinowskich w Odessie. Teraz nie mogę na te schody patrzeć. A szkoda, bo piękne.
- I tak bywa zawsze?
- Zawsze. Taką już mam naturę.
- Przepraszam, czy pan gdzieś pracuje?
- Pracuję.

– Widziałem na drzwiach pańskiego mieszkania tabliczkę: „Absolwent dwóch wyższych uczelni, w tym jednego uniwersytetu”.

– Zgadza się. Najpierw była AWF, specjalizacja – pływanie, ale teraz sam już nie pływam i nie uczę innych. Po prostu kąpię się, tak jak wszyscy. Potem ukończyłem uniwersytet, wydział mechaniczno-matematyczny.

– Iz jaką mechaniką ma pan do czynienia?

– Z mechaniką, że tak powiem, niebieską – powiedział Rostowcew robiąc płynny ruch uniesioną dłonią. – Lotniczą.

– Praca też pana nudzi?

– Nie powiedziałbym, ale takich jak ja jest za dużo – setki, tysiące. Jestem pięćdziesiąty, setny albo tysięczny. Ślęczę nad detalami odkryć, które są domeną innych. To całkiem normalne, wymaga tego obecny poziom rozwoju nauki. Ludzi jest na świecie coraz więcej. Leonardo mógł wcielać w życie wszystkie swoje idee, tymczasem ani ja, ani tysiące mi podobnych nie mamy już takich możliwości. Dlatego każdy z moich kolegów ma jakieś hobby, jakieś zajęcie uboczne – na przykład w naszym dziale wszyscy montują kolorowe telewizory. A ja... cóż, pozostają mi zwariowane pomysły i ujeżdżanie klaczy.

– Dobrze panu z tym?

– Nie narzekam... Chociaż nie o to mi w życiu chodzi. I jeszcze jedna rzecz. Im więcej odkryć w nauce – choćby w tej najbliższej mi gałęzi – tym więcej zagadek. W rezultacie mimo woli nasuwa się myśl: „Czy ktoś nas przypadkiem nie zwodzi? Nie robi z nas durniów? Czy całe moje życie nie jest przedmiotem czyichś żartów?” Może dlatego sam chętnie zwodzę innych, żeby się jakoś uspokoić, odzyskać równowagę...

– Myślę, że nie ma pan racji – powiedział Daniłow. – Naczytał się pan po prostu zagranicznej fantastyki.

– Możliwe – odparł Rostowcew z zadumą. – Ale nadal nie mam pojęcia, co robić z Klaudią.

Spojrzał na Daniłowa jakby prosząc o radę.

– To nie moja sprawa – odpowiedział Daniłow. Żał mu było Klaudii, ale Rostowcew przestał wydawać się człowiekiem niebezpiecznym. – Mimo wszystko bardzo pana proszę pamiętać o mnie. Żarty żartami, a książki mi są potrzebne.

– Dobrze – skinął głową Rostowcew. Myślał chyba ciągle o swoich stosunkach z Klaudią, ponieważ wzdychał i raz po raz zanurzał łyżeczkę w roztopionych lodach.

– Dziękuję – powiedział Daniłow, po czym udając zdziwienie zapytał: – A jednak jak to wszystko rozumieć? Powiedział pan – miraż, ale gdzie tu miraż? Kolejka funkcjonuje, ja mam nadzieję na załatwienie książek, inni spodziewają się jeszcze większego pożytku i mają ku temu podstawy... Wszyscy ci ludzie, których nie darzy pan sympatią, w końcu będą mieli z tego przedsięwzięcia namacalne, realne korzyści. To nie ulega najmniejszej wątpliwości: nowe kontakty, nowe informacje, nowe nabytki i posady – a wszystko dzięki panu! Pan natomiast umywa ręce i ucieka do swoich koni.

Mówił szczerze, choć trochę podpuszczał Rostowcewa. Wiedział, że sam już wkrótce będzie bez reszty pochłonięty muzyką i sprawy chłopobudów zaczną mu ciążyć. Zresztą po cóż miałby się wysilać, skoro jest na świecie Rostowcew, ten niespożyty fantast! Gdyby nie znudziło mu się tak szybko własne przedsięwzięcie, mógłby jeszcze nawarzyć takiego piwa, że w kancelarii Malibana dzień i noc skrzypiałyby pióra oscylografów. Tymczasem Daniłow mógłby sobie spokojnie grać na altówce.

– Co pan ma na myśli? – podniósł głowę Rostowcew.

– To... że... – zmieszał się Daniłow, ale po chwili powiedział: – To, że brak panu w istocie poczucia odpowiedzialności. Wyposażył pan tych dorobkiewiczów w narzędzia machinacji, a sam w krzaki. O nie, tak się nie robi! Właśnie dlatego, że gardzi pan tymi ludźmi, trzeba zwodzić ich dalej. Inaczej być nie może! Dzięki panu zaczną prosperować – i

wyjdzie tak, jakby panu właśnie na tym zależało. Może pan liczyć na moją pomoc, ja też nie znoszę tego gatunku ludzi.

– Muszę się zastanowić – powiedział Rostowcew niepewnie.

– Za późno! Zastanawiać się trzeba było wcześniej, zanim wpadł pan na pomysł z całą tą budochłopistyką!

– Wydaje się, że pan mnie przekonał...

„No cóż, świetnie – myślał Daniłow. – Tak czy owak nie wymknie się swoim chłopobudom. Przejedzie się parę razy przed publicznością na podobieństwo tego francuskiego kawalerzysty, a potem znowu wymyśli coś dla Obłokowa. Klaudia też nie wypuści go tak łatwo z rąk...”

Ten ostatni aspekt sprawy wydał mu się szczególnie obiecujący.

W teatrze powinien był stawić się za pół godziny. Porozmawiali jeszcze trochę, Daniłow zainteresował się, skąd Rostowcew ma czas na wyjazdy do Odessy i na te swoje konie. Okazało się, że w Odessie Rostowcew był służbowo, poza tym raz w tygodniu przysługuje mu jeden dzień na samodzielną pracę naukową, w dodatku zaprzyjaźniony kierownik pracowni zwalnia go z biura bez problemów. Nawiasem mówiąc, kierownik też wpisał się do chłopobudów. „No widzi pan! – powiedział Daniłow. – A po co mnie pan śledził?” – „Myślałem, że jest pan jednym z nich, chciałem wymyślić dla pana coś szczególnego... A potem tak się złożyło, że poczułem do pana sympatię”. Daniłow po winie miał już trochę w czubie, siedział teraz rozanielony i Rostowcew wydawał mu się tak miłym facetem, że gotów był przejść z nim na „ty”. Zauważył, że na Rostowcewa też podziałało wino, zapytał nawet: „Czy panu nie zaszkodzi? Jest pan, że tak powiem, za kierownicą”. – „Nie zaszkodzi” – uśmiechnął się Rostowcew. W tym momencie dobiegło ich rzenie koma i Rostowcew powiedział, że niestety, musi już iść, na co Daniłow odparł, że na mego też czas. „Nie przeziębi się pan?” – zapytał troskliwiej Rostowcew uspokoił go mówiąc, że jest zahartowany, kapał się nawet swojego czasu w przerwaniach. Daniłow odprowadził go aż do miejsca, gdzie czekał koń, długo ścisnął rękę, a potem patrzył z rozrzewnieniem na jeźdźca oddalającego się ulicą w kierunku Dworca Białoruskiego.

Wieczorem, o jedenastej, zadzwoniła Klaudia.

– I co? – zapytała. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie – powiedział Daniłow. – Przyjemny rozmówca, dziękuję za znajomość.

– Wiesz już może, po co chodzi na tor wyścigowy?

– Bądź spokojna, nie gra na wyścigach, po prostu lubi konie.

– Sama wiem, że nie gra. Byłam tam i widziałam.

– No to wiesz już wszystko lepiej ode mnie.

– Powiedz wreszcie, czego się dowiedziałeś.

– Mówię ci, że niczego.

– Ależ z siebie!... Musiałeś przynajmniej coś wyczuć...

– Zależy ci na nim?

– Ach, zostawmy ten temat...

– Dobrze – zgodził się chętnie Daniłow.

– Zawsze muszę liczyć tylko na siebie!

– Słuchaj – przypomniał sobie Daniłow – powiedz mi, co zrobiłaś z tymi kamieniami?

– Z kamieniami?

– No, z tymi szmaragdami z wulkanu Szywełucz.

– Na razie nic.

– To dobrze – powiedział.

Natasza siedziała w pokoju i słyszała jego rozmowę z Klaudią. Czuł mimo woli, że słucha z pewnym napięciem: na razie nie rozmawiali ze sobą na temat Klaudii, teraz jednak Natasza czy to miała do niego jakieś pretensje, czy może była trochę zazdrosna. Sprawiało mu to

przyjemność; chciał podejść do Nataszy, przytulić ją, powiedzieć coś miłego, ale właśnie w tym momencie telefon zadzwonił znowu.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – usłyszał Daniłow głos łaciatego sekretarza – ale nie mogłem pana zastać. Byliśmy umówieni dziś na telefon...

– Tak – powiedział Daniłow – przyjmuję pańską propozycję. Chciałbym tylko, żeby wziął pan pod uwagę, że zgodę wyrażam wcale nie pod wpływem waszych... (o mało nie powiedział „pogrózek”, ale zreflektował się w porę, bo obok była Natasza) ...waszych warunków. Mam na względzie wyłącznie własną korzyść.

– Bardzo się cieszę – powiedział sekretarz – natychmiast powiadomię Obłokowa. Byłby wskazany osobisty kontakt.

Daniłow odłożył słuchawkę i pomyślał: „Dobra nasza, powiadamiacie kogo chcecie. Potem będziecie pluć sobie w brodę”. Spodziewał się pytań Nataszy, ale o nic nie zapytała.

W trakcie wieczornego spektaklu znowu spoglądał z niepokojem na wielki żyrandol, w domu starannie omijał niemiecką wiszącą lampę o trzech szklanych kloszach. „Zachowuję się jak zastrachany baran” – stwierdził z przykrością.

Jeszcze przez kilka następnych dni patrzył z obawą na wszystkie lampy i żyrandole. Niepokoiły go nawet płaskie jarzeniówki. Potem jednak nastąpił względny spokój.

Wysłał uprzejme listy do zakładu ubezpieczeń oraz do porucznika Niesynowa z komendy milicji. Przepraszał w tych listach za wszystkie kłopoty i powiadał, że skradziony instrument został mu prawdopodobnie podrzucony. Rozumiał, że sprawa mogła wydać się podejrzana i budząca sporo wątpliwości, no bo trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł podrzucić skradzioną rzecz do zamkniętego mieszkania, a zresztą w jakim celu miałyby to robić? Bez najmniejszego entuzjazmu oczekiwał więc wezwania do komendy na przesłuchanie, ale dni mijały i nikt go nie wzywał.

Odbył tymczasem spotkanie z Obłokowem i jego doradcami. Rozmawiał z nimi surowo, oznajmił, że byłoby błędem z ich strony snuć na jego temat niedorzeczne domysły, a zresztą nie leży to w ich kompetencjach. Zdecydował się na współpracę wyłącznie dlatego, że zainteresowało go ich przedsięwzięcie, choć nadal nie bardzo rozumie, jaki mogą mieć z niego pożytek. Może potrzebują konsultacji muzycznej? Chłopobudy zachowały powściągliwość, dając mu niejako do zrozumienia, że dobrze wiedzą, kiedy i kto przyniesie im pożytek. Widać było, że są to ludzie trzeźwi, nie polegający na opiniach lub wątpliwościach osób postronnych, choć skądinąd mogliby w to uwierzyć. („Może to nowy kawał Rostowcewa?” – pomyślał Daniłow i nieco później, przy najbliższej okazji, zapytał Rostowcewa wprost, czy nie został przez niego rozreklamowany jako unicum. „Co to, to nie” – wyparł się Rostowcew.)

– Powtarzam: nie szukam żadnych korzyści dla siebie – oznajmił Daniłow żegnając chłopobudów. – No, chyba że książki... Ale co do pochlebnych recenzji na mój temat, dobrze opłacanych chaftur czy innych tego typu przywilejów – żadna z tych rzeczy nie wchodzi w rachubę. Wystarczy, żeby mi nie przeszkadzano tak, jak to miało miejsce ostatnio, ale wszelkie próby sprzyjania mojej karierze są zbyteczne.

– Dobrze – powiedział Obłokow.

Co powiedział, to powiedział, a jednak w parę dni po tej rozmowie podszedł do Daniłowa wiolonczelista Turukanow, który zdążył już widocznie ocknąć się po przykrym zdarzeniu z kanadyjskim krawatem albo o wszystkim zapomniał, i jakby robiąc aluzję do czegoś, o czym wiedzą tylko oni dwaj, zwrócił się do niego tonem przypoehlebnym, pełnym niespodziewanego szacunku. Dyrygent, którego Klaudia widziała w kolejce u chłopobudów, witał się teraz z Daniłowem bez porównania uprzejmiej niż przedtem. Wyjaśniło się, że na występy gościnne do Włoch Daniłow pojedzie na pewno. Krytyk Zybałow przysłał mu list, w którym przepraszał, że nazwisko Daniłowa zostało pominięte w recenzji, oraz oświadczał, że uważa go za świetnego altowiolistę i że choć jego gra bezspornie przerasta muzykę Pierieslegina, chciałby jeszcze raz usłyszeć symfonię, by móc ją ocenić w sposób bardziej obiektywny. Klaudia przypilnowała Daniłowa wieczorem przy wejściu do teatru i przedstawiła mu szereg zarzutów sprowadzających się do wspólnego mianownika: że niepotrzebnie zwracał jej głowę prosząc o poparcie jego kandydatury.

– Dlaczego tak zależy im na tobie? – zapytała wreszcie.

– Potrzebują konsultanta w dziedzinie muzyki: a nuż zajdzie potrzeba odczytywania nut albo oceniania piosenek?

– Są tysiące muzyków i tysiące laureatów, dlaczego wybrano akurat ciebie?

– Słuchaj, czego ty ode mnie chcesz? – nie wytrzymał Daniłow.

– Nie uchylaj się od odpowiedzi!

– Wszystkiego wytłumaczyć nie mogę, nie są to moje prywatne sprawy – powiedział Daniłow oschle.

Klaudia od razu spuściła z tonu. Patrzyła teraz na niego z wyraźnym zainteresowaniem, w jej oczach błysnęła radość.

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz o tym, co nas łączy.

– Przepraszam, a co nas łączy?

– Ach, dajże spokój, sam wiesz...

– Chyba zaczynasz mieć złudne nadzieje. Poza tym masz u chłopobudów znacznie więcej szans niż ja.

– Dobrze, dobrze – szybko powiedziała Klaudia takim tonem, jakim przytakuje się opętaniom, niemniej już po chwili podjęła nową próbę: – Nie wiedziałam, że możesz być aż taki tajemniczy. Widzę przecież, że tylko udajesz naiwnego prostaczka...

– Wybacz, mam dziś spektakl – powiedział Daniłow. – A co do moich tajemnic, dawno mogłabyś wszystkie odgadnąć.

– Widocznie byłam ślepa – usłyszał za sobą jej smutną odpowiedź.

Był tak zdumiony, że zatrzymał się w drzwiach. Spojrzał na Klaudię, ale jej twarz pozostała w cieniu...

Przez wszystkie te dni grał dużo i zachłannie. Na Albanim i na starej altówce. W domu i w teatrze. Siedząc w orkiestrze, grał z upojeniem nawet muzykę operową i baletową, którą przedtem traktował jako zło konieczne. Dawniej była mu obca, teraz natomiast pragnął ją zgłębić, zrozumieć zamierzenia kompozytora, przyjąć jej logikę i osiągnąć swobodę, dzięki której poczuje się w tej muzyce jak mistrz („No, powiedzmy, niekoniecznie mistrz, wystarczy dobry czeladnik” – dodawał przez skromność). Wydawało mu się, że w muzyce, którą lubił i która była mu bliska, osiągnął już lub prawie osiągnął taką swobodę bez specjalnego wysiłku. To znaczy wysiłek i napięcie, dające się we znaki od dziesięciu lat, teraz zaczęły jakby topnieć i dźwięk powstawał samoczynnie. Pamiętał słowa Asafjewa: „W ostatecznym rozrachunku technika to umiejętność robienia tego, na co się ma ochotę. Wszystko jednak wymaga cierpliwości...” Daniłow, w życiu impulsywny i niecierpliwy, umiał być cierpliwy w muzyce – i dzięki temu coś niecoś osiągnął.

Grał w domu utwory najtrudniejsze i był z siebie zadowolony. Nie po raz pierwszy próbował grać te rzeczy i dawniej też zdarzało mu się zagrać nieźle, zauważył jednak, że teraz sam sposób gry – inaczej mówiąc sposób myślenia jego altówki, to znaczy obu altówek – jest bardziej ścisły i bliski prawdy. Cieszyła go nowa barwa dźwięku, zdążył całkowicie zapomnieć, jak brakowało mu kiedyś pewności siebie, jaką bezlitosną uprawiał samokrytykę, jakim beznadziejnym pechowcem wydawał się samemu sobie w czasie prób z Pieriesleginem i później, po zagranium jego symfonii.

Miał wrażenie, że wszedł w okres poprzedzający jakiś nowy piękny wzlot. Gdyby był racjonalistą, rozważyłby z pewnością wszystkie warianty tego wzlotu, każdy z tych wariantów przeanalizował w wyobraźni i tym samym mógł przygotować się do dalszych działań. Ale wówczas nie byłby sobą.

Coraz częściej rozmyślał o muzyce, którą stworzył na własny użytek, i przyznał, że dopóki brzmi ona wyłącznie w jego mózgu, jest niczym innym, jak swoistą odmianą ciszy. A gdyby tak wziąć altówkę i spróbować?... Czy nie podważy tym samym swej zasady niekorzystania z dodatkowych możliwości? Doszedł jednak do wniosku, że nie – przecież szukając własnych sposobów myślenia muzycznego oparł się na doświadczeniach kompozytorów, z których każdy był tylko zwykłym śmiertelnikiem, a zatem o żadnych środkach nadzwyczajnych nie może być mowy: nikomu nie jest dłużny i wcale nie łamie swych zasad. Specjaliści z Dziewięciu Sfer nie zrozumieli jego muzyki – trudno, ich strata; a może właśnie zrozumieli ją aż za dobrze – i dlatego jest, jak jest?... Przed ludźmi natomiast nie zamierzał niczego ukrywać – przeciwnie, odczuwał palącą potrzebę przemawiania do

ludzi i tworzenia dla ludzi. Chciałby opowiedzieć im, jak rozumie świat i życie. Słowa niewiele mu w tym pomogą, co innego smyczek i altówka. Ponadto, korzystając z wynalezionych przez siebie sposobów, mógł myśleć i przeżywać otwarcie przed każdym audytorium, choćby nawet jednoosobowym – i niepotrzebna mu była w tym celu niczyja muzyka z wyjątkiem własnej. Szczególnie pociągały go improwizacje, stosowane dawniej tak szeroko i wyeliminowane obecnie z muzyki poważnej. Czuł, że potrafi improwizować.

Mówił jednak sobie, że wcale nie po to chce myśleć przy pomocy altówki, by popisywać się przed słuchaczami swą wirtuozerią i nie po to, by wystąpić w nowej dla siebie roli kompozytora, choć nie wykluczał możliwości, że przyjdzie czas, kiedy zabierze się wreszcie do komponowania. Miał już kiedyś okres pasji kompozytorskich, było to w czasie studiów – wówczas komponował dziesiątki utworów, codziennie robił ćwiczenia z kontrapunktu (po siedemdziesiąt fug miesięcznie!), studiował pilnie solfeż i harmonię analityczną, by później wszystko to zarzucić... Nie, dzisiejszych swoich improwizacji w żadnym wypadku nie mógł nazwać komponowaniem muzyki. Nie zapisywał przecież tego, co grał, nie powtarzał improwizowanych utworów brzmiących w pustym mieszkaniu pod nieobecność Nataszy. Miał wrażenie, że ucząc się na pamięć własnych myśli postąpiłby wbrew naturze.

Mimo wszystko jednak nie wytrzymał i dwukrotnie nagrał swoje improwizacje na magnetofon. Chciał posłuchać swojej muzyki z boku, z pozycji odbiorcy. Wysłuchał, a potem długo chodził po mieszkaniu i nie mógł się uspokoić.

Ach, wszystko jeszcze nie to, nie tak! Złościł się czasami na altówkę, ale częściej – na samego siebie. Tworząc „muzykę myśli” czuł się bogaty niczym Krezus: cały materiał dźwiękowy, jakim dysponuje natura i jaki powstał za sprawą ludzi, wszystkie instrumenty – od pradawnych, zapomnianych, aż po najnowsze i te, których jeszcze nie ma – słowem, cały melos świata był do jego usług i zestawienia dźwiękowe rodziły się w jego mózgu błyskawicznie. Teraz natomiast pozostał sam na sam z altówką i nie ma znaczenia, kto zrobił ten instrument – Albani czy nie Albani – altówka pozostaje tylko altówką. Cóż więc mógł zdziałać?

Rozpaczwał dochodząc do wniosku, że z tą altówką niczego nie odda wiernie, że rodzące się dźwięki są jeszcze bardziej koślawe niż słowa, a mimo to brnął w swych improwizacjach coraz dalej. Grał ciągle, bez przerwy. Powtarzał samemu sobie: „Nie udawaj niedołęgi, technikę masz znakomitą, a i możliwości altówki nie są jeszcze wyczerpane do końca. Nie masz orkiestry, ale masz instrument!”

Pewnego razu zagrał dla Nataszy. Powiedziała, że podoba się jej muzyka, choć to, co zagrał, brzmi jak na jej gust trochę niecodziennie. A potem, kiedy odwiedził go Pierieslegin, Daniłow odważył się zagrać w jego obecności, uprzedziwszy przedtem gościa, jaki to utwór zamierza mu zaprezentować. Grał może ze cztery minuty, denerwował się, myśli miał chaotyczne, rozlatane, toteż siłą faktu muzyka brzmiała nerwowo: zdawało się, że pędzi gdzieś w podskokach co tchu, jękająca się, ostra, przerywana pauzami w miejscach, gdzie urywała się myśl; rytm był nierównomierny, ale ruch pionowy bardzo oryginalny.

– Ciekawe – powiedział Pierieslegin. – Wykonanie bez zarzutu. A w tej muzyce widzę pana. Nie zawsze pan taki jest, ale czasami to się wyczuwa. W każdym razie utwór niebanalny.

– Czy nie wydaje się panu, że za dużo złamałem reguł? – zapytał ostrożnie Daniłow.

– I co z tego? Szkolne reguły są po to, żeby je łamać! Ileż to nowych powstało w samym tylko dwudziestym wieku, a ile jeszcze powstanie! Rytm, intonacja, rodzaj dźwięku – wszystko to w naszych czasach jest inne. Trzeba korzystać z takich środków wyrazu, jakie twórca uważa za najbardziej odpowiednie w danej chwili. Dla ludzi największe znaczenie ma fakt, że udało się panu przekazać im myśl własną, a nie powtórzoną za kimś innym. Ma pan własny język, to jasne od pierwszej nuty – wystarczy jedna fraza, żeby się o tym przekonać.

Wyglądało na to, że Pierieslegin usiłuje przekonać nie tylko Daniłowa, ale i samego siebie.

– Rzeczywistość jest teraz całkiem inna, odmienna, po cóż wciskać ją na siłę w ramki przestarzałych form muzycznych? Powiada pan, że łamie reguły, ale to, co usłyszałem przed chwilą, wcale nie było eksperymentalnym ćwiczeniem na łamanie istniejących reguł, była to muzyka – i ja, człowiek lat siedemdziesiątych dwudziestego stulecia, twierdzę, że ta muzyka jest mi bliska. Jutro pańskie wykroczenia staną się regułą. Moje też...

Daniłow słuchał Pierieslegina z zamierającym sercem: poparcie było mu bardzo potrzebne. Mimo to zdarzały się momenty, kiedy chciał zaprzeczyć rozmówcy, ponieważ każda muzyka była mu bliska i nieraz miał ochotę wypowiedzieć się nawet w stylu archaicznym – powiedzmy, w stylu końca ubiegłego stulecia, nazywanym przez jednego z wykładowców w ich szkole muzycznej stylem pieśniowo-operowym, chciałby również spróbować wyrażania swych myśli poprzez nadanie im kształtu sonaty lub fugi. Nie wpływało to bynajmniej z jego wszytkożerności czy też braku własnego kierunku – wręcz przeciwnie, przemyślał dokładnie ten własny kierunek, choć powtarzał sobie, że nie powinien teoretyzować, ponieważ w sztuce znacznie ciekawsze efekty można osiągnąć polegając na intuicji. Mylił się jednak w tym względzie: polegać wyłącznie na intuicji, czyli poruszać się po omacku, może tylko nowicjusz lub rozmiłowany w muzyce dyletant. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko jeden argument – chciał wierzyć własnej intuicji tylko po to, żeby nie być w swej pracy twórczej wyrachowanym. Nie wszytkożerność przez niego przemawiała, raczej zachłanność: zabierając się do komponowania muzyki chciał wypróbować wszystko.

Rozmawiając teraz z Pieriesleginem, myślał o tym, że chętnie zagrałby coś w rytmie walca – i od razu powstała w głowie melodia. Nie zależało mu na tym, żeby skomponować jeszcze jeden nowy walc – po prostu chciał wypowiedzieć się w takiej, a nie innej formie. A dalej? Co będzie dalej? Cóż, dalej mogą zafrapować go, powiedzmy, przyśpiewki ludowe, rytmy zapamiętałych piasów białogrodzkich, a potem może wykorzysta zdobycze bigbitu i całkiem nowych melodii tanecznych, które przysły na zmianę szejkowi – niecodzienne rytmy takich tańców, jak: jerk, funky, chicken czy hustle, które jego altówka potraktuje być może z ironią, ale zaakceptuje jako niezbędne atrybuty przemijającej codzienności. Pamiętał też oczywiście o pięknie muzyki Dalekiego Wschodu, o muzyce egzotycznej – indyjskiej i afrykańskiej, o tamtych sposobach wykonania, które tak do niego przemawiały. Słowem, dźwięki, melodie, rytmy, intonacje gromadziły się w jego mózgu, dręczyły go, podniecały, szukały ujścia, szukały wyrazu, ale form, w jakie chciałby to ująć, nie zamierzał ustalać zawczasu. Sądził, że formy, niekiedy właśnie te najprostsze, podręcznikowe, powinny zjawić się same jako całkiem naturalne i jedynie możliwe. Najważniejsze – mieć coś do powiedzenia, a jak się to robi, już wiedział.

Tak myślał teraz, ale nie dał tego po sobie poznać. Przytakiwał, jakby zgadzając się z Pieriesleginem we wszystkim.

Wizyta Pierieslegina miała określony cel: przyszedł, żeby powiedzieć, że pojawiła się możliwość wykonania symfonii po raz drugi i trzeci, wprawdzie i tym razem w domach kultury, ale co z tego. Znowu zaczął komponować muzykę – i znowu były to utwory na altówkę, do pewnego stopnia eksperymentalne. Upredzał, że mogą okazać się trudne, ale wierzył w Daniłowa: w symfonii też były takie miejsca, z którymi nikt inny na pewno by sobie nie poradził. Dodał, że po wysłuchaniu improwizacji Daniłowa zapalił się do pracy jeszcze bardziej, zwłaszcza że porwał się ostatnio na operę o tematyce zaczerpniętej z opowiadań Zoszczenki (nowinę tę Daniłow przyjął z uczuciem zazdrości, tak jakby ktoś go ubiegł), zapewnił jednak, że utwór na altówkę skończy. Rozstali się zadowoleni ze spotkania, zapewniając się nawzajem o poparciu.

A po odejściu gościa Daniłow poczuł się bardzo źle. Serce mu kołatało, dostał mdłości i zawrotów głowy. Położył się na kanapie, ale niewiele to pomogło: kanapa kołysała się pod nim i trwało to około dziesięciu minut, a potem nagle przeszło. Pobiegł do lekarza teatralnego, poprosił o zmierzenie ciśnienia. Okazało się, że ciśnienie jest w normie, serce też przestało walić i znowu biło równo, bez szmerów. Nazajutrz rano otworzył w trolejbusie gazetę i zobaczył notatkę, z której wynikało, że w Turcji zarejestrowano poprzedniego dnia wstrząs podziemny o sile ośmiu czy dziewięciu stopni. Epicentrum wstrząsu przypadło na okręg Diarbakir, popękały tam ściany domów, są ofiary w ludziach. Podano też dokładną godzinę, o której miał miejsce kataklizm, w przeliczeniu na czas moskiewski, i Daniłow stwierdził ze zdumieniem, że właśnie w tym czasie, w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy w okręgu Diarbakir burzyły się ściany domów, wystąpiły u niego te przykre objawy. Przypominał sobie dodatkową karę, jaką wymyślił dla niego Nowy Margeryt: uczulenie na wszelkie drgania. Jakże dawno to wszystko było – gdzieś w całkiem innym, nierealnym życiu, a jednak skutki są i nic się na to nie poradzi...

Nie powiedział Nataszy ani o mdłościach, ani o swojej wizycie u lekarza. Jej sprawy układały się pomyślnie, miała mnóstwo zamówień i zastanawiała się nawet, czy nie odejść z instytutu, żeby zająć się tylko szyciem. Pewna jej znajoma, pani kostiumolog, projektowała tej zimy stroje dla znanego zespołu pieśni i tańca; miała oczywiście do dyspozycji pracownię kostiumów, a jednak wolała zwrócić się do Nataszy i poprosić ją o uszycie najciekawszych strojów. Natasza poczuła się niezmiernie zaszczycona i wszystko uszyła świetnie, a potem zaczęła chodzić po muzeach, studiować literaturę etnograficzną, aż wreszcie zabrała się sama do projektowania kostiumów. Daniłow patrzył na jej szkice, cieszył się, ale chwalił powściągliwie zdając sobie sprawę, że trudno w jego sytuacji o ocenę bezstronną. Pokazał jej szkice plastynom z teatru, którzy powiedzieli, że prace są ciekawe i świadczą niemal o profesjonalizmie. Doradzono Nataszy podjęcie studiów w wyższej uczelni; zbywała to żartem mówiąc: „Gdzie tam, w moim wieku...”, a mimo to wybrała się kiedyś do Wyższej Szkoły Przemysłu Włókienniczego, zapytała o warunki przyjęcia i podjęła decyzję: „Poczekam jeszcze parę lat, muszę powtórzyć program szkoły średniej, sporo już zapomniałam. A poza tym, chcąc na coś liczyć, trzeba zająć się poważnie rysunkiem”. Zapisła się więc do kółka plastycznego w swoim instytucie i regularnie chodziła na zajęcia. Daniłow do niczego jej nie namawiał: kochał ją taką, jaka była, i wolał, by sama decydowała o swoich sprawach.

Czasami pozwalał sobie na odpoczynek: leżał na kanapie w ciepłym szlafroku, czytał książki – przeważnie o sztuce (chłopobudom zawdzięczał na razie tylko *Amerykańską nowelę kryminalną*) – słowem, rozkoszował się życiem. Natasza siedziała przy stole, zajęta swoimi szkicami, i cicho nuciła bezpretensjonalne melodie. Nie miała słuchu muzycznego i początkowo, widząc na ustach Daniłowa uśmiech, milkła w jego obecności, ale teraz krępować się przestała i często śpiewała przy nim. Daniłow rozczulał się słysząc ten jej śpiew, tak jak rozczulają się rodzice, kiedy ich pociecha zaczyna mówić i zabawnie kaleczy wyrazy. Próbował nawet odtwarzać te proste melodyjki na altówce, ale nic z tego nie wychodziło: instrument pozostawał w takich przypadkach jedynie beznamietnym analfabeta. Chwile odpoczynku wystarczały mu do tego stopnia, że wszystko pozostałe przestawało go obchodzić, zapominał na amen o kąpielach w błyskawicach i lotach nad Andami. Cieszyło go życie rodzinne, nawet do Murawłowów wpadał w tym okresie bardzo rzadko. Był w domu, obok siedziała Natasza – czegoż jeszcze mógł pragnąć? Zamykał oczy, słuchał jej miłego głosu i rozmyślał, dlaczego właśnie Natasza odegrała w jego życiu taką rolę. Pewnego razu doszedł do wniosku, że widocznie zmiany wewnętrzne nabrzmiewały w nim z wolna, gromadziły się długo w ukryciu, by stać się nagle faktem dokonany – i wówczas, kiedy przyszło wraz z tym nowe rozumienie świata i jego wartości, pojawiła się w jego życiu Natasza, kobieta może nie najbardziej atrakcyjna ze wszystkich napotkanych, ale za to bliska mu i droga. Rozumiał, oczywiście, że w tych swoich rozważaniach nie ma zapewne

stuprocentowej racji, najwyżej jeden procent, i że w ogóle są to dywagacje jałowe, nie w jego stylu – taka sobie czczy filozofia. Przede wszystkim nie ma racji w ocenie atrakcyjności Nataszy – jest piękna i jedyna, bo daje mu poczucie spokoju, świadomość bezpieczeństwa. Nie umiał wyrazić tego w słowach, lepiej byłoby sięgnąć po altówkę, ale przeszkadzało słodkie rozleniwienie. Nie chciało mu się nawet wstać z kanapy.

Zresztą ten błogi okres nie trwał długo.

Sezon wiosenno-letni przyniósł ze sobą masę kłopotów. Teatr przygotowywał się do występów gościnnych we Włoszech, było dużo nadprogramowych prób związanych z wejściem do nowych rzeczy, których Daniłow przedtem nie grał. Wraz z sekstem teatralnym brał udział w koncertach społecznych, akompaniował solistom w telewizji, w programie „Błękitny płomyk”; poszła nawet fama, że sekstet zostanie zaproszony na występy gościnne do Japonii. Daniłow zmuszony był zrezygnować ze wszystkich swoich chałtur, ale trochę pieniędzy jednak zarobił i zwrócił część starych długów, po czym znowu musiał pożyczyć pięćset rubli z innego źródła.

Z zakładu ubezpieczeń nadszedł list: jego oświadczenie zostało przyjęte do wiadomości. Z milicji nikt nie dzwonił i żadnych wezwań nie przysyłano. Spodni z pralni chemicznej nie zdążył jeszcze odebrać, choć przydałyby się na wyjazd do Włoch. Wstydził się trochę iść teraz do pralni zakładając, że z jego powodu personel tej placówki mógł być pozbawiony premii kwartalnej. A może spodnie dawno już przewędrowały do komisju na Rynku Preobrażeńskim? Nie miał odwagi poprosić Nataszę o pomoc: nie chciał, żeby czerwieniła się za niego ze wstydu. Ale tracić dobytek też się nie godzi. „Wpadnę tam przed wyjazdem” – przyrzekł sobie i, naturalnie, znowu nie zdążył. Postanowił, że uzupełni garderobę we Włoszech, zresztą Natasza też obiecała uszyć mu nowe spodnie i miał nadzieję, że obietnicy dotrzyma.

Ziemski wypadł z ekipy udającej się na występy gościnne. Udawał, że wcale mu na tym nie zależało, powtarzał: „Też mi ósmy cud świata – mafiosi, furiosi... A makaronu i tutaj mamy pod dostatkiem”. Rozmawiali ze sobą rzadko: Ziemski widział, że Daniłow goni w piętke, zdiera ostatnie zelówki i nie ma głowy do pogawędek. A jednak parę razy zapytał go zjadliwie, czy rozwiązał już „tajemnicę M. K.” – „Skąd – odpowiedział Daniłow – nie mam chwili czasu”. – „Robisz się coraz bardziej zachłanny, uważaj, żeby muzyka nie wyszła ci bokiem” – ostrzegł Ziemski. Ale Daniłow inaczej myślał teraz o sprawie Korieniewa, wszystko to było już bardzo odległe i mgliste; jeszcze parę miesięcy temu, współczując Miszy, gorąco pragnął odgadnąć jego tajemnicę, choć podejrzewał, że żadnej tajemnicy mogło w ogóle nie być; teraz natomiast, gdy nadeszły inne czasy – może nie tyle pasmo sukcesów, ile okres aktywnego działania, zadowolenia ze swojej sztuki i zrozumienia jej nadrzędnych celów – nie odczuwał już potrzeby smutnych dociekań, przynajmniej na razie... Tak więc wspomnienia o Miszy po rozmowach z Ziemskim wywoływały jedynie lekki smutek – tylko tyle.

O chłopobudach na razie nic nie słyszał, co cieszyło go niezmiernie. Raz tylko spotkał Rostowcewa idącego przez Most Kuźniecki. Rostowcew minę miał posępną i niepewną, widocznie koń bez siodła i wodzy nie okazał mu dotąd należytego szacunku.

– Myślałem o naszej rozmowie – powiedział witając się z Daniłowem. – Miał pan rację. Wymyśliłem dla tych chłopobudów coś nowego.

– Świetnie! – ucieszył się Daniłow. – Wolałbym tylko, żeby nowy pański pomysł nie wyrządził krzywdy Klaudii.

– Nie wyrządzi – przyrzekł Rostowcew.

Troska o Klaukę wynikała u Daniłowa zarówno z przyzwyczajenia, jak i z uświadomienia sobie prostego faktu, że gdyby Klaukę spotkała jakaś przykrość, nikt inny tylko on miałby ją znowu na karku.

Klaudia spokorniała – stwierdziła widać, że nie dostrzegła w swoim czasie jego zalet, które zostały później docenione przez wnikliwych chłopobudów. Mimo nieodparty chęci do niezależności, przez jakiś czas wyraźnie mu nadskakiwała, aż wreszcie musiała dojść do wniosku, że pomijając Wędy przeszłości, ma do byłego męża pewne prawo. Działając w obranym kierunku, przed jego wyjazdem do Włoch zamierzała zrobić mu zamówienia, na co Daniłow odparł, że powinna zwrócić się z tym do Nataszy, która sporządza listę zamówień od wszystkich znajomych. „Do Nataszy? No wiesz!...” – parsknęła oburzona Klaudia i na pewno trzasnęłaby drzwiami, gdyby były w pobliżu jakieś drzwi, ale już po chwili zmiękła i nieco później przedłożyła Nataszy spis potrzebnych jej rzeczy. Daniłow westchnął myśląc, że musi kupić dla Klaudii przynajmniej jakiś drobiazg, w przeciwnym razie zatruje mu życie.

Próbki zastygłej łąwy z wulkanu Szywełucz Klaudia trzymała w schowku i nikt, nawet profesor Wojnow, nie miał prawa tknąć tych kamieni palcem. W tym względzie Daniłow mógł być na razie spokojny, choć nie miał pojęcia, jak położyć kres całym tym perypetiom ze szmaragdami i motylem o szmaragdowych zębach. Tymczasem kres położyć należało – i bez tego sprawy zaszyły za daleko. Przygotowano do druku publikacje naukowe, całe zastępy specjalistów ślęczały nad szmaragdami, motyla zaś umieszczono w ogrodzie zimowym instytutu i odżywiano włoskimi orzechami. Motyl żarł i przybywał na wadze.

Kudasow odzyskał apetyt, wątpliwości przestały go dręczyć. Psuła mu życie jedna tylko okoliczność: Daniłow prawie nie bywał u Murawłowów, w związku z czym obiady i kolacje w ich domu spożywano nader skromne – zdarzało się, że rodzina jadła same parówki. Kudasow przestawił się więc na zapachy docierające z innych mieszkań.

Hydraulik Kola w ogóle zniknął z horyzontu: Daniłow ani razu nie spotkał go w barze i nie miał pojęcia, czy Kola bawi jeszcze publiczność wypuszczaniem z ust kłębow dymu, czy też dym wyczerpał się do reszty. Rozważył jednak, że gdyby dym za bardzo Koli dokuczał, hydraulik byłby zwrócił się do niego. Później zaczęły krążyć pogłoski, że Kola pożegnał się z zawodem hydraulika, pracuje teraz w myjni przy zajezdni trolejbusowej, w zaułku Olmińskiego, i z tej przyczyny nie pokazuje się więcej na ich podwórku. O dymie nikt nie wspominał, pytać też nie wypadało.

Interesowały Daniłowa losy dwóch pańienek, którym przywrócił swego czasu niewinność, nie miał jednak czasu na poszukiwania, zresztą kara nie była aż tak znowu groźna. „Niech poczekają do zimy” – pomyślał.

A potem był wyjazd do Włoch. Ach, ta Italia! Nie jestem w stanie napisać o niej cokolwiek, zwłaszcza że sam nigdy tam nie byłem.

W sierpniu Daniłow miał urlop. Spędzili go z Nataszą na Krymie, w Koktebelu. Daniłow jeździł tam co roku przez ostatnie pięć lat i teraz bez trudu znalazł dla siebie i Nataszy prywatną kwaterę. Dobrze pamiętał trzęsienie ziemi w Turcji, po którym miał przykre objawy, ale były to przynajmniej porządne wstrząsy, o sile ośmiu stopni, później było gorzej, ponieważ zaczął odczuwać zjawiska coraz słabsze: wstrząsy podziemne o sile trzech, czterech stopni, niegroźne erupcje wulkanów na Kamczatce i Wyspach Kurylskich, fale tsunami – i tak dalej. Znowu czuł, że wszystko mu się w środku przewraca, serce bilo gwałtownie lub – co jeszcze gorsze – całkiem zamierało. Najbardziej jednak martwiło go ciągłe uczucie niepokoju, smutku, nawet rozpacz. Natasza zauważyła te objawy, trzeba było znowu iść do lekarzy, rozbierać się do pasa, robić prześwietlenia i połykać sondę. Wyniki badań okazały się w normie, wszystkie narządy działały bez zarzutu. „Zmęczenie” – orzekli lekarze i Daniłow skłonny był podzielać ich zdanie. Kąpiele w morzu dodały mu sił, w każdym razie wstrząsy podziemne w boliwijskiej prowincji Cochabamba o sile pięciu stopni wywołały u niego zaledwie dreszcze, które trwały najwyżej trzy minuty. Inna rzecz, że przez cały sierpień nie brał do rąk altówki.

Ledwo zdążył powrócić do Moskwy, zadzwonił Pierieslegin. Orkiestra Czudeckiego w pierwszych dniach października planowała występ w przyzakładowym Domu Kultury

Fabryki Samochodów Osobowych. W programie przewidziano wykonanie poematu symfonicznego Strawińskiego *Pieśń słowika* oraz symfonii Pierieslegina. Oczywiście bez Daniłowa obejść się nie mogli. „Jest jeszcze jedna propozycja – dodał Pierieslegin. – Może pan wykonać tam swoje utwory. Jak to pan nazywa? Improwizacje?” – „Tak – odpowiedział przejęty Daniłow. – Ale są to improwizacje w ścisłym tego słowa znaczeniu, ja ich nie utrwalam, nie mam w ogóle nut... Nie wiem, czy warto...” – „Warto! – odpowiedział stanowczo Pierieslegin. – I szkoda, że nie ma pan nut, przecież to karygodna rozrzutność! Strata dla muzyki! To po prostu niepoważne!”

Daniłow, czując się niemal dotknięty, chciał powiedzieć, że improwizacja musi pozostać improwizacją, ale przyznał, że okłamuje samego siebie. Myślał przecież nieraz o utrwalaniu swej muzyki, nagrywał ją na taśmę, potem słuchał i czuł potrzebę powtarzania. Chciał być rozumiany, pragnął, żeby usłyszeli go ludzie – setki ludzi! Uważał, że ma prawo do rozmowy z nimi, do wymiany myśli – oczywiście pod warunkiem, że jego myśli nie są banalne, niegodne czyjejs uwagi. Co się tyczy natomiast zasady jako takiej, wolno mu improwizować nawet przy powtórnym wykonaniu utworu. Kupił więc papier nutowy.

Do teatru zabierał teraz tylko Albaniego. Nie chciał jednak zostawiać drogiego instrumentu na noc w szafie i po spektaklu odwoził do domu. W wolnych chwilach pędził na próby do Czudeckiego i niecierpliwie, aczkolwiek z lękiem, oczekiwał dnia występu. Żałował teraz, że zgodził się wystąpić z własnymi utworami, tymczasem w gablotach przed Domem Kultury widniały już afisze z programem koncertu.

Na występ przyszli wszyscy znajomi Daniłowa (w tym również ja z żoną).

Zauważył w foyer kilka osób, których twarze zapamiętał z kolejki w mieszkaniu Rostowcewa – widać byli to melomani. Wbiegła podniecona Klaudia ciągnąc za sobą profesora Wojnowa. „No proszę! – pomyślał Daniłow z satysfakcją. – Najlepszy dowód, że zaczynają mnie traktować poważnie!” Omijając bufet, przechadzał się po foyer surowy krytyk Zybałow. Zdumiała Darniowa obecność Ziemskiego, który dzisiejszego wieczoru miał siedzieć ze swymi skrzypcami w orkiestrze teatralnej. Nie wytrzymał, podszedł do Ziemskiego i zapytał: „Pan tutaj?” – „Zwolnienie lekarskie – odpowiedział Ziemski ochryplym głosem. – Lumbago”. Unikając spojrzenia Daniłowa, chował za siebie jakieś zawiniątko: obawiał się widocznie, że Daniłow może zapytać, co jest w środku. Daniłow nie zapytał.

Symfonię Pierieslegina grano w pierwszej części koncertu.

Daniłow, choć zdenerwowany, tym razem trzymał się dzielnie, wszystko widział i pamiętał. Publiczność dobrze przyjęła zarówno orkiestrę, jak i solistów: były brawa i kwiaty, orkiestra, akceptując przeznaczone dla Daniłowa oklaski, uderzała smyczkami w pulpity. Potem Daniłow siedział w garderobie kompletnie wyczerpany, wyłączony z życia. Wreszcie powrócił do przytomności i przypomniał sobie, że czeka go jeszcze następne wyjście na scenę.

Poszedł do bufetu, żeby napić się czegoś, i stojąc w kolejce przypomniał sobie o altówce, którą zostawił w garderobie. „Jak mogłem!” – o mało nie krzyknął na głos. Pobiegł do garderoby, lecz Albaniego tam nie było. Leżał tylko otwarty futerał, instrument zniknął. Daniłow miotał się po wszystkich pokojach, wybiegł na scenę, pytał znajomych, czy ktoś nie pozwolił sobie przypadkiem na głupi dowcip. Wszystko na nic.

Wpadł wreszcie do toalety przy garderobie i zobaczył tam Ziemskiego, który znęcał się nad jego altówką. Właściwie instrument był już rozszarpany, rozbity w drobny mak. Ziemski trzymał w dłoni krótką piłkę. Żaden mistrz, nawet sam Albani, nie byłby już w stanie przywrócić altówce żyda.

Daniłow chciał rzucić się na Ziemskiego – ale cóż by to dało? Stał w progu i dopiero po chwili znalazł w sobie dość sił, by powiedzieć cicho:

– To niemożliwe!... Pan... muzyk...

– Właśnie dlatego że muzyk! – odparł twardo Ziemski.

Potem Daniłow znowu siedział w garderobie z twarzą ukrytą w dłoniach i o mało nie płakał, Ziemski natomiast krążył naokoło żądając, by natychmiast sprowadzono milicję. Przedłużono przerwę, Czudecki pytał kilkakrotnie, czy nie lepiej by było, gdyby Daniłow zrezygnował z wykonania swoich utworów, na co Daniłow, nieoczekiwanie dla samego siebie, oznajmił stanowczo: „Właśnie że będę grał!” Zastanawiano się, co robić: posłać samochód do mieszkania Daniłowa po jego starą altówkę (zająłoby to około czterdziestu minut) czy też skorzystać z instrumentu któregoś z członków orkiestry. Wybrano w końcu ten ostatni wariant i postanowiono, że Daniłow nie będzie grał zaraz po przerwie, najpierw zostanie wykonany poemat Strawińskiego. Daniłow skinął głową i poprosił, by zostawiono go sam na sam z Ziemskim.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytał. – Oburzyła pana moja gra?

– Przeciwnie – odparł Ziemski – grałeś doskonale, w tym cały sęk. A z czasem będziesz grał jeszcze lepiej.

– No więc po cóż...

– Słuchaj, bardzo cię proszę, wezwij milicję, niech sporządzą protokół.

– Nikogo nie będę wzywał – powiedział Daniłow zmęczonym głosem. – Co za pożytek teraz z milicji...

– Błagam cię, wezwij!... Zresztą nie trzeba, sam już do nich zadzwoniłem. Napisz tylko oświadczenie.

– Żadnego oświadczenia nie będę pisał.

– Znowu padnę przed tobą na kolana, tak jak kiedyś. Gdybyś mnie wtedy posłuchał, nie zniszczyłbym teraz twojej altówki.

– Nie rozumiem...

– Pamiętasz tamtą naszą rozmowę? Możesz wierzyć albo nie wierzyć w moją twórczość, w mój ciszyzm, wystarczy, że ja w niego wierzę. Ludzie docenią go nieprędko, nie od razu, ale któż mnie zapamięta, kto za pięćdziesiąt czy sto pięćdziesiąt lat zainteresuje się nagle kimś, kto tworzył przez całe życie, ale nie mógł dać swej twórczości wyrazu? A teraz ludzie będą mnie pamiętać! Zostaniesz Wielkim muzykiem, pojawią się publikacje na twój temat i w jednej z tych publikacji na pewno ktoś wspomni, że był taki barbarzyńca czy zazdrośnik, który w przerwie koncertu rozszarpał ukochany instrument mistrza. Będzie to akcent korzystny dla nas obu. Znajdzie się jakiś dociekliwy potomek i zechce zbadać, kim był ten barbarzyńca: czy obłęd pchnął go do znęcania się nad instrumentem Albaniego, czy też kierowały nim nieznanne pobudki natury głębszej. I wówczas to Mikołaj Ziemskoj zostanie oceniony wedle jego czynów. Mówiłem ci już poprzednim razem: potrzebny mi jest kryształowy pantofelek Kopciuszka. Przecież gdyby Kopciuszek nie zgubił pantofelka, pozostałby do dziś na posyłki u starszych sióstr i jędzowatej macochy!

– Pamiętam – powiedział Daniłow – tyle że upodobał sobie pan bardzo dziwny pantofelek... Proszę mnie zostawić, chcę być sam.

– Nie! Masz napisać przedtem oświadczenie, które milicja dołączy do protokołu! – zawołał Ziemski z żarem. Wzrok miał pełen pasji.

– Milicja nie naprawi mi altówki – odparł Daniłow.

– W ogóle nikt jej już nie naprawi, nigdy! Zapłacę ci, ile chcesz, kupisz sobie inną. A poza tym, czy można porównywać martwy przedmiot, jakiś tam instrument – choćby nawet dobry, choćby Albaniego – z tym impulsem, jaki ja zamierzam nadać muzyce? Musisz tylko zażądać sporządzenia dokładnego protokołu, żeby archiwiści w przyszłości mieli konkretny dokument. Wtedy barbarzyńca nie pozostanie bezimienny.

– Może skończymy już z tym wszystkim – rzekł ponuro Daniłow.

W tym momencie Ziemski spełnił swój zamiar: padł przed nim na kolana.

– Włodeczku! Zlituj się nade mną! Chcesz, zdradzę ci tajemnicę Miszy Korieniewa!

– Proszę wstać! – krzyknął Daniłow. Podbiegł do niego, spróbował podnieść, ale Ziemski ważył niemało. – Po co zawraca mi pan głowę tą tajemnicą? Jestem pewien, że nie ma jej w ogóle, a jeśli nawet jest, to wcale mnie nie dotyczy!

– Tajemnica jest, a kogo dotyczy – ciebie czy jeszcze kogoś – tego sam nie wiem.

Ziemski wyciągnął z kieszeni wymiętą kopertę i podniósł rękę, w której trzymał list.

– Ten list otrzymałem od Korieniewa w przededniu jego śmierci – powiedział. – Jest nie rozpieczętowany.

Podał list, Daniłow wziął go machinalnie, ale natychmiast oddał z powrotem.

– List jest zaadresowany do pana. Nie czytam cudzej korespondencji.

– A jednak otwórz. Domyślam się, co tam może być, i sędzę, że wtajemniczając ciebie w treść nie zaszkodzi ani sobie, ani Miszy.

Daniłow ostrożnie rozpieczętował kopertę i wyjął stamtąd nierówno, nerwowo złożony arkusz papieru nutowego. Rozwinął – arkusz był dziewiczo czysty.

– Tak właśnie przypuszczałem – powiedział Ziemski.

– Czysty arkusz... – odezwał się cicho Daniłow. – Cóż, mnie to też nie zaskoczyło.

Ktoś zapukał do drzwi garderoby. „Proszę” – powiedział Daniłow. Wszedł Pierieslegin, zapytał taktownie: „Może nie chce pan grać? Decyzja należy do pana, nikt nie będzie miał pretensji”. Daniłow, patrząc na biały pożegnalny list, odparł cicho: „Będę grał. Teraz muszę zagrać”. – „Wobec tego wychodzi pan na scenę za dwadzieścia minut”. W tym momencie weszło do garderoby dwóch milicjantów, porucznik i podporucznik; ten drugi miał przy sobie radiotelefon. „Może to Niesynow? Zaraz zaczną się dociekania...” – myślał przerażony Daniłow. Uświadomił sobie jednak, że Ziemski powiadomił zapewne najbliższą komendę, tymczasem rewir Niesynowa to Ostankino. Sporządzono więc protokół, który Ziemskiego zadowolił.

Z sali dobiegały fłażolety fletów i trele instrumentów smyczkowych – słowik zawitał do cesarskich ogrodów i oto zabrzmiał już piękny ozdobny marsz chiński, a potem śpiewały na przemian obydwie słowiki: żywy i mechaniczny, rodem z Japonii. Daniłow słuchał Strawińskiego w roztargnieniu: myślał o Miszy, którego już nie ma, widział przed sobą cmentarz w Babuszkynie, wydeptany śnieg pod brzożami, zapłakaną wdowę, dwie dziewczynki, smutną Nataszę z bukietem róż, widział też samego siebie – między innymi w chwili, gdy ostrzegał znajomych Korieniewa, by uważali na świeżo malowane sąsiednie ogrodzenie. To, co trzymał teraz w rękach, było podsumowaniem całego życia Miszy – ten czysty arkusz oznaczał odejście w świat, gdzie żadnych dźwięków nie ma, wyznanie człowieka, który uważa, że nie ma nic do powiedzenia albo że wszystko, cokolwiek mógłby powiedzieć, jest pozbawione sensu. A jednak sens był, skoro Korieniew wyskoczył z okna! Mimo wszystko coś powiedział – i to, co udało mu się powiedzieć, jest niezmiernie ważne.

Ale oto glissando harf i złociste dźwięki pieśni rybaka zapowiedziały zbliżający się finał utworu Strawińskiego. Przyszła kolej na Daniłowa. Wypróbował pożyczoną od altowiolisty Zacharowa altówkę i stwierdził, że dźwięk ma dobry. Skinął głową do dyrygenta, stanął na samym skraju sceny i spojrzął na widownię. Słuchacze wiedzieli już zapewne o wszystkim: cisza na widowni była zdumiewająca.

Zapowiedź w programie głosiła, że solista orkiestry Włodzimierz Daniłow wykona trzy własne kompozycje. Ale Daniłow oznajmił:

– Improwizacja. Pamięci muzyka, który zamilkł na zawsze.

Mówiąc to pomyślał: może Ziemski zamierzał nadać swojemu dziełu właśnie taki tytuł? Ach, co tam, przecież nie w tytule rzecz...

„Nie układa się wierszy, wiersz po prostu przychodzi...”

Tym razem przyszła muzyka.

Był w takim stanie, że sam nie umiałby tego określić: miłość, gniew i rozpacz przepelniały jego serce na wspomnienie o ukochanym instrumencie, gotów był rzucić się do walki i

znaleźć ukojenie w ramionach Nataszy, pragnął opowiedzieć ludziom o losie skrzypka Korieniewa i wyrazić swój protest przeciwko śmierci – już sam fakt, że pragnął o tym opowiedzieć, był częścią składową jego protestu; chciał przekazać swoje myśli o życiu, o gorących uczuciach, o muzyce – i jeszcze raz w to wszystko uwierzyć. Grając czuł taką swobodę, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Ten całkiem obcy mu instrument, tak jak przedtem Albani, był teraz organiczną jego częścią: jego głosem, rozumem, sercem... A gdy poczuł, że wszystko, czemu chciał dać wyraz, zostało już powiedziane, opuścił smyczek.

Rozległy się oklaski – może podyktowała je zwyczajna uprzejmość, a może uznanie nie tyle dla istoty wysłuchanej muzyki, ile dla człowieka, który zagrał mimo wszystko, choć rozszarpano mu przed chwilą instrument. Daniłow stał wspominając niewiarygodną swobodę, z jaką dzisiaj grał. Było to wspomnienie o szczęściu ulotnym, ale tkwiło w nim również oczekiwanie przyszłych radosnych doznań... Najważniejsze zresztą było to, że udało mu się wypowiedzieć do końca.

Czy został zrozumiany? Natasza na pewno zrozumiała wszystko, ale jej opowiedział przecież wcześniej, co zamierza wyrazić swoją muzyką. A inni? Niektórzy mówili: „Niecodzienna muzyka... Dziwna... Trudno uwierzyć, że to altówka... Warto by jeszcze posłuchać...” Nawet Pierieslegin był nieco zdezorientowany, choć radził mu wypowiadać się dalej w tym oryginalnym języku. „Mówią, że muzyka jest niecodzienna? – powiedział Daniłow z nutą wyzwania w głosie. – Trudno, niech przywykają!”

Ten nastrój trwał bardzo krótko: nazajutrz Daniłow obudził się kompletnie rozbity i o muzyce – własnej czy cudzej – myślał z obrzydzeniem. Wszystkie swoje tak zwane improwizacje, a zwłaszcza tamtą wczorajszą, wspominał z uczuciem wstydu. „A, niech to wszystko!...” – klął w duchu. Na pozostałą przy życiu tanią altówkę patrzył niemal z pogardą, choć rozumiał, że dla chleba będzie na niej grał. Zresztą nawet Albani, jego zdaniem, niewart był współczucia.

Przed południem miał nowy atak, gorszy od poprzednich. Leżał nieruchomo, chciał dzwonić na pogotowie, ale jakoś samo przeszło. Według jego oceny, musiało nastąpić gdzieś trzęsienie ziemi o sile dziesięciu czy jedenastu stopni, tymczasem gazety nie podały żadnych wiadomości o wstrząsach podziemnych, pojawiła się tylko informacja o stłumieniu manifestacji studenckich w Tajlandii. Następnego dnia powtórzył się atak – i znowu w gazetach wspomniano tylko o zamieszkach studenckich. A więc taki zgotowano mu los! Najpierw reagował tylko na kataklizmy, później na lokalne klęski żywiołowe, a teraz już nawet na rozprawy ze studentami... Cóż, wszystko przebiega tak, jak przewiduje wyrok: skoro postanowił doskonalić się w sztuce, skoro zamierza trwać w swym zuchwałstwie, będzie uczulony nie tylko na żywioły – odczuje także ludzki ból, ludzkie cierpienia. Jeśli dalej tak pójdzie, wkrótce zacznie się dostawać wysypki na płacz głodnego dziecka w Pendźbie, na jęk weterana, któremu sprawia ból odłamek tkwiący w jego ciele z czasów wojny, na westchnienie młodego kompozytora, któremu psują życie chłopobudy – i kto wie, na co jeszcze. „Trudno, muszę to znosić – myślał. – Jakież byłby ze mnie artysta, gdyby nie dane mi było podzielać bólu każdego żywego stworzenia, choćby nawet dzikich zwierząt...”

Długo nie brał altówki do rąk, w domu tylko sprzątał i gotował.

Pewnego razu nie wytrzymał i pobiegł do pralni chemicznej zobaczyć, czy są tam jeszcze jego spodnie. We Włoszech żadnych spodni nie kupił, przywiózł same płyty. Natasza, zajęta projektowaniem i szyciem strojów ludowych, też nie uzupełniła jego garderoby. Na drzwiach pralni wisiała karteczka: „Z powodu trudności kadrowych nie przyjmujemy garderoby do i listopada”.

Tłumiąc w sobie wściekłość, wszedł do trolejbusu i pojechał do teatru. Myślał wciąż o zamkniętej pralni i utraconych chyba już na zawsze spodniach. Trolejbus minął most Kriestowski i Daniłow zapadł w drzemkę, a gdy otworzył oczy, nie myślał już ani o pralni chemicznej, ani o wstrząsach, ani o żyrandolu. Odzyskał spokój. Wiedział tylko, że oto jest

mnący ulicami Moskwy trolejbus, jest on sam, jest Natasza i jego stara altówka, i pulpit w orkiestrze, a wielu spraw, którymi przedtem zaprzętał sobie głowę, nie ma w ogóle i nigdy nie było. Wszystko to powstało jedynie w jego wyobraźni... Właśnie w wyobraźni...

Jedna tylko rzecz wydaje się być bardzo dziwna.

Po powrocie z wieczornego spektaklu Daniłow wyjął ze skrzynki gazetę, z której wypadł druk zawiadomienia. Zawiadomienie, podpisane przez porucznika Jurija Niesynowa z Komendy Dzielnicowej nr 58, głosiło, że instrument muzyczny (altówka), zbudowany, według danych ekspertyzy, w Bozzano, w roku 1693, przez włoskiego lutnika Matteo Albaniego i będący własnością ob. Włodzimierza Daniłowa, został odnaleziony, w związku z czym właściciel, czyli wspomniany ob. Daniłow, proszony jest o osobiste stawienie się w komendzie dla stwierdzenia autentyczności instrumentu.

„To niemożliwe” – pomyślał Daniłow.

Milicji jednak zawsze ufał.

Nie spał przez całą noc, a rano pobiegł do komendy.

Drogę miał krótką: siedem minut jazdy trolejbusem. Dziewiątką.